BRIAN PORTER-SZŰCS

CAŁKIEM ZWYCZAJNY KRAJ

HISTORIA POLSKI BEZ MARTYROLOGII

filtry WYDAWNICTWO

Przełożyli Anna Dzierzgowska
i Jan Dzierzgowski

BRIAN PORTER-SZŰCS

CAŁKIEM ZWYCZAJNY KRAJ

HISTORIA POLSKI BEZ MARTYROLOGII

Przełożyli Anna Dzierzgowska
i Jan Dzierzgowski

filtry
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału angielskiego: *Poland in the Modern World: Beyond Martyrdom*

Copyright © by Brian Porter-Szűcs, 2021
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Filtry, 2021
Copyright © for the Polish translation by Anna Dzierzgowska, 2021
Copyright © for the Polish translation by Jan Dzierzgowski, 2021

Projekt okładki: Marta Konarzewska / Konarzewska.pl

Opieka redakcyjna: Ewa Wieleżyńska, Dorota Nowak
Konsultacja merytoryczna: dr hab. Adam Leszczyński
Redakcja: Wojciech Górnaś / Redaktornia.com
Korekty: Redaktornia.com
Indeks: Redaktornia.com

Wydawca oświadcza, że dołożył wszelkich starań, aby dotrzeć do wszystkich właścicieli i dysponentów praw autorskich materiałów ilustracyjnych. Osoby fizyczne i prawne, których nie udało nam się ustalić, prosimy o kontakt z wydawnictwem.

ISBN 978-83-957973-5-4

Wydawnictwo Filtry sp. z o.o.
Ul. Filtrowa 61 m. 13
02-056 Warszawa

e-mail: redakcja@wydawnictwofiltry.pl
www.wydawnictwofiltry.pl

Skład i przygtowanie eBooka: Jarosław Jabłoński / jjprojekt.pl

SPIS TREŚCI

WSTĘP

Uwaga o przypisach

ROZDZIAŁ PIERWSZY

POLACY BEZ POLSKI, 1795–1918

Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ DRUGI

KRAJOBRAZ POLITYCZNY NA POCZĄTKU XX WIEKU

Różne odmiany socjalizmu

Narodowa Demokracja

Ludowcy

Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ TRZECI

NARÓD CZY REWOLUCJA? 1914–1922

PPS i endecja

Polska rewolucja

Wojna polsko-bolszewicka

Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ CZWARTY

MIĘDZY DEMOKRACJĄ A AUTORYTARYZMEM, 1922–1939

Państwo narodowe versus państwo obywatelskie

Zamach majowy

Sanacja

Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ PIĄTY

HIPERINFLACJA I KRYZYS

Różnice regionalne

Wielka inflacja

Wielki kryzys
Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ SZÓSTY
ŻYDZI, UKRAIŃCY I INNI POLACY
Żydowscy Polacy i polscy Żydzi
Ukraińcy
Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ SIÓDMY
DRUGA WOJNA ŚWIATOWA, 1939–1945
Kampania wrześniowa
Okupacja i terror
Opór
Sporna pamięć
Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ ÓSMY
PODBÓJ CZY REWOLUCJA? 1945–1956
Stawka ideologiczna
Polityka władzy i początek zimnej wojny, 1944–1948
Doświadczenie stalinizmu
Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROK 1956 I ROZWÓJ KOMUNIZMU NARODOWEGO
Odwilż Gomułki
„Polska droga" Gomułki
Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
KOMUNIZM I KONSUMPCJONIZM
Narodziny komunistycznego konsumenta
Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ JEDENASTY
KONIEC PRL, 1976–1989
Bunt i opozycja

„Solidarność”
Rok 1989
Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ DWUNASTY
TERAPIA SZOKOWA
Literatura uzupełniająca

ROZDZIAŁ TRZYNASTY
III RP
Literatura uzupełniająca

POSŁOWIE

WSTĘP

Brytyjski pisarz Douglas Adams w *Restauracji na końcu wszechświata* (która jest prawdziwym arcydziełem fantastyki humorystycznej) opisuje doskonałe narzędzie tortur, wir całkowitego zrozumienia:

> Człowiek, który wynalazł wir całkowitego zrozumienia, zrobił to w zasadzie tylko dlatego, że chciał zagrać żonie na nerwach.
> Trin Tragula – bo tak się nazywał – był marzycielem, myślicielem, lubiącym abstrakcyjne i teoretyczne dociekania filozofem czy – jak wyraziłaby to jego żona – przygłupem. [...]
> – Zacznij nareszcie odróżniać, co jest ważne, a co nie! – powtarzała bez przerwy, czasem nie mniej niż trzydzieści osiem razy w ciągu dnia. Tak więc zbudował wir całkowitego zrozumienia – żeby jej pokazać [...].... Kiedy włączył wir, w jednej chwili ujrzała nieskończoność stworzenia oraz – we właściwej skali – siebie.
> Trin Tragula był przerażony, wstrząs bowiem unicestwił jej umysł, ku swemu zadowoleniu stwierdził jednak, iż przekonująco udowodnił, że jeżeli życie chce istnieć we wszechświecie o tak wielkich roz-

> miarach, nie może pozwolić sobie na luksus odróżniania, co jest ważne, a co nie[1].

1 Douglas Adams, *Restauracja na końcu wszechświata*, przeł. Paweł Wieczorek, Zysk i S-ka, Poznań 1994, s. 75–76.

Książka, którą bierzesz do ręki, jest czymś w rodzaju wiru całkowitego zrozumienia historii Polski, choć oczywiście nie jest moim zamiarem torturować czytelników przypominaniem im, jak nieistotni są w skali wszechświata. Chciałbym raczej umieścić Polskę w najszerszym możliwym kontekście, tak by pokazać, w jaki sposób przeszłość tego konkretnego kraju może dostarczać przykładów działania sił, które ukształtowały cały świat nowoczesny. Być może po włączeniu wiru Polska skurczy się do rozmiarów ledwie widocznego punktu, jednak wy, stanąwszy w tym punkcie, zobaczycie cały świat.

Często pytają mnie, dlaczego Amerykanin poświęca swoją karierę badaniu Polski i dlaczego studenci w Stanach Zjednoczonych mieliby się zainteresować zajęciami na ten temat. Ale może ważniejszy niż moja osobista droga jest fakt, że jestem tylko jednym z wielu naukowców, którzy pracują na tym szybko rozszerzającym się polu badawczym. W Ameryce Północnej liczba historyków zajmujących się tematami związanymi z Polską od pewnego czasu stale rośnie[2].

2 American Historical Association Directory of History Dissertations https://bit.ly/32z3tg6. Wykres uwzględnia rozprawy, które w tytule mają słowa „Poland” lub „Polish”.

Akademicki portal internetowy H-Poland, międzynarodowe forum badaczy i badaczek zajmujących się problematyką Polski, ma obecnie 780 członków ze wszystkich kontynentów poza Antarktydą (czekamy, aż speca od Polski zatrudni baza McMurdo). Obrazek wygląda równie dobrze od strony popytu, jak i od strony podaży: zajęcia, które owi profesorowie i profesorki prowadzą, książki, które piszą, cieszą się zainteresowaniem. Na przykład na mój roczny wykład „Polska w świecie współczesnym" zapisuje się zwykle 75–100 studentów[3]. Podobne zajęcia – czy to z historii Polski, czy ogólnie z historii Europy Wschodniej – organizowane są niemal na każdym większym amerykańskim uniwersytecie.

3 W Stanach Zjednoczonych studenci cieszą się sporym zakresem swobody w kształtowaniu własnego programu studiów i mogą wybierać (w obrębie pewnych kategorii) zajęcia, w których chcą uczestniczyć. Studenci spoza wydziału historii muszą przejść kilka kursów historii i nauk społecznych, dlatego zajęcia o Polsce mogą przyciągać studentów z całego uniwersytetu.

Rozprawy doktorskie dotyczące historii Polski, powstałe w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie w latach 1910–2015

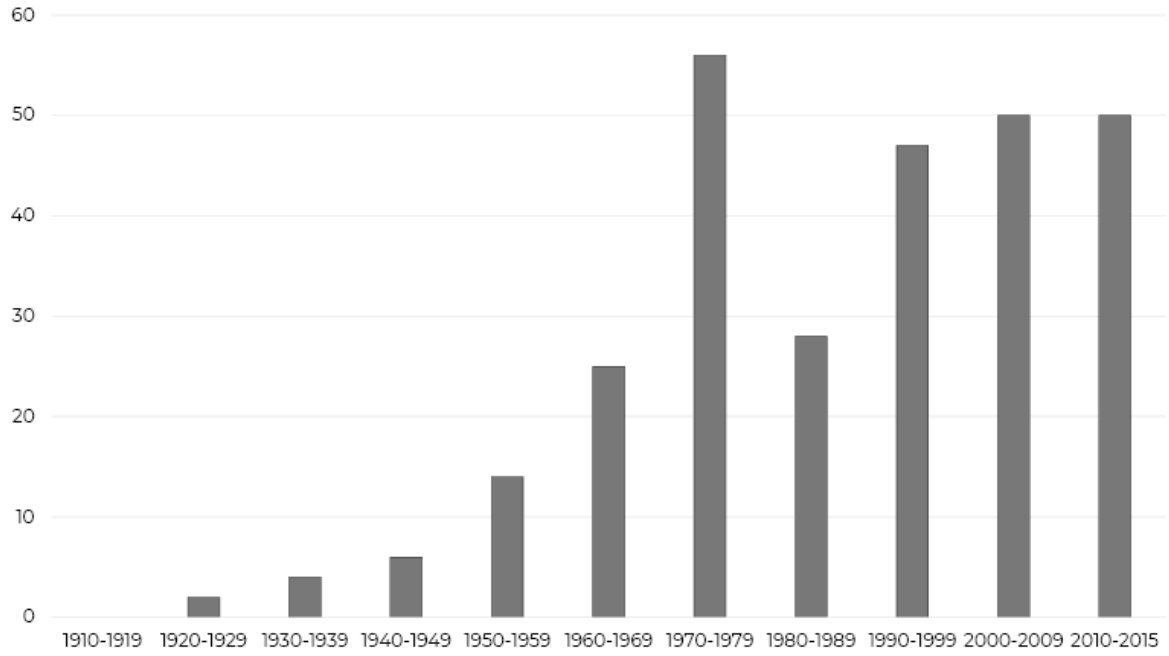

Dlaczego tak wielu Amerykanów interesuje się Polską? Nie chodzi o to, że ten kraj jest jakoś wyjątkowy, studentów nie przyciągają też opowieści o polskim heroizmie i cierpieniu. W wielu innych salach wykładowych mogą usłyszeć o godnych podziwu bohaterach, o wspaniałych osiągnięciach lub o tragicznym ucisku, po cóż więc dodatkowo komplikować sobie życie i uczyć się wszystkich tych trudnych do wymówienia polskich nazwisk? Być może ci studenci mają przodków z Polski i chcą dowiedzieć się czegoś o ich ojczyźnie? To mogłoby być jakieś wyjaśnienie, jednak z moich nieformalnych badań wynika, że zaledwie jedna trzecia moich słuchaczy i słuchaczek deklaruje jakiekolwiek rodzinne powiązania z Polską. Głównym powodem, dla którego, jak mi się wydaje,

jestem w stanie przyciągnąć tak duże grono, jest sposób, w jaki przedstawiam temat: nie jako studium obcej krainy o dziwacznej historii, ale jako okazję do poznania kraju, który znajdował się na styku wszystkich trendów charakteryzujących świat nowoczesny. Nietrudno przekonać amerykańskich studentów, że Polska ma związek z ich życiem, ponieważ jej historia pozwala naświetlić bardzo wiele znajomych tematów z nieco odmiennej (a bardzo odkrywczej) perspektywy. Uważam Polskę za naprawdę interesującą, jednak bynajmniej nie dlatego, że jest krajem niezwykłym, ale właśnie dlatego, że jest tak bardzo zwyczajna.

W ciągu ostatnich piętnastu lat w anglojęzycznych badaniach nad Polską pojawiło się przesunięcie tektoniczne: odchodzimy od opowieści o męczeństwie, o doniosłych zmaganiach politycznych i ucisku, rozwijają się natomiast badania nad życiem codziennym zwykłych Polaków. Być może ten trend jest robieniem z konieczności cnoty, w tym sensie, że jeśli mieszkasz w USA i chcesz pisać o Polsce, to możesz przyciągnąć odbiorców tylko pod warunkiem, że twoja praca będzie miała dla nich znaczenie. Nie jest to jednak trudne do zrobienia, a powstające w rezultacie książki spotykają się w USA z zainteresowaniem, ponieważ w dosłownym sensie *oswajają* Amerykanów z przeszłością Polski – to znaczy pokazują, jak coś, co wydaje się odległe i obce, może się w rzeczywistości okazać zdumiewająco *swojskie*.

W niniejszej książce chcę odwrócić ten obraz i pokazać polskim czytelniczkom i czytelnikom wizerunek ich kraju, pojawiający się, gdy spoglądamy z perspektywy globalnej. Nie jest

to po prostu perspektywa jednego konkretnego Amerykanina, nawet jeśli pod wieloma względami ta książka ma bardzo osobisty charakter i odzwierciedla moje poglądy i zainteresowania. Większe znaczenie ma to, że będę wprowadzał idee, interpretacje i analizy znacznej liczby doskonałych badaczy, najczęściej wykształconych w Stanach, ale pochodzących z różnych stron świata i zawsze starających się patrzeć na Polskę w szerokim kontekście[4]. Na końcu każdego rozdziału proponuję dalsze lektury, dzięki którym czytelnicy będą mogli zobaczyć, jak bogaty i zróżnicowany stał się obszar badań nad Polską rozciągający się o wiele dalej i szerzej niż tych kilkoro anglojęzycznych autorów, których polski odbiorca miał już okazję poznać[5]. Nie trzeba dodawać, że korzystam także obficie z polskojęzycznych badań i nie zamierzam ani przez chwilę sugerować, jakoby historycy po drugiej stronie Atlantyku w czymkolwiek przewyższali tych z Polski. Z pewnością nie! Jednak ci z nas, którzy pracują za granicą, muszą być zaznajomieni z tym, co pisze się tu, w Polsce, podczas gdy nie jestem pewien, czy dotychczas działało to tak samo w drugą stronę. Pamiętając o tym, mam zarazem nadzieję, że dzięki niniejszej książce choć trochę wyrównam szale. Dlatego moim celem jest coś wręcz przeciwnego niż to, co staram się osiągnąć, kiedy jestem u siebie: tu i teraz chciałbym bowiem, żeby Polska, o której piszę, wydała się polskim czytelnikom *mniej swojska*, ponieważ to właśnie jest pierwszy krok do ustalenia jej pozycji w wirze całkowitego zrozumienia.

4 Na przykład wśród doktorantów, którzy na moim uniwersytecie obronili w ostatnich latach prace na temat Polski, mamy antropologa historycznego

z Korei i historyczkę z Puerto Rico. Żadne z nich nie miało związków z Polską, zanim zaczęli zajmować się nią na studiach (patrz: Dong Ju Kim, *Taking Better Care of the Fields: Knowledge Politics of Sugar Beet, Soil, and Agriculture After Socialism in Western Poland*, University of Michigan dissertation, 2012; Lenny Ureña, *The Stakes of Empire: Colonial Fantasies, Civilizing Agendas, And Biopolitics in the Prussian-Polish Provinces (1840–1914)*, University of Michigan dissertation, 2010).

5 Niestety jak dotąd zaledwie drobna część tych prac została przetłumaczona na polski, mam jednak nadzieję, że sytuacja zaczyna się zmieniać. Ostatnio na przykład przetłumaczono prace dwojga z najważniejszych pracujących w Stanach specjalistów: Małgorzata Fidelis, *Kobiety, komunizm i industrializacja w powojennej Polsce*, przeł. Maria Jaszczurowska, WAB, Warszawa 2015; Padraic Kenney, *Budowanie Polski Ludowej. Robotnicy a komuniści 1945–1950*, przeł. Anna Dzierzgowska, WAB, Warszawa 2015. Książka Kenneya po angielsku ukazała się w 1997 roku.

Ogólny zarys historii będzie polskim czytelnikom dobrze znany, podejrzewam jednak, że mogą być zaskoczeni tym, jak wygląda rzeczywistość obserwowana z nowego punktu. Pierwszą wersję tej książki napisałem dla anglojęzycznych odbiorców po to, by przedstawić im ogólny zarys dziejów Polski w XX i XXI wieku. W tamtym wydaniu musiałem zakładać niemal zupełny brak uprzedniej wiedzy, jako że nawet względnie dobrze wykształceni angielscy i amerykańscy czytelnicy wiedzą, kim był Jan Paweł II i może Lech Wałęsa, zdają sobie sprawę z tego, że istniał kiedyś ruch zwany „Solidarnością" i że Polska doświadczyła wielu okropieństw w czasie drugiej wojny światowej. I tyle. W niniejszej wersji tekstu zamierzam rzecz jasna założyć, że podstawy są nieco bardziej solidne, zwłaszcza jeśli idzie o najważniejsze nazwiska i daty, postanowiłem jednak zachować w znacznej mierze strukturę i treść bez zmian. Bez wątpienia część czytających zdążyła już zapomnieć, co mówiono im na lekcjach historii, więc pewne

odświeżenie może się przydać. Co ważniejsze, jako historyk zostałem wyszkolony do tego, by wychodzić od opowieści i na nich opierać rozumowanie. W niniejszej książce korzystam z opowieści, które większości polskich czytelników mogą wydawać się złudnie znajome, ale których elementy zostaną ułożone w dość niespodziewany sposób, na odmiennych podstawach pojęciowych i z nieoczekiwanymi konsekwencjami. Jeśli więc nawet niektóre fragmenty książki początkowo zdają się zaledwie streszczać to, co zna się skądinąd, cierpliwości: zazwyczaj wkrótce nastąpi zwrot akcji.

W najszerszym sensie moje rozumowanie opiera się na dwóch podstawowych twierdzeniach: 1) że ani istnienia, ani znaczenia polskiego *narodu* nie możemy uznać za oczywisty przedmiot naszej opowieści i 2) że ludu, który badamy, nie trzeba *koniecznie* umieszczać *jedynie* w kontekście historii Europy ani tym bardziej jedynie w kontekście wschodnich peryferii kontynentu.

Dookreślić temat niniejszej książki mogę tylko w sposób bardzo mało precyzyjny: jest to opowieść o niezbyt dokładnie określonym obszarze w północno-wschodniej Europie w ciągu ostatnich kilkuset lat i o ludziach, którzy tam żyją. W Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych powszechnie określa się ów obszar (i tych ludzi) jako „zacofany" – i albo wychwala się jego uroczą prostotę, albo potępia ksenofobię i skłonność do zabobonów. Takie wyobrażenia są w najlepszym wypadku grubą przesadą, w najgorszym – aroganckim afrontem. Potrafię zrozumieć, czemu Polacy nie chcą, by zaliczano ich do „Europy Wschodniej", przy czym chodzi tu nie

tyle o kwestię geograficznej poprawności (zwyczajowa definicja, zgodnie z którą wschodnia granica Europy znajduje się na Uralu, jest całkowicie arbitralna), ile o zadawniony nawyk łączenia przymiotnika „zachodnia" z rzeczownikiem „cywilizacja" i zakładania, że im dalej na wschód, tym życie staje się bardziej barbarzyńskie[6]. Jest coś niepokojącego w gwałtowności, z jaką zaprzecza się, iżby Polska należała do Europy Wschodniej – domniemana obraza wynika bowiem z uprzedniego przyjęcia geograficznych stereotypów. Zamiast bawić się w słowne gierki z geograficznym opisem Polski, wolałbym zatem porzucić całą koncepcję podziału Europy na „postępowy" Zachód i „niecywilizowany" Wschód. Niekiedy posługuję się zwrotem „Europa północno-wschodnia" po prostu po to, by móc poczynić banalną obserwację, że większość Europejczyków, chcąc odwiedzić Polskę, musi kierować się w tym właśnie kierunku.

6 Ideologiczny bagaż, jakim obciążona jest kategoria „Wschodu", znakomicie opisał Edward Said w książce *Orientalizm*, przeł. Monika Wyrwas-Wiśniewska, Zysk i S-ka, Poznań 2005. Sposób, w jaki kategoria ta została wykorzystana w pojęciu „Europy Wschodniej", wyjaśnia Larry Wolff w *Inventing Eastern Europe: The Map of Civilization on the Mind of the Enlightenment*, Stanford University Press, Stanford 1994.

Ów nie dość jasno zdefiniowany region nie jest bardzo zamożny, ale jak na standardy światowe nie jest też szczególnie biedny. Interesujący jest kontrast między tym, jak nas, Amerykanów, uczy się postrzegać naszą pozycję w świecie, a tym, jak podobna nauka przebiega w Polsce. W obydwu przypadkach powstają zniekształcenia, tyle że działające w sposób

dokładnie przeciwstawny. Amerykanie chętnie wyrażają dumę ze swego kraju, powtarzając, jak wspaniale jest móc otwarcie krytykować rząd, wyznawać dowolną wiarę i wedle własnej woli wybierać drogę kariery. Podczas świąt państwowych oddajemy cześć naszym żołnierzom za to, że „stoją na straży naszych swobód" – klisza, która odwołuje się nie do obrony niepodległości państwa, ale do pakietu indywidualnych praw obywatelskich. Nawet jeśli zapomnimy o fakcie, że całe segmenty naszej populacji (przede wszystkim Afroamerykanie) uzyskały prawa niedawno i bynajmniej nie w pełni, nadal pozostaje zastanawiające, że z taką dumą podkreślamy kwestie generalnie dość oczywiste i powszechne w tak zwanym pierwszym świecie. Innymi słowy, wpaja się nam, że jesteśmy wyjątkowi, ponieważ Saudyjczycy, Chińczycy, mieszkańcy Korei Północnej, Iranu i jeszcze kilku państw nie cieszą się tymi samymi swobodami co my. O ile jednak Amerykanie, konstruując swoją samoidentyfikację, pieczołowicie *nie* patrzą na Europę, o tyle Polacy mają skłonność do patrzenia *jedynie* na nią. „Nie żyjemy w normalnym kraju" – brzmi jedna ze skarg najczęściej powtarzanych przez Polaków. A przecież jeśli przypomnimy sobie, że „normalny" jest synonimem „zwyczajny" czy „przeciętny", staje się jasne, że Polska jest całkiem normalna. Jedyny zestaw porównawczy, na którego tle Polska wypada blado, to ten, z którego wykluczono niemal cały świat poza Europą i USA (a także sporo miejsc w samej Europie). Według Wskaźnika Rozwoju Społecznego, wykorzystywanego przez ONZ, w którym połączono takie czynniki jak bogactwo, zdrowie i edukacja, Polska została umieszczona na

27. miejscu pośród 188 państw (jeśli brać pod uwagę nierówności), czyli o jedno oczko *wyżej* niż Stany Zjednoczone. Ujmując rzecz inaczej, 85 procent populacji świata (w tym wielu Amerykanów) mogłoby poprawić jakość swojego życia, gdyby mogli zamienić się miejscami z przeciętnym Polakiem. Te statystyki z pewnością zaskoczą wielu czytelników, ale dobrze ilustrują moja ogólną tezę: Polacy wiodą życie „nienormalne" w tym znaczeniu, że wiedzie im się lepiej niż większości ludzi na świecie. Przewidywana długość życia w Polsce to 78,5 roku, o wiele więcej niż globalna średnia (72,6), za to nieco mniej, niż wynosi średnia w szczególnie długowiecznych społeczeństwach (ponad 80 lat). Z dochodem na mieszkańca, wynoszącym 27 626 dolarów rocznie współcześni Polacy zajmują 41. miejsce na świecie. Daleko im od wyjątkowego bogactwa Katarczyków, Singapurczyków czy Norwegów, ale są też znacznie powyżej globalnej średniej: 15 745 dolarów[7].

7 Dane pochodzą z: *Human Development Report 2019*, United Nations Development Programme, New York 2019. Raport jest dostępny na: http://hdr.undp.org/en/2019-report.

Im głębiej sięgamy w przeszłość, tym trudniej z dużą dokładnością porównywać pozycję ludzi, którzy nazywają siebie Polakami, z innymi społeczeństwami, jednak w najogólniejszym zarysie obraz wygląda zawsze podobnie: większość z nich miała się lepiej niż większość ludzi na świecie, ale gorzej niż ich współcześni w Ameryce Północnej i północno-zachodniej Europie. Na przykład w 1925 roku średni dochód na osobę w Polsce odpowiadał 3221 dolarom, z uwzględnieniem

inflacji. Nie ma porównania ze Stanami Zjednoczonymi (9582 dolary), Niemcami (5542 dolary) czy Francją (5578 dolarów), dużo lepiej jednak wypada Polska na tle ówczesnych Brazylii (960 dolarów), Nigerii (918) czy Chin (954)[8]. Uprzemysłowienie i urbanizacja rozpoczęły się w Europie północno-wschodniej jakieś pół wieku później niż w Wielkiej Brytanii czy USA, a mimo to w regionie rozciągającym się od Warszawy na południe i zachód w kierunku Śląska pojawiły się znaczących rozmiarów wyspy nowoczesnego rozwoju, które zwłaszcza w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku prosperowały znakomicie (i nie mówimy tu jedynie o Łodzi, Reymontowskiej Ziemi Obiecanej). Punkt krytyczny – moment, w którym więcej ludzi pracuje w przemyśle niż w rolnictwie – Polska osiągnęła krótko po drugiej wojnie światowej, czyli sto lat później niż Anglia, ale kilkadziesiąt lat wcześniej niż świat poza obszarem północnoatlantyckim.

8 Mattias Lindgren, *Gapminder*, www.gapminder.org/downloads/documentation/gd001. Liczby oparte są na PKB per capita i wyrażone za pomocą „parytetu siły nabywczej", z uwzględnieniem inflacji.

Jeśli idzie o politykę, w XIX wieku Polacy generalnie mieli niewiele lub zgoła nic do gadania w kwestii tego, kto i jak nimi rządzi. Częściowo rzecz jasna dlatego, że między 1795 a 1918 rokiem autentyczna polska państwowość nie istniała. Nie to było jednak najważniejszym powodem. W rzeczywistości większość Polaków (poza elitą) została w XIX wieku odcięta od uczestnictwa w polityce dokładnie z tego samego powodu, dla którego w tym okresie większość ludzi w ogóle była

pozbawiona praw. W 1914 roku zaledwie około 20 procent populacji świata mieszkało w krajach, które mogły zasadnie uważać się za niepodległe – większość ludzkości żyła w koloniach lub w krajach cieszących się zaledwie nominalną suwerennością[9]. Co więcej, zdecydowana większość obywateli (jeśli możemy użyć tego słowa) imperialnych metropolii była dokładnie *tak samo* pozbawiona autentycznej samorządności jak współcześni im Polacy. W XIX wieku kobiety w żadnym kraju nie mogły głosować ani w żaden inny sposób uczestniczyć oficjalnie w życiu politycznym i nawet przyznanie prawa głosu wszystkim dorosłym mężczyznom (niezależnie od stanu posiadania lub wykształcenia) wciąż niemal wszędzie uważano za posunięcie nazbyt radykalne. Polski szlachcic, uskarżający się w 1850 roku na brak wolności, raczej nie mógłby liczyć na zrozumienie i poparcie amerykańskiego niewolnika, chińskiego chłopa czy robotnika z jakiejkolwiek nowoczesnej europejskiej fabryki. Zresztą, by nie szukać daleko: wystarczająco wiele wysiłku kosztowało polską szlachtę wyjaśnianie swoich pretensji chłopom, którzy tu, w północno-wschodniej Europie, mieli jeszcze świeżo w pamięci niedawne poddaństwo.

9 *The Anchor Atlas of World History*, vol. 2, Anchor Press, New York, s. 98.

W XX wieku warunki się poprawiły, jednak tylko nieznacznie. Nawet jeśli rok 1918 przyniósł Polsce możliwość wybrania własnego rządu i dynamiczny rozwój prasy (skądinąd poddanej cenzurze), powszechna korupcja, a później zamach stanu przeprowadzony w 1926 roku przez Piłsudskiego skutecznie

ograniczały demokrację. Rzecz jasna, po drugiej wojnie światowej polskie społeczeństwo miało jeszcze mniej swobód politycznych. Znów jednak, jeśli spojrzymy z perspektywy globalnej, nie ma w tym nic niezwykłego. Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej był autorytarny i działał brutalnie, jednak w tym samym czasie większość rządów w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej było bez porównania gorszych. Nawet Europę Zachodnią i Stany Zjednoczone z okresu zimnej wojny trudno uznać za nieskazitelnie demokracje. Po upadku realnego socjalizmu w 1989 roku państwo polskie dopasowało się do demokratycznych norm zachodnioeuropejskich sąsiadów, a choć borykało się nadal z problemami (i to licznymi), nie różniły się one zbytnio od problemów pozostałych państw kapitalistycznych, w których funkcjonują rządy przedstawicielskie. Jeśli chodzi o uzyskiwanie praw obywatelskich, Polacy i Polki idą krętą drogą (i niekiedy się cofają), przez większość czasu jednak nie mieli ani zdecydowanie mniej, ani zdecydowanie więcej mocy sprawczej niż większość ludzkiej braci. Okres nazistowskiej okupacji, czas, w którym Polska i jej mieszkańcy doświadczyli bez wątpienia prawdziwej tragedii, był okresem wyjątkowym, na którego tle tym wyraźniej widać ogólną tendencję.

Polska jest częścią Europy – nie tylko w oczywistym sensie geograficznym, ale także w kategoriach modeli życia, norm kulturowych, religii, wzorców ekonomicznych i tendencji politycznych. A przecież pod wieloma względami lepiej zrozumiemy historię Polski, jeśli będziemy szukać materiału porównawczego poza owym szczęśliwym kontynentem. Nieza-

leżnie od tego, czy chcemy przyjrzeć się koniunkturze gospodarczej, rozwojowi kultury czy wolności politycznej, mieszkańcy Europy północno-wschodniej nieustannie wypadają gorzej niż najbardziej uprzywilejowani, ale i tak zawsze są powyżej normy globalnej. Nie należą do klubu potęg imperialnych, które w ostatnich kilku stuleciach zdominowały świat, nie całkiem też jednak pasują do kategorii skolonizowanych. Znajdują się wśród najsłabszych z najpotężniejszych i najpotężniejszych ze słabych, wśród najuboższych z bogatych i najbogatszych z biednych. I właśnie z uwagi na to „środkowe" położenie Polska jest tak użyteczną soczewką dla wszystkich, którzy pragną zobaczyć szersze tendencje i cechy charakterystyczne nowoczesnego świata.

Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że moje podejście diametralnie różni się od dominującego sposobu, w jaki historii Polski uczy się w szkołach, opisuje się ją w mediach, przedstawia w udramatyzowanej formie w filmach i powieściach, upamiętnia na pomnikach. W chwili, gdy piszę te słowa, w roku 2020, oficjalna rządowa *polityka historyczna* i sposób, w jaki ja rozumiem przeszłość kraju, rozjeżdżają się coraz bardziej, a przecież rozjeżdżały się, na długo zanim Prawo i Sprawiedliwość odniosło sukces. Polska historia, tak jak się ją zwyczajowo przedstawia, to marsz z jednego pola bitwy na drugie, z jednej opresji w drugą, od masakry do masakry, z Polską jako nieuchronną zbiorową ofiarą. Taka historia wytwarza narodową martyrologię – wyniesienie całej wspólnoty do roli uświęconej męczennicy. W ramach tego żałobnego światopoglądu podać w wątpliwość działania jakiegokolwiek

Polaka oznacza podać w wątpliwość Polskę jako taką, zważywszy że jedynie cnotliwym cierpiętnikom wolno reprezentować całość. Skonfrontowani z historiami, w których Polacy robią coś złego, obrońcy martyrologicznej wizji będą przekonywać, że albo złoczyńca nie mógł być prawdziwym Polakiem, albo historyk kłamie. Co gorsza, przy takim podejściu do historii nie ma miejsca na narrację o życiu codziennym, wolnym od ucisku i oporu. W obowiązującej wersji historii prawdziwym Polakiem można być jedynie, gdy się jest bohaterem lub ofiarą (albo jednym i drugim).

Nie mam zamiaru w żaden sposób umniejszać bólu i cierpienia, których doświadczyli mieszkańcy Polski w epoce nowożytnej, i zawsze podkreślam, że w pewnych momentach (zwłaszcza podczas drugiej wojny światowej) wycierpieli więcej niż większość innych. Chciałbym jednak także przypomnieć czytelniczkom i czytelnikom, że narody nie mogą cierpieć – cierpią zawsze ludzie. Choć w tytule niniejszej książki pojawia się określenie „historia Polski", czytelnicy nie powinni spodziewać się opowieści, w której główną rolę gra zbiorowy aktor imieniem „Polska". To nie jest opowieść o tym, w jaki sposób Polska osiągnęła to czy tamto, jak Polska znosiła taką czy inną niesprawiedliwość ani jak Polska żeglowała po wzburzonym morzu XX wieku. Jest to natomiast opowieść o konkretnych ludzkich istotach – dobrych i złych, zamożnych i biednych, szczęśliwych i nieszczęśliwych, odnoszących sukcesy i ponoszących klęski. Większość z nich (ale w żadnym razie nie wszyscy) nazywała siebie Polakami, a terytorium, na którym żyli, nazywano zazwyczaj (choć nie za-

wsze) Polską. Ta książka stara się pokazać, że „polskość" jest niezwykle trudną do uchwycenia kategorią tożsamości: ludzie ją przyjmują, odrzucają, redefiniują, spierają się o nią i wykorzystują w każdym możliwym do pomyślenia celu. Pisanie historii „Polski" jest zadaniem skomplikowanym, ponieważ nie ma – i być nie może – żadnej powszechnie uznawanej definicji tego, kto jest Polakiem ani gdzie dokładnie Polska się znajduje. Temat niniejszej książki jest frustrująco ulotny, nie bardziej jednak, niż byłby temat zwany „Niemcy", „Chiny" czy „Brazylia". Jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczymy się dzięki perspektywie globalnej, jest to, że naród to pojęcie pozbawione spójności, przedmiot historycznych sporów, sam w sobie jednak nie stanowi podmiotu dziejów. Polska nie jest ani zbiorową męczennicą, ani zbiorowym czarnym charakterem. Polska to grupa ludzi, którzy byli zmuszeni przez ostatnich kilka wieków zrozumieć zmieniający się świat, i właśnie te ich wysiłki są tematem mojej książki.

Uwaga o przypisach

Jako historyk zostałem nauczony dodawania całej masy przypisów, zdaję sobie jednak sprawę z tego, że dla większości czytelniczek i czytelników spoza środowiska naukowego mogłoby to być uciążliwe i nudne. Starałem się tu wypracować pewien złoty środek, wykorzystując coś, co nazywam „testem Wikipedii". Jeśli dana informacja (wydarzenie, znana postać, data, anegdota...) jest na tyle znana, że w Wikipedii podaje się

ją bez odnośnika, nie wahałem się ją przytaczać. Jeśli natomiast jakieś informacje pojawiają się dzięki konkretnym badaniom przeprowadzonym przez specjalistę w danej dziedzinie, dawałem przypis. Dotyczy to przede wszystkim danych statystycznych i cytatów. Robiłem przypisy także wówczas, gdy warto było podać przykład sporu naukowego, do którego w danym momencie się odnosiłem (niezależnie od tego, po której stronie stawałem), tu jednak narzucałem sobie ostrzejsze ograniczenia, niż gdybym pisał artykuł naukowy. Niniejsza książka jest oparta na naukowych dyskusjach, nie jest jednak książką polemiczną. Innymi słowy, proponuję pewną perspektywę, która może niekiedy różnić się od tego, co napisali inni badacze, a bardzo często od tego, co można znaleźć w podręcznikach do historii, nie chcę jednak, żeby te różnice zdań przyjmowały postać osobistych sporów między mną a profesorem X.

Jeśli idzie o nowatorskie interpretacje, z którymi się zgadzam, staram się zawsze powołać na nazwisko autora. Gdy jakąś argumentację zaczerpnąłem od konkretnej osoby, wówczas zobaczycie przypis. Często analizy prezentowane w tej książce są rezultatem skumulowanej pracy wielu badaczy i właśnie stąd bierze się dział *Literatura uzupełniająca* umieszczony na końcu każdej części, co wydało mi się rozwiązaniem wygodniejszym niż rozbudowane przypisy bibliograficzne. I wreszcie, ilekroć to możliwe, staram się wskazywać odniesienia do materiałów źródłowych dostępnych w internecie. Wszystkie adresy internetowe zostały sprawdzone w lipcu 2020 roku. Jednym z największych osiągnięć ostatnich lat jest

digitalizacja zasobów archiwalnych. Ułatwiła ona pracę historyków, umożliwiając nam (i co ważniejsze – wam, czytelniczki i czytelnicy) sięgnięcie bezpośrednio do tekstów oryginalnych, z pominięciem niewygód związanych z korzystaniem z archiwów czy wielkich bibliotek. Chciałbym zachęcać do takiej praktyki, dokumenty historyczne są bowiem o wiele ciekawsze niż wszystko, co ja mógłbym napisać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

POLACY BEZ POLSKI, 1795–1918

Między rokiem 1795 a 1918 oddzielna, niepodległa Polska nie istniała na mapach świata. To zdanie może brzmieć, jak gdyby opisywało prosty fakt historyczny, w rzeczywistości jednak kryje się za nim wiele problemów, które sprawiają, że tak trudno opowiada się dzieje północno-wschodniej Europy w XIX wieku. Po pierwsze i przede wszystkim, musimy sobie zadać pytanie, co to naprawdę znaczy, że „Polska nie istniała".

Ani rozbiory, które położyły kres pierwszej Rzeczypospolitej, ani wcześniejszy długi okres ograniczonej suwerenności, trwający przez cały niemal wiek XVIII, nie były wydarzeniami nadzwyczajnymi. W epoce nowożytnej dość powszechnym zjawiskiem było to, że elity jednego państwa mieszały się w wewnętrzne sprawy innego. W latach 1740–1748 chociażby mocarstwa europejskie stoczyły wojnę, której przedmiotem było następstwo tronu w Austrii, przy czym większość dyplomatów uważała, że walczące strony mają uzasadnione powody, by się w tę wojnę angażować. Rzeczpospolita była przedmiotem różnego rodzaju ingerencji na długo przed rozbiorami. W latach 1733–1735 w tak zwanej wojnie sukcesyjnej polskiej Francja i Hiszpania stanęły naprzeciw Rosji, Austrii, Saksonii i Prus, przy czym każda koalicja walczyła o umiesz-

czenie na polskim tronie swojego kandydata. Podobne przykłady można by mnożyć, cofając się o kolejne stulecia. Zasada nieingerencji nigdy nie istniała.

Nie było także niczym niespotykanym to, że jakieś państwo znika z mapy. Właściwie w dowolnym momencie historii Europy możemy wskazać dziesiątki bytów politycznych, które dziś już nie istnieją; niemal żadna z dzisiejszych granic nie przebiega tak samo jak w przeszłości. W świecie przednowoczesnym państwa pojawiały się, znikały, łączyły, rozdzielały i zmieniały kształt z oszałamiającą częstotliwością. Niewiele znajdzie się dziś osób, które by żałowały utraty niepodległości przez (na przykład) Burgundię, Aragonię czy Gwynedd, a przecież każde z nich przez stulecia było niepodległym państwem, dopóki nie zostało podbite i wchłonięte przez silniejszego sąsiada. Przykłady spoza samej Europy są jeszcze wymowniejsze. Zanim doszło do rozbiorów Polski, potęgom kolonialnym już udało się zniszczyć skutecznie *wszystkie* wspólnoty polityczne na półkuli zachodniej, a w XIX wieku te same potęgi miały podzielić między siebie cały kontynent afrykański. Nawet sformalizowane traktaty zatwierdzające dokonane rozbiory nie były niczym niezwykłym: od traktatu z Tordesillas z 1494 roku, poprzez konferencję berlińską z 1885 i podział Afryki, po układy jałtańskie z 1945, ci, którzy mieli władzę, radośnie rozgrywali między sobą kartografię, rysując i przerysowując mapę polityczną. Innymi słowy, rozbiory Polski nie stanowiły ani aberracji, ani aktu bezprecedensowej niesprawiedliwości: były jedynie większym i nieco bardziej dramatycznym przykładem zwykłego obrotu spraw

w wielkiej polityce międzynarodowej. Stanowiły, jeśli można tak powiedzieć, akt precedensowej niesprawiedliwości.

Skoro jednak rozbiory pierwszej Rzeczypospolitej były zwyczajnym wydarzeniem, czemu wciąż o nich pamiętamy? Przy czym „my" nie znaczy tutaj „my, historycy zainteresowani dziejami Europy Wschodniej". W praktycznie każdym poważniejszym anglojęzycznym podręczniku uniwersyteckim poświęconym historii Europy (a także w całkiem licznych podręcznikach licealnych) omawia się rozbiory Polski. Jeśli historia rozbiorów nabrała znaczenia, to znaczenie to tylko po części daje się wytłumaczyć wydarzeniami lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku. W większym stopniu chodzi o coś, co rozwijało się powoli w ciągu kolejnego stulecia: o powstanie polskiego ruchu narodowego i, w praktyce, stworzenie polskiego narodu.

Wiele czytelniczek i czytelników może uznać za dziwaczne twierdzenie, że naród polski narodził się po rozbiorach. Czyż nie jest rzeczą powszechnie wiadomą, że historia Polski zaczyna się wraz z chrztem Mieszka w 966 roku? No cóż, tak, z X wieku pochodzą najstarsze zachowane świadectwa istnienia czegoś z grubsza przypominającego późniejsze państwo polskie, wiemy też, że lud posługujący się prasłowiańskim narzeczem, które przypominało późniejszy język staropolski, żył w tym miejscu już od pewnego czasu. Nawet jednak jeśli odłożymy na bok anachroniczność nazywania domeny Mieszka „Polską" i nawet jeśli zignorujemy przeskoki, konieczne, by wytyczyć prostą linię między światem średniowiecznym a epoką nowożytną (nie mówiąc już o czasach

współczesnych), wciąż pozostaje kwestia podstawowa: bytem, który został zniszczony w 1795 roku, nie była Polska, ale Rzeczpospolita szlachecka, państwo polsko-litewskie. Chodzi tu o coś więcej niż o różnicę w technicznym nazewnictwie. Pierwsza Rzeczpospolita ma się do dzisiejszej Polski tak jak my do australopiteków: bez wątpienia jest z nią związana pochodzeniem i kilkoma wspólnymi cechami, zarazem jednak jest jaskrawo odmienna pod każdym istotnym względem. Mamy skłonność do traktowania Rzeczypospolitej sprzed 1795 roku, jak gdyby była zaledwie wcześniejszym wcieleniem ponadhistorycznego bytu zwanego „Polską". Mówimy na przykład, że w 1918 roku doszło do „odzyskania" niepodległości, a państwo, które w wyniku tego powstało, nazywamy Drugą Rzecząpospolitą. Nawet zawodowi historycy zapominają się czasem i mówią o „rozbiorach Polski" zamiast (choć przyznaję, że brzmi to gorzej) o rozbiorach Rzeczypospolitej, państwa polsko-litewskiego. Gdybyśmy chcieli być precyzyjni, powiedzielibyśmy, że Rzeczpospolita została zniszczona w 1795 roku, 123 lata później zaś powstało kilka nowych państw – wśród nich Polska. „Druga Rzeczpospolita" odwoływała się do pamięci i symboliki Pierwszej, była jednak państwem zupełnie innego rodzaju.

Żeby dobrze zrozumieć niniejszy wywód, powinniśmy zrobić krok wstecz i zastanowić się nad znaczeniem słowa, które bardzo często traktujemy jako coś oczywistego: naród. Nie ma jednej, zawsze niezawodnej definicji tego pojęcia, ponieważ różni ludzie w różnych czasach i miejscach rozumieli je w odmienny sposób. Czy wspólnotę narodową definiuje wspólny

język? Wspólna religia? Dziedzictwo biologiczne? Historia związków politycznych? Czy wspólnota narodowa może być wewnętrznie zróżnicowana i podlegać nieustającym zmianom w miarę upływu czasu, czy też wymaga kulturowej jednorodności i ciągłości, przynajmniej do pewnego stopnia? Czy wspólnota narodowa może istnieć bez państwa albo przynajmniej bez żywego ruchu dążącego do politycznej niepodległości? Wszystkie te kwestie były i są przedmiotem dociekań, wszystkie jednak omijają to, co najistotniejsze, ponieważ opierają się na założeniu, że naród jest jakąś *rzeczą*, która istnieje gdzieś tam w realnym świecie i czeka, aż zostanie dostrzeżona, opisana, zdefiniowana i wyjaśniona. Tak jednak nie jest. Podobnie jak w przypadku innych głównych haseł naszego politycznego słownika (klasa, kasta, stan, rasa i tak dalej), naród można najlepiej zrozumieć, wyobrażając go sobie jako skrzynkę, do której różni ludzie nieustająco starają się wkładać różne rzeczy, bez końca walcząc o to, co ma się w niej znajdować, jak powinno zostać ułożone oraz czy pokrywkę należy pozostawić otwartą, czy zamkniętą. Te podstawowe pojęcia zawsze są przedmiotem walk i sporów: są retorycznymi tworami, których ludzie używają, kiedy chcą mówić o sile, przynależności, władzy, dyscyplinie, wspólnocie czy zaangażowaniu. Naród z pewnością *istnieje*, ale tylko tak, jak istnieją inne pojęcia polityczne i społeczne: jako narzędzia językowe, których ludzie używają, żeby nadać światu znaczenie, żeby świat zmieniać i żeby świat kontrolować[1].

1 Rzecz jasna, nie jest to oryginalny sposób opisywania narodu, w istocie odzwierciedla konsensus w środowisku naukowym, budowany od dziesięcioleci. Omó-

wienie badań nad narodami i nacjonalizmem można znaleźć w moim artykule *Podzwonne dla badań nad nacjonalizmem*, [w:] *Naród, tożsamość, kultura. Między koniecznością a wyborem*, red. W. Burszta, K. Jaskułowski i J. Nowak, Slawistyczny Ośrodek Wydawniczy, Warszawa 2005, s. 79–89.

Co za tym idzie, „naród" – podobnie jak inne kategorie związane z tożsamością – nigdy nie jest czymś statycznym. Mamy skłonność do wyobrażania sobie tożsamości jako zestawu cech, które określają, kim jesteśmy, i determinują nasze zachowania. W praktyce jednak każde z nas ma bardzo wiele tożsamości, które przyjmujemy i odkładamy zależnie od okoliczności. Żydowski sklepikarz w Krakowie około 1900 roku, rozmawiając z sąsiadem katolikiem, prawdopodobnie jego nazwałby „Polakiem", a siebie – „Żydem". Gdyby jednak ten sam sklepikarz udał się do Budapesztu odwiedzić kuzyna, odkryłby, że pod wieloma względami jego polskość odróżnia go od węgierskich krewnych. Żeby rzecz jeszcze bardziej skomplikować, nasz sklepikarz miałby zapewne często do czynienia z władzami miejskimi, wobec których występowałby jako kupiec, a jego interesy i potrzeby wchodziłyby niekiedy w konflikt z interesami i potrzebami dostawców oraz klientów, niezależnie od ich języka i wyznania. Po powrocie do domu rozsądzałby spory między dziećmi, przy czym w tym momencie najważniejsza byłaby jego rola ojca. Jego kontakty z żoną kształtowałyby się pod wpływem norm określających role płciowe, bardzo podobnych jak w przypadku jego nieżydowskich sąsiadów. Działacze nacjonalistyczni zawsze chcieli (i chcą nadal) móc poukładać wszystkich w eleganckich, schludnych przegródkach, w których każda osoba otrzyma jedną i tylko jedną dominująca tożsamość, pozostającą nieza-

leżnie od okoliczności podstawowym narzędziem samookreślenia. Inne tożsamości, o ile istnieją, traktowane są jako wtórne wobec tożsamości narodowej. Tyle że w prawdziwym życiu to tak nie działa. Należałoby raczej powiedzieć, że tożsamość jest czymś, co *robimy*, a nie czymś, czym *jesteśmy*. Żadna pojedyncza tożsamość ani przez cały czas, ani nawet przez większość czasu nie opisuje tego, kim jesteśmy. Być może brzmi to jak banał. Kiedy jednak już rzeczywiście uwewnętrznimy naszą wiedzę o tym, że jesteśmy istotami wielowymiarowymi, nieustannie podlegającymi zmianom, wówczas czeka nas gruntowna rewizja sposobu, w jaki opowiadamy sobie o przeszłości.

Podobnie jak wszelkie tego rodzaju narzędzia (i chwyty) retoryczne, pojęcie narodu pozostaje użyteczne tylko dopóty, dopóki potrafisz przekonać innych, by używali go mniej więcej w ten sam sposób. Możesz swobodnie twierdzić, że należysz do narodu drandibiańskiego – możesz nawet twierdzić, że ja też do niego należę – o ile jednak nie przekonasz mnie, że Drandibia istnieje, a także że zasługuje na moją uwagę na tyle, żebym uznał moje wobec niej zobowiązania, pozostaniesz ekscentrykiem. Podobnie rzecz się miała pod koniec XVIII wieku: wielu ludzi uważało wówczas, że ginąca Rzeczpospolita, państwo zreformowane przez Konstytucję 3 maja, państwo Sejmu Wielkiego i złotej wolności jest czymś więcej niż tylko wspólnotą polityczną, czymś więcej niż jedynie reprezentantką interesów szlachty. Twierdzili, że istnieje *naród*, na którym wspiera się owa Rzeczpospolita (i vice versa), z czego z kolei miało wynikać, że państwo powinno służyć in-

teresom narodowym. Jako że elity Rzeczypospolitej mówiły po polsku i jako że Królestwo Polskie było w Rzeczypospolitej składnikiem silniejszym, rzecznicy idei narodowej nazwali obiekt swojej czci „Polską". Nie było jednak bynajmniej przesądzone i pewne, że ta idea się upowszechni. W rzeczywistości pierwsi rzecznicy sprawy narodowej mieli do pokonania poważne przeszkody. Ostatecznie, po prawie stu latach ciężkiej pracy ideologicznej, misjonarzom narodowego światopoglądu udało się przekonać większość (choć bynajmniej nie wszystkich) ludzi w okolicach dorzecza Wisły, że są Polakami, że polskość jest kategorią *polityczną* i że Polska jest czymś, o co wszyscy powinni dbać.

Na wieść o tym, że władcy z dynastii Romanowów, Hohenzollernów i Habsburgów pokroili na kawałki pierwszą Rzeczpospolitą, w kawiarniach, salonach i gabinetach dyplomatów w całej Europie zawrzało. Był to bardzo poważny wypadek, nawet jeśli (jak to już zostało powiedziane wcześniej) niepozbawiony precedensów. Ponieważ to, co wiemy o przeszłości, na ogół odzwierciedla perspektywę właśnie tych ludzi, którzy odwiedzają kawiarnie, salony i gabinety dyplomatów, możemy sobie wybaczyć, że przeoczyliśmy podstawowy fakt: dla zdecydowanej większości Europejczyków żyjących w 1795 roku (w tym także dla znaczącego odsetka populacji zamieszkującej samą Rzeczpospolitą szlachecką) do rozbiorów mogłoby równie dobrze dojść na Księżycu. Polityka nie należała do spraw, którymi „zwykli" ludzie zazwyczaj musieli się zajmować, zwłaszcza w tych częściach Europy, w których nadal istniało poddaństwo.

Tak więc nie było żadnego *naturalnego* powodu, dla którego Rzeczpospolita nie miałaby skończyć tak samo jak inne wspólnoty polityczne, które w toku dziejów Europy zniknęły lub zostały pochłonięte przez sąsiadów. Stało się jednak inaczej: nie umieszczamy Polski w tej samej kategorii co Saksonię, Northumberland czy Mazowsze. Każde z nich jest dziś uznawane za region *w obrębie* państwa narodowego, nie zaś za odrębne państwo narodowe. Dlaczego? Bynajmniej nie dlatego, że społeczeństwa Polski i Litwy były w 1795 roku powiązane wspólnym językiem i kulturą. Nawet jeśli członków *stanu szlacheckiego* łączyła podobna kultura, niezależnie od tego, czy pochodzili z Wielkopolski, Podola czy Wileńszczyzny, pod tą wąską warstwą jednorodnej kultury kryło się bogactwo kulturowej, religijnej i językowej różnorodności. Otóż kluczowym powodem, dla którego Rzeczpospolita Obojga Narodów miała szansę na życie po życiu, był przede wszystkim przypadek, który sprawił, że zginęła w tym, a nie w innym momencie. Rzeczpospolita umierała dokładnie w czasie, gdy pojęcie narodu nabierało znaczenia – w samą porę, żeby można ją było opłakiwać w taki sposób, w jaki nie opłakiwano dawnych królestw i księstw. Para słów: „lud" i „naród" pojawiała się coraz częściej w publicznej retoryce przez prawie cały wiek XVIII, by osiągnąć szczyt w rewolucyjnej fali, która wzniosła się w 1776 roku w Ameryce, w 1789 we Francji i w 1791 w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Konstytucję 3 maja uznać można za tekst założycielski całkowicie nowego polskiego państwa narodowego, już w pierwszych słowach powołujący Polskę do życia: „W imię Boga w trójcy świętej jedynego. Sta-

nisław August, z bożej łaski i *woli Narodu* król Polski [...], wraz z stanami skonfederowanymi w liczbie podwójnej *Naród Polski* reprezentującymi”[2]. Nie był to prawny czy filozoficzny model Rzeczpospolitej szlacheckiej, lecz prawna rama polskiego państwa narodowego, które jeszcze nie istniało.

2 Oryginał Konstytucji 3 maja został zdigitalizowany przez Archiwum Akt Dawnych i jest dostępny na: http://agad.gov.pl/?page_id=1675. Podkreślenie autora.

Do tej pory bowiem zdecydowana większość ludzi mieszkających w obrębie Rzeczypospolitej (poza szlachtą) nie identyfikowała się z państwem ani w takim sensie, żeby uważać je za „swoje”, ani nawet w takim, żeby radować się z jego zwycięstw czy rozpaczać nad klęskami. W Rzeczypospolitej, przez znaczną część jej dziejów, tożsamości kulturowe, społeczne i osobiste działały w jednej sferze, a zobowiązania polityczne – w innej (znów: z wyjątkiem szlachty). Działo się tak nie tylko dlatego, że państwo miało sztywną, hierarchiczną strukturę społeczną: by być bardziej precyzyjnym, było to społeczeństwo złożone z samodzielnych całostek, z których każda funkcjonowała według własnych zasad, zachowywała własne zwyczaje i starała się bronić własnych interesów. Większość ludzi wie, że Żydzi mieszkający w Rzeczypospolitej mieli prawo zarządzania sprawami swojej wspólnoty i tworzenia odrębnych instytucji, często jednak zapomina się, że według tego modelu działało w tym czasie *całe* społeczeństwo. Była to *respublica*, w której nic nie było *publicum*, do tego stopnia, że apele o przedkładanie „dobra wspólnego” nad „interesy lokalne” w zasadzie nie miały sensu. Żeby mogło zaistnieć ja-

kieś wspólne dobro, trzeba najpierw wyobrazić sobie istnienie jakiejś konkretnej wspólnoty.

Zakładamy często, że sejm Rzeczypospolitej reprezentował naród, takie myślenie jest jednak anachroniczne. Owa tak wysławiana instytucja z jej „złotą wolnością" nie była władzą prawodawczą we współczesnym znaczeniu tego pojęcia – była grupową reprezentacją szlachty, a zarazem organem najwyższej władzy. W Rzeczypospolitej sejm i sejmiki ziemskie (lokalne) należały do szlachty, mieszczanie mieli rady miejskie, Żydzi – gminy, zarządzane przez kahały (a na poziomie Rzeczypospolitej – Wa'ad, tak zwany Sejm Czterech Ziem), duchowieństwo miało kurie biskupie i sądy kościelne, nawet chłopi na mocy prawa zwyczajowego zarządzali wieloma lokalnymi sprawami. Sejm Rzeczypospolitej szlacheckiej przedstawia się często jako poprzednika nowoczesnych instytucji parlamentarnych i chociaż z punktu widzenia genealogii jest to w pewnym sensie prawda, zarazem jednak jest to mocno mylące. Dziejami sejmu nie kieruje żadna wewnętrzna logika – nie ma jej zresztą także w polskiej historii politycznej – która wymuszałaby rozszerzanie praw wyborczych na kolejne grupy ludzi i wejście na drogę wiodącą ku nowoczesnej demokracji. Wprost przeciwnie, jeśli przyjrzymy się historii polskiego ustroju i porównamy ją z historiami innych republik, od starożytnej Grecji po przedwojenną Amerykę, dotrze do nas o wiele bardziej niepokojący fakt: swobody nielicznych zostały wprowadzone (przynajmniej po części) *po to*, by ograniczyć swobody większości.

Poddaństwo nie jest dokładnie tym samym co niewolnictwo, ale chłopi bez wątpienia nie byli ludźmi wolnymi: poddaństwo pozbawiło ich swobód obywatelskich i prawnych, pańszczyzna przywiązała do majątków szlacheckich, w których mieszkali, i folwarków, których ziemię zmuszeni byli uprawiać. Znaczną część (jeśli nie większość) pracy wykonywali na rzecz pana. W odniesieniu do okresu sprzed oświecenia (kiedy intelektualiści i politycy zaczęli wprowadzać swoje radykalne nowinki) mówienie o „narodzie polskim", który obejmowałby zarówno panów ziemskich, jak i chłopów, byłoby pozbawione sensu; w rzeczywistości w tym okresie niektórzy używali nawet sformułowania „naród szlachecki", dla określenia odrębnej grupy władającej „narodem plebejskim". Chłopi byli poddanymi Rzeczypospolitej, szlachcice – jej obywatelami. Aż do początków XX wieku słowa „obywatel" i „szlachcic" były całkowitymi synonimami.

Nawet użycie słowa „poddany" w znaczeniu poddanego Rzeczypospolitej jest w tym wypadku pewną przesadą, sugeruje bowiem, że chłopi podlegali prawom państwowym i że prawa te odnosiły się do wszystkich w granicach Rzeczypospolitej. Tak jednak nie było, a to dzięki przywilejom, które szlachta zyskała w XV i XVI wieku. System prawny Rzeczypospolitej opierał się na przywilejach (słowo to pochodzi od łacińskiego *privilegium*, które powstało z połączenia słów *privus* – 'osobiste' i *lex* – 'prawo') w większym stopniu niż na prawach, a podstawowe statuty, takie jak przywilej czerwiński (który w 1422 roku wprowadził zakaz karania – a ściślej, zakaz konfiskowania majątków – bez wyroku sądowego) czy

przywileje nieszawskie (1454, żadnych podatków bez przedstawicielstwa) od początku pomyślane zostały tak, że miały dotyczyć jedynie szlachty. Więcej nawet: niektóre przywileje wprowadzono dokładnie po to, żeby szlachta mogła utrzymać kontrolę nad chłopami, wolną od jakiejkolwiek ingerencji centralnej władzy królewskiej. Wolność stanu szlacheckiego umożliwiła podporządkowanie chłopów i zepchnięcie ich w poddaństwo. Zwieńczeniem „złotej wolności" było potwierdzenie w 1505 roku zasady *nihil novi nisi commune consensu* (nic nowego bez powszechnej zgody), czy też, mówiąc bardziej kolokwialnie, nic o nas bez nas. „My" w tym haśle bynajmniej nie oznaczało ogółu ludności – odnosiło się wyłącznie do szlachty: innymi słowy, tak zwana konstytucja radomska nie była prawem powszechnym, lecz jedynie potwierdzała przywileje dobrze urodzonych. Co dokładnie szlachta chroniła, uchwalając tę zasadę? Na przełomie XV i XVI wieku kolejne przywileje królewskie i kolejne konstytucje sejmowe praktycznie uniemożliwiły chłopom zmianę miejsca zamieszkania bez zgody pana ziemskiego, a monarchia wyrzekła się wszelkiej władzy nad tym, w jaki sposób panowie traktowali swoich chłopów. To oznaczało, że chłopi nie mogli się już nad głowami swoich panów odwoływać do sądów królewskich, a szlachta zyskała swobodę zarządzania majątkami tak, jak to uważała za stosowne. Wolność szlachty została zatem nierozerwalnie spleciona z utratą wolności przez chłopów. Nie trzeba być marksistą, by przyznać, że nadanie swobód silnym zawsze wiąże się z odebraniem ich słabym – już Arystoteles, próbując usprawiedliwić istnienie

niewolnictwa, uznał je za konieczny warunek wstępny sztuki, kultury i polityki[3].

3 Arystoteles, *Polityka*, 1, 1253b (wydanie polskie w przekładzie Ludwika Piotrowicza, PWN, Warszawa 2006).

Nie istniała żadna oczywista ani nawet prawdopodobna ścieżka prowadząca od „Złotej Wolności" do powszechnych swobód obywatelskich głoszonych przez osiemnastowiecznych rewolucjonistów. W rzeczywistości trzeba było rozwiązać fundamentalne sprzeczności tej pierwszej, by móc w ogóle wyobrazić sobie te drugie. Niektórzy myśliciele epoki oświecenia dokonali tego skoku, reinterpretując przeszłość Polski tak, by rozciągnąć pojęcie wolności na wszystkich i podważyć całą strukturę poddaństwa i pańszczyzny. O wiele liczniejsi byli jednak ci przedstawiciele szlachty, którzy nie przestawali twierdzić, że wolność „obywateli" zasadza się na politycznej hierarchii: praca osób pozbawionych wolności utrzymywała wąską grupę tych, którzy angażowali się w politykę. Podobnie jak właściciele ziemscy na południu Stanów Zjednoczonych, polscy panowie lubili cytować greckie i (zwłaszcza) rzymskie źródła wychwalające cnoty ustroju republikańskiego – to nie przypadek, że ten model republikanizmu został wypracowany przez społeczeństwa wykorzystujące pracę niewolniczą. Sprawa wolności nie była bynajmniej tak oczywista, jak mogłoby się wydawać. Można zrozumieć, czemu chłop w Rzeczypospolitej szlacheckiej raczej nie opłakiwał rozbiorów: chłopi żyjący w poddaństwie nie tylko byli w Rzeczypospolitej pozbawieni jakiejkolwiek władzy, ich wy-

kluczenie było wręcz podstawą porządku politycznego. Rzecz jasna, mocarstwa, które dokonały rozbiorów, niekoniecznie były lepsze, nikt zatem nie zamierza wychwalać upadku Rzeczypospolitej jako formy wyzwolenia. Większości chłopów w tym czasie cała zmiana – jak się zdaje – była po prostu obojętna.

Co powiedziawszy, wypada z kolei podkreślić, że państwo zniszczone w 1795 roku nie było już Rzecząpospolitą opartą na zasadzie *nihil novi*, a to za sprawą ruchu, którego największe osiągnięcie stanowiła Konstytucja 3 maja – akt założycielski Polski całkiem innego rodzaju, takiej, w której Sejm został pomyślany w zupełnie odmienny sposób: jako przedstawicielstwo różnych warstw społecznych, a nie jedynie szlachty. Insurekcja kościuszkowska poszła nawet dalej, obiecując w Uniwersale połanieckim z 1794 roku wolność osobistą i ochronę prawną. Doprowadziło to do dziwacznego zbiegu historycznych okoliczności: w tym samym czasie, w którym niszczono Rzeczpospolitą Obojga Narodów, ruch rewolucyjny przeprowadzał proces tworzenia narodu polskiego, przynajmniej na poziomie deklaracji wiążąc interesy całej populacji kraju z instytucjami państwa. Bez tego rewolucyjnego bodźca ruch na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości ograniczałby się zaledwie do wycinka społeczeństwa.

Rewolucyjna iskra miała zasadnicze znaczenie, pozostała jednak tylko iskrą. Mówiąc żargonem nauk społecznych, stanowiła warunek konieczny, ale niewystarczający. Nawet zbieg dwóch tak ważnych zdarzeń jak Konstytucja 3 maja i Uniwer-

sał połaniecki miał w owym czasie jedynie symboliczną wagę, ponieważ rozbiory sprawiły, że obydwa dokumenty pozostały martwą literą. Przekształcenie retoryki lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku w rzeczywistość polskiej wspólnoty narodowej wymagało o wiele więcej pracy, i to prowadzonej przez całe stulecie. Z czasem coraz więcej działaczy narodowych zdawało sobie sprawę, że jedyna droga do odzyskania niepodległości musi zakładać przyciągnięcie do wspólnej sprawy chłopów. Historycy piszą o niekończącej się dyskusji między dwoma obozami, od połowy XIX wieku określanymi jako „Biali" (ci, którzy chcieli zachować istniejącą hierarchię społeczną, ewentualnie wprowadzając kilka ostrożnych reform) i „Czerwoni" (przekonani, że jedynie rewolucja społeczna mogłaby włączyć chłopów do wspólnoty obywatelskiej). Ujmowanie problemu w ten sposób sprawia jednak, że umyka nam cała jego głębia. Chodziło nie tylko o przekonanie chłopów do walki o niepodległość, nie wystarczyło też szerzenie wśród nich wiedzy o tym, że są Polakami. Przedsięwzięcie było o wiele poważniejsze: zakładało przekształcenie silnie podzielonego społeczeństwa republikańskiego w społeczeństwo narodowe. Opisywanie tego procesu jako procesu „przebudzenia" narodowego lub budzenia „świadomości" narodowej sugeruje, że naród już istniał i że trzeba było jedynie nauczyć chłopów polskości, którą nosili w sercach. W rzeczywistości działacze narodowi musieli dopiero stworzyć polski naród i przekonać chłopów, by weszli w jego skład. Pojęcie narodu (jako określenie wspólnoty politycznej szersze niż

wspólnota jednego stanu) powstało w XVIII wieku. Stworzenie samego narodu wymagało więcej czasu i pracy.

Problem w tym, że im bardziej radykalny stawał się polski patriotyzm, tym mniej popularny był wśród swojej pierwotnej bazy, czyli wśród szlachty. Większość członków tego stanu pragnęła odtworzenia państwa i chciała odzyskać utraconą pozycję obywateli Rzeczypospolitej. W scentralizowanych monarchiach rosyjskiej, pruskiej i austriackiej szlachta utraciła znaczną część władzy politycznej. Nie utraciła jednak władzy ekonomicznej i w większości nie chciała zrezygnować z tego ostatniego elementu dawnej pozycji. Szlachta musiała się zatem zmierzyć z trudnym problemem: zaakceptować radykalną emancypację po to, by zdobyć chłopów dla (całkowicie przeformułowanej) sprawy narodowej lub zachować władzę i pozycję w ramach państw rosyjskiego, pruskiego i austriackiego. Różni członkowie stanu szlacheckiego podejmowali w różnym czasie różne decyzje, w żadnym przypadku jednak wybór nie był łatwy. Mówiąc najogólniej (i pomijając wiele znaczących wyjątków): ruch narodowy był w znacznej części dziełem drobniejszej szlachty – tych, którzy czuli się wystarczająco blisko związani z dawną Rzecząpospolitą, by pragnąć jej odbudowy, ale zarazem mieli o wiele mniej do stracenia w razie zmiany ekonomicznego status quo.

Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że pojęcie „suwerenności" czy „niepodległości" okazało się zdecydowanie niejasne. Łatwo było powiedzieć, że utrata niepodległości jest zła, jednak właściwie dlaczego? Często okres 1795–1918 nazywa się okresem niewoli, ale co tak naprawdę dla ludzi tam-

tych czasów oznaczało życie w świecie, w którym Polska pozbawiona jest niepodległości? Czy oznaczało to utratę kontroli nad biegiem własnego jednostkowego życia? Konieczność używania obcego języka w kontaktach z instytucjami państwowymi? A może ramy prawne kierujące relacjami społecznymi uległy zasadniczej zmianie? W rzeczywistości żadna z powyższych kwestii nie dotyka ani w całości, ani nawet w znacznej części tego, co istotne dla XIX stulecia. Dla przeważającej części ludzi zamieszkujących ziemie dawnej Rzeczypospolitej zmiany, które wpłynęły na ich życie w kolejnych dziesięcioleciach po rozbiorach, miały niewiele wspólnego z obecnością lub brakiem polskiego państwa. Właśnie dlatego tak trudno było przekonywać mieszkańców tych ziem, że istnieje coś, co można nazwać „narodem polskim", i że niepodległość tego narodu jest sprawą wielkiej wagi.

Religijne zróżnicowanie Rzeczypospolitej Obojga Narodów w XVIII wieku

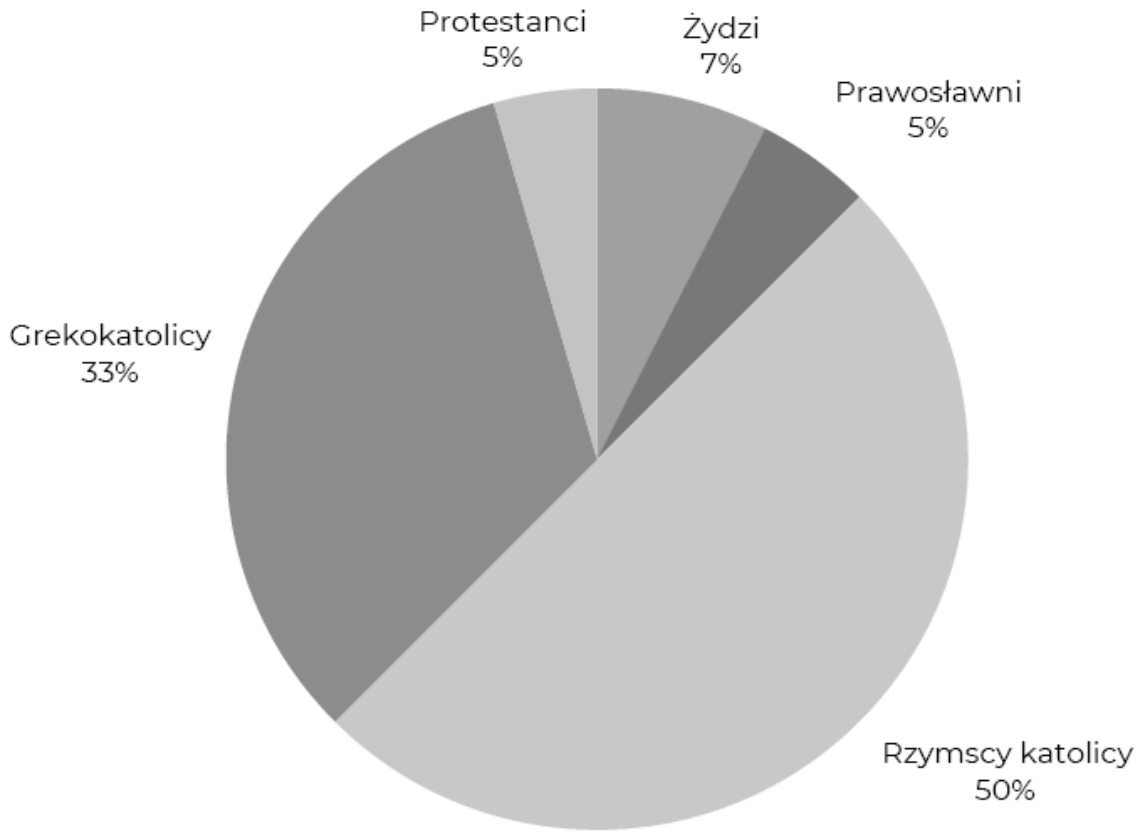

Zaakceptowanie określenia „polski" było niełatwe nawet dla polskojęzycznych chłopów – a dla tych, którzy mówili innymi językami, było to jeszcze trudniejsze. Dziś uznajemy za rzecz oczywistą, że osoba mówiąca po ukraińsku jest Ukrainką lub Ukraińcem, ktoś, kto mówi po białorusku, jest Białorusinką lub Białorusinem, a ktoś, kto mówi po litewsku – Litwinem lub Litwinką. Niesłusznie. Przez znaczną część XIX stulecia region, który nazywamy dziś Ukrainą, rosyjscy kartografowie opisywali jako Małą Rosję (Małoruś, *Małorossija*), pod-

czas gdy ich polscy odpowiednicy i większość miejscowych preferowali termin „Ruś". „Ukraina" była nazwą używaną przez niektórych kartografów w średniowieczu, później jednak pojawiała się rzadko. Przez kilka stuleci obszar ten stanowił część Polski, dopóki w XVII wieku Rosja nie zajęła jego wschodniej części. W XIX wieku niemal całe terytorium dzisiejszej Ukrainy znalazło się w Cesarstwie Rosyjskim, nie licząc części zachodniej, która przypadła Austrii. W epoce przednowoczesnej samoidentyfikacja chłopów mieszkających na tym obszarze, po prostu nie miała znaczenia. Byli chłopami i tylko to się liczyło.

Rzeczpospolitą Obojga Narodów przedstawia się niekiedy jako spokojną przystań tolerancji etnicznej i pokojowego współżycia; choć obraz taki nie jest całkiem fałszywy, może być mylący. Nie znamy dokładnych liczb, szacuje się jednak, że w kraju zniszczonym przez rozbiory około połowy populacji stanowili rzymscy katolicy, jedną trzecią – grekokatolicy (tak zwani unici). Około 7 procent populacji stanowili wyznawcy judaizmu, po 5 procent – protestanci i prawosławni.

Katolicy w większości mówili po polsku lub po litewsku, unici najczęściej po ukraińsku, prawosławni – po rosyjsku lub białorusku, protestanci na ogół po niemiecku, a wyznawcy judaizmu w języku znanym później jako jidysz. Mimo to byłoby poważnym nieporozumieniem przykładać nasze współczesne kategorie etniczno-narodowe (Polak, Ukrainiec, Rosjanin, Białorusin, Żyd, Niemiec) do rzeczywistości XIX wieku i do mieszkańców ziem, które należały niegdyś do Rzeczypospolitej. Jeśli chcemy zrozumieć tych ludzi na ich własnych

warunkach, musimy przyjąć do wiadomości, że w ich świecie pozycja społeczna i funkcja znaczyły więcej niż język czy nawet religia. Zważywszy że ludzie nienależący do stanu szlacheckiego nie mieli żadnego politycznego znaczenia, było zupełnie obojętne, do kogo się modlili i jak się porozumiewali. Wśród gminu możliwa była różnorodność, ponieważ (na ogół) nie miała ona żadnego wpływu na życie publiczne. Rzecz nie w tym, że polska większość tolerowała niepolskie mniejszości, lecz raczej w tym, że nie było nawet poczucia, że polskojęzyczni rzymscy katolicy (szlachta i chłopi) należą do jakiejś jednej wspólnoty, która wykluczałaby ludzi innych wiar i języków. Około 750 tysięcy członków stanu szlacheckiego (tyle było w końcu XVIII wieku) istotnie tworzyło wspólnotę i często dawało wyraz uczuciom patriotycznym. Patriotyzm ten jednak bynajmniej nie obejmował ludzi o odmiennym statusie społecznym – przy czym była to odwzajemniona obojętność.

Miało to skutek uboczny: zaledwie nieliczni współtwórcy polskiego ruchu narodowego na początku XIX wieku uważali, że istnieją jakiekolwiek przesłanki, by wykluczyć od ręki kogokolwiek, kto mieszkał na obszarze Pierwszej Rzeczypospolitej, niezależnie od języka lub wyznania. W pierwszych dziesięcioleciach tworzenia narodu polskiego pomysł, że Polak musi być rzymskim katolikiem mówiącym po polsku, brzmiałby co najmniej dziwacznie. Wszyscy znamy słynne słowa Mickiewicza: „Litwo, Ojczyzno moja”, ale może właśnie dlatego, że są tak dobrze znane, z rzadka uświadamiamy sobie, jak bardzo są osobliwe. Ten wers został, w pewnym

sensie, udomowiony i włączony w nasz światopogląd. Mickiewicz nie twierdził, że Litwini mogą być Polakami, a już z pewnością nie twierdził, że terytorium Litwy należy do Polski w jakimś imperialistycznym sensie. Nie proponował nawet wielokulturowej wizji zróżnicowanego obszaru kresowego, w którym ludzie wszelkich kultur i języków czuliby się jak w domu. Zaświadczał natomiast, że w świecie, w którym żył, tożsamość kulturowa i patriotyczna lojalność nie zostały jeszcze ze sobą sklejone. Po prostu, kiedy rozważało się czyjeś oddanie tej lub innej ojczyźnie, nie było powodu pytać, jakim językiem lub językami ten ktoś mówi i jaka jest jego czy jej tożsamość kulturowa. W Wilnie znajduje się pomnik Adomasa Mickevičiusa, Białoruś zaś w 1998 roku umieściła portret młodego Адама Міцкевіча na znaczku pocztowym, dla upamiętnienia dwusetlecia urodzin poety – i tak właśnie być powinno. Czy zatem Mickiewicz jest Polakiem, Litwinem czy Białorusinem? Cóż, wszystkim tym i zarazem żadnym z powyższych. Wszystkim, bo sam Mickiewicz nie postrzegał tych etykiet jako wykluczających się wzajemnie. Żadnym, jako że pojęcia te znaczyły dlań zupełnie co innego, niż znaczą dla nas.

Kiedy polski ruch narodowy (podobnie jak analogiczne ruchy w Niemczech, na Węgrzech, we Włoszech i w wielu innych miejscach) zaczął upowszechniać pogląd, zgodnie z którym każda etnolingwistyczna grupa stanowi odrębną wspólnotę, część pisarzy i działaczy politycznych zaczęła domagać się uznania istnienia wspólnoty ukraińskiej. A jako że zarówno określenie „Małorusini”, jak i „Rusini”, używane przez

Rosjan i Polaków, miały nieco pejoratywny wydźwięk, przywołano i odkurzono starą nazwę. Tyle że wybór etykiety to jedno, wpojenie tożsamości zaś to coś całkiem innego. Miało minąć wiele dziesięcioleci, nim udało się przekonać ludzi w regionie, by myśleli o sobie jako o części jednego narodu ukraińskiego, i nawet w początkach XX wieku proces ten był jeszcze daleki od zakończenia.

To, co jest prawdą w przypadku Ukraińców, jest nią podwójnie w przypadku Litwinów i potrójnie w przypadku Białorusinów. Wielkie Księstwo Litewskie stanowiło część składową dawnej Rzeczypospolitej, nazwa ta była jednak przede wszystkim wyrażeniem mającym sens polityczny i terytorialny, a nie etnolingwistyczny. W rzeczywistości oficjalnym językiem Wielkiego Księstwa przed unią z Polską był jeden z obecnie już nieistniejących języków słowiańskich; języka, który uważamy za litewski, używano jedynie w niewielkim regionie na północy kraju, nad Morzem Bałtyckim. Niemniej moda na mobilizację etniczno-narodową dotarła ostatecznie także w okolice Wilna i Kowna: w początkach XX wieku istniała już niewielka grupa działaczy dążących do stworzenia odrębnego państwa litewskiego. Mieszkańców Wielkiego Księstwa, którzy nie mówili ani po litewsku, ani po polsku, ani po ukraińsku, etnografowie nazwali Białorusinami. Była to grupa przeważnie niepiśmienna i bardzo biedna, zamieszkująca obszar, gdzie niewiele było dobrych dróg i większych miast. Nawet jeśli garść ambitnych intelektualistów rozprawiała o białoruskim ruchu narodowym, w rzeczywistości niemal nie istniał on przed pierwszą wojną światową. Jednak brak silnej

białoruskiej tożsamości nie oznaczał, że chłopi, o których mowa, uważali się za Polaków, Litwinów czy Ukraińców albo za kogokolwiek innego. Mieli silne poczucie przynależności do konkretnego miejsca, to zaś nie wpasowywało się dobrze w wielkie tożsamościowe kategorie, które preferowali nacjonaliści.

Zważywszy, że etniczno-językowe etykiety były w XIX wieku w wielu przypadkach płynne, polscy działacze narodowi żywili nadzieję, że przyszła niepodległa Polska obejmie całe terytorium dawnej Rzeczypospolitej. Wraz z każdą mijającą dekadą ten rodzaj wielokulturowościowych wyobrażeń stawał się coraz mniej przekonujący, ponieważ w regionie coraz mocniej zakorzeniał się etnolingwistyczny nacjonalizm. Nie oznacza to bynajmniej, że chłopi, którzy byli kiedyś Polakami, zostali „przejęci" przez litewskich, białoruskich i ukraińskich separatystów. Po prostu przed zaborami byli chłopami pańszczyźnianymi, pozbawionymi praw politycznych, ewentualny sukces lub klęska Rzeczypospolitej w ogóle ich nie dotyczyły, nie mieli też w zasadzie poczucia narodowej tożsamości. W XIX wieku o ich lojalność zaczęły walczyć rzesze różnych działaczy narodowych i wcale nie było oczywiste, która grupa zwycięży. Oczywiste było jedynie to, że w przypadku chłopów niemówiących po polsku zaangażowanie ich w sprawę polską było mniej prawdopodobne niż w przypadku ich polskojęzycznych sąsiadów.

* * *

Granice ustanowione po trzecim rozbiorze w 1795 roku nie przetrwały długo. Zaledwie kilka lat później Napoleon zaczął wywracać europejski porządek do góry nogami. Sukcesy militarne francuskiego przywódcy doprowadziły do stworzenia w 1807 roku popieranego przez Francję państwa zwanego Księstwem Warszawskim, wyposażonego we własną liberalną konstytucję, sejm i armię. Księstwo, chociaż w kwestiach związanych z polityką zagraniczną skrępowane z uwagi na zależność od Napoleona, w praktyce działało jako autonomiczne państwo polskie. Mając obszar zaledwie 155 tysięcy kilometrów kwadratowych i 4,3 miliona ludności, pozostawało zaledwie cieniem dawnej Rzeczypospolitej. Obejmowało jednak najważniejsze miasta: Warszawę, Kraków, Poznań i Lublin, a wielu polskich polityków liczyło na to, że gdy Napoleon pokona Rosję i zezwoli Księstwu na przejęcie ziem na wschodzie, podniesie je zarazem do godności królestwa. Sam Napoleon nazywał niekiedy swoją wojnę z carem „wojną polską". W maszerującej w 1812 roku na Moskwę Wielkiej Armii znajdowało się około 100 tysięcy polskich żołnierzy (obok 300 tysięcy Francuzów i około 200 tysięcy żołnierzy z innych krajów europejskich).

Atak na Moskwę zakończył się widowiskową klęską, kiedy jednak w 1815 roku, po ostatecznym pokonaniu Napoleona, europejscy dyplomaci podjęli próbę poskładania Europy na nowo, nie mogli już tak po prostu ponownie zmieść Polski pod dywan. Przynajmniej na papierze Kongres Wiedeński (podczas którego negocjowano traktaty pokojowe po pokonaniu Napoleona) wykonał gest hojniejszy od gestu Francuzów,

tworząc *Królestwo* Polskie. Podobnie jak Księstwo Warszawskie, było to państwo, które miało konstytucję, sejm, armię, odrębny system prawny i autonomiczną administrację. Było jeszcze mniejsze (128,5 tysiąca kilometrów kwadratowych, 3,3 miliona mieszkańców), ponieważ zachodnią część Księstwa Warszawskiego odcięto i włączono do Prus jako tak zwane Wielkie Księstwo Poznańskie. Na niewielkim obszarze wokół Krakowa ustanowiono formalnie niezależnie państwo-miasto, pod patronatem Austrii, która zachowała kontrolę nad Galicją. Po powstaniu krakowskim, które wybuchło i upadło w 1846 roku, Kraków ostatecznie wcielono do Galicji. Dla polskich nacjonalistów największym problemem w całym tym układzie był fakt, że królem nowego Królestwa Polskiego został Aleksander Romanow, znany lepiej dzięki pełnionej przez siebie funkcji jako car Rosji Aleksander I. Połączenie monarchii konstytucyjnej z samowładnym imperium stworzyło łatwe do przewidzenia napięcie, zwłaszcza gdy po śmierci Aleksandra w 1825 roku Mikołaj, jego o wiele bardziej konserwatywny młodszy brat, odziedziczył pozycję cara i króla. Jako że Mikołaj próbował rządzić Polską w taki sam sposób, w jaki rządził Rosją, sejm stawił opór i w Królestwie zaczął narastać kryzys konstytucyjny. W 1830 roku, po wybuchu powstania listopadowego, sejm zdetronizował Mikołaja, co doprowadziło do wojny polsko-rosyjskiej, a ostatecznie do formalnej aneksji Królestwa Polskiego przez Rosję.

Konstytucja Księstwa Warszawskiego z 1807 roku ogłosiła koniec prawnego poddaństwa chłopów i w Królestwie Polskim utrzymano tę zasadę. Podobnych reform dokonano

w zaborach pruskim i austriackim. Szybko jednak stało się oczywiste, że samo zniesienie poddaństwa znaczy niewiele, o ile nie towarzyszy temu uwłaszczenie, czyli nadanie chłopom uprawianej przez nich ziemi na własność, oraz likwidacja pańszczyzny. Póki chłopi pozbawieni byli prawa do ziemi, szlachta nadal zachowywała kontrolę nad ich pracą i życiem, tak więc samo nadanie równych praw nie tworzyło nowoczesnych obywateli, którzy mogliby decydować o własnym losie. Jeśli chodzi o pańszczyznę, część szlachty decydowała się w swoich dobrach zamieniać pracę przymusową na czynsze, opłacane w pieniądzu. Porozumienia tego rodzaju formalizowano w postaci nowoczesnych umów, ale w relacjach społecznych nie zaszły znaczące zmiany. Jedynie w zaborze pruskim rozpoczęto, wprowadzaną etapami, reformę uwłaszczeniową, jednak nawet tam działki ziemi przyznawane chłopom były zbyt małe, by mogło to mieć poważniejsze konsekwencje społeczne. W tych okolicznościach większość chłopów nadal nie interesowała się polityką i walkami narodowymi. Oczywiście, polskość zaczynała się rodzić. Rząd Królestwa Polskiego starał się wykorzystać swoje skromne zasoby w dziedzinie edukacji, informacji i kultury do promowania patriotyzmu, podobnie jak robiły to w tym samym czasie inne państwa europejskie. Pobór do polskiej armii zaszczepiał setkom tysięcy młodych mężczyzn poczucie tożsamości narodowej. Być może najważniejszym czynnikiem był ruch wydawniczy: wydawano tanie ilustrowane książki i almanachy, upowszechniające opowieści z historii Polski, tak subtelnie dobrane, by podkreślać rolę chłopów i zamazywać kastowy charakter Rze-

czypospolitej. Mimo wszystko w czasie powstania listopadowego większość chłopów stanęła z boku, bo powstańcy wciąż nie mogli (i często nie chcieli) przekonać ich, że niepodległa Polska przyniesie uwłaszczenie i zniesienie pańszczyzny. Problemy, których dotyczyło powstanie, znacznej części ludzi nie wydawały się jakkolwiek związane z ich życiem, przy czym taką postawę dodatkowo wzmacniał silny przekaz z kościelnych ambon (o czym więcej za chwilę), z których nawoływano, aby okazywać lojalność „prawowitemu" władcy, carowi.

Warto podkreślić, że w okresie między rokiem 1807 (powstanie Księstwa Warszawskiego) a 1830 (wybuch powstania listopadowego) sprawy polityczne i rządowe dotyczące Polski pozostawały na ogół w rękach Polaków. Jeśli potrzebowałeś pozwolenia na budowę lub koncesji na wyszynk, udawałeś się do polskiego urzędnika. Jeśli potrzebne było nowe prawo, spisywano je po polsku i omawiano w polskim sejmie. Jeśli chciałeś zdobyć wykształcenie (i stać cię było na czesne), mogłeś pójść do polskojęzycznej szkoły. A jeśli chciałeś czytać o którejś z tych rzeczy, miałeś do dyspozycji polskie gazety i czasopisma. Nawet ludzie z dawnych wschodnich, południowych czy zachodnich części Rzeczypospolitej Obojga Narodów, którzy znaleźli się poza granicami Księstwa czy Królestwa, nie podlegali w pierwszej połowie XIX wieku poważnym represjom etniczno-narodowym. Władze w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu obchodziła jedynie polityczna lojalność i posłuszeństwo (lub ich brak). Jakim językiem kto się posługiwał, nie miało z perspektywy imperiów znaczenia. Powstanie,

które wybuchło w 1830 roku, nie było reakcją na ucisk narodowy – powodem było to, że Mikołaj I nie podporządkowywał się zasadom monarchii konstytucyjnej. Znaczące, że polscy żołnierze podczas tej wojny jako pierwsi użyli słynnego dziś hasła „Za wolność naszą i waszą", wypisanego na sztandarach po jednej stronie po polsku, po drugiej – po rosyjsku, by pokazać, że walczą w imię ogólnej politycznej zasady, a nie swoich partykularnych praw.

Po roku 1830 tendencje centralistyczne, wspólne wszystkim nowoczesnym państwom, stawały się w państwach zaborczych coraz wyraźniejsze. Władze rosyjskie prowadziły twardą politykę wobec wszystkich choćby w najmniejszym stopniu uwikłanych w powstanie, w związku z czym tysiące przedstawicieli szlachty znalazło się na wygnaniu (albo siłą przesiedlonych na Syberię, albo jako uchodźcy we Francji). Władze pruskie i austriackie były mniej surowe, jednak i tutaj zachowywano czujność wobec możliwych wywrotowych działań rzeczników polskiej sprawy narodowej. Królestwo Polskie przetrwało, jednak jako zaledwie jednostka administracyjna w Cesarstwie Rosyjskim, z nieco odrębnym prawem cywilnym oraz karnym i nieco odrębną formą rządu. Mimo wszystko przez dwie trzecie XIX wieku państwa zaborcze pozostawiały codzienne zarządzanie sprawami polskimi w polskich rękach, przy czym często były to ręce polskiej szlachty pozbawionej ziemi, gdyż ta grupa społeczna potrzebowała pracy, by związać koniec z końcem.

Sytuacja zmieniła się dramatycznie pod koniec stulecia. Kiedy polscy działacze narodowi doprowadzili w 1863 roku do

wybuchu powstania styczniowego, reakcja rosyjskiego rządu była jeszcze ostrzejsza niż po powstaniu listopadowym. Cechą charakterystyczną drugiego powstania stała się wojna partyzancka, której stłumienie przyszło rosyjskiej armii z wielkim trudem. W rezultacie strona rosyjska przeprowadziła interwencję zbrojną, która dotknęła wielu niewinnych cywilów. Gdy powstanie upadło, władze carskie doszły do wniosku, że problem miał charakter nie tylko polityczny: zaczęto uważać, że jego źródłem jest sama obecność Polaków w cesarstwie.

W tym samym czasie również w zaborze pruskim zachodziły duże zmiany. W roku 1871 powstało Cesarstwo Niemieckie, złożone z dotychczas odrębnych środkowoeuropejskich księstw i królestw. Pierwszy kanclerz nowego państwa, Otto von Bismarck, przyjął zasadę (powszechnie wyznawaną przez myślicieli nacjonalistycznych w całej Europie), że przetrwanie może zapewnić Niemcom jedynie spójność kulturowa kraju.

Tak oto najpierw w zaborze niemieckim, później w rosyjskim rozpoczął się proces depolonizacji. Od szkół zaczęto wymagać nauczania odpowiednio po niemiecku i rosyjsku, wszystkie instytucje państwowe i sądy musiały się posługiwać językiem oficjalnym. Nawet szyldy sklepowe w Warszawie musiały być dwujęzyczne, mimo że w mieście mieszkało bardzo niewielu Rosjan. Na terenie Niemiec próbom zintegrowania Kościoła katolickiego z nowym państwem towarzyszyły wysiłki na rzecz wprowadzenia języka niemieckiego do sfery publicznej. W tak zwanym *Kulturkampf* (dosłownie: walce kulturowej) początkowo dominował aspekt religijny, jednak

prawdziwą wojną stała się długotrwała walka o germanizację języka. W 1874 roku zakazano używania polskiego we wszystkich niemieckich szkołach średnich, w 1886 rozciągnięto ten zakaz na szkoły podstawowe. Władze rosyjskie sięgnęły po podobne metody. Oba imperia poniosły ostatecznie całkowitą klęskę. Kolejne obostrzenia odniosły ten skutek, że rozgniewały masę ludzi, którzy w innej sytuacji zapewne pozostaliby obojętni wobec polityki tożsamości. Poparcie dla ruchu narodowego zaczęło gwałtownie rosnąć. Zmobilizowały się nawet dzieci: we Wrześni (w zaborze niemieckim) w 1901 roku uczniowie zorganizowali strajk szkolny, po tym jak nauczyciel zbił kilkunastu z nich za mówienie po polsku podczas lekcji religii. Sprawa Wrześni przyciągnęła uwagę międzynarodową i ustanowiła wzorzec, który zaczął się upowszechniać. Do 1906 roku już ponad tysiąc szkół w zaborze niemieckim strajkowało przeciw ograniczeniom w używaniu języka polskiego.

Niezależnie od tego, jak bardzo konsekwentnie prowadzono kampanie wynaradawiające, ważne, żeby nie przypisywać im jakiegoś przełomowego znaczenia. Zaczęły się przecież dopiero w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku, ostatecznie zaś nawet przedstawiciele władz niemieckich i rosyjskich dostrzegli, że były daremne. Po rewolucji 1905 roku porzucono niemal całkowicie politykę rusyfikacji. Co więcej, w czasach największego ucisku w latach osiemdziesiątych wciąż pozostawało w życiu publicznym i prywatnym wiele obszarów, w których można było używać języka polskiego. Gazety, czasopisma i książki nadal ukazywały się

po polsku, a choć cenzura wprowadzała znaczne ograniczenia, dotyczyły one także publikacji niemieckich i rosyjskich. Sztuki teatralne nadal wystawiano po polsku, po polsku organizowano różne rozrywki. Praktycznie całe życie gospodarcze i wszystkie interesy w polskich miastach i miasteczkach prowadzono po polsku lub w jidysz. Księża po polsku wygłaszali kazania, co nie zmienia faktu, że uznanie Kościoła za bastion polskości byłoby pewną przesadą: był on ostatecznie tylko jedną z wielu instytucji publicznych, które używały języka polskiego. Przy czym msze odprawiano przecież nie po polsku, lecz po łacinie. Tylko w kontaktach z państwem (a więc także w szkołach) rosyjski lub niemiecki stawały się obowiązkowe – i to już samo w sobie stanowiło poważny problem. Choć instytucje państwowe wciąż pozostawały, wedle naszych współczesnych standardów, słabo rozwinięte, odgrywały wystarczająco ważną rolę w życiu ludzi, by uczynić językowe restrykcje kwestią zauważalną, opresyjną i głęboko dyskryminującą. Tego rodzaju polityka wywoływała bardzo silne reakcje, tak więc, paradoksalnie, wysiłki na rzecz wynarodowienia doprowadziły do upolitycznienia polskiej tożsamości i znacząco pomogły w budowie nowoczesnego polskiego narodu.

Nie należy także sądzić, że kampanie germanizacyjne i rusyfikacyjne były przejawem szczególnej brutalności ze strony cara lub niemieckiego cesarza albo manifestacją wyjątkowej nienawiści do polskości. Imperia zaborcze robiły tylko to, co robiły w tym czasie wszystkie nowoczesne państwa. Nie zamierzam usprawiedliwiać tej fatalnej polityki, staram się je-

dynie pokazać, że nie była niczym nadzwyczajnym. Miło byłoby wierzyć, że kampanie wynaradawiania były domeną autorytarnych monarchii, takich jak carska Rosja, a nie „dobrych" państw demokratycznych. Niestety, było inaczej. Chociażby zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Kanadzie zabierano dzieci rdzennych Amerykanów z ich społeczności, po czym umieszczano w szkołach z internatem, których jawnym celem było pozbawienie uczniów tożsamości i przymusowa asymilacja do kultury anglojęzycznej. Pierwszy premier Kanady, sir John Alexander Macdonald, mówił w 1883 roku w Izbie Gmin:

> Jeśli szkoła znajduje się w rezerwacie, dziecko mieszka z rodzicami, którzy są dzikusami; otoczone jest przez dzikusów i choć może nauczyć się czytać i pisać, jego nawyki, wychowanie oraz sposób myślenia pozostają indiańskie. Jest po prostu dzikim, który umie czytać i pisać [...]. Dzieci indiańskie należy, o ile to tylko możliwe, uwalniać od wpływu rodziców, a jedynym sposobem, by to zrobić, jest umieszczenie ich w centralnych szkołach z internatem, gdzie nabędą nawyków i sposobów myślenia białego człowieka[4].

4 Cytowane w: *What We Have Learned: Principles of Truth and Reconciliation*, Truth and Reconciliation Commission in Canada, Winnipeg 2015, s. 6.

Na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych wykorzystywano różnorodne strategie, aby „zamerykanizować"

mieszkańców terenów przejętych od Meksyku po wojnie 1846–1848, a los hiszpańskojęzycznych dzieci w amerykańskich szkołach podstawowych XIX wieku był uderzająco podobny do losu dzieci mówiących po polsku w szkołach pruskich. Kiedy rząd Węgier rozpoczął kampanię asymilacyjną, której obiektem byli rumuńskojęzyczni mieszkańcy Transylwanii, przykład Stanów Zjednoczonych uznano za rozwiązanie modelowe – do tego stopnia, że wykorzystano go nawet jako pogróżkę: członek węgierskiego parlamentu ostrzegał w 1867 roku Rumunów: „Nie prowokujcie nas do zastosowania wobec innego narodu metody całkowitej eksterminacji, użytej przez Anglosasów wobec czerwonoskórych Indian z Ameryki Północnej”[5]. Mniej brutalna, ale może nawet skuteczniejsza była kampania przeprowadzona pod koniec XIX wieku we Francji, mająca na celu językowe i kulturowe ujednolicenie kraju. Istnieją szacunki, według których w czasie rewolucji zaledwie połowa populacji Francji mówiła po francusku, a jeszcze w 1863 roku – trzy czwarte. Pozostali posługiwali się prowansalskim, flamandzkim, bretońskim, baskijskim i wieloma innymi z długiej listy języków i dialektów (różnica między jednym i drugim zawsze miała więcej wspólnego z władzą niż z jakimikolwiek kryteriami językoznawczymi). Obowiązkowa edukacja, przymusowy pobór do (francuskojęzycznej) armii oraz monojęzykowy aparat administracyjny i prawny zdołały zadziwiająco szybko wymazać językową różnorodność[6].

---

5 Przemówienie Pala Hunfalwy cytuje R.W. Seton-Watson w: *A History of the Romanians from Roman Times to Completion of Unity*, Archon Books, London 1963, s.

349. Jest to reprint oryginalnego tekstu z 1937 roku.

6 Eugene Weber, *Peasants into Frenchmen: The Modernization of Rural France, 1870–1914*, Stanford University Press, Stanford 1976, s. 67–88.

Na tym międzynarodowym tle rozwiązania wprowadzane przez rządy niemiecki czy rosyjski nie były niczym nadzwyczajnym; w praktyce w przypadku tego drugiego wydaje się zresztą, że były mało skuteczne. Nie chodzi tu o to, by umniejszać problemy osób polskojęzycznych, których język szkalowano i marginalizowano, zwłaszcza w zaborze niemieckim, gdzie polityce germanizacji towarzyszyło przekonanie o niemieckiej wyższości kulturowej. Nie chodzi także o to, by bronić tych praktyk – wprost przeciwnie, były wszak co najmniej opresyjne, a w swoich najskrajniejszych przejawach po prostu brutalne. Stanowiły jednak część typowego doświadczenia mniejszości językowych i kulturowych w modernizujących się państwach. Wcześniej władca dbał jedynie o to, by poddani płacili podatki i utrzymywali porządek, natomiast w drugiej połowie XIX wieku doskonała mieszanka czynników ideologicznych (wyobrażenia dotyczące hierarchii rasowych i „misji cywilizacyjnych"), sił gospodarczych (zapotrzebowanie na miejską siłę roboczą, która mówiłaby jednym językiem) i politycznych (ekspansja i ujednolicanie systemów administracyjnych i prawnych) sprawiła, że kampanie wynaradawiające stały się zjawiskiem globalnym.

Fascynująca dwuznaczność polskiego dziewiętnastowiecznego ruchu narodowego polega na tym, że znalazł się w pozycji pośredniej: pomiędzy doświadczeniem uciskanej kultury mniejszościowej a doświadczeniem elit kulturowych budu-

jących państwo. Widać to najlepiej, kiedy porównamy sytuację w Prusach, gdzie Polaków traktowano jako kulturowo niższych, zacofanych chłopów, których Niemcy muszą „ucywilizować", z sytuacją w Galicji, gdzie rządzili Polacy. Habsburgowie, nieustannie konfrontowani ze zjawiskiem polskiego separatyzmu (i co nawet ważniejsze, ze zjawiskiem separatyzmu węgierskiego), ostatecznie porzucili wszelkie próby scentralizowania swojego imperium. Ludność niemieckojęzyczna stanowiła na ziemiach cesarstwa jedynie około jednej czwartej populacji, resztę zaś można było przyporządkować do jednej z co najmniej dziewięciu większych kategorii etniczno-językowych oraz wyróżnić wśród nich jeszcze więcej podgrup. Wymuszanie w tych okolicznościach ujednolicenia byłoby, ujmując rzecz delikatnie, naiwnością, zatem władze w Wiedniu postanowiły raczej skaptować elity dwóch najsilniejszych (i najbardziej opornych) wspólnot, czyli elity węgierskie i polskie. W 1867 roku Węgry zyskały status osobnego królestwa, połączonego z Austrią osobą monarchy i polityką zagraniczną. Galicji nie zaproponowano takiego układu, jednak pozostała prowincją o szerokim zakresie autonomii w każdym praktycznym aspekcie. Powołano sejm prowincjonalny, a językiem rządu, szkolnictwa i administracji pozostał język polski. Chociaż na mapie Europy Polska nie istniała, ludzie mieszkający w Krakowie, Lwowie i wielu małych miasteczkach i wioskach Galicji mogli funkcjonować tak, jak gdyby żyli w niezależnym państwie polskim. Zasoby tego państwa (w ubogiej Galicji bardzo ograniczone) wykorzystywano do promowania nie tylko cesarsko-królewskiego lojali-

zmu, który był na tym obszarze bardzo silny, ale też polskiego języka i polskiego patriotyzmu. Zachęcano chłopów do udziału w publicznych rocznicach upamiętniających wydarzenia z historii Polski, takie jak podpisanie Konstytucji 3 maja czy urodziny ważnych postaci historycznych. Wielu pisarzy i artystów entuzjastycznie wspierało te wysiłki. Sztukę patriotyczną reprodukowano w postaci tanich druków, z których część, między innymi za pośrednictwem pism ruchu ludowego, trafiała ostatecznie jako dekoracja do chat chłopskich.

O ile w Prusach Polacy traktowani byli jak niecywilizowani chłopi, a w Galicji stali się częścią elity rządzącej, o tyle w Cesarstwie Rosyjskim (w którego granicach znalazła się zdecydowana większość ludności polskojęzycznej) zajmowali pozycję pośrednią. Jak wspominałem, pod koniec XIX wieku władze carskie rozpoczęły nieskuteczną kampanię rusyfikacyjną, a już wcześniej, zaraz po 1863 roku, Polacy byli całkowicie odcięci od władzy politycznej. Polskojęzyczni mieszkańcy Królestwa Polskiego i Kresów pozostawali jednak na tych terenach elitą kulturową, społeczną i gospodarczą. W logice europejskiego kolonializmu i orientalizmu Rosja znajdowała się zawsze w dziwacznej pozycji – nie do końca członkini klubu mocarstw, a jednak też nie całkiem poza nim. Wobec południowych i wschodnich obrzeży Rosja prowadziła politykę odpowiadającą imperialnym wzorcom, uruchamiając dyskurs „misji cywilizacyjnej” i wysiłków na rzecz zasymilowania „zacofanych” ludów Azji Centralnej i Syberii. Jednak na zachodniej granicy imperium polską szlachtę postrzegano (przy czym ona sama również się tak postrzegała) jako przedstawi-

cieli „Europy" i „Zachodu". W ten sposób powstawała dziwaczna sytuacja, w której rosyjska administracja sprawowała władzę polityczną i wojskową, podczas gdy Polacy zachowywali hegemonię w dziedzinie kultury.

Wszędzie podstawowym narzędziem kampanii wynaradawiania była ideologia hierarchii narodowych – idea tego, co Niemcy nazwali *Kulturträger* (nosiciel kultury). W Stanach Zjednoczonych uczono się angielskiego, we Francji paryskiego francuskiego, a w znacznej części środkowej Europy niemieckiego nie tylko z tej przyczyny, że państwo wymuszało naukę tych języków, ale również dlatego, że wiele osób należących do grup mniejszościowych postrzegało asymilację jako narzędzie awansu kulturowego. Trudno natomiast wyobrazić sobie polskiego dziewiętnastowiecznego szlachcica, który uczy się rosyjskiego, by się bardziej „ucywilizować" – choć zarazem warto pamiętać, że Polacy (i Polki) studiowali w Petersburgu lub wyjeżdżali do Rosji robić kariery. Zgodnie z ówczesnym rosyjskim stereotypem Polak był przeintelektualizowanym snobem – odwrotność niemieckiego stereotypu niepiśmiennego polskiego chłopa. W rezultacie w kontrolowanej przez Rosjan Warszawie mógł pojawić się taki *Kulturträger* jak Henryk Sienkiewicz, autor bestsellerowych powieści, które odegrały ogromną rolę w szerzeniu ideologii tożsamości narodowej we wszystkich trzech zaborach.

Rola literatury i sztuki w głoszeniu narodowej ewangelii jest nie do przecenienia. Ważniejsi nawet niż sławny Sienkiewicz byli niezliczeni pisarze i malarze, którzy choć nigdy nie weszli do kanonu literatury polskiej, nieśli przesłanie o pol-

skiej tożsamości w zapomnianych dziś powieściach romantycznych i przygodowych, drugorzędnych dramatach czy tandetnych reprodukcjach zbanalizowanej sztuki narodowej.

To dzięki takim przedsięwzięciom coraz więcej ludzi zapoznawało się z podstawowymi archetypami narodowej podmiotowości, zwłaszcza z ideałem patriotycznej męskości, którego wcieleniem stał się Powstaniec: odważny bojownik o wolność, gotów zaryzykować wszystko, nawet życie – zwłaszcza życie – dla sprawy narodowej. Był bohaterem tragicznym w klasycznym tego pojęcia znaczeniu: postać, której męstwo i cnota wiązały się zawsze z jakąś fatalną skazą, nieuchronnie prowadzącą ku klęsce. Polska jako taka także stała się takim bohaterem, powieściopisarze, poeci i historycy zaczęli bowiem opowiadać dzieje narodu jako zbiorowego aktora dziejów, walczącego o swoje istnienie po to jedynie, by za każdym razem ponieść klęskę, nieuchronną, choć rycerską. Cnotami owego bohatera są umiłowanie wolności i odważna gotowość do tego, by za nią walczyć; tragiczną skazą – nakaz walki niezależnie od szans na zwycięstwo lub ceny porażki.

Odpowiedniczką heroicznej, a zarazem tragicznej postaci bojownika o wolność stała się inna archetypiczna postać: Matka Polka. Dostarczała wzorca narodowej kobiecości, wspierając męski ideał powstańca. Matka Polka także definiowała się poprzez ofiarę: ofiarę żony, która dobrowolnie godzi się z tym, że mąż odchodzi i ginie dla sprawy narodowej, i która wychowuje dzieci gotowe tak samo oddać życie. Jest stoiczką, w której życiu niewiele jest radości, i niezłomną podporą moralnej prawości swego męża wojownika. Pod wie-

loma względami Matka Polka stanowi wariację na temat znanych dziewiętnastowiecznych burżuazyjnych norm kobiecości. W całej Europie w tym okresie kobietom z klas średniej i wyższej powtarzano, że mają w życiu dwa cele: wychowywać dzieci oraz być dla mężów ucieleśnieniem moralności i cnoty. W miarę jak kapitalizm przemysłowy zastępował dawniejsze wartości etyczne normami coraz lepiej dopasowanymi do bezwzględnego świata interesów, kobietę zaczęto traktować jako jedyną istotę stojącą między nowoczesnością a zatraceniem. W Polsce, tak samo jak we Francji czy Wielkiej Brytanii, ideał kobiecości zdefiniowano na tyle wąsko, że mógł odpowiadać jedynie tym, których stać było na utrzymanie rodziny wyłącznie z dochodów mężczyzny (luksus nieosiągalny dla chłopów czy robotników przemysłowych). W Polsce ta warstwa ekonomiczna aż do końca XIX wieku ograniczała się praktycznie do dziedzicznej szlachty – czyli grupy, którą najsilniej przyciągał ruch narodowy. Zatem wzorzec Matki Polki dodawał lokalną nutę do popularnego wśród elit ideału kobiecości, przyznając kobiecie obowiązek podtrzymywania już nie tylko moralności i porządku społecznego, ale także samego narodu.

Męskość i kobiecość w XIX wieku: (a) Artur Grottger, *Bitwa*, 1863. Źródło: Muzeum Sztuk Pięknych, Budapeszt; (b) *Pożegnanie i powitanie*, 1865–1866. Źródło: Muzeum Narodowe w Krakowie.

Przywołuję te archetypy, ponieważ kierują naszą uwagę ku istotnemu pytaniu: co tak naprawdę znaczyło być Polakiem? Jeśli jest prawdą, jak staram się dowieść w tym rozdziale, że naród polski (w takim znaczeniu, w jakim dziś o nim myślimy) został stworzony w XIX wieku, w takim razie jacy powinni być jego członkowie i członkinie? Na początku mamy dokładnie te ideały, które właśnie naszkicowałem: Powstaniec i Matka Polka. Obie postacie łączy to, że pochodzą ze szlachty, grupy, która zachowała kulturową hegemonię i moc definiowania polskości długo po tym, jak jej władza ekonomiczna i polityczna zaczęła zanikać. Nie oznacza to, że nie istniały wzorce polskości dla chłopów – te wzorce rozwijały się jednak już w XIX wieku i określano je wobec istniejących wcześniej ideałów szlacheckich. Mityczny chłop polski stał się wyidealizowanym wcieleniem wiejskiej prostoty, zawsze religijnym, pobożnym i znającym swoje właściwe miejsce w społeczeństwie. W mglistej pamięci historycznej doświadczenia i troski szlachty utożsamiono z doświadczeniami i troskami Polski. Zwykło się na przykład nazywać cały okres między 1795 a 1918 rokiem mianem „czasu niewoli". Tymczasem trajektoria chłopskich doświadczeń odnoszących się do owych 123 lat zaczyna się od poddaństwa i przechodzi przez kolejne etapy emancypacji, układając się w zupełnie inną opowieść. Chociaż relatywnie niewielu chłopów angażowało się w sprawę narodową, ci, którzy to robili, stali się w dwudziestowiecznych książkach historycznych ikonami właśnie dlatego, że weszli w rolę narodowego bohatera – Powstańca. O wiele mniej popularni w polskiej narodowej mitologii są chłopi

i chłopki buntujący się przeciw uciskowi pana ziemskiego – postacie tak często spotykane w innych ruchach narodowych (na przykład wśród Ukraińców czy Meksykanów). Jak pokażę w kolejnym rozdziale, na ziemiach polskich rozwinął się ostatecznie ruch ludowy, jednak miał on o wiele mniejszy wywrotowy potencjał niż analogiczne ruchy w innych częściach świata.

Jeśli mogę pozwolić sobie na lekką przesadę, z porównywalną sytuacją mielibyśmy do czynienia, gdyby amerykańska narracja patriotyczna, deklarując, że obejmuje zarówno czarnych, jak i białych, wysławiała posiadaczy ziemskich z Południa i marginalizowała zjawisko niewolnictwa. Analogia jest o tyle trafna, że przez znaczną część XX wieku dokładnie tak uczono nas w Stanach Zjednoczonych historii, zwłaszcza w szkołach podstawowych i średnich, oraz dokładnie tak przedstawiano ją w kulturze popularnej. Klasyczna amerykańska opowieść *Przeminęło z wiatrem* (książka została opublikowana w 1936 roku, film powstał w 1939) jest tego doskonałym przykładem. W tej wizji amerykańskiej przeszłości nie ma miejsca na takie wydarzenia jak powstanie Nata Turnera – stłumiona, ale niezwykle krwawa próba wzniecenia buntu niewolników w 1831 roku. Podobnie, tak samo nieodległe w czasie i jeszcze bardziej krwawe powstanie chłopów w Galicji z 1846 roku nie pasuje do polskiej narracji patriotycznej i zwyczajowo nazywane jest rabacją galicyjską lub rzezią galicyjską. Zbyt dziwacznie by to brzmiało, gdyby użyć nazwy „powstanie galicyjskie". Ani Nathaniel Turner, ani Jakub Szela, najważniejszy chłopski przywódca z 1846 roku, nie weszli

do narodowego panteonu swoich krajów – bynajmniej nie dlatego, że używali przemocy i zabijali niewinnych (wszak wielu ludzi unieśmiertelnionych na pomnikach i w hagiograficznych opowieściach ma krew na rękach), ale dlatego, że sposobu, w jaki z bronią w ręku zakwestionowali swoją pozycję społeczną i położenie, nie da się włączyć w główny nurt narodowej opowieści. W Stanach Zjednoczonych sytuacja się zmieniała, choć bardzo powoli i opornie[7]. Jak jeszcze zobaczymy, komunistyczne władze próbowały z początku dokonać podobnej rewizji historii Polski, jednak nie wywarło to trwałego wpływu ani na historyków akademickich, ani na kulturę popularną.

7 Proces zmian rozpoczął się wraz z ustanowieniem narodowego święta ku czci Martina Luthera Kinga w 1983 roku. W 2016 roku na ekrany kin wszedł ważny (i kontrowersyjny) film poświęcony powstaniu Turnera, *Narodziny narodu*, w tym samym czasie otwarto w Waszyngtonie Narodowe Muzeum Historii i Kultury Afroamerykańskiej.

W skrócie: czy to w reakcji na politykę prowadzoną w zaborach niemieckim i rosyjskim, czy dzięki pracy pisarzy i artystów, czy (rzadziej) dzięki przykładowi bojowników, w przededniu pierwszej wojny światowej idea narodu polskiego była już dobrze utrwalona. W tym czasie niemal każdy mówiący po polsku mieszkaniec dorzecza Wisły miał już przynajmniej poczucie przynależności do czegoś, co nosiło nazwę „Polska". Im dalej na wschód, tym sprawa stawała się bardziej złożona, jako że rodziny dwujęzyczne musiały wybierać, gdzie ulokować swoją lojalność, dla większości jednak język i etykiety etniczno-narodowe zaczynały coraz wyra-

źniej się na siebie nakładać. Ten obraz traci jednak ostrość, gdy zaczynamy się zastanawiać, jakie konsekwencje mogło pociągać za sobą nazwanie się Polakiem. Działacze narodowi uważali, że każdy prawdziwy Polak winien zaangażować się w walkę o niepodległość, niekoniecznie jednak tak się działo. Opinii na ten temat było tyle, ilu Polaków i Polek. Niektórzy marzyli o kolejnym powstaniu, inni byli zwolennikami wywierania nacisku na dyplomatów i polityków z Europy Zachodniej, jeszcze inni uważali, że wystarczyłaby lokalna autonomia, układ podobny do istniejącego w Galicji. Wiele osób, być może większość, najprawdopodobniej nie zastanawiało się zbytnio nad problemem niepodległości, ponieważ wszystkie możliwe scenariusze wydawały się równie mało realistyczne.

* * *

Jednym z budzących najwięcej nieporozumień tematów dziewiętnastowiecznej historii Polski jest związek między ruchem narodowym a Kościołem rzymskokatolickim. Większość hierarchów, a prawdopodobnie także większość szeregowego duchowieństwa przyjmowała wobec zmagań o polityczną odbudowę Polski postawę niejednoznaczną. W czasach rozbiorów Kościół był zaangażowany w zaciekłą walkę z rzecznikami przemian demokratycznych w całej Europie i to wpłynęło na postawę papiestwa wobec sprawy polskiej. W 1790 roku francuskie rewolucyjne zgromadzenie narodowe skonfiskowało rozległe majątki Kościoła, rozwiązało wszystkie zakony

kontemplacyjne, wprowadziło zasadę wybierania biskupów i księży oraz wymusiło na duchownych składanie przysięgi, na mocy której władza narodu francuskiego stać miała wyżej niż władza papieska. Osiem lat później wspierani przez Francję rzymscy rewolucjoniści zdetronizowali papieża Piusa VI i zmusili do udania się na wygnanie (zresztą papież po roku zmarł). Niedługo po tych wydarzeniach niewielki, ale szybko rosnący włoski ruch narodowy zaczął wzywać do zjednoczenia półwyspu i utworzenia jednego państwa włoskiego. Dla wykonania tego projektu należało zlikwidować liczne księstwa i królestwa, które dzieliły Italię, w tym także Państwo Kościelne. Tak więc gdy włoski ruch narodowy odniósł zwycięstwo, państwo kościelne przestało istnieć, papież Pius IX w proteście zamknął się w pałacu w Watykanie, a papiestwo nie uznawało państwa włoskiego aż do 1929 roku. Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno się dziwić, że dziewiętnastowieczny Kościół zażarcie sprzeciwiał się jakiejkolwiek wzmiance o rewolucji i że zwykł zakładać, że ruch narodowy jest rewolucyjny co do zasady. Posłuszeństwo „prawowitym" monarchom przedstawiano katolikom jako cnotę religijną, nawet jeśli ci monarchowie sami nie byli katolikami.

Pozwala to zrozumieć, dlaczego – gdy w 1795 roku został podpisany akt trzeciego rozbioru – papież Pius VI wzywał Polaków, by przyjęli swój los, okazując miłość i wierność nowym władcom. Później, gdy polscy patrioci wystąpili przeciwko carowi w powstaniu listopadowym, papież Grzegorz XVI wydał encyklikę potępiającą buntowników w całkowicie jednoznacznych słowach: „Pod pozorem religii, przeciwko legalnej

książąt władzy głowę podnosząc, ojczyznę swoją, spod należnego posłuszeństwa się wyłamującą, bardzo ciężką żałobą okryli". Przypominał swoim owieczkom, że „posłuszeństwo, które ze strony ludzi należy się ustanowionym od Pana Boga władzom, jest prawem bezwzględnym, któremu nikt [...] sprzeciwiać się nie może"[8]. Ten dokument nadał ton oficjalnemu stanowisku hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego na cały XIX wiek. Oczywiście, Kościół starał się chronić katolików żyjących pod panowaniem prawosławnego cara Rosji czy protestanckiego cesarza Niemiec. Odrodzenie Polski nie miało jednak w Rzymie szans.

8 Grzegorz XVI, *Cum Primum. Encyklika o posłuszeństwie władzy cywilnej*, 9 czerwca 1832, https://bit.ly/3pifIaD.

Stawiało to polskich księży w bardzo niewygodnej sytuacji. Przysięgali posłuszeństwo swoim biskupom, więc nawet jeśli sympatyzowali ze sprawą narodową, było im niezwykle trudno wspierać jakiekolwiek działania, które mogłyby jej rzeczywiście pomóc. Niektórzy mimo wszystko to robili, większość jednak ograniczała się w wyrażaniu uczuć patriotycznych do odprawiania po cichu dla swoich owieczek nabożeństw po polsku (i po łacinie, rzecz jasna). W XIX wieku kilkukrotnie pojawiały się napięcia między duchowieństwem katolickim a władzami niemieckimi czy rosyjskimi, jednak tylko wtedy, gdy władze świeckie próbowały naruszać instytucjonalną autonomię Kościoła. Biskupi wyznaczyli jasną granicę tam, gdzie chodziło o ich prawo powoływania księży i kontrolę nad ich kształceniem, jednak w sprawie narodowego odrodzenia

Polski nawoływali do cierpliwości. Jak mówili księża parafianom, Bóg działa w dziejach, tak więc rozbiory musiały być zgodne z Jego wolą. Jeśli Polacy okażą dostateczną cnotę i jeśli będą żałować przeszłych grzechów, Bóg przywróci im ich ojczyznę.

O ile księżom trudno było wspierać sprawę polską, o tyle z jeszcze większymi problemami mierzyć się musieli rabini. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, by porównywać losy tych dwóch wspólnot religijnych, a przecież w XIX wieku były uderzająco podobne. Żydzi żyli na terenie Rzeczypospolitej od wieków; w czasach rozbiorów stanowili około 6 procent populacji. Ten odsetek wzrósł do 10 procent na początku XX wieku. Warszawa była największym żydowskim miastem na świecie, dopóki krótko po 1900 roku nie wyprzedził jej Nowy Jork (głównie dzięki imigrantom z Europy Wschodniej). Granica osławionej „strefy osiedleńczej" utworzonej w Rosji w celu kontrolowania ludności żydowskiej z grubsza nakładała się na linię, która niegdyś oddzielała Rosję od Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Innymi słowy, nawet większość tak zwanych rosyjskich Żydów była potomkami Żydów z Rzeczypospolitej, zasymilowanych do kultury rosyjskiej w XIX wieku.

W pierwszej Rzeczypospolitej Żydzi stanowili odrębny stan. Mieli samorząd, własne praktyki religijne i zwyczaje, zajmowali niszę ekonomiczną. Podobnie jak niemal wszyscy prócz szlachty, raczej nie mieli powodów do uznawania polskości za tożsamość narodową. Byli Żydami, poddanymi króla państwa polsko-litewskiego i żadne inne etykiety nie były już potrzebne. Relacje między Żydami a szlachtą były na ogół do-

bre. Bogaci właściciele ziemscy wykorzystywali Żydów jako zarządców swoich posiadłości lub karczmarzy, w miasteczkach i wioskach zaś Żydzi pracowali jako rzemieślnicy i kupcy. Odgrywali istotną rolę w gospodarce na wsi, w związku z czym cieszyli się opieką zarówno szlachty, jak i władz państwowych. Duchowieństwo nie było zachwycone takim stanem rzeczy: głosy płynące z ambon pozwalały sądzić, że Żydzi nigdy nie poczują się bezpiecznie. Opozycja Kościoła wobec żydowskiego osadnictwa miała jednak niewielki wpływ na rzeczywistość, Żydzi byli bowiem zbyt ważnym elementem porządku społecznego i gospodarczego.

Postawa chłopów wobec Żydów była bardziej dwuznaczna. Z jednej strony, chłopi i Żydzi byli sąsiadami, ich życiowe drogi nieustannie się przeplatały. Widywali się regularnie na rynkach, znali nawzajem swoje imiona, niekiedy nawet spotykali się podczas rodzinnych uroczystości. Chociaż małżeństwa mieszane były niemożliwe bez przejścia na chrześcijaństwo (a nawet pod tym warunkiem niezwykle rzadkie), źródła dotyczące wiejskiego życia przynoszą opowieści o zakazanych romansach. Był to jeden z toposów w kulturze ludowej: według legendy żydowską kochankę miał król Kazimierz Wielki. Skala kulturowych zapożyczeń najlepiej widoczna jest zapewne w dziedzinie tradycji kulinarnych. Żydzi przyrządzali barszcz czerwony dokładnie tak samo jaki ich nieżydowscy sąsiedzi, *challah* i chałka są identyczne, chciałbym też znaleźć osobę, która wskaże różnicę między *latkes* a plackami ziemniaczanymi. Nawet *gefilte fisz* pojawia się na polskich talerzach jako „karp po żydowsku". Rzecz jasna, istnieją różni-

ce między tym, co dziś uważa się za kuchnię żydowską lub polską – przyrządzenie koszernej wersji bigosu byłoby nie lada wyzwaniem – jednak nawet najbardziej powierzchowne badanie obu tradycji pokazuje, jak zaawansowana była wewnętrzna wymiana kulturowa.

Mimo wszystko bariera kulturowa między chłopami i Żydami była bardzo wysoka. Przywódcy religijni obydwu grup starali się, by pozostały one od siebie oddzielone tak bardzo, jak to tylko możliwe, a ściśle określone zasady, na jakich obydwie grupy funkcjonowały w społeczeństwie, dodatkowo to ułatwiały. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że gospodarka chłopska opierała się na ziemi, a żydowska – na towarach. W wiejskich rejonach Polski przed XIX wiekiem pieniądz był zjawiskiem rzadkim. Chłopi pańszczyźniani spłacali zobowiązania wobec panów feudalnych albo w produktach, albo pod postacią pracy wykonywanej bezpośrednio na rzecz pana i nawet po zniesieniu poddaństwa pozostawali ubodzy, zwłaszcza jeśli idzie o gotówkę. Pieniądze były niezbędne tylko do nabywania dość ograniczonego zestawu dóbr i usług, z których niemal wszystkich dostarczali Żydzi. Ze swojej strony Żydzi musieli polegać na chłopach jako na klientach i odbiorcach usług. Obydwie wspólnoty były więc zależne od siebie i żadna nie mogła obejść się bez drugiej. Jak to jednak często bywa, zależność mogła zarówno prowadzić do zażyłości, jak i rodzić urazy, tworząc (tylko pozornie paradoksalną) więź uczuciową. Jeśli dodamy do tego, że sytuacja ekonomiczna tak chłopów, jak i Żydów była zdecydowanie niestabilna – jedni i drudzy byli zazwyczaj bardzo biedni – możemy

zrozumieć wzajemny brak zaufania. Dwie grupy żyły obok siebie na wyciągnięcie ręki, a zarazem splecione w krępującym uścisku – niemożliwa metafora, ale właśnie dlatego, że jest niemożliwa, dość dobrze ilustruje ten pełen napięć symbiotyczny związek.

Jako że Rzeczpospolita opierała się na systemie stanowych przywilejów i ograniczeń, większość Żydów (po namyśle) zaczęła żałować jej upadku. Państwo nie odgrywało większej roli w życiu Żydów przed rozbiorami, natomiast po rozbiorach centralizujące się i modernizujące administracje Berlina, Wiednia i Petersburga zaczęły ingerować w sprawy lokalne. Regulacje państwowe podważyły tradycyjne praktyki gospodarcze, a armie imperialne zaczęły powoływać żydowskich chłopców. Autonomia, którą niegdyś cieszyły się lokalne żydowskie rady, zniknęła (zniesiona ostatecznie w 1818 roku w Królestwie Polskim) i prawo żydowskie podporządkowano uniwersalizującym kodeksom prawnym. Podobnie jak Polacy, Żydzi także stali się przedmiotem wrogości i całkiem realnego ucisku, a zarazem doświadczali polityki, powszechnej w unowocześniających się państwach, jako formy celowej dyskryminacji. Oburzenie wywołane tą sytuacją nie przekładało się jednak w prosty sposób na poparcie sprawy niepodległości Polski, istniały bowiem wszelkie powody, by przypuszczać, że przyszłe polskie państwo będzie się unowocześniać według tego samego wzorca co mocarstwa zaborcze. Dowody na to pojawiły się podczas powstań w 1830 i 1863 roku, kiedy to zarówno władze rosyjskie, jak i powstańcze domagały się od Żydów wyraźnego opowiedzenia się po którejś ze stron.

W dawnych czasach lojalność cywilów nie miała takiego znaczenia dla walczących armii. Wojny toczyły się między państwami, nie między narodami – innymi słowy, dotyczyły kwestii, które miały ogromne znaczenie dla dyplomatów, polityków i możnych, podczas gdy ludzie na niższych szczeblach hierarchii zazwyczaj starali się trzymać od nich z dala. Istniały rzecz jasna wyjątki, jak wówczas, gdy w wojnach religijnych w XVI i XVII wieku przemoc wykuwała związki między religią a tożsamością, albo jak wtedy, gdy wojna stuletnia rozszalała się na taką skalę, że wielu chłopów odkrywało, iż są, w rzeczywistości, „Anglikami" lub „Francuzami". Jednak w północno-wschodniej Europie nawet na początku XIX wieku takie dziedziny, jak wojna i polityka, wpływały na chłopów, mimo że tak naprawdę chłopów nie uwzględniały. Miało się to zmienić w świecie nowoczesnym, jako że wojny coraz częściej angażowały całą populację w zmagania, w których stawką było życie, a linie dzielące żołnierzy od cywilów stawały się coraz cieńsze. Podczas polskich zrywów antyrosyjskich każda ze stron domagała się od chłopów i od Żydów dostarczania zapasów i informacji o ruchach wroga. Przede wszystkim zaś oczekiwała deklaracji lojalności. Niektórzy Żydzi, zwłaszcza ci z większych miast, entuzjastycznie zgłaszali poparcie dla sprawy polskiej. W małych miasteczkach i na wsi sytuacja była bardziej skomplikowana: część Żydów jawnie deklarowała wierność carowi, przytłaczająca większość jednak rozpaczliwie starała się uniknąć opowiedzenia się po którejkolwiek ze stron. Jeśli żydowski sklepikarz sprzedał zapasy powstańcom, Rosjanie mogli go aresztować za zdradę. Jeśli

jednak ten sam sklepikarz dostarczał zaopatrzenie carskiej armii, mógł zostać zlinczowany przez miejscowe polskie oddziały. Żeby jeszcze pogorszyć sprawę, ani Rosjanie, ani Polacy, nie ufali Żydom, jeśli zatem wyciekały jakieś informacje na temat ruchu sił, Żydzi zawsze stawali się pierwszymi podejrzanymi.

Z tych wszystkich powodów większość przywódców gmin żydowskich zachowywała ostrożność wobec polskiego ruchu niepodległościowego, często kierując się tymi samymi przesłankami co katoliccy duchowni. Ruch niepodległościowy był przez większą część XIX wieku ruchem rewolucyjnym i nawet wówczas, gdy nacjonalizm w późniejszym okresie zaczął dokonywać zwrotu w prawo, wciąż pozostawał otwarcie modernizacyjny. Stanowił zatem zagrożenie zarówno dla księży, jak i dla rabinów. Reakcja rabinów na pojawienie się żydowskiej odmiany nacjonalizmu – ruchu syjonistycznego – była uderzająco podobna do reakcji hierarchii katolickiej na nacjonalizm polski. Tak jak polski ruch narodowy działał na rzecz odbudowy niepodległej Polski, podobnie ruch syjonistyczny liczył na stworzenie niepodległego Izraela; w obu przypadkach przywódcy religijni woleli nawoływać do cierpliwości i poddania się woli Boga.

* * *

Industrializacja zaczęła zakorzeniać się na ziemiach polskich na obszarze rozciągającym się na południowy zachód od Warszawy: przez Łódź w kierunku Śląska (z kilkoma przerwami

po drodze), jednak echa tej zmiany miały dotrzeć do nawet najbardziej odległych wiosek – i niemal wszystko, co niegdyś traktowano jako oczywiste, uległo przekształceniu. Prawdopodobnie nie będzie przesady w tezie, że pokolenie urodzone w latach sześćdziesiątych XIX wieku doświadczyło zmian głębszych i poważniejszych niż jakiekolwiek inne pokolenie w dziejach Europy. Dominowało w tym czasie poczucie niepewności i zagubienia, a ludzie z każdego szczebla drabiny społecznej starali się dojść do ładu z tym, co działo się wokół nich. By opisać zmiany, które zaszły w XIX wieku, używamy dziś wielkich słów: modernizacja, urbanizacja, uprzemysłowienie, utowarowienie i tak dalej. Jednak gdy owe zmiany zachodziły, większość ludzi tych słów nie znała. Zrozumiemy tamtą epokę najlepiej, gdy uświadomimy sobie, że nie rozumieli jej ci, którzy ją przeżyli. Był to czas poszukiwania idei i pojęć, które nadałyby znaczenie przerażającemu, pogrążonemu w zamęcie światu.

W połowie XIX wieku na Ziemi istniało tylko jedno miejsce, w którym większość ludzi mieszkała w miastach, a prawie 50 procent było zatrudnionych w przemyśle. Chodzi o Anglię. Wszędzie indziej dominowało rolnictwo i ziemie polskie nie były tu żadnym wyjątkiem. Skłonni jesteśmy wyobrażać sobie, że chłopi żyją, kierując się odwiecznymi tradycjami, w świecie, który się nigdy nie zmieniał – nie jest to jednak prawda. Wahania na rynkach produktów rolnych nieustająco dawały chłopom mniejszą lub większą siłę przetargową wobec panów ziemskich, również w warunkach poddaństwa i pańszczyzny. Wojny, epidemie i klęski żywiołowe mogły

wywoływać dramatyczne zmiany w sposobie życia. Nawet w miejscach położonych najbardziej na uboczu ludzie spotykali podróżników, kupców i innych obcych przybyszów, a takie spotkania pozostawiały po sobie ślady. Tak więc owo „coś", co nazywamy „wiejską tradycją", podlegało nieustannym modyfikacjom i nieustannie dostosowywało się do nowych warunków. Co nie podważa twierdzenia, że fala zmian osiągnęła nową skalę, kiedy nadeszło dziewiętnastowieczne demograficzne trzęsienie ziemi.

Przeludnienie może być poważnym problemem zarówno dla wsi, żyjącej z uprawy roli, jak i dla rojnego miasta przemysłowego. Gdziekolwiek liczba ludności zaczyna przewyższać tę, którą ziemia może wyżywić, biorąc pod uwagę stopień rozwoju rolnictwa i jakość gleby, przeludnienie może okazać się tragiczne w skutkach. To właśnie wydarzyło się w drugiej połowie XIX wieku w znacznej części Europy północno-zachodniej. Nie było jednej przyczyny: mówiąc najogólniej, problem narastał, w miarę jak warunki życia poprawiały się na tyle, by spadała śmiertelność niemowląt i wydłużał się czas życia, jednak nie na tyle, żeby zagwarantować całej populacji stałą pracę. W XIX wieku nastąpił wysyp nowych odkryć w medycynie i w naukach rolniczych. W 1862 roku Louis Pasteur odkrył, że gotowanie wody zabija drobnoustroje; w 1876 Robert Koch odkrył, że te same drobnoustroje powodują choroby u ludzi, a w 1909 roku Paul Ehrlich wynalazł salwarsan, pierwszy na świecie skuteczny syntetyczny środek bakteriobójczy. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIX wieku John Fowler pracował nad prototypami mechanicz-

nego pługa, który miał się w przyszłości stać pierwszym traktorem, a w 1865 roku Gregor Mendel opublikował artykuł *Badania nad mieszańcami roślin*, w którym wyjaśnił, jak działa dziedziczność, i co za tym idzie, otworzył nowe możliwości udoskonalania roślin uprawnych i żywego inwentarza. Ceny produktów rolnych spadły z powodu osiągniętego wzrostu produktywności, po czym zleciały na łeb na szyję, kiedy nowe technologie usprawniające transport (kolej żelazna i parostatki) pozwoliły odległym producentom zalać ziarnem rynki europejskie. Polscy właściciele ziemscy pozostawali w tyle za producentami w Ameryce i Europie Zachodniej, jeśli idzie o przyswajanie nowych technologii i metod, poza tym sieć kolejowa w Galicji, Królestwie i Cesarstwie Rosyjskim była słaba i niewystarczająca, tak więc zmiany na rynkach doprowadziły do fali bankructw, rujnując wiele niegdyś znamienitych rodzin. Chłopi mogli wykupić część ziemi i często to robili, nawet jeśli z powodu ubóstwa nie było to dla nich łatwe. Mieliśmy zatem do czynienia z dwoma równoczesnymi i wzajemnie się wzmacniającymi trendami: wzrostem populacji i załamaniem rynków produktów rolnych.

Eksplozja demograficzna była wystarczającym problemem sama w sobie. Pewien polski badacz oszacował, że liczba polskojęzycznych ludzi na świecie wzrosła z około 10 milionów w 1870 do ponad 22 milionów w 1910[9]. Tylko w Królestwie Polskim liczba ludności wzrosła o 40 procent w pierwszej połowie stulecia, a o 170 procent w drugiej[10]. Zważywszy że dawna gospodarka oparta na rolnictwie przestawała być opłacalna, co jeszcze wszyscy ci ludzie moglirobić? Wielu

przekroczyło Atlantyk. Między latami siedemdziesiątymi XIX wieku a wybuchem pierwszej wojny światowej miliony mężczyzn i kobiet z najuboższych regionów południowej i wschodniej Europy wyjechało do Stanów Zjednoczonych. Trudno powiedzieć z pewnością, jak wielu było wśród nich Polaków, ponieważ ze wszystkich już wymienionych powodów nie jest bynajmniej jasne, kto w tamtym czasie mógłby zostać nazwany Polakiem. Rachmistrze spisowi w Stanach przed pierwszą wojną światową porządkowali ludzi wedle kryterium, jakim była *nationality*, termin ten nie znaczył jednak tego samego co „narodowość", ponieważ wiązał się z posiadanym wcześniej obywatelstwem. Innymi słowy, formalnie nie istniało coś takiego jak *Polish nationality* w oficjalnych rejestrach przechowywanych w Ameryce. Taka zasada stawała się jednak jawnie absurdalna, kiedy urzędnicy zaczynali pytać ludzi o ich tożsamość. Na przykład w instrukcji skierowanej do rachmistrzów spisowych w 1910 roku wyróżniono populację Amerykanów polskiego pochodzenia i nakazano specjalne ich traktowanie. Instrukcja wskazywała, że „w przypadku osób deklarujących, że urodziły się w Polsce, która nie jest już niezależnym państwem, należy pytać, czy ich miejsce urodzenia znajduje się w miejscu znanym dziś jako niemiecka Polska, austriacka Polska czy rosyjska Polska"[11].

9 Krzysztof Dunin-Wąsowicz, *Struktura demograficzna narodu polskiego w latach 1864–1914. Liczebność i rozmieszczenie*, [w:] *Historia Polski*, t. III, red. Stanisław Arnold, Tadeusz Manteuffel, PWN, Warszawa 1963, s. 95–110.

10 Ireneusz Ihnatowicz, Antoni Mączak, Benedykt Zientara, *Społeczeństwo Polskie od X do XX wieku*, Książka i Wiedza, Warszawa 1979, s. 457–466.

11 *Instructions to Enumerators*, Bureau of the Census, Washington 1910, s. 30.

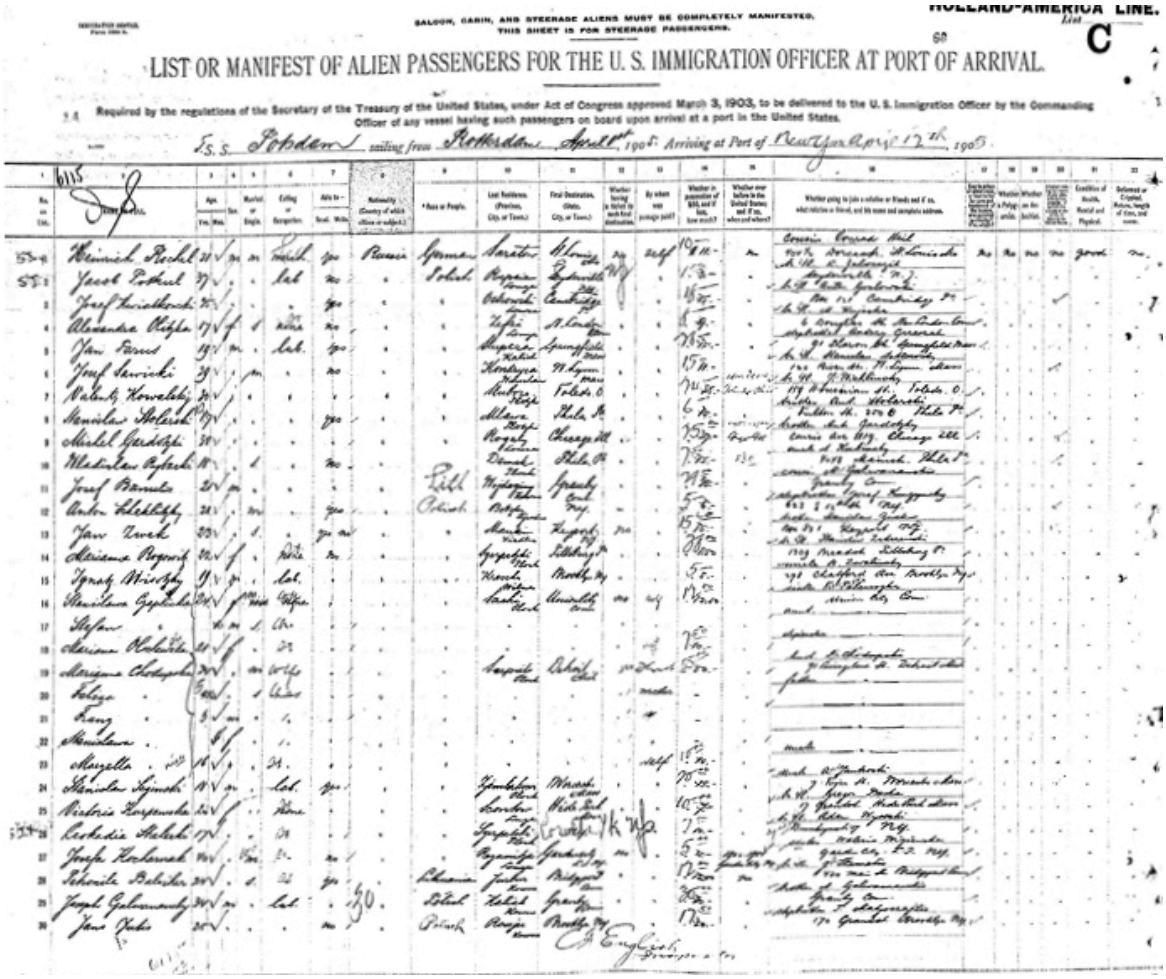

SALOON, CABIN, AND STEERAGE ALIENS MUST BE COMPLETELY MANIFESTED.
THIS SHEET IS FOR STEERAGE PASSENGERS.

HOLLAND-AMERICA LINE.

C

LIST OR MANIFEST OF ALIEN PASSENGERS FOR THE U. S. IMMIGRATION OFFICER AT PORT OF ARRIVAL.

Required by the regulations of the Secretary of the Treasury of the United States, under Act of Congress approved March 3, 1903, to be delivered to the U. S. Immigration Officer by the Commanding Officer of any vessel having such passengers on board upon arrival at a port in the United States.

S.S. Potsdam sailing from Rotterdam April 1st 1905. Arriving at Port of New York April 12th, 1905.

Amerykański rejestr imigracyjny z 1903 roku. Wszystkie osoby w nim ujęte mają wpisaną „narodowość” (*nationality*) rosyjską, natomiast „rasa lub lud” (*race or people*) jest polska, litewska albo niemiecka. Na tej stronie jest pradziadek autora, Stanisław Stolarski

Według spisu ludności z 1910 roku do Stanów Zjednoczonych przybyło około 3,5 miliona ludzi z ziem należących do dawnej Rzeczypospolitej[12]. Około 2 milionów mówiło po polsku i niemal wszyscy zostaliby po 1918 roku obywatelami odbudowanej Polski, gdyby nie przenieśli się do Chicago, Detroit, Buffalo, Pittsburgha lub któregokolwiek innego z amerykańskich miast rozkwitających w tej epoce. Zresztą wielu imi-

grantów w tym okresie wracało ostatecznie do domów, niekiedy odbywając podróż przez Atlantyk kilkukrotnie, nim osiedli po jednej lub drugiej stronie. W 1900 roku na pytanie amerykańskiego urzędu do spraw ludności o pochodzenie narodowe rodziców tylko 326 764 osoby odpowiedziały „polskie". Ta liczba wzrosła do 725 924 w 1910 roku, 1 303 351 w 1920 i wreszcie 2 073 615 w 1930[13].

12 Ihnatowicz, Mączak, Zientara, dz. cyt. s. 19.

13 *Historical Statistics of the United States, Colonial Times to 1957*, United States Bureau of the Census, Washington 1960, s. 65.

Obywatele USA polskiego pochodzenia (pierwsze lub drugie pokolenie)

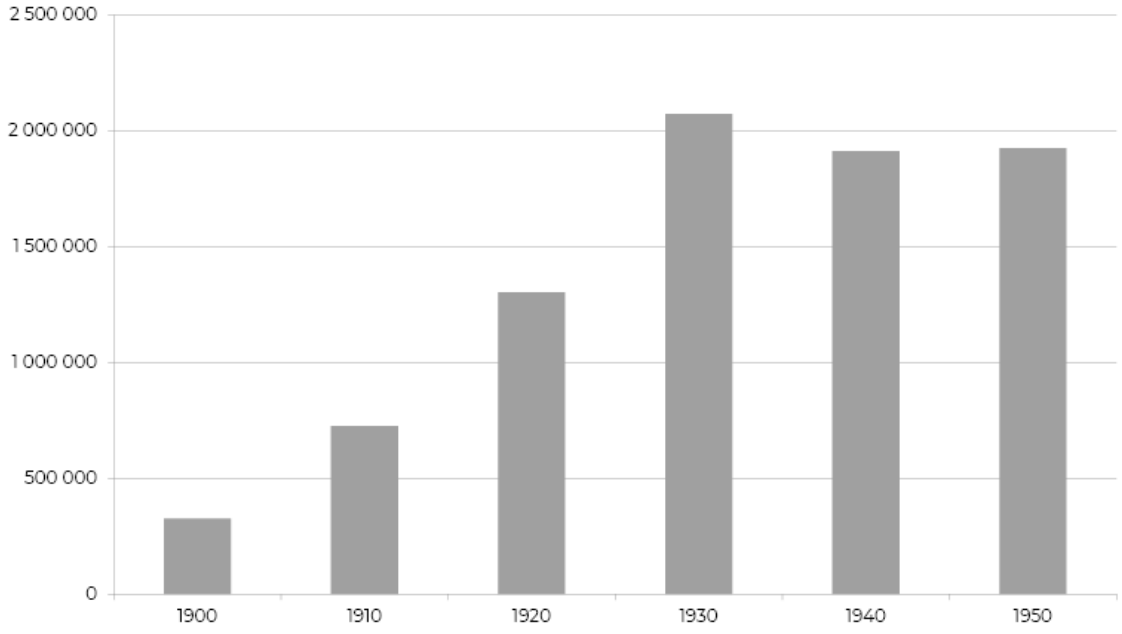

Emigracja za granicę była niezwykle ważnym czynnikiem, jednak jeszcze więcej osób (około 4 milionów) w rejonie pó-

łnocno-wschodniej Europy migrowało między latami siedemdziesiątymi XIX wieku a początkiem wieku XX ze wsi do miast. Warszawa była zapewne w tym okresie jednym z najszybciej rosnących miast w Europie (choć o to wyróżnienie ubiega się kilkoro kandydatów). W czasach powstania styczniowego nie była jeszcze dużym miastem jak na dzisiejsze standardy, liczyła bowiem mniej niż 150 tysięcy mieszkańców. Już około 1882 roku połowę warszawskiej populacji stanowili ludzie urodzeni gdzie indziej, a przed pierwszą wojną światową Warszawa była metropolią liczącą prawie 750 tysięcy ludzi. Około 1930 roku jej liczebność przekroczyła milion[14].

14 Barbara Czerwińska-Jędrusik, *Ludność i powierzchnia Warszawy w latach 1921–2008*, Urząd Statystyczny, Warszawa 2009, s. 12.

W połowie XIX wieku Łódź była wioseczką, w której kilku przedsiębiorców postanowiło otworzyć fabryki włókiennicze. Z 4900 mieszkańców w 1829 roku miasto urosło do 40 tysięcy w 1865, a następnie gwałtownie skoczyło do 300 tysięcy w 1900 i niemal pół miliona u progu pierwszej wojny światowej[15]. W tym czasie Łódź była już jednym z głównych centrów produkcji włókienniczej w imperium rosyjskim. Przenosząc się o kilkaset kilometrów na południowy zachód, docieramy na Śląsk, gdzie imperia rosyjskie, niemieckie i austriackie stykały się ze sobą. Był to, dzięki kopalniom węgla, jeden z najcenniejszych regionów Europy, a gęstość zaludnienia była tu wyższa niż gdziekolwiek indziej na terenach dawnej Rzeczypospolitej.

15 Kalabiński, Kołodziejczyk, dz. cyt., s. 162–163. Julian Janczak, *Ludność*, [w:] *Łódź. Dzieje miasta*, t. 1, red. Bohdan Baranowski, Jan Fijałek, PWN, Warszawa–Łódź 1980, s. 196.

Zwykliśmy uważać Europę Wschodnią za region zacofany i rzeczywiście pod wieloma względami tak było, jednak jeżeli pod koniec XIX wieku człowiek mieszkał w Warszawie, Łodzi lub na Śląsku, należał do cywilizacji przemysłowej podobnie jak mieszkańcy Berlina czy Paryża. Nawet Kraków, który pozostał mały i liczył około 200 tysięcy mieszkańców, uczestniczył w zachodzących zmianach. W 1901 roku wprowadzono tam kanalizację w mieszkaniach i elektryczne tramwaje, elektryczność pojawiła się w 1905, natomiast w 1911 klub piłkarski Wisła dołączył do Międzynarodowego Zrzeszenia Amatorskiego Futbolu (International Alliance of Football Amateurs)[16].

16 Te oznaki rozwoju omówione zostały w: Nathaniel D. Wood, *Becoming Metropolitan: Urban Selfhood and the Making of Modern Cracow*, Northern Illinois University Press, DeKalb 2010, s. 25. Autor przedstawia także pojawienie się szczególnego rodzaju miejskiej, a nie po prostu polskiej tożsamości.

To ostatnie brzmi może trywialnie, stanowi jednak wymowny symbol zmian, które zachodziły na przełomie XIX i XX wieku. W nowym świecie u zarania XX wieku ludzie podłączali się do międzynarodowych sieci w o wiele większym stopniu niż kiedykolwiek wcześniej i zarazem zyskiwali dostęp do zupełnie nowych form spędzania czasu (czy to w pracy, czy po pracy). Rozrywka stawała się międzynarodowym towarem masowym. Przed XIX wiekiem większość zajęć, którym oddawano się w czasie wolnym, miała charakter lokalny i zakłada-

ła współuczestnictwo. Owszem, zawodowi muzycy czy aktorzy służyli królom i arystokracji, a cienka wyższa warstwa społeczeństwa, która była piśmienna, mogła czytać książki drukowane nawet w odległych miejscach. Dzięki kupcom i innym podróżnikom wiadomości, piosenki i tańce docierały nawet do najbardziej odosobnionych wiosek, targi zaś dostarczały okazji do podziwiania przedstawień muzycznych i teatralnych. Potoczne wyobrażenie izolowanej, statycznej kultury chłopskiej odzwierciedla raczej uprzedzenia niż rzeczywistość. Jednak na co dzień zajęcia, które uprzyjemniały życie większości ludzi, wykonywali zazwyczaj sąsiedzi i sąsiadki dla sąsiadów i sąsiadek. Wszystko to miało się zmienić wraz z urbanizacją oraz z towarzyszącym jej pojawieniem się nowych technologii w komunikacji i transporcie. Tempo, w jakim piłka nożna stała się sportem-widowiskiem, stanowi dobrą ilustrację tempa, w jakim zmieniał się cały świat. Początki piłki nożnej w Polsce nie są jasne, wiemy jednak, że w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku kilku nauczycieli w galicyjskich szkołach eksperymentowało z tą grą. Krótka książka zatytułowana *Gry piłką*, która ukazała się w 1896 roku, zawierała instrukcje dotyczące między innymi sportu coraz bardziej popularnego w Wielkiej Brytanii i zwanego tam *footbal*[17]. Pierwsze dwie polskie drużyny, Lechia i Czarni, powstały we Lwowie w sierpniu 1903 roku, a już około roku 1906 nowy sport uprawiały dziesiątki drużyn w całej Galicji. W 1906 roku odbyły się pierwsze międzynarodowe zawody piłkarskie, mianowicie drużyna z krakowskiej szkoły rozegrała mecz przeciwko amerykańskim i brytyjskim członkom Buffalo Bill Wild

West Show, który w tym czasie występował na Błoniach. W 1912 roku wybudowano pierwszy stadion, z trzystoma miejscami, przeznaczony dla klubu Cracovia, który zainaugurowano meczem z Pogonią Lwów, a wynik wyniósł 2:2. Rok wcześniej powstał Związek Footbalistów Polskich, w 1913 roku zaś odbył się pierwszy turniej o mistrzostwo Galicji (Cracovia wygrała na własnym stadionie). Niemal każdy element tej historii byłby niewyobrażalny jeszcze pokolenie wcześniej. Mamy w tej opowieści szkoły, w których działają zorganizowane drużyny sportowe, gotowe przemierzyć setki kilometrów, żeby rozegrać mecz, miasta dość duże, by sponsorować liczne zespoły, standaryzację gry, kierującej się zasadami zapożyczanymi z kraju leżącego tysiące kilometrów dalej i budowę stadionu tylko po to, by ludzie mogli *oglądać* mecz.

17 Edmund Cenar, *Gry piłką*, wydane nakładem autora, Lwów 1896, s. 20–23.

Historia polskiej piłki nożnej ilustruje także nową moc, jaką zyskało słowo drukowane, które szerzyło już nie tylko szczytne idee i wysoką literaturę, ale także wiadomości na temat popularnych masowych rozrywek. Początki prasy w Polsce sięgają przynajmniej XVIII wieku: wydawano wówczas znaczną liczbę gazetek, które miały krótki żywot i rozchodziły się w niewielkim kręgu czytelników. W XIX wieku na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów pojawiło się wiele czasopism i gazet, jednak nawet najważniejsze z nich miewały zaledwie po kilka tysięcy czytelników. Na przykład „Kurjer Warszawski” zaczął się ukazywać jako dziennik

w 1821 roku, jednak dopiero w latach siedemdziesiątych zyskał poczytność. Liczba jego prenumeratorów podskoczyła z 5 tysięcy w 1872 roku do 12 tysięcy w 1878 i prawie 20 tysięcy na przełomie wieków (kiedy gazeta ukazywała się już dwa razy dziennie). Krótko potem (w 1903) powstał masowo dystrybuowany „Goniec", a jego brukowy charakter szybko przyniósł mu około 60 tysięcy czytelników i czytelniczek. Suma nakładów warszawskich gazet wzrosła pomiędzy rokiem 1896 a 1904 trzykrotnie: z 55 730 do 151 230. W tym okresie o uwagę czytelników i czytelniczek zabiegało już 12 dzienników w Warszawie i dwa w Łodzi. Jeśli zwrócimy się ku Galicji, znajdziemy 107 różnych periodyków w 1881 roku i aż 382 w 1910. 312 z nich wydawano po polsku, 42 po ukraińsku, 15 po hebrajsku i 13 w jidysz[18]. W tym okresie każdy, kto mieszkał w pobliżu linii kolejowych, mógł liczyć, że dostanie gazety z danego dnia, podczas gdy do osób mieszkających dalej prasa zwykle docierała z jedno-, dwudniowym opóźnieniem.

18 Statystyki dotyczące rozwoju prasy na ziemiach polskich, patrz: *Prasa polska w latach 1864–1918*, red. Jerzy Łojek, PWN, Warszawa 1976, s. 13.

Rola mediów masowych była nie do przecenienia. Często myślimy o naszych czasach jako o epoce nieporównywalnych zmian w tej dziedzinie, jednak internet jest po prostu rozwinięciem zjawiska, które pojawiło się sto lat temu, kiedy to ludzie po raz pierwszy zetknęli się z ideą, że informacja może przemieszczać się na duże odległości niemal natychmiast, pokonując je szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Wyobraźcie sobie, jak to jest: dorastać w społeczności, w której prawie

wszystko ustalane jest w bezpośrednim kontakcie, wszyscy się znają, zdecydowana większość ludzi umiera w promieniu kilkunastu kilometrów od miejsca urodzenia, a życie codzienne przebiega zgodnie z rytmami natury. A teraz wyobraźcie sobie, że wszystko to zmienia się w ciągu jednego ludzkiego życia. Tego właśnie doświadczali ludzie w ostatnich latach XIX i pierwszych XX wieku w Europie północno-wschodniej. Powszechny nastrój niezadowolenia i niepokoju, charakterystyczny dla tej epoki, można powiązać z fatalnymi warunkami życia i trudnościami gospodarczymi, wyjaśnienie to nie będzie jednak pełne. Równie ważny jest fakt, że praktycznie wszyscy, którzy żyli w tym czasie, zwłaszcza (choć nie tylko) mieszkańcy nowych miast, obserwowali, jak ich świat staje na głowie. To, co odległe, stawało się bliskie, to, co stopniowe, stawało się natychmiastowe, to, co przewidywalne – niepewne, a wszystko, co zdawało się wieczne, rozpływało się w powietrzu.

Historycy od dawna spierają się, czy tym zmianom towarzyszyła poprawa, czy pogorszenie warunków życia. Robotnicy fabryczni w Warszawie czy Łodzi spożywali więcej mięsa niż współcześni im mieszkańcy wsi, jednak takie suche dane zwykle pomijają to, co jest istotą rzeczy. Po pierwsze, w czasach migracji do miast ludność na wsi cierpiała z powodu ostrego kryzysu związanego z przeludnieniem: przede wszystkim dlatego właśnie ludzie przenosili się do miasta. Po drugie i ważniejsze, nowy miejski styl życia okazał się dla byłych mieszkańców wsi w najlepszym razie dezorientujący, bo podlegał nieznanym zasadom i normom, w najgorszym zaś –

opresyjny w sposób, jakiego dotąd nie znali. Pańszczyzna była częścią składową życiowego doświadczenia wielu chłopskich rodzin i nawet na początku XX wieku władzę szlacheckich właścicieli ziemskich trudno było podważyć. Ludzie byli więc w pewnym sensie obeznani z nierównościami wynikającymi z bogactwa i władzy, wszyscy wiedzieli, co to znaczy wykonywać katorżniczą pracę, z której zysk czerpie ktoś inny. Jednakże ci, którzy przenosili się do miast, zetknęli się z nowymi, niepokojącymi *formami* wyzysku. Nawet jeśli obiektywnie doświadczyli poprawy warunków, na przykład pod względem konsumpcji żywności lub oczekiwanej długości życia, trudno im było subiektywnie odczuć tę poprawę, skoro żyli w atmosferze niepewności, byli narażeni na stres i wielokrotnie stawali się ofiarami codziennych nadużyć, charakteryzujących fabryki u zarania kapitalizmu przemysłowego.

Przywykliśmy uznawać, że ludzie opuszczają wieś i przenoszą się do miasta albo porzucają region, w którym występuje wysoki poziom ubóstwa, i migrują za ocean, ponieważ szukają lepszego życia. W pewnym sensie jest to prawda, jednak myśląc tak, zakładamy motywację pozytywną, ambicję, pragnienie pójścia naprzód. Natomiast równie powszechna była motywacja negatywna: rozpaczliwy brak podstawowych środków do życia. Początki uprzemysłowienia stworzyły paskudne widoki: slumsy i fabryki, w których coś takiego jak BHP nie istniało, niewyobrażalnie długie godziny pracy, wyzysk dzieci, masowe bezrobocie i niepełne zatrudnienie, epidemie śmiertelnych chorób zakaźnych, zanieczyszczenie środowiska. Niektórym ludziom – zdecydowanej mniejszości –

udawało się wydostać z tego szamba, by wieść życie bezpieczniejsze i bardziej dostatnie niż to, które wiodły starsze pokolenia mieszkające na wsi, jednak nawet w najlepszych przypadkach mamy do czynienia z historiami osiągnięć poprzedzonych porażką. Zresztą tego typu historie należały do rzadkości. Sukces zależał przede wszystkim od szczęścia; chociaż ciężka praca i oszczędność były konieczne, by osiągnąć dobrobyt, znaczyły niewiele, jeśli wahania rynku lub błędy w zarządzaniu doprowadziły do zamknięcia miejsca pracy.

Być może najgorsze było to, że życiem ludzi zaczęły rządzić siły, których nie rozumieli. Na wsi chłop cierpiał głód, gdy zbiory danego roku były kiepskie – nietrudno więc było zrozumieć powody swojego nieszczęścia. Dla robotników w nowych miejskich przedsiębiorstwach katastrofa mogła nadejść bez jakiegokolwiek wcześniejszego ostrzeżenia: fabrykę po prostu zamykano lub zwalniano pracowników. Wyjaśnienie, że zadziałały tu „siły rynku" lub że właściciel dokonał złej inwestycji, nie było ani satysfakcjonujące, ani pocieszające. Powódź czy suszę można przynajmniej uznać za działania Boga, nowa argumentacja była nie do pojęcia. Co więcej, na wsi każdą katastrofę łagodziły istniejące od dawna sieci wzajemnego wsparcia. Takich sieci bardzo niewiele wytworzyło się w anonimowych miastach, gdzie całe dzielnice powstawały z niczego w ciągu kilku lat, więc ich populacja nie stanowiła żadnej wspólnoty. Świadomość, że nasze życie wisi na włosku, że można pracować ciężko przez dwanaście godzin na dobę, sześć dni w tygodniu, za minimalną płacę, a i tak stracić wszystko, niemal bez uprzedzenia – bardziej niż cokolwiek

innego sprawiała, że Polska u progu XX wieku przypominała beczkę prochu.

Literatura uzupełniająca

Alvis, Robert E., *Religion and the Rise of Nationalism: A Profile of an East-Central European City*, Syracuse University Press, Syracuse 2005

Barańska, Anna, *Między Warszawą, Petersburgiem i Rzymem. Kościół a państwo w dobie Królestwa Polskiego (1815–1830)*, KUL, Lublin 2008

Bartal, Israel, *The Jews of Eastern Europe, 1772–1881*, przeł. Chaya Naor, University of Pennsylvania Press, Philadelphia 2005

Beauvois, Daniel, *The Noble, the Serf, and the Revizor: The Polish Nobility between Tsarist Imperialism and the Ukrainian Masses (1831–1863)*. Harwood, Chur 1991

Berend, Iván, György Ranki, *The European Periphery and Industrialisation, 1780–1914*, Cambridge University Press, Cambridge 1977

Bołdyrew, Aneta, *Matka i dziecko w rodzinie polskiej. Ewolucja modelu życia rodzinnego w latach 1795–1918*, Neriton, Warszawa 2008

Bołdyrew, Aneta, *Społeczeństwo Królestwa Polskiego wobec patologii społecznych w latach 1864–1914*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2016

Bratkowski, Stefan, *Pod tym samym niebem. Krótka historia Żydów w Polsce i stosunków polsko-żydowskich*, Trio, Warszawa 2006

Bucur, Maria, Nancy Wingfield (red.), *Staging the Past: The Politics of Commemoration in Habsburg Central Europe, 1848 to the Present*, Purdue University Press, West Lafayette 2001

Butterwick, Richard, *The Polish Revolution and the Catholic Church, 1788–1792*, Oxford University Press, New York 2012

Bystrzycki, Lech, *Duchowieństwo polskie Kościoła Rzymskokatolickiego w Wielkopolsce w latach 1815–1918*, Wyższe Seminarium Duchowne Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej, Koszalin 1986

Cabaj, Jarosław, *„Walczyć nauką za sprawę Ojczyzny". Zjazdy ponad zaborowe polskich środowisk naukowych i zawodowych jako czynnik integracji*

narodowej (1869–1914), Wydawnictwo Akademii Podlaskiej, Siedlce 2007

Cała, Alina, *Asymilacja Żydów w Królestwie Polskim, 1864–1897. Postawy, Konflikty, Stereotypy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1989

Cała, Alina, *Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1992

Chirot, Daniel (red.), *The Origins of Economic Backwardness in Eastern Europe: Economics and Politics from the Middle Ages until the Early Twentieth Century* University of California Press, Berkeley 1989

Chwalba, Andrzej, *Historia Polski, 1795–1918*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000

Cooley, Timothy, *Making Music in the Polish Tatras: Tourists, Ethnographers, and Mountain Musicians*, Indiana University Press, Bloomington 2005

Corrsin, Stephen D., *Warsaw Before the First World War: Poles and Jews in the Third City of the Russian Empire, 1880–1914*, East European Monographs, Boulder 1989

Dabrowski, Patrice M., *Commemorations and the Shaping of Modern Poland*, Indiana University Press, Bloomington 2004

Dynner, Glenn, *Men of Silk: The Hasidic Conquest of Polish Jewish Society*, Oxford University Press, New York 2008

Dynner, Glenn, *Yankel' s Tavern: Jews, Liquor, and Life in the Kingdom of Poland*, Oxford University Press, Oxford 2014

Eisenbach, Artur, *Emancypacja Żydów na ziemiach polskich 1785–1870 na tle europejskim*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1988

Frank, Alison, *Oil Empire: Visions of Prosperity in Austrian Galicia*. Harvard University Press, Cambridge, MA 2005

Gockowski, Janusz, Andrzej Walicki, *Idee i koncepcje narodu w polskiej myśli politycznej czasów porozbiorowych*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1977

Grzybowski, Konstanty, *Ojczyzna – Naród – Państwo*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1970

Hagen, William W., *Germans, Poles and Jews: The Nationality Conflict in the Prussian East, 1772–1914*. University of Chicago Press, Chicago 1980

Handelsman, Marceli, *Rozwój Narodowości Nowoczesnej*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1923

Hoffman, Ewa, *Sztetl. Świat Żydów polskich*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Brańsk 2001
Hundert, Gershon David, *The Jews in a Polish Private Town*, Johns Hopkins University Press, Baltimore 1992
Ihnatowicz, Ireneusz, *Społeczeństwo polskie, 1864–1914*, Prasa-Książka-Ruch, Warszawa 1988
Ihnatowicz, Ireneusz, Antoni Mączak, Benedykt Zientara, *Społeczeństwo Polskie od X do XX wieku*, Książka i Wiedza, Warszawa 1979
Inglot, Stefan, *Historia chłopów polskich*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1992
Jaeger, Marek, *Terror powstańczy, 1862–1864*, Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Kalisz 2008
Jedlicki, Jerzy, *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku*, WAB, Warszawa 2002
Kalabiński, Stanisław, Ryszard Kołodziejczyk (red.), *Warszawa Popowstaniowa, 1864–1918*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1968
Kalembka, Sławomir, *Powstanie Styczniowe 1863–1864*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1990
Kalembka, Sławomir, Norbert Kasparek (red.), *Między irredentą a kolaboracją. Postawy społeczeństwa polskiego wobec zaborców*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Olsztyn 1999
Kieniewicz, Stefan, *Dramat trzeźwych entuzjastów. O ludziach pracy organicznej*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1964
Kieniewicz, Stefan, *Powstanie Styczniowe*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1972
Kieniewicz, Stefan, *The Emancipation of the Polish Peasantry*, University of Chicago Press, Chicago 1969
Kieniewicz, Stefan, *Trzy powstania narodowe – kościuszkowskie, listopadowe, styczniowe*, Książka i Wiedza, Warszawa 1994
Kmiecik, Zenon, *Prasa Warszawska w latach 1886–1904*, Ossolineum, Wrocław 1989
Kopp, Kristin, *Germany's Wild East: Constructing Poland as Colonial Space*, University of Michigan Press, Ann Arbor 2012
Koropeckyj, Roman, *Adam Mickiewicz: The Life of a Romantic*, Cornell University Press, Ithaca 2008

Korybut-Woroniecki, Aleksander, *Państwo Pruskie wobec Kościoła katolickiego w latach 1837–1842*, Adam Marszałek, Toruń 2006
Kozak, Stefan, *Polacy i Ukraińcy. W kręgu myśli i kultury pogranicza. Epoka romantyzmu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2005
Kozik, Jan, *The Ukrainian National Movement in Galicia, 1815–1849*, University of Toronto Press, Toronto 1986
Krisań, Maria, *Chłopi wobec zmian cywilizacyjnych w Królestwie Polskim w drugiej połowie XIX - początku XX wieku*, Neriton, Warszawa 2008
Król, Marcin, *Konserwatyści a niepodległość*, PAX, Warszawa 1985
Kukiel, Marian, *Dzieje Polski porozbiorowej*, Puls, London 1993
Lehmann, Rose, *Symbiosis and Ambivalence: Poles and Jews in a Small Galician Town*, Berghahn, New York 2002
Leslie, R.F., *Polish Politics and the Revolution of November 1830*, Greenwood Press, London 1969
Leslie, R.F., *Reform and Insurrection in Russian Poland, 1856–1865*, Greenwood Press, London 1963
Levine, Hillel, *Economic Origins of Antisemitism: Poland and Its Jews in the Early Modern Period*, Yale University Press, New Haven 1991
Lewalski, Krzysztof, *Kościół rzymskokatolicki a władze carskie w Królestwie Polskim na przełomie XIX i XX wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2008
Lukowski, Jerzy, *Disorderly Liberty: The Political Culture of the Polish-Lithuanian Commonwealth in the Eighteenth Century*, Continuum, New York 2010
Lukowski, Jerzy, *Liberty's Folly: The Polish Lithuanian Commonwealth in the Eighteenth Century, 1697–1795*, Routledge, London 1991
Lukowski, Jerzy, *The Partitions of Poland: 1772, 1793, 1795*, Longman, New York 1999
Łepkowski, Tadeusz, *Polska. Narodziny Nowoczesnego Narodu, 1764–1870*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1967
Łojek, Jerzy (red.), *Prasa Polska w latach 1864–1918*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1976
Maciejewski, Janusz (red.), *Przemiany formuły polskości w drugiej połowie XIX wieku*, Instytut Badań Literackich, Warszawa 1999

Maciszewski, Jarema, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986

Michalski, Jerzy, *Historia sejmu polskiego*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1984

Miłosz, Czesław, *Historia literatury polskiej*, Znak, Kraków 2016

Molenda, Jan, *Chłopi, naród, niepodległość. Kształtowanie się postaw narodowych i obywatelskich chłopów w Galicji i Królestwie Polskim w przededniu odrodzenia Polski*, Neriton, Warszawa 1999

Nance, Agnieszka, *Literary and Cultural Images of a Nation without a State: The Case of Nineteenth Century Poland*, Peter Lang, Bern 2008

Niedźwiedź, Anna, *The Image and the Figure: Our Lady of Częstochowa in Polish Culture and Popular Religion*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2010

Niemiec, Ryszard (red.), *Początki piłki nożnej w Polsce*, MSiT, Warszawa 2012

Noniewicz, Czesław, *Historia gospodarcza ziem polskich pod zaborami*, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2008

Olszewski, Daniel, *Polska kultura religijna na przełomie XIX i XX wieku*, PAX, Warszawa 1996

Partacz, Czesław, *Od Badeniego do Potockiego. Stosunki polsko-ukraińskie w Galicji w latach 1888–1908*, Adam Marszałek, Toruń 1996

Pobóg-Malinowski, Władysław, *Najnowsza historia polityczna Polski*, B. Świderski, London 1963

Polonsky, Antony, *The Jews in Poland and Russia*, Littman Library of Jewish Civilization, Washington 2010

Prokopovych, Markian, *Habsburg Lemberg: Architecture, Public Space, and Politics in the Galician Capital, 1772–1914*, Purdue University Press, West Lafayette 2008

Rosman, M.J., *The Lords' Jews: Magnate-Jewish Relations in the Polish-Lithuanian Commonwealth during the Eighteenth Century*, Harvard Ukrainian Research Institute and Center for Jewish Studies, Cambridge, MA 1991

Senn, Alfred, *The Emergence of Modern Lithuania*, Columbia University Press, New York 1959

Shanes, Joshua, *Diaspora Nationalism and Jewish Identity in Habsburg Galicia*, Cambridge University Press, Cambridge 2012

Skowronek, Jerzy, *Od Kongresu Wiedeńskiego do Nocy Listopadowej*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987
Stauter-Halsted, Keely, *The Devil's Chain: Prostitution and Social Control in Partitioned Poland*, Cornell University Press, Ithaca 2016
Stauter-Halsted, Keely, *The Nation in the Village: The Genesis of Peasant National Identity in Austrian Poland, 1848–1914*, Cornell University Press, Ithaca 2002
Szacki, Jerzy, *Ojczyzna, naród, rewolucja. Problematyka narodowa w polskiej myśli szlachecko-rewolucyjnej*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1962
Szwarc, Andrzej, Anna Żarnowska (red.), *Kobieta i kultura życia codziennego: wiek XIX i XX*, DiG, Warszawa 1997
Szwarc, Andrzej, *Pod obcą władzą: 1795–1864*, Bellona, Warszawa 1997
Tazbir, Janusz, *Państwo bez stosów*, Iskry, Warszawa 2009
Tazbir, Janusz, *Reformacja w Polsce: Szkice o ludziach i doktrynie*, Książka i Wiedza, Warszawa 1993
Teter, Magda, *Jews and Heretics in Catholic Poland: A Beleaguered Church in the Post-Reformation Era*, Cambridge University Press, Cambridge 2006
Teter, Magda, *Sinners on Trial: Jews and Sacrilege after the Reformation*, Harvard University Press, Cambridge 2011
Tokarski, Sławomir, *Ethnic Conflicts and Economic Development: Jews in Galician Agriculture 1868–1914*, Trio, Warszawa 2003
Trzeciakowski, Lech, *Kulturkampf w zaborze pruskim*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1970
Walczewska, Sławomira, *Damy, Rycerze, Feministki. Kobiecy dyskurs emancypacyjny w Polsce*, eFKa, Warszawa 1999
Walicki, Andrzej, *Filozofia a mesjanizm. Studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970
Walicki, Andrzej, *Mesjanizm Adama Mickiewicza w perspektywie porównawczej*, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 2006
Walicki, Andrzej, *Między filozofią, religią, i polityką. Studia o myśli polskiej epoki romantyzmu*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1983

Walicki, Andrzej, *Rosja, katolicyzm i sprawa polska*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2002
Walicki, Andrzej (red.), *Polska myśl filozoficzna i społeczna*, Książka i Wiedza, Warszawa 1973
Weeks, Theodore, *Nation and State in Late Imperial Russia. Nationalism and Russification on the Western Frontier, 1863–1914*, Northern Illinois University Press, DeKalb 1996
Weinryb, Bernard D., *The Jews of Poland: A Social and Economic History of the Jewish Community in Poland from 1100 to 1800*, Jewish Publication Society of America, Philadelphia 1973
Wereszycki, Henryk, *Historia polityczna Polski, 1864–1918*, Ossolineum, Wrocław 1990
Wood, Nathaniel D., *Becoming Metropolitan: Urban Selfhood and the Making of Modern Cracow*, Northern Illinois University Press, DeKalb 2010
Wyczański, Andrzej, *Polska w epoce Odrodzenia*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986
Yekelchyk, Serhy, *Ukraine: Birth of a Modern Nation*, Oxford University Press, Oxford 2007
Zarycki, Tomasz, *Ideologies of Eastness in Central and Eastern Europe*, Routledge, London 2014
Zayarnyuk, Andriy, *Framing the Ukrainian Peasantry in Habsburg Galicia, 1846–1914*, CIUS Press, Toronto 2013
Żarnowska, Anna, *Robotnicy Warszawy na przełomie XIX i XX wieku*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985

ROZDZIAŁ DRUGI

KRAJOBRAZ POLITYCZNY NA POCZĄTKU XX WIEKU

Beczka prochu, opisana w poprzednim rozdziale, w końcu rzeczywiście wybuchła: najpierw w 1905 roku i ponownie w 1918. Gdy wszystko się skończyło, trzeba było na nowo narysować mapę świata – umieszczając na niej niepodległą Polskę. Patrząc ze współczesnej perspektywy, można odnieść wrażenie, że było to z góry przesądzone. Historycy, opisując XIX wiek, zwykle podkreślają znaczenie ruchu narodowego, toteż odzyskanie niepodległości jawi się jako zwieńczenie dziesięcioleci powstań i patriotycznej agitacji. I nie jest to zupełna nieprawda. Polskie elity polityczne i kulturowe bez wątpienia zajmowały się kwestią istnienia lub nieistnienia niepodległego państwa polskiego. Polska literatura, sztuka, muzyka, filozofia, polityka i gospodarka – wszystkie były powiązane ze „sprawą narodową", a działacze dbali o to, by europejscy i amerykańscy dyplomaci nie pomijali tej sprawy w swoich planach. Jako że pierwsza wojna światowa zakończyła się katastrofą dla wszystkich trzech państw zaborczych, łatwo o tezę, że powstanie na ich ruinach niepodległej Polski było praktycznie nieuniknione. Takie podejście przesłania nam jednak niepewność i chaos pierwszych miesięcy po zakończeniu wojny. Ludzie nie wiedzieli wówczas, co się

wydarzy, gdyż najrozmaitsze siły polityczne starały się zaprojektować przyszłość na zupełnie różne sposoby. Oprócz narodowców istnieli i działali także liczni rzecznicy i rzeczniczki rewolucji społecznej, toteż trudno było przewidzieć, która grupa zwycięży.

W historiografii mówi się często o rewolucji 1905 roku jako o rewolucji rosyjskiej, a przecież nieproporcjonalnie duża część dramatu rozgrywała się wówczas w Warszawie i w Łodzi. W 1905 roku w samej Rosji zastrajkowało około 20 procent robotników zatrudnionych w przemyśle, a w Królestwie pracę przerwało 90 procent ich towarzyszy i towarzyszek. Około 30–40 procent strajków, do których doszło w całym Cesarstwie Rosyjskim, odbyło się na ziemiach polskich. Podczas gdy w Cesarstwie przed 1906 rokiem 5 procent robotników należało do związków zawodowych, w Królestwie odsetek ten wynosił 20 procent – więcej niż w tym samym czasie w Austrii, Belgii czy Francji. Reakcja władz odpowiadała skali aktywizmu. Do jednego z najkrwawszych epizodów podczas całej rewolucji doszło w Łodzi 20 i 21 czerwca 1905 roku, kiedy rosyjskie oddziały zaatakowały manifestację robotników i zabiły przynajmniej czterysta osób. Być może najbardziej godny odnotowania jest fakt, że rewolucja 1905 roku w Polsce nie ograniczyła się do miast: w 41 z 84 powiatów Królestwa zastrajkowali również robotnicy rolni[1].

1 Statystyki za: Robert Blobaum, *Rewolucja: Russian Poland, 1904–1907*, Cornell University Press, Ithaca 1995, s. 72–73.

Wydawanie zasiłków w Warszawie, grudzień 1905 roku. Fot. Ł. Dobrzański, „Tygodnik Ilustrowany” 46/47, 2 grudnia 1905 roku: 849

Działacze polityczni z różnych stron politycznego spektrum starali się od jakiegoś czasu mobilizować robotników i chłopów, na ogół jednak były to wysiłki podejmowane na niewielką skalę i odnoszące dość ograniczone sukcesy. Żadna z partii politycznych, które miały później twierdzić, że organizowały lub zapoczątkowały wydarzenia z 1905 roku, nie może w istocie rościć tu sobie prawa do uznania (lub potępienia). Bliższe prawdy jest stwierdzenie, że partie gotowe były wykorzystać wydarzenia, których ani nie przewidziały, ani nie były w stanie w pełni kontrolować. Łatwiej zrozumieć te pełne zamętu lata, jeśli skupimy się raczej na emocjach niż na

ideologiach. Ludzie, którzy na przełomie wieków przenieśli się do miast, mieli wszelkie powody, by odczuwać niepewność, frustrację, lęk i gniew. Migracje towarzyszą ludzkości od samych jej początków, ci ludzie doświadczali jednak czegoś całkiem nowego: oprócz tego, że musieli podjąć się nowych prac i znaleźć dla siebie nowe domy, zostali wrzuceni w sytuację społeczną, dla której nie istniały jeszcze sprecyzowane normy i oczekiwania. Dawny rytm życia, wyznaczany przez cykliczne zjawiska naturalne i grupowe rytuały niewielkich wspólnot, w miastach tracił sens. Dotyczyło to w szczególności setek tysięcy robotników i robotnic niewykwalifikowanych (stanowiących zdecydowaną większość wśród migrantów), którzy zazwyczaj przez wiele lat musieli mieszkać w przepełnionych fabrycznych barakach, osobnych dla mężczyzn i dla kobiet, zanim udało im się dorobić własnych mieszkań. Ludzi, rzecz jasna, rozwścieczały niskie płace, niebezpieczne i niezdrowe warunki pracy, nędzne i obskurne domy. Równie ważne było jednak poczucie, że trzeba przemierzać świat bez jakiejkolwiek „mapy", że brak jakiegokolwiek systemu wartości lub wskazówek, które nadawałyby sens doznawanym cierpieniom. Polityczne zmagania pierwszych lat XX stulecia można potraktować jako formę rywalizacji między różnymi możliwymi „mapami", z których każda utrzymywała, że pokazuje, skąd biorą się niepewność i niezadowolenie, i wie, jak dotrzeć do miejsca, w którym będzie lepiej.

Mężczyźni i kobiety, którzy dorastali pod koniec XIX wieku, znali zapewne opowieści o tym, jak wyglądało życie w czasach poddaństwa i pańszczyzny, wciąż jeszcze żywych w pamięci

większości ludzi z Europy północno-wschodniej. W czasach rozbiorów około 80 procent ziemi należało do szlachty, reszta zaś była rozdzielona między Kościół i Koronę. Chłopi nie posiadali ziemi. Koło 1870 roku sytuacja wyglądała znacznie lepiej, nawet w tym okresie jednak w rękach chłopskich znajdowała się mniej niż połowa ziemi uprawnej, przy czym na ogół była to ziemia najgorszego rodzaju, podzielona na niewielkie działki[2]. Nabycie gruntu było osiągnięciem nie tylko gospodarczym: oznaczało poprawę statusu, zyskanie szacunku, pewność, że nie będzie się już traktowanym jak czyjaś własność. W tej sytuacji sukcesem było wyjście ze stanu zależności, klęska oznaczała osunięcie się z powrotem w połownictwo (piszę o nim na s. 110), nieco tylko lepsze niż pańszczyzna. Do miast migrowali przeważnie ci, którym nie udało się uzyskać dość ziemi, żeby utrzymać rodzinę i osiągnąć osobistą niezależność. Rozpaczliwie starali się uniknąć poniżającego położenia połowników, zatem jeśli kończyli w fabrykach, traktowani jako tania i wymienna siła robocza, było to dla nich szczególnie trudne do zniesienia. W fabrykach traktowano robotników brutalnie, łącznie z karami cielesnymi, ale sprawy godnościowe również były ważne. Warto podkreślić, że podczas strajków w latach 1905–1906 powszechnie pojawiało się żądanie, aby zwierzchnicy zwracali się do robotników w sposób bardziej formalny. Na wsi pan zwracał się do chłopa per „ty”, chłop zaś musiał używać formy „pan”, nawet jeśli był o wiele starszy od rozmówcy. Strajkujący w 1905 roku zaczęli traktować tego typu językowe nierówności jako obrazę, której nie zamierzali dłużej znosić.

2 Te dane podaję za: Tadeusz Łepkowski, *Polska. Narodziny nowoczesnego narodu, 1764–1870*, PWN, Warszawa 1967, s. 18–22.

Podczas gdy robotnicy domagali się lepszych warunków pracy, a także szacunku i autonomii, działacze polityczni formułowali bardziej rozbudowane, za to mniej konkretne cele. W XIX wieku pojawiła się i rozwijała koncepcja mówiąca, że istnieje szczególna grupa społeczna, zwana inteligencją. Chociaż określenie „klasy inteligentne" oznaczało osoby, które skończyły przynajmniej część gimnazjum i/lub wykonywały pracę umysłową, istniała też bardziej elitarna grupa, dla której inteligencja była nie tyle kategorią socjologiczną, ile powołaniem. Inteligenta definiowało i do dziś definiuje nie tylko wykonywanie określonego zawodu, ale także przyjęcie konkretnej postawy moralnej. Mowa o osobach, które służenie społeczeństwu uznawały za swoją misję i które podporządkowały własne życie wyższym celom. Inteligencja była zwykle zaangażowana politycznie, rzadko jednak jej przedstawiciele bywali politykami w sensie ścisłym, oddawali się raczej tworzeniu literatury i sztuki, objawianiu Prawdy (przez duże P) i służbie społecznej. Mogli jednak także zajmować się budową mostów, leczyć biedaków lub uczyć alfabetu w szkole podstawowej – ważne, by wykonywana praca nie była dla nich po prostu zawodem, lecz powołaniem. Dzieje inteligencji są barwne i bogate, o jej przedstawicielach wiemy bardzo dużo, ponieważ pozostawili po sobie moc źródeł. Wiemy także, że z punktu widzenia większości ludzi przez większość czasu pozbawieni byli jakiegokolwiek realnego znaczenia. Choć nie zawsze: czasami, gdy wychodzili poza swój narcystyczny al-

truizm (nie jest to bynajmniej sprzeczność wewnętrzna), udawało im się wywierać wpływ na otaczający świat. Tak się zdarzyło między innymi na początku XX wieku, kiedy panujący zamęt stworzył fabrykantom idei okazję, by mogli szerzyć swoje przesłanie i zdobyć masową uwagę.

Jakie zatem idee wówczas sprzedawano? Mówiąc w wielkim uproszczeniu, jedni zachwalali „rewolucję", inni reklamowali „naród", jeszcze inni zaś obiecywali jedno i drugie. I choć nikt w tamtym czasie nie zdawał sobie z tego sprawy, klęska akwizytorów miała ich skazać na polityczną niewidzialność. Nadchodziła epoka masowej polityki.

Różne odmiany socjalizmu

W poprzednim rozdziale opisywałem ruch narodowy, który wiek XX odziedziczył po wieku XIX. Idee w czasach rozbiorów przyjmowane głównie przez szlachtę sto lat później były już przedmiotem zainteresowania inteligencji. Klęska zrywu z 1863 roku okazała się dla wielu bogatszych ziemian kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Powstanie spowodowało dramatyczne zniszczenia i straty, ale jego następstwa również były dotkliwe: aresztowania i wygnanie wszystkich, których podejrzewano o jakąkolwiek rolę przywódczą. Pozostali ci, którzy nauczyli się trzymać głowę nisko i dostosowywać się do każdych okoliczności, w jakich się znaleźli. Polityka wynaradawiania, prowadzona w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku, oczywiście wywołała nieunik-

niony patriotyczny opór, jego forma była jednak inna niż przedtem. Rodził się on już nie w dworach i posiadłościach rodów szlacheckich, lecz w szybko rosnących miastach i miasteczkach, a przede wszystkim – w szkołach. Tak kształtowała się ta szczególna odmiana polskiej inteligencji z przełomu wieków.

Większość młodych mężczyzn należących do tej grupy (podobnie jak coraz większa liczba kobiet) zdawała się nie dostrzegać napięcia między celami związanymi z wyzwoleniem narodowym a tymi związanymi z rewolucją społeczną. Nowe pokolenie nie było nadmiernie przywiązane do istniejącego stanu rzeczy, miało natomiast silne poczucie polskości i patriotyzmu, a to stanowiło doskonały przepis na radykalną ideologię wyzwolenia, które byłoby *zarazem* narodowe i społeczne. Przedstawiciele tego pokolenia chcieli zbudować niepodległą Polskę całkowicie odmienną od tej zniszczonej w 1795 roku. Ich Polska miała być wspaniałą ziemią równości, sprawiedliwości i demokracji, otwartą na ludzi bez względu na przynależność językową i religijną. Jeden z przedstawicieli tego pokolenia pisał o sobie i swoich rówieśnikach, iż cechowała ich „religijna niemal wiara, że rewolucja socjalna, że powszechny przewrót społeczny rozstrzygnie od razu wszystkie sprawy, usunie za jednym zamachem wszelki wyzysk i wszelki ucisk [...]. [Mieli] żywe uczucia narodowe i sympatie socjalistyczne, szukali dla odrodzenia narodowego drogi do włościaństwa”[3].

3 Feliks Perl, *Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim*, Życie, Warszawa 1910, s. 81, 231.

Wrzucenie do jednego worka haseł „naród" i „proletariat" było pod koniec XIX wieku czymś raczej niespotykanym w innych krajach Europy. Część pierwszych socjalistów gwałtownie sprzeciwiała się jakimkolwiek formom odrodzenia narodowego, uznając patriotyzm za narzędzie, za pomocą którego odwraca się uwagę robotników od rzeczywistych problemów. Rozumowali w ten sposób: jeśli naród miałby składać się ze wszystkich, którzy mogliby rościć sobie prawo do polskości, oznaczałoby to, że obejmuje zarówno szlachtę, jak i chłopów, zarówno fabrykantów, jak i robotników fabrycznych. Taki amalgamat musiałby z konieczności objąć grupy o sprzecznych celach, a nonsensem było wyobrażać sobie, że jakiś wspólny narodowy interes mógłby je połączyć. Ponadto, twierdzili, podstawowym celem robotników musi być wyzwolenie się od kapitalistycznego ucisku, podczas gdy celem kapitalistów musi być utrzymanie stanu, w którym siła robocza jest łatwo dostępna i posłuszna. Jak to ujęto w jednym z podziemnych socjalistycznych pism w 1880 roku:

> Niepodległość ojczyzny nie zniesie niewoli pracy; będzie ona istnieć dotąd, dokąd monopol posiadania narzędzi pracy jest podstawą ustroju społecznego, dopóty, dopóki w walce pracy z kapitałem pierwsza góry nie weźmie. Walka zaś pracy z kapitałem, walka wyzyskiwanego z wyzyskiwaczem nie cierpi ustępstw; przeciwnie, jest to wieczny antagonizm. Kto stoi po jednej stronie – wróg drugiej; szczęście jednej jest pozbawieniem przywilejów drugiej [...].

> Lud nie ma ojczyzny-Polski; on z niej wyzuty. Lud nasz ma inną ojczyznę, ma solidarność międzynarodową mas pracujących[4].

4 Bez tytułu, w: „Równość" 1880, 10/11 (lipiec/sierpień), za: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich. Wybór pism i materiałów źródłowych*, red. A. Molska, Książka i Wiedza, Warszawa 1962, 1, s. 246, 251.

Takie idee pączkowały w środowiskach polskiej inteligencji w ostatnich dekadach przed pierwszą wojną światową. Ostatecznie najdobitniej wyraziła je charyzmatyczna działaczka i pisarka Róża Luksemburg. Róża Luksemburg sama w sobie stanowi zagwozdkę dla wszystkich, którzy chcą, by człowiek miał jedną jedyną tożsamość: jest żywym przykładem tego, że etniczność jest czymś, co ludzie *robią*, nie zaś czymś, co *mają*. Jej rodzice, żydowscy kupcy, w 1874 roku przeprowadzili się z trzyletnią Różą do Warszawy. W Warszawie uczęszczała do polskich szkół i tu jako piętnastolatka zaangażowała się w działalność jednej z pierwszych organizacji socjalistycznych. W 1889 roku (dwa lata po ukończeniu szkoły), zmuszona uciec z kraju przed aresztowaniem, zapisała się na uniwersytet w Zurychu, wówczas jedną z niewielu uczelni europejskich, które przyjmowały kobiety. Po złożeniu w 1898 roku pracy doktorskiej przeniosła się do Niemiec, gdzie uzyskała obywatelstwo dzięki zaaranżowanemu w tym celu małżeństwu z jednym z niemieckich działaczy. W 1893 roku współzałożyła partię o przydługiej nazwie Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy. Zginęła w 1919 roku, zamordowana podczas rewolucji w Niemczech. Róża Luksemburg nie żywiła

żadnych ciepłych uczuć wobec jakiegokolwiek nacjonalizmu – wszystko jedno, czy polskiego, niemieckiego, rosyjskiego czy syjonistycznego. Jedynym celem, jaki według niej miał znaczenie, była międzynarodowa rewolucja socjalistyczna: Czerwona Róża sprzeciwiała się wszelkim działaniom, które mogłyby doprowadzić do podziałów w walce rewolucyjnej. SDKPiL utrzymywała ścisłe więzi z partiami socjalistycznymi w Rosji i w Niemczech, w nadziei, że wszystkie powstaną razem i wspólnie zrzucą kajdany kapitalizmu. Sama Róża Luksemburg żywiła szczególną niechęć wobec Polskiej Partii Socjalistycznej, która, jak twierdziła, miała na celu „uzurpację przeszłości polskiego ruchu robotniczego na karb dzisiejszego nacjonalizmu, podszywającego się pod sztandar socjalistyczny”[5].

5 Róża Luksemburg, *Pamięci „Proletariatu”*, [w:] „Przegląd Socjaldemokratyczny” 1963, 2, 1, s. 16.

Oczywiście, żaden członek PPS nie zgodziłby się z zaproponowaną przez Różę Luksemburg charakterystyką swojej partii. Podzielali oni pogląd, o wiele popularniejszy wśród polskiej inteligencji, zgodnie z którym ich partia wywodziła się z wczesnodziewiętnastowiecznego rewolucyjnego ruchu narodowego. PPS nie była po prostu partią socjalistyczną dla polskojęzycznych robotników ani też partią socjalistyczną działającą na ziemiach polskich. Była, co podkreślano, *polską* partią socjalistyczną. Jak ujęto to w 1908 roku w jej programie:

> Rozwój kapitalistyczny stwarza i przekształca dążności narodowo-polityczne i w innych klasach społecznych. Wysuwające się warstwy ludowe nie tylko walczą o demokrację, ale w swym bezpośrednim interesie gospodarczym podejmują walkę z narodowym uciskiem, który na gruncie nowożytnych społeczeństw znajduje nową podnietę w dążeniu burżuazji narodowości panujących do wzmocnienia swego klasowego monopolu – monopolem narodowym. Wszakże walkę tę doprowadzi do końca tylko proletariat, jako żywioł najbardziej demokratyczny i najdotkliwiej cierpiący od ucisku narodowości. Ucisk ten przynosi mu bezpośrednią szkodę przez uwstecznianie całego kraju; podsyca fikcję solidarności narodowej, jaką się posługuje burżuazja dla zaciemnienia jego świadomości klasowej; tamuje jego pęd do oświaty i kultury, jaki z nieprzepartą siłą wytryska z potrzeb jego walki klasowej[6].

6 *Dziesiąty zjazd P.P.S. Program, Taktyka, Organizacja*, Wydawnictwa „Myśli Socjalistycznej", Kraków 1908, s. 7.

PPS posługiwała się takimi hasłami jak „Niech żyje wolny polski lud!" i „Chcemy rzeczypospolitej niepodległej i demokratycznej". I argumentowała, że tak jak niepodległość można wywalczyć jedynie przy wsparciu ludu, tak rewolucja społeczna musi zakładać wyzwolenie narodowe.

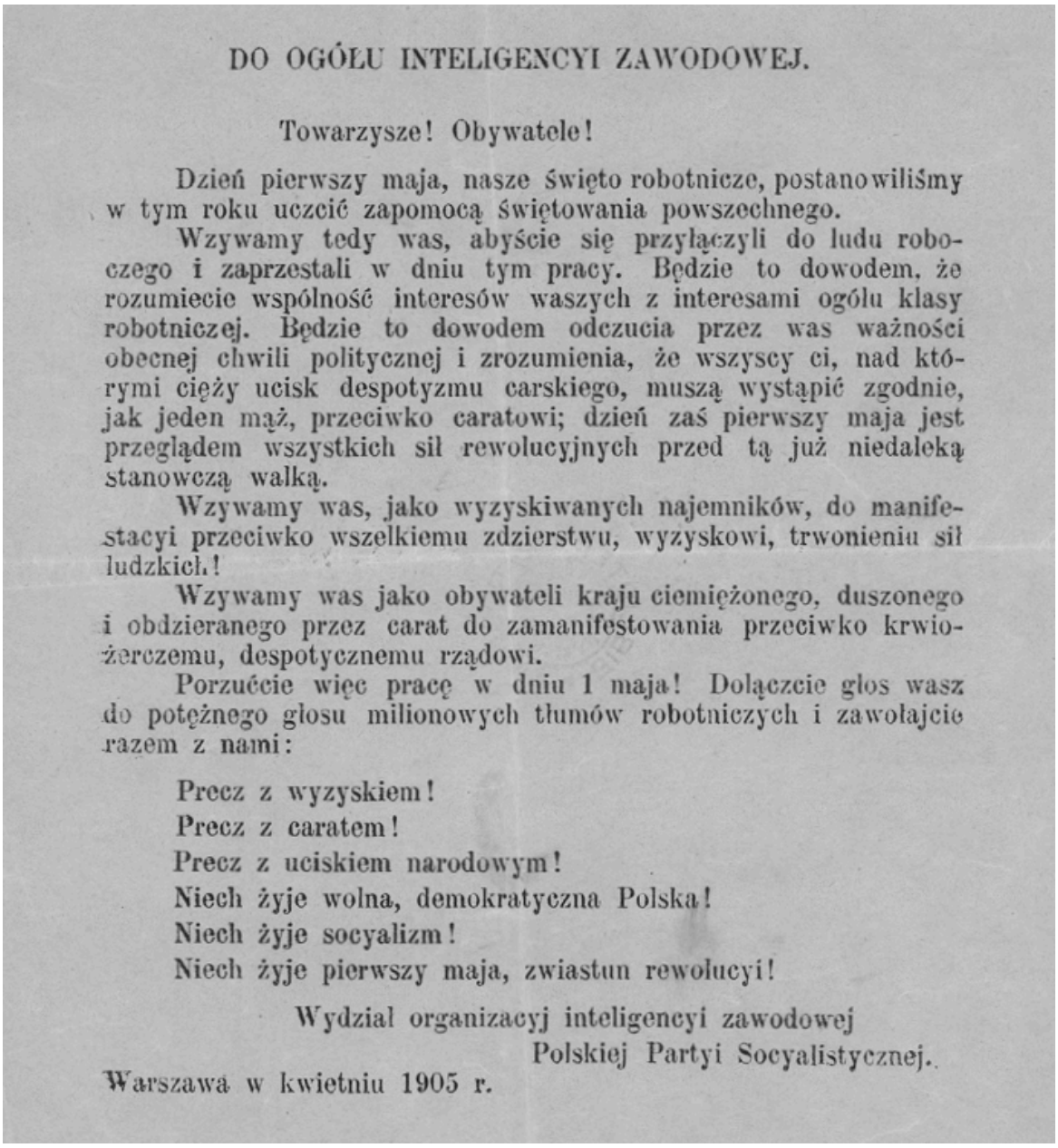

DO OGÓŁU INTELIGENCYI ZAWODOWEJ.

Towarzysze! Obywatele!

Dzień pierwszy maja, nasze święto robotnicze, postanowiliśmy w tym roku uczcić zapomocą świętowania powszechnego.

Wzywamy tedy was, abyście się przyłączyli do ludu roboczego i zaprzestali w dniu tym pracy. Będzie to dowodem, że rozumiecie wspólność interesów waszych z interesami ogółu klasy robotniczej. Będzie to dowodem odczucia przez was ważności obecnej chwili politycznej i zrozumienia, że wszyscy ci, nad którymi ciąży ucisk despotyzmu carskiego, muszą wystąpić zgodnie, jak jeden mąż, przeciwko caratowi; dzień zaś pierwszy maja jest przeglądem wszystkich sił rewolucyjnych przed tą już niedaleką stanowczą walką.

Wzywamy was, jako wyzyskiwanych najemników, do manifestacyi przeciwko wszelkiemu zdzierstwu, wyzyskowi, trwonieniu sił ludzkich!

Wzywamy was jako obywateli kraju ciemiężonego, duszonego i obdzieranego przez carat do zamanifestowania przeciwko krwiożerczemu, despotycznemu rządowi.

Porzućcie więc pracę w dniu 1 maja! Dołączcie głos wasz do potężnego głosu milionowych tłumów robotniczych i zawołajcie razem z nami:

Precz z wyzyskiem!
Precz z caratem!
Precz z uciskiem narodowym!
Niech żyje wolna, demokratyczna Polska!
Niech żyje socyalizm!
Niech żyje pierwszy maja, zwiastun rewolucyi!

Wydział organizacyj inteligencyi zawodowej
Polskiej Partyi Socyalistycznej.

Warszawa w kwietniu 1905 r.

Ulotka PPS z 1905 roku. Źródło: Biblioteka Narodowa

Ciekawie byłoby się przekonać, ilu współczesnych Polaków i Polek wie, że Józef Piłsudski był jednym z założycieli ruchu socjalistycznego na ziemiach polskich. Być może nie powinniśmy wyciągać z owego faktu zbyt daleko idących wniosków, biorąc pod uwagę, że jego historia była typowa dla inteligen-

tów tego pokolenia. Urodził się jako drugi syn w zubożałej rodzinie szlacheckiej, która gdy „Ziuk" miał zaledwie siedem lat, zmuszona sprzedać swoje dobra, przeniosła się do Wilna. Piłsudski był od najmłodszych lat żarliwym polskim patriotą, żywił romantyczne poglądy na bohaterskie dziewiętnastowieczne zrywy patriotyczne (jego ojciec walczył w powstaniu styczniowym). Urodził się i wychował na Litwie i Litwa była jego ojczyzną – to kolejna sprzeczność z punktu widzenia tych, którym się zdaje, że tożsamość etniczno-narodowa jest kategorią jasną i spójną. Podobnie jak wielu jemu podobnych, jeszcze w szkole zaczął działać w radykalnych ruchach uczniowskich i studenckich, za co został aresztowany i zesłany na Sybir. Gdy tylko w 1893 roku wrócił do kraju, natychmiast przyłączył się do ruchu socjalistycznego, a wkrótce stał się jednym z jego przywódców. Był redaktorem PPS-owskiego pisma „Robotnik" i zorganizował całą tajną sieć wsparcia oraz dystrybucji pisma.

Organizacją opartą na założeniach zbliżonych do PPS-owskich był Bund (słowo *bund* znaczy w jidysz „związek"; pełna nazwa Bundu brzmiała po polsku: Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji). Krótko po powstaniu PPS założono w partii „Oddział Żydowski", aby odpowiedzieć na potrzeby tej części proletariatu, której językiem był jidysz, przywódcy partyjni nie uważali jednak, by te potrzeby były jakoś szczególnie ważne. PPS domagała się pełnych praw obywatelskich dla każdego, niezależnie od wyznania i dziedzictwa kulturowego, zarazem jednak uważała za oczywiste, że robotnicy żydowscy będą coraz częściej posłu-

giwać się na co dzień raczej polszczyzną niż jidysz i w końcu staną się po prostu Polakami, tyle że mającymi żydowskie korzenie. Dla wielu znaczących żydowskich socjalistów takie stanowisko było trudne do przyjęcia, nie dlatego, by uważali, że jidysz jest ważny sam w sobie, i z pewnością nie dlatego, by cenili sobie religię żydowską (socjaliści przeważnie byli ateistami). Chodziło im raczej o to, że z uwagi na antysemityzm żydowscy robotnicy stają w obliczu szczególnych problemów, które ich nieżydowscy koledzy nie bardzo rozumieją. Napięcie narastało, aż ostatecznie w 1897 roku powstał Bund, tworzony od początku jako osobna organizacja. Wielu Żydów pozostało w PPS (w roku 1906 około 10 procent członków partii należało do oddziału żydowskiego[7]), ale większość żydowskich socjalistów znalazła się w Bundzie. Z perspektywy czasu widać, że Bund i PPS były do siebie zdecydowanie podobne, przynajmniej pod tym względem, że obie organizacje starały się połączyć tożsamość narodową z działalnością socjalistyczną. Biorąc jednak pod uwagę ostre spory z wczesnych lat, można wybaczyć tym, którzy tego podobieństwa nie dostrzegali.

7 Joshua D. Zimmerman, *Poles, Jews, and the Politics of Nationality: The Bund and the Polish Socialist Party in Late Tsarist Russia, 1892–1914*, University of Wisconsin Press, Madison 2004. s. 214.

Rewolucji 1905 roku nie wywołała żadna partia polityczna – źródła niepokojów sięgały zbyt głęboko, by jakakolwiek pojedyncza grupa działaczy mogła sobie przypisać zasługę. PPS, SDKPiL i Bund były jednak obecne i gotowe, gdy rewolucja na-

deszła. Ich działacze i działaczki od dawna głosili konieczność oporu (w takiej czy innej formie), każda z partii miała też dobrze rozwiniętą sieć komórek w fabrykach. Działalność socjalistyczna, dobrze zakorzeniona tradycja powstań narodowych i robotnicze niezadowolenie – wszystko to zbiegło się 13 listopada 1904 roku. Już kilka miesięcy wcześniej w Warszawie nastrój przerodził się z niezadowolenia w otwarty gniew, kiedy Rosja zaczęła werbować żołnierzy na wojnę, którą właśnie wypowiedziała Japonii. Wykorzystując panującą atmosferę, PPS zorganizowała na placu Grzybowskim w centrum Warszawy demonstrację antywojenną. Wszystko zostało starannie przygotowane: kilka miesięcy wcześniej Józef Piłsudski pojechał do Japonii prosić o wsparcie i otrzymał zapas broni. Kiedy pojawiła się policja, żeby rozbić demonstrację, pięćdziesięciu PPS-owców otworzyło ogień; wywiązała się kilkugodzinna chaotyczna bitwa. Sześć osób zginęło, 27 zostało rannych, a ponad sześćset aresztowano.

Celem Piłsudskiego tego listopadowego dnia 1904 roku było sprowokowanie policji, przy założeniu, że Warszawa uzna właśnie carską policję, a nie PPS, za winną rozpętanej przemocy. Założenie to okazało się słuszne: w kolejnych tygodniach i miesiącach zaczęto organizować demonstracje, które szybko przerodziły się w strajk o wyraźnie politycznym charakterze. Do roku 1906 PPS przekształciła się z organizacji konspiracyjnej w masową (choć, o czym warto pamiętać, nielegalną) partię, liczącą, wedle najśmielszych szacunków, nawet do 55 tysięcy członków oraz dodatkowo 37 tysięcy członków w kontrolowanych przez siebie związkach zawodowych.

SDKPiL nie pozostawała daleko w tyle, miała bowiem 40 tysięcy członków. Liczebność Bundu wynosiła około 35 tysięcy, w tej liczbie byli też jednak bundowcy z Petersburga, Odessy, Moskwy i innych miast Cesarstwa Rosyjskiego[8].

8 Dane pochodzą z: Robert Blobaum, *Rewolucja*, dz. cyt. s. 197, 208.

Ostatecznie rewolucja 1905 nie doprowadziła do zasadniczych przemian ustrojowych. Car w tak zwanym manifeście październikowym zdecydował się na kilka ważnych ustępstw: powołał wybieralny parlament i zagwarantował niektóre podstawowe prawa obywatelskie. Po raz pierwszy można było w Cesarstwie Rosyjskim legalnie zakładać związki zawodowe, choć nowe prawo obwarowano tyloma ograniczeniami, że w praktyce znaczyło bardzo niewiele. Car zadeklarował także, że nierosyjskojęzyczni poddani powinni mieć prawo do edukacji we własnym języku i do wyznawania takiej wiary, jaką sami wybrali. Jednak w ciągu kilku lat znaczna część aparatu represji powróciła na stare miejsce. Historycy rosyjscy od dawna spierają się, czy rok 1905 nie był aby zaledwie przystankiem na drodze osuwania się carskiej Rosji ku zniszczeniom 1917 roku, czy może jednak manifest październikowy położył fundament pod państwo, które mogłoby się zliberalizować, gdyby nie katastrofa pierwszej wojny. Nie musimy tu się zatrzymywać nad tym sporem, ponieważ z perspektywy ziem polskich główne problemy pozostały nierozwiązane. Niektórzy miejscy intelektualiści cieszyli się z tej odrobiny swobód politycznych i kulturalnych, jaką zyskali, większość ludzi we wciąż rozrastających się miastach musiała jednak

nadal zmagać się z tą samą dezorientacją i frustracją co wcześniej. Działacze PPS, SDKPiL czy Bundu nie zamierzali zresztą przerywać agitacji na rzecz rewolucji. W tym miejscu metafora użyta na początku tego rozdziału przestaje być użyteczna, ponieważ beczka prochu, która raz wybuchła, nie powinna już dłużej stanowić zagrożenia. Być może lepszą analogią, tym razem bliską zasobom geologicznym ziem polskich, byłaby analogia z płonącym złożem węgla. Ugaszenie takiego płomienia jest niemal niemożliwe.

Narodowa Demokracja

Rok 1905 oznaczał narodzenie się na ziemiach polskich masowych ruchów politycznych, jednak przecież nie wszyscy, którzy w tym roku wstępowali do organizacji politycznych, stali po stronie socjalistów. Chociaż partie lewicowe były najsilniejsze i najaktywniejsze, około 50 tysięcy osób wybrało którąś z kilku organizacji prawicowych, przeznaczonych wyłącznie dla polskojęzycznych katolików. Największą zaś z tych organizacji było Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, w skrócie Narodowa Demokracja lub endecja. Reprezentowało ono tradycję polityczną całkiem nową na ziemiach polskich, ale mającą pod koniec XIX i na początku XX wieku swoje odpowiedniki w niemal każdym kraju europejskim. Paradoksalnie, podczas gdy PPS proponowała specyficznie polską mieszankę patriotyzmu i socjalizmu, endecja stanowiła lokalny przypadek powszechnego politycznego ruchu. Ruch

ten próbowano określać na wiele sposobów – powiedzmy jednak najprościej, że chodzi o skrajną prawicę.

Biorąc pod uwagę fakt, że polska tradycja patriotyczna zakładała w XIX wieku łączenie walki o narodową niepodległość z ideami rewolucji społecznej, łatwo zrozumieć, że SDKPiL ze swoim programem napotkała poważny opór, przynajmniej wśród inteligencji. Jednak endecja Romana Dmowskiego także na swój sposób starała się zawracać Wisłę kijem, tyle że w zupełnie innym kierunku. Narodowa Demokracja odrzuciła „sny" i „iluzje" o sprawiedliwości społecznej i równości, domagając się, by wszystkie grupy społeczne podporządkowywały swoje potrzeby interesom narodu.

U podstaw Narodowej Demokracji leżała wizja świata określana niekiedy jako darwinizm społeczny (co stanowi, skądinąd, krzyczącą niesprawiedliwość wobec Charlesa Darwina – to jednak zupełnie inna historia). Zgodnie z tą wizją społeczeństwa ludzkie osiągają w dziejach kolejne, coraz wyższe szczeble rozwoju, przy czym rozwój ten można mierzyć, obserwując, które grupy wychodzą zwycięsko z „walki o byt"[9]. Ta idea uwiodła wielu, między innymi Romana Dmowskiego. Zaczął on zdobywać silną pozycję pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku, jeszcze jako młody student biologii na Uniwersytecie Warszawskim. Oburzało go, że część jego kolegów uważała za słuszne organizowanie protestów przeciw narzucanym przez carat ograniczeniom wolności słowa i zgromadzeń razem ze studentami rosyjskimi. Zdaniem Dmowskiego główny problem tkwił nie w tym, że rząd carski był opresyjny, lecz w tym, że był to rząd rosyjski:

> Gdy [moi przeciwnicy] we wszystkich starciach narodu naszego z obcymi uważają za możliwe zajmować stanowisko bezstronne, „zgodne ze słusznością," my w stosunkach międzynarodowych znamy rozległą sferę spraw, w których nie ma ani słuszności, ani krzywdy, jeno współzawodnictwo niedających się pogodzić interesów, w których staje się po jednej lub drugiej stronie nie z poczucia sprawiedliwości, ale z poczucia solidarności z jedną ze stron walczących; oni chcą zawsze i wszędzie być tylko ludźmi stojącymi na straży nieistniejącego lub wyszydzanego prawa, my żądamy od każdego, żeby w stosunku swego narodu do obcych czuł się przede wszystkim Polakiem[10].

9 Dobrym – i ważnym historycznie – przykładem takiego sposobu myślenia są poglądy Herberta Spencera, autora niezwykle popularnego w Polsce pod koniec XIX wieku. Patrz na przykład: *Wstęp do socjologii*, przeł. Henryk Goldberg, Gebethner i Wolff, Warszawa 1884; *Zasady Socyologii*, przeł. Józef K. Potocki, Głos, Warszawa 1889–1890.

10 Roman Dmowski, *Półpolacy*, „Przegląd Wszechpolski" 1902, 8, listopad, s. 11.

Później w tym samym roku Dmowski pisał: „w stosunkach między narodami nie ma słuszności i krzywdy, [...] jest tylko siła i słabość"[11]. To jawne odrzucenie moralności w relacjach międzynarodowych stało się podstawą doktryny, którą prominentny przedstawiciel Narodowej Demokracji określił jako „egoizm narodowy"[12].

11 Tenże, *Myśli nowoczesnego Polaka,* Wydawnictwo Zachodnie, Warszawa 1934, s.

34. Jest to piąte wydanie książki, która po raz pierwszy ukazała się w 1902 roku.

12 Zygmunt Balicki, *Egoizm narodowy wobec etyki*, W.L. Anczyc, Lwów 1902.

Kluczem do sukcesu narodowego, jak uważali endecy, miała być kulturowa jedność. W ich opinii różnorodność Rzeczypospolitej Obojga Narodów była jedną z jej największych słabości. „Państwo, jeżeli tylko jest zdrowe i na silnych oparte podstawach, zawsze asymiluje obce szczepy politycznie i kulturalnie, czy to gwałtem, czy bez jego użycia. Państwo zawsze i wszędzie, mniej lub więcej świadomie, dążyło do wytworzenia kulturalnej jedności”[13] – pisał Dmowski w 1905 roku. W programie Narodowej Demokracji z 1903 roku czytamy:

> Naród, który nie chce nic zdobyć, nic nowego w przyszłości stworzyć, który żadnych pożądań nie ma, ale zadawalnia się tym, co posiada, musi się kurczyć i w końcu zginąć. [...] Istotnie narodowe stanowisko wymaga tego, ażeby dorobek cywilizacyjny społeczeństwa jak najbardziej powiększać, indywidualności jego jak największą treść nadać, a siłom narodowym otworzyć jak najszersze pole działania[14].

13 Roman Dmowski, *Podstawy polityki polskiej*, „Przegląd Wszechpolski” 1905, 11, lipiec, s. 347–348.

14 Program Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego w zaborze rosyjskim, „Przegląd Wszechpolski” 1903, 9, październik, s. 726. Dostępny w wersji zdigitalizowanej na: https://bit.ly/38xRa7B.

To przede wszystkim endecja wprowadziła antysemityzm do polskiego życia publicznego. Jak wyjaśniałem w poprzednim rozdziale, relacje między Polakami a Żydami od dawna opie-

rały się na symbiozie. Rzecz jasna, doskonale zdawano sobie sprawę z różnic kulturowych, po obu stronach nie brakowało także stereotypów, zarazem jednak istniał między nimi powikłany, nierozerwalny związek. Uprzedzenia były zjawiskiem powszechnym, powszechne były też jednak dobre relacje, a nawet przyjaźnie. Dopóki zarówno Żydów, jak i chłopów łączyło porównywalne ubóstwo i brak wpływów, dopóty uprzedzenia dzieliły te dwie grupy, bynajmniej jednak nie musiały rodzić nienawiści. Z pewnością *mogły* – na przykład w latach osiemdziesiątych XIX wieku doszło do fali antyżydowskiej przemocy na Ukrainie – zazwyczaj jednak tak się nie zdarzało. W archiwach i opracowaniach historycznych znajdziemy opowieści czy relacje o konfliktach i przemocy; opowieści o codziennej życzliwości na ogół umykają naszej uwadze. Jednak to ta ostatnia zawsze była i jest normą życia codziennego.

Aby zmienić tę dynamikę, antysemici musieli zmienić dychotomię: podział na Żydów i chłopów trzeba było zastąpić podziałem na Żydów i Polaków, przy czym tę ostatnią grupę rozumiano tak, że obejmowała wszystkich rzymskich katolików mówiących po polsku, niezależnie od pozycji społecznej czy znaczenia. Proces propagowania inkluzywnego ekonomicznie (a zarazem ekskluzywnego kulturowo) rozumienia polskiej tożsamości narodowej z konieczności wymagał wskazania nowego „innego", przeciwnika, wobec którego zarówno bogaci, jak i biedni Polacy musieliby się zjednoczyć. Nowy światopogląd nie zrodził się bezpośrednio z doświadczeń codziennych: można łatwo wskazać grupkę antysemic-

kich ideologów i działaczy, którzy propagowali i rozwijali dobrze przygotowaną teorię dotyczącą tego, jak *naprawdę* działa świat (teorię, która nie była po prostu błędna, ale szkodliwie fałszywa). Zgodnie z tą teorią Żydów nie definiowała religia czy zbiór zwyczajów, ale przede wszystkim nieugaszone pragnienie zniszczenia społeczeństwa chrześcijańskiego i przejęcia władzy nad światem. Pragnienie to, według antysemitów pokroju Dmowskiego, ma charakter dziedziczny, nieważne zatem, czy konkretny Żyd nawrócił się na chrześcijaństwo lub przyswoił sobie polską kulturę. W gruncie rzeczy Żydzi, którzy porzucili jidysz i inne zewnętrzne oznaki swojej kultury, byli najgroźniejsi, trudniej bowiem było ich wykryć.

W ramach swojego spisku Żydzi, według antysemitów, zbudowali system polityczny i gospodarczy, który miał za zadanie osłabić moralne spoiwo podtrzymujące społeczeństwa chrześcijańskie, a następnie przejąć ich bogactwa. Żydzi mieli jakoby stworzyć i wykorzystywać przeciwko chrześcijaństwu dwa narzędzia: z jednej strony liberalną demokrację kapitalistyczną, z drugiej – socjalizm. Pierwsze z tych narzędzi pozwalało rozbijać wspólnoty na zatomizowane, wykorzenione jednostki oraz wprowadzić system gospodarczy, który niósł ze sobą ubóstwo i nierówności. Drugie udawało, że proponuje rozwiązanie tych problemów, antysemici byli jednakże przekonani, że jest to jedynie podstęp. Rzeczywistym celem socjalizmu, twierdzili, jest zwiedzenie nieświadomych mas, nakłonienie ich podstępem, by ślepo podążały za przywódcami, którzy odrzucili moralność chrześcijańską i co za tym idzie, usunęli wszelkie bariery, jakie mogłyby hamować ludzką

skłonność do przemocy. Gdy w ten sposób ulegną erozji wszystkie więzi społeczne – głosiła dalej ta dziwaczna teoria – zostanie przygotowane pole dla ostatecznego zwycięstwa międzynarodowego spisku żydowskiego.

Nie przypadkiem ideologia ta rozwinęła się pierwotnie we Francji i w Niemczech – krajach, gdzie Żydów było naprawdę niewielu, ponieważ łatwiej wierzyć w paranoiczne fantazje, gdy nie ma się kontaktu z rzekomymi organizatorami spisku. Każda nowoczesna ideologia, zarówno na lewicy, jak i na prawicy, wymagała od ludzi uznania istnienia rzeczy, których nie mogli bezpośrednio zobaczyć – czy był to „rynek", „proletariat" czy „naród". Natomiast od ludzi żyjących na ziemiach polskich antysemityzm wymagał więcej: mieli uwierzyć w tajne działania grupy, którą *mogli* obserwować. Gdy rzecznicy antysemityzmu udawali się na wieś, aby nieść tam swoją ewangelię nienawiści, początkowo stykali się z obojętnością i niezrozumieniem. Chłop Jacek łatwo mógł uwierzyć, że kupiec Icek dyktuje niesprawiedliwe ceny, a nawet że w ramach swoich obrzędów religijnych odprawia dziwaczne rytuały. Jednakże opowieść o tym, że Icek należy do spisku, którego celem jest zawładnięcie światem i zniszczenie chrześcijaństwa, wydawała się, mówiąc łagodnie, nieco naciągana. Ostatecznie opowieści tego rodzaju zakorzeniły się na polskiej wsi, rozprzestrzeniały się jednak wolniej niż w tych częściach Europy, w których ludzie rzadziej miewali okazję poznać Żydów osobiście.

Pierwsi ideologowie antysemityzmu na ogół nie wywodzili się z kręgów konserwatywnych. Ziemiaństwo w znacznej

części, podobnie jak chłopi, było raczej zadowolone z tego, że miało Żydów niejako pod ręką, nawet jeśli jednocześnie patrzyło z góry na żydowską religię i sposób życia. Konserwatywne wyższe sfery o wiele bardziej obawiały się zbuntowanych „mas" niż Żydów. Ludzie należący do elity biznesowej, właściciele fabryk i finansiści, także nie byli zbyt podatni na ideologię antysemicką, zwłaszcza że zawierała ostrą krytykę kapitalizmu. Trzeci filar konserwatyzmu, duchowieństwo katolickie, miał ostatecznie licznie wstąpić w szeregi antysemickiej koalicji, początkowo jednak także duchowni uważali apele do „mas" za niepokojące. Antysemityzmu nie promowała zatem „stara prawica", oparta na bogactwie, władzy i pozycji społecznej. Propagowanie antysemityzmu stało się natomiast jedną z najważniejszych spraw „nowoczesnej prawicy", Narodowej Demokracji.

Antysemityzm znajdował się w samym centrum przesłania endecji od momentu narodzin ruchu. Rzecz jasna, intensywność retoryki antysemickiej rosła po 1905 roku, wszystkie jednak jej elementy pojawiły się o wiele wcześniej. Dmowski miał problem ze wskazaniem właściwego miejsca Żydów w swojej wizji walk narodowych, ponieważ zdawali się nie mieć ojczyzny. Nowo narodzony ruch syjonistyczny proponował Żydom powrót do starodawnej ojczyzny na Bliskim Wschodzie, Dmowski jednak uważał to za fantazję. W 1903 roku pisał:

> Ludzie wszakże realni, trzeźwi śród syjonistów musieli zwrócić swą uwagę w innym kierunku, miano-

> wicie w kierunku terytorium stanowiącego dziś główną siedzibę żydów. Krajem tym jest właśnie Polska. Nie czekając na przyszłe ziemie obiecane, trzeba tu przede wszystkim zorganizować żydów w naród, tu zrobić ich głównym korpusem tej wielkiej armii światowej. Niewątpliwie ludzie śmielszej myśli, opierając się na szybkim wzroście ludności żydowskiej, wierzą nawet, że w przyszłości pierwiastek żydowski otrzyma w naszym kraju przewagę i że dzisiejsze terytorium polskie stanie się posiadłością narodu żydowskiego; trzeźwiejsi wszakże nie zapuszczają się prawdopodobnie w dziedziny tak fantastyczne, co im nie przeszkadza rozumieć, że najodpowiedniejszym terenem do organizacji narodowej żydów jest ten właśnie kraj, który największy ich odsetek posiada[15].

15 Roman Dmowski, *Listy warszawskie*, „Przegląd Wszechpolski" 1903, 9, czerwiec, s. 617, 621.

A zatem Dmowski przejął ogólny schemat teorii o międzynarodowym spisku żydowskim i udoskonalił ją tak, by dostosować zagrożenie do polskiej specyfiki. W wersji Dmowskiego obraz walki z żydostwem różnił się zasadniczo od sposobu, w jaki należało walczyć z innymi domniemanymi wrogami polskiego narodu. Endecja twierdziła, że dla Polaków Niemcy i Rosjanie zawsze będą wrogami, ponieważ taka już jest natura relacji międzynarodowych. Równocześnie argumentowa-

no, że nienawiść byłaby tu przeciwskuteczna, emocje bowiem przeszkodziłyby w racjonalnym planowaniu wojny o przetrwanie. Żydzi natomiast w fantazjach Narodowej Demokracji stanowili poważniejsze egzystencjalne zagrożenie, jako ci, którzy rzekomo próbowali zniszczyć Polskę od wewnątrz. Dmowski użył jednej ze swoich ulubionych metafor, pisząc w 1895 roku, że „ludność żydowska jest niezaprzeczenie pasożytem na ciele społecznym tego kraju, który zamieszkuje”[16].

16 Tegoż, *Wymowne cyfry*, „Przegląd Wszechpolski” 1895, 1 (15 maja), s. 147.

Dmowski uważał, że „zdrowy” naród nigdy nie powinien pozwalać na istnienie w swoich szeregach takiego obcego elementu, ponieważ jednak stara tradycja polskiego patriotyzmu była tak bardzo związana z hasłami powszechnych praw, sprawiedliwości i harmonii międzynarodowej, naród stał się bezbronny wobec żydowskich machinacji. Gdyby tylko Polska mogła pozbyć się socjalizmu, liberalizmu, humanitaryzmu i tym podobnych idei, umiałaby sprostać swojemu podstawowemu problemowi. Dmowski pisał: „ciało zdrowe, silne, którego wszelkie czynności odbywają się normalnie według wskazanego przez prawa przyrody porządku, jest najmniej odpowiednim podścieliskiem dla rozwoju pasożytów”[17].

17 Tamże.

Ruch Narodowo-Demokratyczny szerzył ten przekaz za pomocą licznych i skutecznych metod. Przede wszystkim wykorzystywano edukację, organizując na wsi kampanie szerze-

nia piśmiennictwa, w ramach których nauczycieli zachęcano do wpajania, wraz z alfabetem, „prawdziwego patriotyzmu". Endecja wydawała także czasopismo dla chłopów, uzupełnione inspirującymi opowieściami z polskiej historii i relacjami o atakach ze strony licznych wrogów narodu. Mimo to endecja przed 1905 rokiem była niewielką organizacją konspiracyjną, która nie wykraczała poza wąską grupę inteligentów. Miało się to zmienić z dnia na dzień, podobnie jak w przypadku partii lewicowych, o których była mowa wcześniej. Nawet jeśli przywódcy endecji woleliby starannie zaplanowane akcje polityczne od masowych protestów, musieli jakoś odpowiedzieć na pierwotny krzyk, jakim był rok 1905. Dlatego uruchomili na wsi kampanię, która miała na celu uchwalenie przez lokalne wiejskie rady rezolucji z żądaniem wprowadzenia języka polskiego w urzędach, sądownictwie i we wszystkich instytucjach edukacyjnych. Zważywszy że manifest październikowy z 1905 roku przywrócił użycie polskiego w instytucjach publicznych w Kongresówce, można uznać, że kampania ta odniosła sukces. Jednak Dmowski i jego koledzy znaleźli się w niewygodnym położeniu, ponieważ zarówno to przedsięwzięcie, jak i projekty oświatowe podjęte przed 1905 rokiem wymagały znacznej inicjatywy na poziomie lokalnym. Endecja zaś była po prostu zbyt mała, żeby sprawować ścisłą kontrolę nad „armią", którą Dmowski pragnął stworzyć. W miarę jak retoryka Narodowej Demokracji stawała się coraz bardziej antydemokratyczna (paradoks, którego nie przeoczyli przeciwnicy), grupa zaczęła zdobywać członków i zwolenników wśród tych, którzy mieli najwięcej do stracenia w chwili, gdy

nadejdzie rewolucja społeczna. Byli to nie tylko właściciele ziemscy i fabrykanci (członkowie „starej prawicy", którzy zaczęli dryfować w kierunku „nowej"), ale też członkowie klasy średniej – przedstawiciele wolnych zawodów, kupcy, niezależni rzemieślnicy, urzędnicy, księża, a wreszcie chłopi.

Ludowcy

Socjaliści i nacjonaliści mieli stać się kluczowymi graczami życia politycznego w XX wieku niemal wszędzie w świecie nowoczesnym. W Polsce istniała jednak także trzecia siła polityczna, mniej widoczna w Europie, choć często obecna w krajach postkolonialnych: ruch ludowy. Nie jest nam łatwo w pełni pojąć historyczne znaczenie tego ruchu, częściowo z powodu rażąco uproszczonego (choć rozpowszechnionego) przekonania, że orientacje polityczne można pozycjonować tylko wzdłuż jednokierunkowego spektrum, rozciągającego się od lewicy ku prawicy. Ludowcy z początku XX wieku nie wpasowywali się w ten schemat (zresztą do dziś się nie wpasowują). Istniała jedna sprawa, co do której socjaliści, nacjonaliści i liberałowie wszelkich odmian mogli się zgodzić na początku XX wieku: że przyszłość będzie się cechowała coraz większym stopniem uprzemysłowienia i urbanizacji, a produkcja rolna zostanie tak przekształcona, że wielkie gospodarstwa będą mogły korzystać z efektu skali. Ludowcy, którzy sto lat temu odrzucili ten model, starali się bronić idei niezależnej rodziny wiejskiej.

Ponieważ endecja także rywalizowała o poparcie chłopów i ponieważ znaczna część ludności wiejskiej miała ostatecznie zwrócić się ku organizacjom ukraińskim lub białoruskim, Polskie Stronnictwo Ludowe nigdy nie stało się tak wielkie, jak można by oczekiwać, biorąc pod uwagę strukturę demograficzną Europy północno-wschodniej. PSL zawsze jednak należało do najważniejszych graczy na scenie politycznej nowoczesnej Polski, wchodząc, z uwagi na swoją dwuznaczną pozycję ideową, w sojusze zarówno z lewicą, jak i z prawicą. Organizacja wywodziła swój rodowód od grupy zwanej Stronnictwem Ludowym, założonej w Galicji w 1895 roku; „P", czyli „Polskie", dodano w 1903. Choć w rozwoju partii ważną rolę odegrało wiele osób, najbardziej wpływowym przywódcą stał się Wincenty Witos. W przeciwieństwie do wszystkich postaci życia politycznego, o których wspomniałem wcześniej, Witos urodził się w bardzo biednej rodzinie: jego rodzice mieszkali w jednoizbowej chacie, starając się związać koniec z końcem na niecałych dwóch hektarach ziemi. Witos miał za sobą zaledwie cztery lata formalnej edukacji, gdy w wieku czternastu lat zaczął pracować jako drwal. Mniej więcej w tym czasie zaczął interesować się polityką, a gdy miał lat dziewiętnaście, opublikował pierwszy artykuł w adresowanym do chłopów czasopiśmie. Należał do grona pierwszych członków powstałego w 1895 roku Stronnictwa Ludowego. W 1903 roku znalazł się w radzie PSL, a w latach 1908–1914 reprezentował swoją partię w sejmie galicyjskim.

Nie da się mówić o ideologii ludowców w sensie formalnym, ponieważ od samego początku w ruchu ludowym istnia-

ło wiele wewnętrznych sporów. Sam Witos miał odegrać kluczową rolę w podziale PSL na dwa odłamy, do czego doszło w 1913 roku: bardziej konserwatywne i bardziej patriotyczne skrzydło, do którego wszedł Witos, nazwało się PSL-Piast, natomiast skrzydło radykalne – PSL-Wyzwolenie. Tym, co łączyło wszystkich ludowców, było pragnienie zachowania świata niezależnych chłopów-gospodarzy pomimo ogromnych nacisków zmierzających do czegoś wręcz przeciwnego. Pamięć o pańszczyźnie była wciąż świeża, dlatego osobista niezależność pozostawała dla każdego chłopa ważnym celem. Porzucenie wsi dla miasta oznaczało rezygnację z tej niezależności, jednak bardziej bezpośrednim zagrożeniem była nędza, która mogła wpędzić rodzinę we wspomniane już połownictwo. Był to system stosowany przez wielkich właścicieli ziemskich, aby odsunąć od siebie ryzyko związane z uprawą roli. Chłopi dostawali ziemię, z której mieli płacić czynsz; jeśli zbiory były dobre, właściciel ziemski zawsze mógł czynsz podnieść, jeśli natomiast były złe, chłop tak czy owak musiał płacić. Jak łatwo przewidzieć, wpędzało to chłopów w niekończące się zadłużenie i jeszcze bardziej ograniczało ich niezależność. Tylko posiadanie ziemi na własność mogło uchronić chłopów od osunięcia się w połownictwo, nie było jednak o to łatwo w sytuacji, w której szlachta (nikły procent populacji) posiadała mniej więcej połowę ziemi, skazując tym samym miliony chłopów na konieczność dzielenia między siebie tego, co pozostało.

Niezależnie od tego, jakie rozwiązania proponowali ludowcy, aby poprawić życie zubożałych chłopów, najpilniejszą

sprawą pozostała reforma rolna: domagali się, aby państwo odebrało ziemię największym posiadaczom i doprowadziło do bardziej zrównoważonego podziału własności. Uwłaszczenie przeprowadzono w zaborze rosyjskim po powstaniu styczniowym, kiedy państwo carów postanowiło ukarać polską szlachtę i jednocześnie zdobyć lojalność chłopów. Nie zadziałało to zbyt dobrze, ponieważ szlachta uzyskała za utraconą ziemię odszkodowanie, przy czym pieniądze pochodziły z wysokich opłat nakładanych na chłopów, którzy nierzadko musieli się zadłużać, żeby zdobyć fundusze. Tak czy owak, idea reformy rolnej (która miała iść o wiele dalej niż uwłaszczenie, obejmujące sam folwark szlachecki) cieszyła się niesłabnącą popularnością na wsi. Natomiast ekonomista mógłby uznać, że nawet najdalej idąca reforma rolna niewiele by pomogła, ponieważ bezrolnych chłopów było tylu, że niezależnie od formy redystrybucji każdy i tak otrzymałby malutką działkę, bez szansy na produkcję pozwalającą uzyskać dochód odpowiedni dla gospodarstwa rynkowego. Tyle że nie o to chodziło: chłopi nie dążyli do tego, by zostać wiejskimi kapitalistami i zarabiać dość, by uczestniczyć w nowoczesnej gospodarce. Dla większości z nich celem było zdobycie takiej ilości ziemi, która by wystarczała na utrzymanie rodziny i tym samym uniknięcie doli bezrolnego chłopa lub konieczności przeprowadzki do miasta.

Wiele czynników złożyło się na to, że ruch ludowy nie zdołał stworzyć jednej wielkiej organizacji, której skala odpowiadałaby odsetkowi ludności wiejskiej w populacji. Najważniejszą przyczyną podziałów była rosnąca potęga nacjonalizmu.

Działacze ruchu narodowego ciężko pracowali w ostatnich trzydziestu latach XIX wieku (a w niektórych regionach nawet dłużej), szerząc ideę, zgodnie z którą każdy mógł mieć jedną i tylko jedną tożsamość narodową. Do 1900 roku wysiłki te odniosły znaczny sukces, przynajmniej na najbardziej podstawowym poziomie. Nawet jeśli skrajna ideologia endecji okazała się atrakcyjna jedynie dla niewielkiego odsetka adresatów, przytłaczająca większość ludzi nauczyła się ostatecznie określać sama siebie za pomocą „odpowiedniej" etniczno-narodowej kategorii. Kiedy więc w 1895 roku w Galicji powstało Stronnictwo Ludowe, skupiło się przede wszystkim na chłopach polskojęzycznych, do tego stopnia, że w 1903 roku przyjęło nazwę „Polskie" Stronnictwo Ludowe. Decyzja ta nie była wcale tak oczywista, jak mogłoby nam się dziś wydawać. W Galicji wśród pierwszych założycieli ruchu ludowego znaleźli się ludzie, którzy wkrótce mieli stać się ważnymi postaciami ukraińskiego ruchu narodowego. W początkach XX wieku coraz trudniej było zachować tego rodzaju elastyczność. Sam Witos był bardzo przywiązany do przymiotnika „polskie" i uważał mobilizowanie chłopów wokół patriotyzmu oraz sprawy niepodległości za równie ważne jak mobilizowanie ich wokół kwestii gospodarczych. Zbliżył się także do ruchu antysemickiego, aczkolwiek nie w jego najskrajniejszej postaci, opartej na teoriach spiskowych.

Tymczasem ukraińscy chłopi w Galicji Wschodniej i w Cesarstwie Rosyjskim poszli własną drogą. Już na początku XIX wieku niektórzy etnografowie i językoznawcy podkreślali, że na ziemiach stanowiących południowo-wschodnią część

dawnej Rzeczypospolitej istnieją swoista kultura i odrębny język. Było rzeczą oczywistą, że mieszkańcy tych terenów nie posługują się „dobrą" polszczyzną ani „dobrym" rosyjskim, jednak to, jak właściwie mówią, było w XIX wieku przedmiotem sporów i wiele czasu musiało upłynąć, nim ich „dialekt" uznano ostatecznie za „język". Nie istniał zresztą jeden określony sposób posługiwania się tym językiem, ponieważ używano go w regionie rozciągającym się prawie na tysiąc kilometrów ze wschodu na zachód, na obszarach wiejskich, gdzie mobilność była niewielka, a transport bardzo kiepski. Badacze zabrali się jednak do pracy i w 1818 roku opublikowano pierwszą gramatykę języka ukraińskiego, a w 1823 pierwszy słownik. Języki takie jak angielski, francuski czy polski rozwijały się dzięki wsparciu instytucji państwowych i kultury literackiej, Ukraińcy nie mieli takich możliwości przed wiekiem XX. Wcześniej nie było szkół, w których uczono by dzieci „poprawnego" ukraińskiego, tak więc w języku funkcjonowało wiele wewnętrznych odmian. Ułożenie gramatyki lub słownika było gigantycznym przedsięwzięciem, ponieważ obejmowało o wiele więcej niż tylko skodyfikowanie istniejących praktyk językowych. W przypadku języka takiego jak ukraiński wymagało to wybierania słów czy struktur, które miały zostać uznane za „właściwe", i odsyłania innych wariantów do zbioru „dialektów" lub „odmian lokalnych". Był to zatem proces bardzo twórczy.

Gdy już ustanowiono reguły, kilku śmiałych pisarzy zaczęło układać w tym języku wiersze i opowieści, bardzo niewiele osób jednak umiało przeczytać to, co napisali. Ci, którzy

byli piśmienni, posługiwali się na ogół rosyjskim, polskim lub niemieckim, natomiast ludzie mówiący po ukraińsku w większości nie umieli czytać ani pisać, a nawet jeśli potrafili, nie było żadnej gwarancji, że ich wersja języka będzie odpowiadała nowo ustanowionemu językowi literackiemu. Wśród tych, którzy najwcześniej zaczęli promować ukraińską tożsamość etniczno-językową, znaleźli się księża prawosławni i greckokatoliccy, często będący w swoich wioskach jedynymi piśmiennymi osobami. Odegrali niebagatelną rolę, pośredniczą̨c między chłopami a działaczami ruchu narodowego. Władze rosyjskie przyglądały się temu wszystkiemu najpierw podejrzliwie, później z nieskrywaną wrogością. Po powstaniu styczniowym urzędnicy carscy próbowali się rozprawić z wszelkimi przejawami narodowego separatyzmu, więc publikowanie w języku określanym jako „małoruski” zostało całkowicie zakazane – był to los gorszy od tego, co kiedykolwiek spotkało polszczyznę. Szczęśliwie dla ukraińskiego ruchu narodowego wielu ludzi mówiących tym językiem mieszkało nie w carskiej Rosji, lecz w Galicji, pod panowaniem Habsburgów. Cenzura była tam o wiele mniej dotkliwa, a wysiłki na rzecz polonizacji ludności w Galicji wschodniej nigdy nie były tak intensywne jak próby rusyfikacji po drugiej stronie granicy.

Władze Galicji (złożone w znacznej części z konserwatywnej polskiej szlachty) zareagowały natomiast ostro, gdy ruch ukraiński zaczął tworzyć skrzydło polityczne. Jako że po ukraińsku mówili głównie chłopi żyjący na obszarach, na których prawie wszyscy szlacheccy posiadacze ziemscy byli Po-

lakami, rozwój ruchu ludowego w Galicji nabrał specyficznego kolorytu. Patriotyzm Wincentego Witosa umożliwił przynajmniej niektórym polskojęzycznym ludowcom zdobycie punktu zaczepienia w polityce. Sam Witos został nawet wybrany do galicyjskiego parlamentu. Ludowcy działający dalej na wschodzie, pozbawieni tego typu możliwości, radykalizowali się i stawali coraz bardziej oddani sprawie ukraińskiej. Punktem zwrotnym był rok 1900 – niewielka grupa ukraińskich działaczy wydała wówczas w Charkowie (w imperium rosyjskim) proklamację, domagając się „jednej, niepodzielnej, wolnej i niepodległej Ukrainy". Był to kolejny ruch w niekończącej się grze: zarówno polskie, jak i rosyjskie władze starały się zdelegalizować wszelkie ukraińskie próby politycznej samoorganizacji, a ukraińscy działacze odpowiadali na to coraz bardziej radykalnymi działaniami. Skala problemu wyszła na jaw w 1908 roku, kiedy ówczesny gubernator Galicji, Polak, padł ofiarą zamachu ukraińskiego nacjonalisty. Rozwój nacjonalizmu ukraińskiego sprawił, że powstanie jakiegokolwiek ponadnarodowego ruchu ludowego stało się praktycznie niemożliwe.

* * *

A zatem wszyscy aktorzy znaleźli się na scenie i zaczął się pierwszy akt dramatu: rewolucja 1905 roku. Dobrowolna lub wymuszona migracja, a także zamęt (nie mówiąc już o autentycznych krzywdach), stanowiące skutek uprzemysłowienia, doprowadziły do powstania w Europie północno-wschodniej

bardzo niestabilnej sytuacji, przy czym intelektualiści i działacze polityczni próbowali w różny sposób nadać sens dominującym nastrojom i wskazać drogi naprawy istniejącego stanu rzeczy. W pierwszych latach XX wieku zdecydowana większość ludzi deklarowała już jakąś tożsamość narodową, jednak polityczne znaczenie tej deklaracji pozostawało kwestią otwartą. Można było uważać się za Polaka, a zarazem przedkładać kwestie klasowe i problemy robotników ponad jakikolwiek program narodowy. Strajki i gwałtowność wystąpień z 1905 roku nie pozwalały wątpić, że problemy klasy robotniczej stanowią zjawisko powszechne i że w całym Królestwie są silnie odczuwane, nawet jednak ta konstatacja miała dwuznaczne polityczne implikacje. PPS i Bund pokazały, że większość ludzi, których pociągał socjalizm, wolało urzeczywistniać jego założenia w ramach narodu, a nie z jego pominięciem. W zaborze niemieckim i austriackim nie doszło (jeszcze) do rewolucji, jednak tam także niepokoje epoki odcisnęły swoje piętno. Rozkwit ruchu ludowego w Galicji pokazał, że nawet ci chłopi, którzy nie przenieśli się do miast, musieli, na swój sposób, mierzyć się z wyzwaniami nowoczesności. Sukces ruchu narodowego świadczył zaś o tym, że dni, w których szlachta kontrolowała życie polityczne, minęły bezpowrotnie. Jeśli chodzi o polskojęzycznych mieszkańców Niemiec (we wschodnich landach stanowili znaczącą część populacji), to często stawali się wiernymi rekrutami Narodowej Demokracji. Przyczyny tego można wskazać dwie: po pierwsze, w wyniku intensywnych kampanii germanizacyjnych wytworzyli mentalność, której głównym rysem była „walka o byt", a po dru-

gie, niewielki odsetek Żydów mieszkających akurat w tej części ziem polskich ułatwił szerzenie spiskowych fantazji endecji. W rezultacie Europa północno-wschodnia w pierwszej dekadzie XX wieku stała się wylęgarnią zarówno niepokojów społecznych, jak i działalności politycznej, w ramach której próbowano nadać tym niepokojom formę i strukturę. Rewolucja 1905 roku niczego nie rozwiązała i nie przesądziła: wtedy jednak wszystkie karty znalazły się na stole. Wszystko miało zależeć od tego, w jaki sposób karty te zostaną rozegrane w ciągu kilku kolejnych lat.

Literatura uzupełniająca

Blobaum, Robert, *Rewolucja: Russian Poland, 1904–1907*, Cornell University Press, Ithaca 1995

Bratkowski, Stefan, *Pod tym samym niebem. Krótka historia Żydów w Polsce i stosunków polsko-żydowskich*, Trio, Warszawa 2006

Brock, Peter, *Polish Revolutionary Populism*, University of Toronto Press, Toronto 1977

Cywiński, Bohdan, *Rodowody niepokornych*, Więź, Warszawa 1971

Czepulis-Rastenis, Ryszard (red.), *Inteligencja polska pod zaborami*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978

Dekel-Chen, Jonathan, David Gaunt, Natan M.Meir, Israel Bartal (red.), *Anti-Jewish Violence: Rethinking the Pogrom in East European History*, Indiana University Press, Bloomington 2011

Drozdowski, Marian Marek, Jerzy Myśliński, Janusz Sujecki, Anna Żarnowska, (red.), *Stulecie Polskiej Partii Socjalistycznej, 1892–1992*, Gryf, Warszawa 1993

Garlicki, Andrzej, *Józef Piłsudski, 1867–1935*, Czytelnik, Warszawa 1988

Garlicki, Andrzej, *Powstanie Polskiego Stronnictwa Ludowego-Piast*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1966

Gawin, Magdalena, *Spór o równouprawnienie kobiet (1864–1919)*, Instytut Historii PAN, Warszawa 2015

Janowski, Maciej, *Narodziny inteligencji: 1750–1831*, Neriton, Warszawa 2008

Janowski, Maciej, *Polish Liberal Thought up to 1918*, CEU Press, Budapest 2002

Jedlicki, Jerzy, *Błędne koło. 1832–1846*, Neriton, Warszawa 2008

Król, Marcin, *Konserwatyści a niepodległość. Studia nad polską myślą konserwatywną XIX wieku*, PAX, Warszawa 1985

Krzywiec, Grzegorz, *Szowinizm po polsku. Przypadek Romana Dmowskiego (1886–1905)*, Nero, Warszawa 2009

Łepkowski, Tadeusz, *Polska: Narodziny nowoczesnego narodu, 1764–1870*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1967

Lewis, Richard D., *Revolution in the Countryside: Russian Poland 1905–1906*, University of Pittsburgh Press, Pittsburgh 1986

Łuczewski, Michał, *Odwieczny naród. Polak i katolik w Żmiącej*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2012

Marzec, Wiktor, *Rebelia i reakcja. Rewolucja 1905 roku i plebejskie doświadczenie polityczne*, Universitas, Kraków 2016

Marzec, Wiktor, Kamila Piskały (red.), *Rewolucja 1905*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013

Micińska, Magdalena, *Inteligencja na rozdrożach: 1864–1918*, Neriton, Warszawa 2008

Mędrzecki, Włodzimierz, *Młodzież wiejska na ziemiach Polski Centralnej 1864–1939. Procesy socjalizacji*, DiG, Warszawa 2002

Porter, Brian, *When Nationalism Began to Hate: Imagining Modern Politics in 19th Century Poland*, Oxford University Press, New York 2000

Ureña Valerio, Lenny, *Colonial Fantasies, Imperial Realities: Race Science and the Making of Polishness on the Fringes of the German Empire, 1840–1920*, Ohio University Press, Columbus 2019

Ury, Scot, *Barricades and Banners: The Revolution of 1905 and the Transformation of Warsaw Jewry*, Stanford University Press, Stanford 2012

Walicki, Andrzej, *Polska, Rosja, Marksizm: Studia z dziejów marksizmu i jego recepcji*, Książka i Wiedza, Warszawa 1983

Weeks, Theodore R., *From Assimilation to Antisemitism: The „Jewish Question" in Poland, 1850–1914*, Northern Illinois University Press, De-

Kalb 2006
Zimmerman, Joshua D., *Poles, Jews, and the Politics of Nationality: The Bund and the Polish Socialist Party in Late Tsarist Russia, 1892–1914*, University of Wisconsin Press, Madison 2004
Żarnowska Anna, Wolsza, Tadeusz (red.), *Społeczeństwo i polityka: Dorastanie do demokracji: Kultura polityczna w Królestwie Polskim na początku XX wieku*, DiG, Warszawa 1993

ROZDZIAŁ TRZECI

NARÓD CZY REWOLUCJA? 1914–1922

W poprzednim rozdziale pokazałem, w jaki sposób niejasne zmiany, które zachodziły u progu XX wieku, interpretowali politycy, działacze i intelektualiści, a także czy różnym światopoglądom i różnym punktom widzenia udało się przejść próbę podczas niepokojów społecznych znanych jako rewolucja 1905 roku. Gdy kurz opadł, stało się jasne, że polityka nigdy już nie będzie taka sama, ponieważ elity utraciły wszelkie złudzenia, jakoby mogły samodzielnie kontrolować bieg wydarzeń. Milionami robotników i chłopów, którzy strajkowali lub protestowali, nie kierowało żadne centrum władzy – ani socjalistyczne, ani nacjonalistyczne, ani ludowe. Rzecz jasna, wielu działaczy opozycyjnych twierdzących, że przemawiają w imieniu mas, wywoływało lub starało się powstrzymać konkretne demonstracje, wszyscy byli jednak samozwańczymi rzecznikami, mającymi (w najlepszym razie) jedynie częściową legitymację. Nikt nie miał jeszcze czasu zbudować instytucji politycznych, które mogłyby wydawać polecenia i oczekiwać, że będą konsekwentnie wykonywane. Rok 1905 dostarczył natomiast bodźca do pracy nad stworzeniem tego rodzaju instytucji, kolejne lata zaś stały się świadkami gwałtownego wzrostu liczby i liczebności partii politycznych, związków zawodowych, sieci wiejskich spółdzielni, a nawet klubów społecznych i kulturalnych.

Wszystkie te nowe instytucje, nie mówiąc już o rządach państw zaborczych, musiały odpowiedzieć sobie na pytanie egzystencjalne: czego pragnie lud? Albo przynajmniej: jak przekonać lud, by zachował spokój? Dlaczego w 1905 roku tak wiele osób, mężczyzn i kobiet, zaryzykowało swoje życie i naraziło się na utratę źródła dochodów, aby zademonstrować swój gniew? Czego się domagali: rewolucji społecznej, reformy rolnej czy niepodległości narodowej? A może byli po prostu niezadowoleni z warunków życia, przy czym ich potrzeby mogłyby zostać zaspokojone w ramach istniejących struktur politycznych i ekonomicznych? Rzecz jasna, nie istniał sposób, by odpowiedzieć na te pytania, ponieważ „lud" nie jest i nie był pojedynczym rzeczownikiem (niezależnie od formy gramatycznej). „Lud" – oni – zawiera w sobie nieredukowalną różnorodność poglądów, pragnień i żalów. Rozpoznawanie heterogeniczności było jednak umiejętnością, której żaden z działaczy z początków wieków nie opanował zbyt dobrze.

Czasu, by rozwodzić się nad tymi kwestiami, było mało, ponieważ w ciągu mniej niż dekady po 1905 roku stary porządek świata miał się załamać, pozostawiając po sobie bezprecedensową społeczną, polityczną i gospodarczą próżnię. Pierwsza wojna światowa, najstraszniejszy konflikt w dotychczasowej historii Europy, przyniosła śmierć ponad 10 milionów ludzi w ciągu mniej niż czterech lat. Straszliwe okrucieństwa, które wydarzyły się w XX wieku, sprawiły, że trudno nam dziś zrozumieć, jaką traumą była Wielka Wojna. Choć umowną datą jej zakończenia jest listopad 1918 roku, takie ujęcie uwzględnia jedynie doświadczenie mieszkańców Euro-

py Zachodniej. Na froncie wschodnim walki trwały jeszcze przez trzy lata, choć pod innym zwierzchnictwem i z innymi walczącymi stronami. Rosyjska wojna domowa, wojna polsko-bolszewicka, powstania śląskie, przemoc towarzysząca rewolucji i kontrrewolucji w Niemczech i na Węgrzech – wszystkie sprawiły, że rozlew krwi i spustoszenia poczynione przez pierwszą wojnę światową we wschodniej i środkowej Europie trwały jeszcze długo po podpisaniu oficjalnego zawieszenia broni, dodając kilka milionów do rachunku wojennych ofiar. Przemoc miała tak okrutny charakter, że niektórzy historycy mówią o „wschodnioeuropejskiej wojnie domowej", trwającej w latach 1918–1921, podczas której porządek społeczny ulegał czasowemu rozkładowi, zastąpiła go natomiast brutalna wojna wszystkich przeciwko wszystkim, która trwała, póki nie udało się stworzyć nowych instytucji państwowych i odbudować ładu społecznego[1]. W tym okresie krwawego bezkrólewia przemoc pojawiała się po każdej stronie, a granice między walką partyzancką, operacjami wojskowymi i bandytyzmem okazywały się płynne.

1 Termin ten stworzył Jochen Böhler, *Civil War in Central Europe, 1918–1921: The Reconstruction of Poland*, Oxford University Press, New York 2018.

W tej gigantycznej rzezi dawne normy polityczne, społeczne i gospodarcze zostały skompromitowane i uległy zniszczeniu. Mówimy dziś o rewolucji rosyjskiej, a przecież przez krótki czas istniała realna możliwość, że przerodzi się ona w rewolucję powszechną, moment twórczego zniszczenia, który wywróci wszystkie dawne centra władzy i wprowadzi

całkowicie nowy światowy porządek. Dla niektórych była to porywająca perspektywa, budząca nadzieje na przyszłość; innym zdawało się, że nadeszła apokalipsa i że sama cywilizacja stanęła na skraju rozpadu. Tak czy owak, w latach 1917–1919 większość ludzi czuła, że żyje w czasach globalnego załamania, w których tytaniczne siły dobra i zła walczą o kontrolę nad przyszłością. Właśnie dlatego Wielka Brytania, Francja i Stany Zjednoczone wysyłały pomoc wojskową do Rosji i do Europy Wschodniej zaraz po wojnie. Przywódcy kapitalistycznych potęg uznali, że wydarzenia w Rosji są częścią większego pakietu zjawisk, które będą miały bezpośredni wpływ na sytuację w reszcie Europy.

Ostatecznie cała historia nie zakończyła się ani nadejściem utopii, ani apokalipsą, nie umniejsza to jednak skali zmian, które nastąpiły, ani wagi decyzji podejmowanych w czasie tych kilku brzemiennych w skutki lat. To, że skutkiem wojny będzie powstanie jakiejś Polski, prawie od początku zdawało się bardzo prawdopodobne, jednak to, jaka ta Polska będzie, gdzie będzie się znajdowała i kto nią pokieruje, pozostawało sprawą otwartą. Chyba najistotniejszym z trudnych pytań było pytanie o to, czy upadek państw zaborczych doprowadzi do rewolucji społecznej, czy do powstania odrębnych państw narodowych. Jak już zostało powiedziane, część działaczek i działaczy politycznych (i tych z SDKPiL na lewicy, i z endecji na prawicy) uważała, że te dwa cele są całkowicie rozłączne. Prawdziwymi zwycięzcami w latach powojennych okazali się jednak ci, którzy uznali, że niepodległość i rewolucja służą sobie nawzajem. Wydarzenia roku 1918 były zarówno kulmi-

nacją dziesięcioleci pracy nad budowaniem narodu, jak i tą chwilą, w której rozlały się frustracja i gniew wywołane zamętem i towarzyszącymi mu tragediami. Jak miało się okazać, istniało silne pragnienie, by mieć ciastko i zjeść ciastko: aby udały się i narodowa odbudowa, i rewolucja społeczna.

PPS i endecja

Osobiste decyzje podejmowane przez Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego po 1905 roku stanowią dobry przykład alternatyw, jakie zarysowały się w tych latach. Może zresztą słowo „alternatywy" jest zbyt łagodne: socjaliści i endecy w czasie rewolucji zabili więcej działaczy innych partii polskich niż policjantów i urzędników carskich. PPS nie tylko zyskała podczas rewolucji wielu członków, ale także zdobyła mocny przyczółek wśród związków zawodowych, które zalegalizowano (choć zarazem poddano nieznośnym ograniczeniom). Z drugiej strony – rewolucja była przegrana i tarcia wewnątrz partii niebawem doprowadziły do rozłamu. SDKPiL odgrywała w związkach zawodowych niewielką rolę, ponieważ jej najważniejsi działacze uważali, że związki służą jedynie (sic!) temu, żeby poprawiać warunki pracy i płacy robotników, nie posuwając naprzód sprawy rewolucji socjalistycznej. Endecja z kolei stworzyła własne „narodowe" związki, do których należeć mogli tylko polskojęzyczni katolicy, jednak jako że Dmowskiego pochłaniały kwestie dyscypliny partyjnej i z uwagi na awersję, jaką żywił wobec robotniczej działalno-

ści opartej na podziałach społecznych, prawicowe związki zawodowe pozostały mniejsze i mniej bojowe niż te na lewicy. Niepokoje na wsi w 1905 roku pozwoliły ruchowi ludowemu zdobyć punkt zaczepienia w Królestwie, PSL pozostawało jednak nadal partią przede wszystkim galicyjską. Przy czym im dalej na południowy wschód, tym bardziej Witos musiał brać pod uwagę rosnący w siłę ruch ukraiński. Bund natomiast miał mocną pozycję wśród robotników żydowskich, porównywalną z PPS (a czasem nieco konkurencyjną wobec tej partii).

Choć zdawało się, że PPS się umocniła, partię rozdzierały wewnętrzne spory. Piłsudski i wielu starszych działaczy widzieli w wydarzeniach 1905 roku szansę na to, by rozpocząć narodowe powstanie, podczas gdy inni chcieli pracować razem z socjalistami z całego imperium rosyjskiego na rzecz powszechnej rewolucji. To drugie skrzydło, określające się jako PPS-Lewica, ogłosiło w 1908 roku własny odrębny program, w którym za cel stawiało raczej autonomię Polski niż pełną niepodległość. W krótkiej perspektywie postanowiono skupić się na działalności związkowej, mało interesującej dla tych, którzy – jak Piłsudski – nasiąknęli starymi opowieściami o narodowych zmaganiach na rzecz sprawiedliwości i niepodległości. Piłsudski chciał działać wedle scenariusza, którego nauczył się jako chłopiec: Polacy zawsze walczyli o to, co słuszne, nawet w obliczu nieuchronnej klęski, nawet samotnie. I tak robił, stojąc na czele Organizacji Bojowej (formalnie „Wydziału Bojowego"), paramilitarnych bojówek PPS.

Omawianie dziś Organizacji Bojowej jest dość delikatną kwestią, ponieważ nie sposób nie patrzeć na jej taktykę inaczej niż przez pryzmat naszych doświadczeń z XXI wieku. A to z kolei skłania do pewnych niezbyt miłych porównań. Przez kilka lat organizacja Piłsudskiego przeprowadzała polityczne zabójstwa, często z wykorzystaniem materiałów wybuchowych. By zdobyć fundusze, bojowcy napadali na pociągi. Nawet w tamtych czasach rzucanie bomb w celu zabicia przeciwników politycznych było (mówiąc najłagodniej) kontrowersyjne, jednak, jak ujął to Piłsudski w 1910 roku: „Terror wydawał się ogółowi jedynym dającym się pomyśleć systemem walki fizycznej z wrogiem [...]. Rozumiano wprawdzie, że nie da on zwycięstwa, ale nie umiano sobie wyobrazić żadnej innej formy”[2]. Podczas jednej akcji, tak zwanej „Krwawej Środy” 15 sierpnia 1906 roku, Organizacja Bojowa zaatakowała w sumie 77 policjantów, z których 29 zostało zabitych, a 43 poważnie rannych. W 1907 roku w Organizacji Bojowej PPS było już około 3 tysięcy osób i tylko w tym roku zorganizowano 143 zabójstwa (a 39 osób zostało rannych) i 92 napady rabunkowe (które przyniosły prawie 70 tysięcy rubli)[3].

2 Józef Piłsudski, *Historia Organizacji Bojowej PPS*, [w:] tegoż, *Pisma zbiorowe*, t. 3, Instytut Józefa Piłsudskiego, Warszawa 1937, s. 24.

3 Eugeniusz Ajnenkiel, *Kronika bojowa PPS (Frakcji Rewolucyjnej) w roku 1907*, „Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce” 1937, 3, 2 (kwiecień–czerwiec), s. 81.

W 1908 roku Piłsudski wprowadził do swoich projektów kolejne elementy, przekształcając zakonspirowaną bojówkę we w pełni rozwiniętą organizację paramilitarną, do której przyjmowano członków z wszystkich partii politycznych.

Przeniósł się do Galicji, żeby móc rozwijać swoje plany, jako że władze w Wiedniu chętnie przymykały na to oko dopóty, dopóki ambicje Piłsudskiego dotyczyły Rosji. Sława Piłsudskiego rosła, on sam zaś porzucił napady na pociągi na rzecz bardziej szacownych metod zdobywania funduszy. W 1913 roku powstała Liga Kobiet Polskich, która oprócz promowania praw kobiet zajmowała się także zbieraniem pieniędzy i wspomaganiem ruchu socjalistycznego i niepodległościowego; przyczyniła się również do szerzenia legendy Piłsudskiego.

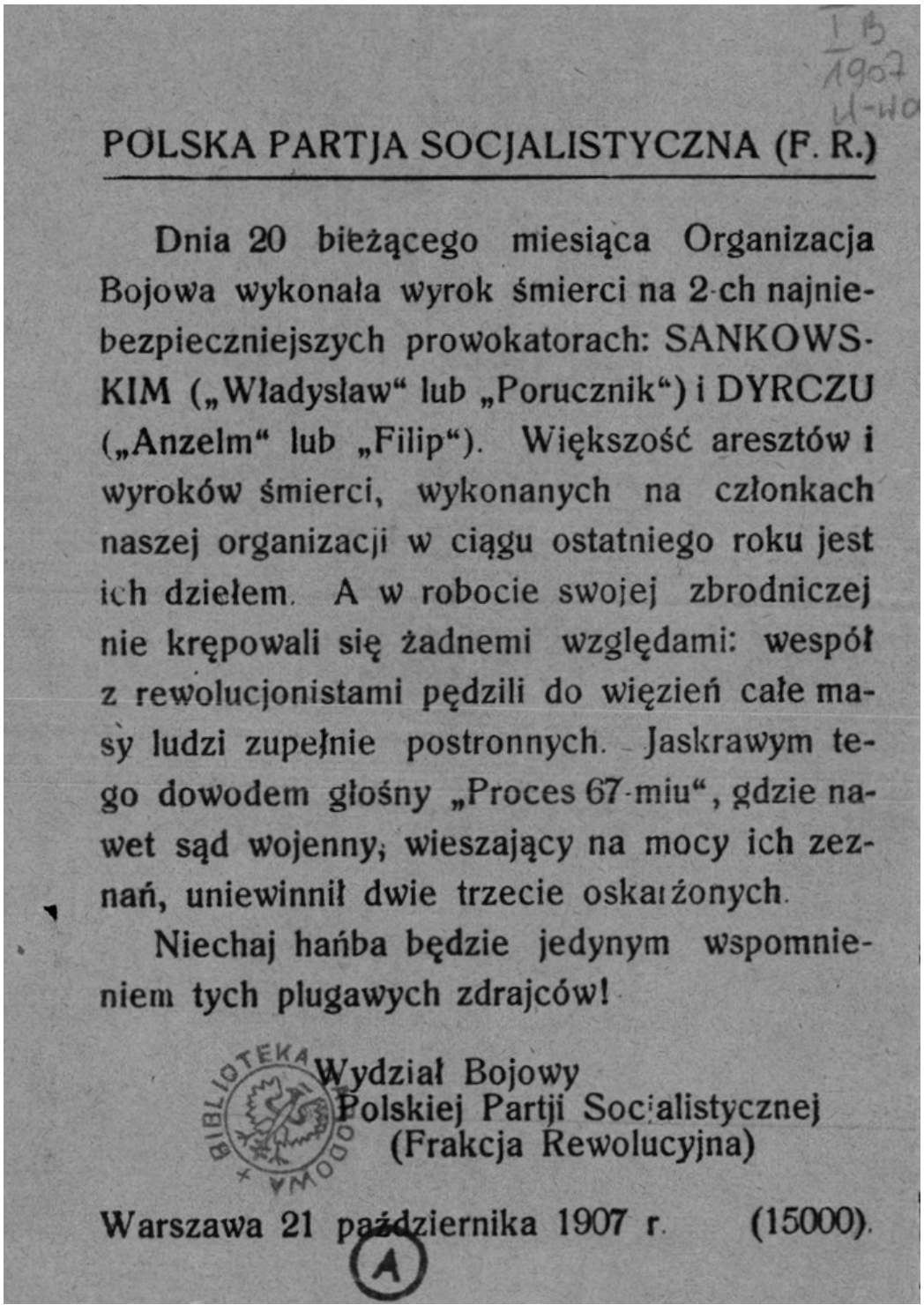

I B
1907
U-WO

POLSKA PARTJA SOCJALISTYCZNA (F. R.)

Dnia 20 bieżącego miesiąca Organizacja Bojowa wykonała wyrok śmierci na 2-ch najniebezpieczniejszych prowokatorach: SANKOWSKIM („Władysław“ lub „Porucznik“) i DYRCZU („Anzelm“ lub „Filip“). Większość aresztów i wyroków śmierci, wykonanych na członkach naszej organizacji w ciągu ostatniego roku jest ich dziełem. A w robocie swojej zbrodniczej nie krępowali się żadnemi względami: wespół z rewolucjonistami pędzili do więzień całe masy ludzi zupełnie postronnych. Jaskrawym tego dowodem głośny „Proces 67-miu“, gdzie nawet sąd wojenny, wieszający na mocy ich zeznań, uniewinnił dwie trzecie oskarżonych.

Niechaj hańba będzie jedynym wspomnieniem tych plugawych zdrajców!

Wydział Bojowy
Polskiej Partji Socjalistycznej
(Frakcja Rewolucyjna)

Warszawa 21 października 1907 r. (15000).

BIBLIOTEKA NARODOWA

A

Ulotka PPS z 1907 roku

Piłsudski bowiem stawał się powoli postacią legendarną, przy czym jego legenda okazywała się bardzo pomocna, gdy chodziło o przekonywanie ludzi, by sięgnęli do kieszeni. Oczywiście, miał wrogów: władze rosyjskie i duża część polskich elit uważały go za terrorystę, a w PPS-Lewicy panowało przekonanie, że zdradził sprawę socjalizmu. Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie Piłsudski sam przestał uważać się za PPS-owca, po 1905 roku w każdym razie zaczął coraz bardziej instrumentalnie traktować reformy społeczne, w których widział raczej środek do uzyskania niepodległości niż cel sam w sobie. Miał później powiedzieć grupie działaczy PPS: „Towarzysze, jechałem czerwonym tramwajem socjalizmu aż do przystanku »Niepodległość«, ale tam wysiadłem”[4]. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, Piłsudski potrafił przekształcić swoją paramilitarną organizację w formalną jednostkę wojskową: Legiony Polskie wkrótce liczyły już 16 tysięcy żołnierzy. Choć formalnie związane z armią austriacką, Legiony były zdecydowanie i w pełni oddziałami polskimi. Legioniści mieli stać się w nadchodzących latach najbardziej zagorzałymi stronnikami Piłsudskiego.

4 Cytowane przez: Zbigniew Wójcik, *Rola Józefa Piłsudskiego w odzyskaniu niepodległości Polski*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1981, s. 15.

Ogłoszenie Ligi Kobiet z 1916 roku. Źródło: J. Cisek, M. Cisek, *Do niepodległości*, Świat Książki, Warszawa 2008, s. 79

Podczas gdy Piłsudski organizował jednostki wojskowe i budował własną legendę, Roman Dmowski przyjął całkowi-

cie odmienne podejście. W roku 1905, przerażony tym, co zinterpretował jako rozłam i chaos, uznał, że należy zwrócić się ku legalnym działaniom politycznym. Został wybrany jako poseł z Warszawy do Dumy rosyjskiej, słabej formy parlamentu, który powołano w 1906 roku. W tym czasie zapewnił sobie poparcie dwóch bardzo różnych grup. Z jednej strony dzięki swojej pozycji w Petersburgu nawiązał istotne kontakty z przedstawicielami rosyjskiej elity, jak również – co dużo ważniejsze – z zagranicznymi dyplomatami, którzy przebywali w stolicy. Tej publiczności ukazywał swoje oblicze wykształconego, kulturalnego dżentelmena, który dyplomatycznie, acz zdecydowanie promował interesy Polski. Z drugiej strony w kraju zdobywał poparcie wyborców, korzystając z o wiele mniej przyjemnych metod. Endecja straciła znaczną liczbę zwolenników, gdy Dmowski wystartował w wyborach do Dumy, ponieważ część nacjonalistów uznała ten rodzaj współpracy z Cesarstwem Rosyjskim za zdradę. Uchybienie to jednak z naddatkiem zostało mu zrekompensowane przez poparcie, które uzyskał dzięki wykorzystywaniu i podsycaniu wrogości wobec Żydów.

RODACY!
PRZYSIĘGNIJMY!!
że
jeśli żydzi zwyciężą przy wyborach
nie kupimy
u żyda
ani za grosz
TOWARU.
Pogromów i praw wyjątkowych nie chcemy, ale zuchwalstwo potrafimy ukarać; jeśli się nam przeciwstawią, nic na nas nie zarobią i przyjdzie im się z głodu wywędrować i miejsca w Polsce nie zabierać.
Polacy!
WARSZAWA
ZAGROŻONA!
Żydzi będą posłami,
jeśli nie będziemy głosowali
NA LISTĘ NARODOWĄ
Niech żyje Polska!!!

Endeckie ulotki wyborcze. Źródło: Biblioteka Narodowa

Antyżydowska kampania endecji nasiliła się w 1912 roku, kiedy Dmowski stracił miejsce w parlamencie na rzecz przedstawiciela lewicy. Jego klęskę trudno uznać za niespodziankę: Żydzi stanowili około 38 procent warszawiaków, zatem w prawdziwie wolnych wyborach Dmowski nie miałby szans. Manipulowanie okręgami i przepisami wyborczymi obowiązującymi w Cesarstwie Rosyjskim pozwoliły Dmowskiemu wygrać w latach 1906 i 1907 (skądinąd lewica zbojkotowała wtedy wybory), nie ocaliło go to jednak w 1912. Fakt, że przeciwnik Dmowskiego nie miał żydowskich korzeni, nie przeszkodził Narodowej Demokracji ogłosić, że wynik wyborów były skutkiem żydowskich machinacji. Roszcząc sobie prawo

do zemsty za tę (wymyśloną) agresję, endecja wezwała do bojkotu żydowskich firm. Miało to stać się punktem zwrotnym w procesie rozpadu międzyetnicznych relacji w mieście. Gospodarcze skutki bojkotu okazały się minimalne, ponieważ, jak zwykle, większość chłopów i robotników nie posłuchała wezwań Narodowej Demokracji. Antysemicka retoryka uderzyła jednak w czuły punkt znaczącej mniejszości, od bezrobotnych, drobnych rzemieślników i sklepikarzy po ludzi wykształconych i księży – innymi słowy niemal wszystkich poza rzecznikami socjalizmu w fabrykach. Najważniejszą tubą dla endeckiej kampanii stała się założona w 1912 roku, goniąca za sensacją „Gazeta Poranna Dwa Grosze". Odniosła ona sukces przerastający najśmielsze sny swoich założycieli, osiągając nakład 45 tysięcy egzemplarzy zaledwie po dwóch miesiącach istnienia. Brukowiec pełen był takiego antysemickiego jadu, że poruszył nawet rosyjskich cenzorów, którzy skonfiskowali kilka numerów pod zarzutem podburzania do przemocy. Księża katoliccy, choć z rezerwą odnosili się do języka i metod antysemitów, głosili w kazaniach, że dobrzy chrześcijanie powinni powstrzymać się od zakupów w sklepach żydowskich. Nawet liberalne gazety warszawskie wyrażały troskę o to, że Warszawa właściwie przestaje być „polska" z uwagi na coraz wyraźniejszą obecność Żydów w mieście[5]. Endecja znalazła sprawę, dzięki której była w stanie budować sobie powszechne poparcie w miastach – odkrycie, które okazało się kluczowe dla przyszłości ruchu.

5 Robert Blobaum, *Boycott! The Politics of Antisemitism in Poland, 1912–1914*, National Council for Eurasian and East European Research, Washington 1998.

Polska rewolucja

Nie da się określić, ilu Polaków zginęło w czasie pierwszej wojny światowej, ponieważ liczby będą się różnić w zależności od tego, jak zdefiniujemy słowo „Polak”, oraz od tego, czy zakończymy obrachunki 11 listopada 1918 roku, czy też będziemy liczyć ofiary aż do końca wojny polsko-bolszewickiej w 1921 roku. Każda zaproponowana liczba pokazuje, że straty były wręcz niewyobrażalne. Populacja na terytorium, które miało stać się Drugą Rzeczpospolitą, zmalała między 1914 a 1918 rokiem o 3,67 miliona ludzi, czyli niemal o 11 procent[6]. Inaczej niż w Europie Zachodniej, gdzie toczyła się wojna pozycyjna i linia frontu przez większość czasu się nie przesuwała, w Europie Wschodniej działania wojenne były dynamiczne, a gdziekolwiek przemieszczał się front, rosła liczba ofiar. Kiedy populację, osłabioną niedożywieniem, uderzyła w 1918 roku epidemia grypy, rezultaty były katastrofalne, a liczba ofiar sięgnęła milionów. Pojedyncza śmierć jest tragedią, śmierć dziesiątek ludzi – szokiem, śmierć setek odbiera nam mowę, w końcu jednak liczby stają się abstrakcją, której nasz umysł już nie przyswaja. Być może zatem najlepszym sposobem na to, by pojąć skalę tragedii pierwszej wojny światowej, jest odnotowanie, że prawie każdy w Polsce znał kogoś, kto zginął. Każdy doświadczył osobistej straty: nie musimy odwoływać się do niejasnych określeń w rodzaju „zbiorowa trauma”, ponieważ niemal każdy osobiście niósł psychiczne brzemię.

6 Irena Gieysztorowa, *Research into the Demographic History of Poland*, „Acta Poloniae Historica" 18 (1968), s. 16.

Pierwsza wojna światowa pochłonęła zasoby produkcyjne całego uprzemysłowionego świata, zużywając więcej, niż wcześniejsze pokolenia potrafiły sobie wyobrazić, że można wyprodukować, a co dopiero – zniszczyć. Jeśli przypomnimy sobie, że Anglia i Francja miały problemy z powrotem do równowagi, zyskamy perspektywę, z której będziemy mogli spojrzeć na straty uboższej części kontynentu. Ziemie polskie nie cieszyły się nawet wątpliwym moralnie luksusem boomu ekonomicznego związanego z produkcją zbrojeniową. Na terenie Królestwa znajdowały się jedne z najważniejszych ośrodków przemysłowych w Cesarstwie Rosyjskim, ponieważ jednak przebiegała tędy linia frontu, Królestwo nie mogło stać się zapleczem zbrojeniowym. Łódź i Warszawa w pierwszych latach walk zostały zajęte przez Niemców, więc przemysł Królestwa, pozbawiony dostępu do rynków rosyjskich, został czasowo sparaliżowany. Ubóstwo i niedożywienie, które już przed wojną stanowiły problem, w czasie wojny dramatycznie się pogłębiły.

Pierwsza Wojna Światowa w Polsce. Źródło: http://fotopolska.eu/463676,foto.html

W Europie Zachodniej pierwsza wojna światowa odegrała – i nadal odgrywa – ogromną rolę w kulturze oraz odcisnęła się w potocznej świadomości i w pamięci historycznej. Obrazy morderczej wojny pozycyjnej pozostały żywe długo po tym, jak pokolenie, które doświadczyło jej horroru, odeszło. Przypadek Polski jest inny: pierwszą wojnę światową (rozumianą wąsko, jako walki w latach 1914–1918) polscy historycy badali rzadziej, jest też ona słabiej reprezentowana w kulturze popularnej. Po części stało się tak dlatego, że brytyjscy, francuscy, niemieccy i włoscy żołnierze przeżyli podczas wojny elektryzujący moment jedności i to doświadczenie stawało się kamieniem węgielnym dla wszystkich, którzy później przej-

mowali pamięć konfliktu dla jakichkolwiek celów politycznych, ideologicznych czy kulturowych. W Polsce historia pierwszej wojny światowej jest o wiele bardziej problematyczna, ponieważ Polacy walczyli po każdej ze stron. Miliony młodych mężczyzn wcielono do armii mocarstw zaborczych – dla nich intensywna więź zrodzona podczas wspólnej służby wojskowej (która bez wątpienia wpłynęła na ich życie po wojnie) wchodziła w konflikt z ideologią narodowej jedności, tak silnie promowanej po wojnie. Polskie opowieści o pierwszej wojnie światowej skupiały się zatem niemal wyłącznie na działaniach tych, którzy znaleźli się w jednostkach polskich – a była to zdecydowana mniejszość wśród Polaków walczących między 1914 a 1918 rokiem. Można było wznosić pomniki Legionom, nie istniał natomiast sposób, aby wznieść patriotyczne pomniki sławiące ofiarę złożoną przez ludzi powołanych do armii rosyjskiej, niemieckiej czy austriackiej – bo na rzecz jakiej ojczyzny ową ofiarę składali? Pamięć o nich zepchnięto do prywatnej, rodzinnej sfery, z dala od przestrzeni publicznej.

Co ważniejsze, sposób, w jaki zakończyła się wojna, przyćmił w zbiorowej pamięci rzeczywiste doświadczenie konfliktu. Odbudowa Polski jako niepodległego państwa była tak wielkim wydarzeniem, że wobec niej cierpienia rodzin, które tuż przedtem straciły bliskich, wydawały się błahe. W opowieściach, które przyznają narodowi polskiemu pierwszoplanową rolę, pierwsza wojna światowa staje się historią o narodzinach, a nie o śmierci. Druga wojna światowa zajmuje w pamięci zupełnie inne miejsce. Ten konflikt przyniósł Polsce

jeszcze większe straty w ludziach i własności, różnica jest jednak mniejsza, niżbyśmy mogli sądzić: między rokiem 1939 a 1945 zginęło około 16 procent populacji (licząc zarówno żydowskich, jak i chrześcijańskich obywateli polskich), zaledwie o 5 punktów procentowych więcej niż w czasie pierwszej wojny. Rzecz jasna, druga wojna światowa przyniosła Polsce katastrofę całkowicie nowego rodzaju, w tym o wiele większe zniszczenia materialne, nie bez związku z rozwojem technologicznym, który nastąpił w dwudziestoleciu międzywojennym. Ponadto świadome obieranie za cel ludności cywilnej podczas drugiej wojny budzi o wiele większą odrazę niż „skutki uboczne" głodu i chorób w czasie pierwszej. Głównym powodem, dla którego Polacy inaczej pamiętają drugą wojnę światową, jest to, że ich losy powojenne przedstawiane są jako tragedia, rozpoczęta nie wyzwoleniem, ale okupacją nowego rodzaju. To z kolei pomogło podtrzymać kulturę żałoby i upamiętnienia, także wówczas, gdy ci, którzy zginęli podczas pierwszej wojny i którym nie postawiono pomników, stali się już jedynie częścią zapomnianych statystyk.

Chociaż powstania, konspiracja, akcje edukacyjne i praca organiczna polskiego ruchu narodowego w XIX wieku nie pomogły swego czasu w przyspieszeniu chwili odzyskania niepodległości, to jednak dzięki nim „sprawa polska" (określenie używane przez demokratów) pozostawała na porządku dziennym. W rezultacie, kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, walczące strony jedna przez drugą licytowały się na obietnice, którymi chciały zdobyć lojalność Polaków. Żadna ze stron nie osiągnęła w pełni swojego celu, każdej jednak

udało się zapewnić sobie współpracę przynajmniej części społeczeństwa, a stało się to dzięki obietnicom, że niezależnie od wyniku wojny powstanie jakaś forma polskiej państwowości. Od wybuchu wojny w 1914 roku nie zdążyły minąć nawet dwa tygodnie, gdy władze rosyjskie obiecały, że w razie zwycięstwa Polacy otrzymają niepodległe państwo. Trudno powiedzieć, na ile uwierzono w te miłe deklaracje, stały się one jednak całkowicie wątpliwe, kiedy Niemcy odepchnęli siły rosyjskie na wschód, zajmując całość polskiego terytorium. W listopadzie 1916 roku władze Niemiec i Austro-Węgier wspólnie zapowiedziały powstanie Królestwa Polskiego, rządzonego przez Tymczasową Radę Stanu, w której nie kto inny, tylko Józef Piłsudski, miał stanąć na czele Referatu Wojny. Francuzi odpowiedzieli na to latem 1917 roku, montując polskie oddziały przeznaczone do walki na froncie zachodnim, złożone głównie z polskich emigrantów. Wkrótce pojawiły się kolejne obietnice wskrzeszenia Polski, wszystkie jednak bardziej teoretyczne niż rzeczywiste. Po obaleniu cara w lutym 1917 roku nowy rewolucyjny rząd zadeklarował, że Polska powinna być niepodległa, kiedy zaś kilka miesięcy później Lenin przejął władzę, potwierdził to stanowisko. Wreszcie w styczniu 1918 roku prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson ogłosił w Kongresie cele wojenne. Trzynasty z jego słynnych Czternastu Punktów brzmiał: „powinno powstać niepodległe państwo polskie, obejmujące terytoria zamieszkane przez bezspornie polską populację, które winno mieć zapewniony swobodny i bezpieczny dostęp do morza i którego polityczną i gospodarczą niezależność oraz inte-

gralność terytorialną winny gwarantować umowy międzynarodowe”[7].

7 Przemowa Woodrowa Wilsona *Fourteen Points* za: https://bit.ly/39nP9eu.

Chociaż z perspektywy dyplomatycznej niepodległość Polski wydawała się coraz pewniejsza, pozostawała jeszcze jedna wielka niewiadoma: rewolucja. Jak wiemy z poprzednich rozdziałów, gdy w 1917 roku wybuchła rewolucja w Rosji, początkowo bynajmniej nie traktowano jej jako wydarzenia o charakterze lokalnym: oczekiwano, że stanie się iskrą, która podpali cały kontynent, jeśli nie cały świat. I przez chwilę wydawało się, że tak się właśnie dzieje. Pod koniec października 1918 roku rewolucja w Wiedniu zmusiła Habsburgów do ucieczki, a ich imperium uległo całkowitemu rozpadowi. Jego węgierska część miała ostatecznie stracić 72 procent swojego terytorium i 64 procent populacji z powodu ruchów niepodległościowych w Rumunii, Serbii, Chorwacji i Słowenii, a także wskutek decyzji mocarstw w Trianon w roku 1919. Część austriacka musiała zrzec się wielu ziem na rzecz Włoch, Polski (Galicja) oraz nowo powstałej Czechosłowacji. Równie ważne było proklamowanie w dwóch dawnych stolicach, Wiedniu i Budapeszcie, dwóch osobnych republik demokratycznych. W węgierskim rozdziale rewolucji kolejny zwrot akcji polegał na tym, że między marcem a sierpniem 1919 roku radykałowie, jawnie wzorując się na bolszewikach Lenina, na krótko przejęli władzę, aby ostatecznie utracić ją w wyniku krwawej kontrrewolucji. W Niemczech w listopadzie 1918 roku, w tym samym czasie, kiedy podpisywano zawieszenie broni, obalo-

no cesarza. W wielu miastach władzę przejęły rady robotnicze i żołnierskie, w samym Berlinie zaś rząd socjalistyczny ogłosił powstanie niemieckiej republiki. Próby rozszerzenia tej rewolucji (podejmowane między innymi przez Różę Luksemburg) zostały brutalnie stłumione, w tym przypadku przy współudziale rządzących socjaldemokratów.

A co z Polską? Nikt nie używa w odniesieniu do wydarzeń końca 1918 roku w Polsce słowa „rewolucja". 11 listopada upamiętnia się jako Święto Niepodległości, nie jako rocznicę rewolucji. Wśród historyków i historyczek toczą się ciekawe dyskusje na temat tego, czy okres tuż po drugiej wojnie światowej można uznać za epokę rewolucyjną (piszę o tym w rozdziale 8), nie znam jednak przypadku, by ktoś chciał zastosować taką etykietę do okresu po pierwszej wojnie. Świadom, że jest to jawna prowokacja, pragnę zaproponować tezę, że w 1918 roku wydarzyła się pewnego rodzaju polska rewolucja, jednak sposób, w jaki zazwyczaj opowiada się historię tamtych lat, nie pozwala tego dostrzec.

Nie chcę teraz ugrzęznąć w definiowaniu słowa „rewolucja", ponieważ byłoby to zarówno zbyt łatwe, jak i nudne, gdybym dowodził swojego stanowiska, po prostu wybierając definicję pasującą do okoliczności. Zamiast zestawiać wydarzenia 1918 roku z jakimś typem idealnym rewolucji i sprawdzać, jak jedno ma się do drugiego, chciałbym się zastanowić nad przeżyciami i doświadczeniami zwykłych ludzi w Europie północno-wschodniej w tym konkretnie roku, zobaczyć, czy fala historii, która przetoczyła się przez te tereny, wywoływała podobne odczucia jak w Niemczech, na Węgrzech czy w Ro-

sji. W tych krajach świat stanął na głowie, dawne autorytety – nie tylko w dziedzinie polityki, ale też kultury, gospodarki, społeczeństwa – podważono lub zniszczono. Niezależnie od tego, czy miało się okazać, że zmiany są trwałe (jak w Rosji), czy chwilowe (jak na Węgrzech oraz – choć to mniej jednoznaczne – w Austrii i Niemczech), doświadczenie rewolucji pozostawiło swój ślad. Oswobodzenie *wyobraźni*, bardziej niż jakiekolwiek swobody polityczne czy gospodarcze wprowadzone przez rządy, oznaczało, że nic już nigdy nie będzie takie samo.

Rzecz oczywista, wieści napływające z Rosji w 1917 roku wywoływały mieszane uczucia. Dla tych, których pozycja wiązała się z majątkiem lub władzą, upadek cara był pierwszym krokiem w dół na równi pochyłej wiodącej ku zagładzie, Lenin zaś – strażnikiem bram piekielnych. Aż nazbyt łatwo uznać, że tego rodzaju lęk stanowił typową reakcję, ponieważ najczęściej to właśnie ludzie, którzy go odczuwali, pozostawili pisemne świadectwa. Jednak przed rokiem 1917 było już wielu piśmiennych robotników, wiemy zatem, że ich reakcja była całkiem odmienna. Piśmienni chłopi są gorzej reprezentowani w archiwach, od początku XX wieku słyszymy jednak bezpośrednio także i ich głosy. Wśród żyjących u spodu piramidy dochodów i władzy upadek cara oraz dojście do władzy bolszewików budziły zainteresowanie, a wręcz nadzieję. Niekoniecznie był to konkretny przykład, za którym można było w sposób prosty podążyć, budziła się jednak nowa świadomość tego, co jest możliwe – nie tylko w polityce, ale także w sferze społecznej, w gospodarce i kulturze. Jeden z najpo-

tężniejszych władców w Europie, a razem z nim instytucje, które go wspierały, upadł jak kolos na glinianych nogach. Jeśli to mogło się wydarzyć, co jeszcze mogło się stać? Ograniczenia narzucone wyobraźni i siła rutyny podtrzymują status quo skuteczniej niż jakakolwiek policja, zatem gdy wyobraźnia zostanie wreszcie wyzwolona, efekty trudno przewidzieć. Z perspektywy czasu wiemy, że wiele starych instytucji i zwyczajów okazało się silniejszych, niż mogłoby się wydawać, była jednak w historii Europy po pierwszej wojnie taka chwila, gdy wszystko zdawało się możliwe. Jeśli spojrzeć z tego punktu widzenia, ludzie mieszkający nad Wisłą doświadczyli 1918 roku w sposób porównywalny z doświadczeniami ludzi znad Dunaju, Sprewy, a może nawet znad Wołgi. Nie ma większego znaczenia, czy to wspólne doświadczenie nazwiemy doświadczeniem transformacji, rewolucji czy czegokolwiek innego – ważne, że rozprzestrzeniało się w całej środkowej i wschodniej Europie, a nawet szerzej.

Rewolucja podważyła autorytet policji, wojska i aparatu administracyjnego, a co za tym idzie, w dawnym systemie władzy powstała luka. Gdy wojna się skończyła, żołnierze niemieccy i austriaccy chcieli po prostu wrócić do domu, a jako że ich imperia właśnie upadały, wielu opuściło swoje jednostki, nie czekając na oficjalną demobilizację. Dla polskich chłopów nie znaczyło to być może zbyt wiele, ponieważ aparat okupacyjny i tak nie był na wsi na co dzień obecny, w miastach jednak powstała ogromna wyrwa w miejscu, w którym niegdyś działała władza państwowa. Polscy robotnicy fabryczni dokładnie wiedzieli, co są w stanie osiągnąć –

pamięć roku 1905 wciąż była żywa – i gotowi byli na kolejną okazję do radykalnej zmiany. Znów można było myśleć ambitnie, a stare kajdany okazały się bardziej zardzewiałe, niż ktokolwiek sądził.

Co więcej, około 1917 i 1918 roku istniały grupy polityczne o dostatecznie rozwiniętej strukturze i organizacji, by tę wyzwoloną właśnie wyobraźnię wykorzystać i nadać jej określony kierunek. Przywódcy SDKPiL uznali rozgrywające się wtedy wydarzenia za zjawisko o znaczeniu globalnym. I tak nigdy nie zajmowała ich zbytnio kwestia niepodległości, naród uznawali za niewiele więcej niż zasłonę dymną, która miała dać robotnikom złudzenie fałszywej wspólnoty z opresorami. Kiedy więc w Berlinie, Petersburgu, Budapeszcie i Wiedniu wybuchały rewolucje, przywódcy SDKPiL chcieli zaprząc wyzwoloną energię do budowy całkowicie nowego świata, w którym granice narodowe straciłyby znaczenie. Róża Luksemburg spędziła te lata w Berlinie nie dlatego, że przestała interesować się robotnikami w Królestwie Polskim, ale dlatego, że uważała ich sprawę za jedną z bitew większej batalii. A że linia frontu przebiegała tam, gdzie kapitalizm był najsilniejszy, tam właśnie się udała. Nie tylko uważała byłe Cesarstwo Rosyjskie za drugoplanowe, ale zdecydowanie przeciwstawiała się autorytarnym tendencjom Lenina. Jej zdaniem, „awangarda partyjna" bolszewickiego przywódcy musiała się nieuchronnie wyrodzić i doprowadzić do poddania autentycznego ruchu robotniczego kontroli samozwańczych przywódców z grona inteligencji. Jak dowodziła wcześniej (po rosyjsku), „błędy popełnione przez prawdziwy ruch rewolucyjny

są historycznie nieskończenie bardziej owocne niż nieomylność najmądrzejszego Komitetu Centralnego”[8].

8 Rosa Luxemburg, *Организационные вопросы русской социал-демократии*, „Искра” 1904, 69. https://bit.ly/2LvZWcX.

PPS-Lewica, która już w 1908 roku ograniczyła swoje narodowe roszczenia do „autonomii”, zbliżała się coraz bardziej do SDKPiL, aby ostatecznie połączyć się z nią pod koniec roku 1918 – tak powstała Komunistyczna Partia Polski. Większość socjalistów jednak miała bardziej zniuansowane podejście do idei powszechnej rewolucji, więc „stara” PPS wciąż była partią o wiele liczniejszą niż nowa KPP. Nie bacząc na entuzjazm wobec sukcesów socjalizmu na wschodzie, zachodzie i południu, kierownictwo PPS nadal opowiadało się za *polską* rewolucją, taką, która za jeden z celów stawiałaby sobie niepodległe państwo. PPS przeciwstawiała się autorytarnym tendencjom Lenina równie mocno jak Róża Luksemburg, ale z nieco innych powodów. Przyjmując stanowisko raczej gradualistyczne, PPS-owcy zawsze twierdzili, że socjalizmu nie da się zbudować od razu, nie jest też tak, że socjalizm może powstać po prostu jako emanacja pragnień mas, w niezapośredniczonej postaci (taki pogląd był karykaturą stanowiska Róży Luksemburg, ale metoda „na chochoła” – atakowanie przesadzonej wersji argumentu przeciwnika – była typowa dla ostrych polemik w owych czasach). PPS oferowała marzenie o socjalizmie, który miałby wyrosnąć w politycznych ramach demokracji liberalnej, marzenie o kontrolowaniu nadużyć kapitalizmu i równoczesnej pracy nad ostatecznym przejściem do

systemu socjalistycznego. Takie stanowisko sprawiało, że PPS w porównaniu z komunistami mogła się wydawać partią umiarkowaną, jednak tylko jeśli słowo „umiarkowany" rozciągniemy do granic możliwości. W 1918 roku każdy działacz i działaczka PPS poczuliby się głęboko urażeni, gdyby ich oskarżyć, że nie są „prawdziwymi" rewolucjonistami.

Zadaniem historyka jest nadanie sensu chaotycznym wydarzeniom, utkanie spójnej opowieści z nieuporządkowanych nici doświadczeń. Zazwyczaj jest to pomocne, ale kiedy pisze się o takich czasach jak lata 1917–1918, może prowadzić do nieporozumień. Niemal we wszystkich wspomnieniach, dziennikach, listach, artykułach prasowych i rządowych raportach z tych lat pojawia się jedno dominujące uczucie – zagubienie. Teraźniejszość była niepewna, przyszłość – otwarta. Chaos jesieni 1918 roku można zilustrować za pomocą jednego drobnego pytania: kiedy właściwie ogłoszono niepodległość Polski? Jeśli istnieje jedna data, którą zna w Polsce każdy, jest nią 11 listopada 1918 roku. Ale czy to na pewno właściwa odpowiedź? W rzeczywistości 11 listopada stał się świętem narodowym dopiero w 1937 roku, przy czym nie była to jedyna data, która ubiegała się o ten zaszczyt.

Chronologiczne pierwszeństwo należałoby się dacie 7 października, tego bowiem dnia grupa warszawskich polityków zwana Radą Regencyjną ogłosiła niepodległość państwa. Jak już wspomniałem, jeszcze w 1916 roku władze niemieckie i austro-węgierskie powołały Tymczasową Radę Stanu Królestwa Polskiego. Jeśli ciało to zostało pomyślane jako marionetka władz okupacyjnych, to okazało się rozczarowaniem.

Nic dziwnego: byłoby niemądre oczekiwać uległości od jakiejkolwiek instytucji, która powierzyła Józefowi Piłsudskiemu sprawy wojskowe. Jego nieskrywane oddanie przede wszystkim niepodległości Polski, bynajmniej zaś nie sukcesowi państw centralnych, bardzo niepokoiło władze niemieckie, zażądano zatem, by polscy żołnierze złożyli cesarzowi Niemiec przysięgę wierności. Kilka tysięcy odmówiło, za co zostali internowani w obozach dla jeńców wojennych. Piłsudskiego, który zalecił im ten akt nieposłuszeństwa, także uwięziono (jednakże nie razem z jego ludźmi). Tymczasowa Rada Stanu została wówczas rozwiązana i zastąpiona (pod koniec października 1917 roku) bardziej ustępliwą Radą Regencyjną, kierowaną przez triumwirat złożony z arcybiskupa, hrabiego i księcia. Rok później, gdy Niemcy zaoferowali pokój, oparty na 14 punktach Wilsona, ta sama trójka jako jedna z pierwszych dostrzegła, że stary porządek się rozpada, i ogłosiła powstanie nowej, demokratycznej Polski. Obiecywali bezzwłoczne przeprowadzenie wyborów do sejmu konstytucyjnego „na szerokich zasadach demokratycznych", jeśli zaś idzie o okres przejściowy, zapowiadali, że przekażą władzę tymczasowemu rządowi, który miałby obejmować „przedstawicieli najszerszych warstw narodu i kierunków politycznych"[9]. Warto pamiętać, że tę deklarację wydało trzech mężczyzn znajdujących się na szczycie drabiny społecznego prestiżu i władzy. Gdyby działo się to przed pierwszą wojną światową, deklaracja tego rodzaju oznaczałaby, że ktoś, kto ją składa, reprezentuje radykalny skraj politycznego spektrum – natomiast w październiku 1918 roku uznano ją za zbyt sła-

bą, by w ogóle warta była odnotowania. Gorzej jeszcze: rząd tymczasowy nigdy nie powstał, ponieważ Rada Regencyjna zadanie jego utworzenia powierzyła politykowi Narodowej Demokracji, a żadna inna z polskich partii politycznych (nie wspominając już o partiach żydowskich) nie chciała współpracować z endecją. Tak więc nie świętujemy 7 października – wydarzenia wyprzedziły proklamację tak dalece, że straciła znaczenie, jeszcze zanim wysechł atrament, którym ją napisano.

9 Zdigitalizowana kopia manifestu znajduje się na: https://bit.ly/35iIkZq.

W październiku 1918 roku strajki i masowe demonstracje odbywały się w każdym niemal mieście, w którym istniała jakkolwiek znacząca populacja robotników, a w wielu fabrykach pracownicy przejęli władzę i powołali rady robotnicze. W Zagłębiu Dąbrowskim i w Lublinie robotnicy powołali nawet oddziały paramilitarne, przypominające milicję Czerwonej Armii w Rosji. Działalność tego rodzaju nie ograniczała się do robotników: 6 listopada grupa chłopów ogłosiła powstanie „Republiki Tarnobrzeskiej" i przejęła kontrolę nad miastem, odbierając ją zarazem z rąk upadających władz okupacyjnych, jak miejscowych (polskich) elit. Wraz z byłymi żołnierzami i jeńcami wojennymi powracającymi do Królestwa z Rosji zaczynały krążyć opowieści (niekiedy oparte na wydarzeniach, których opowiadający sami byli świadkami, częściej jednak na plotkach) o tym, jak robotnicy i chłopi bronili swoich praw, przejmowali kontrolę nad własnym życiem, odbierali władzę znienawidzonym posiadaczom ziemskim i fabrykantom. Nic

dziwnego, że w Królestwie wielu próbowało dokonać tego samego.

Rewolucyjna fala osiągnęła szczyt w dość zaskakującym miejscu: w Lublinie. Choć miasto nie było z pewnością gniazdem robotniczego radykalizmu w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową (ten zaszczyt przypadł Łodzi), niewielkiej grupie robotników przemysłowych w Lublinie udało się na początku listopada 1918 roku stworzyć zarówno radę robotniczą, jak i oddziały paramilitarne. Znaczące, że nie była to inicjatywa komunistyczna. W Lublinie SDKPiL była bardzo słaba, natomiast PPS cieszyła się mocną pozycją. Nie można jednak uznać wydarzeń lubelskich za skutek działań PPS. Było to coś, co socjalistyczni intelektualiści nazywają „spontaniczną inicjatywą" – co w uproszczeniu znaczy tyle, że organizatorzy buntu obeszli działaczy partyjnych. W ciągu kilku dni lewicowi intelektualiści, zarówno z Warszawy, jak i z Krakowa, zjechali do Lublina, starając się dogonić rewolucyjną falę. Niektórzy liczyli na to, że uda się przechwycić tę energię i użyć jej do własnych celów, inni po prostu chcieli mieć swój udział w wydarzeniu, które wstrząsnęło światem. 6 listopada najważniejsi gracze byli już na miejscu i całą noc pracowali nad szkicem deklaracji, na mocy której mieli ustanowić nową, bezwstydnie rewolucyjną Polskę. Kiedy 7 listopada mieszkańcy Lublina wstali rano z łóżek, dowiedzieli się o powstaniu Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, którego premierem został Ignacy Daszyński (przywódca PPS z Galicji), a Edward Rydz-Śmigły (bliski współpracownik Piłsudskiego) pełnił w niej funkcję dowódcy nowej polskiej armii. Pierwsze

zdanie deklaracji nadawało ton: „Reakcyjne i ugodowe rządy Rady Regencyjnej zostały przez Lud Polski obalone”. Świeżo utworzony rząd oparł swoją legitymację na tym, że działał „z polecenia stronnictw ludowych i socjalistycznych b. Królestwa i Galicji”. Całe przedsięwzięcie było połączeniem polityki rewolucyjnej z narodową; miało gwarantować, że w Polsce odbywa się rewolucja i że będzie to rewolucja *polska*.

> W gruzy walą się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarnego ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących [...]. Ludu Polski! Polski chłopie i robotniku! Jeżeli chcesz zająć należne ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeżeli chcesz być gospodarzem na swej własnej ziemi, to musisz w swoje ręce ująć władzę w Polsce, musisz sam budować gmach niepodległej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej.

Nie był to jeszcze PRL, lecz trzeba przyznać, że wolna Polska powstała jako LRP. Dalej w orędziu pojawiła się lista konkretnych celów politycznych, które ten nowy rząd miał zamiar wcielać w czyn, szkicujących obraz Polski całkowicie innej od jakiejkolwiek istniejącej przedtem. Wśród celów tych znalazły się:

- powszechne i równe prawa demokratyczne, niezależne od pochodzenia etnicznego, religii i klasy;

- upaństwowienie przemysłu ciężkiego, górnictwa i transportu;
- ustanowienie demokratycznie wybranych rad robotniczych, kierujących fabrykami;
- konfiskata posiadłości wielkich właścicieli ziemskich i redystrybucja ziemi między ubogich chłopów;
- natychmiastowe wybory do zgromadzenia konstytucyjnego, które określi ramy nowego państwa polskiego;
- dzień roboczy nie dłuższy niż osiem godzin;
- ubezpieczenie zdrowotne i ubezpieczenie dla bezrobotnych;
- powszechne emerytury;
- darmowa, powszechna, świecka edukacja[10].

10 Cyfrowa wersja proklamacji dostępna jest na: https://bit.ly/35maMcO.

Cyniczna interpretacja byłaby taka, że rząd Daszyńskiego ogłosił to wszystko, żeby ubiec bolszewików i ich polskich stronników. Przejmując w ten sposób inicjatywę, PPS bardzo utrudniła Komunistycznej Partii Polski (formalnie założonej miesiąc później) zbudowanie bazy poparcia. Po prostu na lewo od rządu Daszyńskiego nie zostało już wiele miejsca. Upraszczając odrobinę, można powiedzieć, że granicę między PPS a KPP można było wytyczyć przede wszystkim wzdłuż linii, jakie wyznaczały: 1) gotowość PPS, by wykorzystać instytucje liberalnego, konstytucyjnego rządu, przeciwstawiona

naciskowi, który KPP kładła na pierwszeństwo rad robotniczych; 2) odmowa uznania przez KPP niepodległości Polski. Spory co do pierwszego punktu były zapewne zbyt abstrakcyjne w chwili, gdy wyglądało na to, że cały świat się rozpada. Co do drugiego, PPS zajęła po prostu stanowisko bardziej popularne.

W kolejnych dziesięcioleciach PPS obchodziła jako swoje święto 7 listopada. Skąd zatem wziął się 11 listopada? Musimy przenieść się około 850 kilometrów na zachód, do niemieckiej twierdzy, w której siedział Józef Piłsudski. Pozostał w kontakcie z Rydzem-Śmigłym, który z kolei wiedział, co się dzieje w Lublinie. Możemy sobie tylko wyobrażać, jak czuł się Piłsudski, przekonany o własnej historycznej roli, gdy doniesiono mu, że niepodległa Polska powstaje bez jego udziału. Kiedy 10 listopada (dzień po wybuchu rewolucji w Niemczech) został wreszcie zwolniony z więzienia, natychmiast wsiadł w pociąg do Warszawy. Rada Regencyjna była gotowa uznać, że nie odgrywa już znaczącej roli, i przekazała władzę (jak gdyby jakąkolwiek naprawdę miała) Piłsudskiemu. Dzień później zorganizowano formalną ceremonię, potwierdzając tę decyzję i ogłaszając Piłsudskiego najwyższym wodzem polskich sił zbrojnych. To publiczne wydarzenie, zorganizowane 11 listopada, stało się podstawą, na której ufundowano później Święto Niepodległości.

Zatrzymajmy się na chwilę w tym punkcie naszej opowieści, ponieważ decyzje podejmowane w ciągu następnych kilku dni miały mieć długotrwałe skutki. Sytuacja 11 listopada była delikatna: nie istniała żadna oczywista droga do ustanowienia

takiego rodzaju jednolitego rządu polskiego, który za legalny mogliby uznać jednocześnie: endecja, rządy mocarstw zachodnich, socjaliści i (przede wszystkim) całe społeczeństwo. Jak już starałem się wykazać, był to moment rewolucyjny, a takie chwile nie są dobrym czasem dla kompromisu i konsensusu. Piłsudski mógł rościć sobie prawo do władzy, tyle że podstawą tego roszczenia była decyzja grupy arystokratów, którzy zdążyli już wyrazić swoje generalne poparcie dla endecji. Tymczasem Dmowski i jego koledzy gardzili Piłsudskim z uwagi na jego dawniejsze powiązania z socjalizmem. Tego samego dnia, gdy Piłsudski wrócił do Warszawy, grupa działaczy Narodowej Demokracji w zaborze niemieckim (gdzie endecja była najsilniejsza) ogłosiła powstanie Naczelnej Rady Ludowej, która, jak liczyli, miała się stać zalążkiem przyszłego prawicowego polskiego rządu. Ludziom należącym do warszawskich elit biznesowych i wielkim właścicielom ziemskim nazwisko Piłsudskiego kojarzyło się przede wszystkim z terroryzmem i rewolucją. Teraz opłaciła się skuteczność Dmowskiego w budowaniu sieci powiązań wśród polityków na całym świecie: w 1918 roku znalazł się w Paryżu, na czele grupy, którą wcześniej powołał – Komitetu Narodowego Polskiego – a którą rządy brytyjski, francuski i amerykański uznały za legalną reprezentację przyszłego państwa polskiego. Łatwo było Dmowskiemu przekonać przywódców krajów Zachodu, przerażonych krążącym po Europie widmem Rewolucji, że Piłsudski jest niebezpieczny i że należy go unikać. Ta opinia o Piłsudskim miała przetrwać długo po tym, jak sam Piłsudski udowodnił, że nie jest już socjalistą (choć kim wła-

ściwie był pod względem ideowym, zawsze było trudno określić). Podczas gdy prawica i jej światowi sojusznicy traktowali Piłsudskiego wrogo, z uwagi na jego powiązania z lewicą, ludzie zebrani w Lublinie słusznie wątpili w jego lewicową wiarygodność. Przez Rydza-Śmigłego Piłsudski nawiązał pośrednio kontakt z rządem Daszyńskiego, jednak jego idee, jak stworzyć nową Polskę, nie pokrywały się dokładnie z założycielskimi zasadami nowej Rzeczypospolitej Ludowej.

W kolejnym rozdziale przekonamy się, że Piłsudski jest postacią nader niejednoznaczną i żeby uczynić zeń bohatera godnego tych wszystkich pomników, trzeba było jego biografię starannie upstrzyć białymi plamami. Jednak w trakcie kilku miesięcy między końcem 1918 roku a początkiem 1919 Piłsudski naprawdę zasłużył na część laurów, którymi później go uhonorowano. Choć wyrzuca mu się działalność w Organizacji Bojowej przed pierwszą wojną światową i sławi jego późniejsze osiągnięcia militarne, chwilę swojej największej wielkości zawdzięczał umiejętnościom *politycznym* oraz gotowości do zakulisowych działań i nieprzyjemnych ustępstw. Zawsze dawał wyraz niechęci do polityki negocjacji i kompromisu, paradoksalnie jednak to właśnie była arena jego szczytowych osiągnięć.

Kiedy Daszyński przeniósł się do Warszawy, starając się przekształcić swoją Rzeczpospolitą Ludową w funkcjonujący rząd, Wielka Brytania, Francja i Stany Zjednoczone dały jasno do zrozumienia, że nie zaakceptują takiego obrotu spraw. Ostatecznie ustąpiły na tyle, by uznać Piłsudskiego, nie posunęły się jednak do uznania socjalistów i radykalnych ludo-

wców z Lublina. Zamiast tego nalegano (wskutek podszeptów Dmowskiego), żeby nową Polską kierowała Narodowa Demokracja. Daszyński próbował znaleźć jakąś przestrzeń dla kompromisu z endecją, ta jednak, mając silne poparcie za granicą, broniła swojej pozycji. Jako zwolennik demokracji parlamentarnej Daszyński ogłosił, że nie da rady stworzyć stabilnego rządu, i podał się do dymisji. Piłsudski jednak nie miał zamiaru uginać się przed żądaniami Paryża i endecji, wezwał zatem innego znaczącego socjalistę, Jędrzeja Moraczewskiego, i powierzył mu misję utworzenia rządu. Piłsudski przekonał nowego premiera do lekkiego złagodzenia rewolucyjnego programu i do tego, by unikał używania najbardziej skrajnych haseł, jednak poza tym Moraczewski był w stanie wprowadzić w życie wszystkie najważniejsze elementy pierwotnego lubelskiego manifestu z 7 listopada.

W ciągu kilku dni nowy rząd ogłosił dekret o ordynacji wyborczej, wprowadzający powszechne prawo wyborcze dla wszystkich powyżej 21 roku życia, także dla kobiet – tym samym Polska stała się jednym z pierwszych krajów na świecie, które zdecydowały się na taki krok. Było to ważne zwycięstwo w długiej walce ruchu feministycznego w Polsce. Wbrew powszechnym przekonaniom sprawa emancypacji kobiet wcale nie była „importem zachodnim", który przybył do Polski na początku XX wieku. Narcyza Żmichowska, Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka, Zofia Nałkowska i wiele innych należało do tradycji, która sięgała przynajmniej lat trzydziestych XIX stulecia. Pierwsze Zjazdy Kobiet – w Krakowie w roku 1905 i w Warszawie w roku 1907 – rozpoczęły walkę o prawo wy-

borcze, która zaowocowała zwycięstwem kobiet w 1918. Ponadto rząd Moraczewskiego zalegalizował działalność związków zawodowych, wprowadził ośmiogodzinny dzień pracy, zapowiedział powszechne ubezpieczenia zdrowotne, zablokował eksmisje, o ile właściciel nie uzyska wyroku sądowego, i wprowadził urząd inspekcji pracy, który miał zagwarantować bezpieczne jej warunki. Te posunięcia mogą nie wydawać się rewolucyjne, jeśli zestawi się je z wydarzeniami w Rosji, absurdalne byłoby jednak pomniejszać je i traktować jako „zwykłe reformy". Nowo powstała Partia Komunistyczna miała głośno twierdzić, że Polska, stworzona przez Piłsudskiego i PPS, była zaledwie piękną fasadą dla burżuazyjnego państwa. Był to jednak słaby argument w obliczu tych nowych wspaniałych praw. Z perspektywy czasu wiemy, że część obietnic z 1918 roku pozostała niespełniona i że kryzysy gospodarcze lat międzywojennych utrzymały lub pogłębiły nędzę większości rodzin chłopskich i robotniczych. Jednak w listopadzie i grudniu 1918 roku przyszłość zdawała się jaśniejsza niż przeszłość. Rząd Moraczewskiego, choć działał krótko, był punktem kulminacyjnym polskiej rewolucji: powstało nowe państwo, oparte na fundamentach, które jeszcze tuż przed pierwszą wojną światową wydawały się utopijne. Niezależnie od całego niezrealizowanego potencjału osiągnięto podstawowe cele. Gdyby Dmowski i potęgi zachodnie odnaleźli się w listopadzie 1918 roku i wprowadzili w Warszawie rząd endecki, argument komunistów, łączący polskość z prawicowością i kapitalizmem, byłby o wiele bardziej przekonujący. Piłsudski jednak (a także Daszyński, Moraczewski i inni,

którzy pojawili się na scenie politycznej w 1918 roku) zdobył dla Polski przynajmniej warunkowe, tymczasowe poparcie większości robotników, pokazując, że mogą mieć *zarówno* niepodległe państwo, *jak* i głębokie reformy społeczne. Nawet jeśli ideologowie radykalnej lewicy i skrajnej prawicy uważali, że między narodem a klasą musi istnieć napięcie, ludzie w Polsce dali wyraz swojemu przekonaniu, że jest inaczej. Poparcie robotników dla koncepcji Polski wcale nie znaczy, że popierali dany rząd polski – wręcz przeciwnie, już w roku 1921 odbył się powszechny strajk kolejarzy, który został stłumiony groźbą militaryzacji. Natomiast samego faktu poparcia robotników dla Rzeczypospolitej nie wolno lekceważyć, bo nie był on bynajmniej oczywisty.

Już samo to było poważnym osiągnięciem Piłsudskiego, na tym jednak historia roku 1918 się nie skończyła. Zdobycie chłopów i robotników dla idei nowej Polski rozwiązywało tylko połowę problemu. Piłsudski zdawał sobie sprawę z tego, że Narodowa Demokracja cieszy się mocnym poparciem, nie da się jej więc po prostu zignorować i zmarginalizować. Rozumiał także, że koniec końców Polska będzie musiała zapewnić sobie dobre relacje z mocarstwami zachodnimi. Pod koniec 1918 roku wydawało się to karkołomnym zadaniem, zwłaszcza biorąc pod uwagę gniew i wrogość Dmowskiego. W popularnej, mętnej i podkolorowanej wersji historii tego roku, Dmowskiego i Piłsudskiego przedstawia się nieraz jako dwóch ojców założycieli nowoczesnej Polski, z których każdy wniósł cenny wkład w jej powstanie. Tymczasem każdy z nich przewróciłby się w grobie, słysząc, jak na potrzeby tej miłej opo-

wiastki zaciera się istniejące między nimi różnice. Jedynym, co łączyło obydwu mężczyzn, był rzeczownik „Polska". Mogłoby się wydawać, że to wystarczy, ale w świecie, w którym Polska była wciąż jeszcze raczej ideą niż konkretnym państwem, samo oddanie ojczyźnie nie prowadziło bynajmniej do patriotyzmu, który przekraczałby różnice ideowe. Skądinąd mówienie o „różnicach ideowych" trywializuje przepaść rozdzielającą wizje Polski Piłsudskiego i Dmowskiego. Józef Piłsudski i Roman Dmowski nie rywalizowali ze sobą o władzę nad krajem, który obydwaj kochali: każdy z nich starał się stworzyć całkowicie odmienne państwo i ich państwa – poza nazwą – miały ze sobą bardzo niewiele wspólnego. Dmowski nie mógł odczuwać żadnej patriotycznej więzi z Polską, którą tworzył Piłsudski, przy czym dokładnie tak samo byłoby, gdyby sytuacja była odwrotna.

W listopadzie i grudniu endecja organizowała coraz gwałtowniejsze marsze protestacyjne przeciwko rządowi Moraczewskiego i przeciwko Piłsudskiemu. W prawicowej prasie i w wielu (chociaż nie wszystkich) kościołach nowe państwo opisywano jako pseudo-Polskę, kontrolowaną przez kosmopolitycznych socjalistów i Żydów (jedni i drudzy zresztą byli, w endeckich fantazjach, w zasadzie tym samym). Chociaż PPS i KPP zaciekle zwalczały się nawzajem, w wizji Narodowej Demokracji obydwie były częścią tej samej niszczycielskiej siły, która starała się pozbawić naród centralnej pozycji oraz odrzucała dyscyplinę i jedność. Dowodem na to, jak twierdziła prawica, było jawne dążenie nowego rządu do oddzielenia państwa od Kościoła i do zapewnienia we wspólnej Rzeczypo-

spolitej równych praw wszystkim grupom etnicznym. Dmowski od dawna głosił, że wartości te stoją w sprzeczności z przetrwaniem nowoczesnego państwa. Jego zdaniem mniejszości można było tolerować (lub nie), jednak prawdziwa przynależność do narodu wymagała jedności i jednorodności. W kolejnym rozdziale omówię szerzej rozbieżne światopoglądy Piłsudskiego i Dmowskiego, na razie wystarczy powiedzieć, że dla Piłsudskiego współpraca z Narodową Demokracją miała być o wiele trudniejsza niż współpraca z PPS i łagodzenie rewolucyjnej energii roku 1918.

Na samym początku roku 1919 zaszło dziwaczne wydarzenie, które po dziś dzień pozostaje zagadką. W nocy z 4 na 5 stycznia grupa konserwatystów i endeków zorganizowała zamach, uwięziła premiera Moraczewskiego i zajęła kilka budynków rządowych w Warszawie. Kryzys zakończył się jednak już po kilku godzinach: armia otoczyła buntowników i zmusiła ich do poddania się. Najbardziej niezwykłe było to, że buntownicy zostali po prostu zganieni przez Piłsudskiego, a następnie wypuszczeni na wolność. Jedno z możliwych wyjaśnień tej niezwykłej wyrozumiałości jest następujące: Piłsudski wiedział, że spiskowcy nie stanowią prawdziwego zagrożenia, dlatego starał się rozładować delikatną sytuację. Inna, bardziej makiaweliczna możliwość byłaby taka, że spisek był Piłsudskiemu na rękę, a nawet że marszałek mógł poczynić pewne kroki, żeby pozwolić spiskowcom działać. Nigdy się nie dowiemy, co myślał wódz naczelny, znamy natomiast skutki wydarzeń. Po pierwsze, endecja pokazała swoją słabość w Warszawie. Partia była nadal silna w Wielkopolsce (i w Pa-

ryżu), nie była w stanie jednak zmierzyć się z siłami Piłsudskiego w stolicy. Po drugie, wielkoduszność Piłsudskiego była wyciągnięciem ręki w stronę Dmowskiego – znakiem, że Piłsudski dąży do złagodzenia konfliktu. I wreszcie po trzecie, sam zamach został bardzo źle przyjęty w Warszawie, nawet przez grupy generalnie wrogo nastawione wobec rządu Moraczewskiego. Zaniepokojeni byli zwłaszcza konserwatyści – mogli gardzić socjalistami, jednak żaden dobrze wychowany członek stanu szlacheckiego nie powinien popierać próby obalenia rządu siłą. Szacunek dla dobrych manier był dokładnie tym, co oddzielało starą konserwatywną prawicę od nowej prawicy radykalnej, a zamach ujawnił ten rozziew. Przynajmniej w Warszawie – a zapewne też w całej Kongresówce i w Galicji – zamach zdecydowanie osłabił pozycję endecji.

W owym czasie ani Piłsudski, ani Dmowski nie mogli twierdzić, że są najwybitniejszymi czy najbardziej znanymi Polakami. Ten zaszczyt przypadał pianiście Ignacemu Paderewskiemu, który był prawdziwą światową gwiazdą. Jego wirtuozeria przyciągała tłumy, bilety na jego koncerty wyprzedawano na pniu w całej Europie i Ameryce Północnej, a rozwichrzone włosy czyniły go wyjątkowo fotogenicznym. Był jednak o wiele więcej niż tylko gwiazdą muzyki. W czasie pierwszej wojny światowej wykorzystał swoją sławę, żeby promować na zachodzie sprawę polską, zdobywając szacunek i uznanie zarówno wśród szerokiej publiczności, jak i na salonach wpływowych ludzi we Francji, Wielkiej Brytanii i przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Być może był pierw-

szym, który użył muzyki Chopina jako broni w walce o sprawę narodową.

Paderewski pozostawał w dobrych stosunkach z Dmowskim i miał pewne powiązania z endecją, chociaż jego poglądy były raczej mgliste. To dało mu dogodną pozycję do odegrania roli, która przypadła mu w udziale w 1919 roku. Przyjechał do Poznania (z Paryża) w grudniu 1918 roku i już sama jego obecność stała się zarzewiem powstania, dzięki któremu wyparto z Wielkopolski to, co zostało z władz niemieckich. Pojawienie się Paderewskiego i następstwa zamachu przygotowały grunt pod kolejny ruch Piłsudskiego: w pierwszej połowie stycznia zaprosił pianistę, by zajął miejsce Moraczewskiego i został nowym premierem. Nie chodziło jednak o kontrrewolucję ani o zanegowanie osiągnięć PPS-u z końca 1918 roku. W rządzie, który tworzyli Paderewski i Piłsudski, znalazło się kilka ważnych postaci z poprzedniego rządu, a także kilku bardziej umiarkowanych polityków endecji i kilku konserwatystów, niezdyskredytowanych udziałem w zamachu. W praktyce więc zamach przyczynił się do odsunięcia twardogłowych, którzy mogliby utrudniać kompromis.

Trudno mieć pewność, do kogo w którym momencie należała inicjatywa w grudniu i styczniu, ponieważ w podobnych okolicznościach nie zapisuje się wszystkiego, a relacje składane *post factum* nie są w pełni zgodne. W gruncie rzeczy nie ma to jednak znaczenia: liczy się to, że Piłsudski zdołał utrzymać PPS w rządzie, jednocześnie wyciągając rękę do endecji. To z kolei gwarantowało, że większość miejskiej klasy robotniczej mogła zaakceptować umowę, przynajmniej na razie.

Zaangażowanie Paderewskiego natomiast dało konserwatystom i członkom Narodowej Demokracji wystarczające podstawy, by uznać legalność nowego rządu. Szczerze mówiąc, żadne problemy nie zostały tak naprawdę rozwiązane. Ideowa przepaść między lewicą a prawicą pozostała tak głęboka jak zawsze, a różni członkowie nowego rządu mieli na myśli zupełnie różne rzeczy, gdy mówili „Polska". Podczas pełnych napięcia dyskusji często nie potrafili się porozumieć – jednak już samo stworzenie im szansy na takie rozmowy było ogromnym osiągnięciem. Zawarty kompromis oznaczał jedynie odsunięcie problemu, ostateczna rozgrywka zaś miała dopiero nadejść. Piłsudski i Paderewski sprawili jednak, że gdy w końcu nadeszła, walki miały dotyczyć nie abstrakcyjnej idei Polski, ale realnie istniejącego państwa polskiego. A w międzyczasie ich polski projekt był w stanie przetrwać wyjątkowy test: wojnę polsko-bolszewicką.

Wojna polsko-bolszewicka

Zabranie ludzi z ulic i stworzenie przestrzeni umożliwiającej zbudowanie podwalin nowego państwa miało ogromne znaczenie, nikt jednak nie miał pewności, czy delikatną równowagę między patriotyzmem a rewolucją uda się utrzymać. Niezależnie od radykalizmu reform z 1918 roku podstawy dawnego porządku społecznego pozostały nietknięte – i zapewne dlatego właśnie nie używa się słowa „rewolucja" w odniesieniu do ówczesnych wydarzeń w Polsce. Bogaci po-

zostali bogaci, a biedni nadal byli biedni, nawet jeśli ci drudzy dysponowali obecnie większym politycznym potencjałem, a materialne warunki ich życia nieco się poprawiły (choć czasy wciąż były ciężkie i sytuację pogarszały zniszczenia wojenne). Co więcej, od odzyskania niepodległości minęło naprawdę niewiele czasu, gdy młode państwo podjęło już pierwszą akcję przeciwko ruchowi robotniczemu: w kwietniu 1920 roku rząd wysłał uzbrojone siły, które złamały strajk kolejarzy, zabijając dziewięciu protestujących. Była to zaledwie pierwsza z wielu brutalnych konfrontacji między państwem a ruchem robotniczym. Robotnicy mogli się przekonać, że świeżo utworzona Rzeczpospolita niekoniecznie będzie im przyjazna i że nadzieje z 1918 roku mogły być wyrazem naiwności. Pytanie brzmiało: czy osiągnięcia 1918 roku wystarczały, by polscy robotnicy chcieli być lojalni względem państwa, które zdawało się abstrakcją, nawet jeśli konkretni ludzie sprawujący władzę w 1920 roku okazywali im wrogość?

Wybory do Sejmu Ustawodawczego zaplanowano na koniec stycznia 1919 roku, trzeba było jednak w kolejnych miesiącach przeprowadzić kilka tur wyborów uzupełniających, w miarę jak ustalały się nowe granice Polski. Stwierdzenie, że głosowanie przebiegało chaotycznie, byłoby daleko idącym niedomówieniem. Dla większości Polaków był to pierwszy raz, kiedy mieli okazję oddać głos, przy czym postawiono przed nimi oszałamiającą liczbę partii politycznych, z których większość powstała w ciągu kilku przedwyborczych miesięcy. Żeby rzecz skomplikować jeszcze bardziej, przedwyborcze koalicje różniły się w zależności od okręgu, a poszczególne

opcje nie zawsze były wyraźnie zdefiniowane. W okręgach, które obejmowały dawne Królestwo Polskie, endecja stworzyła wielką koalicję partii prawicowych pod niewiele mówiącą nazwą Narodowy Komitet Wyborczy Stronnictw Demokratycznych. Pod tym neutralnym sztandarem zdobyli 41 procent głosów. W Poznaniu, gdzie endecja zawsze była silna, jej kandydaci, którzy startowali pod mniej eufemistyczną nazwą Zjednoczenie Stronnictw Narodowych, odnotowali oszałamiający wynik: 97 procent. Jako że tak wielka część populacji z pewnością nie jest w stanie się dogadać co do wszystkich istotnych kwestii, wyniki wyborów w Wielkopolsce wydają się, cóż, dziwne. Co wymowne, w Galicji, gdzie zwolennicy Dmowskiego startowali otwarcie jako Narodowa Demokracja, odsetek uzyskanych przez nich głosów spadł do zaledwie 6 procent. Tak duże rozbieżności wskazują, że wybory z 1919 roku stanowiły dalece niedoskonałe odzwierciedlenie opinii publicznej.

Kiedy posłowie wreszcie znaleźli się w Sejmie, utworzyli dziesięć różnych klubów, liczba ta jednak wzrosła ostatecznie do siedemnastu, gdy podczas kolejnych dwóch lat na nowo przyłączanych terytoriach przeprowadzano kolejne wybory uzupełniające. W styczniu 1919 roku zaprzysiężono sejm złożony z 338 posłów i posłanek, natomiast w listopadzie 1922 urząd złożyło 442 parlamentarzystów. Nie tylko jednak liczba posłów różniła sejm kończący kadencję od tego, który ją zaczynał. Na początku koalicja partii prawicowych, kierowana przez endecję, miała 34 procent miejsc, pod koniec jednak już tylko 19 procent. Za to ludowcy z PSL-Piast, kierowanego

przez Witosa, mieli początkowo 13 procent, a później doszli do 22 procent. Lewicowe chłopskie PSL-Wyzwolenie na początku wydawało się silną partią, z 17 procentami posłów, jednak po wszystkich wyborach uzupełniających znalazło się poniżej 6 procent. PPS utrzymała stałą pozycję około 10 procent. Aczkolwiek silni w miastach, socjaliści nie mieli praktycznie żadnego poparcia wśród stanowiącej większość populacji wiejskiej – choć więc początkowo PPS rozdawała karty, to straciła swoją kluczową pozycję, odkąd polityka stała się czymś więcej niż tylko miejską sprawą.

W takich warunkach odbył się ostateczny sprawdzian unikatowej mieszanki patriotyzmu i rewolucji, na jakiej opierało się nowe państwo. Jak wspominałem wcześniej, partia komunistyczna sprzeciwiała się ogłoszeniu niepodległości Polski, głosząc, że oznacza to rozbijanie międzynarodowej klasy robotniczej. Nie przypadkiem wybrała nazwę Komunistyczna Partia Polski, a nie Polska Partia Komunistyczna. Przywódcy partyjni nie byli przekonani do leninowskiej teorii „awangardy" i scentralizowanego przywództwa, jednak w sytuacji, w której rewolucja była zagrożona ze wszystkich stron i miała tak licznych wrogów, tę kwestię można było odłożyć na bok. KPP nie wzięła udziału w wyborach i nie uznawała nowego państwa polskiego. Z punktu widzenia komunistów tylko jedna walka miała znaczenie: wojna proletariatu z burżuazją. Jako że w Rosji istniała rewolucyjna armia, wykorzystanie jej siły do wsparcia rewolucji w Polsce stanowiłoby przykład solidarności proletariatu. Opisywanie tego rodzaju zaangażowania jako „rosyjskiej" ingerencji w wewnętrzne sprawy

„Polski” stanowiło, wedle komunistów, kolejny przykład wykorzystywania przez kapitalistów różnic narodowych do dławienia sił walczących o rzeczywistą zmianę. Trzeba to podkreślić: w potocznej pamięci KPP opisuje się często jako partię tych, którzy „zdradzili”, jednak z perspektywy komunistów to PPS zdradziła sprawę robotniczą, idąc na współpracę z endekami i konserwatystami. Każda ze stron oskarżała drugą o hipokryzję, nieuczciwość i jawną niemoralność.

W 1919 roku pomoc, której wyczekiwali polscy komuniści, nadeszła pod postacią wojny między wciąż jeszcze nie do końca ukształtowaną Polską a wciąż nie do końca ukształtowanym sąsiadem ze wschodu. Wojna polsko-bolszewicka była niezwykłym konfliktem, ponieważ żadna z walczących stron nie była w momencie jej wybuchu w pełni uznanym państwem. Walka zaczęła się na Kresach – czyli w guberniach zachodnich z rosyjskiego punktu widzenia, a na Ukrainie i Białorusi z punktu widzenia ukraińskiego i białoruskiego ruchu narodowego. W owym czasie był to region kiepskich dróg, nielicznych połączeń kolejowych, niskiego poziomu urbanizacji i nieredukowalnej złożoności etnicznej, religijnej i językowej. Przy czym stwierdzenie, że populacja regionu była zróżnicowana, jest o tyle nieścisłe, że na większości tego obszaru samo *pojęcie tożsamości* narodowo-etnicznej było nowością. Różne dialekty polskiego, ukraińskiego, białoruskiego, litewskiego i niemieckiego nakładały się na siebie i mieszały nawet w obrębie pojedynczych wiosek, a w każdym miasteczku można było napotkać liczną grupę osób posługujących się jidysz. Gdy załamały się imperialne rządy, Kresy

znalazły się w sytuacji, w której państwowa infrastruktura niemal całkowicie przestała istnieć – nie żeby wcześniej była jakoś szczególnie rozwinięta. W tej politycznej próżni i kulturowej mieszaninie pojawili się polscy, ukraińscy, litewscy, a nawet niekiedy białoruscy działacze narodowi, a także rewolucjoniści, reprezentujący każdą możliwą odmianę socjalizmu i ruchu ludowego. Gdy wybuchła rosyjska wojna domowa, przybyli także tak zwani biali (nie jest to nazwa żadnej zorganizowanej siły, ale ogólne określenie odnoszące się do różnych grup, które sprzeciwiały się bolszewikom). Wschodni front pierwszej wojny światowej rozciągał się na cały region, więc po rozpadzie imperialnych armii wszędzie pozostało pełno broni. Utworzyła się mieszanka wybuchowa, przy czym sytuacja uległa zdecydowanemu pogorszeniu, kiedy w latach 1918–1919 uzbrojone siły bolszewickie i polskie pojawiły się w regionie, aby dochodzić swoich roszczeń.

Dla ludzi pokroju Józefa Piłsudskiego Kresy miały olbrzymie znaczenie symboliczne. Marzeniem marszałka było odtworzenie Rzeczypospolitej polsko-litewskiej: nigdy nie zadowoliłby się małym państwem ograniczonym do polskojęzycznych katolików z dorzecza Wisły. Nie chodzi o to, że był imperialistą (nawet jeśli część jego zwolenników mogła później zasłużyć na taką etykietę), lecz raczej o to, że bliska była mu romantyczna wizja przeszłości, w której ludzie różnych wyznań i języków współżyli ze sobą w harmonii, w państwie wystarczająco rozległym, by mogło przeciwstawić się potędze zarówno Rosji, jak i Niemiec. Lenin także kierował się szczytnymi motywami: nie zależało mu na podboju Polski ani na

odtworzeniu imperium rosyjskiego, ale na tym, by ułatwić szerzenie się rewolucji. Kiedy w Niemczech, Austrii i na Węgrzech zaczęły pod koniec 1918 roku wybuchać rewolty, Lenin uznał rozwój sytuacji w Polsce za wielki krok wstecz. Uważał, że gdyby można było połączyć ze sobą najważniejsze ośrodki buntu, możliwy stałby się upadek całego systemu kapitalistycznego w Europie.

Kuszące jest podjęcie próby opowiedzenia o wojnie polsko-bolszewickiej jako o starciu dwóch gigantów – Lenina i Piłsudskiego – i ich niedających się pogodzić wizji przyszłości. W rzeczywistości i jeden, i drugi miał mniejszą kontrolę nad wydarzeniami, niż wskazywałaby ich reputacja. Każdej wojnie – czego nie wyczytamy w konwencjonalnych książkach historycznych – towarzyszy olbrzymi bałagan, ten konflikt był jednak bardziej dezorientujący niż większość. Historycy mogą naszkicować dokładne mapy przedstawiające przebieg linii frontu, żadna ilustracja jednak nie odda improwizacji, niepewności, błędów w komunikacji i ogólnego chaosu cechujących wojnę polsko-bolszewicką. Żadna ze stron nie miała solidnego zaplecza administracyjnego, żadna też nie miała na razie silnej legitymacji. Żadna nie miała nawet jasno określonych granic. Obydwie armie zostały zmontowane pospiesznie z mieszanki weteranów pierwszej wojny światowej i nowych rekrutów, których nie zdążono porządnie przećwiczyć. W przypadku Polski weterani pochodzili z armii niemieckiej, austro-węgierskiej, rosyjskiej, a nawet francuskiej (z polskich jednostek, które walczyły na froncie zachodnim), ofice-

rowie musieli zatem radzić sobie z niespójnymi nawykami taktycznymi i formami organizacyjnymi.

Rocznica wojny polsko-bolszewickiej w Warszawie, 2010. Fot. autor

I jakby tego było mało, konfrontacja była tyleż polityczna, ile wojskowa. Nie bezpośredni konflikt między dwoma państwami narodowymi, ale bitwa między *zasadą* państwa narodowego a *zasadą* rewolucji. Po jednej stronie stanęli ci, którzy uważali, że osią polityki i tożsamości powinna być kategoria narodu. Część z nich chciała przeprowadzić projekt sprawiedliwości ekonomicznej w ramach państwa narodowego, inni po prostu uważali naród za wartość samą w sobie. Wszyscy jednak gotowi byli bronić bytu zwanego Polską. Przeciw tym różnym odmianom patriotyzmu wystąpili ci, którzy wolność uważali za cel powszechny, a nie możliwy do osiągnięcia w ramach narodu. Uznali nowe państwo polskie

za narzędzie w rękach panów ziemskich i właścicieli fabryk, za przeszkodę na drodze ogólnoświatowej rewolucji. W tej grupie znajdowały się osoby, które będziemy identyfikować jako Polaków, one same jednak uważały swoją etniczną i językową tożsamość za kwestię drugorzędną.

Terytorium, na którym toczyły się walki, było rozległe, fronty zaś rozciągnięte do niemożliwości. Szacuje się, że gdyby oddziały rozlokowano równo wzdłuż całej linii frontu (a tak rzecz jasna nie było), jeden żołnierz stałby co 45 metrów[11]. Z tego powodu każda ze stron mogła stosunkowo łatwo wkraczać daleko na terytorium wroga, każda też była w stanie przeprowadzić rajd i odepchnąć siły przeciwnika. W czerwcu 1920 roku wojska Piłsudskiego dotarły do Mińska i Kijowa, jednak już dwa miesiące później bolszewicy znaleźli się kilkadziesiąt kilometrów od stolicy Polski. Wywiązała się bitwa, którą zwolennicy Piłsudskiego nazywać będą bitwą warszawską, przeciwnicy zaś (którzy woleli przypisać zwycięstwo raczej Matce Boskiej niż naczelnemu wodzowi) – cudem nad Wisłą. Niezależnie od nazwy bitwa wyznaczała punkt, w którym obie strony zdały sobie sprawę, że nie są zdolne odnieść decydującego zwycięstwa nad przeciwnikiem. Walki trwały jeszcze kilka miesięcy, ostatecznie zakończyły się w marcu 1921 roku podpisaniem traktatu w Rydze. Dokument określający wschodnią granicę nowego państwa polskiego był rozczarowujący dla obu stron. Z punktu widzenia bolszewików oznaczał koniec jakichkolwiek realnych szans na to, że ich rewolucja stanie się częścią procesów zachodzących w całej Europie (a może nawet na świecie). Dla Piłsudskiego wynik woj-

ny był powodem frustracji, ponieważ nowa granica przecinała Ukrainę i Białoruś, kładąc kres nadziejom na odbudowanie państwa obejmującego terytorium dawnej Rzeczypospolitej. Narodowi Demokraci także mieli powód do niezadowolenia, ponieważ w granicach nowego państwa znalazła się olbrzymia populacja ludzi zwanych przez nich „mniejszościami" (pamiętajmy, że termin ten pozostaje sensowny, tylko jeśli ktoś uważa, że etniczność powinna stać się konstytucyjnie znaczącą kategorią).

11 Takie wyliczenia podaje Norman Davies w: tegoż, *Orzeł Biały, czerwona gwiazda*, przeł. Andrzej Pawelec, Znak, Kraków 1988.

Z perspektywy czasu widać jednak, że wojna polsko-bolszewicka oznaczała zwycięstwo samej *idei* Polski. Zaledwie nieliczni odpowiedzieli na wezwanie, kierowane przez komunistów do polskich chłopów i robotników, by wystąpić przeciwko panom i dołączyć do rewolucji. Pobór do polskiej armii okazał się natomiast bardzo skuteczny, cywilów zaś udało się zmobilizować do poparcia wysiłku wojennego. Około 1919–1920 roku większość ludzi w Polsce uznała, że mają swój udział w nowym państwie, że ten kraj jest „ich". Z punktu widzenia chłopów i robotników jaki sens miało udzielanie poparcia bolszewikom, skoro polski rząd wprowadzał głębokie reformy społeczne, polityczne i gospodarcze? Znaczący jest fakt, że w czasie gdy toczyły się najtrudniejsze walki, między 1 lipca a 1 października 1920 roku, powstał Rząd Jedności Narodowej, w którego skład weszli przedstawiciele wszystkich znaczących partii politycznych, również endecji, PPS i PSL.

Socjaliści wydawali się nie widzieć żadnej sprzeczności w tym, że walczyli w obronie Polski przeciwko bolszewikom. Dziś ten rodzaj lojalności wydaje się nam czymś oczywistym, wtedy bynajmniej tak nie było. W pełnych zamętu pierwszych latach państwowości trudno było przewidzieć, w jaki sposób ukształtują się lojalność i tożsamość. To, że ktoś mówił po polsku, nie oznaczało, że automatycznie postawi na państwo polskie, a sam fakt, że dana osoba mówiła jakimś innym językiem, nie oznaczał, że była lojalna wobec kogoś innego.

Podczas gdy wschodnią granicę Polski określiła wojna polsko-bolszewicka, granica zachodnia była przedmiotem debat podczas rozmów pokojowych w Paryżu. Przedstawicielem Polski był Roman Dmowski, któremu przypadło w udziale trudne zadanie. Choć alianci bez wątpienia byli gotowi obwinić Niemcy za wojnę i odpowiednio ukarać, do Polski podchodzili z rezerwą. Politycy na zachodzie wciąż nie tracili nadziei, że Lenin zostanie pokonany i Cesarstwo Rosyjskie – w czasie wojny sojusznik Francji i Wielkiej Brytanii – powróci. Manewry dyplomatyczne były skomplikowane i ostatecznie nie aż tak istotne: dość powiedzieć, że żaden z zachodnioeuropejskich przywódców nie był skory zajmować się kwestią granicy polsko-niemieckiej, więc przy kilku okazjach mieszkańcy spornych terenów zaczęli działać na własną rękę.

Wiele miejsc było przedmiotem sporu. Gdańsk/Danzig miał decydujące znaczenie dla polskiej gospodarki z uwagi na położenie u ujścia Wisły, jednak ludność miasta była w większości niemiecka, dyplomaci stworzyli zatem „wolne miasto” (tak jak ponad sto lat wcześniej, w okresie Księstwa War-

szawskiego), nienależące do żadnego z państw, i zostawili Polsce jedynie wąski pas lądu na zachód od delty Wisły, tak zwany Polski Korytarz. Po drugiej stronie znajdowały się Prusy Wschodnie, bezdyskusyjnie uznane za niemieckie. Kwestią sporną pozostawało natomiast to, jak rozległe miały być te Prusy Wschodnie, ponieważ na ich południowym krańcu leżały Warmia i Mazury, gdzie ludność mówiła dialektem języka polskiego. W sytuacji, w której niemożliwe okazało się wytyczenie dokładnych granic etnolingwistycznych (linie, które próbowano wytyczyć, były jak zawsze nieszczelne i nieostre, a etnografowie energicznie je kwestionowali), negocjatorzy zebrani na konferencji pokojowej w Wersalu postanowili rozwiązać problem za pomocą plebiscytów. Pomysł z pozoru bardzo zgrabny, w praktyce jednak wybory okazały się wielce niedoskonałą metodą badania tożsamości. Głosowanie odbywało się dokładnie wtedy, kiedy armia radziecka maszerowała na Warszawę, w związku z czym wiele osób uznało, że ryzykowne – jeśli nie całkiem bez sensu – jest oddawanie głosu na Polskę. Niemcy odniosły zatem walne zwycięstwo, nie dlatego, że Warmię i Mazury zamieszkiwali niemieccy patrioci, ale dlatego, że ludzie nie czuli się zbyt silnie zaangażowani w żadną narodową tożsamość. W zaistniałych okolicznościach wybór Niemiec wydawał się bezpieczniejszy.

Na przynależność Wielkopolski dyplomacja miała niewielki wpływ. Narodowa Demokracja bardzo zdecydowanie zabiegała o to, żeby Poznań znalazł się w Polsce, ponieważ tu była silniejsza niż w jakiejkolwiek innej części kraju. Zarazem jednak w tej prowincji mieszkała znacząca mniejszość niemiec-

ka, zwłaszcza w samym Poznaniu, a klasę robotniczą (niezależnie od przynależności narodowej) zmobilizowały niemieckie rewolucje z października i listopada 1918 roku. Zanim dyplomaci z Zachodu zdołali podjąć jakąkolwiek decyzję dotyczącą Wielkopolski, miejscowi polscy działacze wzięli sprawy w swoje ręce i w grudniu 1918 roku wszczęli powstanie. W ciągu dwóch miesięcy siły niemieckie zostały wypchnięte z Wielkopolski i uczestników paryskiej konferencji pokojowej postawiono przed faktem dokonanym.

Wyzwól się od Twych gnębicieli!
Befreie Dich von Deinen Bedrückern!
Głosuj za Polską! Stimme für Polen!
Górny Śląsk w połączeniu z Niemcami osiągnął wysokiego stopnia dobrobytu.
W połączeniu z Polską Górny Śląsk popadnie w rozpaczną nędzę.

Plakaty z plebiscytu na Śląsku. Źródło: Biblioteka Śląska

O wiele bardziej drażliwa okazała się przedłużająca się sprawa Śląska, regionu wówczas, podobnie jak dziś, bardzo cennego, mającego rozwinięte górnictwo węglowe i przemysł ciężki. 2824 osoby zginęły w wyniku politycznej przemocy na Śląsku, w czasie wydarzeń, które miały miejsce między 1918 a 1922 rokiem, kiedy polscy i niemieccy nacjonaliści walczyli o kontrolę nad regionem. Jak na ironię, do rozlewu krwi doszło nie dlatego, że międzyetniczne relacje w regionie były tak bardzo napięte, ale właśnie dlatego, że wcześniej napięcie nie istniało. Działacze z obu stron napotkali poważną przeszkodę, jako że większość ludzi na Śląsku w tym czasie miała bardzo elastyczne podejście do kwestii tożsamości etnicznej. Niemal każdy na Śląsku był w jakimś stopniu dwujęzyczny, niemal wszyscy byli rzymskimi katolikami, a idea, zgodnie z którą każdy musiał określić się jako „Niemiec" lub „Polak", wciąż była nowością. Wiele osób zresztą po prostu mówiło po śląsku. Już pod koniec 1918 roku działacze po obydwu stronach zaczęli atakować przedstawicieli strony przeciwnej, a następnie tych, których uznawali za zdrajców we własnych obozach. Niestety, to, co w oczach nacjonalistów uchodziło za zdradę, zazwyczaj było po prostu ambiwalentnym stosunkiem do samej idei dychotomicznych tożsamości narodowych. Przemoc ma jednak swoje sposoby polaryzowania wspólnot, zarówno dlatego, że uruchamia cykl zemsty, jak i dlatego, że ludzie uświadamiają sobie, że muszą się określić, jeśli chcą zyskać ochronę.

W samym środku walk odbył się plebiscyt zorganizowany przez mocarstwa zachodnie. Raz jeszcze ta pozornie demo-

kratyczna strategia poniosła klęskę. Wyznaczenie terminu głosowania doprowadziło do intensyfikacji przemocy, ponieważ działacze po każdej ze stron dążyli do umocnienia swojej pozycji. Kampania przedreferendalna pokazała tymczasem, że walczący nie osiągnęli jeszcze w pełni upragnionych rezultatów: każda ze stron apelowała do głosujących w obydwu językach – prowadzący kampanię byli doskonale świadomi, że sam fakt niemieckojęzyczności czy polskojęzyczności danej osoby nie przesądzał, na kogo odda ona swój głos. Wiele apeli dotyczyło nie tylko kwestii narodowych, ale też społecznych. Na proniemieckich plakatach podkreślano, że strona niemiecka jest o wiele bogatsza i że jej rozwinięta gospodarka oznacza więcej miejsc pracy. Plakaty propolskie odwoływały się do robotniczego gniewu, utożsamiając bogatych właścicieli fabryk z Niemcami. Ostatecznie wyniki plebiscytu były bardzo wyrównane, okazały się jednak pozbawione znaczenia. Kiedy ogłoszono wyniki, polscy nacjonaliści zapoczątkowali akcję zbrojną w nadziei, że uda się powtórzyć sukces odniesiony nieco dalej na północ, w Wielkopolsce. Wydarzenie to przeszło do historii jako Trzecie Powstanie Śląskie (dwa poprzednie, mniejsze, wybuchły w latach 1919 i 1920). Po kilku miesiącach walk dyplomaci w Paryżu wytyczyli, nieco arbitralnie, linię granicy przechodzącą mniej więcej przez środek spornych obszarów. Pomysł, że można w plebiscycie jasno wskazać, które z powiatów są polskie, a które niemieckie, okazał się czystą fantazją.

Rzeczpospolita polsko-litewska (jasnoszara) i II Rzeczpospolita (ciemnoszara)

W 1921 roku zakończyła się ostatecznie wojna polsko-bolszewicka, spór o Śląsk zaś skończył się w 1922 – w ten sposób nowa Polska zajęła miejsce na mapie. Nie była wielką, odtworzoną, pluralistyczną Rzeczpospolitą Obojga Narodów, o której marzył Piłsudski, ani homogenicznym państwem narodowym, jakie preferował Dmowski. Istniała jednak, co samo w sobie stanowiło osiągnięcie. Jeszcze większym osiągnięciem był fakt, że większość ludzi, którzy znaleźli się w gra-

nicach nowego państwa, z zadowoleniem uznało się za polskich obywateli. Wydarzenia lat 1918 i 1919 przyniosły dostatecznie dużo rewolucyjnych zmian w sferze społecznej, aby zadowolić większość robotników i chłopów, przynajmniej na jakiś czas. Wciąż jednak pozostało parę nierozwiązanych problemów tak wielkiej wagi, że niektóre z nich mogły zniszczyć nowe państwo, zanim jeszcze ostatecznie powstało.

Literatura uzupełniająca

Ajnenkiel, Andrzej, *Spór o model parlamentaryzmu polskiego do roku 1926*, Książka i Wiedza, Warszawa 1972

Biskupski, Mieczysław, *Independence Day: Myth, Symbolism, and the Creation of Modern Poland*, Oxford University Press, Oxford 2012

Bjork, James, *Neither German nor Pole: Catholicism and National Indifference in a Central European Borderland*, University of Michigan Press, Ann Arbor 2008

Blobaum, Robert, *A Minor Apocalypse: Warsaw during the First World War*, Oxford University Press, New York 2017

Böhler, Jochen, *Civil War in Central Europe, 1918–1921: The Reconstruction of Poland*, Oxford University Press, New York 2018

Borzęcki, Jerzy, *The Soviet-Polish Peace of 1921 and the Creation of Interwar Europe*, Yale University Press, New Haven 2008

Garlicki, Andrzej, *Drugiej Rzeczypospolitej początki*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Garlicki, Andrzej (red.), *Rok 1918. Tradycje i oczekiwania*, Czytelnik, Warszawa 1978

Hagen, William, *Anti-Jewish Violence in Poland, 1914–1920*, Cambridge University Press, Cambridge 2018

Hunt, Tooley, *National Identity and Weimar Germany: Upper Silesia and the Eastern Border, 1918–1922*, University of Nebraska Press, Lincoln 1997

Jankowski, Stanisław, *Dziewczęta w maciejówkach*, Trio, Warszawa 2012

Okulewicz, Piotr, *Koncepcja „międzymorza" w myśli i praktyce politycznej obozu Józefa Piłsudskiego w latach 1918–1926*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2001

Pajewski, Janusz, *Budowa Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1926*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2007

Pobóg-Malinowski, Władysław, *Najnowsza historia polityczna Polski, 1864–1945*, B. Świderski, London 1983

Prusin, Alexander Victor, *Nationalizing a Borderland: War, Ethnicity, and Anti-Jewish Violence in East Galicia, 1914–1920*, University of Alabama Press, Tuscaloosa 2005

Sierakowska, Katarzyna, *Śmierć – wygnanie – głód w dokumentach osobistych. Ziemie polskie w latach Wielkiej Wojny 1914-1918*, Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2015

Snopko, Jan, *Finał epopei Legionów Polskich, 1916–1918*, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2008

Stempin, Arkadiusz, *Próba „Moralnego Podboju" Polski przez Cesarstwo Niemieckie w latach I Wojny Światowej*, Neriton, Warszawa 2013

Wandycz, Piotr S., *Soviet-Polish Relations, 1917–1921*, Harvard University Press, Cambridge, MA 1969

Westerhoff, Christian, *Praca przymusowa w czasie I wojny światowej. Niemiecka polityka sterowania siłą roboczą w okupowanym Królestwie Polskim i na Litwie w latach 1914–1918*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2014

Wilson, T.K., *Frontiers of Violence: Conflict and Identity in Ulster and Upper Silesia, 1918–1922*, Oxford University Press, New York 2010

Zieliński, Konrad, *Stosunki polsko-żydowskie na ziemiach Królestwa Polskiego w czasie pierwszej wojny światowej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2005

ROZDZIAŁ CZWARTY

MIĘDZY DEMOKRACJĄ A AUTORYTARYZMEM, 1922–1939

Polska powróciła na mapę 123 lata po tym, jak wymazały ją z niej rozbiory. Nie był to jednak w rzeczywistości powrót ani odbudowa, ponieważ Druga Rzeczpospolita lat międzywojennych w niewielkim stopniu przypominała dawną Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Przede wszystkim miała inne granice: na wschodzie część jej dawnych ziem weszła obecnie w skład Związku Radzieckiego, na północnym wschodzie powstało niepodległe państwo litewskie, a u ujścia Wisły – „wolne miasto" Gdańsk/Danzig. Jednak jeszcze ważniejsza zmiana kryła się za pozornym podobieństwem: obydwa państwa miały w nazwie „rzeczpospolitą", czyli republikę, ale ich ustrój różnił się zasadniczo. Wspólna etykieta była o tyle usprawiedliwiona, że obydwa miały systemy konstytucyjne, a ściślej rzecz ujmując, w obydwu prawo stało ponad wolą władcy (w teorii, choć nie zawsze w praktyce), stanowienie prawa zaś leżało w gestii wybieralnego zgromadzenia (formalnie, nawet jeśli nie zawsze w rzeczywistości). O ile jednak w Pierwszej Rzeczypospolitej władzę monarchy ograniczono po to, by zabezpieczyć przewagę szlachty, o tyle nowe państwo było nowoczesną demokracją parlamentarną, założoną głównie przez socjalistów i ludowców. Wynikało z tego wiele

konsekwencji, z których najważniejszą zapewne był fakt, że „lud" czy też „naród" (zależnie od retorycznych predylekcji) stał się suwerenem. Choć ten rzeczownik w liczbie pojedynczej zyskał ogromne symboliczne znaczenie, to na pierwszy plan wysuwały się różnorodność i podziały wśród konkretnych ludzi – rzeczownika tak niewygodnie mnogiego. W dawnej Rzeczypospolitej kategorie etniczności czy narodowości (w takim znaczeniu, w jakim my je rozumiemy) nie miały politycznego znaczenia, wielokulturowość populacji nie stanowiła istotnego problemu. Teraz było inaczej. Co więcej, Rzeczpospolita Obojga Narodów istniała w epoce przed narodzinami wszystkich izmów, które dziś tak dobrze znamy. Odkąd nowe ideologie weszły do gry, polityka stała się zupełnie inna – i niekiedy zwyczajnie brudna.

Państwo narodowe versus państwo obywatelskie

17 marca 1921 roku Sejm Ustawodawczy wykonał swoje najważniejsze zadanie i tak powstał dokument bardziej konserwatywny, niż życzyliby sobie socjaliści i lewicowi ludowcy, jednak na tyle demokratyczny i pluralistyczny, aby nie zadowalał w pełni endecji i konserwatystów[1]. Wprowadzono dwuizbowy parlament, przy czym prawo głosowania w wyborach do sejmu przysługiwało każdej osobie po ukończeniu 21 lat, do senatu zaś – po ukończeniu 30 lat. Senat nie miał inicjatywy ustawodawczej, miał prawo weta wobec ustaw sejmo-

wych, jednak do odrzucenia takiego weta niższej izbie wystarczyła zaledwie 55-procentowa większość. Jak w każdym systemie parlamentarnym, rząd potrzebował poparcia większości posłów w sejmie, a jako że żadna partia nie zbliżyła się nigdy do zdobycia 51 procent głosów, konieczne było tworzenie koalicji. Konstytucja wprowadzała urząd prezydenta, przy czym głowę państwa wybierać miało Zgromadzenie Narodowe (złożone z połączonych izb sejmu i senatu). Obowiązki prezydenta miały charakter raczej symboliczny. W teorii mogłyby to też być obowiązki prezydentki, jednak biorąc pod uwagę, że w Sejmie Ustawodawczym zasiadało 441 mężczyzn i 7 kobiet, wątpię, czy komukolwiek w ogóle taka możliwość przyszła do głowy. W pierwszym polskim parlamencie więcej było mężczyzn imieniem Feliks niż kobiet[2].

1 Tekst konstytucji jest dostępny na: https://bit.ly/2Ul7sIs.

2 Warto odnotować, że w tym samym czasie w brytyjskim parlamencie zasiadały dwie kobiety, jedna w Kongresie Stanów Zjednoczonych, żadna nie zasiadała we francuskim Zgromadzeniu Narodowym (Francuzki nie miały jeszcze w tym czasie praw wyborczych), dziewięć w rosyjskim zgromadzeniu konstytucyjnym i 41 w zgromadzeniu konstytucyjnym Republiki Weimarskiej. Siedem posłanek, zasiadających w polskim sejmie, zasługuje na upamiętnienie: Franciszka Wilczkowiakowa (Narodowa Partia Robotnicza), Gabriela Balicka-Iwanowska (Związek Ludowo-Narodowy), Irena Kosmowska (PSL-Wyzwolenie), Jadwiga Dziubińska (PSL-Wyzwolenie), Maria Moczydłowska (Narodowe Zjednoczenie Ludowe), Zofia Moraczewska (PPS), Zofia Sokolnicka (Związek Ludowo-Narodowy).

Konstytucja Marcowa, jak ją się zwyczajowo nazywa, zapewniała wolność słowa, zgromadzeń i sumienia oraz zapewniała prawo do „życia, wolności i mienia wszystkim bez różnicy pochodzenia, narodowości, języka, rasy lub religii". W artykule 114 uprzywilejowano religię katolicką, jednak bar-

dzo specyficzne użycie słów ujawniało, że za tym sformułowaniem stał wyraźny kompromis: „Wyznanie rzymsko-katolickie, będące religją przeważającej większości narodu, zajmuje w Państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań". Ku niezadowoleniu endecji u podstaw dokumentu leżało pojęcie obywatela, a nie narodu – nawet jeśli nie bez pewnych dwuznaczności. Prawica była głęboko zawiedziona tym, że w konstytucji nie udało się zawrzeć jej rozumienia narodu jako zwartej i homogenicznej wspólnoty kulturowej, mającej własne szczególne interesy i potrzeby, stojące ponad interesami i potrzebami pojedynczych obywateli. Wedle tego rozumowania ludzi nienależących do „narodu" (uznawanych za „mniejszości") można było tolerować, nie mogli jednak być pełnoprawnymi członkami wspólnoty politycznej w takim stopniu, w jakim byli nimi „prawdziwi Polacy". Nawet artykuł 114, który zapewniał katolicyzmowi uprzywilejowaną pozycję, gniewał prawicę. Jeden wpływowy biskup napisał pełen oburzenia list otwarty, w którym piętnował konstytucję za to, że określa katolicyzm jako wyznanie zaledwie „na równi z judaizmem i z sektami akatolickiemi", a to oznaczało „odschrystjanizowanie społeczeństwa, to jest, zdarcie zeń wszelkiej cechy chrześcijańskiej". Biskup ów stwierdzał, że Polska to „naród katolicki", i odrzucał ideę równouprawnienia wyznań jako wyraz niszczycielskiego liberalnego indywidualizmu[3].

3 Józef Pelczar, *List otwarty do posłów diecezji przemyskiej, a pośrednio do wszystkich posłów Sejmu Ustawodawczego* (1921), 3. Kopia rękopiśmienna listu znajduje się w Bibliotece Narodowej, sygn. II.902.617.

Lewica tymczasem była niezadowolona z powodu braku konstytucyjnych gwarancji, które przypieczętowałyby osiągnięcia rewolucyjnych miesięcy 1918 roku. Cieszyło lewicowców potwierdzenie powszechnych praw obywatelskich czy wprowadzenie do konstytucji zapisów obiecujących darmową edukację oraz wsparcie państwa w sytuacji bezrobocia, choroby lub wypadku. Były to jednak cechy charakterystyczne modelu, który miał później zostać nazwany państwem opiekuńczym, nie zaś prawdziwy socjalizm. Artykuł 99 głosił, że własność jest „jedną z najważniejszych podstaw ustroju społecznego i porządku prawnego", i zakazywał konfiskaty lub redystrybucji bez należytego odszkodowania. W czasach, w których reforma rolna pozostawała najważniejszym celem ruchu ludowego, a socjaliści w innych krajach ustanawiali samorządy robotnicze w przejętych przez siebie fabrykach, lewica musiała uznać Konstytucję Marcową za rozczarowanie.

Choć zarówno lewica, jak i prawica miały powody do narzekania, niezadowolenie prawicy miało znacznie głębsze podstawy. Na lewicy większość akceptowała ogólne założenia filozoficzne, na których oparta była Druga Rzeczpospolita, tymczasem dla wielu prawicowców były one nie do przyjęcia. W mglistej pamięci historycznej Piłsudski, Dmowski, Daszyński, Witos oraz inni ojcowie założyciele nowoczesnej Polski stoją ręka w rękę i wspólnie wspierają nowe niepodległe państwo. W rzeczywistości wielu z nich (szczególnie Dmowski i Piłsudski) żywiło głębokie wątpliwości wobec nowego państwa i było gotowych udzielić mu zaledwie prowizorycznej legitymacji. Stało się to szczególnie jasne przy okazji wybo-

rów w listopadzie 1922 roku, których efektem był sejm beznadziejnie pokawałkowany. Z 29 partii, które stanęły do wyborów, 14 zdobyło miejsca w Sejmie. Około 28 procent głosów zyskały różne partie lewicowe (PPS i jej potencjalni sojusznicy), około 31 procent prawica (endecja i jej potencjalni sojusznicy), a około 14 procent centrowe PSL-Piast. Pozostałe głosy oddano na partie reprezentujące Żydów, Ukraińców, Niemców lub Białorusinów oraz na kilka innych rozmaitych małych partii. Mimo że lewica i prawica zyskały zbliżone poparcie, podział mandatów w Sejmie nie był wyrównany, a to z powodu skomplikowanej formuły przeliczania głosów (przypominającej tę stosowaną obecnie), która uprzywilejowała większe partie i odsuwała mniejsze. Ponieważ prawicy udało się stworzyć jedną silną koalicję, podczas gdy lewica pozostała podzielona, endecja zyskała 39 procent miejsc w parlamencie, lewica zaś tylko 22 procent.

Pierwszym zadaniem sejmu i senatu było zorganizowanie wspólnej sesji i wybranie prezydenta – zajęto się tym na początku grudnia 1922 roku. Głosowanie wydobyło na powierzchnię wszystkie ideologiczne i kulturowe napięcia polskiego życia politycznego i to w sposób, który miał na zawsze odcisnąć piętno na historii kraju. Piłsudski łatwo zdobyłby większość, mimo oporu endecji i sprzeciwu Kościoła, odmówił jednak kandydowania. Konstytucja Marcowa dawała prezydentowi niewielką władzę, stanowisko to nie interesowało więc człowieka, który już był żywą legendą i którego wychwalano jako ojca państwa. Nie był to przypadek: endecja, doskonale zdająca sobie sprawę z pozycji, jaką zyskał Piłsudski, za-

dbała na Sejmie Ustawodawczym o to, by urząd prezydenta pozostał słaby. Rezygnacja Pierwszego Marszałka Polski (formalny tytuł Piłsudskiego od 19 marca 1920 roku) oznaczała otwarcie wyścigu o fotel prezydencki; po dwóch rundach głosowania wydawało się, że nastąpił pat. Kandydat endecji uzyskał 41 procent głosów, kandydat popierany przez lewicę 32 procent, kandydat centrystycznego odłamu ruchu ludowego znalazł się tuż za nimi z 27 procentami. Po wielu godzinach dramatycznych negocjacji kandydat PSL-Piast wycofał się, partia zaś poparła kandydata lewicy i tak wybrany został Gabriel Narutowicz, stosunkiem głosów 289 do 227.

Do tego dnia Narutowicz nie był szczególnie znaną postacią. Inżynier, profesor politechniki w Szwajcarii, gdzie pracował do końca pierwszej wojny światowej, niezwiązany z żadnymi polskimi ruchami politycznymi. Powrócił do kraju, gdy zaoferowano mu w 1920 roku stanowisko ministra robót publicznych, i służył godnie na tym stanowisku, bardzo ważnym z uwagi na powojenną odbudowę. Przez krótki czas (od czerwca do grudnia 1922 roku) był ministrem spraw zagranicznych. Kandydaturę Narutowicza na prezydenta wysunięto dokładnie dlatego, że miał tak luźne związki z przedwojennymi stronnictwami politycznymi, co budziło nadzieję, że może okazać się przywódcą godzącym różne obozy. Oficjalnie był kandydatem PSL-Wyzwolenie (lewicowej alternatywy dla Witosowego PSL-Piast), jednak ważniejsze było osobiste poparcie, którego udzielił mu Piłsudski. Niestety Narodowa Demokracja nie potrafiła i nie chciała pogodzić się z porażką. Prasa i politycy powiązani z prawicą ogłosili, że Narutowicz nie jest

legalnym prezydentem i nie reprezentuje „polskiej większości", jako że został wybrany głosami partii żydowskich i innych „obcych" elementów. Tu właśnie z całą mocą ujawnił się podstawowy konflikt rozdzierający Drugą Rzeczpospolitą: spór nie między „Polakami" a „mniejszościami", lecz między dwoma całkowicie odmiennymi sposobami rozumienia tego, co to znaczy być Polakiem. Jeśli idzie o polskich *obywateli*, Narutowicz zyskał zdecydowaną większość głosów, problem Narodowej Demokracji polegał jednak na tym, że samo pojęcie obywatela opierało się na idei, zgodnie z którą wolne jednostki otrzymują równe prawa niezależnie od narodowego dziedzictwa. Endecja chciała państwa, które służyłoby interesom „polskiego narodu", definiowanego w wąskich, etniczno-religijno-językowych kategoriach. Koalicja prawicowych partii, tak zwana Grupa Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej (kierowana przez endecję), wydała oświadczenie stwierdzające, że wybór Narutowicza oznacza „ciężką zniewagę wyrządzoną pokoleniom, które o niepodległość walczyły, jako gwałt zadany myśli politycznej polskiej jako groźne znamię rozstroju". Z tą myślą działacze ChZJN zadeklarowali, że „nie mogą wziąć na się odpowiedzialnoś[ci] za bieg spraw państwowych w takim stanie rzeczy" oraz że odmawiają „wszelkiego poparcia Rządom powołanym przez prezydenta narzuconego przez obce narodowości: Żydów, Niemców, Ukraińców". Zadeklarowali także, że „podejmują stanowczą walkę o narodowy charakter Państwa Polskiego, zagrożony tym wyborem"[4]. W kolejnych dniach działacze prawicy organizowali w proteście przeciw wyborowi Narutowicza za-

mieszki na ulicach Warszawy. Atakowali przede wszystkim Żydów, ale także socjalistów, liberałów i wszystkich, którzy weszli im w drogę. Zaatakowali nawet katolickiego księdza, który ich zdaniem wyglądał jak Żyd. W czasie zamieszek zabito dwóch ludzi, było wielu rannych[5].

4 *Oświadczenie Chrz. Zw. Jedn. Nar.*, „Gazeta Warszawska", 337, 10.12.1922.

5 Najważniejsze opracowanie na temat wyborów: Paweł Brykczyński, *Gotowi na przemoc. Mord, antysemityzm i demokracja w przedwojennej Polsce*, przeł. Michał Sutowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2017.

Zaprzysiężenie Gabriela Narutowicza odbyło się, zgodnie z planem, 11 grudnia 1922, w sytuacji ogromnego napięcia. Armia, postawiona w stan gotowości, szykowała się, by powstrzymać ewentualny przewrót, działacze PPS zmobilizowali się, by bronić wybranego rządu, te środki bezpieczeństwa okazały się jednak zbędne, kiedy Dmowski zdecydował się wycofać do Poznania (gdzie miał najsilniejsze poparcie) i przegrupować w oczekiwaniu na nadchodzące zmagania. Tragedia polegała na tym, że nie wszyscy gotowi się byli wycofać. Pięć dni po inauguracji Narutowicz miał uczestniczyć w otwarciu wystawy sztuki w galerii Zachęta w Warszawie: podczas tej uroczystości został zastrzelony przez zamachowca. Zabójca działał sam, jednak podczas procesu powtarzał tezy endecji o konieczności ratowania Polski przed „obcymi" i „mniejszościami". Prawicowa prasa wychwalała zamachowca i okrzyknęła go prawdziwym patriotą, który być może jedynie posunął się w obronie swoich przekonań o krok za daleko. Jego grób stał się wkrótce dla Narodowych Demokratów miejscem pielgrzymek; po dziś dzień nacjonaliści zostawiają

tam kwiaty i znicze. Wkrótce po zamachu Zgromadzenie Narodowe zebrało się ponownie i tą samą większością dwóch trzecich wybrało na drugiego prezydenta Polski Stanisława Wojciechowskiego, byłego działacza PPS.

Wydarzenia z końca 1922 roku nieodwracalnie zatruły polityczną atmosferę Drugiej Rzeczypospolitej. Narodowa Demokracja nigdy już nie powtórzyła sukcesu wyborczego z 1922 roku (skądinąd pamiętajmy, że po 1922 roku w przedwojennej Polsce nie było już całkowicie wolnych wyborów), jednak bojowość partii zapewniła jej trwałe poparcie wśród najbardziej zdeterminowanych zwolenników, którzy trwali w poczuciu wyobcowania w państwie rządzonym, w ich przekonaniu, przez Żydów i inne elementy wrogie narodowi polskiemu. Ogromnym błędem byłoby widzieć w tym konflikcie walkę między Polakami a nie-Polakami – takie ustawienie sprawy oznaczałoby przyjęcie endeckiego światopoglądu. Kręte linie konfliktu przecinały polskojęzyczną populację, w której wiele osób nie zgadzało się na to, by postrzegać swoje państwo wyłącznie w kategoriach etnicznych. Wielu nadal marzyło o wielokulturowym państwie, w którym ludzi traktuje się jak obywateli w sferze politycznej, a jako członków określonej wspólnoty religijnej czy językowej w sferze kultury. Wobec braku zgody co do samej natury polskiego państwa czy polskiego narodu kompromis polityczny zdawał się nieosiągalny.

Zamach majowy

W następstwie zabójstwa Narutowicza polska polityka stała się tak dalece dysfunkcyjna, jak tylko polityka być potrafi. W Sejmie, podzielonym między liczne rywalizujące ze sobą partie, stworzenie koalicji byłoby wyzwaniem w każdych okolicznościach, stało się jednak naprawdę niemożliwe wobec braku zgody co do samych podstaw filozoficznych państwa. Nic zatem dziwnego, że między rokiem 1919 a 1926 Polska miała piętnastu premierów, sprawujących urząd średnio mniej niż sześć miesięcy. Ta skłonność do podziałów nie była bynajmniej polską specyfiką, dotykała całą Europę. Jeśli idzie o Francję i Niemcy, w tym samym okresie każdy z tych krajów miał dziewięciu premierów, Austria i Szwecja – po ośmiu, a Grecja ze swoimi piętnastoma dorównała Polsce. Myślimy o Czechosłowacji jako o wyspie względnej stabilizacji, i słusznie: Praga miała między 1919 a 1926 rokiem jedynie sześciu premierów. Tak więc Polska bez wątpienia znajdowała się w czołówce, jednak nie wykraczała zbytnio poza swoistą normę epoki. W całej Europie był to czas pełen niepokojów: groźba lub szansa (zależnie od przyjętego punktu widzenia) rewolucji zmuszała do dokonywania skrajnych wyborów, a trudności gospodarcze lat powojennych podsuwały zdesperowanym ludziom najróżniejsze radykalne myśli. Prowadziło to do mnożenia się mniejszych partii; żadna konkretna grupa nie potrafiła zdobyć wyraźnej większości, zapleczem rządów stawały się często zmieniające się koalicje i ostatecznie powstawały rady ministrów wyposażone (metaforycznie)

w drzwi obrotowe. Drzwi w Polsce po prostu obracały się nieco szybciej niż gdzie indziej.

Najważniejsze ugrupowania polityczne lat międzywojennych miały swoje odpowiedniki w innych krajach europejskich. PPS przypominała niemiecką socjaldemokrację i brytyjską Partię Pracy, endecję można by z grubsza porównać do włoskich faszystów lub hiszpańskiej Falangi, obydwie frakcje PSL można zestawić z Bułgarskim Ludowym Związkiem Chłopskim lub Irlandzką Farmers' Party. Były jednak w Polsce dwa ugrupowania dość wyjątkowe. Pierwsze to „blok mniejszości", koalicja różnych organizacji, połączonych szczególną grupą wyborców: osób, które były obywatelami Polski, ale dla których polski nie był pierwszym językiem. Powiemy o tej grupie więcej w rozdziale 6. Drugi wyjątkowy obóz polityczny miał kilka różnych nazw, najbardziej popularne było jednakże jego przezwisko: piłsudczycy.

Marszałek wyjechał z Warszawy w 1923 roku, oficjalnie po to, by udać się na emeryturę i zamieszkać w Sulejówku na obrzeżach stolicy, w willi zakupionej za pieniądze ze specjalnej zbiórki. Piłsudski i jego stronnicy zdążyli już zademonstrować swoje umiejętności w zakresie nowoczesnych politycznych metod wpływania na opinię publiczną: szeroko rozpowszechniane filmy i zdjęcia ukazujące Piłsudskiego, jak bawi się z dwiema córkami lub odpoczywa w ogrodzie, miały sprawiać wrażenie, że marszałek istotnie porzucił pełne jadu, bezpłodne zmagania polityczne toczące się w kraju, który współtworzył.

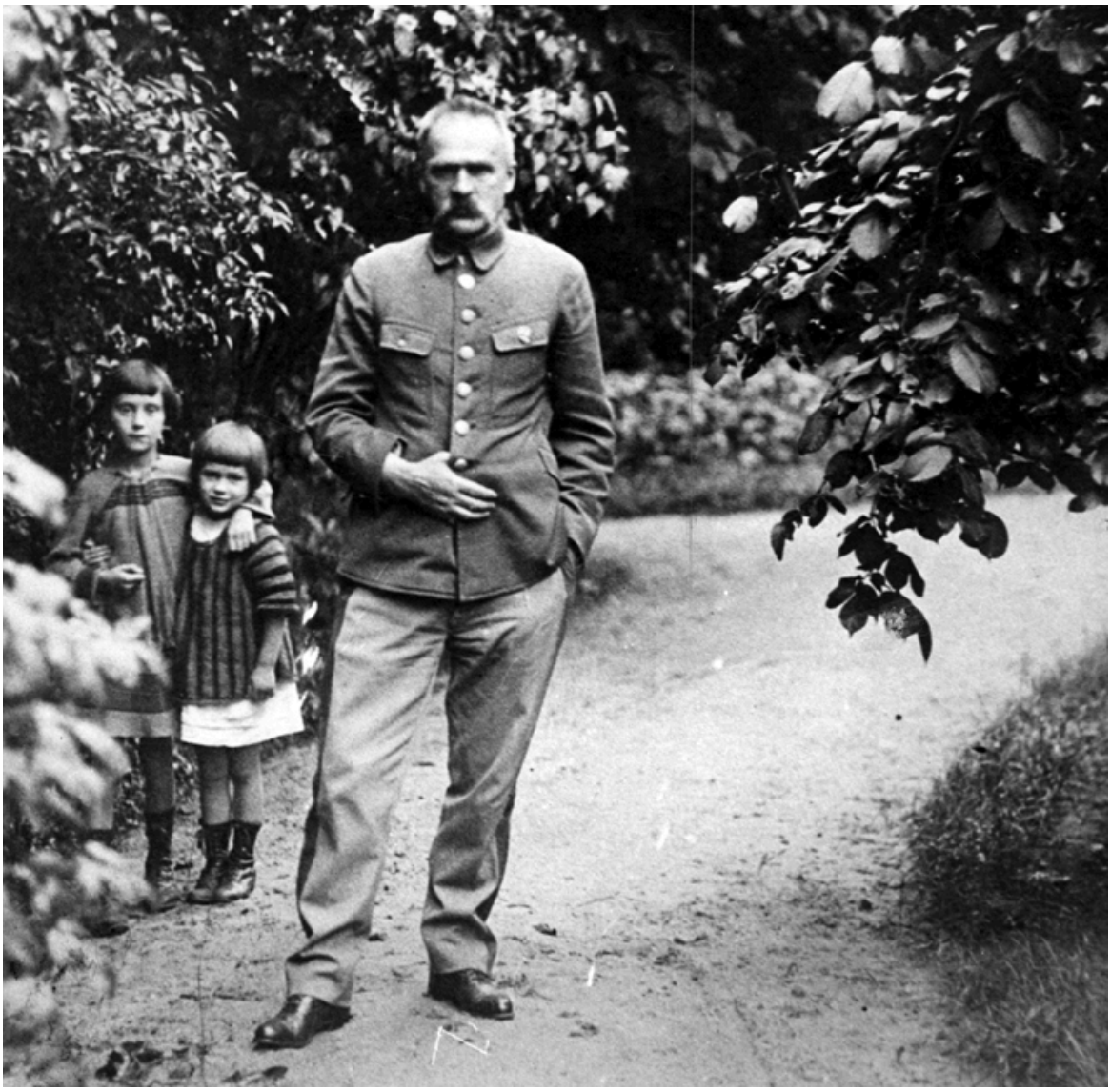

Józef Piłsudski „na emeryturze”. Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

A jednak Józef Piłsudski ani nie odszedł, ani nie został zapomniany. Miał za sobą znaczną grupę zadeklarowanych zwolenników – przede wszystkim ludzi, którzy walczyli u jego boku z caratem jeszcze przed pierwszą wojną światową lub w Legionach Polskich w czasie wojny. Profil ideowy obozu piłsudczykowskiego nie był zbyt wyraźny, a ludzie należący

do tej grupy reprezentowali niemal wszystkie partie polityczne poza endecją. Poza oddaniem Piłsudskiemu i wrogością wobec narodowych demokratów nie było jasne, za czym właściwie opowiadają się zwolennicy marszałka. Uformowało ich ostatecznie doświadczenie walki o niepodległość Polski w wojnie polsko-bolszewickiej – wyjątkowy czas, w którym można było uwierzyć (lub chociaż udawać), że cała Polska zjednoczyła się we wspólnym celu, niezależnie od ideologii, wyznania, języka czy dziedzictwa kulturowego. W zestawieniu z tymi krótkimi interludiami patriotycznych uniesień życie codzienne Drugiej Rzeczypospolitej niosło rozczarowania. Piłsudczycy nie potrafili zaakceptować konfliktów interesów i sporów ideologicznych towarzyszących funkcjonowaniu parlamentu i gardzili politykami, których uważali za „egoistów, przedkładających własną partię ponad dobro kraju". Jak to ujął sam Marszałek:

> W Polsce zapanował interes jednostki i partii, zapanowała bezkarność za wszelkie nadużycia i zbrodnie. W odrodzonym państwie nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu [...]. Szuje i łajdaki rozpanoszyły się [...]. Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie ludzi. Swobody demokratyczne zostały nadużyte tak, że można było znienawidzić całą demokrację. Interes partyjny przeważał ponad wszystko. Partie w Polsce rozmnożyły się tak licznie, iż stały się niezrozumiałe dla ogółu. To wszystko skierowane było przeciw każdemu, kto reprezentował państwo. Tych

> reprezentujących państwo było trzech: mnie, jako Naczelnikowi Państwa, obrzydzano życie ciągłą naganką, oszczerstwami i najwstrętniejszymi potwarzami. Nie upadłem tylko dlatego, że jestem silniejszy od was wszystkich. Drugiego reprezentanta [Narutowicza] wprost zamordowano, a moralni sprawcy tego mordu uszli bezkarnie. Trzeci [Wojciechowski] padał pod ciężarem męki z powodu sejmu i senatu[6].

6 Józef Piłsudski, *Przemówienie do przedstawicieli stronnictw sejmowych*, [w:] tegoż, *Pisma zbiorowe*, t. 9, Instytut Józefa Piłsudskiego, Warszawa 1937, 9, s. 31–32.

Zauważmy wzmiankę o zamordowaniu Narutowicza i przywołanie faktu, że „moralni sprawcy" (czyli Dmowski i Narodowa Demokracja) nie zostali ukarani. Sceptycyzm Piłsudskiego co do demokracji parlamentarnej nie brał się po prostu z ogólnej niechęci do walk stronnictw i braku porządku, nawet jeśli rzeczywiście go to drażniło. Jego krytyka miała przede wszystkim konkretny obiekt: endecję.

Piłsudczycy nie sprzeciwiali się demokracji *w teorii* – to *praktyka* polskiej demokracji budziła ich niesmak. Nie byli konserwatystami, przynajmniej o tyle, że traktowali z podobnym lekceważeniem ziemiaństwo, elity polityki i biznesu, duchowieństwo, przywódców związkowych i w zasadzie wszystkich, którzy odgrywali jakąkolwiek rolę w życiu publicznym. Prawdziwym problemem piłsudczyków było ostatecznie to, że za bardzo idealizowali demokrację i nie potrafili zaakceptować faktu, że w prawdziwym świecie system demo-

kratyczny może być (a w zasadzie zawsze jest) rozdzierany przez spory i zaciekłe debaty, które umożliwiają działanie ruchom politycznym w rodzaju endecji. Piłsudski porównywał parlamentarzystów do dzieci, chyba że akurat porównywał ich do prostytutek i złodziei. Jego zwolennicy reprezentowali coś w rodzaju antypolityki, stali w opozycji do partyjniactwa jako takiego. Popierali demokrację jako system, dzięki któremu wola ludu zyskiwała głos, nie byli jednak w stanie znieść faktu, że nie jest to jeden głos ani jedna wola. Jak na ironię, ta akurat cecha łączyła piłsudczyków z ich największymi wrogami, czyli z endecją – różnica polegała na tym, że endecy wyobrażali sobie spójny etno-naród, podczas gdy piłsudczycy chcieli zjednoczyć wszystkich obywateli państwa. Obie strony jednakże preferowały rzeczowniki w liczbie pojedynczej – lud, naród, państwo – i obie nieredukowalny pluralizm realnie istniejących wyborców i obywateli wprawiał w zakłopotanie.

Członkowie Narodowej Demokracji w początku lat dwudziestych kilkukrotnie zajmowali czołowe stanowiska w rządzie, ku oburzeniu Piłsudskiego. W 1923, kiedy powstała koalicja rządowa złożona z endecji, chrześcijańskich demokratów i PSL-Piast, marszałek ostentacyjnie zrzekł się stanowiska w siłach zbrojnych, oświadczając w swoim przemówieniu, że nie może bronić tych, którzy odpowiadają za „tyle brudu, tyle potwornej, niskiej nienawiści". Oświadczył, że ci, którzy rok wcześniej szerzyli retorykę nienawiści „spełnili zbrodnię. Mord karany przez prawo"[7]. Wobec faktu, że tacy ludzie kontrolują rząd, Piłsudski oświadczył, że nie ma wybo-

ru, musi odejść ze służby. Koalicja z 1923 roku była wyjątkowo wątła, a dodatkowo osłabiły ją bardzo niepopularne reformy (o których szerzej w następnym rozdziale). Nie przetrwała więc długo – podobnie jak wszystkie inne koalicje w tym okresie. Kiedy kilka lat później, w 1926 roku, ta sama grupka partii znów próbowała stworzyć rząd, Piłsudski uznał, że nie może już dłużej pozostawać poza boiskiem. 12 maja jego zwolennicy pomaszerowali na Warszawę – i tak rozpoczęło się wydarzenie, które miało przejść do historii jako zamach majowy.

7 Tenże, *Przemówienie w Bristolu*, [w:] tegoż, *Pisma zbiorowe*, dz. cyt., t. 6, s. 34.

W ciągu dwóch dni było po wszystkim. Piłsudczycy przejęli bez większych trudności wszystkie najważniejsze budynki publiczne, po pierwsze dlatego, że Marszałek cieszył się ogromnym poparciem w wojsku, po drugie – siły lojalne wobec prawicy nie były w stanie dotrzeć do Warszawy. PPS zorganizowała, w geście poparcia dla zamachu, strajk kolejarzy, dzięki czemu utrzymana została przewaga liczebna, którą Piłsudski miał w stolicy i jej bezpośrednim sąsiedztwie. Oświadczenie wydane przez Komitet Centralny PPS głosiło, że:

> Dalsze trwanie tego rządu – to nieustanna prowokacja ludzi uczciwych, to wyzwanie rzucone w twarz wszystkim ludziom dążącym do odrodzenia i zbawienia kraju. RZĄD TEN MUSI ZNIKNĄĆ! Do głosu przyjść musi wola szerokich mas ludowych miast i wsi, wal-

> czących o prawo, o pracę i sprawiedliwość społeczną. ROBOTNICY! OBYWATELE! Żądamy ustąpienia natychmiastowego rządu zaciekłych wrogów ludu[8].

8 *Przewrót wczorajszy*, „Robotnik", 131 (13 maja 1926), s. 1.

Później socjaliści mieli żałować decyzji poparcia zamachu, jednak w 1926 roku zagrożenie, jakie stanowiła prawica, wydawało się przeważać nad zagrożeniem przewrotu wojskowego. Ostatecznie Dmowski był nieprzejednanym wrogiem, Piłsudski zaś – dawnym towarzyszem (a w każdym razie tak uważali). Późniejsze poparcie lewicy dla procedur konstytucyjnej demokracji nadeszło po fakcie, gdy lewica dostrzegła, czym stał się reżim Piłsudskiego. Z drugiej strony, aby w pełni ocenić sytuację, musimy wziąć pod uwagę to, co radykalna prawica zrobiła w Europie w latach trzydziestych i czterdziestych. Te właśnie siły Piłsudski starał się utrzymać w Polsce pod kontrolą. Czy to wystarczy, aby usprawiedliwić zamach? Samo postawienie takiego pytania uświadamia nam, jak napięta była sytuacja polityczna dwudziestolecia.

Zamach Majowy. Źródło: Muzeum Wojska Polskiego

Piłsudski odniósł zwycięstwo stosunkowo łatwe, co jednak nie oznacza, że bezkrwawe: podczas walk zginęło 215 żołnierzy i 379 cywilów, około półtora tysiąca osób zostało rannych. We współczesnej Polsce cywilne ofiary przemocy wojska – jak stłumienie strajków na Wybrzeżu w 1970 roku czy ogłoszenie stanu wojennego w 1981 – czci się i upamiętnia. W 1926 roku zginęło o wiele więcej osób, te ofiary zostały jednak praktycznie zapomniane. Z perspektywy czasu łatwo przejść do porządku dziennego nad tym, ile osób straciło życie między 12 a 14 maja, a groza przewrotu wojskowego blednie, jeśli spojrzymy na nią przez pryzmat straszliwych wydarzeń, jakie miał jeszcze przynieść wiek XX. Jednak skali przewrotu dla polskiego życia politycznego nie sposób przecenić, zważywszy że przewrót w praktyce zakończył eksperyment Polski

z demokracją liberalną. Następne w pełni wolne i sprawiedliwe wybory miały nadejść prawie siedemdziesiąt lat później.

Sanacja

Bezpośrednie następstwa zamachu były zaskakująco ograniczone. Prezydent Wojciechowski podał się do dymisji, a sejm i senat zebrały się, by wybrać jego następcę. W pierwszym głosowaniu wybrano Piłsudskiego, Marszałek jednak odmówił przyjęcia urzędu. Wolał wywierać wpływ zza kulis, nawet jeśli i tak dla wszystkich było jasne, że to on rządzi. Osobiście wyznaczył zatem kolejnego prezydenta: Ignacego Mościckiego, profesora chemii z Politechniki Warszawskiej, którego znał od wielu dziesięcioleci, z czasów, gdy razem działali w PPS. Mościcki był typowym przedstawicielem tej grupy, która zaczęła po zamachu majowym obejmować wysokie stanowiska. Większość z nich miała pewne powiązania z lewicą, służyła w wojsku w czasie pierwszej wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej, a później robiła karierę w takich dziedzinach jak prawo, biznes i szkolnictwo wyższe. Ludzie ci początkowo zajmowali w polityce pozycje mniej więcej centrolewicowe, jednak zdecydowanie opierali się jakiemukolwiek ideologicznemu zaszufladkowaniu; z czasem mieli stawać się coraz bardziej konserwatywni. Nowy reżim zaczął być znany pod pozornie łagodnym przezwiskiem – sanacja (od łacińskiego *sanatio* – uzdrowienie), zgodnym ze swoją umiarkowaną retoryką. Sanacja obiecywała, że nie planuje żadnej

gwałtownej transformacji politycznej – po prostu zamierza uprzątnąć bałagan powstały na początku lat dwudziestych. Nie zdelegalizowano partii opozycyjnych, nie zamknięto nieprzychylnych gazet, nie rozwiązano sejmu. Wybór prezydenta Mościckiego i powołanie kolejnych rządów przeprowadzono zgodnie ze wszystkimi procedurami. Patrząc z zewnątrz, można było mieć wrażenie, że w Drugiej Rzeczypospolitej niewiele się zmieniło.

A jednak Polska nie była już dobrze działającą demokracją. Sanacja nie wahała się sięgać po oszustwa i zastraszanie, aby Piłsudski mógł postawić na swoim, przy czym z każdym rokiem reżim stawał się coraz bardziej autorytarny. Początkowo prześladowano jedynie najbardziej radykalne organizacje. Partię Komunistyczną zdelegalizowano w 1919 roku, sanacja jednak zepchnęła ją jeszcze głębiej do podziemia. Jeśli idzie o prawicę, endecja pozostała legalną partią opozycyjną, niemniej jej przywódców prześladowano, a kilku zostało nawet aresztowanych. W 1934 roku młode pokolenie działaczy skrajnej prawicy założyło Obóz Narodowo-Radykalny, który miał służyć jako bojowe skrzydło ruchu. Niemal natychmiast ONR został zdelegalizowany, a wielu jego członków uwięziono. Ostatecznie represyjna polityka sanacji obróciła się także przeciwko umiarkowanej lewicy. Krytykowanie Piłsudskiego przez liberałów i lewicowców okazało się tak samo niepożądane jak przez endeków, cenzura zaś bezstronnie blokowała publikację wszelkich artykułów, które uważała za wywrotowe.

Skala tego, do czego sanacja gotowa była się posunąć, wyszła na jaw w 1934 roku, kiedy w Berezie Kartuskiej, miasteczku na wschodzie kraju, otwarto obóz odosobnienia. W sumie przewinęło się przez to miejsce około 3 tysięcy osób skazanych za przestępstwa polityczne, narażonych w obozie na nieludzkie warunki, tortury i okrutne traktowanie. Większość więźniów stanowili komuniści albo ukraińscy separatyści (o których więcej w rozdziale 6), jednak swoich przedstawicieli w Berezie miały praktycznie wszystkie stronnictwa polityczne. Trudno określić, ile osób tam zabito, ponieważ władze starały się uniknąć odpowiedzialności, toteż więźniów, którzy stali u progu śmierci, zwalniano. Najbardziej pesymistyczne szacunki mówią o prawie trzystu zmarłych wskutek złego traktowania w obozie, ta liczba może jednak być nieco przesadzona. Bereza Kartuska w porównaniu z obozami w hitlerowskich Niemczech czy stalinowskiej Rosji była obozem „łagodnym", jednak zastosowanie takich wypaczonych standardów nie może służyć usprawiedliwieniu sanacji. Podobnie fakt, że w latach trzydziestych prawie w każdym państwie było przynajmniej kilku więźniów politycznych, nie czyni istnienia Berezy ani trochę mniej niepokojącym. Nie jest anachronizmem krytykowanie piłsudczyków za prowadzoną przez nich politykę represji: sporo współczesnych z różnych stron politycznego spektrum potępiało ich za łamanie zasad demokracji. Już w 1929 roku wielu z tych, którzy początkowo popierali Piłsudskiego, stworzyło wielką koalicję, Centrolew, której celem było położenie kresu „dyktaturze Józefa Piłsudskiego". Większość przywódców Centrolewu miała ostatecz-

nie znaleźć się w więzieniu lub zostać zmuszona do opuszczenia kraju.

W latach 1928, 1930, 1935 i 1938 odbyły się wybory parlamentarne, każde kolejne jednak były coraz silniej skażone oszustwami i manipulacją. Konieczność brania udziału w wyborach stanowiła dla sanacji wyzwanie, jako że poza oddaniem Piłsudskiemu i wrogością wobec endecji członkowie tego obozu nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Nic nie jest lepszym tego symbolem niż pokrętna nazwa, którą wybrano dla nowego obozu politycznego powołanego w roku 1927: Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Poza kilkoma frazesami na temat „solidarności społecznej" i wezwania do uchwalenia nowej konstytucji, która miałaby zwiększyć uprawnienia prezydenta wobec Parlamentu, BBWR nie miał spójnego programu. Umiarkowanie postępowi centryści, którzy kierowali polityką bezpośrednio po zamachu, zostali wkrótce odsunięci i zastąpieni przez bardziej autorytarnych działaczy. Zwieńczeniem przemian było uchwalenie w kwietniu 1935 roku nowej konstytucji, która drastycznie ograniczyła pozostałości demokracji parlamentarnej, mimo że nadal istnieć miał wybieralny sejm, proces nominowania kandydatów podlegał ścisłej kontroli, a niemal cała realna władza została złożona w rękach prezydenta (tę funkcję nadal sprawował Mościcki).

Józef Piłsudski zmarł 12 maja 1935 roku; po jego śmierci przywódcy sanacji zastąpili BBWR ugrupowaniem o nazwie Obóz Zjednoczenia Narodowego. W ciągu ostatnich kilku lat poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej Ozon przesuwał się coraz bardziej na prawo – do tego stopnia, że w jego

skład weszło nawet kilku odszczepieńców z endecji – jednocześnie tracąc poparcie w centrum i na lewicy. Doszło do tego, że działacze Ozonu sięgali po retorykę antysemicką, chociaż jedynym ich konkretnym posunięciem w tym kierunku było wydane w 1936 roku prawo ograniczające szechitę (rytualny ubój zwierząt, zgodny z żydowskimi zasadami koszeru). Kiedy w 1939 roku umierał Dmowski, był pokonanym politykiem, wciąż daleko od władzy, jednak głoszona przezeń ideologia stawała się coraz popularniejsza zarówno w społeczeństwie, jak i na rządowych salonach. Na tym polega prawdziwa tragedia obozu piłsudczyków. Powstał jako pozapartyjna próba utrzymania demokracji z dala od skrajności, a jak najbliżej wyidealizowanego politycznego porządku pragmatycznego centryzmu, kończył zaś przytulony do nacjonalistycznej prawicy.

Piłsudski dożył uchwalenia konstytucji kwietniowej, zmarł jednak miesiąc później. Mimo wszystko jego odejście wywołało szczerą żałobę narodową. Rzecz jasna, oficjalna propaganda państwowa pracowała nad heroizacją Piłsudskiego już od 1926 roku, on sam zaś zaczął budować własną legendę jeszcze przed pierwszą wojną. Było jednak wiele powodów, dla których ludzie podziwiali Piłsudskiego nawet bez kampanii propagandowych. Niezależnie od tego, jak potwornym miejscem była Bereza Kartuska, niezależnie od restrykcyjnej cenzury, represje dotykały tylko ludzi bezpośrednio zaangażowanych w życie publiczne. Dla większości Piłsudski symbolizował niepodległość Polski i był tym, który chronił przed skrajnościami, zarówno z lewa, jak i z prawa. Wszystko, co

możemy powiedzieć o Piłsudskim, będzie miało postać zastrzeżenia: „Tak, ale...”. Odegrał ogromną rolę w walce o niepodległość Polski przed pierwszą wojną światową, ale jego metody niepokojąco zbliżały się do terroryzmu. W 1918 roku zadbał o to, by nowe polskie państwo wprowadziło rozwiązania zdecydowanie poprawiające położenie najuboższej ludności, jednak porzucił sprawę ubogich w 1919 roku na rzecz kompromisu z prawicą. Utrzymywał zarówno komunistów, jak i skrajną prawicę pod kontrolą – znaczące osiągnięcie jak na przywódcę politycznego w latach dwudziestych i trzydziestych – ale tylko dzięki temu, że wprowadził reżim wojskowy, który podkopał fundamenty demokracji. Niektórzy pieszczotliwie nazywali go „Dziadkiem”, inni: „Marszałkiem” lub „Naczelnym Wodzem”, a jeszcze inni – „tyranem”. Był każdą z tych postaci. Na jego pomniku w centrum Warszawy – stojącym, rzecz jasna, przy placu Piłsudskiego – zacytowano słowa z jego odezwy: „Demokratyczne Państwo Polskie chce i musi przestrzegać kulturalnych praw wszystkich swych obywateli”. Sam Piłsudski nigdy nie działał w pełnej zgodzie z tą maksymą, choć okazywał o wiele więcej szacunku dla pluralizmu kulturowego niż większość europejskich przywódców w jego czasach. Nie można Piłsudskiego uznać ani za jednoznacznego bohatera, ani za złoczyńcę – był bowiem jednym i drugim.

Literatura uzupełniająca

Ajnenkiel, Andrzej, *Od rządów ludowych do przewrotu majowego*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1977

Ajnenkiel, Andrzej, *Polska po przewrocie majowym*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1980

Borkowski, Jan, *Ludowcy w II Rzeczypospolitej*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1987

Brykczyński, Paweł, *Gotowi na przemoc. Mord, antysemityzm i demokracja w przedwojennej Polsce*, przeł. Michał Sutowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2017

Brzoza, Czesław, *Historia Polski 1918–1945*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006

Chojnowski, Andrzej, *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921–1939*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1979

Chojnowski, Andrzej, *Piłsudczycy u władzy. Dzieje Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem*, Ossolineum, Wrocław 1986

Chojnowski, Andrzej, Piotr Wróbel (red.), *Prezydenci i premierzy Drugiej Rzeczypospolitej*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1992

Garlicki, Andrzej, *Piękne lata trzydzieste*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008

Garlicki, Andrzej, *Józef Piłsudski, 1867–1935*, Czytelnik, Warszawa 1988

Jachymek, Jan, Waldemar Paruch, *Więcej niż niepodległość. Polska myśl polityczna, 1918–1939*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2001

Kozyra, Waldemar, *Polityka administracyjna Ministrów Spraw Wewnętrznych Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1918–1939*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2009

Leczyk, Marian, *Druga Rzeczpospolita 1918–1939. Społeczeństwo, gospodarka, kultura, polityka*, Książka i Wiedza, Warszawa 2006

Mędrzecki, Włodzimierz (red.), *Wokół nowej syntezy dziejów Drugiej Rzeczypospolitej*, Instytut Historii PAN, Warszawa 2019

Micewski, Andrzej, *W cieniu Marszałka Piłsudskiego*, Czytelnik, Warszawa 1969

Mich, Włodzimierz, *Obcy w polskim domu. Nacjonalistyczne koncepcje rozwiązania problemu mniejszości narodowych, 1918–1939*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1994

Paruch, Waldemar, *Myśl polityczna obozu piłsudczykowskiego 1926–1939*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2005

Paruch, Waldemar, *Od konsolidacji państwowej do konsolidacji narodowej. Mniejszości narodowe w myśli politycznej obozu piłsudczykowskiego, (1926–1939)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1997

Pease, Neal, *Rome's Most Faithful Daughter. The Catholic Church and Independent Poland, 1914–1939*, Ohio University Press, Athens 2009

Persak, Krzysztof, Paweł Machcewicz (red.), *Dwudziestolecie*, Muzeum Historii Polski, Warszawa 2009

Plach, Eva, *The Clash of Moral Nations: Cultural Politics in Pilsudski's Poland, 1926–1935*, Ohio University Press, Athens 2006

Pobóg-Malinowski, Władysław, *Najnowsza historia polityczna Polski, 1864–1945*, Świderski, London 1983

Polonsky, Antony, *Politics in Independent Poland, 1921–1939: The Crisis of Constitutional Government*, Clarendon Press, Oxford 1972

Porter-Szűcs, Brian, *Faith and Fatherland: Catholicism, Modernity, and Poland*, Oxford University Press, New York 2011

Rothschild, Joseph, *Piłsudski's Coup D'état*, Columbia University Press, New York 1966

Wapiński, Roman, *Pokolenia Drugiej Rzeczypospolitej*, Ossolineum, Wrocław 1991

Wapiński, Roman, *Świadomość polityczna w Drugiej Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1989

Watt, R.M., *Bitter Glory: Poland and its Fate, 1918–1939*, Hippocrene Books, New York 1979

Wynot, Edward, *Polish Politics in Transition: The Camp of National Unity and the Struggle for Power, 1935–1939*, University of Georgia Press, Athens 1974

Wynot, Edward, *Warsaw Between the World Wars: Profile of the Capital City in a Developing Land, 1918–1939*, East European Monographs, Boulder 1983

Zbyszewski, Wacław, *Gawędy o ludziach i czasach przedwojennych*, Czytelnik, Warszawa 2000

Żarnowska, Anna, Andrzej Szwarc (red.), *Kobieta i świat polityki*, DiG, Warszawa 1994

ROZDZIAŁ PIĄTY

HIPERINFLACJA I KRYZYS

Ponieważ istnieje skłonność do uromantyczniania Drugiej Rzeczypospolitej, warto zacząć od przypomnienia sprawy banalnej, a zarazem podstawowej: międzywojenna Polska była krajem biednym, a życie znacznej części populacji było bardzo ciężkie. Rzecz jasna, istniały miejsca w Europie (nie wspominając już o reszcie świata), w których poziom ubóstwa był wyższy, nie umniejsza to jednak skali cierpienia w Polsce. Jeśli weźmiemy pod uwagę taki wskaźnik, jakim jest produkt krajowy brutto per capita, mierzony w 1928 roku (najlepszy rok Drugiej Rzeczypospolitej), możemy zobaczyć, że Polska wygląda kiepsko w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi lub Wielką Brytanią, znakomicie jednak na tle większości krajów pozaeuropejskich. Pod tym względem Polska w latach dwudziestych nie różniła się zbytnio od innych krajów wschodniej i południowej Europy: była nieco bogatsza od Bułgarii i Rumunii, nieco biedniejsza niż Włochy i Hiszpania[1].

1 Liczby podane są w przeliczeniu na dolary, z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej oraz inflacji do 2005 roku. Parytet siły nabywczej to miernik wykorzystywany przez ekonomistów, pozwalający szacować zmieniające się koszty utrzymania. Rok 2005 wykorzystywany jest często jako punkt odniesienia, z tego roku bowiem pochodzi obszerne opracowanie statystyczne Banku Światowego. Liczby można znaleźć na: http://www.gapminder.org/data/documentation/gd001. Metodologia wykorzystana do wyliczenia danych, z których część stanowią przybliżone szacunki, została objaśniona na: https://bit.ly/3nfl98A.

Produkt krajowy brutto daje jednak tylko abstrakcyjny i bardzo ogólny obraz gospodarki danego kraju. Ten wskaźnik nie pozwoli nam poczuć, jak żyło się w tamtych czasach, nie pozwala także zmierzyć wewnętrznych odchyleń (bardzo dużych w przypadku Polski). Żeby zobaczyć rzeczywistość w ludzkiej skali, trzeba rozważyć budżet typowego gospodarstwa domowego. W Polsce w 1927 roku rodzina z klasy robotniczej prawie dwie trzecie swojego dochodu przeznaczała na jedzenie (trzy czwarte, jeśli głowa rodziny była bezrobotna). Dla porównania w tym samym czasie pracownicy umysłowi i wysoko wykwalifikowani przeznaczali mniej niż jedną trzecią budżetu na jedzenie, dziś zaś Polacy wydają na nie mniej niż 25 procent[2]. Z zasady ubodzy muszą przeznaczać większą część dochodu na zaspokojenie podstawowych potrzeb, a dane z Polski z okresu międzywojennego wskazują, że w budżetach wielu gospodarstw domowych nie istniało niemal żadne zabezpieczenie na cięższe czasy. A przecież rodziny z klasy robotniczej musiały jednocześnie zmagać się z potwornymi warunkami mieszkaniowymi. W czasie spisu powszechnego z 1931 roku 69 procent wszystkich mieszkańców miast w Polsce dysponowało zaledwie jednym lub dwoma pokojami, w których mieszkało średnio 4,4 osoby. Tylko 16 procent z tych mieszkań i domów miało bieżącą wodę, 13 procent kanalizację, a 38 procent elektryczność. Jedna trzecia mieszkańców miast mieszkała w budynkach pozbawionych w ogóle możliwości korzystania z usług komunalnych[3]. W tym samym okresie w Stanach Zjednoczonych 85 procent domów w mia-

stach miało prąd, a w ciągu kolejnej dekady jedna trzecia domów na wsi była już podłączona do sieci elektrycznej[4].

2 *Mały rocznik statystyczny*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1934, s. 142–143. Statystyki dotyczące budżetów gospodarstw domowych we współczesnej Europie można znaleźć na: https://bit.ly/3lqSlt6. W tym rozdziale odsetki zostały podane w zaokrągleniu.

3 *Historia Polski w liczbach*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2003, s. 460–461.

4 *Historical Statistics of the United States, Colonial Times to 1957*, United States Bureau of the Census, Washington 1960, s. 510.

PKB per capita, 1928

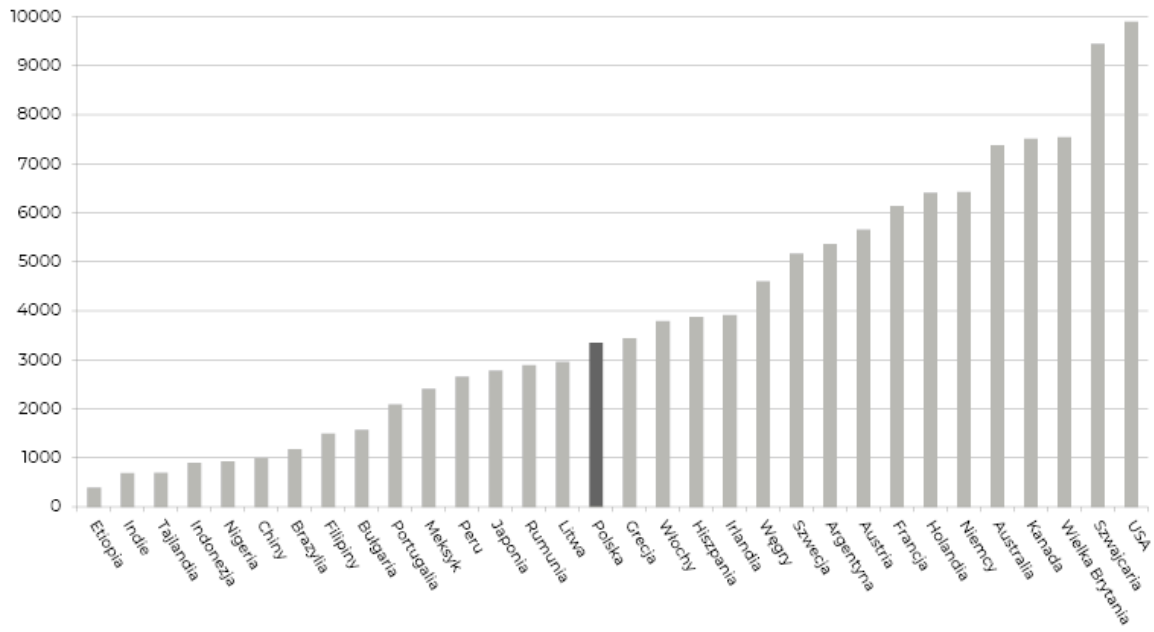

Budżet domowy 4-osobowej rodziny robotniczej, 1928

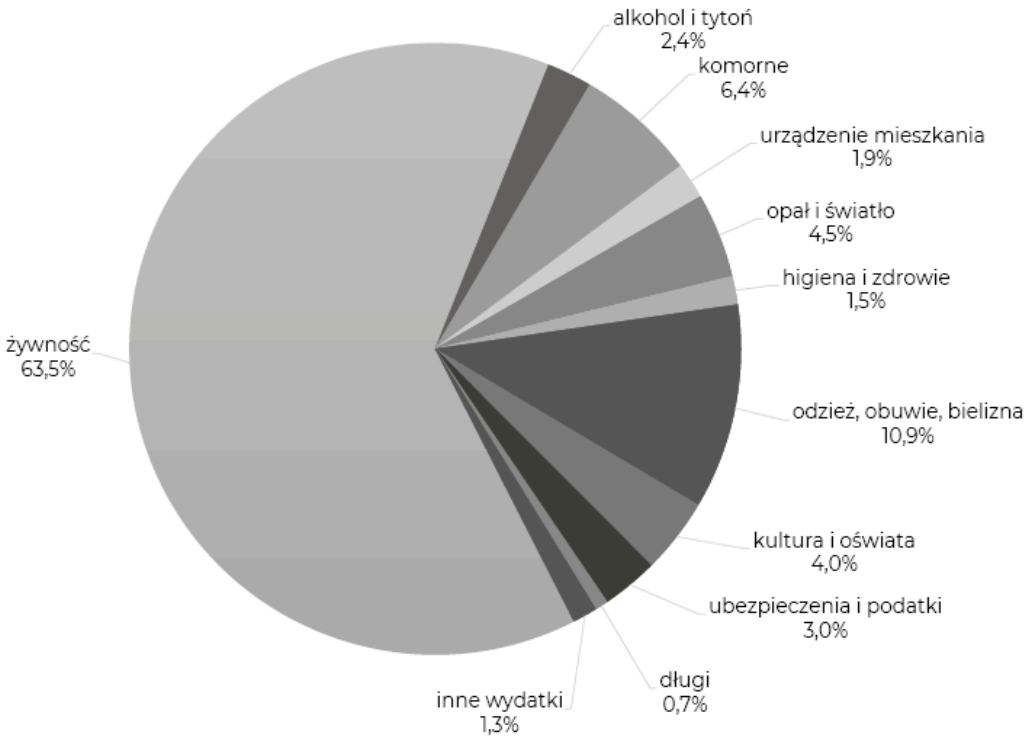

O ile w polskich miastach i miasteczkach sytuacja była trudna, o tyle jeszcze gorzej miała się ludność wiejska, która nadal stanowiła 60 procent populacji (przy około 20 procentach zatrudnionych w przemyśle i górnictwie). Chociaż w 1918 roku składano szumne obietnice dotyczące redystrybucji gruntów, a w 1920 roku uchwalono reformę rolną, w praktyce zrobiono bardzo niewiele. Gwałtowne zmiany rządów w pierwszych latach Drugiej Rzeczypospolitej utrudniłyby przeprowadzenie tak skomplikowanych reform, nawet gdyby rządzący, naprawdę chcieli je przeprowadzić – a większość nie chciała. Po 1926 roku Piłsudski musiał zachęcić najbogatszych i najpotężniejszych obywateli, aby udzielili mu

poparcia, a jako że wielu z nich pamiętało mu socjalistyczną przeszłość, dużo wysiłku kosztowało go przekonanie ich, że nie nadchodzi żadna rewolucja. Presja ze strony chłopów nie wystarczyła, aby zrównoważyć tego rodzaju polityczny opór. Fatalna infrastruktura w znacznej części kraju i nadal bardzo częsty na wsi analfabetyzm skutecznie utrudniały mobilizowanie chłopów do jakichkolwiek wspólnych działań. Ruch ludowy starał się wymusić reformę rolną, jednak podział na bardziej nacjonalistyczny i konserwatywny PSL-Piast oraz lewicowy PSL-Wyzwolenie osłabił siłę polityczną ludowców. Co więcej, spora część wyborców na wsi głosowała na Narodową Demokrację, ta zaś reformą rolną nie była zainteresowana. W rezultacie wprowadzono w życie tylko nieśmiały projekt redystrybucji, w ramach którego państwo ułatwiało parcelację wielkich majątków, ale jej nie wymuszało. Niewielu wielkich właścicieli ziemskich gotowych było dobrowolnie wziąć w tym udział, więc większość gruntów pozostała skoncentrowana w rękach nielicznych możnych rodzin. 500 największych posiadłości zajmowało 42 procent ziemi uprawnej w kraju, tymczasem jedna czwarta chłopów posiadała mniej niż po hektarze ziemi. Około 13 procent populacji posiadało 62 procent ziemi uprawnej, pozostałe 87 procent populacji musiało podzielić się resztą. Te statystyki brzmią strasznie, jeśli rozpatrywać je bez kontekstu, jednak trzeba uczciwie powiedzieć, że w Europie Zachodniej sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. Jeśli spojrzymy nie na areały, ale na majątek w ogóle (co jest właściwsze tam, gdzie mamy do czynienia z uprzemysłowionymi, zmonetaryzowanymi gospodarkami),

okaże się, że na przykład we Francji w 1920 roku 10 procent populacji kontrolowało 82 procent zasobów kraju, w Wielkiej Brytanii zaś do 10 procent mieszkańców należał zdumiewający odsetek: 89 procent zasobów. Podział ziemi w Polsce przed stu laty zaskakująco przypominał obecną sytuację w Unii Europejskiej, w której najbogatsze 10 procent kontroluje 63,9 procent majątku[5].

5 Dane dotyczące Polski podaję za: Jerzy Tomaszewski, *The Economy of Central and South-Eastern European Countries during the Inter-War Years*, [w:] Janusz Żarnowski (red.), *Dictatorship in East Central Europe, 1918–1939*, Ossolineum, Wrocław 1983, s. 65. Statystyki za: Thomas Piketty, *Kapitał w XXI wieku*, przeł. Andrzej Bilik, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2015, tabela 10.1, s. 456.

Struktura własności ziemi, 1921

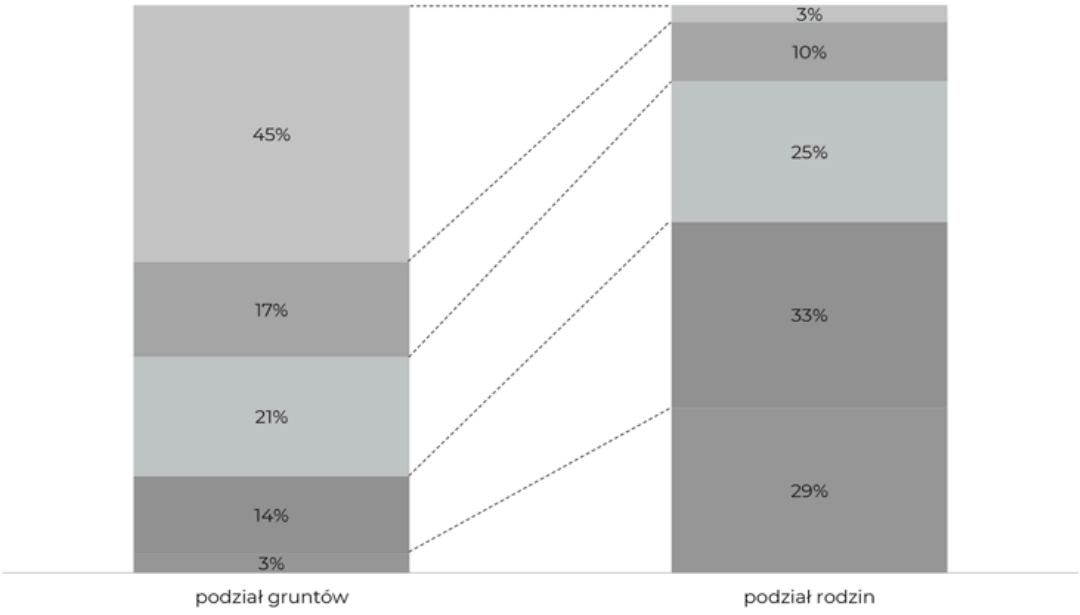

Jednak stwierdzenie, że nierówny podział ziemi w Drugiej Rzeczypospolitej był „tylko" tak zły jak nierówny podział majątków w Europie w XXI wieku, nie zmienia faktu, iż dla milionów chłopów ów podział oznaczał znalezienie się w pułapce między wiejską biedą a miejskim bezrobociem. Nadal rokrocznie setki tysięcy ludzi decydowało się na emigrację. W 1924 roku Stany Zjednoczone wprowadziły przepisy drastycznie ograniczające imigrację ze wschodniej i południowej Europy (i niemal całkowicie zamknęły granice dla migrantów z Azji i Ameryki Łacińskiej). Liczba Polaków wyjeżdżających do Stanów Zjednoczonych spadła natychmiast: z 28 806 w roku, w którym uchwalono nowe przepisy, do 5341 rok później[6]. W sytuacji, w której brakowało ujścia dla nadmiaru ludności, kryzys mieszkaniowy na wsi okazał się jeszcze gorszy niż w mieście: w każdym wiejskim domu mieszkało średnio 5,2 osoby, a połowa tych domów miała zaledwie jedną izbę[7].

6 *Historical Statistics of the United States, Colonial Times to 1957*, dz. cyt., s. 56.
7 *Historia Polski w liczbach*, dz. cyt, s. 460.

Nie mając wyjścia, wielu bezrolnych chłopów musiało najmować się jako robotnicy rolni. Z uwagi na to, że wprowadzenie ustawodawstwa pracy na wsi było niemal niemożliwe, ich los zależał od dobrej lub złej woli właściciela ziemskiego. Zrównywanie położenia chłopów w okresie międzywojennym z położeniem ich dziadków w czasach pańszczyzny byłoby przesadą, jednak do pewnego stopnia bieda spełniała funkcję podobną do tej, którą niegdyś spełniało prawo, podporządko-

wując chłopów wąskiej elicie szlachetnie urodzonych właścicieli ziemskich de facto, chociaż już nie de iure. W sensie prawnym szlachta w Polsce już nie istniała – rewolucyjne reformy z 1918 roku przyniosły przynajmniej tyle – jednak praktyka podtrzymywała dawne hierarchie.

Tak czy inaczej, jeśli przyjrzymy się bliżej, zobaczymy początki nowoczesnej kultury konsumenckiej nawet na wsi. Ziemianie nosili dwudziestowieczne ubrania, zazwyczaj mieli radio, niekiedy też samochody, śledzili bieżące wydarzenia na świecie w dziennikach i czasopismach. Nawet chłopi zazwyczaj nosili już ubrania szyte fabrycznie, a wyposażenie ich domów stanowiły przedmioty wykonane w odległych centrach przemysłowych. W każdej wsi przynajmniej kilka osób prenumerowało prasę. Chłopi nie przypominali owadów zastygłych w bursztynie, mimo że często tak właśnie ich przedstawiano w uromantycznionych relacjach z podróży. Również ich dotykały nowoczesne przemiany, nawet jeśli inaczej i w mniej dramatyczny sposób niż ich krewnych w miastach.

Bardzo niewielu polskich chłopów mogło korzystać z maszyn rolniczych, nawozów sztucznych, nasion o wysokiej wydajności i tym podobnych technicznych udogodnień, które rolnikom w zamożniejszych krajach pomagały zwiększyć produktywność. Współcześnie cenimy sobie produkty „ekologiczne” i ubolewamy nad rozprzestrzenianiem się zhomogenizowanego, zmechanizowanego przemysłu rolnego, w latach dwudziestych i trzydziestych jednak „tradycyjne” rolnictwo miało (jak zresztą i dziś) sporo dość oczywistych wad. Polacy wytwarzali o 25 procent mniej kalorii z hektara, niż

wynosiła europejska średnia, i mniej niż połowę tego, co wytwarzano w sąsiednich Niemczech[8]. Mniejsza wydajność oznaczała mniej nadwyżek, czyli mniej zasobów dla wiejskiej biedoty, to z kolei oznaczało mniej gospodarstw zdolnych utrzymać rodzinę. W 1928 roku średni dochód netto z hektara wynosił tylko 214 złotych rocznie (w czasach, kiedy przeciętny robotnik fabryczny zarabiał nieco ponad 100 złotych miesięcznie). Dwie trzecie gospodarstw miało poniżej 5 hektarów – nawet niewykwalifikowany robotnik rolny mógł niekiedy zarobić więcej niż małorolny żyjący z tak niewielkiej działki[9].

8 Derek Aldcroft, *Europe's Third World: The European Periphery in the Interwar Years,* Ashgate, 2006, s. 6.

9 Dane na temat dystrybucji ziemi pochodzą z: Tomaszewski, dz. cyt., s. 65. Dane na temat dochodów na wsi można znaleźć w: *Historia Polski w liczbach*, dz. cyt., s. 415, oraz *Mały rocznik statystyczny*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1934, s. 135.

Bieda i niedostatek wpływały na życie wszystkich mieszkańców Polski (pośrednio nawet na życie bogatych), warunki życia różnie przekładały się jednak na doświadczenie konkretnych osób, przy czym wiele zależało od takich czynników jak płeć, wiek i region. Żeby zrozumieć tę zmienność, musimy najpierw porzucić stereotypowe wyobrażenie o polskiej rodzinie, w której mężczyźni pracowali, a kobiety zajmowały się domem i wychowywały dzieci. Taki podział pracy jest możliwy, tylko jeśli płace są dostatecznie wysokie, żeby można było utrzymać rodzinę z jednej pensji – w kraju tak biednym jak Polska to się rzadko zdarzało. W praktyce przed połową XX wieku większość kobiet w Europie nie mogła ograniczyć się

do sfery domowej, niezależnie od tego, gdzie mieszkały – Polska nie była pod tym względem wyjątkiem. W rodzinach chłopskich istotnie pewne prace uznawano za męskie, a inne za kobiece, na ogół jednak to rozróżnienie nie pokrywało się z podziałem na męską pracę produkcyjną z jednej strony i kobiece obowiązki domowe z drugiej. W przypadku większości wiejskiej populacji przetrwanie zależało od połączonych wysiłków wszystkich członków rodziny, niezależnie od wieku i płci. Wśród zatrudnionych jako robotnicy rolni w 1931 roku, mężczyźni stanowili 65 procent, a kobiety – 35 procent; budżet wielu rodzin opierał się na dochodach zarówno mężczyzn, jak i kobiet (a także dzieci w wieku, w którym uważano je za zdolne do pracy). Trzeba przy tym zauważyć, że wkład pracy wynagradzano bardzo różnie: standardowe wynagrodzenie dla robotników rolnych latem 1928 roku wynosiło 5,6 złotego dziennie, podczas gdy kobiety zarabiały zaledwie 3,5 złotego, a dzieci 2,9[10]. Tak więc, mimo że nierówność płci była trwale zakorzeniona w życiu wiejskim, gospodyni domowa – rozumiana jako kobieta, która nie wykonuje pracy przynoszącej dochód – nie stanowiła wcale kategorii dobrze znanej.

10 *Mały rocznik statystyczny 1939*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1939, s. 260, 269.

W miastach natomiast zaczynała się utrwalać dychotomia między żywicielem rodziny a gospodynią domową, jednak nawet tam nie był to model powszechny. W 1938 roku w przemyśle 73 procent siły roboczej stanowili dorośli mężczyźni,

23 procent kobiety i 4 procent młodociani. W niektórych gałęziach przemysłu kobieca siła robocza dominowała: na przykład w fabrykach włókienniczych kobiety stanowiły 55 procent pracowników, a w produkcji odzieży – 63 procent. Robotnice były też nadreprezentowane (w porównaniu z ich ogólnym odsetkiem w szeregach siły roboczej) w zakładach chemicznych, przemyśle elektrycznym, przetwarzaniu żywności i w poligrafii. Tak jak na wsi, istniała wyraźna różnica w płacach: w 1935 roku robotnicy mężczyźni przynosili do domu średnio 23,9 złotego tygodniowo, podczas gdy robotnice zarabiały zaledwie 12,4 złotego[11].

11 Tamże, s. 263, 270.

Największą bodaj zmianą, która zaszła w kulturze polskiej klasy robotniczej w latach dwudziestych i trzydziestych, było pojawienie się kategorii młodości, rozumianej jako etap pośredni między dzieciństwem i dorosłością. Powstaniu Drugiej Rzeczypospolitej towarzyszyło wprowadzenie (przestrzeganego niezbyt konsekwentnie) zakazu pracy dzieci, a także regulacji (również niezbyt konsekwentnie przestrzeganych) nakazujących dzieciom ukończenie przynajmniej siedmiu klas szkoły (którą kończono zwykle w wieku trzynastu lat). Ta regulacja powstała dopiero w roku 1932 – wcześniej nie było jednolitego systemu szkolnictwa, lecz różne pozostałości po systemach rosyjskim, austriackim i pruskim. Przed pierwszą wojną światową dostęp ubogich polskich dzieci do wykształcenia na choćby najbardziej podstawowym poziomie był bardzo utrudniony, jednak pod koniec lat trzydziestych ponad 90

procent dzieci chodziło do szkoły przynajmniej do ukończenia jedenastu lat, a ponad 70 procent uczyło się aż do trzynastego roku życia. Zdecydowana mniejszość kontynuowała naukę w gimnazjum, jednak także ta liczba stale wzrastała[12]. Jeśli do tych liczb doda się dane na temat rosnącej powszechności radia, kina i innych form masowej kultury popularnej, otrzymujemy pojawienie się po raz pierwszy nowej kategorii kulturowej: *nastolatka*. Chociaż to konkretne polskie słowo utworzono dopiero w latach sześćdziesiątych (jako przekład angielskiego „teenager"), samo zjawisko rodziło się stopniowo w latach trzydziestych.

12 *Mały rocznik statystyczny*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1934, dz. cyt. s. 321.

Różnice regionalne

Nawet jeśli większość ludzi w Polsce zdaje sobie sprawę ze zróżnicowania swojego kraju, wciąż często słyszy się o „polskiej tradycji" albo „polskiej kuchni", tak jak gdyby istniała jedna określona forma polskości. Nic bardziej mylnego. Rozbiory popchnęły polską gospodarkę i społeczeństwo w trzy różne strony, zaostrzając dawne różnice między (na przykład) rzadko zaludnionymi i ubogimi bagnami Polesia a bogatszym, bardziej produktywnym rolniczym regionem Wielkopolski. Władze austriackie uważały habsburską część ziem polskich za obszar graniczny, położony zbyt blisko Rosji, a zarazem zbyt daleko od Wiednia, aby wart był poważniej-

szych inwestycji. Z kolei na północnym zachodzie Poznańskie i Pomorze należały do najsłabiej rozwiniętych części Niemiec przed pierwszą wojną światową, co nie znaczy, że nie skorzystały na rozkwicie gospodarczym kraju. Niektórzy rolnicy na tym obszarze do dziś używają znakomitego systemu irygacji zbudowanego sto lat temu[13]. W dawnym zaborze rosyjskim obszar obejmujący Warszawę i Łódź był jednym z centrów przemysłowych Cesarstwa Rosyjskiego i stanowił jeden z najszybciej rozwijających się regionów Europy pierwszych lat XX wieku. Dalej na wschód leżały jednak Kresy, cechujące się złymi drogami, nielicznymi miastami i wiejską gospodarką o dramatycznie niskiej produktywności. Jednym z najlepszych sposobów na to, żeby szybko ocenić różne poziomy rozwoju poszczególnych części kraju, jest spojrzenie na mapę – niemal na każdą mapę, ponieważ niezależnie od tego, czy mówimy o mapie linii kolejowych, dróg, gęstości zaludnienia, płac czy w zasadzie jakiejkolwiek innej kategorii demograficznej, różnice są uderzające[14].

13 Na temat wykorzystywania starego systemu irygacyjnego zob.: *Taking Better Care of the Fields: Knowledge Politics of Sugar Beet, Soil, and Agriculture after Socialism in Western Poland*, University of Michigan dissertation, 2012.

14 Mapa sieci kolejowej pochodzi z: https://bit.ly/3pjjgJL. Mapa gęstości zaludnienia za: *Mały rocznik statystyczny 1939*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1939, s. XXIV.

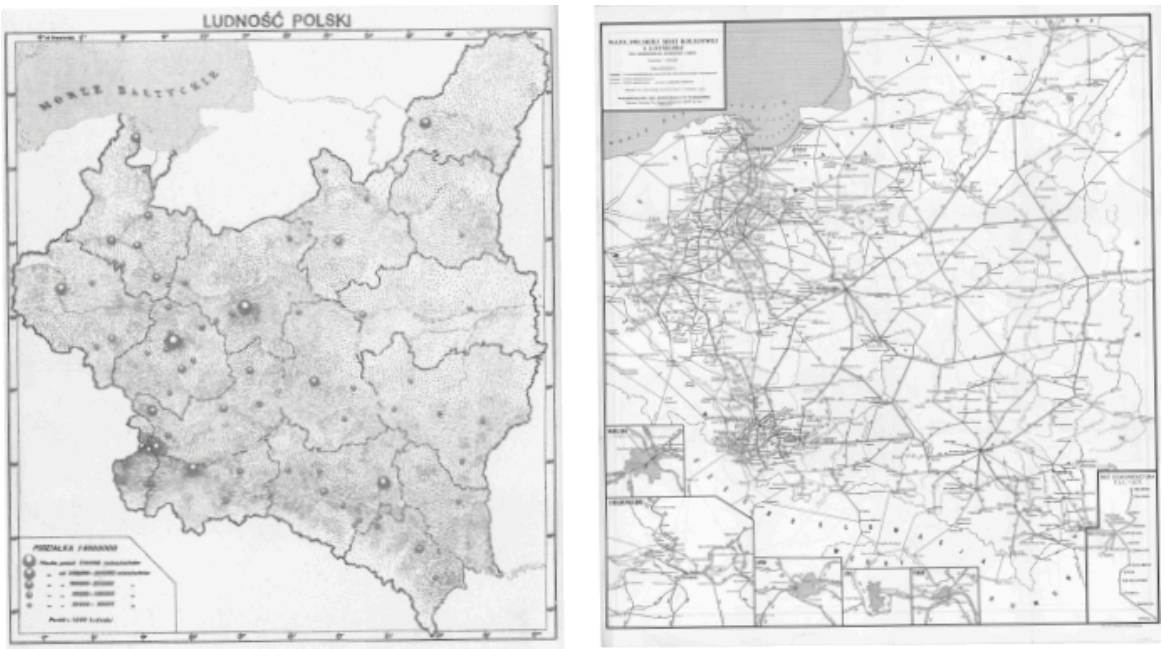

Gęstość zaludnienia i sieć kolei w Drugiej Rzeczypospolitej

Różnice gospodarcze pomiędzy regionami można pokazać też w inny sposób: wystarczy odnotować, że w zachodnich częściach kraju robotnicy rolni zarabiali niemal o jedną trzecią więcej niż ci w rejonach południowych i na wschodzie[15]. Jeszcze bardziej zróżnicowane były płace robotników przemysłowych. W Polsce wschodniej w 1938 roku jedna czwarta robotników zarabiała mniej niż 10 złotych tygodniowo, gdy tymczasem na Śląsku tak nędznie zarabiało zaledwie 8 procent. Jeśli zaś chodzi o tych zarabiających najlepiej, czyli powyżej 40 złotych tygodniowo, to na wschodzie kraju grupa ta stanowiła mniej niż 7 procent, podczas gdy na Śląsku aż 33 procent. W samej Warszawie zaledwie 5 procent robotników zarabiało mniej niż 10 złotych tygodniowo, a płace 41 procent przekraczały 40 złotych tygodniowo. Pracownicy umysłowi zarabiali o wiele lepiej niż ich rodacy i rodaczki wy-

konujący prace fizyczne, jednak i tutaj występowało regionalne zróżnicowanie. Około jednej trzeciej mężczyzn-urzędników na Śląsku zarabiało ponad 120 złotych tygodniowo, gdy tymczasem w Polsce wschodniej na podobne płace mogło liczyć zaledwie 4 procent ich kolegów[16].

15 *Mały rocznik statystyczny*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1934, s. 135.
16 *Historia Polski w liczbach*, dz. cyt., s. 416–424.

Przeciętne zarobki robotników rolnych pod koniec dwudziestolecia międzywojennego. Rozmiar banknotów jest proporcjonalny do różnic zarobków

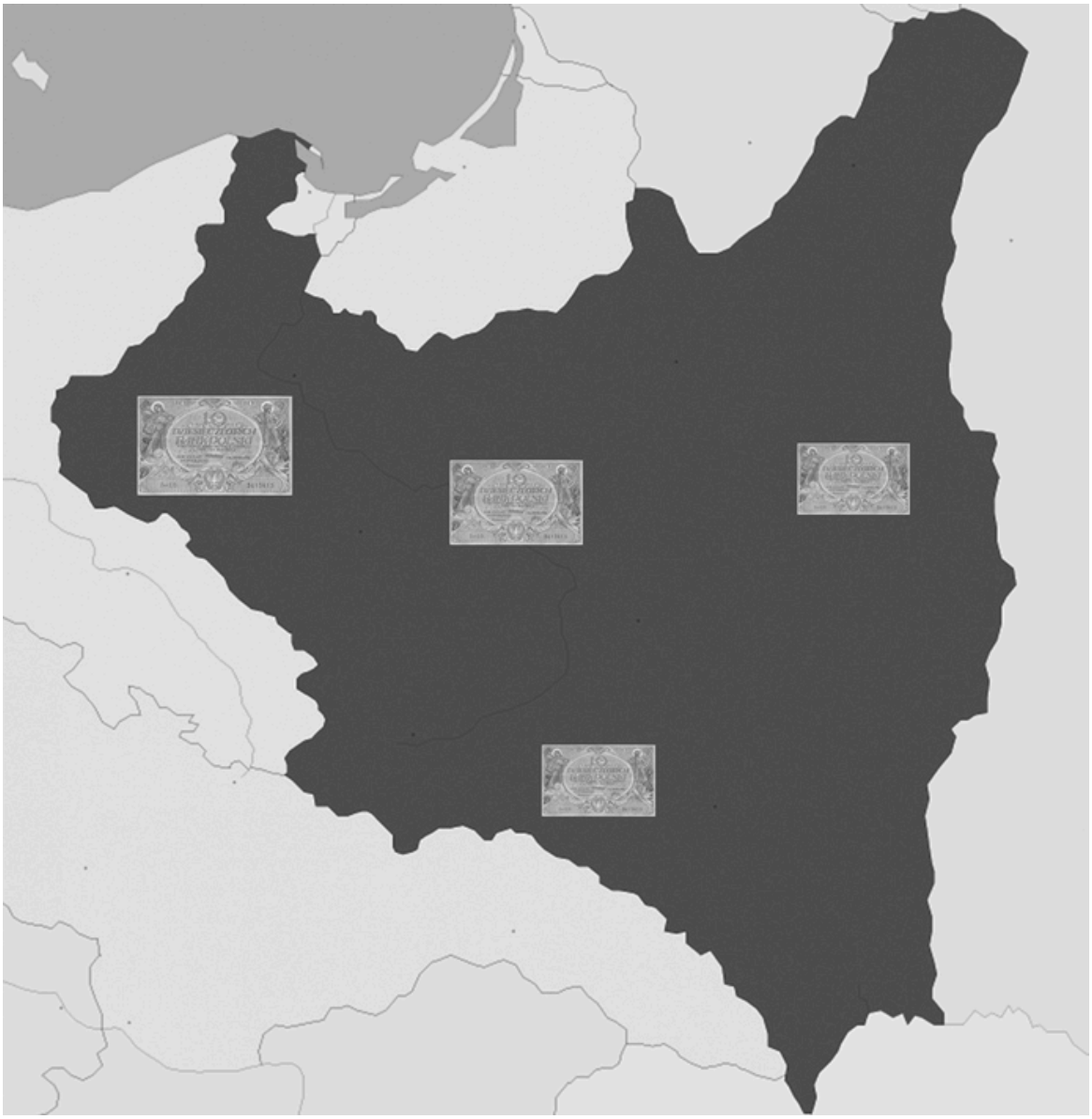

Zróżnicowanie warunków życia unaoczniało się każdemu, kto miał okazję odwiedzić domy mieszkalne w różnych częściach Polski. W Warszawie czy Krakowie w 1931 roku elektryczność i bieżącą wodę miało około 60 procent domów,

natomiast w Katowicach i Chorzowie ten odsetek wynosił aż 90 procent. W tym samym czasie we Lwowie i Wilnie mniej niż połowa domów była zaopatrzona w takie luksusy. W Lublinie bieżąca woda była zaledwie w 18 procentach domów, 8 procent miało kanalizację, 36 procent – elektryczność. We wschodnich i południowych miasteczkach mniej więcej jedna piąta dachów wciąż kryta była strzechą, materiałem niemal już nieobecnym w miasteczkach Polski zachodniej i centralnej. Na zachodzie nawet chat wiejskich przeważnie nie kryto już strzechą (miało ją około 26 procent z nich), za to na wschodzie odsetek słomianych dachów na wsiach nadal sięgał 82 procent. Ponad 90 procent domów na zachodzie zbudowano z materiałów ognioodpornych (cegieł lub kamieni), podczas gdy na wschodzie 85 procent domów wciąż pozostawało łatwopalnych. Na ziemiach dawnego zaboru austriackiego prawie 10 procent domów zbudowano z gliny lub ziemi.

Analfabeci i osoby piśmienne w latach trzydziestych

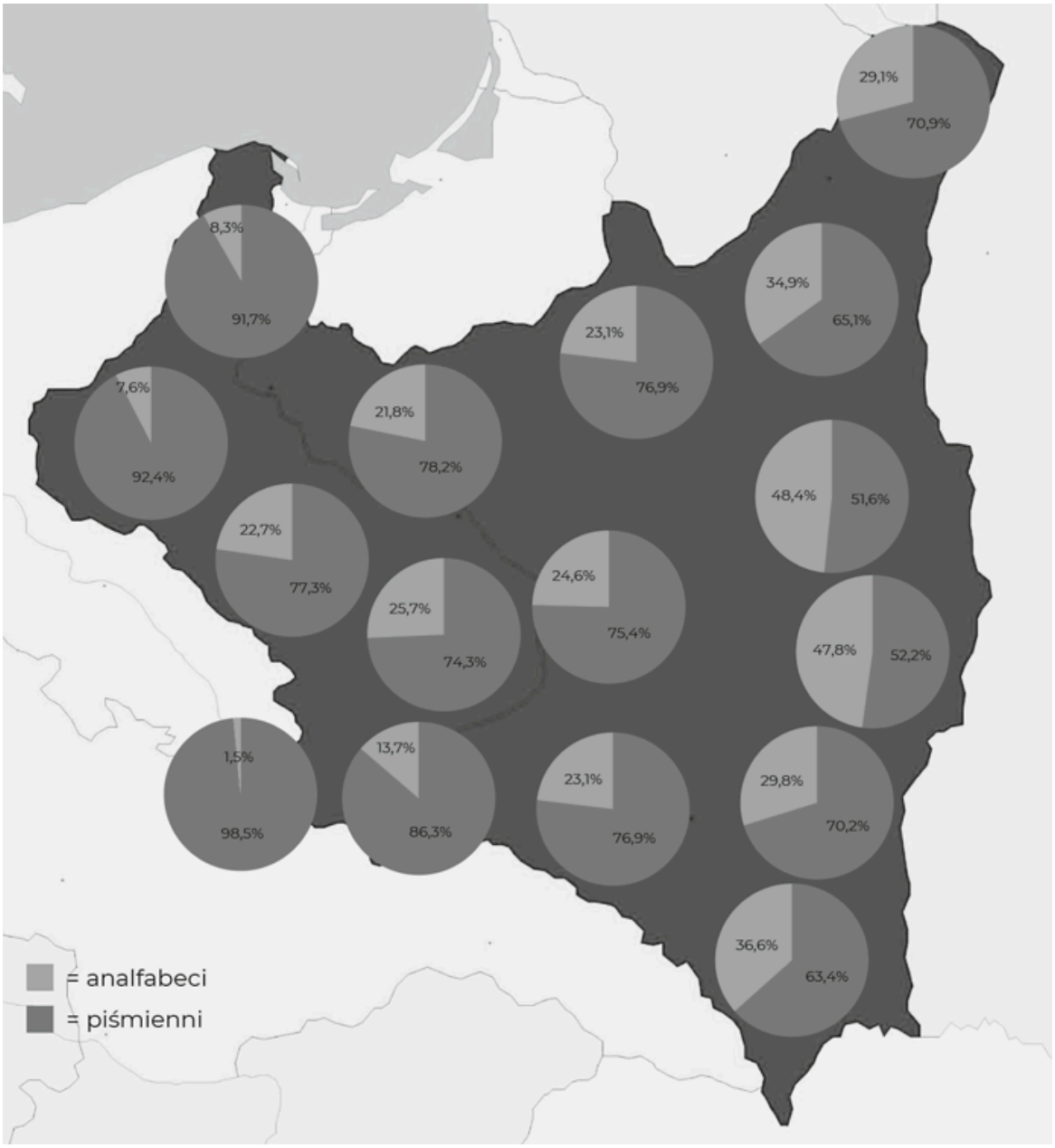

Zróżnicowanie gospodarcze przekładało się na zróżnicowanie w innych dziedzinach życia. W spisie ludności z 1931 roku badano piśmienność osób w wieku dziesięciu lat, czyli w wieku, w którym dzieci powinny już mieć opanowane pod-

stawowe umiejętności związane z czytaniem i pisaniem. Dane z Polski zachodniej pokazywały, że system edukacji działa całkiem dobrze, a odsetek osób niepiśmiennych wyrażał się pojedynczą cyfrą. Jak zawsze jednak, im dalej na wschód, tym słabiej zorganizowany był system oświaty, przy czym na Polesiu i Wołyniu analfabetyzm dotyczył prawie połowy ludności. Po części było to odzwierciedleniem tendencji, zgodnie z którą w tym czasie ludzie w miastach dwukrotnie częściej byli piśmienni niż na wsi, prowincje wschodnie i południowe były bowiem słabo zurbanizowane. Jednak nawet gdy wyeliminujemy z tego porównania ludność mieszkającą w miastach, różnica pozostaje uderzająca: w prowincjach wschodnich analfabetami było 45,5 procent mieszkańców wsi, na zachodzie – 3,2 procent[17].

17 Tamże, s. 487.

Chyba w żadnej dziedzinie życia różnice nie były tak uderzające jak w opiece medycznej. Z 12 917 lekarzy i lekarek zarejestrowanych w Polsce w 1938 roku zaledwie 1466 (nieco ponad 1 procent) pracowało na wsi (choć uczciwość nakazuje dodać, że o wiele więcej pracowało w miasteczkach, dostępnych dla chłopów). W Krakowie na 10 tysięcy mieszkańców przypadało ponad trzydzieścioro lekarzy (liczba wyższa niż średnia w USA w tym samym czasie), ale na Polesiu i Wołyniu było mniej niż dwoje lekarzy na 10 tysięcy[18] mieszkańców[19]. Musiało to wpływać na oczekiwaną długość życia. Dla całej populacji kraju wynosiła ona poniżej 50 lat, była więc o 10 lat

krótsza niż w tym samym czasie w USA i Wielkiej Brytanii, a o 15 lat krótsza niż w Norwegii czy Holandii[20].

18 *Mały rocznik statystyczny*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1934, s. 475.
19 Tamże, s. 475.
20 Patrz: http://www.gapminder.org/data/.

W okresie międzywojennym ekonomiści i decydenci wprowadzili określenia „Polska A" i „Polska B", odnoszące się do dwóch części kraju rozdzielonych mniej więcej linią Wisły. Polska A nie różniła się zbytnio od Niemiec, Czech, Austrii czy innych części Europy. Nawet architektura przypominała architekturę zachodnich sąsiadów. W Polsce A dostępne były wszelkie cuda techniki początku XX wieku. Warszawa już w 1910 roku miała własne lotnisko, a w 1929 założono polskie linie lotnicze LOT. Ci, których stać było na bilety, mogli się przejechać Luxtorpedą, wagonem spalinowym, który poruszał się z prędkością stu kilometrów na godzinę na trasach łączących między innymi Warszawę, Kraków i Katowice oraz kilka górskich kurortów. W 1936 roku Luxtorpeda pokonywała trasę Kraków–Zakopane w 2 godziny i 18 minut, czyli szybciej niż dzisiejsze pociągi. W domach klasy średniej, a nawet w niektórych domach robotniczych w Polsce A znajdowały się radioodbiorniki, piece gazowe, łazienki, właściciele mogli pozwolić sobie na udekorowanie wnętrz modernistycznymi meblami – życie mieszkańców tych domów nie różniło się zbytnio od życia ich współczesnych w Berlinie, Wiedniu, Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku. Około 1939 roku na każdy tysiąc Polaków przypadało 29 radioodbiorników – liczba wyższa niż

we Włoszech (23), o wiele niższa natomiast niż we Francji (112) czy Stanach Zjednoczonych (215). Sama liczba jest jednak myląca, ponieważ prawie wszystkie radia znajdowały się w rękach ludzi mieszkających w Polsce A. 104 odbiorniki przypadały na tysiąc mieszkańców w Warszawie, natomiast zaledwie 9 na tysiąc mieszkańców województwa tarnopolskiego na południowym wschodzie kraju[21]. Niektórzy z najzamożniejszych gospodarzy w Polsce A już w latach trzydziestych mieli ciągniki rolnicze – wobec tych ludzi określenie „chłop" stawało się anachroniczne, a nawet obraźliwe.

21 *Mały rocznik statystyczny*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1934, s. 349–350.

W przeciwieństwie do Polski A Polskę B cechowały utrzymujące się pozostałości poddaństwa i pańszczyzny; społeczeństwo było w znacznej większości wiejskie, edukacja i opieka zdrowotna stały na niskim poziomie, pojawiały się zaledwie pierwsze oznaki rozwoju XX-wiecznego przemysłu i transportu. Politycy ze wszystkich stron ideowego spektrum wskazywali na ten podział jako na jeden z najbardziej palących problemów Drugiej Rzeczypospolitej i starali się proponować rozwiązania, by zmniejszyć istniejącą przepaść. Jednak pod koniec lat trzydziestych rozziew był równie wielki jak w 1918 roku. Problemy kraju były zakorzenione tak głęboko, że nie istniały szybkie rozwiązania – co jest dość oczywiste, jak mniemam, skoro podział wschód–zachód po dziś dzień stanowi problem. Nawet jednak gdyby istniały gotowe rozwiązania, trudno przypuścić, by decydentom Drugiej Rzeczypospo-

litej udało się je skutecznie wdrożyć. Stali przecież w obliczu kryzysów gospodarczych, które zdawały się nie mieć końca.

Wielka inflacja

Wszyscy słyszeliśmy o wielkim kryzysie, natomiast wielka inflacja (ledwie o kilka lat wcześniejsza) jest zjawiskiem mniej znanym. Jedno i drugie było dla Polski katastrofą, aczkolwiek katastrofy te różnie wpłynęły na różne grupy społeczne. Upraszczając nieco, można powiedzieć, że hiperinflacja z początku lat dwudziestych była rezultatem źle prowadzonej polityki gospodarczej, która miała służyć uspokojeniu ubogich w czasach rewolucyjnego fermentu, z kolei kryzys lat trzydziestych był skutkiem źle prowadzonej polityki gospodarczej, która miała zaspokoić żądania ludzi interesu, inwestorów i wielkich właścicieli ziemskich. W obu przypadkach jednak konsekwencje były przerażające i ostatecznie wszyscy zapłacili wysoką cenę.

Podobnie jak wiele innych historii, które omawiam w tej książce, także i te dwie klęski gospodarcze miały charakter równocześnie krajowy i międzynarodowy. Hiperinflacja dotknęła Niemcy, Polskę, Austrię i Węgry w tym samym czasie i z podobnych powodów, a politykom w poszczególnych krajach udało się znaleźć rozwiązania także mniej więcej w tym samym czasie i z wykorzystaniem podobnych metod. Niemniej w każdym z tych krajów to miejscowe, autonomiczne decyzje polityczne miały decydujący wpływ na bieg wypad-

ków. Podobnie zresztą było z wielkim kryzysem, tym razem jednak w skali globalnej. Uniknięcie hiperinflacji z początku lat dwudziestych byłoby dla młodego państwa polskiego ogromnie trudne, jednak nie było niemożliwe. Przykład Czechosłowacji, która nigdy nie stanęła przed tym problemem, pokazuje, że istniały dostępne środki polityczne, aczkolwiek o wiele trudniej byłoby je zastosować w Polsce.

Wielki kryzys natomiast był zjawiskiem ogólnoświatowym: żaden kraj nie mógł uniknąć zarazy, jednak nawet w tym przypadku decyzje podejmowane w poszczególnych krajach różnie wpływały na rozwój wypadków. Nie można uważać historii gospodarczej za suchą opowieść o statystykach i nieubłaganych siłach pozostających poza ludzką kontrolą. Jest dokładnie na odwrót: mamy do czynienia z opowieścią, w której jednostkowa sprawczość, polityka i konflikty społeczne odgrywają główną rolę.

Polska waluta, wprowadzona w 1918 roku zaraz po utworzeniu państwa, zwana marką (dziedzictwo okupacji niemieckiej), nigdy nie zyskała stabilnej wartości. Posługując się kursem wymiany na dolary amerykańskie jako przybliżonym wskaźnikiem inflacji, obserwujemy 92-procentowy spadek wartości marki polskiej między 1918 a 1919, spadki o około 80 procent rocznie przez trzy kolejne lata i załamanie: 99 procent w dół w 1923 roku. Do końca roku 1924 kurs wymiany wynosił już 10 milionów marek polskich za dolara[22]. Jak wspomniałem, nie był to wyłącznie polski, ani nawet wyłącznie europejski problem. Także te kraje, w których w latach dwudziestych nie doszło do hiperinflacji, miały do czynienia

z tymi samymi siłami gospodarczymi i tymi samymi trudnymi wyborami, jednak tylko niektóre doświadczyły podobnych skutków. Pierwsza wojna światowa poczyniła spustoszenia nie tylko w kategoriach ludzkich i materialnych, ale także pod względem gospodarczym. Walczące strony musiały całe swoje gospodarki przestawić na potrzeby wojenne, koszty zaś znacznie przekraczały dostępne zasoby. Nawet jeśli pominąć spadek produktywności związany ze śmiercią znacznej części europejskiej populacji, ogromne sumy wydawane na broń i zaopatrzenie w praktyce wpadały do czarnej dziury. Nie licząc kilku projektów infrastrukturalnych, których celem było zwiększenie mobilności wojska, większość wydatków wojennych miała niewielki albo żaden wpływ na rozwój gospodarczy czy produkcję.

22 Cecylia Leszczyńska, *Zarys historii polskiej bankowości centralnej*, Narodowy Bank Polski, Warszawa 2010, s. 16.

Kurs dolara amerykańskiego w stosunku do marki polskiej

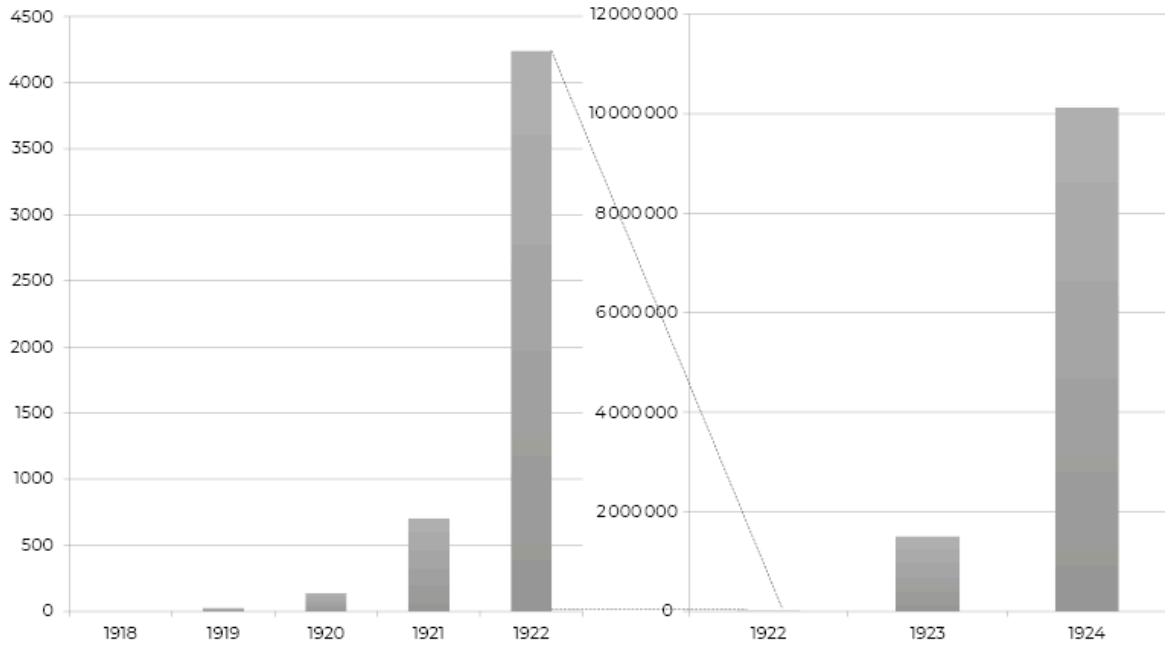

Fundusze niezbędne do pokrycia kosztów masakr pierwszej wojny światowej zdobywano, czerpiąc ze wszystkich zasobów dostępnych w każdym sektorze gospodarki, przede wszystkim zaś z oszczędności klas średniej i (w mniejszej skali) wyższej. Rzecz jasna, pieniędzy nie konfiskowano, a jedynie pożyczano w formie obligacji wojennych. Problem, który pojawił się w 1918 roku, polegał na tym, że żadna z walczących stron nie miała rezerw niezbędnych, aby spłacić obligacje i jednocześnie zachować parytet złota. Dzisiaj panuje szersze zrozumienie tego, podaż suwerennych walut można zwiększyć bez pożyczania ich z innego źródła: pieniądz jest środkiem, za pomocą którego państwa regulują działalność gospodarczą, a nie reprezentacją jakiejś stałej wartości znajdującej się gdzieś w rezerwie[23]. Jednak w latach międzywojen-

nych teoria monetarna była znacznie słabiej rozwinięta i niemal powszechnie uznawano, że nawet suwerenne waluty muszą mieć oparcie w zrównoważonym budżecie. Tak więc w obliczu długów z pierwszej wojny światowej wiele krajów decydowało się na ograniczanie wydatków państwowych i równoczesne podnoszenie podatków, co (w teorii) miało zapewnić państwom nadwyżki budżetowe wystarczające na spłatę pożyczek. Tą lub podobną drogą poszły Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania. Przyniosło to przewidywalny skutek: głęboką recesję związaną z tym, że wydatki na konsumpcję spadały, a produkcja zwalniała. Ponieważ gospodarkę drenowano z pieniędzy, żeby zrównoważyć budżet i spłacić długi państwowe, zwykli obywatele mieli mniej zasobów i nie stać ich było na robienie zakupów. Kiedy ludzie przestawali kupować, fabryki musiały przestać produkować; skoro zamykano fabryki, coraz więcej ludzi traciło pracę; bezrobotni ludzie nie mieli dochodów – i tak powstawało błędne koło napędzające kryzys. W Wielkiej Brytanii produkt krajowy brutto per capita skurczył się o 9 procent w 1919 roku i o 11 procent w 1920, co doprowadziło do spadku wartości funta o 10–14 procent rocznie. Bezrobocie w czasie wielkiego kryzysu było co prawda nieco wyższe niż podczas recesji lat 1919–1921 (22 procent w zestawieniu z 16 procent), jednak spadek produkcji był w tym wcześniejszym okresie niemal dwukrotnie większy niż później, w wielkim kryzysie[24]. W tym samym czasie Federalna Rezerwa Stanów Zjednoczonych podniosła stopy procentowe, dzięki czemu rząd błyskawicznie przeszedł od deficytu do nadwyżki budżetowej. W rezultacie produkt krajowy brutto

zmniejszył się o 18 procent między rokiem 1920 a 1921, a bezrobocie osiągnęło 12 procent. Nawet gdy bliżej połowy dekady bezrobocie spadło poniżej 10 procent, pracodawcy byli w stanie utrzymywać płace na niskim poziomie głównie dzięki dobrze zorganizowanym kampaniom, mającym zmniejszyć liczebność związków zawodowych. Oznaczało to z kolei, że wydatki na konsumpcję pozostawały poważnie ograniczone[25]. Mówiąc w skrócie: po obydwu stronach Atlantyku problem długów wojennych i deficytu budżetowego udało się rozwiązać, jednak ceną za to była głęboka recesja, a później niskie płace większości ludzi i bardzo powolny powrót do normalności. Jeśli dla czytelników i czytelniczek w XXI wieku wszystko to brzmi znajomo – nic dziwnego.

23 Zbyt wielu ludzi nadal wierzy w ten utrzymujący się, szkodliwy mit. Jego korekta – zob.: Stephanie Kelton, *The Deficit Myth: Modern Monetary Theory and the Birth of the People's Economy*, PublicAffairs Books, New York 2020.

24 Joe Hicks, Grahame Allen, *A Century of Change: Trends in UK Statistics since 1900*, House of Commons Library, London 1999, s. 23–24; *Inflation Report*, Bank of England, London 2009, s. 33; https://bit.ly/3knaAhC.

25 Dane na temat bezrobocia i płac za: *Historical Statistics of the United States, Colonial Times to 1957*, dz. cyt., s. 73, 91 Dane na temat PKB pochodzą z: Robert J. Gordon (red.), *The American Business Cycle: Continuity and Change*, National Bureau of Economic Research, Washington 1986, Appendix B.

Niektórzy historycy gospodarki twierdzą, że polityka prowadzona przez Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone i inne państwa zachodnie doprowadziłaby do katastrofy o wiele szybciej i że wielki kryzys nastąpiłby w roku 1920, a nie 1929, gdyby nie to, że rządy większości krajów środkowej i wschodniej Europy przyjęły inne podejście[26]. Rządzący w Berlinie, Wiedniu, Budapeszcie czy Warszawie, skonfrontowani z radykal-

nymi nastrojami społecznymi i pod naciskiem grup rewolucyjnych (a także wobec niemałego chaosu administracyjnego), nie mogli podążyć drogą swoich kolegów z Londynu, Paryża czy Waszyngtonu. Jakakolwiek polityka, która prowadziłaby do wzrostu bezrobocia i spadku płac, byłaby jedynie dolaniem oliwy do rewolucyjnego ognia. Politycy nie mieli więc wyboru – musieli ożywiać wzrost gospodarczy w taki sposób, który zarazem poprawiał jakość życia obywateli. Niezależnie od tego, czy byli socjalistami, czy obawiali się socjalizmu, przywódcy w stolicach tej części Europy przyjmowali strategie nakierowane na podnoszenie płac i obniżanie bezrobocia – wprowadzali keynesowski program zachęt, zanim Keynes sformułował teorię uzasadniającą takie podejście. Przez pewien czas ta metoda działała, skutkując wzrostem, który mógł z kolei przyczynić się do podtrzymania eksportu w krajach, w których popyt zamierał (czyli na przykład w Wielkiej Brytanii czy Francji). Niezależnie od tego, czy ta hipoteza jest poprawna, w Europie Wschodniej bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej rzeczywiście nastąpił krótki i dynamiczny wzrost konsumpcji.

26 Takie rozumowanie przedstawia Carl-Ludwig Holtfrerich w *The German Inflation, 1914–1923: Causes and Effects in International Perspective*, przeł. Theo Balderston, Walter de Gruyter, New York 1986, s. 219–220.

Niestety, taki sposób pobudzania wzrostu gospodarczego wymaga starannej polityki skarbowej, ponieważ niesie ryzyko inflacji. Jest to podstawowa kwestia z dziedziny podaży i popytu: kiedy płace idą w górę i robotnicy zaczynają więcej kupować, natychmiast pojawia się wzrost cen (chyba że produk-

cja wzrasta w jeszcze szybszym tempie). Reakcją na wzrost cen są żądania podwyżki płac, co prowadzi do kolejnego błędnego koła (tym razem wzrostu, a nie spadku). Wiemy obecnie, że istnieją sposoby radzenia sobie w takiej sytuacji, kontrolowania nadwyżek finansowych, żeby procesy inflacyjne nie wymknęły się spod kontroli. Podatkowe i monetarne zachęty czynią cuda tak długo, jak długo nie przekroczy się realnych zdolności produkcyjnych danego społeczeństwa. Po przekroczeniu tego punktu coraz więcej pieniędzy zaczyna być wydawanych na mniejszą liczbę dóbr i pojawia się inflacja. Jednak na początku lat dwudziestych technik tych jeszcze nie znano. Zresztą sytuacja polityczna w środkowej i wschodniej Europie i tak była zdecydowanie zbyt chaotyczna na jakąkolwiek spójną i ostrożną politykę.

Widzieliśmy już, jak ten chaos wyglądał w Polsce. Nie dość, że nie można było stworzyć stabilnej koalicji rządowej, to dodatkowo ci, którzy odpowiadali za politykę gospodarczą, musieli prowadzić wojnę (aż do 1921 roku) oraz sprostać gigantycznemu wyzwaniu: zmontować system fiskalny i administracyjny z potrzaskanych resztek trzech różnych systemów prawnych. Wyobraźmy sobie kształtowanie polityki podatkowej i budżetowej równocześnie z tworzeniem nowego systemu pobierania podatków i nowej sieci urzędów zajmujących się polityką społeczną i nadzorem. To właśnie musieli robić ministrowie finansów w Polsce na początku lat dwudziestych. Trudno się dziwić, że przez pierwszych pięć lat istnienia Drugiej Rzeczypospolitej przychody z podatków pokrywały ledwie połowę wydatków państwowych.

Pobudzający efekt zwiększania podaży pieniądza, w połączeniu z boomem budowlanym (kraj trzeba było odbudować ze zniszczeń wojennych), później także z nowymi prawami i przepisami dotyczącymi związków zawodowych, a wszystko w ogólnej atmosferze chaosu i niepewności – wszystkie te czynniki wywołały spiralę inflacji, która całkowicie wymknęła się spod kontroli. Początkowo hiperinflacja dotknęła przede wszystkim tych, których większość dochodów pochodziła z inwestycji i oszczędności. Setki tysięcy rodzin z klasy średniej i wyższej straciły wszystko, kiedy wartość ich obligacji i kont bankowych rozwiała się jak mgła. Przez pewien czas problem nie dotyczył chłopów ani robotników przemysłowych, ponieważ ich płace rosły wraz ze wzrostem cen. Początkowo inflacja okazała się wręcz dobrodziejstwem dla milionów rodzin z klas niższych, których długi praktycznie zniknęły. Po ciężkich latach wojennych niedoborów poziom życia większości ludzi gwałtownie wrócił do stanu sprzed 1914 roku. Jednak po kilku latach ból hiperinflacji był już powszechnie odczuwalny. Trudno było utrzymać produkcję, ponieważ zmienność cen sprawiała, że organizowanie dostaw i dystrybucji zmieniało się w koszmar. Nawet drobni kupcy mieli trudności z ustaleniem cen na swoje towary. Na tyle zmieniło to sytuację polityczną, że możliwe stało się stworzenie jedynego (względnie) stabilnego rządu przed przewrotem majowym: rządu kierowanego przez Władysława Grabskiego, premiera od grudnia 1923 do listopada 1925 roku.

Grabski był ekonomistą i wcześniej pełnił już funkcję ministra finansów oraz (krótko) premiera. Był związany z Naro-

dową Demokracją, jednak rząd, który sformował pod koniec 1923 roku, składał się nie tyle z pierwszoplanowych polityków, ile przede wszystkim z technokratów. Co więcej, Grabskiemu udało się stworzyć koalicję kryzysową, która obejmowała nie tylko prawicę: przekonał nawet PPS (choć, z oczywistych powodów, nie blok mniejszości) do tego, by jej posłowie nie głosowali przeciwko niemu, tylko wstrzymali się od głosu, kiedy przedstawiał w sejmie swój gabinet. Pierwszym posunięciem Grabskiego było przeforsowanie ustaw, które dawały mu nadzwyczajne uprawnienia przy wprowadzaniu reform podatkowych i budżetowych. Wykorzystał tę władzę, aby wdrożyć pakiet różnorakich środków, które gwałtownie wyhamowały polską gospodarkę. Ściął wydatki państwowe, pozwalniał urzędników i podniósł podatki, przywracając tym samym równowagę budżetu. Pozbył się także polskiej marki i zastąpił ją nową walutą, złotym. Reformy Grabskiego położyły kres hiperinflacji. Wartość złotego nieco się wahała, jednak kurs wymiany w stosunku do dolara pozostawał na poziomie 10:1 lub mniej. Po okresie inflacji zaczęła się deflacja[27].

27 *Mały rocznik statystyczny 1939*, dz. cyt., s. 119.

Liczba bezrobotnych a plan Grabskiego

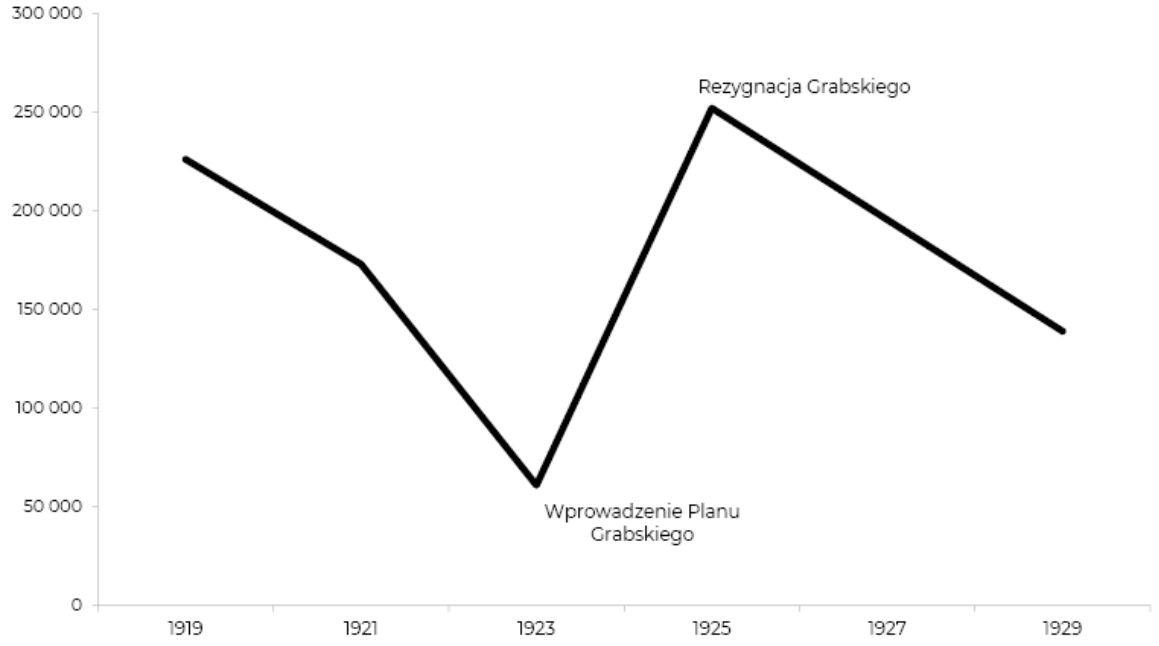

Tak jak w przypadku wszystkich reform gospodarczych ocena reformy Grabskiego zależała od tego, gdzie kto znajdował się w polskim społeczeństwie. Inwestycje i planowanie znów stały się możliwe, można też było gromadzić oszczędności. Musimy jednak pamiętać, że w kraju tak ubogim jak Polska, w którym wydatki na jedzenie stanowiły dwie trzecie budżetu przeciętnej rodziny z klasy pracującej, przeważająca część populacji nigdy nie miała nadwyżek, żeby robić oszczędności, i niewiele dbała o stopy procentowe czy planowanie finansowe. Większość ludzi w najlepszych czasach ledwo wiązała koniec z końcem, a główne zagrożenie stanowiła dla nich nie inflacja, ale bezrobocie. Nie umniejszając w żaden sposób szkodliwych skutków załamania się polskiej waluty przed 1924 rokiem, kiedy Grabski zaczął wprowadzać swoje

reformy, trzeba stwierdzić, że premier wyjął z gospodarki tyle pieniędzy, iż wydatki na konsumpcję (a więc też produkcja krajowa) doszły do ściany. Bezrobocie poza rolnictwem podskoczyło z 61 tysięcy w 1923 roku (był to najniższy poziom w okresie międzywojennym) do 252 tysięcy po wprowadzeniu polityki „zaciskania pasa" – dość kiepska metafora, biorąc pod uwagę fakt, że pasy niektórych ludzi zaciśnięto niemal do uduszenia, podczas gdy inni przesunęli klamrę zaledwie o jedną dziurkę. Bezrobocie nieco spadło pod koniec 1925 roku, jednak tylko dlatego, że PPS wymusiła pakiet świadczeń dla bezrobotnych, który ponownie wywołał ruch w gospodarce, choć o wiele mniejszy niż przed 1924 rokiem. Grabski, rozwścieczony tym złamaniem „dyscypliny skarbowej", podał się do dymisji[28].

28 *Historia Polski w liczbach*, dz. cyt., s. 409.

Nawet po odejściu Grabskiego złoty pozostał walutą stabilną, a deficyt budżetowy nigdy nie osiągnął ponownie takich rozmiarów jak przed 1924 rokiem. W całej Europie i Stanach Zjednoczonych utrzymywano zbliżoną politykę gospodarczą. Zachowywano (lub prawie zachowywano) równowagę budżetową, podaż pieniądza była ściśle ograniczona, cięto wydatki na usługi społeczne, a podatki utrzymywano na dość wysokim poziomie. Inflacja, póki prowadzono taką politykę, miała już nie powrócić, nie pojawiał się już też jednak większy wzrost. Duże bezrobocie powodowało, że płace pozostawały na niskim poziomie, co obniżało koszty produkcji ku zadowoleniu fabrykantów i inwestorów. Istnienie ogromnej rezerwy

bezrobotnych, zdolnych zastąpić każdego, kto ośmieliłby się protestować, spowodowało, że w ciągu roku od reform Grabskiego liczba dni roboczych straconych z powodu strajków spadła o 80 procent. Gdy opór ten zmalał, z pewnością nie oznaczało to, że robotnicy byli zadowoleni z płac i warunków pracy – wcale się one bowiem nie poprawiły[29]. Zarówno państwo, jak i indywidualni właściciele zyskali więcej swobody, która pozwalała im utrzymać model gospodarczy oparty na niskich kosztach pracy i wysokich zyskach. Niestety, nie rozumieli, że bez konsumentów nie będą w stanie sprzedać tego, co wyprodukowali, nawet gdy obniżą ceny. Rynek eksportowy nie stanowił żadnego rozwiązania, gdyż w całej Europie wprowadzono podobną politykę oszczędności. Ponadto wojna celna z Niemcami, która trwała od 1925 do 1934 roku, ograniczyła możliwość eksportowania czegokolwiek na zachód, a polityka samowystarczalności prowadzona przez Związek Radziecki gwarantowała, że niemal żadne towary nie płynęły na wschód.

29 Zbigniew Landau, Jerzy Tomaszewski, *Zarys historii gospodarczej Polski, 1918–1939*, Książka i Wiedza, Warszawa 1986, s. 213.

W krótkim czasie połączenie anemicznego popytu krajowego i ograniczeń w handlu międzynarodowym zepchnęło Polskę – podobnie jak cały świat – w otchłań.

Wielki kryzys

Pod koniec lat dwudziestych na rynkach akcji w Europie i Ameryce Północnej trwała hossa: zyski były wysokie, a optymizm – zaraźliwy (wśród inwestorów, bo wszyscy inni byli odporni na tego szczególnego wirusa). Te sukcesy były jednak zamkami wznoszonymi na piasku, zwłaszcza że mnożyły się problemy z dystrybucją i opóźnienia w sprzedaży. W drugiej połowie lat dwudziestych coraz więcej przedsiębiorstw bankrutowało, a choć małe firmy można było potraktować jak kanarki w kopalni, przez kilka lat elity finansowe nie dostrzegały jeszcze, co się dzieje. Bańka pękła 24 października 1929 roku, kiedy na nowojorskiej giełdzie odnotowano w ciągu jednego dnia prawie 13-procentowy spadek. Między 15 października a 15 listopada indeks Dow Jonesa obniżył się z 350 do 200. Wielki kryzys nie był jednak tylko kryzysem w bankowości i inwestycjach, wskazywanie października 1929 roku jako punktu zwrotnego jest więc zabiegiem nieco arbitralnym. Jednak to właśnie krach na Wall Street uświadomił wszystkim, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego.

Nawet gdyby polski rząd prowadził najmądrzejszą politykę, a państwowe, finansowe i przemysłowe elity postępowały najrozsądniej, nie popełniając żadnych błędów, wielki kryzys i tak okazałby się poważnym ciosem. Polska była zdecydowanie zbyt silnie powiązana z gospodarką światową, by tego uniknąć. Bezrobocie skoczyło do ponad miliona ludzi w 1935 roku, a płace robotników przemysłowych spadły o niemal jedną trzecią między 1928 a 1932 rokiem. Ceny dóbr kon-

sumpcyjnych także spadły, kiedy nastała deflacja, ale choć złagodziło to cios, który odczuli zatrudnieni w przemyśle, niewiele pomogło bezrobotnym i robotnikom rolnym. Płace tych ostatnich spadły prawie o połowę. Cierpieli także właściciele niewielkich majątków, w których dochody z hektara zleciały na łeb na szyję: z 214 złotych w 1928 roku do dramatycznie niskiego poziomu 8 złotych w 1932. Skoro ceny produktów z trudem wystarczały na pokrycie kosztów życia, wiele rodzin chłopskich zajęło się uprawą ziemi na własne potrzeby. Trudno wyobrazić sobie skalę tragedii. W 1932 roku w Polsce było o 36 procent mniej miejsc pracy niż w 1929 roku, co oznacza, że Polska należała do krajów najsilniej dotkniętych kryzysem: w tym samym czasie poziom zatrudnienia spadł w Wielkiej Brytanii o 6 procent, o 18 procent w Japonii, 28 procent w Niemczech i 35 procent w Stanach Zjednoczonych[30].

30 *Mały rocznik statystyczny 1939*, dz. cyt., s. 145.

Gospodarka polska pogrążyła się w recesji wraz z gospodarką światową w początku lat trzydziestych, jednak w drugiej połowie dekady zaczęła – analogicznie – korzystać z powszechnej poprawy sytuacji. Pewne nieśmiałe oznaki pojawiły się już w 1932 roku, jednak dopiero w 1935 płace zaczęły rosnąć, a bezrobocie – spadać. W 1937 produkcja przemysłowa w Polsce wróciła do poziomu, jaki miała przed krachem; zarówno jeśli idzie o rzeczywiste dochody, jak i o bezrobocie, sprawy szły w dobrym kierunku. Trudno byłoby powiedzieć, że nastąpił boom, jednak przynajmniej najważniejsze wska-

źniki gospodarcze pozwalały patrzeć w przyszłość z nadzieją[31].

31 Tamże, s. 245, 269, 276.

Ceny i zarobki, 1928–1938 (1928 = 100%)

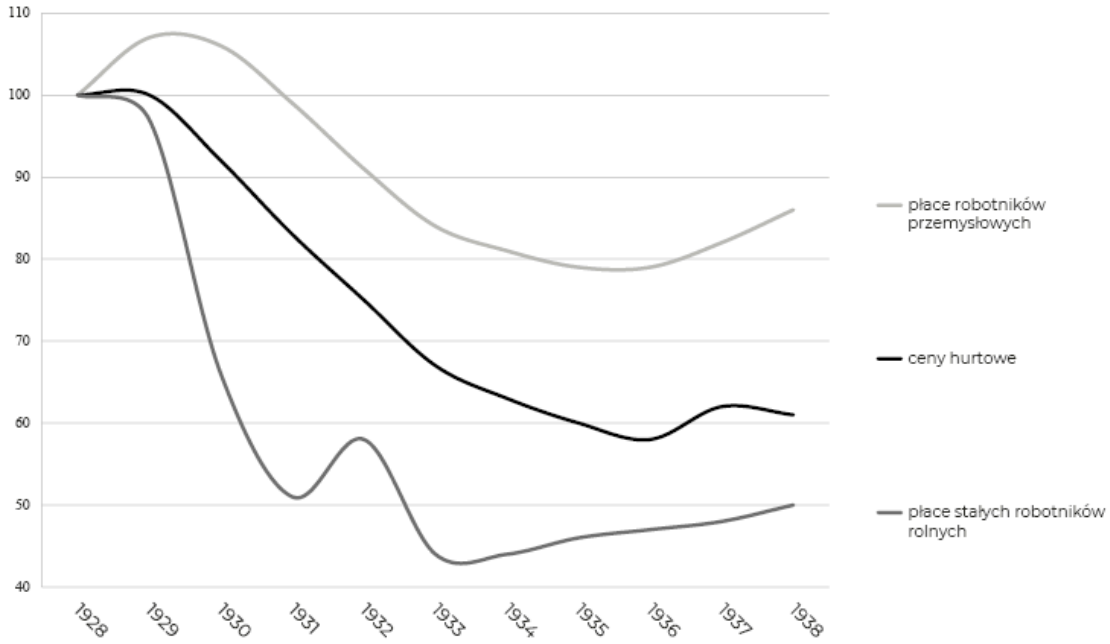

Do dziś ekonomiści spierają się co do przyczyn zarówno załamania, jak i odbudowy. Główny problem polega na tym, że w skomplikowanej dziedzinie, jaką jest historia gospodarcza, nie da się wyizolować pojedynczych zmiennych z taką łatwością, z jaką udaje się to w statystycznych modelach teorii ekonomicznych; wyjątkowo trudno przy tym rozróżnić z całą pewnością, co jest korelacją, a co związkiem przyczynowym. Oczywiste jest natomiast, że w latach trzydziestych pojawiła się polityka skarbowa nowego typu, oparta na przekonaniu,

że można wykorzystać zasoby państwa do pobudzania wzrostu gospodarczego bez osuwania się w hiperinflację, taką jak ta z początku lat dwudziestych. Nowe podejście widoczne było na całym świecie, i to we wszystkich opcjach politycznych, od centrolewicowej administracji Roosevelta po skrajnie prawicowe reżimy Mussoliniego i Hitlera. Choć przywódcy ci stawiali sobie dramatycznie odmienne cele i działali w absolutnie niedających się pogodzić ramach moralnych, łączyła ich gotowość zaprzęgnięcia siły państwa do walki z niszczycielską zmiennością kapitalizmu. W Polsce takie podejście reprezentował ekonomista powiązany z sanacją: Eugeniusz Kwiatkowski.

Kwiatkowski był ministrem finansów od 1935 do 1939 roku, czyli w czasie, gdy Polacy zaczęli odzyskiwać siły po spustoszeniach poczynionych przez kryzys. W odróżnieniu od kilku innych bardziej agresywnych ekonomistów z tych lat Kwiatkowski nie miał do dyspozycji obfitych zasobów, których mógłby użyć do pobudzenia wzrostu gospodarczego. Gospodarka Polski wciąż była zbyt uboga, aby możliwe były tego rodzaju gigantyczne projekty, jakie cechowały Rooseveltowski New Deal czy militarną ekspansję Hitlera, poza tym hiperinflacja z początku lat dwudziestych była wciąż zbyt świeżym zjawiskiem, by polski polityk, niemający oparcia w dyktatorskiej władzy (musiałaby ona być o wiele silniejsza niż ta, którą sprawowali piłsudczycy), mógł przyjąć budżet ze zbyt dużym deficytem lub zgodzić się na wysokie pożyczki. Zresztą międzynarodowe rynki kredytowe wciąż jeszcze leczyły rany z roku 1929, Polacy nie mieli więc nawet możliwości zaci-

ągnięcia pożyczek na sfinansowanie wielu projektów budowlanych. Sam Kwiatkowski miał skłonność do konserwatyzmu w sprawach skarbowych i podejrzliwie traktował eksperymenty niektórych swoich współczesnych. W 1937 roku zrównoważył budżet, co jest przecież posunięciem typowym dla programów oszczędnościowych, a nie sposobem na pobudzenie gospodarki. Mimo wszystko Kwiatkowski był politykiem pragmatycznym i zdawał sobie sprawę, że Polska koniecznie potrzebuje wzrostu gospodarczego, zarówno z powodu wysokiego bezrobocia, jak i w związku z zagrożeniem, jakie stanowiły nazistowskie Niemcy. Pompował więc tyle pieniędzy, ile tylko mógł, w działania, które miały pobudzić rozwój, a których najlepszym przykładem były dwa gigantyczne przedsięwzięcia budowlane i rozwojowe: Centralny Okręg Przemysłowy i Gdynia.

Centralny Okręg Przemysłowy

Centralny Okręg Przemysłowy była to strefa o powierzchni 60 tysięcy kilometrów kwadratowych, zaczynająca się tuż pod Warszawą i rozciągająca aż do granicy z Czechosłowacją, zamieszkiwana przez 5,6 miliona ludzi. Wybrano ten obszar,

ponieważ był oddalony zarówno od granicy niemieckiej, jak i rosyjskiej, a także dlatego, że żyła tu duża populacja bezrobotnych i niepełnozatrudnionych, którzy mogli stać się tanią siłą roboczą dla przemysłu. Przez ostatnie cztery lata istnienia Drugiej Rzeczypospolitej 60 procent wszystkich państwowych wydatków na infrastrukturę (około 2,4 miliarda złotych) płynęło właśnie do tego stosunkowo niewielkiego obszaru. Projekty budowlane obejmowały trzystukilometrowy gazociąg, gigantyczną stalownię w Stalowej Woli, fabrykę samolotów w Mielcu, fabrykę samochodów ciężarowych na licencji Chevroleta w Lublinie oraz kilka fabryk chemicznych i zakładów zbrojeniowych. Centralny Okręg Przemysłowy zapewniał zatrudnienie około 100 tysiącom robotników, przy kilkuset tysiącach oficjalnie zarejestrowanych bezrobotnych i kilkumilionowym niewidocznym w statystykach bezrobociu na wsi.

Równie imponujący był drugi wielki projekt Kwiatkowskiego: port w Gdyni. Obecnie trudno sobie nawet wyobrazić, że przed latami dwudziestymi Gdynia była w zasadzie niewielką rybacką wioską, mającą około tysiąca mieszkańców, podobnie jak nie mieści nam się w głowie to, że pół wieku wcześniej Łódź była równie małą osadą. Jednak o ile Łódź urosła przede wszystkim dzięki prywatnym inwestycjom, o tyle Gdynia nigdy nie stałaby się tym, czym jest, gdyby nie inicjatywa Kwiatkowskiego. Był to, rzecz jasna, nie tylko projekt rozwojowy: odkąd Gdańsk stał się „Wolnym Miastem", zamieszkanym w większości przez Niemców (i charakteryzującym się nieproporcjonalnie wysokim poparciem dla partii nazistow-

skiej), Polska bardzo potrzebowała własnego portu. I Kwiatkowski go stworzył. W 1939 roku Gdynia była już miastem liczącym 120 tysięcy mieszkańców, z portem, którego obroty wzrosły z 10 tysięcy ton w 1924 roku do 8,7 miliona ton w 1939 – co dawało jej dziesiąte miejsce wśród europejskich portów.

Liczba bezrobotnych w latach 1919–1938

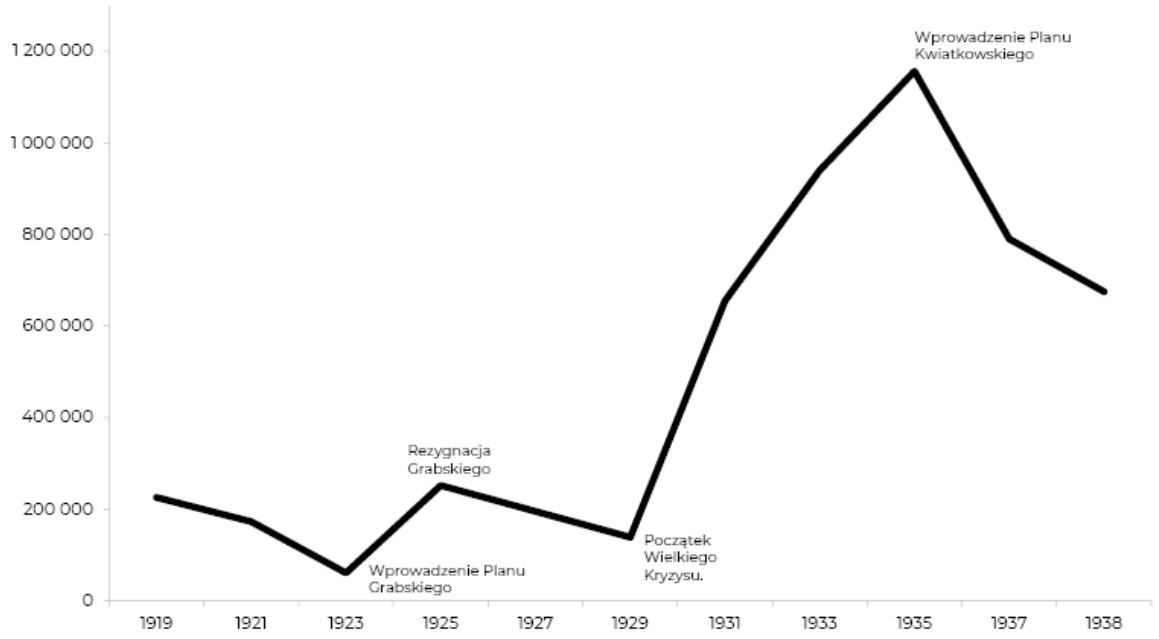

Skutek tych inwestycji był oczywisty. Rzadko kiedy wykresy statystyczne tak doskonale odzwierciedlają decyzje polityków[32]. Podejście do polityki gospodarczej oparte na pobudzaniu wzrostu miało się w przyszłości rozwijać. W 1938 roku Kwiatkowski ogłosił ambitny 15-Letni Plan Rozbudowy Polski. W tym dokumencie przewidziano serię trzyletnich projektów, które miały doprowadzić do likwidacji różnic między

Polską A i B do 1954 roku. Możemy jedynie zgadywać, ile wyszłoby z tych planów, gdyby udało się je wcielić w życie, jednak choć przyszłość tych planów pozostaje dziedziną spekulacji, założenia są bardzo konkretne. Polska, jaką wyobrażał sobie Kwiatkowski, miała być uprzemysłowionym, w pełni nowoczesnym krajem, który mógłby stawić sąsiadom czoła na równych prawach. Musimy traktować tę wizję, jak każdą propagandę, z konieczną dozą sceptycyzmu, warto jednak uświadomić sobie, że idealna Polska przyszłości faktycznie istniała, w obiecujących zalążkach, w Drugiej Rzeczypospolitej. Mimo wszystko Polska w pierwszej połowie XX wieku należała do uprzemysłowionego świata i choć miała się nieco gorzej niż część sąsiadów, istniały też państwa biedniejsze od niej. Nie była ziemią zapomnianą przez czas, nie była prymitywnym zaściankiem odciętym od rozwiniętego świata. Ogólne ubóstwo i niedorozwój Drugiej Rzeczypospolitej nie mogą przesłonić nam istnienia znaczących wysp uprzemysłowienia i nowoczesności, dokładnie tak samo, jak warunków życia w Warszawie nie można ekstrapolować na miasteczka i wioski na Wołyniu (lub na odwrót). Wielu politykom marzyła się Polska zjednoczona i homogeniczna, jednak społeczna i gospodarcza rzeczywistość nie pozwalała na jakiekolwiek uogólnienia.

32 Tamże, s. 268.

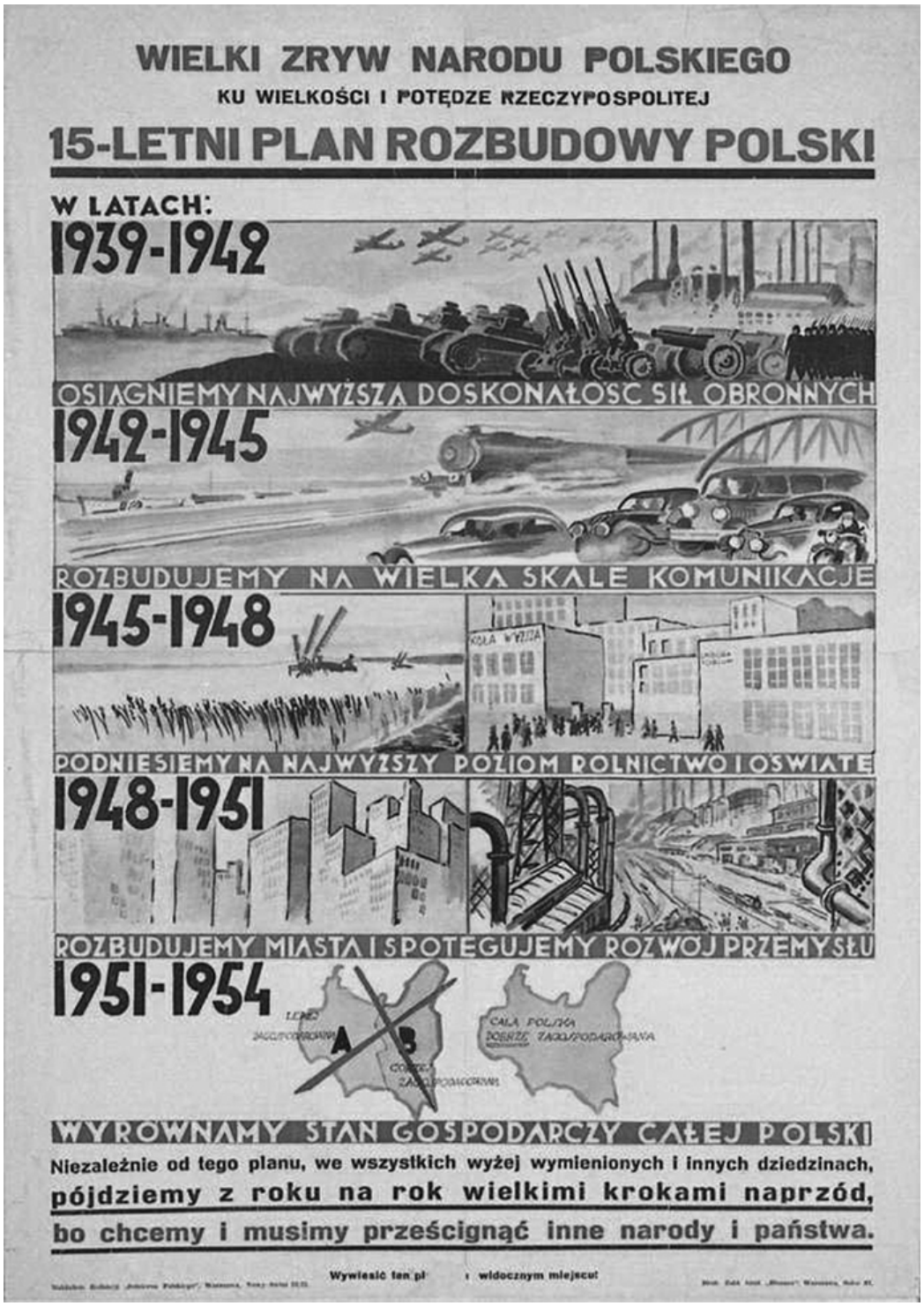
WIELKI ZRYW NARODU POLSKIEGO
KU WIELKOŚCI I POTĘDZE RZECZYPOSPOLITEJ
15-LETNI PLAN ROZBUDOWY POLSKI
W LATACH:
1939-1942
OSIĄGNIEMY NAJWYŻSZĄ DOSKONAŁOŚĆ SIŁ OBRONNYCH
1942-1945
ROZBUDUJEMY NA WIELKĄ SKALĘ KOMUNIKACJE
1945-1948
PODNIESIEMY NA NAJWYŻSZY POZIOM ROLNICTWO I OŚWIATĘ
1948-1951
ROZBUDUJEMY MIASTA I SPOTĘGUJEMY ROZWÓJ PRZEMYSŁU
1951-1954
A
B
CAŁA POLSKA DOBRZE ZAGOSPODAROWANA
WYRÓWNAMY STAN GOSPODARCZY CAŁEJ POLSKI
Niezależnie od tego planu, we wszystkich wyżej wymienionych i innych dziedzinach,
pójdziemy z roku na rok wielkimi krokami naprzód,
bo chcemy i musimy prześcignąć inne narody i państwa.
Wywiesić ten pl
widocznym miejscu!

Źródło: Muzeum Niepodległości

Literatura uzupełniająca

Dobrowolska, Anna, *Zawodowe dziewczyny. Prostytucja i praca seksualna w PRL*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020

Gawryszewski, Andrzej, *Ludność Polski w XX wieku*, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania im. Stanisława Leszczyńskiego PAN, Warszawa 2005

Gołębiowski, Jerzy, *Sektor państwowy w gospodarce Polski międzywojennej*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Kraków 1985

Kowalik, Tadeusz, *Historia ekonomii w Polsce 1864–1950*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1992

Landau, Zbigniew, Wojciech Roszkowski, *Polityka gospodarcza II RP i PRL*, PWN, Warszawa 1995

Leszczyńska, Cecylia, Włodzimierz Mędrzecki (red.), *Praca i społeczeństwo Drugiej Rzeczpospolitej*, Instytut Historii PAN, Warszawa 2014

Łozińska, Maja, Jan Łoziński, *Życie codzienne i niecodzienne w przedwojennej Polsce*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999

Mędrzecki, Włodzimierz, *Młodzież wiejska na ziemiach Polski Centralnej 1864–1939. Procesy socjalizacji*, DiG, Warszawa 2002

Mędrzecki, Włodzimierz, Szymon Rudnicki, Janusz Żarnowski, *Społeczeństwo polskie w XX wieku*, IH PAN, Warszawa 2003

Mierzecki, Władysław, *„Przyjmę jakąkolwiek pracę". Bezrobotni warszawskiego okręgu przemysłowego w latach Drugiej Rzeczypospolitej*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1989

Mieszczankowski, Marian, *Rolnictwo II Rzeczypospolitej*, Książka i Wiedza, Warszawa 1983

Morawski, Wojciech, *Od marki do złotego*, PWN, Warszawa 2008

Roszkowski, Wojciech, *Kształtowanie się podstaw polskiej gospodarki państwowej w przemyśle i bankowości w latach 1918–1924*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1982

Roszkowski, Wojciech, *Land Reform in East Central Europe after WWI*, ISP PAN, Warszawa 1995

Tomaszewski, Jerzy, Zbigniew Landau, *Polska w Europie i świecie w latach 1918–1939*, Trio, Warszawa 2005

Wynot, Edward, *Warsaw Between the World Wars. Profile of the Capital City in a Developing Land, 1918–1939*, East European Monographs, Boulder 1983

Żarnowska, Anna, Andrzej Szwarc (red.), *Równe prawa i nierówne szanse. Kobiety w Polsce międzywojennej*, DiG, Warszawa 2000

Żarnowska, Anna, Andrzej Szwarc (red.), *Kobieta i kultura życia codziennego. Wiek XIX i XX*, DiG, Warszawa 1997

Żarnowski, Janusz, *Społeczeństwo II Rzeczypospolitej*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1973

Żarnowski, Janusz, *State, Society and Intelligentsia: Modern Poland and its Regional Context*, Ashgate, Aldershot 2003

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ŻYDZI, UKRAIŃCY I INNI POLACY[1]

1 Tytuł tego rozdziału został zainspirowany podobnym sformułowaniem, użytym przez Gershona Davida Hunderta w jego książce *The Jews in a Polish Private Town*, Johns Hopkins University Press, Baltimore 1992, s. 36.

Kiedy w pierwszym spisie powszechnym w Drugiej Rzeczypospolitej, przeprowadzonym w 1921 roku, spytano respondentów o narodowość, 69,2 procent zadeklarowało polską. Dziesięć lat później władze przeformułowały pytanie: poproszono o podanie języka ojczystego – wówczas 63,9 procent określiło się jako polskojęzyczni. W obydwu spisach pytano o wyznanie i nieco mniej niż dwie trzecie respondentów określiło się jako rzymscy katolicy. Niezależnie zatem, z której strony spojrzeć, Druga Rzeczpospolita nie przypominała homogenicznego państwa narodowego. Oprócz Polaków mieszkała w niej duża społeczność Ukraińców, Białorusinów, Niemców i Żydów, a oprócz rzymskich katolików – grekokatolicy, prawosławni, żydzi i protestanci[2]. Jedynymi krajami w Europie, w których największe grupy etniczne nie stanowiły większości populacji, były Szwajcaria, Jugosławia, Czechosłowacja, ZSRR i Belgia – jednak każdy z nich oficjalnie określał się jako wielonarodowa konfederacja. Polska była jedynym krajem, który udawał państwo narodowe, zachowując zarazem taką różnorodność.

2 *Mały rocznik statystyczny 1939*, dz. cyt., s. 22–25; *Pierwszy Powszechny Spis Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 30 września 1921 roku. Mieszkania, ludność, stosunki zawodowe*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1927, s. 56.

Liczby mogą być mylące, ponieważ różne wspólnoty mieszkające w Drugiej Rzeczypospolitej nie były rozmieszczone równomiernie, realne doświadczenie różnorodności zmieniało się więc w zależności od regionu kraju. Na przykład na Wołyniu 70 procent populacji stanowili Ukraińcy, a resztę w większości Żydzi – język polski słyszało się rzadko. W wielu miastach Żydzi stanowili jedną trzecią, czasem wręcz połowę mieszkańców, można zatem wybaczyć mieszkańcom miast przekonanie, że wspólnota żydowska jest większa, niż była w rzeczywistości. Ludzie mieszkający w Polsce zachodniej mogli nigdy nie spotkać Białorusina lub Ukraińca, a ci mieszkający na wschodzie, mogli nawet nie uświadamiać sobie, że w kraju mieszka kilkaset tysięcy niemieckojęzycznych obywateli polskich.

Spisy powszechne w II Rzeczypospolitej

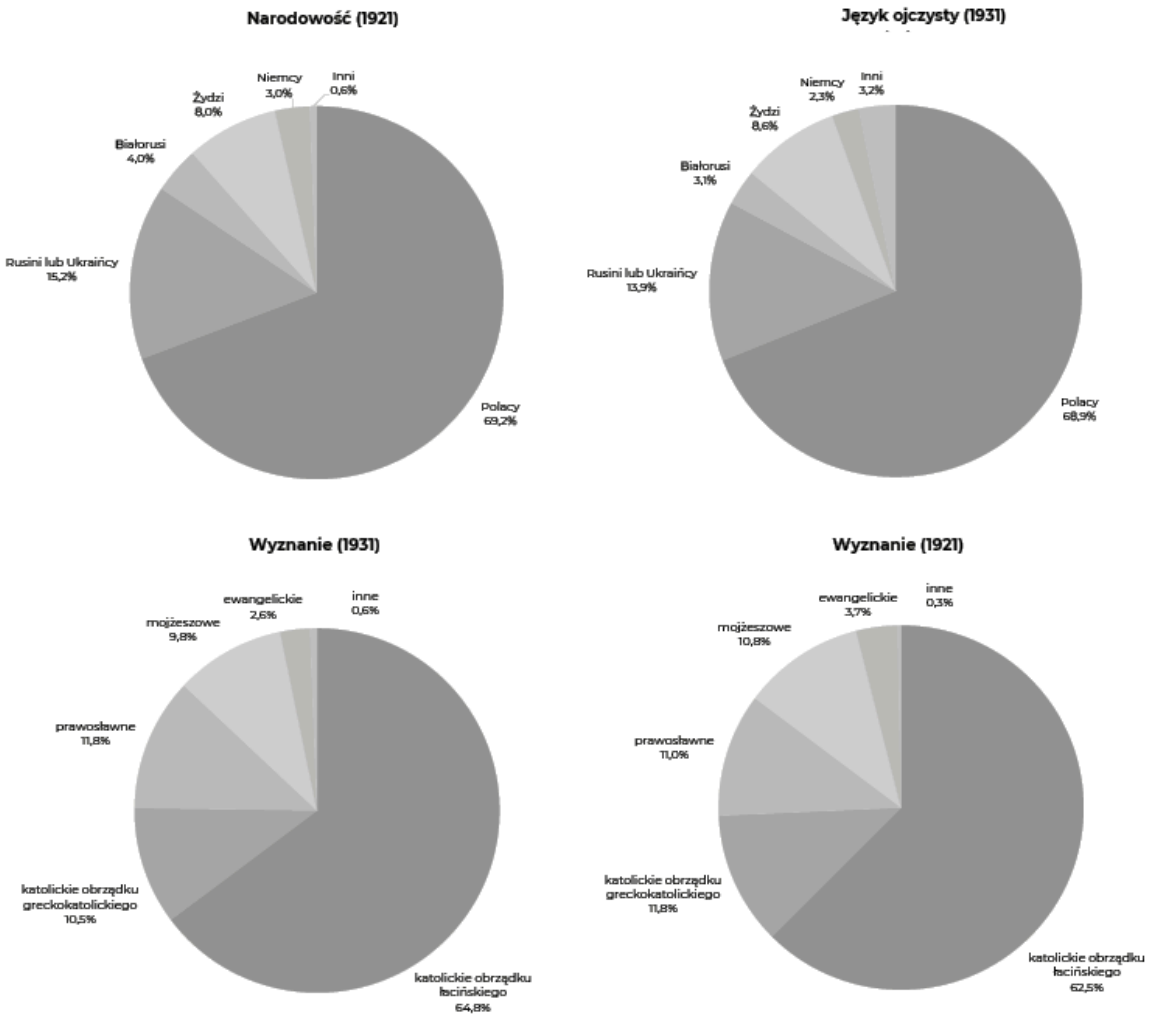

Trudno się opowiada o całym tym galimatiasie, tym bardziej że przymiotnika „polski” używano w różnych znaczeniach do opisania zarówno kraju, jak i jego obywateli, nawet jeśli tylko około dwóch trzecich mieszkańców używało tego słowa dla określenia swojej etnicznej i narodowej tożsamości. Zależnie od kontekstu i od mówiącego ktoś mógł być zarazem Polakiem (obywatelem Drugiej Rzeczypospolitej) i nie-Polakiem (w sensie etniczno-narodowym, czyli na przykład

Ukraińcem lub Żydem). Endecy i ich zwolennicy starali się podkreślać to rozróżnienie. Głosili, że państwo powinno być politycznym ucieleśnieniem narodu i wszystkich, którzy nie byli polskojęzycznymi rzymskimi katolikami, uważali za „mniejszości", których interesy należy podporządkować interesom „prawdziwych Polaków". Jak na ironię, większość twardogłowych ukraińskich, białoruskich, litewskich, niemieckich i syjonistycznych nacjonalistów zgadzała się w tym punkcie z endecją: z ich punktu widzenia państwo mogło i powinno mieć tylko jedną tytularną nację, mieli zatem nadzieję na ustanowienie własnych niepodległych państw (w przypadku nacjonalistów ukraińskich, białoruskich i żydowskich) lub na taką zmianę granic Polski, która pozwoliłaby im znaleźć się w sąsiednim niepodległym państwie (w przypadku Niemców i Litwinów). Piłsudczycy i socjaliści, przeciwnie, pragnęli zbudować wielokulturowe państwo, w którym każdy byłby równy niezależnie od języka, religii i tożsamości etnicznej. Najwięksi idealiści marzyli nawet o przedefiniowaniu samego pojęcia polskości, tak by nie odnosiło się już w ogóle do pochodzenia etnicznego, ale określało tożsamość, w ramach której łączyły się różnorodne kultury. W niektórych środowiskach na przykład popularne było mówienie zamiast „Żydzi" – „Polacy wyznania mojżeszowego", nawet jeśli określenie to nigdy się ostatecznie nie przyjęło. Niestety, tak otwarte pojmowanie obywatelstwa słabło pod presją, z jednej strony nacjonalistycznego separatyzmu (w „mniejszościowych" wspólnotach), a z drugiej – żądań polskiej narodowej homogenizacji (ze strony endecji). Marze-

nie o wielokulturowości nigdy też jednak nie rozwiało się do końca. Napięcie między kulturowo ujednoliconym państwem narodowym a zróżnicowanym społeczeństwem obywatelskim stanowiło jeden z najważniejszych punktów zapalnych konfliktu ideologicznego i kulturowego, który toczył się przez cały okres Drugiej Rzeczypospolitej.

Różnorodność językowa w II Rzeczypospolitej, 1931

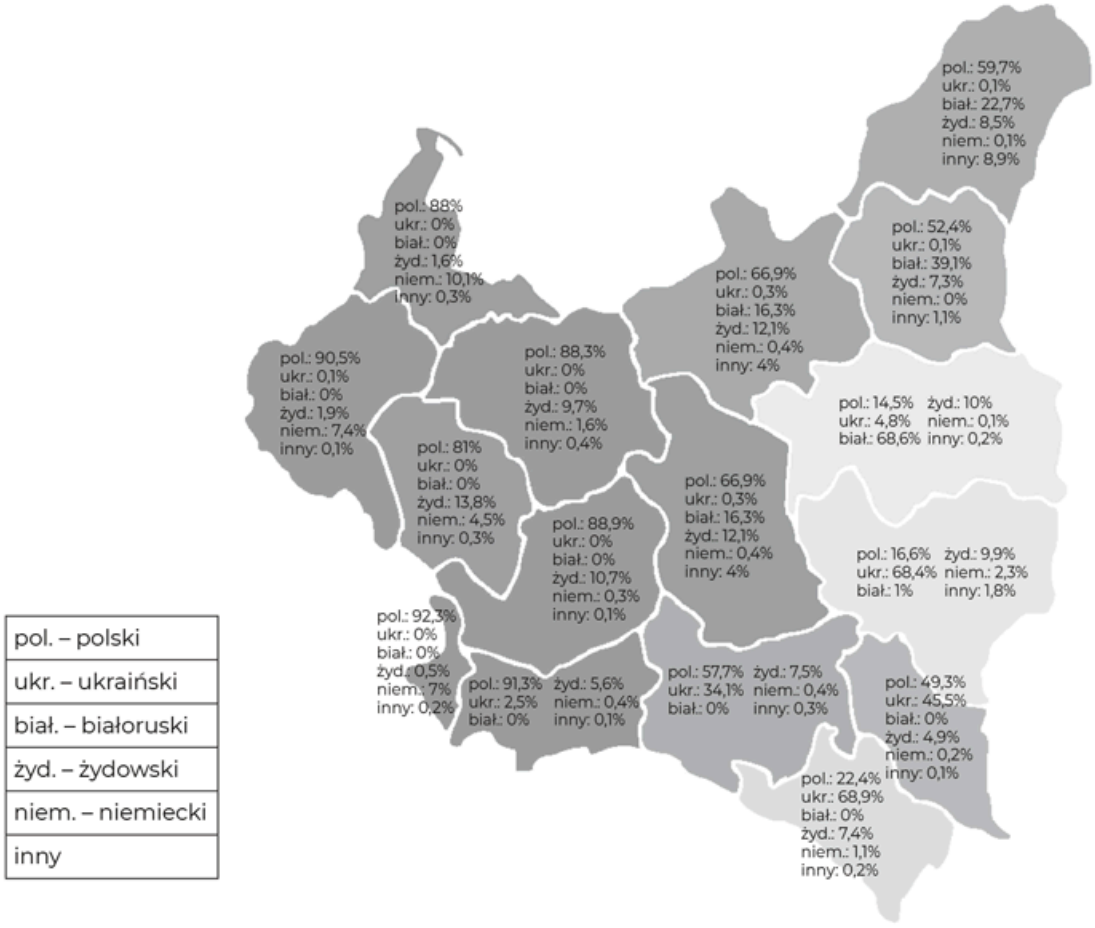
pol. – polski
ukr. – ukraiński
biał. – białoruski
żyd. – żydowski
niem. – niemiecki
inny
pol.: 59,7% ukr.: 0,1% biał.: 22,7% żyd.: 8,5% niem.: 0,1% inny: 8,9%
pol.: 88% ukr.: 0% biał.: 0% żyd.: 1,6% niem.: 10,1% inny: 0,3%
pol.: 66,9% ukr.: 0,3% biał.: 16,3% żyd.: 12,1% niem.: 0,4% inny: 4%
pol.: 52,4% ukr.: 0,1% biał.: 39,1% żyd.: 7,3% niem.: 0% inny: 1,1%
pol.: 90,5% ukr.: 0,1% biał.: 0% żyd.: 1,9% niem.: 7,4% inny: 0,1%
pol.: 88,3% ukr.: 0% biał.: 0% żyd.: 9,7% niem.: 1,6% inny: 0,4%
pol.: 14,5% żyd.: 10% ukr.: 4,8% niem.: 0,1% biał.: 68,6% inny: 0,2%
pol.: 81% ukr.: 0% biał.: 0% żyd.: 13,8% niem.: 4,5% inny: 0,3%
pol.: 66,9% ukr.: 0,3% biał.: 16,3% żyd.: 12,1% niem.: 0,4% inny: 4%
pol.: 88,9% ukr.: 0% biał.: 0% żyd.: 10,7% niem.: 0,3% inny: 0,1%
pol.: 16,6% żyd.: 9,9% ukr.: 68,4% niem.: 2,3% biał.: 1% inny: 1,8%
pol.: 92,3% ukr.: 0% biał.: 0% żyd.: 0,5% niem.: 7% inny: 0,2%
pol.: 91,3% żyd.: 5,6% ukr.: 2,5% niem.: 0,4% biał.: 0% inny: 0,1%
pol.: 57,7% żyd.: 7,5% ukr.: 34,1% niem.: 0,4% biał.: 0% inny: 0,3%
pol.: 49,3% ukr.: 45,5% biał.: 0% żyd.: 4,9% niem.: 0,2% inny: 0,1%
pol.: 22,4% ukr.: 68,9% biał.: 0% żyd.: 7,4% niem.: 1,1% inny: 0,2%

W latach dwudziestych i trzydziestych rozłamy i konflikty się pogłębiały. Działacze nacjonalistyczni ciężko pracowali,

by przekonać ludność, że powinna w każdym aspekcie życia traktować priorytetowo wspólnotę języka i kultury, a każdego spoza grupy traktować nie tylko jako innego, ale wręcz jako wroga. W tę agitację zaangażowane były redakcje, teatry, ambony, a nawet – kluby sportowe. Nie możemy zapominać (jak to już powiedziano w rozdziale 2), że nacjonalizm nie jest koniecznym i wiecznym sposobem postrzegania świata, ale ideologią mającą konkretną historię. Realia demograficzne były nieubłagane: Druga Rzeczpospolita stanowił kraj zróżnicowany językowo i religijnie, jednakże to bardzo określone siły polityczne i kulturowe początku XX wieku zrobiły z polityk tożsamościowych kluczowy czynnik życia publicznego. Myślenie w kategoriach narodowych nie jest w żadnym razie *naturalne*: jest historycznie przygodne i osadzone w konkretnym kontekście. Niemniej w latach dwudziestych światopogląd nacjonalistyczny był już tak dobrze zakorzeniony – nie tylko w Drugiej Rzeczypospolitej, ale w całej Europie – że niewiele osób potrafiło wyobrazić sobie odmienne sposoby interpretacji świata.

Post factum łatwo przedstawić zwycięstwo myślenia w kategoriach nacjonalistycznych jako zjawisko zapowiadające masowe mordy drugiej wojny światowej. Historycy muszą jednak zawsze strzec się teleologii – opowieści, które skupiają się na okolicznościach poprzedzających jakieś wydarzenia do tego stopnia, że wydarzenia te zaczynają jawić się jako nieuchronne. W rzeczywistości istniały tendencje przeciwstawne, działające na rzecz integracji. Na przykład niezależnie od tego, że prawo zezwalało na otwieranie szkół z różny-

mi językami wykładowymi, coraz więcej młodych ludzi wybierało (lub było zmuszonych wybierać, chociażby w wyniku polityki likwidowania szkół ukraińskich) szkoły polskojęzyczne. W roku szkolnym 1937/1938 aż 86 procent uczniów kształciło się po polsku, kolejnych 11 procent uczęszczało do szkół dwujęzycznych. Tylko 3 procent młodych ludzi pobierało całą naukę w innym języku niż polski[3]. Pokolenie urodzone po roku 1918 dorastało w rodzinach, w których mówiono bardzo różnymi językami, jednak w sferze publicznej używało języka polskiego. Swoboda językowa nie musi przekładać się na jakiekolwiek poczucie zbiorowej tożsamości, a z asymilacją w dziedzinie kultury mogą współistnieć ideologie kładące nacisk na różnice. Jeśliby wyobrazić sobie alternatywną wersję dziejów, w której Druga Rzeczpospolita by przetrwała, można bezpiecznie założyć, że zbliżanie się różnych kultur postępowałoby powoli, a podziały wytwarzane przez nacjonalizm stanowiłyby problem dla polskiej polityki jeszcze przez długi czas. Jest jednak równie prawdopodobne, że wspólna edukacja, w coraz większym stopniu dzielone życie gospodarcze, a w końcu być może także zeświecczenie i mieszane małżeństwa stępiłyby ostrze polityk tożsamościowych.

3 *Mały rocznik statystyczny 1938*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1938, s. 324.

W rozważaniach nad tym, jak mogłoby funkcjonować w alternatywnym wszechświecie zjawisko zróżnicowania etnicznego i kulturowego Polski, warto sięgnąć po porównanie z dziejami Stanów Zjednoczonych. Jeśli idzie o problem kul-

turowej różnorodności, zwykliśmy o tych dwóch krajach myśleć jako o skrajnych przeciwieństwach. „Ameryka" przywodzi na myśl ekspansywność, otwartość i różnorodność, podczas gdy „Polska" wydaje się silniej powiązana z językiem, tradycją i religią. Przeciwstawienie to jednak nie wytrzymuje bliższej analizy – i to po żadnej ze stron. W Stanach Zjednoczonych od zawsze toczą się gorące ideologiczne zmagania wokół bardziej lub mniej otwartego rozumienia „amerykańskości", dość podobne do debat toczonych w Drugiej Rzeczypospolitej na temat tego, czym jest polskość. Przed drugą wojną światową wielu białych protestantów, których przodkowie wywodzili się z Wysp Brytyjskich, uważało się za jedynych „prawdziwych Amerykanów" i odmawiało tego miana katolickim imigrantom z Europy, nie mówiąc już o Afroamerykanach, Latynosach czy Azjatach. Po drugiej wojnie światowej idea amerykańskości zaczęła rozszerzać się na tyle, że objęła katolików, wciąż jednak kontrowersyjnym osiągnięciem było wybranie Johna F. Kennedy'ego (potomka irlandzkich imigrantów) na prezydenta w 1960 roku. Dziś mało kto podważa fakt, że obywatele o polskich, włoskich czy irlandzkich korzeniach są w każdym calu tak samo Amerykanami jak ci, których rodziny przepłynęły Atlantyk w XVII wieku, ale nie zawsze było to oczywiste. Również antysemityzm, choć nie zatruł Stanów Zjednoczonych w takim stopniu jak Europę, w latach dwudziestych i trzydziestych był dość silny. Żydzi systematycznie doświadczali dyskryminacji i wykluczenia, a niektóre prominentne postaci życia publicznego szerzyły najohydniejsze formy antysemickiej nienawiści. Dziś jednak

nawet nacjonaliści, gdy mówią o fundamentach kultury amerykańskiej, używają określenia „judeo-chrześcijańskie", aczkolwiek antysemityzm nadal od czasu do czasu podnosi głowę. I w Polsce, i w Stanach formy polityki tożsamościowej, niegdyś uznawane za najistotniejsze, straciły swoje żądło.

W przypadku pozostałych grup etnicznych i rasowych rzecz ma się jednak inaczej. Afroamerykanie i Latynosi wciąż muszą walczyć o pełne uznanie, a narracja oparta na wykluczeniach niekiedy słabnie (jak wtedy, kiedy w 2008 roku Baracka Obamę wybrano na prezydenta), niekiedy zaś przybiera na sile (jak wówczas, gdy w 2016 roku zastąpił go Donald Trump, wprowadzając otwarty rasizm do amerykańskiej polityki głównego nurtu). Znamienne, że spora mniejszość Amerykanów wciąż (rzecz jasna niesłusznie) wierzy, że Obama urodził się poza Stanami Zjednoczonymi i tym samym nie spełnia warunków wymaganych od kandydata na prezydenta. W ich oczach Obama nigdy nie miał szans, by stać się prawdziwym Amerykaninem. Większość stanów w USA oficjalnie uznaje angielski (albo, w kilku przypadkach, „amerykański") za język oficjalny, w kilku nawet zakazano funkcjonariuszom publicznym używania jakiegokolwiek innego języka. Pod tym względem Stany Zjednoczone są o wiele bardziej rygorystyczne, niż Polska była kiedykolwiek. Nawet Konstytucja Stanów Zjednoczonych zapewnia niektórym Amerykanom, że będą traktowani jako bardziej amerykańscy od innych: w Senacie wiejskie stany, w których zdecydowana większość ludności jest biała, mają dokładnie tyle miejsc co gęściej zaludnione i zarazem bardziej zróżnicowane stany, takie jak Kalifornia

czy Nowy Jork. Jeśli dokładniej przyjrzymy się czasom, w których potomkowie przybyszów z Europy stanowili mniejszość, zobaczymy, że sama struktura konstytucji zagwarantowała białym, że zachowają o wiele większą władzę niż jakakolwiek inna grupa etniczna.

O ile pojęcie Amerykanina jest węższe, niż się powszechnie zakłada, o tyle definicja „Polaka" zmieniała zakres na przestrzeni dziejów: bywały momenty wyjątkowej otwartości, które ustępowały zaraz potem okresom usztywnienia. Jednak w obu krajach dynamika związana z językiem, religią i tradycją była w okresie międzywojennym zaskakująco podobna. I tu, i tam istniały potężne siły działające na rzecz asymilacji kulturowej, nawet jeśli różne grupy doświadczały tych sił w różny sposób. Biorąc pod uwagę, że w latach trzydziestych szybko utrwalała się hegemonia języka polskiego, łatwo wyobrazić sobie, jak już w kolejnym pokoleniu prawie każdy obywatel Drugiej Rzeczypospolitej mówiłby po polsku z płynnością rdzennego użytkownika. Ale tak jak wciąż istnieją w amerykańskich miastach dzielnice, w których słyszy się jedynie hiszpański, polski czy mandaryński, podobnie w Polsce pozostałoby wiele miejsc, w których jidysz i ukraiński dominowałyby w życiu codziennym. Konserwatyści w poszczególnych społecznościach bez wątpienia utyskiwaliby, że młodzi nie rozumieją wagi dziedzictwa kulturowego – jak zresztą w rzeczy samej narzekało wielu Żydów w latach trzydziestych. Polscy politycy nacjonalistyczni z pewnością staraliby się nadal grać na lękach etnicznych, ich retoryka być może jednak obrałaby drogę lekko zawoalowanych eufemizmów –

takich, jakie ostatecznie przyjęli nacjonaliści amerykańscy. To zresztą także działo się już w latach międzywojennych, kiedy wielu Polaków nalegało na używanie określenia „Rusini" zamiast „Ukraińcy", podobnie jak dziś niektórzy ludzie po obu stronach Atlantyku narzekają na konieczność stosowania się do zasad „politycznej poprawności". Pojawiałyby się konflikty, niekiedy zapewne brutalne (jak to się zdarzało w południowo-wschodniej Polsce w latach trzydziestych, o czym za chwilę), byłyby też jednak okresy, w których przewagę zdobywałyby idee międzyetnicznej współpracy.

Rzut oka na historię alternatywną służy nam do tego, żeby wykorzystać wyobrażoną przyszłość jako platformę, z której można objąć wzrokiem całą Drugą Rzeczpospolitą. Z tej perspektywy widzimy kraj, w którym rozmaite różnice kulturowe odgrywały w życiu publicznym ogromną rolę, a różne formy dyskryminacji utrudniały obywatelom i obywatelkom polskim pełne uczestnictwo w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym. Widzimy jednak też ziarna harmonijnego współistnienia i rozkwitającej różnorodności kulturowej, zwłaszcza na poziomie życia codziennego i dynamiki międzyludzkiej, z dala od gniewnych spojrzeń wszystkich ideologów polaryzacji. Jestem pewien, że gdyby druga wojna światowa się nie wydarzyła, *obydwie* tendencje istniałyby nadal. Na tej alternatywnej osi czasu Polska byłaby dziś jednym z krajów o najbardziej zróżnicowanej populacji w Europie. Byliby tacy, którzy uznawaliby ten fakt za powód do dumy, i tacy, którzy by nad nim ubolewali. Większość po prostu

przyjmowałaby to za oczywistość, za część świata, jaki zawsze znali.

We wszelkich rozważaniach na temat tożsamości (językowej, religijnej, klasowej, genderowej czy jakiejkolwiek innej) warto wziąć pod uwagę, że większość ludzi rzadko rozmyśla o takich sprawach. Tam, gdzie powszechnie występuje dyskryminacja, trudniej jest ignorować etykiety wykorzystywane do klasyfikowania i dzielenia ludzi, nawet jednak Żydzi, zmuszeni konfrontować się z antysemityzmem, spędzali większość czasu na myśleniu o pracy, studiach, przyjaciołach, rodzinie, miejscowych skandalach, pogodzie i tysiącu innych ziemskich trosk. W polskich wioskach i miasteczkach ludzie od stuleci żyli z różnorodnością i wiedzieli, jak sobie z nią radzić bez zakłócania płynnego biegu codziennego życia. Dość często pojawiały się konflikty, momenty napięcia nie stanowiły jednak normy. Kiedy patrzymy wstecz, zwracają naszą uwagę, ponieważ wyjątkowe wydarzenia się wybijają, podczas gdy nudna codzienna koegzystencja pozostaje niewidzialna. Ze wspomnień i dzienników z lat międzywojennych wynika, że ludzie mówiący różnymi językami i wyznający różne religie przez większość czasu całkiem dobrze się dogadywali. Dziś niektórzy pragną się skupić jedynie na pogodnych opowieściach i przedstawiają Polskę jako ziemię wyjątkowej harmonii i tolerancji. To akurat jest duże zafałszowanie, funkcjonowało bowiem wiele potężnych ideologii, które bazowały na różnicach i podsycały nienawiść. Równie niesłuszne byłoby jednak stwierdzenie, że zróżnicowanie etniczne Polski z konieczności musiało być problemem, jak gdyby wielorako-

ść sama w sobie miała stanowić zagrożenie, jak gdyby pluralizm w dziedzinie kultury nieuchronnie prowadził do konfliktu. Długie dzieje wielokulturowych społeczności – nie tylko w Polsce, ale na całym świecie – zadają kłam tego rodzaju uproszczonej, fatalistycznej wizji. Językowy i etniczny pluralizm nie stanowił przekleństwa Drugiej Rzeczypospolitej; jeśli niejednorodność stała się problemem, to z winy ideologicznych i politycznych patologii wczesnodwudziestowiecznej Europy. Niestety, ten wirus okazał się bardzo zaraźliwy, a gdy pacjent raz został zarażony, rokowania były fatalne.

Żydowscy Polacy i polscy Żydzi

W latach trzydziestych w Polsce mieszkało więcej Żydów niż w jakimkolwiek innym kraju poza Stanami Zjednoczonymi, przy czym znaczna część amerykańskich Żydów byli to niedawni imigranci z tej części Europy. Chociaż polscy Żydzi, których było około 3 milionów, stanowili zaledwie 10 procent populacji kraju, ich obecność miała nieproporcjonalnie duże znaczenie, ponieważ skupiali się w miastach i miasteczkach. Mniej więcej jedna trzecia mieszkańców Warszawy, Łodzi i Lwowa oraz jedna czwarta mieszkańców Krakowa i Wilna były to osoby żydowskiego pochodzenia. W mniejszych miasteczkach na Kresach, na przykład w Grodnie i Brześciu, odsetek Żydów przekraczał często 40 procent. W Drugiej Rzeczypospolitej żydów i chrześcijan dzieliło wiele barier kulturowych, nikt jednak, kto mieszkał w mieście lub miasteczku

(a często i na wsi), nie mógł przeżyć tygodnia, nie spotykając w takich czy innych okolicznościach kogoś z tej drugiej wspólnoty.

Tak jak Polacy kłócili się o to, co znaczy być Polakiem, Żydzi w tym samym czasie toczyli spór o to, co znaczy być Żydem. Religia była rzecz jasna ważnym czynnikiem, jednak w XX wieku już nie wystarczała, ponieważ nie każdy, kto chodził do synagogi, identyfikował się z narodowością żydowską, a równocześnie rosła liczba ludzi, którzy uważali się za Żydów, choć zarazem byli całkowicie niereligijni. Dotyczyło to wszystkich innych możliwych wyznaczników tożsamości – były prawdziwe *zazwyczaj*, ale nie zawsze. W spisie powszechnym z 1921 roku tylko 75 procent tych, którzy zadeklarowali się jako osoby „wyznania mojżeszowego", wskazało zarazem narodowość żydowską, a dziesięć lat później 87 procent tych, którzy pod względem religijnym identyfikowali się jako Żydzi, twierdziło, że ich językiem ojczystym jest jidysz lub hebrajski. W przypadku rzymskich katolików korelacja między wyznaniem a językiem polskim była wyższa niż w przypadku judaizmu i jidysz[4]. Ponadto dane ze spisu były nieprecyzyjne, ponieważ nie ujmowały zjawiska dwujęzyczności: ludzi, którzy używali jidysz w rozmowach z rodzicami, a poza domem posługiwali się polszczyzną. Osoby urodzone przed pierwszą wojną światową uczyły się polskiego, jeśli było im to potrzebne do zdobywania środków do życia (dotyczyło to na przykład karczmarzy i kupców); w Galicji natomiast Żydzi do lat sześćdziesiątych XIX wieku posługiwali się polszczyzną w kontaktach z władzami. Jednak ci, którzy

mieszkali w małych miasteczkach i zajmowali się interesami, gdzie ich partnerami najczęściej byli inni Żydzi, nie mieli specjalnych powodów, by nauczyć się więcej niż absolutnych podstaw polskiego. Po roku 1918 warunki drastycznie się zmieniły. Polski stał się oficjalnym językiem państwowym, a rozprzestrzenianie się masowej kultury popularnej i prawie powszechna edukacja przydały temu językowi dodatkowego znaczenia. W latach dwudziestych większość dzieci żydowskich uczęszczała do polskich szkół, co rozwścieczało antysemitów, ale niepokoiło także wielu konserwatywnych Żydów. Język jidysz wciąż był w użyciu i rozwijał się, jednak pod koniec lat dwudziestych był w użyciu obok – a nie zamiast – polskiego.

4 *Mały rocznik statystyczny 1939*, dz. cyt., s. 26.

Podział zawodów ze względu na wyznanie i miejsce zamieszkania

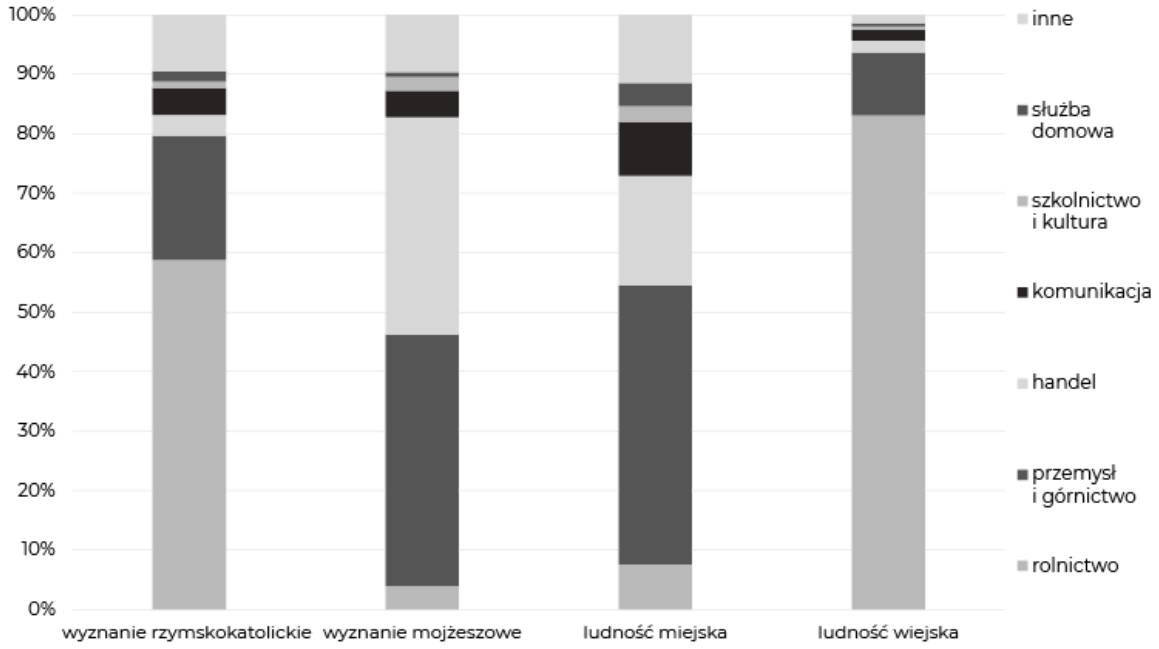

Niezależnie od coraz bardziej powszechnej znajomości języka polskiego wciąż istniały czynniki, które odróżniały Żydów od ich sąsiadów. Najbardziej znanym faktem jest to, że Żydzi pozostawali skoncentrowani w określonych sektorach zatrudnienia. Spis powszechny z 1931 roku dostarcza informacji, że w rolnictwie, w którym pracowało ponad 60 procent całej populacji Drugiej Rzeczypospolitej, zatrudnionych było zaledwie 125,1 tysiąca Żydów. Z drugiej strony handlem zajmowało się 6 procent całej populacji, ale w tej grupie znajdowało się 36 procent wszystkich polskich Żydów. Nikły odsetek przedstawicielek i przedstawicieli ludności żydowskiej pracował w innych zawodach, w kilku dziedzinach jednak dominowali: 56 procent lekarzy, 33 procent prawników i 22 procent dziennikarzy były to osoby pochodzenia żydowskiego. Żydzi

byli natomiast pozbawieni dostępu do większości posad rządowych (nie prawnie, tylko z powodu nieformalnej dyskryminacji). W szkołach publicznych stanowili tylko około 3 procent ogółu kadry nauczycielskiej, w administracji państwowej praktycznie ich nie było[5]. Aby lepiej zrozumieć te liczby, musimy przypomnieć sobie, że w Drugiej Rzeczypospolitej ludność żydowska stanowiła niemal jedną czwartą mieszkańców miast i miasteczek, gdybyśmy więc nie znali kontekstu, moglibyśmy oczekiwać, że będą stanowili mniej więcej jedną czwartą zatrudnionych w miejskich zawodach. Z tego punktu widzenia dominacja Żydów w handlu nie była aż tak znacząca: zaledwie nieco ponad jedna trzecia Żydów zajmowała się tą dziedziną życia gospodarczego, w zestawieniu z 18 procentami całej miejskiej populacji. Żydzi pracowali w przemyśle mniej więcej w takim samym odsetku jak reszta populacji miejskiej, byli nadreprezentowani wśród lekarzy, nieco niedoreprezentowani wśród dziennikarzy i praktycznie nieobecni w sektorze publicznym.

5 Dane dotyczące zawodów inteligenckich za: Ezra Mendelsohn, *The Jews of East Central Europe between the World Wars*, Indiana University Press, Bloomington 1984, s. 26–27. Pozostałe dane: *Mały rocznik statystyczny 1939*, dz. cyt., s. 29, 31.

Na wsi podział pracy był wyraźniejszy: chrześcijańscy chłopi pracowali na roli, Żydzi zajmowali się rynkiem i handlem. Przynajmniej od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku antysemici prowadzili kampanie na rzecz otwierania osobnych sklepów chrześcijańskich, jednak poza wielkimi miastami rzadko odnosili sukcesy. Żadna ze społeczności nie widziała po prostu dobrych powodów do zmiany. Przejście od rolnic-

twa i hodowli do pracy w sklepie było czymś więcej niż zmianą zajęcia – oznaczało porzucenie całego sposobu życia. W kulturze chłopskiej tych, którzy zajmowali się raczej pieniędzmi niż ziemią, postrzegano często jako moralnie podejrzanych, uprawa własnego kawałka ziemi zaś przekładała się na wyższą pozycję społeczną. Ze swojej strony Żydzi (tak jak generalnie wszędzie i zawsze mieszkańcy miast) mieli skłonność do patrzenia z góry na chłopów i do uważania prac rolniczych za mordęgę. Jednak nawet jeśli tradycja, jak i uprzedzenia, sprawiały, że Żydzi i Polacy trzymali się osobno, te same siły trzymały ich we wzajemnej zależności: przecież żydowscy kupcy i domokrążcy środki do życia zdobywali dzięki swoim chrześcijańskim klientom – i na odwrót.

W jednym Żydzi i chrześcijanie nie różnili się od siebie zupełnie: łączyła ich bieda. Jeśli porównać stawki godzinowe lub zarobki pracowników umysłowych, chrześcijanie wypadają nieco lepiej, nie na tyle jednak, by miało to większe znaczenie. W niektórych krajach środkowej Europy (na przykład na Węgrzech, w Austrii czy w Niemczech) niewielka populacja żydowska należała niemal całkowicie do mieszczaństwa i stanowiła grupę relatywnie dobrze wykształconą i zamożną. Polska wspólnota żydowska była całkiem inna. Wśród elit Drugiej Rzeczypospolitej było kilka znamienitych rodzin żydowskich, jednak poza tym przytłaczająca większość ludności żydowskiej była biedna i żyła na wsi lub w małych miasteczkach. Antysemicki mit, zgodnie z którym Żydzi bogacili się kosztem chłopów, był nie tylko groźny, ale też sprzeczny z faktami. Nieścisłe byłoby także twierdzenie, że chrześcijanie

uciskali Żydów, przynajmniej w sensie ekonomicznym. Przyczyny ich ubóstwa tkwiły przede wszystkim w problemach gospodarczych nakreślonych w poprzednim rozdziale, a także w głęboko zakorzenionym podziale pracy, który nikomu ostatecznie nie przynosił korzyści. Ponieważ Żydzi skupieni byli w kilku zaledwie grupach zawodowych, zmuszało ich to do konkurowania ze sobą nawzajem na marnym polskim rynku konsumentów, a to z kolei ściągało ceny w dół aż do poziomu ledwie starczającego na przetrwanie.

Żydzi i chrześcijanie na targu w II Rzeczypospolitej (miejscowość nieznana). Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Chłopi ze swojej strony zwykle nieufnie traktowali tych, którzy kupowali ich produkty czy sprzedawali im wyroby

przemysłowe, zwłaszcza że ceny w obu przypadkach wydawały się tajemnicze i arbitralne. Dziś jesteśmy już tak osadzeni w kapitalistycznych warunkach rynkowych, że mamy skłonność do traktowania zmienności podaży i popytu, jakby to były zjawiska naturalne, jednak na początku XX wieku w Europie Wschodniej wielu chłopów uważało (przecież nie całkiem bezzasadnie), że wartość powinna się wiązać ściśle z użytecznością. Możemy zatem zrozumieć, czemu chłopi podejrzewali, że Żydzi bogacą się na niesprawiedliwych układach handlowych, mimo że na ceny wpływały zazwyczaj szersze procesy gospodarcze. Żydzi ani nie wyzyskiwali chłopów, ani nie byli przez nich wyzyskiwani. Jedni i drudzy znajdowali się u dołu drabiny społecznej i nierzadko byli deptani przez tych z wyższych szczebli.

Żydzi w Polsce różnili się od tych z pozostałych krajów Europy Środkowej pod względem języka i zamożności, a także pod względem religii i kultury. Żydzi z Berlina, Wiednia, Pragi czy Budapesztu określali ich pogardliwym mianem *Ostjuden* (w Niemczech czasem też *Polacken*) i uznawali za ograniczonych i zacofanych. W pewnym stopniu takie orientalizujące podejście funkcjonowało także wewnątrz żydowskiej społeczności w Polsce. Żydzi mieszkający od pokoleń w Warszawie czy Krakowie odnosili się z niechęcią do Żydów ze wschodu kraju, którzy pod koniec XIX wieku zaczęli migrować na zachód. W tym przypadku pogardliwa nazwa, której używano wobec nowych przybyszów, brzmiała Litwacy – jak się zdaje, określenie *Ostjuden* kojarzono z każdą grupą mieszkającą dalej na wschód niż osoba, która używała tego słowa. Jeszcze

w latach sześćdziesiątych XIX wieku w Warszawie mieszkało zaledwie około 73 tysięcy Żydów, jednak już przed pierwszą wojną światową liczba ta wzrosła do 337 tysięcy, przy czym niemal wszyscy nowo przybyli przenieśli się tu, bo uciekali przed kresową nędzą[6]. Żydzi ze wschodu często byli chasydami i – z uwagi na swoje specyficzne zwyczaje – w wielkich miastach Polski centralnej zdecydowanie rzucali się w oczy. Ruch chasydzki, który pojawił się w XVIII wieku na terenach stanowiących wówczas południowo-wschodnią część Rzeczypospolitej Obojga Narodów, kładł nacisk na religijność opartą przede wszystkim na duchowym, mistycznym doświadczeniu, w przeciwieństwie do intelektualnego podejścia preferowanego przez współczesną im elitę żydowską. Jednak bez względu na to, czy byli chasydami, czy nie, Żydzi ze wschodu inaczej wyglądali, inaczej się ubierali, inaczej mówili i inaczej się modlili. Wszystko to wyróżniało ich na tle pozostałych Żydów, a przede wszystkim – na tle ludności chrześcijańskiej.

6 Dane pochodzą z: Stefan Kieniewicz, *The Jews of Warsaw, Polish Society, and the Partitioning Powers, 1795–1861*, [w:] Antony Polonsky (red.), *From Shtetl to Socialism: Studies from Polin*, Littman Library of Jewish Civilization, Washington 1993, s. 84.

Bardzo trudno o jakiekolwiek uogólnienia dotyczące orientacji politycznej (czy w ogóle ideowej) polskich Żydów, ponieważ o ich względy zabiegała i konkurowała oszałamiająca liczba partii. Żydowska partia socjalistyczna Bund zdobywała w latach międzywojennych coraz większe poparcie, miała też duże osiągnięcia w dziedzinie uzwiązkowienia. Pod koniec lat

trzydziestych Bund cieszył się poparciem większości żydowskich mieszkańców dużych polskich miast. W mniejszych miejscowościach najważniejszą siłą polityczną był Agudat Israel (Związek Izraela), konserwatywna organizacja broniąca tradycji i obyczajów. Agudat Israel starał się przeciwstawiać tendencjom asymilacyjnym i sekularyzacyjnym, dbając o zachowanie żydowskich obyczajów. Dalej byli syjoniści, starający się doprowadzić do emigracji Żydów z Europy i osiedlenia się na terenach biblijnej ziemi Izraela. Przywódcy Agudat Israel uznawali ambicję syjonistów za rodzaj bluźnierczej pychy, stali bowiem na stanowisku, że jedynie Bóg ma władzę przywieść Żydów z powrotem do ich starożytnej ojczyzny. Warto przypomnieć, że dokładnie takiej samej argumentacji używali katoliccy hierarchowie w XIX wieku w reakcji na polskie powstania narodowe[7]. W obydwu przypadkach pragnienie wzięcia spraw w swoje ręce przeciwstawiano pobożnej akceptacji bożej woli. I podobnie jak kolejne pokolenia polskich buntowników, które ignorowały zdanie księży, syjoniści odrzucali opinie konserwatywnych rabinów. Niezależnie od sporu religijnego konserwatyści i syjoniści różnie oceniali sytuację w Polsce. Zdaniem syjonistów nie było już dla Żydów miejsca w Europie, gdyż zaraza antysemicka osiągnęła takie rozmiary, że migracja na Bliski Wschód zdawała się jedyną szansą ocalenia. Istotną rolę odgrywało także przekonanie (jak widzieliśmy, rozpowszechnione w Europie w początkach XX wieku), że jednorodne państwo narodowe jest najlepszą możliwą formą wspólnoty politycznej. Natomiast działacze Agudat Israel uznawali życie w Drugiej Rzeczypospolitej za

akceptowalne – zwłaszcza odkąd władzę przejął Piłsudski. Syjonizm pozostał w latach międzywojennych najsłabszą z trzech głównych sił politycznych, jednak w miarę jak antysemityzm stawał się coraz poważniejszym zagrożeniem, a Żydzi urodzeni po pierwszej wojnie światowej oddalali się od konserwatywnych tradycji swoich rodziców, równowaga sił zaczynała się zmieniać.

7 Brian Porter-Szűcs, *Thy Kingdom Come: Patriotism and Prophecy in 19th Century Poland*, „Catholic Historical Review" 2003, 89:2, s. 213–238.

Problemy, wobec których stanęli Żydzi, i różne propozycje rozwiązań tworzyły złożone kombinacje. Jedni socjaliści popierali używanie jidysz, inni opowiadali się za asymilacją; część syjonistów pragnęła odrodzić starożytny język hebrajski, ale byli też tacy, którzy uważali, że jidysz będzie bardziej praktyczny; niektórzy religijni Żydzi zostawali syjonistami, inni znów opowiadali się za Agudat Israel. Tożsamość polityczną określał stosunek do trzech zasadniczych kwestii: 1) unowocześnienie czy zachowanie tradycji? 2) posługiwanie się językiem polskim, jidysz czy hebrajskim? 3) ochrona żydowskiego życia w Polsce czy emigracja? Organizacje rywalizujące ze sobą w obrębie wspólnot żydowskich w Drugiej Rzeczypospolitej reprezentowały niemal wszystkie możliwe warianty odpowiedzi na te pytania.

Zauważmy, że nie wspomniałem o komunizmie. W okresie międzywojennym w języku polskim pojawiła się nowa, groźna inwektywa: *żydokomuna*. W swoich paranoicznych fantazjach antysemici wyobrażali sobie powszechny spisek żydow-

ski, którego celem było zniszczenie cywilizacji chrześcijańskiej, komunizm zaś uważano za jeden z kluczowych składników owego spisku. Mitologia antysemityzmu jest tak dalece odporna na racjonalne rozumowanie, że próby wykazania jej fałszywości mogą wydawać się bezcelowe, ale powiedzmy to jasno: przed drugą wojną światową partia komunistyczna miała wśród Żydów znikome poparcie: nigdy nie zdobyła więcej niż 7 procent głosów w okręgach wyborczych zamieszkanych głównie przez Żydów. To prawda, że osoby pochodzenia żydowskiego stanowiły 20 procent członków i członkiń maleńkiej Polskiej Partii Komunistycznej, biorąc jednak pod uwagę fakt, że bazą rekrutacyjną partii była wyłącznie ludność miejska, jest to odsetek o wiele niższy niż procent Żydów w tej konkretnej grupie[8]. Rzecz jasna, fakty nie wystarczały, by zahamować rozprzestrzenianie się mitu żydokomuny. Nawet tak znamienita postać jak kardynał August Hlond, prymas Kościoła katolickiego w Polsce, pisał w liście pasterskim w 1936 roku:

> Faktem jest, że żydzi walczą z Kościołem katolickim, tkwią w wolnomyślicielstwie, stanowią awangardę bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i akcji wywrotowej. Faktem jest, że wpływ żydowski na obyczajność jest zgubny, a ich zakłady wydawnicze propagują pornografię. Prawdą jest, że żydzi dopuszczają się oszustw, lichwy i prowadzą handel żywym towarem. Prawdą jest, że w szkołach wpływ młodzieży

> żydowskiej na katolicką jest na ogół pod względem religijnym i etycznym ujemny.

8 Dokładne dane na temat preferencji wyborczych zebrali Jeffrey Kopstein i Jason Wittenberg w: *Who Voted Communist? Reconsidering the Social Bases of Radicalism in Interwar Poland*, „Slavic Review" 2003, 61, 1 (spring), s. 87–109.

Hlond dodał do tego zastrzeżenie:

> Ale – bądźmy sprawiedliwi. Nie wszyscy żydzi są tacy. Bardzo wielu żydów to ludzie wierzący, uczciwi, sprawiedliwi, miłosierni, dobroczynni. W bardzo wielu rodzinach żydowskich zmysł rodzinny jest zdrowy, budujący. Znamy w świecie żydowskim ludzi także pod względem etycznym wybitnych, szlachetnych, czcigodnych.

Podkreślił także, że przemocy wobec Żydów nic nie usprawiedliwia, a nienawiść jest niszczącym grzechem. Mimo to uznawał za oczywiste, że Żydzi stanowią dla Polski śmiertelne niebezpieczeństwo[9]. Uświadomienie sobie, że międzywojenny antysemityzm bazował na tak zgrubnych fałszywych rozpoznaniach, musi budzić gniew – w ten właśnie sposób jednak działają rasistowskie ideologie. Chcielibyśmy wierzyć, że wyrażane w nich przekonania mają jakąś empiryczną podstawę, nawet jeśli oparte są na przesadzie – tymczasem niezależnie od tego, jak głęboko będziemy kopać, nie znajdziemy niczego. Polskich Żydów i nie-Żydów dzieliły poważne różnice kulturowe, niekiedy prowadzące do napięć. Te napięcia z kolei mo-

gły powodować wzajemną niechęć i czasem nawet prowadzić do pogromów. Jednakże *ideologia* antysemicka, ze swoimi teoriami spiskowymi i retoryką walki o przetrwanie, była czymś całkiem innym niż uprzedzenia. Nieprzypadkowo najważniejszym bastionem endecji była Polska zachodnia, region, w którym mieszkało najmniej Żydów. Co bardziej wyrafinowane formy paranoi najlepiej zakorzeniają się tam, gdzie szansa kontaktu z domniemanym wrogiem jest najmniejsza.

9 August Hlond, *O katolickie zasady moralne*, [w:] tegoż, *Na straży sumienia narodu. Wybór pism i przemówień*, Ad Astra, Warszawa 1999, s. 164.

Antysemitom nie udało się uzyskać znaczniejszego wpływu na politykę rządu w czasach sanacji, byli jednak w stanie wprowadzić do życia publicznego systematyczne prześladowania, dyskryminację, a od czasu do czasu – przemoc. Narodowi demokraci kilkukrotnie podejmowali próbę zorganizowania bojkotu żydowskich przedsiębiorstw i choć nie udało się im zdobyć masowego poparcia, potrafili szerzyć strach. W ostatnich latach Drugiej Rzeczypospolitej skrajnie nacjonalistyczna młodzież prowadziła bardziej systematyczne ataki na Żydów. Trudno podać dokładne liczby, zwłaszcza że nie wszystkie przestępstwa były zgłaszane; pewien badacz naliczył między 1934 a 1939 rokiem 97 brutalnych antysemickich ataków, w których zginęło 14 osób[10]. Pogromy zdarzały się i wcześniej, podczas wojny polsko-bolszewickiej. Część z nich inspirowana była mitem *żydokomuny*, w innych przywoływano dawniejsze antyżydowskie fantazje[11]. Przemoc przeciw Żydom była bardzo groźna, nawet jeśli nie tak wszechobecna jak

w nazistowskich Niemczech. Co prawda polski rząd nie zdecydował się na wprowadzanie antysemickich ustaw, nie powstrzymało to jednak poszczególnych instytucji przed stosowaniem własnych dyskryminujących rozwiązań. Niektóre uniwersytety na przykład ograniczały liczbę żydowskich studentów, a nawet zmuszały Żydów, by podczas zajęć pozostawali w tak zwanym getcie ławkowym – siadali w osobnych ławkach z tyłu sal wykładowych.

10 Dariusz Libionka, *Antisemitism, Anti-Judaism and the Polish Catholic Clergy during the Second World War*, [w:] Robert Blobaum, *Antisemitism and Its Opponents in Modern Poland*, Cornell University Press, Ithaca 2005, s. 233–264.

11 Jedno z najnowszych opracowań podkreśla głębokie korzenie powszechnego antysemityzmu: William W. Hagen, *Anti-Jewish Violence in Poland, 1914–1920*, Cambridge University Press, Cambridge 2018.

W samym sercu opowieści o Drugiej Rzeczypospolitej tkwi pewna sprzeczność. W większości relacji o codziennych kontaktach między Żydami i nie-Żydami powracają wspomnienia o dobrych stosunkach, jednak tam, gdzie mowa jest o sytuacji ogólnej, w tych samych źródłach pojawiają się lęk i wrogość. Źródłem lęku była narastająca aktywność antysemickich bojówek, a także rozprzestrzenianie się ideologii antysemickiej w społeczeństwie; wspomnienia o serdecznych relacjach są odbiciem faktu, że większość chrześcijan nie uruchamiała fantazji na temat „żydostwa" w codziennych kontaktach z konkretnymi Żydami. Mimo rozpowszechnionego mitu *żydokomuny* zdecydowana większość mogłaby powtórzyć za kardynałem Hlondem, że „nie wszyscy Żydzi są tacy". Trudno to nazwać entuzjastycznym uznaniem międzywojennej

wielokulturowości, być może jednak był to jeden z powodów, dla których Polska nie poszła aż tak daleko drogą systematycznego i wspieranego przez państwo antysemityzmu, jaki można było zaobserwować w tym czasie w innych krajach Europy.

Ukraińcy

Licząca ponad 3 miliony ludzi i stanowiąca około 14 procent ogółu populacji ludność mówiąca po ukraińsku była drugą co do wielkości grupą językową w Drugiej Rzeczypospolitej (po ludności polskojęzycznej). Przed pierwszą wojną światową większość ludzi mieszkających na terenach, które dziś nazywamy Ukrainą, nie myślała o sobie w kategoriach narodowych, dlatego też najróżniejsi działacze polityczni mogli snuć różne (i często wzajemnie sprzeczne) wizje dotyczące przyszłości regionu. Te ziemie wchodziły niegdyś w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów – Piłsudski marzył o odtworzeniu dawnych granic dzięki zjednoczeniu polskich i ukraińskich ruchów narodowych. Niektórzy ukraińscy politycy podzielali tę wizję, liczniejsi jednak dążyli do niepodległości, jeszcze innych natomiast pociągał rewolucyjny projekt bolszewików. Bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej większość ludzi była mniej przejęta tymi debatami, a bardziej przetrwaniem w powojennej zawierusze wobec załamania się niemal wszystkich instytucji państwowych. Próby budowania niepodległej Ukrainy padły pod naciskiem roszczeń zgłaszanych

przez rywalizujące ze sobą Warszawę i Moskwę. Traktat z 1921 roku, kończący wojnę polsko-bolszewicką, pozostawiał Republikę Ukraińską w granicach Związku Radzieckiego, a kilka województw, w których ludność ukraińska stanowiła większość, znalazło się w południowo-wschodniej Polsce.

W Drugiej Rzeczypospolitej 11 procent uczniów i uczennic szkół podstawowych uczyło się częściowo lub całkowicie po ukraińsku, co mniej więcej odpowiadało proporcjom demograficznym. Dane statystyczne o dwujęzycznej edukacji są jednak mylące. W praktyce nauczyciele i administracja szkół często zamieniali takie nauczanie w program asymilacji dzieci ukraińskich. W szkołach wyższych stopni uczono niemal wyłącznie po polsku: zaledwie 3 procent nastolatków w Drugiej Rzeczypospolitej miało dostęp do nauki ukraińskiego[12]. Od 1868 roku stowarzyszenie Proswita promowało język i kulturę ukraińską, a mimo trudności stwarzanych przez polskie władze organizacja ta w latach dwudziestych kwitła. Założono wówczas tysiące czytelni, teatrów amatorskich i grup muzycznych, które niosły ideę ukraińskiej tożsamości narodowej do najbardziej zapadłych wiosek. Jednak mimo wszystkich tych wysiłków większość mieszkańców wsi w ukraińskich regionach Drugiej Rzeczypospolitej pod koniec lat trzydziestych wciąż pozostawała niepiśmienna.

12 *Historia Polski w liczbach*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2003, s. 493.

Jeśli idzie o wyznanie, ukraińskojęzyczna ludność przeważnie należała albo do Kościoła prawosławnego, albo do greckokatolickiego. Przez większą część XIX wieku władze carskie

starały się przymuszać grekokatolików do przechodzenia na prawosławie, a odniesione w tej dziedzinie połowiczne sukcesy podzieliły społeczność ukraińską. Związek prawosławia z Rosją został formalnie zerwany w 1921 roku, kiedy powołano Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, nadal jednak między grekokatolikami a prawosławnymi panowało napięcie. Jak na ironię, Kościół greckokatolicki w okresie międzywojennym był nadal dyskryminowany, tym razem przez duchowieństwo rzymskokatolickie. Chociaż Watykan twierdził, że wszyscy katolicy stanowią jedność, unici musieli walczyć z niezbyt subtelnymi działaniami polskich księży, nakłaniającymi wiernych do rytu łacińskiego[13].

13 Tę kwestię omawia obszernie Konrad Sadkowski, *Church, Nation and State in Poland: Catholicism and National Identity formation in the Lublin Region, 1918–1939*, University of Michigan dissertation, 1995.

Oprócz języka i religii ludność ukraińską w Drugiej Rzeczypospolitej odróżniały także położenie klasowe i status. W południowo-wschodnich częściach kraju niemal wszyscy wielcy właściciele ziemscy byli Polakami, natomiast większość chłopów mówiła po ukraińsku. Rzecz jasna, było też wielu biednych chłopów wśród Polaków – ale było bardzo mało bogatych Ukraińców. Ułatwiało to działaczom ukraińskim promowanie swojej sprawy jednocześnie jako walki narodowej przeciwko Polakom i walki klasowej przeciw ziemiaństwu.

Na południowym wschodzie realia dnia codziennego niezbyt przypominały idealistyczną piłsudczykowską retorykę dotyczącą polsko-ukraińskiego braterstwa. Przede wszystkim przeciwwagę dla starań polskich rzeczników wielokulturowo-

ści stanowiły endeckie postulaty asymilacji i tworzenia jednolitego państwa narodowego. Premier Władysław Grabski, którego bezkompromisowe oszczędności omawialiśmy w poprzednim rozdziale, wprowadził także prawny obowiązek używania języka polskiego we wszystkich urzędach, niezależnie od tego, czy w ich sąsiedztwie mieszkał ktokolwiek, kto byłby polskojęzyczny. Starał się także zlikwidować ukraińskie szkoły podstawowe. Nawet wówczas, gdy w Warszawie przewagę zdobywali zwolennicy różnorodności, władze lokalne skłaniały się raczej ku działaniom na rzecz asymilacji. Funkcjonariusze państwowi postrzegali wschodnie regiony kraju niemal jak obszar podlegający kolonizacji i mówili o potrzebie ich „ucywilizowania" przez bardziej „oświeconych" modernizatorów ze stolicy[14]. Działania Proswity na rzecz kultury ukraińskiej rozbijały się o opór biurokracji, a w 1938 roku organizacja została zdelegalizowana.

14 Zwraca na to uwagę Kathryn Ciancia, *Hierarchies of Civilization: Poland's Eastern Borderlands and the Interwar World* (w przygotowaniu).

Tymczasem działacze ukraińscy coraz częściej sięgali po środki radykalne. Jeszcze przed pierwszą wojną światową niektórzy używali przemocy jako narzędzia politycznego (podobnie jak po polskiej stronie Piłsudski). Najsłynniejszym przykładem było zamordowanie w 1908 roku polskiego gubernatora Galicji. Zatruło to relacje polsko-ukraińskie, jeszcze zanim doszło do zaciekłych walk podczas pierwszej wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej. Wchodzące na scenę w latach dwudziestych nowe pokolenie ukraińskich nacjona-

listów znało już tylko politykę przemocy i stosowało ją w swoich zmaganiach z władzami Drugiej Rzeczypospolitej. Ten trend doprowadził w 1929 roku do powstania Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), których cele streszczono w serii przykazań, takich jak: „Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy. Nienawiścią oraz podstępem będziesz przyjmował wrogów Twego Narodu [...]. Będziesz dążył do rozszerzenia siły, sławy, bogactwa i obszaru państwa ukraińskiego nawet drogą ujarzmienia cudzoziemców”[15]. OUN istotnie wykorzystywała do osiągania swoich celów terror skierowany nie tylko przeciwko przedstawicielom polskich władz, lecz także przeciwko umiarkowanym Ukraińcom, rzecznikom współpracy z Warszawą.

15 Cytowane fragmenty pochodzą z broszury *Dekalog ukraińskiego nacjonalisty* Stepana Łenkawskiego z wersji opublikowanej w 1929 roku. W kolejnych wydaniach określenie „największa zbrodnia” zastąpiono sformułowaniem „najniebezpieczniejszy czyn”, a „nienawiścią oraz podstępem” – „nienawiścią i bezwzględną walką”. Obydwie wersje dostępne w: *Od ideologii do ludobójstwa*, Archiwum Narodowe w Krakowie, http://www.ank.gov.pl/wolyn/ideologia.htm.

Zazwyczaj użycie terroru politycznego prowadzi do eskalacji konfliktu, prowokując brutalne reakcje, które z kolei przysparzają terrorystom kolejnych zwolenników. OUN stosowała taką strategię świadomie i z powodzeniem. Piłsudski zareagował na przemoc na południowym wschodzie, podejmując rozprawę z ukraińskimi nacjonalistami, która dotknęła o wiele więcej osób niż tylko czołowych działaczy OUN. Sytuacja się zaostrzała, aż w końcu, w latach trzydziestych, Piłsudski na-

kazał przeprowadzenie wojskowej kampanii „pacyfikacyjnej”; doszło do publicznych pobić, palenia cerkwi prawosławnych i unickich oraz do aresztowania ponad tysiąca Ukraińców. Większość ostatecznie zwolniono, wielu jednak skończyło w Berezie Kartuskiej, gdzie stanowili (po komunistach) drugi pod względem liczebności segment obozowej populacji. Oczywiście, polskie władze znalazły zapasy broni i materiałów wybuchowych, jednocześnie jednak doprowadziły do wzrostu niechęci Ukraińców wobec Polski. Z każdym rokiem przemoc narastała, a polsko-ukraińskie stosunki osuwały się w otchłań wzajemnej nienawiści.

* * *

Żydzi i Ukraińcy stanowili największe wspólnoty etniczne w Drugiej Rzeczypospolitej, bynajmniej jednak nie jedyne. W północnych i środkowych częściach kresów żyło około miliona Białorusinów – czy też może lepiej byłoby powiedzieć: około miliona osób, które etnografowie i rachmistrze spisowi klasyfikowali jako Białorusinów – a większość z nich (ale nie wszyscy) przyjmowała tę etykietkę. Ciężka praca ideowa, mająca przekonać ludzi, że mają przedkładać nad inne swoją tożsamość narodową, dopiero się na tych terenach zaczynała. W polskim parlamencie działał klub białoruski, mający jedenastu posłów i trzech senatorów. W 1925 roku powstała organizacja pod nazwą Hromada (od białoruskiego słowa *hramada*, czyli wspólnota – pełna nazwa, funkcjonująca po polsku, brzmiała Białoruska Włościańsko-Robotnicza Hromada),

która miała zajmować się ochroną interesów chłopów w tej części kraju. Wzywała do zwiększenia zakresu lokalnej samorządności, rozszerzania praw językowych i kulturalnych oraz radykalnej reformy rolnej. Z tym programem Hromada zdołała zebrać ponad 100 tysięcy członków, została jednak zdelegalizowana w 1927 roku na skutek oskarżeń o uleganie wpływom komunistycznym. Białorusinom jeszcze trudniej niż Ukraińcom było prowadzić szkoły we własnym języku. W roku szkolnym 1934–1935 istniało zaledwie 16 szkół podstawowych z językiem wykładowym białoruskim; do 1936 ostało się osiem, do 1937 władze doprowadziły do zamknięcia wszystkich.

W grupie, którą zazwyczaj na wykresach przedstawiających zróżnicowanie populacji Drugiej Rzeczypospolitej określano jako „inni", znalazło się około 80 tysięcy Litwinów, 140 tysięcy Rosjan, kilka tysięcy Romów, Tatarów i Ormian. W Polsce mieszkało też prawie 750 tysięcy Niemców, których losy przybliżę w kolejnym rozdziale. Jak już wskazywałem, ta różnorodność sama z siebie nie stanowiła problemu, jednak problem z niej *uczyniono* – a to za sprawą rosnącego w siłę wykluczającego nacjonalizmu. Na całym kontynencie europejskim – w kraju Basków w Hiszpanii, w Irlandii Północnej, na Śląsku, Wołyniu, Bałkanach i na dziesiątkach innych obszarów wielkich i małych – ideę państwa narodowego starano się wcielać w życie tam, gdzie nie dało się tego zrobić w sposób prosty. Po to, by przemeblować świat zgodnie z nacjonalistycznymi fantazjami, trzeba było zacząć od przekształcenia współżycia w konflikt, w nadziei, że gdy sytuacja się pogor-

szy, „cudzoziemcy” odejdą. Jednak największymi wrogami nacjonalizmów wszelkiej maści nie są tak naprawdę członkowie zwalczanego narodu, lecz ludzie nieumiejący pojąć, dlaczego powinni nienawidzić tych, którzy się od nich różnią. Tragedia polega na tym, że gdy zaczynają się zabójstwa i akcje odwetowe, prędzej czy później dochodzi do sytuacji, w której nie ma już wyboru i trzeba opowiedzieć się po którejś ze stron. Tam, gdzie walczyli ze sobą Polacy i Ukraińcy, jedynym zwycięzcą był nacjonalizm.

Literatura uzupełniająca

Blanke, Richard, *Orphans of Versailles: The Germans in Western Poland, 1918–1939*, University Press of Kentucky, Lexington 1993

Blobaum, Robert (red.), *Antisemitism and its Opponents in Modern Poland*, Cornell University Press, Ithaca 2005

Bratkowski, Stefan, *Pod tym samym niebem. Krótka historia Żydów w Polsce i stosunków polsko-żydowskich*, Trio, Warszawa 2006

Brown, Kate, *A Biography of No Place: From Ethnic Borderland to Soviet Heartland*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2004

Cała, Alina, *Ostatnie pokolenie. Autobiografie polskiej młodzieży żydowskiej okresu międzywojennego*, Sic!, Warszawa 2003

Chu, Winson, *The German Minority in Interwar Poland*, Cambridge University Press, Cambridge 2012

Ciancia, Kathryn, *On Civilization's Edge: A Polish Borderland in the Interwar World*, Oxford University Press, New York 2021

Ficowski, Jerzy, *Cyganie w Polsce. Dzieje i obyczaje*, Interpress, Warszawa 1989

Garncarska-Kadary, Bina, *Żydowska ludność pracująca w Polsce 1918–1939*, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2001

Gutman, Yisrael (red.), *The Jews of Poland between Two World Wars*, Brandeis University Press, Hanover 1989

Heller, Daniel, *Jabotinsky's Children: Polish Jews and the Rise of Right-Wing Zionism*, Princeton University Press, Princeton 2017
Hoffman, Ewa, *Sztetl. Świat Żydów polskich*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Brańsk 2001
Karch, Brandon, *Nation and Loyalty in a German-Polish Borderland: Upper Silesia, 1848–1960*, Cambridge University Press, Cambridge 2019
Kijek, Kamil, *Dzieci modernizmu. Świadomość, kultura i socjalizacja polityczna młodzieży żydowskiej w II Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, 2017
Kijek, Kamil (red.), *Przemoc antyżydowska i konteksty akcji pogromowych na ziemiach polskich w XX wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2016
Landau-Czajka, Anna, *„Syn będzie Lech". Asymilacja Żydów w Polsce międzywojennej*, Neriton, Warszawa 2006
Lehmann, Rose, *Symbiosis and Ambivalence: Poles and Jews in a Small Galician Town*, Berghain Books, New York 2002
Linkiewicz, Olga, *Lokalność i nacjonalizm. Społeczności wiejskie w Galicji Wschodniej w dwudziestoleciu międzywojennym*, Universitas, Kraków 2018
Marcus, Joseph, *Social and Political History of the Jews in Poland, 1919–1939*, Mouton, New York 1983
Martin, Sean, *Jewish Life in Cracow, 1918–1939*, Vallentine Mitchell, London 2004
Mendelsohn, Ezra, *The Jews of East Central Europe between the World Wars*, Indiana University Press, Bloomington 1984
Michlic, Joanna Beata, *Poland's Threatening Other: The Image of the Jew from 1880 to the Present*, University of Nebraska Press, Lincoln 2006
Modras, Ronald, *The Catholic Church and Antisemitism: Poland, 1933–1939*, Harwood Academic Publishers, Chur 1994
Pałka, Damian, *Kościół katolicki wobec Żydów w Polsce międzywojennej*, Nomos, Kraków 2006
Paruch, Waldemar, *Od konsolidacji państwowej do konsolidacji narodowej: Mniejszości narodowe w myśli politycznej obozu piłsudczykowskiego, 1926–1939*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1997

Polonsky, Antony, *The Jews in Poland and Russia, vol. 3*, Littman Library of Jewish Civilization, Washington 2010

Porter-Szűcs, Brian, *Faith and Fatherland: Catholicism, Modernity, and Poland*, Oxford University Press, New York 2011

Redlich, Shimon, *Together and Apart in Brzeżany: Poles, Jews, and Ukrainians, 1919–1945*, Indiana University Press, Bloomington 2002

Sinkoff, Nancy, *Out of the Shtetl: Making Jews Modern in the Polish Borderlands*, Brown Judaic Studies 336, Brown University, Providence 2004

Snyder, Timothy, *The Reconstruction of Nations: Poland, Ukraine, Lithuania, Belarus, 1569–1999*, Yale University Press, New Haven 2002

Tomaszewski, Jerzy, *Ojczyzna nie tylko Polaków. Mniejszości narodowe w Polsce w latach 1918–1939*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1985

Tomaszewski, Jerzy, Józef Adelson, Teresa Prekerowa, Piotr Wróbel (red.), *Najnowsze dzieje Żydów w Polsce*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1993

ROZDZIAŁ SIÓDMY

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA, 1939–1945

Kiedy Hitler wydał rozkaz ataku na Polskę 1 września 1939 roku, zapoczątkował ciąg wydarzeń, które doprowadziły do najstraszliwszej pożogi w dziejach ludzkości. Niełatwo określić, ile ofiar pochłonęła łącznie druga wojna światowa, szacuje się jednak, że na całym świecie zginęło 62–78 milionów ludzi. Około dwóch trzecich stanowili cywile; 20 procent osób zmarło w wyniku głodu lub niedożywienia, będących bezpośrednimi skutkami wojny. Największe straty poniósł Związek Radziecki (co najmniej 23 miliony ofiar śmiertelnych), Chiny zajęły drugie miejsce. Jeśli natomiast chodzi o odsetek zgonów względem ogółu mieszkańców, Polska została poszkodowana najdotkliwiej. Śmierć poniosło 5,6–5,8 miliona ludzi, którzy mieszkali w granicach dawnej II Rzeczypospolitej, czyli przeszło 16 procent populacji[1]. Każdy czytelnik niniejszej książki spotkał się ze statystykami obrazującymi cierpienia ludności w Polsce po inwazji z 1939 roku. Ponieważ jednak liczby te są tak dobrze znane, łatwo zapomnieć, co naprawdę się za nimi kryje. Ubywa ludzi, którzy pamiętają, jakie to uczucie doświadczyć podobnej straty. Osoby urodzone po drugiej wojnie światowej muszą mocno wysilać wyobraźnię, by uświadomić sobie prawdę o tamtym czasie. Gdyby dzisiejsza Polska miała zaznać ubytku ludności na taką skalę, zginęliby wszyscy mieszkańcy Warszawy, Krakowa, Łodzi, Wro-

cławia, Poznania, Gdańska, Szczecina, Bydgoszczy i Lublina razem wzięci. By podać inny punkt odniesienia: 16 procent populacji Warszawy odpowiada pięciokrotnej pojemności Stadionu Narodowego. Z kolei identyczny odsetek ofiar dla Unii Europejskiej równałby się całej ludności Niemiec.

1 Najpełniejsze dane statystyczne na temat polskich ofiar drugiej wojny światowej prezentują Wojciech Materski i Tomasz Szarota, *Polska 1939–1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2009. Wszystkie dane przytaczane w niniejszym rozdziale pochodzą z tej publikacji, o ile nie zaznaczyłem inaczej. Niektóre liczby są sporne lub stanowią efekt ostrożnych oszacowań, dają jednak pewne wyobrażenie co do natury konfliktu.

Tytuł mojej książki świadczy, że pragnę odejść od martyrologicznej historiografii, ale druga wojna światowa stwarza tu oczywiste wyzwanie. Nikt nie zaprzeczy, że między 1939 a 1945 rokiem w Polsce dokonały się nieopisane zniszczenia – i to dosłownie nieopisane, język bowiem zawodzi, kiedy próbujemy mówić o tamtym straszliwym okresie. Słowa typu „nędza", „ucisk", „jarzmo" albo „zbrodnia" wydają się nieadekwatne wobec tak wielkiej liczby ofiar. Nikt, kto ma w sobie choćby odrobinę uczciwości i empatii, nie może podważać ani cierpień doznanych przez ludzi żyjących w tamtym okresie, ani lekceważyć imperatywu moralnego, by okazać szacunek ich doświadczeniom.

Pojawia się jednak pytanie, w jaki sposób nadać znaczenie tylu zgonom? Jak historycy mają interpretować przyczyny, przebieg i skutki wojny? Jak uczyć następne pokolenia o tym, co się wydarzyło, i jak upamiętniać ofiary? Kiedy tylko wychodzi się poza dane statystyczne, trzeba zmierzyć się z po-

wyższymi problemami i tu właśnie zaczynają się kontrowersje. Etykietki, którymi się posługujemy, mają poważne implikacje. „Tragedia", „męczeństwo", „heroizm", „ofiara", „zbrodnia", „ludobójstwo", „poświęcenie" – wszystkie te słowa wpisują ludzką śmierć w określone ramy światopoglądowe. Czy mamy mówić, że ludzie „polegli", „zostali pomordowani", czy może po prostu „umarli"? Czy zwłoki pogrzebane na terytoriach byłej Drugiej Rzeczypospolitej to „Polacy", czy też należy wyróżniać wiele kategorii tożsamościowych (Żydów, Polaków, Ukraińców i tak dalej)? A jeśli wybierzemy to drugie, czy osoby z niektórych kategorii powinniśmy traktować wyjątkowo, na przykład upamiętniać je i nosić po nich wieczną żałobę (chociażby po żołnierzach Armii Krajowej), o innych zaś zapomnieć (chociażby o ukraińskich nacjonalistach albo o utworzonej przez komunistów Armii Ludowej)? Czy pamięć o cywilu, który zginął od kuli, ma się różnić od pamięci o jego sąsiadce, zmarłej z powodu choroby zakaźnej? Czy ta druga śmierć „liczy się", jeśli na przykład przyczyniło się do niej niedożywienie spowodowane warunkami panującymi podczas wojny, ale nie miałaby znaczenia, gdyby kobieta mogła liczyć na względnie dobrą dietę?

Wskazywałem wcześniej, że pierwsza wojna światowa spowodowała na ziemiach polskich niewiele mniej strat w ludziach niż wojna toczona w latach 1939–1945, ale tamci dawniejsi zmarli nie zapisali się na trwałe w społecznej świadomości. Najwyraźniej śmierć, nawet na masową skalę, nie zawsze może doczekać się wiecznego upamiętniania. Nawet jeśli doszło do zbrodni, liczy się to, czy żyjący ludzie nadali jej

określone znaczenie. Śmierć sama w sobie nie wystarczy, by zadziałał moralny imperatyw pamięci o ofiarach (zresztą niepodobna pamiętać o wszystkich zmarłych). Dlatego właśnie na scenę wkracza martyrologia – i zaczynają się problemy.

Nawet dane statystyczne stają na drodze interpretacji i wyborów. Nie trzeba złej woli ani manipulacji, by przedstawić liczby w sposób, który albo przesadnie podkreśla, albo umniejsza polskie straty. Wszystko bowiem zależy od tego, jak zdefiniujemy „Polaków". Możemy na przykład zaliczyć do tej kategorii osoby mające obywatelstwo Drugiej Rzeczypospolitej, choć przecież podczas okupacji obowiązywały inne kryteria. W wypaczonym świecie nazistowskiej Europy pierwszorzędną rolę odgrywała „rasa" i to ona w ogromnym stopniu wpływała na szanse przetrwania. Wiemy doskonale, że każdemu, kogo zaklasyfikowano jako „Żyda", groziła śmierć: podczas drugiej wojny światowej zginęło około 92 procent Żydów zamieszkujących Drugą Rzeczpospolitą, czyli około trzech milionów ludzi. Wśród osób nieżydowskiego pochodzenia uczestnicy działań zbrojnych stanowili względnie niewielki odsetek łącznej liczby ofiar, choć surowe dane są straszliwe: w samym tylko roku 1939 śmierć poniosło około 97 tysięcy polskich żołnierzy, co odpowiada mniej więcej łącznym stratom Amerykanów podczas drugiej wojny światowej na Pacyfiku. Kolejne 51 tysięcy ludzi zginęło, walcząc w podziemiu. Ofiary cywilne wśród polskojęzycznej ludności nieżydowskiego pochodzenia to od 1,8 do 2 milionów ludzi. Do tego dodać trzeba pół miliona obywateli posługujących się językiem ukraińskim lub białoruskim. Oglądanie świata przez

pękniętą soczewkę wojny prowadzi czasem do dziwacznych porównań okupacji hitlerowskiej i radzieckiej. Z jednej strony okrucieństwa Stalina wydają się wręcz błahostką, jeśli wziąć pod uwagę, że liczba obywateli II RP zabitych w strefie radzieckiej odpowiada zaledwie 2 procentom ofiar hitleryzmu w Polsce. Z drugiej strony ten „niewielki" ułamek przekłada się na co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy ludzkich istnień. Świat, w którym tyle trupów staje się statystycznym drobiazgiem, jest doprawdy chory.

Śmiertelność wybranych grup jako odsetek ich przedwojennej populacji

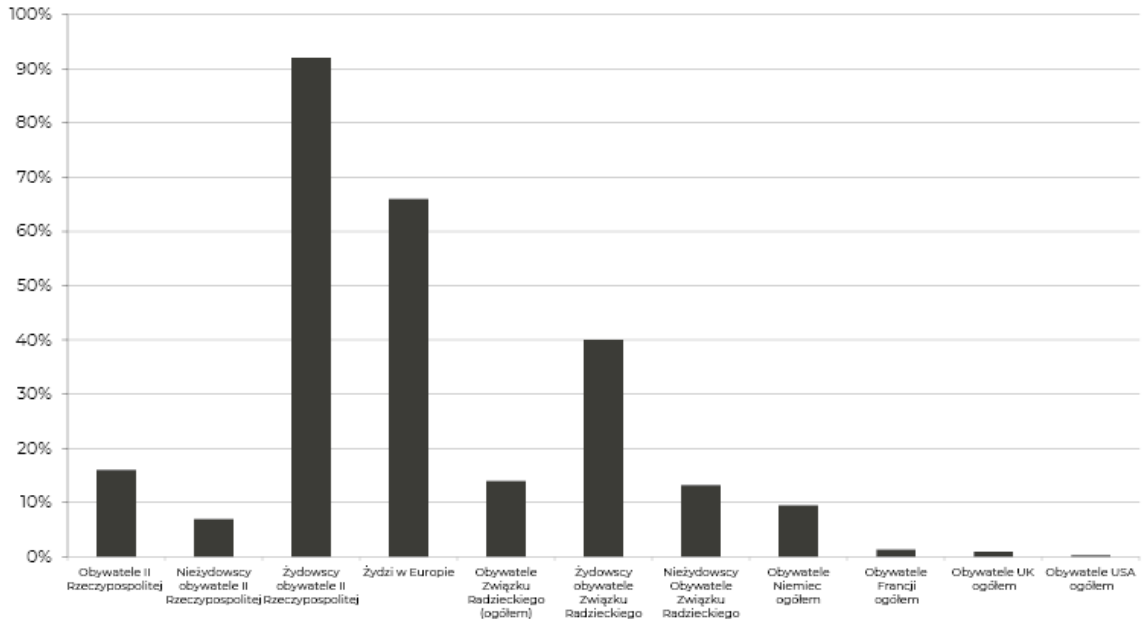

Okoliczności śmierci obywateli II RP podczas drugiej wojny światowej

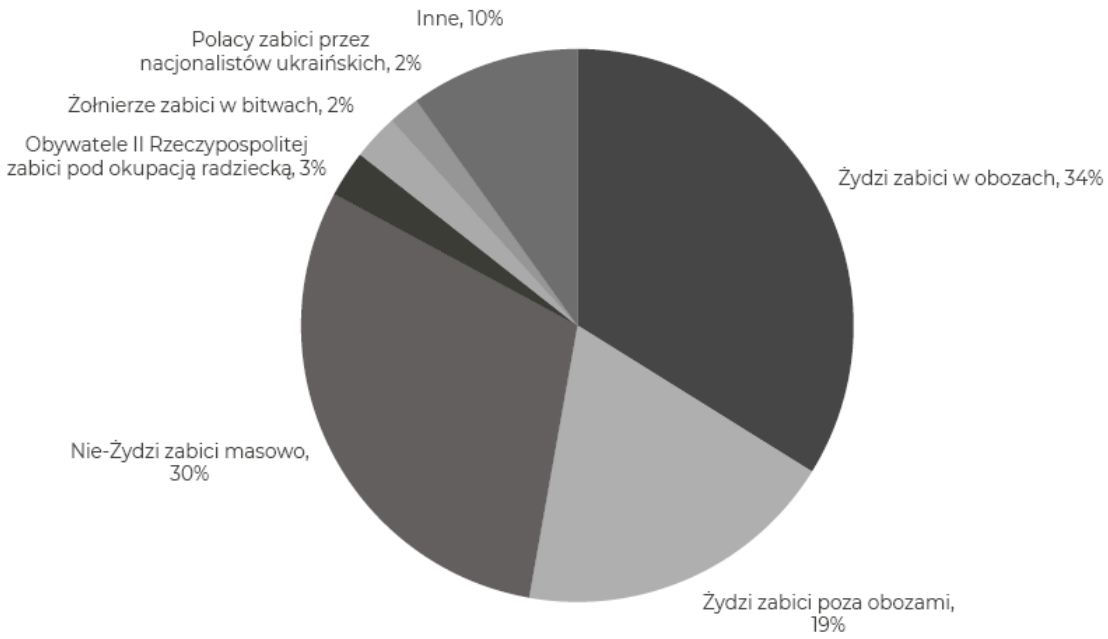
Inne, 10%
Polacy zabici przez nacjonalistów ukraińskich, 2%
Żołnierze zabici w bitwach, 2%
Obywatele II Rzeczypospolitej zabici pod okupacją radziecką, 3%
Żydzi zabici w obozach, 34%
Nie-Żydzi zabici masowo, 30%
Żydzi zabici poza obozami, 19%

Powinniśmy bacznie analizować, w jaki sposób ludzie współcześni opowiadają historie o śmierci z minionych dekad i epok, gdyż zazwyczaj wypowiedziom tym przyświecają określone cele polityczne i ideologiczne. Już samo przytoczenie powyższych statystyk może powodować problemy, jeśli straszliwe lata wojny potraktujemy jako szczególnie wymowny lub wręcz najważniejszy okres polskich dziejów, bo wówczas każdy aspekt historii kraju, który da się wpisać w narrację drugiej wojny światowej, nabiera wyjątkowego znaczenia i domaga się szczególnego rodzaju pamięci. Natomiast wszystko, co nie pasuje, zostaje odsunięte na drugi plan. Zbyt często powołujemy się na traumę, doświadczaną po wojnie

przez niemal wszystkie ocalałe osoby, by zaraz gładko i niezauważalnie przejść do abstrakcyjnej, ideologicznej traumy zbiorowej, utrzymującej się długo po tym, jak odejdą ostatni ludzie pamiętający lata konfliktu. Oba rodzaje traumy są w pewnym sensie „prawdziwe", lecz u ich podstaw leżą zupełnie odmienne mechanizmy. Osobista trauma pozostawia blizny na psychice, które nie znikną, choćby ofiara wypierała to, co ją spotkało. Natomiast traumę zbiorową podtrzymuje się na drodze nieustannej pracy nad wspólną pamięcią. Kiedy owa praca ustaje, trauma słabnie. Jeśli nie chce się do tego dopuścić, trzeba uczyć kolejne pokolenia, by utożsamiały się z wybranymi ofiarami, interpretowały cierpienia tych ofiar jako znaczący przypadek pewnego rodzaju ogólnych mechanizmów (a nie na przykład skutek przygodnego pecha czy niefortunnego losu) oraz internalizowały tę interpretację, jak gdyby zbrodnia nadal się dokonywała. Szkoły, pomniki, uroczystości, filmy i powieści historyczne – wszystko to należy wykorzystywać w celu propagowania martyrologicznego przekazu.

Wielu uważa podtrzymywanie traumy zbiorowej i upamiętnianie ofiar zgodnie z określoną interpretacją przeszłości za obowiązek moralny. Niezależnie od tego, czy się z taką tezą zgadzamy, czy nie, owa praca nigdy nie będzie neutralna pod względem ideologicznym, choćby nawet nie prowadzono jej pod hasłem „polityki historycznej". Ponadto wspomniany obowiązek nie wynika z żadnej „naturalnej", uniwersalnej etyki. Wszak na co dzień przyjmujemy milcząco, że nie każda śmierć będzie upamiętniana, i bez cienia wstydu zapominamy

o niezliczonych krwawych wydarzeniach, w miarę jak oddalają się od nas w czasie. Upamiętnianie zawsze zakłada jakiś wybór. Niekiedy wybory w zakresie pamięci historycznej są nam narzucane, na przykład jeśli mechanizmy lub ideologie odpowiedzialne za dawne tragedie wciąż funkcjonują, lub powracają po latach. Pamiętamy wówczas o przeszłości, bo ta w istocie wcale nie minęła. Niekiedy natomiast sami podejmujemy decyzje, indywidualnie lub zbiorowo (w sferze polityki). Grupa osób mających legitymizację do dokonywania owych wyborów jest zmienna, a jej skład zawsze budzi kontrowersję. Przykładowo, ktoś mógłby twierdzić, że ja, jako Amerykanin, daję wyraz imperialistycznej arogancji, pisząc książkę prezentującą takie, a nie inne tezy. Opierałoby się to jednak na założeniu, że decydującym kryterium przynależności do wspólnoty, która ma prawo dbać o pamięć, jest pochodzenie. W takiej sytuacji mógłbym pisać o drugiej wojnie światowej tylko pod warunkiem, że posłusznie powtarzałbym narracje dominujące wśród osób utożsamiających się z ofiarami. Możemy się oczywiście kłócić o tego rodzaju podejście do pamięci historycznej – ale róbmy to świadomie. Druga wojna światowa i jej bezpośrednie pokłosie przyniosły niemal wszystkim żyjącym wtedy ludziom ból i traumę. Znaczenie, które temu nadajemy, jest produktem naszych współczesnych sporów. Powszechnie mówi się, że doświadczenia drugiej wojny światowej po dziś dzień kształtują polską kulturę i politykę, lecz nie jest to do końca prawda. Należałoby raczej stwierdzić, że ludzie w Polsce nadal przywołują pamięć o wojnie i dyskutują o jej znaczeniu. Jedni robią to w sposób odpo-

wiedzialny, opierając swoje argumenty na źródłach i mocnych dowodach. Inni mają nieco swobodniejsze podejście do prawdy. Tak czy siak, przeszłość zachowuje moc sprawczą tylko wówczas, gdy jest pamiętana, a pamięć historyczna zawsze tworzy się pod wpływem ideologii i polityki.

Kampania wrześniowa

Druga wojna światowa wybuchła z powodu rasistowskich i ekspansjonistycznych ambicji Hitlera. Mało które wydarzenie w dziejach da się wyjaśnić łatwiej niż atak na Polskę w 1939 roku, w tym wypadku wystarczy bowiem odwołanie się do tego jednego, jedynego czynnika. Nie trzeba dogłębnie analizować napięć dyplomatycznych między Polską i Niemcami w okresie międzywojennym. Owszem, stanowiły one problem, ale same w sobie raczej nie doprowadziłyby do wybuchu konfliktu zbrojnego. W latach dwudziestych i trzydziestych na świecie toczono liczne dyskusje na temat statusu Danzigu/Gdańska, zasad dostępu do Prus Wschodnich przez tak zwany korytarz polski oraz praw i przywilejów niemieckojęzycznej mniejszości na terenie Polski. Istniały możliwe rozwiązania każdej z tych kwestii, aczkolwiek wymagałyby one sporo dobrej woli po obu stronach, czego wówczas zdecydowanie brakowało. Oprócz kwestii dyplomatycznych warto podkreślić, że wielu Niemców kwestionowało wschodnie granice swojego państwa i marzyło o stanie bliższym tego z czasów Cesarstwa Niemieckiego przed pierwszą wojną światową.

Na dłuższą metę ów irredentyzm uniemożliwiał rozwiązanie publicznych kwestii spornych między Niemcami i Polską. Nawet gdyby dyplomaci chcieli zdobyć się na odpowiedni wysiłek, naciski polityczne ze strony niemieckojęzycznej mniejszości w Drugiej Rzeczypospolitej zapewne by nie osłabły. Owa grupa (niespełna 4 procent ogółu populacji kraju) przed pierwszą wojną światową stanowiła część uprzywilejowanej większości, gdyż na Polaków patrzono wówczas jako na gorszą część społeczeństwa. Oto jednak nagle po 1918 roku Niemcy stali się obywatelami nowego państwa polskiego. Jak się nietrudno domyślić, fakt ten wywołał w nich gorycz. Nie zaskakuje, że poparcie dla partii nazistowskiej było znacząco wyższe wśród Niemców żyjących na terenie Polski i Czechosłowacji niż w samej Rzeszy, aczkolwiek rzecz jasna należy unikać generalizacji – wielu niemieckojęzycznych obywateli Polski nie interesowało się polityką ani tym, czy ich podatki trafiają do Warszawy, czy też do Berlina, państwo nie przysparzało im bowiem powodów do niepokoju, niemieckojęzyczne szkoły, gazety, kościoły i partie polityczne nadal mogły swobodnie działać, a niektóre z nich znakomicie sobie poczynały. Cóż jednak z tego? Polityka gniewu i resentymentu potrafi pojawiać się również wtedy, gdy bezstronny obserwator nie dopatruje się żadnych przejawów ucisku. Ponadto gorycz grup tracących przywileje bywa większa niż frustracja grup, które owych przywilejów nigdy nie miały.

Właśnie dlatego stosunki między Polską i Niemcami pozostawały napięte. Jednak przesadne skupianie się na tych kwestiach – na przykład na tendencjach niepodległościowych

Śląska, Wielkopolski i Pomorza – nie ma większego sensu. Hitlera nie obchodziły losy Niemców w Polsce i nie zamierzał on ograniczać się jedynie do korekty wschodnich granic swego państwa. Otwarcie mówił o planach stworzenia w Polsce, na Białorusi, Ukrainie i w Rosji tak zwanego *Lebensraum* – przestrzeni życiowej. Nie był to żaden irredentyzm, lecz ideologia imperialnego podboju na ogromną skalę.

Kusi, żeby zwalić wszystko na ewidentne szaleństwo Hitlera, lecz spojrzenie z globalnej perspektywy dowodzi, że Führer nie był tak znowu wielką aberracją historyczną, jak nam się wydaje. Reprezentował trend ideologiczny obecny w Ameryce Północnej i w całej Europie (również w Polsce, za sprawą endecji i jej politycznych spadkobierców), a mianowicie przekonanie, że narody muszą rosnąć w siłę, by przetrwać, gdyż w wiecznej walce o byt albo podbijesz innych, albo sam zostaniesz podbity. Przeszło sto lat wcześniej Herbert Spencer ujął rzecz następująco: „Siły realizujące wielki projekt doskonałej szczęśliwości wytępiają ludność, która stoi im na drodze bez baczenia na cierpienie jednostek, tak samo, jak wytępiają zwierzęta drapieżne czy stada bezużytecznych przeżuwaczy. [...] Jakie warunki spełnić musi rasa zdobywców? Otóż winna mieć przewagę liczebną lub sprawniejsze technologie wojskowe, przy czem jedno i drugie świadczy o wyższym stopniu rozwoju”[2]. Ów światopogląd leżał u podstaw brytyjskiego, francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego i włoskiego imperializmu poza granicami Europy. Przejawiał się także w polityce amerykańskiego i kanadyjskiego osadnictwa na zachodzie Ameryki Północnej. Ta ostatnia stanowiła ważny precedens

dla Hitlera i nazistów[3]. Wsłuchajmy się choćby w niepokojące echo pobrzmiewające w poniższych słowach prezydenta Theodore'a Roosevelta: „Nie posunąłbym się tak daleko, by twierdzić, że dobry Indianin to martwy Indianin. Zasada ta jednak sprawdza się w przypadku dziewięciu na dziesięciu z nich. Zresztą, nawet temu dziesiątemu wolałbym nie przyglądać się zbyt uważnie. Najokrutniejszy kowboj przyjmuje więcej zasad moralnych niż przeciętny Indianin"[4]. Roosevelt pisał też: „Najsprawiedliwszą wojną jest wojna z dzikusami. [...] Amerykanie przeciwko Indianom, Burowie przeciwko Zulusom, Kozacy i Tatarzy, Nowozelandczycy i Maorysi – w każdym z tych przypadków zwycięzca dopuścił się straszliwych czynów, atoli zarazem położył podwaliny przyszłej wielkości swego ludu"[5]. Od wielu dekad Europejczycy i Amerykanie traktowali mapę świata jak wielką planszę do gry. Los pojedynczych istot ludzkich niewiele ich obchodził. Za sprawą ekspansjonizmu Hitlera część mieszkańców Europy przekonała się na własnej skórze, jakie to ma skutki.

2 Herbert Spencer, *Social Statics, or the Conditions Essential to Human Happiness*, John Chapman, London 1851, s. 416.

3 Zob. np. Adolf Hitler, *Hitler's Table Talk 1941–1944*, Enigma Books, New York 2008, s. 55. O paralelach tych pisze też Carroll P. Kakel, *The American West and the Nazi East: A Comparative and Interpretative Perspective*, Palgrave Macmillan, New York 2011.

4 Cyt. za: Hermann Hagedorn, *Roosevelt in the Bad Lands*, Houghton Mifflin, New York 1921, t. 1, s. 355.

5 Theodore Roosevelt, *The Winning of the West*, [w:] *The Works of Theodore Roosevelt*, Scribner, New York 1903, t. 9, s. 52–53.

Zarazem byłoby nadmiernym uproszczeniem sprowadzanie nazizmu wyłącznie do imperializmu w obrębie terytorium

Starego Kontynentu. Nazizm (podobnie jak ruchy radykalnej prawicy w innych krajach z początku XX wieku) był czymś więcej, pozbawił bowiem imperializm liberalnej, rasistowskiej „misji cywilizacyjnej", zastępując go mieszanką rasistowskiego antysemityzmu i machiawelicznego egoizmu narodowego. Naziści wyróżniali się na tle toksycznego ścieku nienawiści rasowej tamtych czasów. Ich agresywna wrogość wobec Żydów nie stanowiła jedynie dodatku czy też niewygodnego elementu stanowiącego część światopoglądu, który poza tym ogólnie dałby się jakoś obronić. Przeciwnie, antysemityzm był spoiwem. Pozwalał połączyć opozycyjność wobec socjalizmu z nienawiścią do wielkiego biznesu: jedno i drugie przedstawiano wszak jako główne składniki rzekomego międzynarodowego spisku żydowskiego. Dla Hitlera inwazja w 1939 roku nie sprowadzała się jedynie do ataku na Polskę. Wódz Rzeszy toczył przede wszystkim wojnę przeciwko Żydom. Gardził Polakami i innymi Słowianami, lecz to Żydzi pozostawali głównym wrogiem w ich imaginarium. Między 1933 a 1939 rokiem naziści wypędzili z Niemiec większość żydowskiej populacji. U progu wojny pozostało tam zaledwie około 200 tysięcy ludzi pochodzenia żydowskiego, uciskanych i zepchniętych na margines. Hitler spełnił zatem wszystkie postulaty najzajadlejszych niemieckich antysemitów z początku XX wieku – mimo to „kwestia żydowska" wciąż stanowiła dlań poważne zagrożenie. Musiał więc uderzyć tam, gdzie mieszkało najwięcej Żydów. I między innymi dlatego zaatakował Polskę, a następnie Związek Radziecki.

Nie oznacza to, że nazistowscy przywódcy – a co dopiero zwykli żołnierze – wkraczali na terytorium Polski, mając gotowe plany podporządkowania sobie Polaków i wymordowania ludności żydowskiej. W Trzeciej Rzeszy nie przeprowadzano rzecz jasna wiarygodnych badań opinii publicznej, ale nie wydaje się, by w 1939 roku panował szczególny entuzjazm dla wojny. Większość zwolenników agresywnej polityki Hitlera chciała tylko odzyskać ziemie utracone po roku 1918. Również przywódcy partii narodowosocjalistycznej mieli różne, nierzadko sprzeczne priorytety i ambicje. Nie zapominając o tym, trzeba jednak podkreślić, że bez wątpienia ideologia odegrała decydującą rolę w wybuchu drugiej wojny światowej, jądrem owej ideologii pozostawały zaś antysemityzm oraz pogarda wobec „rasy słowiańskiej". Historycy przez wiele dziesięcioleci zastanawiali się, czy Holokaust i brutalne porządki w Europie Wschodniej były następstwem długofalowego planu, czy też zaimprowizowaną reakcją na warunki, które zapanowały podczas okupacji. Pytanie to jest jednak źle postawione, nie uwzględnia bowiem tego, w jak wielkim stopniu sama wojna stanowiła wynik nazistowskiej ideologii, wyrastającej z marzeń o rozprawieniu się raz na zawsze z „żydowskim zagrożeniem" i o zapewnieniu sobie *Lebensraum* na wschodzie. Nie istniał ścisły plan, który zmierzałby do zbudowania komór gazowych. Improwizacja i adaptacja (nie mówiąc o zamieszaniu i chaosie) stanowiły zasadnicze elementy systemu stworzonego przez Hitlera. Ponadto Niemcy nie byli wyłącznie biernymi wykonawcami „totalitarnej" woli wodza. Natomiast owszem, Führer mógł osiągnąć niektóre ze swoich

celów, po prostu wydając stosowne rozkazy. Atak na Polskę mieścił się w tej kategorii. Nie było pewne, jak dalej potoczą się sprawy, lecz wszystkie ścieżki prowadziły w głęboki mrok.

Mocny sprzeciw Anglii i Francji mógłby powstrzymać Hitlera, ale kraje te odkryły swe karty już wcześniej, w 1938 roku, kiedy pozwoliły Rzeszy zaanektować Austrię i Czechosłowację. Francuski premier Édouard Daladier nie był w zasadzie najważniejszym graczem, rozumiał bowiem, że polityka jego kraju względem Niemiec jest zależna od poparcia Brytyjczyków, gdyż armia francuska nie dałaby rady odeprzeć wroga. Co ważniejsze, Daladier nie miał pewności, czy w razie inwazji mógłby liczyć na lojalność własnych generałów. Stał na czele centrolewicowej koalicji i opowiadał się przeciwko nazizmowi i faszyzmowi. Tymczasem francuscy dowódcy wojskowi i prawicowa opozycja były w tej kwestii o wiele mniej stanowcze. Choć uważały Hitlera za wulgarnego ekstremistę i choć – co najgorsze – był Niemcem, wydawał się im pożyteczny: wszak rozbił w pył niemiecką lewicę i wymachiwał szabelką przed nosem przywódców Związku Radzieckiego. Dla zachodnioeuropejskiej prawicy największe niebezpieczeństwo w polityce wewnętrznej stanowili socjaliści, a w polityce międzynarodowej właśnie ZSRR. Wielu konserwatystów było zatem gotowych przymknąć oko na „ekscesy" Hitlera, byle tylko pomógł rozprawić się z przeciwnikami.

Te same postawy występowały w Wielkiej Brytanii, gdzie spora część rządzącej Partii Konserwatywnej tolerowała nazistów lub wręcz odnosiła się do nich z sympatią. Skrzydło reprezentowane przez Winstona Churchilla nie podzielało tego

stanowiska, lecz pod koniec lat trzydziestych znajdowało się poza głównym nurtem. W 1935 roku Neville Chamberlain wygrał wybory dzięki kampanii, która implicite (a czasem zupełnie wprost) sugerowała powiązania rywali z Partii Pracy z międzynarodowym komunizmem. Nowy premier nie wahał się współpracować z politykami o pronazistowskich sympatiach. Przykładowo, minister spraw zagranicznych Edward Wood, hrabia Halifaxu, napisał niegdyś o narodowych socjalistach: „Nacjonalizm i ideologia rasowa są potężne, nie uważałbym ich jednak za nienaturalne czy niemoralne. Bez wątpienia ludzie ci szczerze nienawidzą komunizmu [...]! Ośmielam się stwierdzić, że na ich miejscu czulibyśmy to samo”[6]. Politykę appeasementu wspomina się dziś jako skutek pacyfizmu lub wręcz tchórzostwa. Bez wątpienia opinia publiczna w Wielkiej Brytanii i Francji nie chciała kolejnej wojny, mając w pamięci krwawą rzeź z lat 1914–1918. Jednak nie to przesądziło o postawie polityków i wojskowych. Pod koniec lat trzydziestych wielu konserwatywnych mężów stanu na Zachodzie po prostu uważało Hitlera za cennego sojusznika w zmaganiach przeciwko lewicy. Niektórzy badacze traktują obecnie pierwszą połowę XX wieku jako okres długotrwałej „europejskiej wojny domowej”. Ideologiczny konflikt między lewicą a prawicą wyznaczał ramy polityki krajowej i zagranicznej. W ramach tej walki o przetrwanie wielu centroprawicowych polityków traktowało Hitlera jako niewygodnego sprzymierzeńca – ale bynajmniej nie aberrację[7].

6 Fragment prywatnego listu, cyt. za: Andrew Roberts, *„The Holy Fox”: The Life of Lord Halifax*, Head of Zeus Publishers, London 2014, s. 93.

7 Tim Bouverie, *Herbatka z Hitlerem. Jak brytyjskie elity chciały zjednać Trzecią Rzeszę*, przeł. Maciej Antosiewicz, Mariusz Gądek, Wielka Litera, Warszawa 2021; Mark Mazower, *Dark Continent: Europe's 20th Century*, Knopf, New York 1998; Enzo Traverso, *Historia jako pole bitwy. Interpretacja przemocy w XX wieku*, Książka i Prasa, Warszawa 2014.

Docieramy tu do największej niewiadomej roku 1939: stanowiska ZSRR. Hitler nie musiał się obawiać, że Stalin aktywnie wesprze Polaków w razie niemieckiej inwazji. Relatywnie świeże wspomnienia wojny polsko-bolszewickiej gwarantowały, że Warszawa i Moskwa nie będą skore do współpracy: w 1932 roku Polska i Związek Radziecki podpisały co prawda pakt o nieagresji, lecz między rządami brakowało dobrej woli. Poza tym Stalin i tak był zbyt nieufny, by szczerze angażować się we wspólną politykę bezpieczeństwa, zwłaszcza w sojuszu z państwami kapitalistycznymi. Mimo to Hitler miał powody, by obawiać się Sowietów. Gdyby Stalin (skądinąd słusznie) uznał niemiecką ekspansję za zagrożenie dla własnego kraju, mógłby zainterweniować i uniemożliwić Rzeszy dalszy marsz na wschód. Nawet Hitler zdawał sobie sprawę, że jego armia nie jest jeszcze gotowa do tego rodzaju wojny. Na jego szczęście Stalin też nie był przygotowany.

Przez całe lato 1939 roku toczyły się tajne negocjacje między ZSRR i Niemcami, oparte na makiawelicznym rachunku, z którego wynikało, że żadna ze stron nie dysponuje odpowiednimi siłami i zasobami do walki. Czynnikiem sprzyjającym była nienawiść Hitlera i Stalina do Polski. Obaj przywódcy względnie łatwo (na przekór intuicjom ówczesnych obserwatorów wydarzeń) zawarli cyniczne porozumienie, ogłoszone ku powszechnemu zdumieniu 23 sierpnia. Dwa

mocarstwa, które wszyscy – w tym ich obywatele – uważali za nieprzejednanych wrogów, podpisały pakt o nieagresji. A przecież wiele środowisk w zachodniej Europie i Stanach Zjednoczonych tolerowało Hitlera głównie dlatego, że uchodził za użytecznego alianta w walce z komunizmem. I analogicznie: znaczna część lewicy widziała w Stalinie jedynego twardego antyfaszystę na świecie. Niektórzy socjaliści i liberałowie na Zachodzie nie chcieli wierzyć w napływające już wtedy doniesienia o zbrodniach w ZSRR, inni twierdzili, że bez względu na poczynania radzieckiego przywódcy pozostaje on wciąż niezbędną przeciwwagą dla hitlerowskiego zagrożenia.

Obie strony ówczesnego podziału ideologicznego przyjęły za prawdę arcyszkodliwy aforyzm „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem". Jeśli w naszej niespokojnej epoce mamy wyciągać jakiekolwiek wnioski z historii okresu międzywojennego, to z pewnością powinniśmy baczyć na przerażające konsekwencje preferowania ekstremistów we własnych szeregach względem umiarkowanych przedstawicieli „tego drugiego" obozu politycznego. „Symetryzm" i zrównywanie centroprawicy z radykalną prawicą lub centrolewicy ze skrajnymi ruchami lewicowymi wielokrotnie dawał o sobie znać w latach międzywojennych. Właśnie owa pokrętna logika sprawiła, że niemieccy konserwatyści w 1933 roku powierzyli Hitlerowi urząd kanclerza, uznawszy, że naziści będą lepsi od nawet najbardziej wyważonych socjaldemokratów. Rozumowanie włoskich decydentów, którzy pozwolili Mussoliniemu objąć władzę w 1922 roku, było zatrważająco podobne. Również polityka appeasementu prowadzona przez torysów wy-

rastała z tych samych założeń. Pakt między Niemcami i Sowietami oraz wojenna katastrofa stanowiąca jego skutek były ciosem dla wszystkich, którzy kierowali się tego rodzaju błędnymi wartościami.

Przedstawiając generałom plan inwazji na Polskę, Führer ukazywał swe cele i metody:

> Zniszczenie Polski stanowi główny przedmiot operacji. [...] Przedstawię propagandowy powód rozpoczęcia wojny. Nie musi on brzmieć wiarygodnie: nikt nie pyta zwycięzców, czy mówili prawdę. Kiedy rozpętuje się wojnę, nie liczy się słuszność, lecz wygrana. Nie miejcie litości[8].

8 *Trial of the Major War Criminals Before the International Military Tribunal*, Nuremberg 1947, t. 2, s. 290. Słowa pochodzą z jednej z trzech zachowanych relacji z narady Hitlera i jego generałów 22 sierpnia 1939 roku. Niektórzy podważają wiarygodność dokumentu, wydaje się jednak, że jest on prawdziwy. Zob. Hannibal Travis, *Did the Armenian Genocide Inspire Hitler?*, „Middle East Quarterly" 2013, s. 27–35.

Niemiecka armia dysponowała ogromną przewagą. Ponad trzykrotnie przewyższała armię polską pod względem liczby czołgów i samolotów, dwukrotnie zaś pod względem liczby żołnierzy. Hitlerowska propaganda, pragnąc podkreślić słabość sił wroga, rozpowszechniała opowieść o niedorzecznych próbach wykorzystania kawalerii przeciwko tankom. O ironio, Polacy również zaczęli powtarzać potem tę historię, tyle że w innej interpretacji, a mianowicie jako dowód odwagi w obliczu nieodpartej potęgi agresora. Bywa, że zmyślona anegdo-

ta ilustruje pewną prawdę. Bywają też anegdoty w dosłownym sensie prawdziwe, a jednak zwodnicze. Ta akurat jest zarazem zmyślona, jak i zwodnicza. Polacy powszechnie wykorzystywali kawalerię podczas kampanii wrześniowej, głównie podczas walk przeciwko piechocie, ale nigdy nie podjęli samobójczej szarży na niemieckie czołgi. Co ważniejsze, choć kawaleria nie pasuje do potocznych wyobrażeń o nowoczesnej wojnie, konie odgrywały istotną rolę nawet w latach czterdziestych, zapewniały bowiem jednostkom mobilność i były tańsze w utrzymaniu niż pojazdy zmotoryzowane. Niemcy i Sowieci korzystali z oddziałów konnych w logistyce, zwiadach, manewrach skrzydłowych oraz błyskawicznych, krótkotrwałych atakach – dokładnie tak samo jak Polacy. Podczas drugiej wojny światowej niemiecka armia używała łącznie 2,5 miliona koni[9].

9 David Dorodno, *Riders of the Apocalypse: German Cavalry and Modern Warfare, 1870–1945*, Naval Institute Press, Annapolis 2012.

Legenda o szarży przeciwko czołgom tworzy krzywdzący obraz polskich sił zbrojnych w 1939 roku. Owszem, Polacy byli znacznie słabsi od przeciwnika, ale nie można mówić o walce między nowoczesną niemiecką potęgą a przestarzałymi oddziałami wyjętymi z jakiegoś skansenu. Druga Rzeczpospolita zmagała się z ubóstwem i problemami rozwojowymi, niemniej jednak trzecia część ludności pracowała w przemyśle i, jak wykazywałem w rozdziale piątym, kraj przechodził modernizację, choć nie wszystkie jej owoce udało się zebrać. Polskie siły powietrzne i artyleria przeciwlotnicza strąciły

łącznie 564 niemieckie samoloty (a więc, na przekór innemu mitowi, Niemcy nie zdołali zupełnie zniszczyć polskiego lotnictwa w pierwszych dniach inwazji). Armia dysponowała tylko 880 czołgami, niemniej uszkodziła aż 993 czołgi nieprzyjaciela, czyli blisko jedną trzecią maszyn wykorzystanych podczas całej kampanii. Była to po części zasługa innowacyjnego karabinu przeciwpancernego wz. 35, produkowanego od 1938 roku, który potrafił przebić pancerz niemieckiego czołgu z odległości stu metrów. Żadne inne wojsko w tamtym czasie nie dysponowało równie dobrą bronią w tej klasie. Co istotne, wydawano ją głównie jednostkom kawaleryjskim. Jeźdźcy szybko zajmowali strategiczne pozycje, rozstawiali wz. 35 na dwójnogu i otwierali ogień. W 1939 roku życie straciło ponad 16 tysięcy Niemców, nie można więc mówić o bezkosztowym zwycięstwie. Inwazję na Polskę ujrzymy z lepszej perspektywy, jeśli przypomnimy sobie, że rok później Francja, o wiele większa i zamożniejsza, broniła się przez 43 dni, a więc tylko tydzień dłużej.

Polskie wojsko z pewnością nie zdołałoby powstrzymać hitlerowców, ale być może mogło spowolnić natarcie, dając dyplomatom dość czasu, by przekonali Francuzów i Brytyjczyków do podjęcia działań na zachodzie. O klęsce przesądziło jednak co innego: 17 września Stalin polecił Armii Czerwonej inwazję na wschodnie tereny Drugiej Rzeczypospolitej. Oficjalnie Sowieci głosili, że pragną chronić żyjących tam Białorusinów i Ukraińców, w rzeczywistości jednak radziecki dyktator po prostu wywiązywał się ze swojej obietnicy, złożonej w ramach paktu z Niemcami zawartego 23 sierpnia. W tajnym

załączniku wyznaczono linię graniczną biegnącą przez tereny Polski i przewidziano utworzenie dwóch stref okupacyjnych: niemieckiej i radzieckiej. Po radzieckiej inwazji przyszedł szybki kres. Rząd polski udał się na wygnanie, 28 września Niemcy zajęli Warszawę. Sporadyczne walki trwały do 6 października. Wkrótce zwycięzcy wzięli się za podział łupów. W ciągu pięciu tygodni walk zginęło niemal sto tysięcy żołnierzy, a wielu rannych trafiło do niewoli. Opór Polaków był zaciekły, mimo to musieli ulec potędze wroga: siły zbrojne, liczące niecały milion osób, stanęły przeciwko 1,8 miliona niemieckich wojsk, 617 tysiącom Sowietów i 50 tysiącom Słowaków. Wielka Brytania i Francja, rzekomi sojusznicy, mieli pięć milionów żołnierzy na zachodniej granicy Trzeciej Rzeszy i dysponowali tam ponad czterokrotną przewagą liczebną, lecz biernie przyglądali się upadkowi Drugiej Rzeczypospolitej.

Każdy czytelnik niniejszej książki z pewnością wie, że polski rząd udał się w 1939 roku na uchodźstwo, zamiast ogłosić kapitulację. Można to interpretować jako akt uporu i dowód niezdolności pogodzenia się z faktami albo jako zmyślny manewr dyplomatyczny. Tak czy inaczej, brak formalnej kapitulacji przyniósł istotne konsekwencje. Zachodni alianci uznali rząd na uchodźstwie, utworzony pospiesznie przez różnorodną koalicję partyjną. Początkowo działał on we Francji, ale po jej upadku Polacy przenieśli się do Wielkiej Brytanii i dlatego mówimy o rządzie londyńskim (nie mylić z tym, na którego czele stał Winston Churchill). Premierem, wybranym w wyniku kompromisu, został generał Władysław Sikorski. Jego

konsekwentny sprzeciw wobec Sanacji uznano za świadectwo przywiązania do demokratycznych ideałów; poza tym, jako człowiek przedwojennej opozycji, Sikorski nie mógł ponosić współodpowiedzialności za klęskę 1939 roku. Rolę parlamentu na uchodźstwie odgrywała Rada Narodowa. Zasiadali w niej przedstawiciele niemal wszystkich przedwojennych partii, od endecji, przez PSL, po PPS, Syjonistów i Bund. Polscy żołnierze, którzy znaleźli się za granicą, utworzyli siły zbrojne; miały one później ważny wkład w działania wojenne. Rząd dysponował nawet środkami finansowymi, gdyż w 1939 roku udało się wywieźć z kraju rezerwy w złocie, choć wymagało to przedsięwzięcia niczym z filmu przygodowego[10]. Tak więc w ściśle prawnym i praktycznym sensie państwo polskie przetrwało, mimo okupacji.

10 Epizod ten pojawia się w dwóch produkcjach: *Złotym pociągu* (reż. Bohdan Poręba, 1986) i brytyjsko-polskim serialu *Szpiedzy w Warszawie* (reż. Coky Giedroyc, 2012–2013).

Okupacja i terror

W 1939 roku wiele osób dobrze pamiętało, co to znaczy żyć pod rządami Niemców lub Rosjan: niepodległa Polska powstała wszak niedługo wcześniej na gruzach mocarstw Hohenzollernów, Habsburgów i Romanowów. Niektórym ludziom zdawało się, że wiedzą, czego oczekiwać, i że jakoś się przystosują. W rzeczywistości byli zupełnie nieprzygotowani na rozwój wydarzeń. Nawet teraz zdarza się, że ktoś kreśli

analogie między różnymi okresami polskiej bezpaństwowości, jak gdyby rok 1939 i 1795 były szczególnymi przypadkami tego samego procesu dziejowego. Owszem, istniały pewne powierzchowne podobieństwa, ale nie wolno patrzeć na wydarzenia sprzed 1918 roku przez pryzmat drugiej wojny światowej i vice versa. Władze okupacyjne (zwłaszcza nazistowskie) stosowały terror, jakiego w środkowej i zachodniej Europie dotychczas nie widziano. Doświadczenia społeczeństw rządzonych z Berlina, Wiednia i Petersburga w XIX stuleciu ani trochę nie przypominają tego, co działo się pod niemiecką okupacją w latach 1939–1945.

Nie oznacza to, że hitlerowska polityka nie miała precedensów. Jak wspomniałem, europejskie i północnoamerykańskie mocarstwa już wcześniej eksperymentowały z ludobójstwem jako technologią władzy. W niektórych regionach – chociażby w Kongu Belgijskim – ludzie umierali na masową skalę, podobnie jak później w Europie Wschodniej[11]. Odsetek rdzennych Amerykanów wymordowanych przez białych osadników był zapewne jeszcze większy, choć ogrom tej zbrodni łatwiej przeoczyć, bo dokonywano jej stopniowo, w dłuższym okresie. Zestawianie masowych mordów jest co najmniej niesmaczne i budzi skojarzenia z makabryczną rywalizacją o to, kto więcej wycierpiał. Ważne jednak by zdawać sobie sprawę, że Europejczycy mieli względnie świeże doświadczenia z brutalnymi formami wyzysku i poddaństwa oraz ze zorganizowaną eksterminacją. Natura hitlerowskiej polityki okupacyjnej nie była niczym nowym – tyle że, co bezprecedensowe i zaskakujące, politykę tę zastosowano

w Europie i wobec Europejczyków (nieważne, że według nazistowskich koncepcji rasy Słowianie stanowili kategorię podrzędną, a Żydów w ogóle nie uznawano za ludzi). W miarę rozwoju wojny wielu Polaków, zwłaszcza ziemianie i najzamożniejsi przedsiębiorcy, nieraz wyrażało zdziwienie, że Niemcy, „cywilizowany naród", dokonuje takich zbrodni. W rzeczywistości przemoc i „cywilizacja" od dawna szły w parze. Nowością było jedynie zastosowanie okrutnych metod na terytorium Starego Kontynentu.

11 Adam Hochschild szacuje, że liczba ofiar Wolnego Państwa Kongo (okrutnie nietrafna nazwa) sięgnęła dziesięciu milionów. Zob. Adam Hochschild, *Duch króla Leopolda. Opowieść o chciwości, terrorze i bohaterstwie w kolonialnej Afryce*, przeł. Piotr Tarczyński, Świat Książki, Warszawa 2012.

Termin „okupacja" rodzi mylne wrażenie, bo rzeczownik w liczbie pojedynczej sugeruje wspólne, jednolite doświadczenie, niezależnie od regionu czy grupy społecznej. Nacjonalistyczna historiografia skupia się na podboju „Polski", abstrakcyjnego bytu, a nie na przeżyciach ludzi. Umożliwia to zacieranie olbrzymich różnic między losami wsi i miasta, katolików i Żydów albo radziecką i niemiecką strefą okupacyjną. W rzeczywistości bowiem to, czego doświadczyła konkretna osoba, zależało od wielu zmiennych. Subiektywna tożsamość „Polaka" nie zawsze stanowiła najistotniejszy czynnik.

Osoby żyjące w radzieckiej strefie okupacyjnej znalazły się w świecie na opak. Dawne hierarchie społeczne i etniczne z dnia na dzień uległy odwróceniu. W czerwcu 1941 roku Hitler złamał pakt z ZSRR i rozpoczął marsz w kierunku Moskwy, lecz przez 23 miesiące rządów Stalina obywatele ziem

Drugiej Rzeczypospolitej na wschód od Bugu przeżywali zupełnie inną wojnę niż ludzie pod okupacją niemiecką. Pierwszym problemem Sowietów było utworzenie administracji. Czystki prowadzone pod koniec lat trzydziestych uderzyły szczególnie mocno w członków Partii Komunistycznej i w klasę białych kołnierzyków, toteż Związkowi Radzieckiemu jeszcze bardziej niż zwykle brakowało wykwalifikowanych kadr urzędniczych. W Polsce próżno było szukać urzędników o odpowiedniej postawie ideologicznej, rekrutowano więc każdego, kto mógł z jakiegokolwiek powodu nieprzychylnie odnosić się do elit Drugiej Rzeczypospolitej. Na kresach przynależność klasowa pokrywała się z etniczną. Większość ubogiego chłopstwa stanowiły osoby białoruskojęzyczne lub ukraińskojęzyczne, niemal wszyscy ubodzy kupcy mówili w jidysz, natomiast nauczyciele, policjanci, urzędnicy, zamożniejsi chłopi i ziemianie posługiwali się językiem polskim. Kiedy więc Sowieci zatrudniali osoby wykluczone do pracy w administracji, miało to istotną, po części zamierzoną konsekwencję, taką mianowicie, że osoby polskojęzyczne doświadczyły szczególnie okrutnego traktowania ze strony stalinowskiego ZSRR.

Dla około 320 tysięcy ludzi oznaczało to przymusową wywózkę do Azji Środkowej lub na Syberię[12]. Nowe władze państwowe pragnęły usunąć z regionu pogranicznego wszystkich, którzy mogli stać się wrogami, zwłaszcza biorąc pod uwagę kruchość paktu o nieagresji z Niemcami. Główną kategorię definiowania wroga miała stanowić klasa społeczna, a nie przynależność etniczna, lecz na kresach jedno zlewało

się z drugim. Nie jest w pełni jasne, jak Sowieci decydowali o urzędowym zaklasyfikowaniu kogoś jako „Polaka", ale właśnie tę narodowość przypisano przeszło 80 procentom deportowanych (na pozostałe 20 procent składali się Ukraińcy, Białorusini, Litwini i Żydzi z terytoriów II RP). Z reguły wywożono całe rodziny; dzieci stanowiły między jedną czwartą a jedną trzecią wysiedlonych. Trafiali oni na słabo zaludnione tereny na wschodzie, gdzie trudno było o porządny dom i wyżywienie. Szacunki dotyczące liczby ofiar śmiertelnych wśród wywiezionych są dość rozbieżne, ale większość uczonych twierdzi, że z powodu chorób, głodu i przepracowania zmarło około 60 tysięcy ludzi.

12 Omawiam tu na razie wyłącznie okres 1939–1941, przed hitlerowską inwazją na ZSRR. Do kolejnych wywózek doszło, kiedy Sowieci odbili terytoria na wschodzie Polski w 1944 i 1945 roku. W starszych źródłach możemy znaleźć większe liczby, obecnie mówi się jednak o 315–330 tysiącach wywiezionych. Omówienie dyskusji dotyczącej danych – zob. Katherine R. Jolluck, *Exile and Identity: Polish Women in the Soviet Union during World War II*, University of Pittsburgh Press, Pittsburgh 2002, s. 13. Zob. także: Albin Głowacki, *Deportowani w latach 1940–1941*, [w:] Materski, Szarota, *Polska 1939–1945*, dz. cyt., s. 238–246.

Zdarzały się losy gorsze niż wywózka. Około 110 tysięcy obywateli przedwojennej Polski aresztowano pod pretekstem rozmaitych sfabrykowanych zarzutów. Znaczna część trafiła do GUŁagu. Ponadto uwięziono 45 tysięcy oficerów, wziętych do niewoli podczas kampanii w 1939 roku. Byli oni wielokrotnie przesłuchiwani, śledczy chcieli bowiem się przekonać, czy część z nich gotowa jest zaakceptować system komunistyczny. Zatwardziałych wrogów trzymano do 5 marca 1940 roku, kiedy władze radzieckie wydały rozkaz stracenia 14 552 je-

ńców wojennych i 7305 innych osób strzałem w tył głowy i pochowania zwłok w masowych grobach. Masakra w lesie katyńskim jest najbardziej znanym przykładem tej fali zbrodni, jednak Sowieci zabili też kilka tysięcy więźniów – incydenty tego rodzaju zdarzały się jeszcze latem 1941 roku, a zatem już po inwazji niemieckiej na ZSRR.

Ci, którzy pozostali na Kresach, musieli znosić skutki kolektywizacji rolnictwa, przejęcia przez władzę niemal wszystkich prywatnych sklepów i zakładów, ograniczenia i ścisłej kontroli rozmaitych form życia religijnego oraz przymusowych kampanii „reedukacyjnych". Zagadnienia te zostaną omówione później, kiedy przejdziemy do powojennej budowy Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. W tym miejscu wystarczy jedynie stwierdzić, że dla większości kresowych Polaków „wyzwolenie" przez komunistów było doświadczeniem opresji. Najboleśniejszego upadku doznało ziemiaństwo; chłopi (bez względu na pochodzenie etniczne) raczej nie wylewali łez, gdy miejscowa elita traciła przywileje i władzę. Jednak w poszukiwaniu potencjalnych wrogów komuniści nie ograniczali się wyłącznie do bogaczy. Brali też na cel nauczycieli, księży, urzędników niskiego szczebla, policjantów, zamożnych rolników i w ogóle wszystkie osoby zainteresowane utrzymaniem dawnego porządku.

Żydzi, Białorusini i Ukraińcy różnie odnosili się do nowej sytuacji. Pewna grupa Białorusinów i Ukraińców otrzymała posady wiążące się z władzą, lecz chłopską większość przymusowo włączono do kolektywnych gospodarstw rolnych. Mało kto uważał, że to pozytywna odmiana losu. Najbiedniej-

si chłopi zapewne odrobinę się wzbogacili, lecz przyszło im pożegnać marzenia o autonomii, jaką dałby własny, choćby niewielki skrawek ziemi. Nasza wiedza o kulturze chłopskiej w Europie Wschodniej w połowie XX wieku wskazuje, że musiało to być bardzo bolesne. Żydzi w większości poczuli ulgę, że znaleźli się pod okupacją Sowietów, a nie Niemców, ale ponieważ trudnili się sklepikarstwem i rzemiosłem, zniesienie własności prywatnej nie leżało w ich interesie. Przed drugą wojną światową tylko maleńki odsetek Żydów popierał komunizm; po 1939 roku reszta bynajmniej nie doznała cudownego nawrócenia. Wiedzieli jednak, co dzieje się z Żydami w nazistowskiej strefie okupacyjnej, i gotowi byli zaakceptować dramatyczne zmiany społeczne w zamian za szansę przetrwania. Niektóre społeczności żydowskie witały w 1939 roku armię radziecką, nie wynikało to jednak z pobudek ideologicznych ani antypolskiej niechęci. Owe gesty były jedynie potwierdzeniem, że przybycie Sowietów oznacza spokój od Niemców. Państwo radzieckie zrekrutowało nieco Żydów, lecz większość z nich po prostu starała się trzymać z dala od wszelkich kłopotów.

Podział terytorium Polski, 1940

Nieżydowscy sąsiedzi uważali postępowanie Żydów pod radziecką okupacją za co najmniej niewłaściwe, a nawet za akt zdrady. Mit żydokomuny przybrał na sile. Z perspektywy siedmiu dekad łatwo zrozumieć zarówno Żydów, którzy czuli ulgę na widok wojsk Stalina, jak i katolików, którzy uważali, że hitlerowcy i Sowieci są równie odrażający. W tamtym miejscu, w tamtym czasie niełatwo było wyjść poza stereotypy, zwłaszcza że sytuacja zmuszała do skupiania się na bieżących problemach własnej rodziny i społeczności. Trzeba też pami-

ętać, że tak jak część Żydów za mniejsze zło uważała Sowietów, niektórzy przedstawiciele ziemiaństwa podobnie odnosili się do nazistów. Dla niejednego polskiego ziemianina atak Trzeciej Rzeszy na ZSRR w 1941 roku oznaczał wyzwolenie spod rządów komunistycznych. Pewna kobieta, reprezentująca tę grupę społeczną, tak oto opisywała swe uczucia w tamtym czasie: „Na Niemców patrzyliśmy jak na wybawienie. Jak zrzucali bomby, to patrzyliśmy na nie z rozkoszą. Tak, cieszyliśmy się. Dla nas najgorsi byli bolszewicy. Ziemiaństwo miało się dobrze za czasów niemieckich”[13]. Słowa te nie oznaczają, że ich autorka była zwolenniczką nazizmu – zwłaszcza że podczas wojny pomagała ukrywającym się Żydom. Stanowią po prostu szczerą ocenę niebezpieczeństw, z jakimi kobieta i jej rodzina musieli mierzyć się podczas wojny. Identyczny mechanizm działał w przypadku Żydów na wschodzie, uchronionych w 1939 roku przed Hitlerem. W oczach wielu osób strefy okupacyjne wcale nie były zatem równoważne.

13 Cyt. za: Longina Jakubowska, *Patrons of History: Nobility, Capital and Political Transitions in Poland*, Ashgate, Farnam 2012, s. 78. Dziękuję profesor Jakubowskiej za udostępnienie mi oryginalnego polskiego cytatu ze swoich wywiadów.

Niepodobna zaprzeczyć, że radzieckie rządy na wschodnich terytoriach II RP były okrutne. Jedynie wynaturzone normy drugiej wojny światowej mogły sprawić, że przemoc Sowietów bladła w porównaniu z ludobójczym reżimem zaprowadzonym przez Trzecią Rzeszę. Co więcej, nawet na terenach zajętych przez Niemców należałoby mówić nie o jednej, lecz o wielu strefach okupacyjnych. Różne społeczności i różne re-

giony podlegały różnym jednostkom administracyjnym. Niekiedy przesądzało to o życiu lub śmierci.

Północna i zachodnia część kraju została po prostu zaanektowana do Rzeszy. Wysiedlono stamtąd łącznie 450 tysięcy Polaków i 300 tysięcy Żydów. Na ich miejsce zjawiło się kilkaset tysięcy niemieckich osadników. Nim rok 1939 dobiegł końca, zgermanizowano lub zamknięto prawie wszystkie polskie i żydowskie gazety, biblioteki, teatry, kina, szkoły i muzea. Zgermanizowano też Kościół katolicki: rozwiązano polskojęzyczne parafie i aresztowano księży (752 z nich zostało zamordowanych). Nie uchowały się żadne polskie instytucje; Polacy, którzy pozostali na miejscu, stali się w praktyce niewolnikami.

Sytuacja przedstawiała się inaczej (choć bynajmniej nie lepiej) na terenach obejmujących Warszawę, Kraków i Lublin. Nadano im ogólnikową nazwę *Generalgouvernement für die besetzten polnischen Gebiete* (Generalne Gubernatorstwo dla okupowanych ziem polskich). Po inwazji na ZSRR w czerwcu 1941 roku owa jednostka administracyjna rozciągnęła się na południowy wschód i objęła też między innymi Lwów, Tarnopol i Stanisławów. Hitlerowcy od dawna planowali umieszczanie tam niemieckich osadników, lecz na razie ziemie służyły do przesiedlania niechcianych Polaków i Żydów. W Generalnym Gubernatorstwie zachowano pewne mniej istotne polskie instytucje (w tym policję), lecz wszystkie ważne stanowiska, zwłaszcza w miastach, zajęli Niemcy. Największą bodaj różnicą było to, że Kościół katolicki pozostał polską instytucją, a księżom pozwolono nadal prowadzić parafie, o ile

nie występowali otwarcie przeciwko nowej władzy. Największe getta i obozy śmierci znajdowały się przeważnie w Generalnym Gubernatorstwie. Nawet dla osób, które nie miały żydowskiego pochodzenia, stało się ono czeluścią piekła okupowanej Europy.

Hitler objaśniał w 1940 roku koncepcję polityki wobec Polaków, przypominając jednemu ze swych podwładnych: „Dla nich może istnieć tylko jedna rasa panów: Niemcy. Pan musi być tylko jeden. Dlatego trzeba eksterminować wszystkich przedstawicieli polskiej inteligencji. Brzmi to okrutnie, ale takie jest prawo życiowe”[14]. Tłumaczy to, dlaczego podczas wojny zginęła niemal jedna trzecia Polaków mających tytuły naukowe. Wymownym symbolem polityki okupacyjnej były wydarzenia na Uniwersytecie Jagiellońskim 6 listopada. Miejscowy dowódca niemieckiego oddziału operacyjnego kazał kadrze stawić się na obowiązkowe zebranie, podczas którego miał zostać zaprezentowany plan kształcenia akademickiego pod nowymi rządami. Okazało się to pułapką: przybyłych profesorów aresztowano i wysłano do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Siedemnastu zmarło, zanim w lutym następnego roku większość więźniów została wypuszczona po interwencji Mussoliniego i Watykanu. Pozostali odzyskali wolność kilka miesięcy później. Uniwersytet Jagielloński, podobnie jak wszystkie polskie uczelnie, nie mógł prowadzić działalności aż do końca wojny.

14 *Trial of the Major War Criminals*, dz. cyt., t. 7, s. 224.

Ów fakt jest wymowny z dwóch powodów. Po pierwsze pokazuje, że naziści dążyli do zniszczenia elit. Marginalizowali lub nawet mordowali intelektualistów, artystów, lekarzy, prawników, polityków – słowem, wszystkie osoby, które mogłyby stanąć na czele opozycji lub zadawały kłam hitlerowskiej tezie, jakoby Polacy byli prymitywnymi dzikusami, nadającymi się jedynie na niewolników. Niemcy nie tylko urządzali publiczne egzekucje i zabijali losowo wybranych ludzi, stosując tym samym odpowiedzialność zbiorową za rozmaite przewiny, ale też próbowali eksterminować całe segmenty populacji. Po drugie jednak wypuszczenie krakowskich profesorów świadczy o niekonsekwencji władzy okupanta. Niekonsekwencji, którą Polacy bez ustanku próbowali wykorzystywać. Stereotyp sprawnego i świetnie zorganizowanego państwa nazistowskiego to jeden z najbardziej błędnych mitów na temat drugiej wojny światowej. Trzecia Rzesza była zbrodnicza i despotyczna, lecz zarazem panowały w niej korupcja i chaos. Hitler gardził biurokracją: uważał, że wymyślili ją liberałowie, by zamiast woli wielkich przywódców panowały bezduszne regulacje i przepisy. W Niemczech naziści stworzyli równoległe struktury władzy partyjnej i państwowej. Różne instytucje dublowały swe działania i konkurowały, realizując te same projekty. Ignorowano procedury sądowe, by śledczy i prokuratorzy zyskali większą władzę. Wszystko to uczyniło Trzecią Rzeszę jednym z najmniej sprawnych i najbardziej nieefektywnych państw w dziejach współczesnej Europy. W Generalnym Gubernatorstwie powyższe problemy zdecydowanie przybrały na sile, co dla Polaków oznaczało

pojawienie się cennych (choć przygodnych i nieprzewidywalnych) szans. Urzędników dawało się przekupywać, rozmaite frakcje można było rozgrywać przeciwko sobie nawzajem i w ten sposób od czasu do czasu pomyślnie rozstrzygnąć jakąś sprawę życia i śmierci. Losy Oskara Schindlera to opowieść o bohaterskim człowieku. Z pewnością potoczyłaby się ona zupełnie inaczej, gdyby nie brak organizacji i nieudolność władz okupacyjnych. Właśnie dzięki temu Schindler mógł manipulować urzędnikami Generalnego Gubernatorstwa i przedstawicielami SS. Znamienne, że wzbogacił się (i uratował wiele osób) w okupowanej Europie Wschodniej, ale nie poradził sobie jako biznesmen po wojnie, kiedy zaprowadzono porządek i zaczęto stosować ściślejsze reguły[15].

15 Wszyscy znają film Stevena Spielberga *Lista Schindlera* z 1993 roku. Mało kto jednak pamięta, że jest on adaptacją nagrodzonej Bookerem powieści Thomasa Keneally'ego *Arka Schindlera* z roku 1982. Amerykańskie wydanie nosiło inny tytuł niż australijski oryginał – „Arkę" zastąpiła „Lista".

Wspomniane sprzeczności i ułomności władzy w najmniejszym stopniu nie łagodziły sytuacji w okupowanym kraju. Ba, czyniły ją bardziej przerażającą, dochodził bowiem czynnik ślepego losu. Z reguły wyobrażamy sobie nazizm jako rządy sprawowane za pomocą ścisłych i brutalnych regulacji. To jednak zakłada, że wystarczyło postępować zgodnie z zasadami i się nie wychylać, by ocalić skórę. Tymczasem panowała powszechna dezorientacja, gdyż wskutek administracyjnego chaosu trudno było odgadnąć, które reguły zostaną w danej sytuacji zastosowane, a które zignorowane. Zdarzało się, że ludzi aresztowano lub zabijano bez żadnego powodu. Nieza-

leżnie od lekceważenia biurokratycznych norm skuteczne zarządzanie Generalnym Gubernatorstwem przekraczało zdolności niemieckiego państwa. Brakowało Niemców na stanowiska, zwłaszcza po inwazji na ZSRR latem 1941 roku. Niełatwo było znaleźć osoby skore do pracy na terenach okupowanej Polski. Miejscowa populacja odnosiła się do Niemców z nieprzejednaną wrogością, z regionu wywożono niemal wszystkie zasoby, praca tam oznaczała ślepą uliczkę w karierze i pozwalała co najwyżej wzbogacić się dzięki łapówkom. Taka sytuacja nie przyciągała rzecz jasna szczególnie kompetentnych przedstawicieli niemieckiej służby cywilnej. Zresztą osoby wykwalifikowane brano na oficerów, co dodatkowo pomniejszało pulę potencjalnych urzędników. W rezultacie Generalnym Gubernatorstwem zarządzała garstka twardogłowych nazistów, wspierana głównie przez osoby nienadające się do walki na froncie, a zarazem zbyt mało wprawne lub bystre, by zapewnić sobie wygodne posady w ojczyźnie.

Do tego dochodził problem nieustannych braków kadrowych. W Warszawie latem 1940 roku było tylko 2,5 tysiąca urzędników z Niemiec i 5,5 tysiąca miejscowych osób niemieckiego pochodzenia. Odpowiadali oni za zarządzanie populacją liczącą 895 tysięcy etnicznych Polaków i 393,5 tysiąca Żydów. Po inwazji na ZSRR przybyło niemieckich żołnierzy i cywilów, lecz nawet wówczas łączna liczba Niemców w Warszawie nie przekroczyła 2 procent ogółu ludności. Więcej Niemców było w Krakowie, stolicy Generalnego Gubernatorstwa. Natomiast na wsi okupant pozostawał bardzo słabo reprezentowany. Mniej więcej w trzech czwartych gmin admi-

nistratorów wybrano spośród miejscowych (choć zazwyczaj dochodziło do zmian personalnych względem sytuacji sprzed wojny)[16].

16 Dane pochodzą z: Jan Tomasz Gross, *Polish Society under German Occupation*, Princeton University Press, Princeton 1979, s. 139–142; Tomasz Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, Czytelnik, Warszawa 1973, s. 67.

Liczby podane w poprzednim akapicie mogą powodować dezorientację, bo w okupowanej Polsce nie było jasności, kogo należy uważać za Niemca. Pod koniec 1940 roku hitlerowcy utworzyli tak zwaną volkslistę, rejestr osób narodowości niemieckiej na podbitych terytoriach. Wyróżniono cztery kategorie:

kategoria 1: osoby identyfikujące się z narodem niemieckim przed 1939 rokiem, zwłaszcza wspierające działalność partii nazistowskiej;

kategoria 2: osoby narodowości niemieckiej, posługujące się językiem niemieckim, które przed wojną nie były aktywne w polityce;

kategoria 3: osoby „częściowo spolonizowane", na przykład mówiące po śląsku lub kaszubsku;

kategoria 4: „spolonizowani Niemcy", czyli osoby o niemiecko brzmiących nazwiskach, nieznające języka lub aktywnie działające przed wojną w polskich organizacjach.

Osoby z kategorii pierwszej i drugiej automatycznie otrzymywały obywatelstwo Trzeciej Rzeszy. Kategorii trzeciej przyznawano pewne przywileje i prowizoryczne obywatelstwo. Ludzi z czwartej kategorii określano mianem „renegatów" i traktowano odpowiednio gorzej.

Wydawało się, że człowiek ma do czynienia ze sprawną procedurą, lecz w rzeczywistości panował chaos typowy dla ustroju nazistowskiego. Przyporządkowanie do poszczególnych kategorii następowało na podstawie indywidualnie wypełnionej i podpisanej ankiety (stąd pochodzi zwrot „podpisać volkslistę"). W Generalnym Gubernatorstwie podpisanie volkslisty uchodziło za zdradę i mało kto się na to zdecydował – tylko około 120 tysięcy ludzi wśród 17 milionów mieszkańców tych ziem[17]. Jednak na terenach przyłączonych bezpośrednio do Trzeciej Rzeszy sprawy wyglądały inaczej. Zarówno rząd londyński, jak i katoliccy biskupi apelowali, by wszystkie uprawnione osoby złożyły swój podpis i dzięki temu uniknęły deportacji. Do 1942 roku ponad trzy miliony ludzi zawnioskowało o włączenie do jednej z czterech kategorii (większości przyznano kategorię trzecią). Pozwalało to uniknąć prześladowań, które spotykały rodaków, ale zarazem dla młodych mężczyzn oznaczało pobór do wojska. W rezultacie równie wielu obywateli przedwojennej Polski trafiło do niemieckiej armii co do oddziałów podziemia. Nie znaczy to, że byli wierni Rzeszy. Oficerowie Wehrmachtu wielokrotnie skarżyli się, że poborowi dezerterują, a podczas walki bardziej skupiają się na ratowaniu życia niż na zadawaniu szkód wrogom. Osoby z volkslisty mogły piastować stanowiska w administracji, lecz często robiły to, by po kryjomu pracować na rzecz polskiego rządu.

17 Armin Nolzen, *Organizing the 'People's Community': The NSDAP and the 'Ethnic Germans' in Nazi-Occupied Territories*, „Journal of Genocide Research" 2017, 19:2, s. 174.

Kombinacja rasizmu i urzędniczego bałaganu zrodziła ustrój bezprecedensowo okrutny i arbitralnie brutalny. Oficjalnie główną karą za rozmaite przewinienia była śmierć, głównie dlatego, że władze nie radziły sobie ze stosowaniem subtelniejszych sankcji. Egzekucja groziła za błahostki w rodzaju słuchania radia, handlowania na czarnym rynku, naruszania godziny policyjnej albo za odważne czyny, na przykład przechowywanie Żydów lub przyłączenie się do ruchu oporu. W przypadku osób narodowości żydowskiej lista przewin była jeszcze dłuższa: już samo zapuszczenie się poza teren getta mogło oznaczać śmierć. Lista zakazów obejmowała wiele absurdalnych punktów. Mieszkańcom Warszawy zabraniano grać muzykę taneczną albo kąpać się w Wiśle (jedno i drugie zostało później dopuszczone). Kar nie stosowano konsekwentnie. Ba, żadne przepisy nie były ściśle egzekwowane, a poziom „tradycyjnej" przestępczości poszybował w górę. Naziści korzystali z pomocy polskiej policji (tak zwanej granatowej), lecz powierzali jej wyłącznie najprostsze zadania. Tymczasem Gestapo, czyli tajna policja polityczna, złożona z Niemców, miało ręce pełne roboty i mogło co najwyżej tropić członków podziemia, z czym zresztą też nie radziło sobie zbyt skutecznie. Przestępstwa popełniane wśród Polaków i Żydów prawie zupełnie nie interesowały władz okupacyjnych.

Szczególnie często obchodzono przepisy dotyczące handlu, gdyż nikt nie zdołałby przetrwać bez czarnego rynku. System racjonowania okazał się niedorzecznie restrykcyjny; mógłby budzić śmiech, gdyby nie spowodował tak ogromnych cier-

pień. Do wiosny 1940 roku Polacy i Żydzi otrzymywali podobne kartki. Pierwszym przysługiwało 609 kalorii dziennie, drugim 503 kalorie. (Jak zwykle szczegółowość regulacji była odwrotnie proporcjonalna do prawdopodobieństwa stosowania jej w praktyce). Jednak przydział dla Polaków rósł z upływem miesięcy; w grudniu wynosił 938 kalorii (spadł następnej wiosny). Tymczasem przydział żydowski malał ustawicznie, aż wreszcie latem 1941 roku osiągnął ledwie 198 kalorii. Przyjrzyjmy się owym liczbom w odpowiednim kontekście: badania bezrobotnych w Polsce w 1932 roku, a więc w najgorszym okresie wielkiego kryzysu, wykazują, że mężczyźni spożywali dziennie 2600 kalorii. Jest oczywiste, że oficjalne kartki nie zapewniały ilości jedzenia niezbędnej do egzystencji, więc czarny rynek rozkwitał w najlepsze. Mówiąc ściślej, rozkwitał poza murami gett, w gettach zaś pozwalał utrzymać niektórych przy życiu. Zanim jeszcze ruszyły obozy śmierci, Żydów stopniowo zabijał głód. Średnia liczba spożywanych dziennie kalorii w gettach wynosiła około 1100. Nawet członkowie Judentratów (rad żydowskich, powołanych do reprezentowania Żydów w kontaktach z Niemcami) spożywali zaledwie około 1600 kalorii, przy czym mówimy tu o średnich, a więc nie wolno zapominać, że za liczbami kryją się znaczące odchylenia i nierówności. Sytuacja Polaków przedstawiała się lepiej, lecz i tak fatalnie. W 1930, 1943 i 1947 roku przeciętny wzrost i waga polskich chłopców były mniej więcej takie same, co sugeruje, że udało się zachować podstawowe minimum. Trzeba jednak poczynić istotne zastrzeżenie: otóż zarówno władze niemieckie, jak i same rodziny dbały o to, by

młodzi mężczyźni dostawali więcej żywności kosztem innych osób. W rezultacie wśród kobiet, osób starszych, rannych i chorych panowało niedożywienie[18].

18 Szczegóły dotyczące wojennej diety – zob. Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, dz. cyt., s. 186.

Hitlerowcy wprowadzili też górny pułap wynagrodzeń, by Polacy zarabiali więcej niż Żydzi i by nikt nie dostawał więcej pieniędzy niż najgorzej opłacani Niemcy. Kwotę ustalono na tak niskim poziomie, że praca na czarno stała się koniecznością. Stąd chociażby poniższy dowcip:

– Cóż porabiasz?
– Mam posadę.
– No a żona twoja?
– Również pracuje.
– A córka?
– Także siedzi w urzędzie.
– No to z czego wy żyjecie?
– Chwalić Boga, syn jest bez zajęcia[19].

19 Tamże, s. 106.

Dowcip dowcipem, ale pozostawanie bez zatrudnienia nie wchodziło w grę, gdyż osobie nieposiadającej karty pracy (*Arbeitskarte*) groziła wywózka do Niemiec na roboty przymusowe. W październiku 1943 roku ogłoszono, że za brak karty będzie wymierzana kara śmierci (jakżeby inaczej).

Niedorzecznie drakońskie przepisy ustanowione przez okupanta dawało się naginać, a nawet łamać, lecz człowiek

nigdy nie miał pewności, czy nie trafi akurat na gorliwego urzędnika. Żydzi w takiej sytuacji niemal zawsze płacili życiem, natomiast Polakom czasem udawało się wykupić od więzienia albo uciec. Właściwie każdy naruszał jakieś przepisy. Jeśli kończyło się to wpadką, Niemiec mógł wziąć łapówkę, nakazać aresztowanie lub po prostu zastrzelić sprawcę na miejscu. Wszystkim nieustannie towarzyszyło też zagrożenie wywózki na roboty przymusowe. Z początku władze okupacyjne próbowały rekrutować ochotników do pracy, obiecując zdesperowanym Polakom dach nad głową i wyżywienie. Wkrótce jednak zaczęły krążyć opowieści o okrutnych warunkach czekających na robotników i Niemcy musieli przerzucić się na organizowanie łapanek. Zatrzymywali zdatnych do pracy mężczyzn i kobiety, a nawet dzieci. Latem 1940 roku podczas jednej tylko akcji zgarnięto na ulicach 10 tysięcy ludzi. Do niewolniczej pracy w fabrykach i gospodarstwach rolnych w Rzeszy trafiło łącznie co najmniej 2 miliony 478 tysięcy Polaków[20].

20 Agnieszka Dzierżanowska, Dariusz Pawłoś, *Polacy na robotach przymusowych w Trzeciej Rzeszy*, [w:] Materski, Szarota, *Polska 1939–1945*, dz. cyt., s. 128–161.

Na Żydów czyhały nieporównywalnie większe zagrożenia. W 1939 roku śladem niemieckiej armii szły specjalne jednostki SS zwane Einsatzgruppen. Miały one dwa zadania: tropić potencjalnych uczestników ruchu oporu wśród polskich cywilów oraz przesiedlić Żydów do wyznaczonych dzielnic. Zbrodnie Einsatzgruppen przybierały różny charakter, począwszy od dehumanizacji (golenie bród ortodoksyjnym Żydom, bez-

czeszczenie artefaktów religijnych i tym podobne), a skończywszy na barbarzyństwie (masowe gwałty i mordy). Raz jeszcze musimy zrewidować stereotyp nazistowskiej machiny państwowej działającej rzekomo jak w zegarku: operacje koszarowania Żydów w gettach i aresztowań wśród polskiej elity wiązały się zazwyczaj z niezborną (lecz tolerowaną) przemocą i aktami bandytyzmu.

Typowym przykładem nazistowskiej nieefektywności była także sprzeczna polityka koncentracji i segregacji. Z jednej strony Einsatzgruppen miały za zadanie umieścić Żydów z tysięcy miast, miasteczek i wiosek w kilku dużych, łatwych do zarządzania gettach. Z drugiej strony część władz okupacyjnych próbowała rozproszyć Żydów po różnych miejscach i pozbyć się ich z głównych miast (miały się one stać *Judenfrei*, wolne od Żydów). Utworzenie i prowadzenie gett pozostawiono lokalnym urzędnikom, sytuacja była więc mocno zróżnicowana regionalnie. Przykładowo w okolicach Radomia działało ponad 100 małych gett. Tymczasem inne getta rozrosły się do ogromnych rozmiarów, zwłaszcza te w Łodzi (około 164 tysięcy ludzi) i w Warszawie (około 460 tysięcy ludzi). Czasami powstawały w dzielnicach żydowskich, ale nie zawsze. W Krakowie przed wojną najwięcej Żydów mieszkało na Kazimierzu. Ponieważ jednak była to atrakcyjna okolica blisko centrum miasta, hitlerowcy kazali Żydom przenieść się gdzie indziej, uprzednio wyrzuciwszy Polaków z domów na terenie planowanego getta. W Warszawie w dzielnicy przewidzianej do utworzenia getta żyło 290 tysięcy Żydów i 140 tysięcy chrześcijan; z kolei 110 tysięcy Żydów mieszkało w in-

nych częściach stolicy. Relokacje dokonywały się więc w różnych kierunkach.

Często się zapomina, że w każdym mieście powstały trzy strefy: żydowska, polska i niemiecka. Ta ostatnia była najmniejsza, lecz wyznaczano ją w najelegantszej okolicy, wśród zielonych parków. W miastach i miasteczkach często spotykało się napisy *Nur für Deutsche* (Tylko dla Niemców). Dzielnice żydowskie były starannie odgrodzone od polskich i niemieckich, choć nazistom nie udało się ich nigdy zamknąć tak szczelnie, jak planowali. W dużych miastach powstawały dobrze strzeżone mury, natomiast w mniejszych ośrodkach wystarczały płoty lub po prostu tabliczka z informacją, że Żydom nie wolno zapuszczać się poza wyznaczoną linię. Zresztą nawet pomimo murów często dawało się uciec kanałami. W Warszawie między ulicami Lesznem a Ogrodową stoi budynek sądu, który miał dwa wejścia: jedno dla Polaków, drugie dla Żydów. Dzięki temu służył jako niezwykle ważny punkt komunikacyjny. Inaczej wyglądała sytuacja w Łodzi, gdzie getto, również odgrodzone murem, mieściło się w biednej dzielnicy, pozbawionej podstawowej infrastruktury miejskiej. Nie było tam kanalizacji, przez co panowały fatalne warunki sanitarne, a poza tym trudniej było tworzyć linie komunikacyjne, prowadzić nielegalny handel i uciekać na zewnątrz[21].

21 Dziękuję Wiktorowi Marcowi za te informacje.

W gettach żyło się straszliwie. Wspominałem już o różnicach między polskimi i żydowskimi kartkami żywnościowymi. Dodatkowo Żydzi nie mieli stałego dostępu do czarnoryn-

kowych towarów ani produktów medycznych. Nic dziwnego, że liczba zgonów w gettach szybowała w górę. Przykładowo w okresie między utworzeniem getta w Warszawie a początkiem akcji likwidacyjnej w 1942 roku 83 tysiące Żydów zmarło z głodu[22]. Do tego dochodziło „przeludnienie" – aczkolwiek to zbyt łagodna nazwa ówczesnych warunków lokalowych. W getcie w miasteczku Odrzywół 692 Żydów skoszarowano w budynkach zajmowanych wcześniej przez zaledwie pięć rodzin[23]. Powierzchnia getta w Warszawie wynosiła 3,4 kilometra kwadratowego. Na jedną izbę przypadało tam siedem osób[24].

22 The United States Holocaust Memorial Museum On-Line Holocaust Encyclopedia, https://bit.ly/2KQ2fqR.

23 Geoffrey Megargee, Martin Dean (red.), *The United States Holocaust Memorial Museum Encyclopedia of Camps and Ghettos, 1933–1945*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 263.

24 Yisrael Gutman, *The Jews of Warsaw, 1930–1943: Ghetto, Underground Revolt*, Indiana University Press, Bloomington 1989, s. 62.

Sytuacja uległa pogorszeniu – i to znacznemu – w 1942 roku, kiedy hitlerowcy rozpoczęli likwidacje gett. Blisko połowa Żydów, którzy zginęli w Holokauście, poniosła śmierć w swych rodzimych miastach lub w okolicy. Standardowa metoda polegała na zmuszeniu ofiar do wykopania potężnej dziury w ziemi. Następnie Żydów ustawiano w szeregu i rozstrzeliwano. Niekiedy do pomocy w spędzaniu i pilnowaniu ludzi brano lokalnych mieszkańców, jednak zabijali z reguły Niemcy. Potem sprawcy dzielili się żydowskimi łupami; najcenniejsze zdobycze przesyłano do Rzeszy, resztę pozwalano zatrzymać miejscowym. Żydzi, którzy nie zginęli w gettach,

byli przewożeni do nowo utworzonych obozów śmierci. Różniły się one od obozów koncentracyjnych zakładanych przez hitlerowców, odkąd doszli do władzy w 1933 roku. Nowe lagry służyły prawie wyłącznie do zabijania. Wszyscy słyszeli o największym z nich, czyli o Auschwitz – w istocie był to potężny kompleks, obejmujący obóz pracy, więzienia oraz niesławny obóz zagłady Birkenau – powstało też jednak kilkaset innych. O ile w Auschwitz prowadzono selekcję nowo przybyłych więźniów, by rozstrzygnąć, kto zostanie zabity od razu, a kto będzie wykonywał niewolniczą pracę, o tyle w pozostałych obozach śmierci prawie wszyscy trafiali do komór gazowych. W Treblince zamordowano niemal 800 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, w Bełżcu pół miliona. Auschwitz zapisał się w dziejach ze względu na swój rozmiar i ze względu na poruszające wspomnienia ocalałych. Kiedy w 1945 roku wyzwolono obóz, było tam około 7 tysięcy żywych ludzi. 196 osób zdołało uciec wcześniej. Kolejne 60 tysięcy więźniów przeniesiono z Auschwitz do innych obozów w ostatnich miesiącach wojny. Część tych ludzi zdołała przetrwać. Natomiast w przypadku Bełżca wiemy tylko o dwóch osobach, które uniknęły śmierci[25].

25 Najpełniejszy przegląd losów więźniów Auschwitz prezentuje pięciotomowa praca pod redakcją Wacława Długoborskiego i Franciszka Pipera *Auschwitz 1940–1945. Węzłowe zagadnienia z dziejów obozu*, Oświęcim: Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau 1995. Na temat ocalałych z Bełżca zob. Dariusz Libionka (red.), *Obóz zagłady w Bełżcu w relacjach ocalonych i zeznaniach polskich świadków*, Państwowe Muzeum na Majdanku, Lublin 2013.

Do połowy 1943 roku większość gett zlikwidowano. Pierwszy raz od ponad pięciu stuleci w miastach, miasteczkach i wsiach Europy Północno-Wschodniej nie było żydowskich społeczności. Około 300 tysięcy Żydów zdołało uciec i się ukryć; wojnę przeżyło tylko niespełna 50 tysięcy[26]. Jedynie łódzkie getto funkcjonowało jeszcze po 1943 roku, głównie dzięki swemu autorytarnemu przywódcy Chaimowi Rumkowskiemu. Stosował on bezlitosne metody, by zmuszać Żydów do pracy na rzecz niemieckiej gospodarki wojennej. Pomagał nawet w zorganizowaniu deportacji dzieci, choć dobrze wiedział, że wszystkie zginą. Robił to, gdyż liczył, że zdoła ocalić przynajmniej część osób, jeśli Niemcy uznają je za użytecznych robotników. Getto zostało ostatecznie zlikwidowane w połowie 1944 roku, na tyle późno, że faktycznie części mieszkańców udało się przeżyć.

26 Andrzej Żbikowski, *„Night Guard": Holocaust Mechanisms in the Polish Rural Areas, 1942–1945*, „East European Politics and Society" 2011, t. 25, nr 3, s. 512–529.

Ludzie ginęli do ostatnich dni wojny. Operacja mordowania Żydów miała dla Hitlera pierwszorzędne znaczenie, do tego stopnia, że pochłaniała nawet zasoby niezbędne do prowadzenia działań wojennych. Ponad połowa ofiar Holokaustu (3,3 miliona ludzi) zginęła w obozach. Kolejne 2 miliony zostały zabite przez członków Einsatzgruppen, a pół miliona zginęło w gettach. Większość ofiar miała przed wojną polskie obywatelstwo – właśnie dlatego Niemcy budowali getta i obozy zagłady na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Mordowano jednak osoby z całej Europy: co najmniej milion

z ZSRR, 550 tysięcy z Węgier, 270 tysięcy z Rumunii, po 140 tysięcy z Niemiec, Czechosłowacji i Litwy, 100 tysięcy z Holandii i 350 tysięcy z innych państw[27]. Obozy stanowiły centrum rozległej sieci terroru.

27 Wszystkie dane mają charakter szacunkowy. Zob. Yehuda Bauer, Robert Rozett, *Estimated Jewish Losses in the Holocaust*, [w:] Yisrael Hutman (red.), *Encyclopedia of the Holocaust*, Macmillan, New York 1990, s. 1799.

Obywatele II RP niemający żydowskiego pochodzenia nie byli narażeni na podobne zagrożenie, lecz również cierpieli na skutek straszliwej nazistowskiej przemocy. Zamordowano ponad 1,6 miliona polskich katolików, często w odwecie za prawdziwą lub domniemaną działalność wymierzoną przeciwko władzom okupacyjnym. Nie liczyło się, czy ofiara faktycznie należała do ruchu oporu. Naziści traktowali Polaków jako jednolitą zbiorowość. Skoro „Polacy" kontestowali ich rządy, należało dać im nauczkę. Generalny gubernator Hans Frank wyjaśniał później: „Nie wahałem się powiedzieć, że za każdego zabitego Niemca rozstrzelamy stu Polaków"[28]. Gestapo zdołało złapać wielu przywódców AK, aczkolwiek równie dużą rolę co detektywistyczna praca śledczych odgrywał tu przypadek. Postawa Franka jest godna potępienia, ale i powszechna. Również w naszych czasach spotykamy się z potępianiem całej zbiorowości za czyny osób, które rzekomo ją reprezentują. Podczas drugiej wojny światowej wszystkie siły okupacyjne (i, nie ukrywajmy, również ruchy oporu) reagowały przemocą na przemoc, nie dbając, czy dotknie ona wyłącznie winnych, czy również postronne osoby. W Europie

Wschodniej rzecz miała się jednak nieco inaczej, nawet jeśli wziąć na moment w nawias Holokaust jako wyjątkowy przypadek: w okupowanej Polsce odsetek ofiar nieżydowskiego pochodzenia sięgnął 7 procent przedwojennej populacji, tymczasem we Francji był to niespełna 1 procent.

28 *Trial of the Major War Criminals*, dz. cyt., t. 7, s. 467, 470.

Nie da się tu oddzielić skutku i przyczyny, gdyż działały dwa czynniki wzmacniające się nawzajem: ideologia oraz degeneracja instytucji, które w innych okolicznościach mogłyby powstrzymać rozlew krwi. Historycy przez długi czas umniejszali rolę ideologii. Było tak, ponieważ początkowo przypisano jej przesadne znaczenie: pierwsze powojenne analizy nazizmu przedstawiały zwykłych żołnierzy i oficerów wojsk okupacyjnych jako ludzi ślepo wykonujących wolę Hitlera. Upowszechnił się dyskurs o „totalitarnym" państwie, w którym wszelka niezależna myśl została zdławiona za pomocą indoktrynacji i wymuszonego posłuszeństwa. Wyolbrzymiał on znaczenie ideologii, aż wreszcie historycy, co zupełnie zrozumiałe, zaczęli alergicznie reagować na wszelkie tego rodzaju wyjaśnienia. Obecnie jednak, kiedy uproszczone wersje starych interpretacji o odgórnie narzuconej władzy zostały poddane odpowiedniej krytyce, możemy z powrotem wprowadzić ideologię na scenę, choć w nieco skromniejszej roli.

Naziści umieszczali Słowian w osobnej kategorii rasowej niż Anglików lub Francuzów. Poglądy te były dość ogólnikowe, niekonsekwentne i rzecz jasna nie miały nic wspólnego z faktami, ale kierowały się nimi osoby odpowiedzialne za

kształtowanie polityki Trzeciej Rzeszy. Właśnie dlatego Hitler i jego współpracownicy traktowali okupację Polski inaczej niż okupację Francji. W pierwszym przypadku chodziło o zrealizowanie długookresowych celów podporządkowania, dominacji i kolonizacji, natomiast w przypadku drugim szło o potrzebę polityczną. Francję i Wielką Brytanię należało wykluczyć z gry, by Hitler mógł przywłaszczyć sobie Polskę i ZSRR. Władze w Berlinie nie interesowały się szczególnie Francją jako taką, toteż tamtejszym instytucjom pozwolono funkcjonować dalej (w mniejszym lub większym zakresie). Inaczej rzecz miała się w przypadku Polski. Tu wszelkie instytucje zostały zniszczone. Z niszczeniem hitlerowcy radzili sobie znakomicie – wszak nie jest to szczególnie trudne. Jeśli natomiast chodzi o budowanie nowego porządku, wykazywali się nieudolnością z powodów przedstawionych powyżej. Nie musimy szukać żadnych głębokich strukturalnych, kulturowych ani politycznych przyczyn upadku ładu instytucjonalnego na wschodzie. Szczególnie trzeba wystrzegać się tez, jakoby niezbywalne cechy polskiej, rosyjskiej czy ukraińskiej historii (dawne lub obecne) predysponowały te regiony do przemocy. Z powodów moralnych i analitycznych zarówno pytania o winę, jak i wszelkie wyjaśnienia powinny się skupiać na nazistach, którzy zdecydowali się zniszczyć porządek społeczny i struktury władzy w okupowanej Polsce. Gdyby Hitler aresztował i wymordował całą francuską inteligencję, gdyby zabił Pétaina, zamiast umieścić go na czele marionetkowego rządu, na Zachodzie również zapanowałby brutalny chaos. Ale z po-

wodu odmiennego nastawienia wobec Francuzów Führer postąpił inaczej.

Opór

Jeśli wziąć pod uwagę brutalność władz okupacyjnych, nie jest zaskakujące, że w Polsce rozwinął się jeden z największych ruchów oporu w Europie (znacznie większy niż we Francji, mniej więcej równie potężny co w Jugosławii). Podczas drugiej wojny światowej działało wiele organizacji podziemnych: Bataliony Chłopskie, liczące 160 tysięcy członków, Narodowe Siły Zbrojne, skrajnie prawicowa grupa licząca od 80 do 100 tysięcy członków, oraz Armia Ludowa, partyzantka wspierana przez ZSRR, w której służyło od 10 do 30 tysięcy osób. Jednak największa była organizacja, którą wszyscy czytelnicy niniejszej książki na pewno doskonale znają: Armia Krajowa, koalicja sił lojalnych wobec generała Sikorskiego i rządu na uchodźstwie. Do AK należało około 350 tysięcy osób[29]. Powyższe liczby to jedynie zgrubne szacunki na podstawie niekompletnych danych, lecz świadczą o sile podziemnych ugrupowań.

29 Gross, *Polish Society*, dz. cyt., s. 281.

Pod względem militarnym AK odgrywała znacznie mniejszą rolę niż pod względem administracyjnym. Jej żołnierze podlegali premierowi Sikorskiemu w Londynie (choć struktury nie zawsze funkcjonowały jak należy). Wszystko możliwe

było dzięki istnieniu sieci odpowiedzialnych za rozpowszechnianie wśród Polaków informacji o przebiegu wojny, za przekazywanie wiadomości od rządu i pozyskiwanie cennych danych wywiadowczych na temat poczynań hitlerowców. Główny organ prasowy państwa podziemnego, „Biuletyn Informacyjny", ukazywał się w nakładzie dziesiątków tysięcy egzemplarzy – a oprócz niego istniały setki innych nielegalnych periodyków. Istniał także podziemny wymiar sprawiedliwości, odpowiedzialny za sądzenie osób oskarżonych o kolaborację z okupantem. Miał wielką wagę, ponieważ rozstrzygał, jakie zachowania są akceptowalne, a jakie stanowią akt zdrady. W tamtym czasie nie było to wcale oczywiste. Przykładowo: Niemcy wymagali, aby każda osoba zatrudniona w administracji w Generalnym Gubernatorstwie podpisywała deklarację lojalności wobec Trzeciej Rzeszy. Z jednej strony przyjęcie urzędowej posady mogło zostać uznane za kolaborację – naziści nigdy wszak nie zdołaliby zarządzać okupowanym krajem bez pomocy Polaków pracujących w zwyczajnych instytucjach, takich jak poczta, usługi komunalne czy przede wszystkim policja. Z drugiej strony setki tysięcy polskich rodzin potrzebowały zatrudnienia, by przetrwać. Odmowa złożenia przysięgi mogła oznaczać nie tylko zwolnienie z pracy, ale też prawdopodobnie więzienie lub nawet gorszy los. AK wystosowała zatem następującą deklarację i kazała zamieścić ją we wszystkich podziemnych czasopismach:

> Polskie czynniki ustanowione w Kraju przez Suwerenny Rząd Rzeczypospolitej stwierdzają, że podpi-

> sanie wymienionej deklaracji w powyższych okolicznościach nie zwalnia nikogo ze złożonej Państwu Polskiemu lub Jego organom, ani złożonej jakiejkolwiek organizacji politycznej lub wolnościowej, stojącej na gruncie państwowości polskiej, przysięgi służbowej, posłuszeństwa lub wierności tym bardziej, że deklaracja podpisana pod przymusem moralnym i fizycznym, tak z punktu widzenia religijnego, jak i prawa nie jest ani ważna, ani wiążąca. W tym przymusowym położeniu podpisanie narzuconej deklaracji nie będzie uważane za uchybienie obowiązkom Polaka[30].

30 „Szaniec: Tygodnik Poświęcony Sprawom Polski w Niewoli", 29 grudnia 1940, s. 2–3.

Mniejsza o to, czy ta konkretna decyzja była słuszna, czy nie. Liczy się, że istniała interpretacja, przyjęta i ogłoszona przez legitymizowaną władzę. W okresie dojmującej niepewności moralnej ciało rozstrzygające w takich sprawach nabierało ogromnego znaczenia. Rząd londyński i AK pomagały polskiemu społeczeństwu przetrwać wyjątkowo groźne czasy. Nie mogły rzecz jasna zastąpić struktur i mechanizmów egzekwowania przepisów prawdziwego państwa ani uporządkować chaosu rozpętanego przez hitlerowców. Choć jednak obiektywne miary i wskaźniki nie są dostępne, jestem pewien, że bez odległego i nieugiętego autorytetu rządu w Londynie sytuacja w okupowanym kraju byłaby jeszcze gorsza.

Oprócz wspomnianych wyżej sił zbrojnych działała też Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB), utworzona 28 lipca 1942 roku przez grupę aktywistów lewicowych i syjonistycznych. Żydowscy partyzanci musieli radzić sobie sami z powodu izolacji w gettach, a także dlatego, że przywództwo AK nie uważało wspierania ich za priorytet. Ponadto wielu Żydów niechętnie odnosiło się do idei zbrojnego oporu – niebezpieczeństwo odwetu przeciwko całej zbiorowości było ogromne, szanse sukcesu zaś niewielkie. Szczególnie osoby duchowne nie chciały wspierać żadnych działań mogących jeszcze bardziej zaszkodzić społeczności.

Do 1943 roku bilans potencjalnych korzyści i strat dla Żydów zdecydowanie się zmienił (dla ich chrześcijańskich sąsiadów jeszcze nie). Rozprzestrzeniały się wieści o obozach śmierci, potwierdzane licznymi doniesieniami z pierwszej ręki. Adam Czerniaków, przywódca Judenratu w Warszawie, doskonale wiedział, co kryje się za żądaniem Niemców, którzy wiosną tamtego roku kazali mu sporządzić mapy dzielnicy i szczegółowe statystyki dotyczące populacji getta, a także podstawili na pobliskie tory czterdzieści pustych wagonów towarowych. 21 lipca 1942 Czerniaków dostał rozkaz zorganizowana „transportu" 6 tysięcy osób dziennie. Zabiegał, by nie objęło to osieroconych dzieci, ale na próżno. Napisał więc do pozostałych członków Judenratu: „Jestem bezsilny, serce pęka mi z żalu i litości, dłużej tego znieść nie mogę. Mój czyn wykaże wszystkim prawdę i może naprowadzi na właściwą drogę działania"[31]. Owym „czynem" było jego samobójstwo.

---

31 Cyt. za: *Adama Czerniakowa dziennik getta warszawskiego 6 IX 1939 – 23 VII 1942*,

opracowanie i przypisy Marian Fuks, PWN, Warszawa 1983.

Nie tylko on uznał, że odebranie sobie życia to jedyne wyjście. Dowództwo ŻOB podjęło decyzję, że czas stawić zbrojny opór, mimo niemal stuprocentowego prawdopodobieństwa porażki i śmierci. Jan Karski w swoich wspomnieniach relacjonował rozmowę z dwoma wpływowymi działaczami w getcie, od których usłyszał: „Organizujemy powstanie w getcie. Nie dlatego, że spodziewamy się wygranej. My tę walkę przegramy. Chcemy jednak, aby świat patrzył na nią i odczuwał wyrzuty sumienia, że pozostawił nas samych sobie”[32]. W ponad 100 gettach – a więc w jednej czwartej wszystkich gett – wybuchły powstania. Największe zaczęło się w Warszawie 19 kwietnia 1943 roku. ŻOB zmusił 2 tysiące hitlerowców do wycofania się. Dzięki skomplikowanej sieci podziemnych bunkrów i efektowi zaskoczenia Żydzi prowadzili walkę prawie przez miesiąc. Hitlerowcy nie spodziewali się tak zaciekłego i zmyślnego pod względem taktycznym oporu. Odbijali dzielnicę dom po domu, co trwało aż do 16 maja. Zabili ostatnich ocalałych bojowników, następnie dla pewności zburzyli niemal wszystkie budynki w getcie; pozostał po nich pejzaż apokaliptycznych zniszczeń.

32 Jan Karski, *Tajne państwo. Opowieść o polskim podziemiu*, Twój Styl, Warszawa 1999, s. 249. Karski rozmawiał z z Leonem Feinerem (Bund) i Menachem Kirszenbaumem (ŻOB).

Dowódcy ŻOB wybrali bunt, gdyż wierzyli, że nie ma nadziei. Woleli zginąć z bronią w ręku niż w komorach gazowych. Polacy nigdy nie stanęli przed tak okrutnym wyborem,

ale w 1944 roku AK postanowiła zorganizować własną serię powstań. Być może nie był to samobójczy plan, sprzyjało mu jednak przekonanie, że w razie niepowodzenia i tak lepiej będzie zginąć w walce aniżeli się poddać. Spory o tę decyzję toczą się po dziś dzień. Różni aktorzy dramatu kierowali się różnymi osobistymi pobudkami i motywami. Pragnę zrobić krok wstecz i pominąć szczegółowe polemiki o charakterze strategicznym lub politycznym (poświęcono im tyle książek i artykułów, że starczyłoby na niewielką bibliotekę). Zamierzam przedstawić szerszy kontekst kulturowy, w którym powstawały plany AK – kontekst kształtujący sposób postrzegania i interpretowania uwarunkowań wojskowych i politycznych.

Aby zrozumieć atmosferę panującą w 1944 roku, musimy się cofnąć o trzy lata. Kiedy w czerwcu 1941 roku Hitler wypowiedział pakt ze Stalinem i najechał ZSRR, premier Sikorski stanął przed trudnym dylematem. Polacy uważali Niemców i Sowietów za agresorów. Teraz jednak oba mocarstwa znalazły się w stanie wojny, a Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zawiązały sojusz z przywódcą na Kremlu. Sytuacja się uprościła, kiedy wojska Trzeciej Rzeszy dotarły daleko w głąb ZSRR, a przebieg przyszłych wschodnich granic Polski stał się kwestią otwartą. W lipcu został podpisany pakt polsko-radziecki. Niewiele traktatów w dziejach zawierano z taką nieufnością. Stalin obiecał, że wypuści wszystkich polskich jeńców wojennych i ogłosi amnestię przetrzymywanych Polaków. Dzięki temu powstała armia licząca około 40 tysięcy żołnierzy, która ostatecznie dotarła za zachód Europy i uczest-

niczyła w alianckiej inwazji na Włochy. Tysiącom deportowanych cywilów pozwolono opuścić Związek Radziecki, szybko jednak okazało się, że wielu jeńców brakuje. Polskie władze obawiały się najgorszego. Musiały czekać aż do kwietnia 1943 roku, kiedy niemieckie władze okupacyjne odkryły masowe groby w Katyniu. Hitlerowcom trafiła się znakomita okazja, by głośno krzyczeć o sowieckim barbarzyństwie. Tymczasem Sikorski znalazł się w impasie. Wersja głoszona przez Niemców brzmiała wiarygodnie, ale gdyby premier się za nią publicznie opowiedział, wyszłoby, że wspiera nazistowską propagandę (która, jak nietrudno się domyślić, przywoływała widmo Katynia, by przekonywać, że tylko Hitler powstrzyma stalinowskie bestialstwo). Sikorski postanowił zwrócić się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o przeprowadzenie niezależnego śledztwa. Stalin wykorzystał to jako pretekst, by zerwać stosunki z rządem londyńskim. Już od pewnego czasu prowadził manewry zmierzające do zainstalowania w powojennej Polsce posłusznych sobie władz; odsunięcie się od Sikorskiego było kolejnym ważnym krokiem na tej drodze.

Na początku 1944 roku radzieckie wojska wkroczyły na tereny dawnej Drugiej Rzeczypospolitej. W lipcu dotarły do terytoriów, które nawet Stalin uważał za polskie. Pierwszym znaczącym odbitym miastem był Lublin, gdzie natychmiast utworzono rząd marionetkowy o szumnej nazwie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN). Armia Czerwona okrutnie obchodziła się z polskimi partyzantami: z reguły odbierała im broń, dokonywała aresztowań, nierzadko przepro-

wadzała ich egzekucje. Znów ruszyły deportacje, jak w latach 1939–1941. Stalin ewidentnie nie chciał dopuścić, by AK, rząd londyński lub jacykolwiek niezależni aktorzy odgrywali w powojennej Polsce znaczącą rolę. Niemcy przegrywały, co jednak nie oznaczało zwycięstwa Polaków.

Okładka książki wydanej w okupowanej Francji: *Jeśli Sowieci wygrają wojnę, Katyń będzie wszędzie*, Bureau Central de Presse, Paris 1943

Tymczasem na wschód od Bugu rozgrywała się kolejna tragedia, tym razem z udziałem ukraińskich partyzantów. Z po-

wodów omawianych w poprzednim rozdziale wielu Ukraińców źle czuło się w Drugiej Rzeczypospolitej, zarazem jednak wrogo odnosili się do ZSRR z powodu wydarzeń znanych jako Hołodomor (czyli dosłownie „zamorzenie głodem"). W 1932 roku wskutek przeprowadzonej przez Stalina przymusowej kolektywizacji i zasadniczo fatalnej polityki wobec wsi doszło do znaczących niedoborów produkcji rolniczej. Stalin każdy problem postrzegał w kategorii walki między siłami socjalizmu a rozmaitymi „wrogami". Tym razem doszedł do przekonania, że chłopi próbują sypać piach w tryby radzieckiej machiny, sprzeciwiając się kolektywizacji i handlując zbożem na czarnym rynku. Wysłał zatem na wieś żołnierzy i kazał im konfiskować żywność. Żołnierze odebrali chłopom nawet ziarna przeznaczone na przyszłoroczny siew. W rezultacie w 1933 roku prawie w ogóle nie było plonów. Głód osiągnął gigantyczne rozmiary. Zmarły prawie 4 miliony ludzi (a może więcej – szacunki się różnią)[33]. Ponieważ na rolniczych terenach ZSRR mieszkali przede wszystkim Ukraińcy, właśnie oni najbardziej ucierpieli w wyniku katastrofy spowodowanej decyzjami władz.

33 Bohdan Klid, Alexander J. Motyl (red.), *The Holodomor Reader: A Sourcebook on the Famine of 1932–1933 in Ukraine*, Canadian Institute of Ukrainian Studies, Edmonton–Toronto 2012, s. 61–62, 78–79.

Niewielu Ukraińców tęskniło zatem za przedwojenną Polską, ale ZSRR stanowił zagrożenie. Stąd kolejna chybiona próba szukania przyjaciół wśród wrogów swojego wroga: Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) zwróciła się do

Trzeciej Rzeszy o wsparcie materialne i ideologiczną inspirację. OUN wyrastała z ekstremistycznego nacjonalizmu. W 1941 roku, kiedy Hitler najechał ZSRR, jeden z jej przywódców, Stepan Bandera, sformował armię, walczącą ramię w ramię z Niemcami. Może zaskakiwać, że nazizm zyskał poparcie wśród słowiańskich nacjonalistów: Hitler wszak wielokrotnie określał Słowian mianem podludzi. Faktycznie, był to niezwykły sojusz, co wkrótce dało o sobie znać. Gdy tylko Bandera ogłosił niepodległość Ukrainy, został aresztowany, a wraz z nim 1500 jego zwolenników. Resztę wojny spędził w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, aczkolwiek na specjalnym oddziale. Hitlerowcy tymczasem rozszerzyli Generalne Gubernatorstwo na tereny zachodniej Ukrainy (czyli wschodniej Galicji) i powierzyli część zadań administracyjnych przedstawicielom miejscowej ludności. Bandera sprzeciwił się kolaboracji z Niemcami i OUN zaczęła zabijać osoby zatrudniające się w administracji publicznej. Oto więc rozczarowani sojusznicy nazistów mordowali nowych sojuszników. W tej opowieści nie ma żadnych pozytywnych bohaterów.

Ukraińscy nacjonaliści nauczyli się od Niemców, jak traktować przeciwników. W maju 1941 roku OUN wydała oświadczenie w kwestii Rosjan, Polaków i Żydów:

> Eksterminować w walce tych zwłaszcza, którzy będą stawiali opór naszemu ustrojowi. Deportować ich na ich własne terytoria. Eksterminować inteligencję. [...] Tak zwani polscy chłopi muszą zostać poddani asymilacji. Odizolować Żydów i usunąć ich z władz

> celem uniemożliwienia im sabotażu. To samo w przypadku Polaków i ludzi Moskwy. Jeśli wprowadzenie Żyda do aparatu administracyjnego okaże się nie do uniknięcia, osobę taką należy umieścić pod nadzorem jednego z naszych oficerów i zlikwidować w razie najdrobniejszego choćby wykroczenia. Kontrolę nad każdym obszarem życia muszą mieć Ukraińcy, a nie cudzoziemcy, ci bowiem są naszymi wrogami. Asymilacja Żydów nie jest możliwa[34].

34 „Боротьба й діяльність оун під час війни" w: оун *в 1941 році: Документи*, Ін-т історії України, Київ 2006, s. 103–104.

Zdecydowanie nie wszyscy Ukraińcy podpisaliby się pod tym stanowiskiem. Ogromna większość próbowała jedynie przetrwać. Co więcej, brutalne metody i krwawa retoryka OUN nie należały w tamtym okresie do rzadkości. Pozostaje jednak faktem, że największa ukraińska organizacja nacjonalistyczna postanowiła powielać najgorsze cechy Europy połowy XX wieku.

Na Wołyniu według przedwojennego spisu powszechnego Polacy stanowili zaledwie 17 procent ludności. Do 1943 roku odsetek ten nie zmniejszył się znacząco. Kiedy niemiecka armia zaczęła się wycofywać, przywódcy OUN wzięli sprawy we własne ręce, by rozwiązać „problem". Powstała partyzantka o nazwie Ukraińska Armia Powstańcza (UPA). Jej metody dobrze podsumowuje raport polowy z 29 sierpnia 1943 roku dotyczący jednej z miejscowości:

> Wieś otoczono w nocy; o świcie mieszkańców zebrano w głównym punkcie. Starych, dzieci i kalekich, którzy nie mogli sami chodzić, zabijano na miejscu i wrzucano do studni. Pozostałym kazano wykopać własne groby. Zginęli od ciosów siekierą w głowę. Kto próbował uciec, ten został zastrzelony. Zlikwidowano wszystkich mieszkańców Ziemlicy. UPA przywłaszczyła sobie ich dobytek i następnie spaliła domy[35].

35 UPA *Field Report on the destruction of Ziemlica*, [w:] Tadeusz Piotrowski (red.), *Genocide and Rescue in Wołyń*, McFarland & Co., Jefferson 2000, s. 181.

Nie był to odosobniony incydent, lecz część skoordynowanej kampanii wzorowanej na ludobójstwie Żydów. Szczegółowych danych nigdy nie poznamy; szacuje się, że UPA zamordowała około 100 tysięcy Polaków. AK próbowała odpowiedzieć siłą, ale w tamtych regionach nie miała dostatecznie wielu członków i zabiła tylko 10–15 tysięcy Ukraińców[36]. Zatrzymajmy się na moment przy słowie „tylko" w poprzednim zdaniu; fakt, że służy do opisu tak wielkiej liczby ofiar, pozwala zrozumieć grozę czasu, o którym tu mowa.

36 Szacunki pochodzą z: Grzegorz Motyka, *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła". Konflikt polsko-ukraiński, 1943–1947*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 446–450.

Pod koniec wojny Polacy ginęli zabijani przez UPA na południowym wschodzie i przez hitlerowców w Generalnym Gubernatorstwie. Nadto Niemcy i Sowieci deportowali miliony

ludzi. Na horyzoncie majaczyła już przyszłość, w której marionetkowy rząd Stalina pozbędzie się Londyńczyków i przejmie władzę. Wielu Polaków – podobnie jak Żydzi w 1943 roku – czuło, że nadchodzi zagłada. Sytuacja była jednak zgoła odmienna. Poza Wołyniem Polakom nie groziło ludobójstwo na masową skalę. Ci, którzy dożyli lata 1944 roku, mogli liczyć, że jeśli tylko zachowają ostrożność, wyjdą z wojny cało. Większość o niczym innym nie marzyła. Ale w kręgach władz państwa podziemnego powszechny był odmienny sposób myślenia. Osoby związane z ruchem oporu od pięciu lat walczyły o *Polskę*, o narodową abstrakcję, którą postrzegano jako bardziej realną i cenniejszą niż życie pojedynczych ludzi (w tym samych bojowników). W 1944 roku ów sen o Polsce był zagrożony. Odwołuję się tu do czynników światopoglądowych nie po to, by zarzucać komukolwiek irracjonalność. Po prostu faktyczna sytuacja 1944 roku nie tłumaczy sama w sobie, dlaczego zaryzykowano powstanie bez większych szans na sukces. Jeśli jednak fakty przefiltrować przez narodową ideologię, decyzję łatwiej zrozumieć.

Otóż musimy w tym miejscu zadać sobie rzadko stawiane pytanie: co, zdaniem osób pragnących bronić Polski w 1944 roku (i później), było zagrożone? Jak wspomniałem, nie chodziło o życie Polaków. Hitlerowcy dopiero co wymordowali 3 miliony polskich Żydów i 2,5 miliona chrześcijan, a tymczasem pod okupacją Stalina śmierć poniosło „zaledwie" kilkaset tysięcy obywateli przedwojennej Rzeczypospolitej. Zginęły miliony Rosjan – ale to inna historia. Istnieniu polskiej wspólnoty etniczno-językowej również nie groziło większe

niebezpieczeństwo. Niemcy próbowali wypchnąć język polski ze sfery publicznej, natomiast Sowieci akceptowali różnorodność w tym zakresie. W ZSRR cenzurowali *treści* w mowie i w piśmie, ale wielojęzyczność kraju stanowiła dla nich powód do dumy.

Kto więc musiał bać się Armii Czerwonej? Bez wątpienia jedną z takich grup stanowili księża katoliccy. W poprzednich latach naziści aresztowali setki duchownych, ale Kościół mógł działać dalej; w niektórych regionach (między innymi na Słowacji i w Chorwacji) otwarcie popierał reżimy kolaborujące z Niemcami. Generalne Gubernatorstwo pozwoliło Kościołowi funkcjonować, aczkolwiek stosowało surowe represje. Tymczasem komuniści nie kryli wrogości wobec wszelkich zorganizowanych religii. Drugą narażoną grupą było ziemiaństwo, obawiające się utraty majątków, a może nawet życia pod rządami Sowietów. Ziemiaństwo również przetrwało niemiecką okupację, pomimo okrutnych rekwizycji. Teraz stanęło w obliczu wywłaszczenia, odebrania wszelkich przywilejów i statusu oraz potencjalnie aresztowań i śmierci. Po trzecie wreszcie wojsk ze wschodu bały się miejskie elity, zdziesiątkowane przez hitlerowskich okupantów. Nadejście Armii Czerwonej oznaczało dla nich ciąg dalszy koszmaru i los może nie gorszy, ale też z pewnością nie lepszy.

Wszystkie te grupy – nadreprezentowane w AK i innych podziemnych ugrupowaniach zbrojnych – pragnęły za wszelką cenę powstrzymać Sowietów. Miały po temu konkretne, osobiste i bez wątpienia „racjonalne" powody, łatwo więc zrozumieć, skąd w 1944 roku brało się poczucie nadchodzącej

zagłady. Nie jest to jednak pełny obraz. Ogromna większość żołnierzy AK nie pochodziła z ziemiaństwa czy z mieszczaństwa. W organizacji przeważały osoby skromnej proweniencji albo takie, które dawno już pogodziły się z utratą statusu, jakim ich rodziny cieszyły się przed wojną. Co więcej, światopogląd prezentowany przez główny nurt Armii Krajowej sprawia z dzisiejszej perspektywy lub z perspektywy międzywojennej Polski wrażenie radykalnie lewicowego, wręcz socjalistycznego (wrócę do tej kwestii w następnym rozdziale). Czego więc się obawiano? Niechęć do sojuszu z ZSRR jest oczywista, choćby w kontekście wydarzeń z roku 1939. Dlaczego jednak postanowiono zaryzykować wszystko i wybrać strategię o tak nikłych szansach powodzenia?

Dokładna odpowiedź wymaga, jak sądzę, odwołania się do retoryki Kościoła katolickiego z okresu międzywojnia. Kazania i pisma kościelne odgrywały wielką rolę w życiu pokolenia podziemnych sił zbrojnych (można tu pominąć drobny, zsekularyzowany margines). Dyskurs wojenny był w Polsce powszechny na długo przed niemieckim atakiem[37]. Oto choćby stanowisko episkopatu z 1926 roku, dobra ilustracja tonu powracającego w niedzielnych kazaniach i w prasie katolickiej:

37 Analizowałem ten światopogląd bardziej szczegółowo w swojej książce *Faith and Fatherland: Modernity, Catholicism and Poland*, Oxford University Press, New York 2011. Zob. zwłaszcza rozdział 7 *Ecclesia Militans*, s. 232–271.

> Dziś widoczne to jest jak nigdy, że świat jest podzielony pomiędzy dwa obozy: między obóz Chrystusa i obóz Beliala, Królestwo Boże i królestwo szatana.

> Tam, w Królestwie Bożem przechowuje się chrześcijańska kultura dzisiejszego świata, a w niej wszystkie pierwiastki ładu i ustroju, jak własność, jak rodzina, jak sprawiedliwość i miłość społeczna, jak autorytet. Obóz drugi zwalcza już nie tylko chrystianizm, ale uderza w same podstawy zdrowego ustroju narodowego i państwowego, niszczy rodzinę, własność, wszelki autorytet, a ustrój społeczny opiera o walkę klas, o przemoc i o nienawiść. [...] Światu nie pozostaje żaden wybór, jak tylko właśnie ten jeden: albo Bóg, rodzina, zdrowie, publiczne wychowanie, kultura i chrześcijańska cywilizacja – albo chaos, demagogia, komunizm, nihilizm[38].

38 *List Pasterski Biskupów Polskich Duchowieństwu i Wiernym*, Warszawa, 5 marca 1926, Archiwum Archidiecezjalne Warszawskie (bez sygnatury), s. 9.

Innymi słowy, polskim katolikom wpajano dualistyczny obraz świata jako pola bitwy między dobrem i złem, przy czym komunizm stanowił przykład tego drugiego. Nierzadko w sprawę mieszano też Żydów. Zacytujmy choćby kazanie opublikowane w 1927 roku w poczytnym czasopiśmie dla księży „Biblioteka Kaznodziejska":

> Od czasu upadku Aniołów, szatan w pysze swojej rzucił Bogu wyzwanie wieczystej walki, wyzwanie „*non serviam* – nie będę Ci służył". Od chwili tej książę ciemności przekazał wybranej swej garstce nie-

nawiść do Boga. Więc, gdy Syn Boży powołał do życia chrześcijaństwo, Żydzi przystąpili do walki z tym społeczeństwem, co zwierciadłem miało być Boga na ziemi do walki z Chrystusem. Z Chrystusem, z oczekiwanym Mesjaszem! Dlaczego? Bo Żyd-materialista nie chce, że obiecany mu Król nie będzie władcą ziemskiego królestwa. Bo pycha wybranego narodu i wrodzony rasowy despotyzm dyktują mu prawo do panowania nad światem, kładą mu oręż do ręki przeciw chrystianizmowi, którego niewidzialny mocarz, wódz niewidzialnych zastępów, okazał się zwycięzcą. Dziś Żydzi dla osiągnięcia swego celu użyli płaszczyka masonerii, głosząc pozornie altruistyczne hasła, wciągając do związku jak największe zastępy chrześcijan, sobie wszakże pozostawiają wyłącznie przodownictwo. [...] W programie [masonerii] odnajdujemy wszystkie plagi całych narodów w ciągu ostatnich stuleci. A więc twórcami sekt, herezji, ateizmu, fałszywych filozofii, socjalizmu, komunizmu, wadliwych prawodawstw, lichwy, paskarstwa, bezwyznaniowych szkół, walk klasowych – są Żydzi-masoni. [...] Rozumiemy więc, dlaczego w stosunku do Polski Żydzi całego świata i ukryci za nimi masoni pałają szczególną nienawiścią. Czy Polska nie była zawsze przedmurzem chrześcijaństwa, czy nie rozbił się o nią pochód zwycięski synów „Gwiazdy Syjonu" w pamiętnych dniach sierpnio-

> wych roku 1920, czy nie odgradza ona jawnie bolszewicko-żydowską Moskwę od półjawnie masońskich Niemiec?[39]

39 Feliks Bodzianowski, *Fałszywi prorocy chwili obecnej. Kazanie na niedzielę VII po Zielonych Świątkach*, „Nowa Biblioteka Kaznodziejska" 1927, t. 33, nr 14–15, s. 33–40.

Ani przez moment nie sugeruję, że dowódcy AK otwarcie posługiwali się takimi kategoriami, gdy w 1944 roku zastanawiali się, jak postąpić. Nie twierdzę też, że antysemickie uprzedzenia dominowały w światopoglądzie podziemia zbrojnego, choć bez wątpienia istniały. Cytuję katolicki dyskurs jako element ideologicznej mieszanki, która bulgotała w Polsce w latach dwudziestych i trzydziestych, sącząc się do głów ówczesnego pokolenia. Nie trzeba było wiary, że Armią Czerwoną dowodzili posłańcy Szatana, by postrzegać rzeczywistość w manichejskich kategoriach albo uważać ZSRR za śmiertelne zagrożenie dla narodu polskiego. Tłumacząc powody, dla których Hitler rozpętał wojnę, przywołałem jego antysemickie przekonania. Są one faktem, choć przecież niewielu żołnierzy Wehrmachtu podzielało je w stu procentach. Na podobnej zasadzie nie trzeba twierdzić, że dowództwo AK traktowało przytaczane wyżej kazania dosłownie. Starczy wskazać, że w latach trzydziestych katolicy regularnie spotykali się z apokaliptycznym dyskursem, który do pewnego stopnia wpłynął na ich sposób postrzegania rzeczywistości. Dlatego właśnie masakra w Katyniu różniła się w ich opinii od innych zbrodni wojennych, dlatego utworzenie PKWN wyda-

wało się czymś więcej niż tylko przebiegłym manewrem w grze o władzę, dlatego Związek Radziecki nie był po prostu mocarstwem zmierzającym do podporządkowania sobie Polski. Podziemiu zdawało się, że stawka jest ogromna – znacznie większa, niż gdyby patrzyło na sprawę bardziej obiektywnie, z naszej wygodnej XXI-wiecznej perspektywy.

Dowódcy AK – tak jak ich żydowscy odpowiednicy – powzięli decyzję o spektakularnym akcie oporu i rozpoczęciu Akcji Burza, serii powstań przeciwko Niemcom, krótko przed nadejściem Armii Czerwonej. Oficjalny cel polegał na zademonstrowaniu, że w kraju istnieją autonomiczne siły zbrojne, lojalne wobec rządu na uchodźstwie i niezależnie od ZSRR. Liczono, że dzięki temu Stalinowi trudniej będzie po prostu zainstalować swoich ludzi u władzy, choć tak naprawdę AK robiła tu dobrą minę do złej gry. Liczyły się przede wszystkim rozpacz i dojmująca beznadzieja w obliczu przeczuwanej zagłady. Emocje te stanowiły kontekst decyzji, którą w innych warunkach trudno byłoby usprawiedliwić.

Akcja Burza obejmowała działania prowadzone przez cały rok 1944, lecz jej kulminację stanowiło powstanie warszawskie. AK dysponowała ograniczonymi zasobami broni i amunicji, toteż dowódcy zdawali sobie sprawę, że nie będą mogli długo się opierać niemieckiej armii, nawet mocno osłabionej. Ponadto Armia Czerwona szybko zbliżała się do stolicy. W tej sytuacji należało starannie zaplanować moment wybuchu powstania. Wybrano 1 sierpnia 1944 roku. Żołnierze po krótkim czasie wyzwolili większą część centrum Warszawy. Na etapie kreślenia planów dowódcy zakładali, że wojska niemieckie

będą zajęte walką z Sowietami – w przeciwnym razie sukces nie wchodził w grę. Teraz jednak przyszło się zmierzyć z rzeczywistością: Stalin na wieść o wybuchu powstania wstrzymał działania wojenne i ogłosił, że armia potrzebuje czasu na przegrupowanie. Najprawdopodobniej chciał, by Niemcy stłumili bunt w Warszawie i otworzyli mu drogę do miasta. Bez względu na motywy, jakimi się kierował, jego decyzja pogrążyła szanse walczących. Niemcy złapali oddech i mogli się skupić wyłącznie na powstańcach. Odzyskiwali miasto dom po domu. Zajęło im to kilka tygodni, lecz wkrótce nikt nie miał wątpliwości, że wygrają. 2 października powstańcy złożyli broń. Warszawa opierała się dłużej niż Polska w 1939 roku, jednak w obu przypadkach skończyło się podobnie.

Podobnie – a nawet gorzej. Hitler, wściekły na krnąbrnych Polaków, kazał zrównać miasto z ziemią. Przez ostatnie miesiące 1944 roku niemieccy żołnierze systematycznie wysadzali w powietrze budynki, które nie uległy zniszczeniu podczas walk; w centrum zburzono ich łącznie 87 procent. Co najmniej 180 tysięcy cywilów i 18 tysięcy akowców poniosło śmierć, a większość pozostałych mieszkańców wysiedlono z ruin. Straty po stronie niemieckiej sięgnęły 2 tysięcy zabitych i 8 tysięcy rannych. Jeśli zsumować wszystkie ofiary wojny wśród warszawiaków, otrzymujemy 720 tysięcy osób (przed wojną populacja Warszawy liczyła około 1,2 miliona ludzi; łączny odsetek zabitych sięgał 60 procent. Zginęło 98 procent mieszkających w stolicy Żydów i 25 procent innych obywateli).

Gdyby nie powstanie, rachunek ofiar byłby mniejszy i ocalałoby więcej infrastruktury. Co powiedziawszy, trzeba też stwierdzić, że w żadnym alternatywnym scenariuszu Warszawa nie uniknęłaby zniszczeń. W miarę jak front przesuwał się na zachód, zaciekłe walki prowadziły do ogromnych strat. Zrównano z ziemią około połowy budynków w Poznaniu, nowo zbudowany port w Gdyni leżał w gruzach, a Breslau/Wrocław i Danzig/Gdańsk, przyłączone do Polski już po wojnie, były na wpół zburzone. Mniej osób pamięta o niewielkich miasteczkach, które trzeba było odbudować niemal w całości. Zaliczały się do nich Jasło, Głogów, Gubin, Kołobrzeg, Kostrzyn i Wieluń, gdzie ucierpiało ponad 90 procent budynków. Jeśli na zniszczenia dokonane podczas drugiej wojny światowej spojrzeć z perspektywy globalnej, Warszawa nie jest przypadkiem wyjątkowym. Górne szacunki liczby ofiar bomby atomowej w Hiroszimie sięgają 160 tysięcy ludzi, czyli 45 procent populacji miasta. Straty materialne w Hiroszimie i w Nagasaki były większe niż w Polsce[40]. W Tokio nie użyto broni nuklearnej, lecz „konwencjonalne" naloty pochłonęły 100 tysięcy ludzkich istnień, a niemal cała drewniana architektura miasta poszła z dymem. Jeszcze gorzej przedstawiały się skutki bitwy o Manilę. Śmierć poniosło 150 tysięcy cywilów, centralna dzielnica Intramuros zmieniła się w rumowisko (ocalały tylko dwa budynki)[41]. Bombardowanie Drezna, niesławne i bestialskie, kosztowało życie „zaledwie" 25 tysięcy ludzi, przy populacji wynoszącej 642 tysiące. Spłonęło około dwóch trzecich budynków[42]. Ponad połowę budynków zniszczono w Norymberdze, Frankfurcie, Koblencji,

Akwizgranie, Bremie, Hanowerze, Moguncji, Kassel, Kilonii, Bremerhaven i Bonn. W liczbach bezwzględnych największe straty poniósł Leningrad: podczas trwającego trzy lata oblężenia zginęło tam milion (a może nawet 1,5 miliona) osób, co odpowiada 42 procentom przedwojennej ludności[43].

40 Klasyczną relacją człowieka, który na własne oczy widział pokłosie ataków, jest książka Johna Hersheya *Hiroshima*, Alfred A. Knopf, New York 1946.

41 Richard Connaughton, *The Battle for Manila*, Bloomsbury Publishing, London 1995.

42 Dobry przegląd naukowych debat o bombardowaniu Drezna – zob. Paul Addison, Jeremy A. Crang, *Firestorm: The Bombing of Dresden 1945*, Pimlico, London 2006.

43 Jest wiele książek na temat oblężenia Leningradu, do najlepszych opublikowanych niedawno należy: Anne Reid, *Leningrad. Tragedia oblężonego miasta 1941–1944*, przeł. Wojciech Tyszka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012.

Plac Zamkowy w Warszawie, fot. Henry Cobb (za zgodą Emmy Cobb)

Mógłbym ciągnąć tę listę przez wiele stron, ale mam nadzieję, że sens jest już jasny: druga wojna światowa przyniosła masowe zniszczenia na terenach zurbanizowanych, zatarła granice między żołnierzami i cywilami, między celami militarnymi i tym, co w żargonie wojskowym określa się mianem „strat ubocznych". Los Warszawy i innych polskich miast należy rozpatrywać z dwóch perspektyw: lokalnej i globalnej. Na poziomie lokalnym mamy skomplikowane okoliczności polityczne, które przyczyniły się do decyzji o rozpoczęciu Akcji Burza: horror nazistowskiej okupacji, przykład wyznaczony przez powstanie w getcie, mentalność apokaliptycznego nacjonalizmu. Gdyby nie to, zniszczenia nie byłyby aż tak wielkie. Musimy jednak zrobić krok wstecz i uświadomić sobie, że druga wojna światowa oznaczała zmianę charakteru działań wojennych i zapoczątkowała koszmar na nieznaną dotąd skalę. Przymiotnik „światowa" nie wziął się znikąd. Warto o nim pamiętać, ilekroć czujemy pokusę, by któreś z ówczesnych wydarzeń określać mianem szczególnie krwawych bądź niszczycielskich lub też skupiać się na bezpośrednich przyczynach tej czy innej masakry albo zbrodni. Lokalny kontekst ma oczywiście znaczenie, nie zapominajmy jednak, że mówimy o wielkiej wojnie, o barbarzyńskim paroksyzmie, którego zaznało całe pokolenie ludzkości.

Sporna pamięć

Dwa powstania warszawskie – w 1943 i 1944 roku – stały się symbolicznymi wydarzeniami dla Żydów i dla Polaków, choć mało kto zwracał uwagę na zdumiewające podobieństwa tych zrywów, zarówno pod względem przebiegu, jak i upamiętniania. W Izraelu i Polsce funkcjonują one jako święte akty ofiary narodowej. Młodzież, słuchając o nich, uczy się, że największą cnotą jest oddać życie za ojczyznę. Ludzie zatrzymujący się na ulicach z wybiciem „Godziny W", cieszące się rozgłosem Muzeum Powstania Warszawskiego i niezliczone pomniki oraz tablice rozsiane po całym mieście gwarantują, że żaden warszawiak, a może i żaden Polak, nie zapomni o tamtych zajściach. Było tak, zanim jeszcze prawica na początku XXI wieku uczyniła powstanie 1944 roku głównym elementem swojej polityki historycznej. Bardzo podobnie Izrael czci pamięć powstania w getcie. Święto Jom ha-Szoa we ha-Gewura (Dzień Pamięci o Zagładzie i Bohaterstwie) obchodzono pierwotnie w rocznicę zrywu, 14 dnia miesiąca Nisan w żydowskim kalendarzu (później przesunięto je na 27 dzień tego miesiąca, ze względu na bliskość święta Paschy). Powtarzano tym samym opowieść o akcie buntu w obliczu niemal pewnej śmierci, o oporze jako celu samym w sobie, bez względu na okoliczności czy konsekwencje, przede wszystkim zaś symbolicznie łączono pamięć o Holokauście z ludźmi, którzy ginęli nie w obronie własnego życia, lecz w obronie narodu żydowskiego. Powstańców z ŻOB stawia się w jednym szeregu z bojownikami z Masady w 73 roku naszej ery, gotowymi

umrzeć, byle nie podporządkować się władzy Rzymu. Zarówno starożytna legenda, jak i jej współczesny odpowiednik są wykorzystywane do uczenia Izraelczyków, że lepiej zginąć niż się poddać i że taka śmierć to najszlachetniejsza ofiara. Naród staje się tu cenniejszy niż człowiek, jest transcendentnym zbiorowym bytem, karmionym krwią dzielnych męczenników. Dla Polaków z pewnością brzmi to znajomo.

Fot. Tomasz Kaczor

Tego rodzaju upamiętnianie ma jednak wielu krytyków zarówno w Polsce, jak i w Izraelu. Szczególnie wymowny protest przeciwko dyskursowi wokół powstania warszawskiego zorganizowano w 2011 roku. Pod murami Starego Miasta w Warszawie od 1983 roku stoi pomnik Małego Powstańca, przed-

stawiający chłopczyka w zbyt dużym hełmie wojskowym na głowie i z karabinem. Część osób widzi w nim najwyższy wyraz patriotycznego męczeństwa: bohaterską niewinność dziecka-żołnierza. Pomnik wyraża esencję martyrologicznego obrazu polskiej historii, gdyż łączy obraz czystości moralnej z gotowością zabijania i umierania dla narodu. Jednak 1 czerwca 2011 roku, w Dzień Dziecka, Małego Powstańca udekorowano zabawkami, by wyrazić sprzeciw „wobec stawiania walki zbrojnej dzieci za wzór do naśladowania”[44]. Straż miejska natychmiast zainterweniowała, by zatrzymać bezczeszczenie jakże ważnego miejsca pamięci. Kiedy opowiadam tę historię Amerykanom, większość z nich dziwi się, że taki pomnik w ogóle istnieje. Kampanie przeciwko wykorzystywaniu dzieci jako żołnierzy – nawet w działaniach pomocniczych – to jedna z nielicznych spraw zdolnych zyskać poparcie osób z przeciwnych krańców spektrum ideologicznego. W Polsce mało kto zauważa, że Mały Powstaniec jest dziecięcym żołnierzem (nie ma znaczenia, że najmłodsi uczestnicy powstania pełnili raczej funkcję kurierów i nie brali udziału w walkach). „To co innego”, odpowiadają Polacy, ilekroć sugeruję paralelę między dziećmi w powstaniu i w krwawych konfliktach toczących się obecnie na świecie. Owszem, „co innego” – bo w głównym nurcie polskiej pamięci historycznej postać z pomnika na Starówce wyraża ogólne podejście do patriotyzmu, w którym niewinność jest nierozerwalnie spleciona z przedkładaniem narodu ponad życie jednostki.

44 Projekt Jana Mencwela, https://bit.ly/3fLQVr6.

Takie podejście do przeszłości jest w Polsce wszechobecne, lecz nie jest bynajmniej uniwersalne. Udekorowanie Małego Powstańca stanowiło element szerokiej debaty o upamiętnianiu sierpnia 1944 roku. Czy był to wspaniały akt narodowej ofiary, czy bezsensowny samobójczy gest, który doprowadził do zniszczenia miasta i śmierci setek tysięcy ludzi? Powstanie budziło kontrowersje, jeszcze zanim dobiegło końca. Generał Władysław Anders pisał w okresie trwania walk: „Nikt nie miał u nas złudzenia, żeby bolszewicy pomimo ciągłych zapowiedzi pomogli Stolicy. W tych warunkach Stolica pomimo bezprzykładnego w historii bohaterstwa z góry skazana jest na porażkę. Wywołanie powstania uważamy za ciężką zbrodnię i pytamy się, kto ponosi za to odpowiedzialność?”[45]. Ponad sześć dekad później, w 2010 roku, na pytanie to odpowiedział przywódca organizacji weteranów, mówiąc w wywiadzie: „My, powstańcy, wiemy dobrze, jaka tragedia dotknęła ludność cywilną. [...] Jako żołnierze odczuwaliśmy to wtedy inaczej. Dzisiaj, po tylu latach, możemy wreszcie głośno powiedzieć, jak było, i przeprosić warszawiaków”[46].

45 Cyt. za: Paweł Ukielski, *Spór o Powstanie Warszawskie*, „Biuletyn IPN” 2009, nr 8–9, s. 117.

46 Tomasz Urzykowski, *Powstańcy przepraszają warszawiaków*, „Gazeta Wyborcza”, 5 października 2010, https://bit.ly/3mk4fWa.

Owe debaty na temat pamięci historycznej wiele mówią o soczewkach, przez które oglądamy przeszłość, i ujawniają to, co w przeciwnym razie mogłoby zostać przeoczone. Dla Polaków i Żydów cierpienia zaznane podczas drugiej wojny światowej są odczuwane po dziś dzień. W obu przypadkach

opowieść o męczeństwie i ofierze służy kształtowaniu „charakteru narodowego” i pobudzaniu patriotycznych emocji. Ludzie oczekują jasnego podziału na bohaterów i zbrodniarzy, a nie skomplikowanych historii, w których kaci stają się ofiarami, bohaterowie działają z niskich pobudek, a szlachetni dowódcy podejmują fatalne decyzje. Chcą powtarzać: „My cierpieliśmy na skutek tego, co zrobili tamci”. Mało kto pragnie uważnie analizować splot wojennych krzywd w Europie Wschodniej podczas wojny.

Powstanie w getcie to dobry przykład tego, jak jednoznaczna na pozór historia staje się skomplikowana z perspektywy czasu. ŻOB postanowił wzniecić bunt w przekonaniu, że warszawscy Żydzi są skazani na zagładę. Według dowódców ucieczka nie wchodziła w grę, po części dlatego, że postrzegali Polaków jako populację nieprzychylnie nastawioną do zbiegłych osób i nieskorą do ich ukrywania. Biorąc pod uwagę doświadczenia przemocy i zalew antysemickich publikacji w latach trzydziestych, ów punkt widzenia można uznać za zrozumiały. Jest ponadto prawdą, że na prowincji Żydzi mieli niewielkie szanse przetrwania. Na wsi ludzie żyli blisko siebie, co utrudniało zachowywanie tajemnic, a pomaganie Żydom stanowiło wyjątkowo niebezpieczny sekret[47]. W dużych miastach prawdopodobieństwo przeżycia było jednak trochę wyższe, tam bowiem zakazanej działalności sprzyjała anonimowość. W Warszawie, po „aryjskiej stronie”, ukrywało się przynajmniej 10–20 tysięcy Żydów, z których przeżyło kilka tysięcy[48].

47 Zob. Barbara Engelking, *Jest taki piękny słoneczny dzień. Losy Żydów szukających*

ratunku na wsi polskiej, 1942–1945, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2011; Barbara Engelking, *Murdering and Denouncing Jews in the Polish Countryside, 1942–1945*, „East European Politics and Societies" 2011, t. 25, nr 3, s. 433–456.

48 Gunnar Paulsson podaje najwyższe szacunki: 28 tysięcy ludzi ukrywających się, spośród których 11,5 tysiąca przeżyło. Gunnar Paulsson, *Utajone miasto. Żydzi po aryjskiej stronie Warszawy (1940–1945)*, przeł. Elżbieta Olender-Dmowska, Znak, Kraków 2007. Praca Paulssona została skrytykowana za błędy metodologiczne, więc podaję tu skromniejsze liczby jako bezpieczne minimum. Zob. na przykład: Havi Dreifuss, *Utajone miasta. Kilka uwag o metodologii Gunnara S. Paulssona*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2014 nr 10, s. 823–852.

Teoretycznie za ukrywanie Żydów groziła kara śmierci, ale jak już wiemy, w Generalnym Gubernatorstwie dotyczyło to absurdalnie wielu przestępstw, choćby rozmaitych powszechnych czarnorynkowych interesów. Około 700 Polaków zabito, bo pomagali Żydom. To zaskakująco niewiele, biorąc pod uwagę skalę zbrodni w Generalnym Gubernatorstwie oraz liczbę zbiegłych Żydów, którzy zostali złapani (250 tysięcy ludzi). Zarazem Polacy i Żydzi działali w sytuacji niepewności, co miało straszliwe skutki. Możliwe, że więcej ludzi mogłoby przeżyć w ukryciu, szczególnie w porównaniu z nikłą szansą w getcie. Jednak w owym czasie ludzie nie znali tych prawdopodobieństw. Niepodobna było przebić się przez mgłę nieufności, którą wytworzyli przedwojenni antysemici i którą dodatkowo zagęściła nazistowska propaganda strachu i nienawiści.

Docieramy tu do ogólniejszej kwestii stosunków polsko-żydowskich podczas drugiej wojny światowej. Dla historyka to jeden z najbardziej delikatnych tematów. Wiele relacji na temat Holokaustu przedstawia Polaków w niekorzystnym

świetle. Przykładowo, oto słowa żydowskiego ocalałego o losach oddziału partyzantki, do którego się przyłączył:

> Między Niemcami i Polakami, jak w imadle. Wychodziło, że prędzej czy później zostaniemy zmiażdżeni. [...] Nasza grupa liczyła kiedyś stu dwudziestu pięciu członków, teraz zostało sześciu. Większość zginęła nie z ręki Niemców, naszych zaprzysięgłych wrogów, lecz zdradzieckich Polaków, wśród których żyliśmy od stuleci. [...] Najwyraźniej AK chciała dokończyć to, co zaczęli hitlerowcy[49].

49 Norman Salsitz, Amalie Petranker Salitz, *Against All Odds: A Tale of Two Survivors*, Holocaust Library, New York 1990, s. 349, 378, 384.

Autor tych słów mógł pomylić AK z NSZ, lecz ogólnie nie ma powodu, by podawać w wątpliwość szczerość jego relacji i autentyczność doświadczenia. W czasie tej piekielnej wojny wydarzyło się wiele potworności. Dysponujemy dobrze udokumentowanymi informacjami o zbrodniach popełnionych przez licznych Polaków podczas drugiej wojny światowej. Najbardziej niesławne zdarzenia rozegrały się w Jedwabnem, gdzie tłum zapędził kilkuset Żydów do stodoły, a następnie ją podpalił[50]. Podobne epizody były rzadkie i zapewne żaden nie zakończył się równie krwawo, jednak wrogość, z jaką spotykali się Żydzi w okupowanej Polsce, na długo zabarwiła żydowską pamięć historyczną.

50 Jan Tomasz Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Pogranicze, Sejny 2000.

Polaków uczy się o cierpieniach ich przodków i o bohaterstwie AK. Nic dziwnego, że wielu jest zadziwionych lub oburzonych oskarżeniami o zbrodnie i traktuje je jak nieprawdę, a nawet nikczemne kłamstwa. Bez wątpienia powinniśmy pamiętać, że generał Sikorski wydał rozkaz udzielania Żydom wszelkiej możliwej pomocy, a przywódcy podziemia zadekretowali, że denuncjowanie Żydów to akt zdrady karany śmiercią. Polacy mają prawo czerpać dumę z faktu, że ich rodacy otrzymali najwięcej tytułów Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, nadawanych przez państwo Izrael[51]. W ciągu ostatnich dekad debata publiczna dotycząca tych kwestii toczyła się zaskakująco szybko i przyniosła głęboką refleksję o mrocznych stronach przeszłości kraju. Niemniej jednak antysemicką przemoc i denuncjowanie Żydów prezentuje się zazwyczaj jako wyjątek od reguły, jako czyny odosobnionych jednostek. Skoro tak, nie można pozwolić, by kalały pamięć o heroizmie AK albo o tragicznych cierpieniach Polski. Z sondażu przeprowadzonego w 2009 roku wynika, że 81 procent Polaków wierzy, iż ich przodkowie „często" nieśli Żydom pomoc podczas wojny. Z kolei 11 procent respondentów twierdziło, że ich przodkowie „często" wydawali Żydów okupantowi[52]. W rzeczywistości względnie niewielu Polaków bezpośrednio asystowało hitlerowcom, zarazem ogromną przesadą jest teza, że Polacy często Żydom pomagali. Większość chciała po prostu przetrwać; na empatię nie starczyło już siły. Chcę wierzyć, że sam znalazłbym się w gronie osób niosących pomoc, jednak mówiąc szczerze, chyba należałbym do biernej większości. Przyłączenie się do ruchu oporu podczas drugiej wojny

światowej wymagało niezwykłej odwagi – a przecież podziemie toczyło walkę w imię „swoich". Ryzykowanie życia za „tamtych" stanowiło jeszcze większy akt heroizmu.

51 Pełne dane dostępne są na stronie internetowej Yad Vashem: https://www.yadvashem.org/righteous.html.

52 Wojciech Szacki, *Poplątana pamięć o II wojnie*, „Gazeta Wyborcza", 18 sierpnia 2009, https://bit.ly/2JjsS6J.

Problem z polityką pamięci polega na tym, że z konieczności dotyczy ona aktorów zbiorowych, a nie konkretnych istot ludzkich. „Polaków" przedstawia się więc albo jako bohaterów, albo jako zbrodniarzy – tyle że nie można używać takich uogólniających etykietek w odniesieniu do dziesiątków milionów ludzi, którzy w najrozmaitsze sposoby reagowali na wyjątkowo trudne okoliczności. Największe spośród licznych kłamstw Hitlera głosiło, że człowieka można i należy oceniać wedle jego narodowości, a przymiotniki „wielki" lub „wynaturzony" stosują się do całych grup etnicznych. Absurd tej idei ukazuje nam się w pełni, kiedy próbujemy analizować tezy typu „Polacy zachowywali się szlachetnie podczas drugiej wojny światowej". Jak stwierdzić, czy to prawda, czy też fałsz? Czy należałoby wykazać, że ani jeden Polak nie uczynił nic złego? Żadna grupa nie spełni przecież takiego warunku. Może więc istnieje jakiś odsetek progowy? A może powinniśmy dowieść, czy większość postępowała heroicznie lub większość przychylnie odnosiła się do nazistowskiego antysemityzmu? Nawet gdyby dało się to oszacować (a rzecz jasna się nie da), nie potrafilibyśmy odpowiednio opisać pozostałej mniejszości. Obliczanie większości może i jest dobrym sposo-

bem na ustalenie wyniku głosowania, ale kiepsko się sprawdza w interpretowaniu historii. Im usilniej zastanawiamy się nad owym problemem, tym bardziej nie ulega wątpliwości, że zarówno pozytywne, jak i negatywne generalizacje o „Polakach" i ich postępowaniu nie mają sensu, a dyskusja w tych kategoriach jest zupełnie jałowa.

Więcej zyskamy, wychodząc od stwierdzenia, że w okresie międzywojennym w sferze publicznej w Polsce krążyły treści antysemickie. Ludzie mieli z nimi nieustanny kontakt, nawet jeśli osobiście się z nimi nie zgadzali. Wskutek tego zaczęto uważać za oczywiste, że Żydzi stanowią obcą zbiorowość, żyjącą między Polakami. Nawet w pismach osób opowiadających się za daleko posuniętą tolerancją kulturową określano Żydów mianem „onych". Nie oznacza to naturalnie powszechnej akceptacji dla teorii spiskowych o żydowskiej perfidii. Jedni w takie teorie wierzyli, inni nie. „Polacy" nie prezentowali jednego światopoglądu. Zarazem w granicach cywilizowanej rozmowy można było mówić rzeczy, które dziś (słusznie) uznalibyśmy za odrażające.

Dlatego właśnie radzenie sobie z ludobójczym antysemityzmem nazistów nastręczało Polakom trudności. Weźmy choćby przypadek Zofii Kossak, prawdziwej bohaterki, noszącej tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Kossak współzakładała Radę Pomocy Żydom (powszechnie znaną pod kryptonimem „Żegota"). Organizacja ta uratowała życie tysiącom osób, rozdzielając jedzenie, pieniądze i fałszywe papiery. Działacze, między innymi Kossak, ponosili ogromne ryzyko. Ona sama została złapana i zesłana do Auschwitz; ledwo

przeżyła wojnę. Zdać by się mogło, że taka biografia to znakomity materiał dla filmowców, gdyby nie fakt, że przed niemiecką inwazją Kossak cieszyła się sławą jako autorka antysemickich, nacjonalistycznych powieści i esejów, a wojenne doświadczenia bynajmniej nie zmieniły jej nastawienia. Tę złożoność poglądów dobrze wyraża manifest zatytułowany *Protest*, rozpowszechniany w 1942 roku. Na początku Kossak wylicza czyny nazistów i konkluduje:

> Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje – i milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrogiego milczenia. Milczą kaci, nie chełpią się tym, co czynią. Nie zabierają głosu Anglia ani Ameryka, milczy nawet wpływowe międzynarodowe żydostwo, tak dawniej wyczulone na każdą krzywdę swoich. Milczą i Polacy. Polscy polityczni przyjaciele żydów ograniczają się do notatek dziennikarskich, polscy przeciwnicy żydów objawiają brak zainteresowania dla sprawy im obcej. Ginący żydzi otoczeni są przez samych umywających ręce Piłatów. Tego milczenia dłużej tolerować nie można. Jakiekolwiek są jego pobudki – jest ono nikczemnie. Wobec zbrodni nie wolno pozostawać biernym. Kto milczy w obliczu mordu – staje się wspólnikiem mordercy. Kto nie potępia – ten przyzwala.

Jednak w następnym akapicie Kossak uspokaja czytelników: „Uczucia nasze względem żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy uważać ich za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski”[53]. Kossak głosiła światopogląd powszechny wśród polskich katolików, jakoby Żydzi knuli przeciwko narodowi i przeciwko chrześcijaństwu. Zarazem wierzyła, że reakcją na żydowskie zagrożenie nie może być przemoc. Jeśli pominiemy tego rodzaju punkt widzenia, nie zrozumiemy odniesień kulturowych w Polsce podczas drugiej wojny światowej. Stereotypy i teorie spiskowe sprawiały, że polskim katolikom trudno było czuć empatię wobec Żydów albo nadstawiać za nich głowę. Osoby pokroju Kossak przezwyciężyły tę przeszkodę i uratowały tysiące istnień. Inna grupa zignorowała zalecenia, by powstrzymać się od przemocy, i splamiła się prawdziwie zbrodniczą działalnością. Natomiast przeważająca większość nie była pewna, co należy robić, więc nie zrobiła nic.

53 Zofia Kossak-Szczucka, *Protest*, https://bit.ly/3lgORZq.

Gdy wybuchło powstanie w getcie warszawskim, ŻOB wysłała przejmującą depeszę do Polaków: „Toczy się walka o naszą i waszą Wolność. O wasz i nasz – ludzki, społeczny, narodowy – honor i godność. Pomścimy zbrodnie Oświęcimia, Treblinki, Bełżca, Majdanka! Niech żyje braterstwo broni i krwi walczącej Polski!”[54]. Problem w tym, że w 1943 roku mało kto już potrafił wyobrazić sobie Polskę jako ojczyznę chrześcijan i Żydów. Obecnie Polacy i Żydzi odmiennie pamiętają drugą wojnę światową. Co prawda gorycz udało się nieco

złagodzić dzięki dialogowi i empatii, lecz wciąż rzadkie jest mówienie o dwóch powstaniach warszawskich i traktowanie ich jako równoważnych zdarzeń. Rozlew krwi i cierpienia okresu wojny są z reguły pamiętane w kategoriach wykluczającej tożsamości – a więc w kategoriach, które spowodowały tamtą tragedię.

54 https://bit.ly/3mne6uu.

Literatura uzupełniająca

Bauer, Yehuda, *The Death of the Shtetl*, Yale University Press, New Haven 2010

Böhler, Jochen, *Najazd 1939. Niemcy przeciw Polsce*, Znak, Kraków 2011

Browning, Christopher, *Zwykli ludzie: 101. Policyjny Batalion Rezerwy i „ostateczne rozwiązanie" w Polsce*, przeł. Piotr Budkiewicz, Bellona, Warszawa 2000

Bucur, Maria, Nancy Wingfield (red.), *Gender and War in Twentieth Century Eastern Europe*, Indiana University Press, Bloomington 2006

Dawidowicz, Lucy, *The War against the Jews, 1933–1945*, Bantam Books, New York 1986

Dobroszycki, Lucjan, *Reptile Journalism: The Official Polish-Language Press under the Nazis*, Yale University Press, New Haven 1994

Dunin-Wąsowicz, Krzysztof (red.), *Warszawa lat wojny i okupacji*, IH PAN, Warszawa 1973

Engelking, Barbara, *Jest taki piękny słoneczny dzień. Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej, 1942–1945*. Warszawa, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, 2011

Engelking, Barbara, *Zagłada i pamięć. Doświadczenia Holocaustu i jego konsekwencje opisane na podstawie relacji autobiograficznych*, IFiS PAN, Warszawa 2001

Engelking, Barbara, Jan Grabski (red.), *Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski*, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2018

Grabowski, Jan, *Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium dziejów pewnego powiatu*, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2011

Gross, Jan Tomasz, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Pogranicze, Sejny 2000

Gross, Jan Tomasz, *Polish Society under German Occupation: The Generalgouvernement, 1939–1944*, Princeton University Press, Princeton 1979

Gutman, Yisrael, *The Jews of Warsaw, 1930–1943: Ghetto, Underground, Revolt*, Indiana University Press, Bloomington 1989

Horwitz, Gordon J, *Ghettostadt: Lodz and the Making of a Nazi City*, Harvard University Press, Cambridge 2008

Jakubowska, Longina, *Patrons of History: Nobility, Capital, and Political Transitions in Poland*, Ashgate, Farnham 2012

Jakubowski, Wojciech, *Chłopi polscy 1944–1948. Perspektywa psychohistoryczna*, Instytut Nauk Politycznych, Warszawa 2000

Jaroszyńska-Kirchmann, Anna D., *The Exile Mission: The Polish Political Diaspora and Polish Americans, 1939–1956*, Ohio University Press, Athens 2005

Jolluck, Katherine R., *Exile and Identity: Polish Women in the Soviet Union during World War II*, University of Pittsburgh Press, Pittsburgh 2002

Karski, Jan, *Wielkie mocarstwa wobec Polski: 1919–1945, od Wersalu do Jałty*, przeł. Elżbieta Morawiec, PIW, Warszawa 1992

Kersten, Krystyna, *Wieś polska, 1939–1948*, PWN, Warszawa 1967–1971

Leiserowitz, Ruth, Maren Röger, *Women and Men at War: A Gender Perspective on World War II and its Aftermath in Central and Eastern Europe*, Verlag, Osnabrück 2012

Łuczak, Czesław, *Polska i Polacy w drugiej wojnie światowej*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 1993

Madajczyk, Czesław, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1970

Materski, Wojciech, Tomasz Szarota, *Polska 1939–1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2009

Motyka, Grzegorz, *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła". Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011
Paulsson, Gunnar, *Utajone miasto. Żydzi po aryjskiej stronie Warszawy (1940–1945)*, przeł. Elżbieta Olender-Dmowska, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2007
Polonsky, Antony, *The Jews in Poland and Russia*, t. 3, Littman Library of Jewish Civilization, Washington 2010
Polonsky, Antony (red.), *„My Brother's Keeper?" Recent Polish Debates on the Holocaust*, Routledge, New York 1990
Polonsky, Antony (red.), *The Neighbors Respond*, Princeton University Press, Princeton 2003
Rossino, Alexander B., *Hitler Strikes Poland: Blitzkrieg, Ideology, and Atrocity*, University of Kansas Press, Lawrence 2003
Rukowiecki, Andrzej, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn, Łódź 2012
Rutherford, Phillip T., *Prelude to the Final Solution: The Nazi Program for Deporting Ethnic Poles, 1939–1941*, University Press of Kansas, St. Lawrence 2007
Snyder, Timothy, *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, przeł. Bartłomiej Pietrzyk, Świat Książki, Warszawa 2011
Strzeżek, Anna, *Od konsumpcji do konspiracji czyli warszawskie lokale gastronomiczne 1939–1944*, Trio, Warszawa 2012
Szarota, Tomasz, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, Czytelnik, Warszawa 1973
Szarota, Tomasz, *U progu zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie*, Sic!, Warszawa 2000
Torzecki, Ryszard, *Polacy i Ukraińcy. Sprawy ukraińskie w czasie II Wojny Światowej na terenie II Rzeczypospolitej*, PWN, Warszawa 2007
Tucker, Erica, *Remembering Occupied Warszawa: Polish Narratives of World War II*, Northern Illinois University Press, DeKalb 2011
Urban, Thomas, *Utracone ojczyzny: wypędzenia Niemców i Polaków w XX wieku*, przeł. Agnieszka Kowaluk, Czytelnik, Warszawa 2007
Wieliczko, Mieczysław, *Dzieje społeczne Polaków w warunkach okupacji. 1939–1944/1945*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1999

Zimmerman, Joshua (red.), *Contested Memories: Poles and Jews during the Holocaust and its Aftermath*, Rutgers University Press, New Brunswick 2003

ROZDZIAŁ ÓSMY

PODBÓJ CZY REWOLUCJA? 1945–1956

Jak opisać to, co wydarzyło się w Polsce po drugiej wojnie światowej? W starszych publikacjach na temat historii Polski znajdziemy określenia „zdobycie władzy przez komunistów" albo „sowiecki podbój", jednak niedawno część uczonych zaczęła mówić o rewolucji[1]. Dawniej akcentowano rolę ZSRR w narzucaniu Polsce ustroju polityczno-gospodarczego, który trwał niemal pół wieku. Nowsze podejście zwraca uwagę, że głębokie przemiany pod koniec lat czterdziestych miały także przyczyny wewnętrzne, a nie tylko międzynarodowe. Owe konkurencyjne interpretacje są przedmiotem zaciętej debaty, ale nie trzeba koniecznie opowiadać się wyłącznie za jedną z nich. Rewolucja była faktem. Po wojnie we wszystkich krajach Europy dokonały się ogromne zmiany. Zniszczenia, jakich zaznała Polska, sprawiły, że ludzie otworzyli się na nowe, radykalne idee. Niezależnie od zjawienia się Sowietów świat z 1939 roku na zawsze odszedł do przeszłości. Zarazem, nawet jeżeli to nie ZSRR wywołał powojenną rewolucję, Stalin bez wątpienia poprowadził ją w sposób, jakiego Polacy raczej by nie wybrali.

1 W anglojęzycznej literaturze przed 1989 rokiem dominowały sformułowania *takeover* (przejęcie) i *Soviet occupation* (radziecka okupacja). Klasyczny przykład to: Thomas T. Hammond (red.), *The Anatomy of Communist Takeover*, Tale University Press, New Haven 1975. Jednym z pierwszych krytyków tego podejścia

w latach dziewięćdziesiątych był Padraic Kenney, zob. zwłaszcza *Budowanie Polski Ludowej. Robotnicy a komuniści, 1945–1950*, przeł. Anna Dzierzgowska, WAB, Warszawa 2016. Terminem „rewolucja" posłużył się ostatnio Andrzej Leder, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.

Można spotkać historyków i postaci życia publicznego skłonnych przestawiać lata 1945–1989 jako okres okupacji i marionetkowych, niepolskich rządów. Gdyby przyjąć to za prawdę, mielibyśmy do czynienia z opowieścią o walce o wyzwolenie, a opis życia codziennego w tym złym ustroju sprowadzałby się do obnażania wszechobecnej totalitarnej opresji. Politykę prezentowano by jako epickie zmagania między państwem („nimi") i społeczeństwem („nami")[2]. Takie rozumienie przeszłości znajduje odzwierciedlenie w osobliwej nomenklaturze: otóż między Drugą i Trzecią Rzecząpospolitą była jeszcze inna Rzeczpospolita, bez numerka, za to z przymiotnikiem „Ludowa", jak gdyby niewpasowująca się w porządek dziejów.

2 Klasyczny przykład tej dychotomii to książka Teresy Torańskiej *Oni*, Przedświt, Warszawa 1985. Torańska przygotowała później ciąg dalszy, czyli cykl wywiadów z opozycją *My*, Most, Warszawa 1994. W nauce podobną dychotomią posługiwał się Grzegorz Ekiert, *The State against Society: Political Crises and their Aftermath in the East Central Europe*, Princeton University Press, Princeton 1996.

PRL bez najmniejszych wątpliwości był opresyjnym państwem. Nie zamierzam go rehabilitować ani bronić jego przywódców. Dzierżyli oni władzę dyktatorską, w najgorszym razie wykazywali się brutalnością i skłonnością do przemocy, w najlepszym zaś razie byli małostkowi i skorumpowani. Cenzurowali prasę, kryminalizowali działalność opozycyjną,

wprowadzali liczne ograniczenia w życiu kulturalnym, przeciwników często zamykali w więzieniach, niekiedy zabijali, byle utrzymać porządek. Nie zasługują na podziw. Moim celem nie jest też obrona ideologii PRL. Jak wyjaśnię dalej, wzniosłe cele części ojców ustroju zostały skompromitowane wskutek zastosowania wstrętnych środków. Co gorsza, owe ideały z biegiem lat traktowano coraz bardziej po macoszemu, aż wreszcie zapanował cynizm.

Jednak nawet w opresyjnych państwach nie wszyscy są uciskani, a tych, którzy są, nie można postrzegać wyłącznie przez ten pryzmat. Jeśli wyjdziemy poza wartościującą retorykę polityki historycznej, przekonamy się, że rzeczywistość była bardzo zniuansowana i obejmowała biografie, które nie wpisywały się w ścisły podział na dobro i zło, Nas i Ich. Zamiast ideologicznych metafor ujrzymy prawdziwych ludzi. Obecnie, kiedy w tylu miejscach na świecie narusza się standardy liberalnej demokracji, kiedy pogłębiają się podziały ideologiczne i kulturowe dotyczące najważniejszych kwestii życia społecznego i politycznego, łatwo ulec pokusie dychotomii. Stare fronty zimnej wojny wydają się niepokojąco aktualne, nie można jednak pozwolić, by wpływało to na nasze myślenie o historii. Powinniśmy starać się zrozumieć przeszłość, nadzwyczaj wielowymiarową i skomplikowaną – choćby dlatego, że przeszłość to ludzie, pełni zarówno cnót, jak i wad.

Co ważniejsze, musimy wyjść poza zimnowojenną retorykę i spojrzeć na PRL w szerszym kontekście – nie tylko Europy Wschodniej lub bloku wschodniego, ale też całego XX wieku.

Zbyt często w opowieściach o latach 1944–1989 komunizm służy za wyjaśnienie wszystkiego – a w każdym razie wszystkiego, co złe. To nadmierne uproszczenie. Należy rozdzielić trzy wątki najnowszej historii: po pierwsze traktować PRL jako ubogi kraj, przechodzący procesy modernizacji, po drugie rozpatrywać PRL w kontekście zimnej wojny oraz po trzecie uwzględniać ideologię i nadużycia władzy ze strony komunistów. To ostatnie miało nie lada znaczenie, lecz często wątek pierwszy i drugi liczyły się znacznie bardziej.

Manichejski dualizm, który prezentowali politycy po obu stronach zimnowojennego podziału, nie pozwala wyjaśnić doświadczeń prawdziwych ludzi żyjących w tamtej epoce. W dalszej części książki będę zatem próbował odczarować PRL i poddać go chłodnej ocenie, pomijając wielkie spory o prawdę, sprawiedliwość i wolność. Autorzy książek rzecz jasna z reguły dążą do dramatyzmu, tym razem jednak trzeba nieco ostudzić emocje, by zrozumieć, jakie naprawdę było życie w Polsce w okresie komunizmu.

Tego rodzaju prozaiczne podejście jest szczególnie istotne dziś, kiedy odradzają się autorytarne ideologie. Osoby, które pragną ocalić demokrację konstytucyjną, czują pokusę bicia na alarm i przywoływania najbardziej przerażających cech populistycznej dyktatury, by w ten sposób zawrócić innych z niebezpiecznej ścieżki. Ja jednak, za sprawą doświadczeń ostatnich lat, nabrałem przekonania, że to błędna strategia. Często bowiem zapominamy o pewnym ważnym aspekcie ustrojów populistycznych: spychając mniejszości (światopoglądowe, rasowe, seksualne, narodowe czy jakiekolwiek inne)

na margines, populiści karmią uprzedzenia i dumę grup większościowych. Kto jest „jednym z nas", nie musi się niczego obawiać. Czasem wręcz czerpie korzyści. Tak zwani Aryjczycy w nazistowskich Niemczech, robotnicy fabryczni w ZSRR, biali na południu Stanów Zjednoczonych przed wojną secesyjną czy apolityczna większość we współczesnych krajach autorytarnych wiedzie na co dzień spokojne życie. Ludzie się zakochują, kończą szkoły, awansują w pracy, obchodzą święta, jeżdżą na wakacje. Nie ma sensu mówić im, że autorytaryzm prowadzi do orwellowskiego koszmaru – wystarczy przecież, że pomyślą o swojej sytuacji, a zaraz dojdą do wniosku, że nie ma się czym martwić. Nasze wyobrażenia często kształtowane są przez dystopijną literaturę lub filmy oraz przez ponure relacje historyczne na temat totalitarnej opresji. Ponieważ jednak większości ludzi w dyktaturach żyje się zupełnie normalnie, głosy demokratycznej opozycji brzmią w ich uszach jak głupie histeryzowanie.

Polacy jednoznacznie oceniają nazizm jako zło. W imperium Hitlera stali się ludźmi drugiej kategorii. Żydom w ogóle odmówiono człowieczeństwa. Ludzie doświadczali tego na co dzień. Natomiast realia stalinizmu wyglądały zupełnie inaczej. Dla większości Polaków polityka była jedynie tłem (cokolwiek dysharmonijnym). Najbardziej liczyło się wówczas odbudowanie swojego życia po wojnie. Nawet osoby, które nie udzielały się politycznie, lecz buntowały się przeciwko rządom Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, mogą z nostalgią wspominać rozmaite szczęśliwe, pełne nadziei prywatne momenty. Od wielu dekad historycy skupiali się przede

wszystkim na przemocy, represjach, terrorze, cenzurze i niesprawiedliwości, aż wreszcie nabraliśmy nieuświadomionego przekonania, że codzienność w pierwszych latach komunizmu była nieustannym cierpieniem i koszmarem. Potrzebujemy uważniejszego spojrzenia, by nie tracić z oczu faktu, że wstrętne ustroje bywają zupełnie znośne – a nawet opłacalne – dla apolitycznych grup większościowych. Nie zamierzam więc kreślić obrazu PRL jako państwa wszechobecnej niesprawiedliwości ani przedstawiać PZPR jako wszechpotężnej (a tym bardziej wszechwiedzącej) władzy. Jeżeli odejdziemy od martyrologii, uświadomimy sobie, że autorytarne rządy niekoniecznie uczynią życie większości z nas gehenną – i właśnie dlatego są tak groźne.

Stawka ideologiczna

Jedna z największych tragedii zimnej wojny polegała na redukowaniu wszystkiego do binarnych podziałów. Jeśli je odrzucić, ujrzymy zdumiewającą rozmaitość nakładających się na siebie konfliktów: kapitalizm kontra socjalizm, liberalizm kontra socjalizm, demokratyczny socjalizm kontra autorytarna wersja socjalizmu (czyli komunizm), ludowy socjalizm kontra socjalizm marksistowski (wielkomiejski, przemysłowy), religijny tradycjonalizm kontra świecka modernizacja, nacjonalizm kontra internacjonalizm i oczywiście zmagania dwóch mocarstw, czyli Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. Podczas zimnej wojny wszystko to mieszało się ze

sobą w najprzeróżniejszych konfiguracjach, zarówno w Polsce, jak i na całym świecie. Przykładowo Kościół katolicki zazwyczaj nieprzychylnie odnosił się do liberalizmu i kapitalizmu, ale zawarł milczący sojusz ze Stanami Zjednoczonymi. W niektórych krajach część socjaldemokratów stanowczo opowiedziała się przeciwko komunizmowi, część zaś popierała ZSRR. Działacze chłopscy toczyli w Europie Wschodniej walkę z komunizmem, lecz w innych zakątkach globu sprzymierzali się z marksistami. Amerykański rząd wspierał wschodnioeuropejskich ludowców i socjaldemokratów, zarazem walcząc z podobnymi grupami w Ameryce Łacińskiej. Mógłbym długo ciągnąć tę listę. Zimna wojna była pod względem ideologicznym niezwykle skomplikowana. Stwierdzenie, że osie konfliktów zmieniały się z upływem czasu, nie oznacza, że nie były istotne. Mnóstwo ludzi poważnie traktowało swe przekonania; w ich imię gotowi byli ginąć lub zabijać.

Ideologiczne etykietki przywołane w poprzednim akapicie należą do naszego codziennego słownika. Jednak pisząc i ucząc o nich przez kilka dziesięcioleci, przekonałem się, że nierzadko bywają mylnie rozumiane, zwłaszcza dziś, gdy ludzie coraz częściej zamiast argumentów sięgają po obelgi i przypisują przeciwnikom absurdalne poglądy, by ich zdyskredytować. Zacznijmy zatem od krótkiej dygresji na temat podstawowych ideologii, ścierających się w zimnowojennej walce o władzę.

W Europie po 1945 roku socjalizm, w różnych odmianach, miał silną pozycję, choć przecież nie wszędzie stacjonowały

oddziały Armii Radzieckiej. Karykaturalny obraz socjalizmu, obecnie szeroko rozpowszechniony, pozwala zapomnieć, że ruch ten dążył do zapewnienia możliwie licznym masom możliwie dużo wolności. Pod tym względem cele socjalistów były zbieżne z celami liberałów, ci drudzy jednak chcieli wolności od opresyjnej władzy państwa, ci pierwsi zaś twierdzili, że równie poważnym zagrożeniem jest własność prywatna, gdyż osoba pracująca czternaście godzin dziennie za głodową pensję nie może zostać nazwana wolną. Karol Marks nie był tak naprawdę twórcą socjalizmu (sam termin powstał w początkach XIX wieku), ale szczegółowo zdefiniował podstawowe terminy, zwłaszcza słowo „wyzysk". Ma ono dla socjalistów ściśle określone znaczenie, różne od potocznego. Marks uważał, że człowiek przez swą pracę dodaje wartości wytwarzanym towarom. Wartość ta nie znajduje odzwierciedlenia w płacach robotników w kapitalistycznych fabrykach, bo właściciel zatrzymuje dla siebie nadwyżkę, wartą znacznie więcej niż jego własny wkład w proces produkcji. Według Marksa zarządzanie i administrowanie produkcją również należało uznać za formę pracy, zasługującą na wynagrodzenie. Zgadzał się ponadto, że każde przedsiębiorstwo musi przeznaczać część środków na gromadzenie kapitału inwestycyjnego. Ale nawet po uwzględnieniu tych czynników kapitaliści przywłaszczali sobie zdaniem Marksa więcej, niż wynosił ich udział, natomiast robotnicy dostawali mniej, niż włożyli. Filozof posługiwał się terminem „burżuazja" na określenie właścicieli „środków produkcji" (fabryk, maszyn, ziemi i tak dalej), którzy dopuszczali się wyzysku, oraz terminem „pro-

letariat" na określenie tych, którzy nie mieli nic i musieli sprzedawać swą siłę roboczą – czyli w pewnym sensie samych siebie – by przetrwać. Marksiści uważali, że osoba w takim systemie nie może być w pełni wolna.

Podstawowy cel marksistowskiego socjalizmu polegał na zniesieniu wyzysku i wyrażał się w haśle „każdy według swoich zdolności, każdemu według jego zasług". Mówiąc inaczej, socjaliści chcieli świata, w którym nikt nie będzie dostawał więcej, niż wniósł przez pracę (fizyczną, intelektualną, zarządczą, administracyjną czy jakąkolwiek inną). Marzył im się nowy etap rozwoju dziejowego. W przyszłym świecie ludzie mieli produkować tyle, by dało się wyeliminować wszelkie niedobory, a sprawiedliwość społeczna miała umożliwić realizację innego hasła: „Każdy według swoich zdolności, każdemu wedle jego potrzeb". Często miesza się te slogany, ale jeśli chcemy zrozumieć politykę i życie codzienne w PRL, musimy pamiętać, że drugi z nich pozostawał jedynie ideałem, z czasem zaś traktowano go coraz mniej poważnie, natomiast pierwszy wyznaczał realne cele polityki państwa, przynajmniej w teorii (a także w praktyce, w stopniu większym, niż się obecnie wielu ludziom wydaje).

Podejście socjalistów do własności prywatnej bywa często mylnie rozumiane. Sama w sobie nie stanowiła ona dla marksistów problemu. Zło brało się z wykorzystywania własności do kontrolowania innych ludzi. W świecie socjalistycznym własność prywatna nie miała zostać zupełnie zniesiona – miała jedynie stracić swój uświęcony status. Ludzie mogliby być posiadaczami, o ile zakres lub charakter ich własności nie

powodowałby ograniczenia swobody innych osób. Mówiąc dzisiejszym językiem: zasadniczy cel socjalizmu polegał na wyeliminowaniu własności prywatnej kapitału inwestycyjnego. Robotników należało uczynić prawdziwymi właścicielami przedsiębiorstw, żeby tworzona przez nich wartość nie została przez kogokolwiek przywłaszczona. Cel ten można było osiągnąć na dwa sposoby. Po pierwsze przez utworzenie demokratycznie wybieranych rad robotniczych i przekształcenie przedsiębiorstw w swego rodzaju kooperatywy. Państwo utworzone przez Lenina nosiło nazwę Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich; w innych językach tłumaczy się to niestety w sposób bardziej egzotyczny i dziwaczny, zachowuje się bowiem rosyjskie słowo *sowiet*, które znaczy „rada": „Union of Soviet Socialist Republics", „Union der Sozialistischen Sowjetrepubliken", „Union des républiques socialistes soviétiques". Co znamienne, polscy antykomuniści posługiwali się czasem określeniem „Związek Sowiecki", zacierając tym samym po cichu skojarzenia z ideałem prawdziwych rad robotniczych, mogącym brzmieć atrakcyjnie dla mas.

Drugi sposób traktowania prywatnej własności – zastosowany ostatecznie w Polsce – wyrastał z założenia, że porewolucyjne państwo będzie autentycznie reprezentować interesy robotników. Gdyby tak było, własność państwowa stałaby się de facto, choć nie bezpośrednio, własnością ludu pracującego. Słowo „gdyby" w poprzednim zdaniu jest kluczowe: skuteczność i prawomocność socjalizmu zależała od utworzenia prawdziwej demokracji, czyli państwa, które według obywateli reprezentuje ich interesy i potrzeby. Dopóki robotnicy po-

strzegali państwo w kategoriach „oni", a nie „my", dopóty najważniejszy cel socjalizmu nie mógł zostać osiągnięty. I zasadniczo wszystko rozbiło się właśnie o ten problem.

Przedmiotem sporów był sposób dotarcia do ziemi obiecanej. Socjaldemokraci, jak choćby PPS w przedwojennej Polsce, uważali, że wiedzie tam droga demokratyczna, wymagająca pewnej cierpliwości (ale dokładnie jak długa jest ta droga, było sprawą sporną). Najpierw kapitalizm musi osiągnąć najbardziej rozwiniętą postać, rozpowszechnić wszędzie wydajność i ekonomię skali, a także doprowadzić do koncentracji majątku w rękach niewielkiej elity. Skutkiem tego będą nierówności i niesprawiedliwość, co zdaniem socjaldemokratów doprowadzi do nieuchronnego kryzysu. Dopiero wówczas nadejdzie rewolucja. Wszelkie próby przyspieszania tych procesów miały z konieczności zakładać wykorzystanie autorytarnych środków, to zaś stałoby w całkowitej sprzeczności z wartościami socjalizmu. Właśnie dlatego socjaldemokraci postulowali działanie w ramach instytucji liberalnej demokracji kapitalistycznej i ograniczanie cierpienia najuboższych, jak tylko się da.

Druga, leninowska wersja socjalizmu po licznych nazewniczych zawirowaniach na początku XX wieku, zyskała miano komunizmu (lub bolszewizmu). Bardziej opisowo należałoby mówić o „socjalizmie niecierpliwym". Lenin nie zamierzał czekać nie wiadomo jak długo, aż historia przyniesie mu rewolucję. Pragnął wywołać ją już teraz. Gardził moralnymi obiekcjami „burżuazyjnych socjalistów", gotowych grać wedle reguł liberalnej kapitalistycznej demokracji. Nie wierzył

w zmianę status quo na drodze ewolucji, bo skoro władzę można kupić za pieniądze, bogaci zawsze będą manipulować polityką oraz kontrolować media i instytucje kultury. Lenin pragnął sięgnąć po radykalne środki, rozbić wszechobecną hegemonię i stworzyć nowy ład. Opowiadał się za sformowaniem „awangardy partyjnej", jedynej siły zdolnej przejrzeć propagandę na wylot, zdemaskować ją i obalić ułudę kapitalizmu. Awangarda nie mogła sobie pozwolić na wątpliwości natury etycznej ani na tchórzliwe wahania. Nie da się zrobić omletu bez rozbijania jaj, przekonywał Lenin. Jeśli oznacza to, że jacyś ludzie poniosą śmierć – trudno.

Autorytarne zagrożenie, wpisane w koncepcję awangardy, było krytykowane przez wielu współczesnych Leninowi. Przelano morze atramentu w dyskusjach, czy owe idee nieuchronnie musiały doprowadzić do przemocy i ucisku, czy też zostały wypaczone po śmierci ojca rewolucji. Jakkolwiek było, w latach trzydziestych ZSRR rządzony przez Józefa Stalina ani trochę nie przypominał socjalistycznej utopii. Stalinizm był kolejną wersją socjalizmu, opartą na przekonaniu, że w miarę postępów rewolucji kapitalistyczni wrogowie zaczną postępować w sposób coraz bardziej desperacki i bezwzględny: nie zawahają się szpiegować, spiskować i sabotować, a więc każde zwycięstwo na drodze ku komunizmowi będzie wymagało zwiększonej czujności. Paranoja Stalina ogarnęła ostatecznie całą radziecką partię komunistyczną. Wszelkie błędy, wszelkie nieprawidłowości w ZSRR postrzegano jako efekt działania dywersantów. Tak oto uruchomiono machinę terroru, która pochłonęła ostatecznie miliony ofiar.

W powojennej Europie w opozycji do wszystkich tych odmian socjalizmu stał ruch, o którym wcześniej pobieżnie wspomniałem, a mianowicie chrześcijańska demokracja. Co najmniej od czasów rewolucji francuskiej Kościół katolicki był głównym przedstawicielem klasycznego konserwatyzmu opierającego się na przekonaniu, że ludzie są z natury grzeszni, toteż jedynie silne instytucje i normy zakorzenione w tradycji mogą utrzymać jedność społeczeństwa. Według katolickich myślicieli podstawy porządku społecznego – zwłaszcza instytucję rodziny – stworzył Bóg, a podkopywanie ich jest aktem karygodnej transgresji. Przywódcy Kościoła potrzebowali wiele czasu, by pogodzić się z istnieniem demokracji parlamentarnej. Gdy wreszcie się na to zdobyli, zastrzegali, że podstawą legitymizacji władzy winno być prawo boże, a nie rządy większości czy umowa społeczna.

Wychodząc od przełomowej encykliki *Rerum novarum* ogłoszonej w 1891 roku przez papieża Leona XIII, Kościół rozwijał jasne stanowisko w kwestii niesprawiedliwości. Katolicy twierdzili, że kapitalizm czyni ludzi niewolnikami, gdyż redukuje ich do roli trybików w machinie produkcji, widzi w nich tylko siłę roboczą, a ich wartość mierzy siłą nabywczą ich pensji. Brzmi to uderzająco podobnie do języka socjalistów, ale katolicy wskazywali inne przyczyny i inne rozwiązania. Podczas gdy socjaliści postulowali stworzenie alternatywnego porządku społecznego, katolicy odwoływali się do podstawowych ich zdaniem instytucji, powstałych z bożej inspiracji, czyli rodziny i wspólnoty. Socjaliści uważali, że w przyszłości rozum zatriumfuje nad religią, natomiast we-

dług katolików Boża Prawda pozostawała wieczna i niezmienna, nawet w miarę rozwoju dziejów. Światopogląd ten zyskał popularność w Europie na przełomie XIX i XX wieku również w innych środowiskach, łączących kulturowy konserwatyzm z krytyką niesprawiedliwości społecznej i tak oto powstała chrześcijańska demokracja (od skrótowca ChD zwana chadecją). W przedwojennej Polsce działała nawet partia o tej nazwie, ale nigdy nie zdołała znaleźć dla siebie odpowiednio dużo miejsca między endecją a PPS. W 1937 roku powstało nowe chadeckie ugrupowanie, Stronnictwo Pracy. Po wojnie próbowało wrócić na scenę polityczną; wskutek infiltracji i zastraszania ze strony komunistycznych służb bezpieczeństwa przywódcy partii udali się w 1946 roku na emigrację, niemniej głoszona przez nich katolicka krytyka kapitalizmu i socjalizmu dalej grała rolę w życiu intelektualnym w Polsce.

Przedstawiony tu przegląd nurtów ideologicznych, które w latach czterdziestych nabrały szczególnego znaczenia, dowodzi, że nadmiernym uproszczeniem byłoby rozpatrywanie konfliktów tamtej epoki w kategoriach dychotomicznych (typu: demokracja, liberalizm i kapitalizm po jednej stronie, socjalizm po drugiej). Większość zaciekłych i brutalnych sporów toczyła się w łonie ruchu socjalistycznego, a poszczególne frakcje żywiły przekonanie, że ich ostatecznym celem jest walka o wolność i demokrację, czyli ideały bliskie także liberałom. Również w Polsce panował zaskakująco szeroki konsensus ideologiczny. W marcu 1944 roku Armia Krajowa opublikowała dokument *O co walczy Naród Polski?*, niezwykle wy-

mowny, prezentował bowiem poglądy wspólne dla przedstawicieli socjaldemokracji (PPS), ludowców (PSL), narodowej prawicy (endecji) i chadeków (Stronnictwa Pracy). Część endecji odżegnywała się później od zawartych w nim treści, ale pozostaje znaczące, że w ogóle znaleźli się przedstawiciele tego środowiska gotowi się podpisać pod dokumentem. W kwestii polityki gospodarczej AK stwierdzała:

> Dążąc do podniesienia potencjału gospodarczego Polski i usunięcia krzywdzących dysproporcji socjalnych, odrodzone państwo polskie przystąpi do gruntownej odbudowy struktury życia gospodarczego, która by uczyniła zadość interesom szerokich mas ludu wiejskiego i miejskiego. W tym zakresie upowszechnianie własności, tj. rozszerzenie jej na możliwie największą liczbę jednostek gospodarujących, będzie najważniejszym zadaniem państwa. Drugim zadaniem państwa będzie podniesienie dochodu społecznego i sprawiedliwy jego podział. Państwo obejmuje funkcje kierownicze i kontrolne w gospodarce, celem zapewnienia realizacji planu gospodarczego Polski. Państwo będzie miało prawo przejmowania lub uspołeczniania przedsiębiorstw użyteczności publicznej oraz kluczowych przemysłów, a także aparatu transportu oraz wszelkich instytucji finansowych – w wypadku, gdy tego będą wymagały potrzeby ogólne. [...] Własność prywatna

> traktowana będzie nie jako nieograniczony niczym przywilej osobisty, lecz jako podstawa do pełnienia zleconych funkcji społecznych i państwowych. [...] Celem polityki społecznej będzie pełne wyzwolenie człowieka pracy. Praca sama nie będzie towarem, człowiek pracy uzyska należną mu godność, wyzwoli się z jarzma najmictwa. Zależność pracownika będzie tylko sprawą organizacji, wynikającej z podziału pracy, przestanie zaś być przejawem władzy człowieka nad człowiekiem[3].

3 *O co walczy Naród Polski*, [w:] Halina Czarnocka, Józef Garliński, Jan Tokarski, Dominik Radecki, *Armia Krajowa w dokumentach, 1939–1945*, SPK, London 1976, t. 3, s. 365–367.

Żaden z tych postulatów nie był wyłączną własnością socjalistów. Ponadto podobny konsensus panował również w innych krajach. Cała Europa, bardziej niż kiedykolwiek, pragnęła zasadniczych zmian. Druga wojna światowa zniszczyła dawny porządek i otworzyła bezprecedensową szansę stworzenia czegoś nowego. Zapanowały niespotykana wcześniej solidarność i poczucie jedności, jakie mogą przynieść tylko narodowe zwycięstwo i podbój albo narodowa klęska i opór. Stąd właśnie brała się wyjątkowo silna wiara w skuteczność zbiorowych rozwiązań problemów społecznych. W Polsce hitlerowcy wymordowali znaczną część przedwojennej elity i zabili prawie wszystkich Żydów, co oznaczało potężny cios dla klasy kupieckiej. Nigdy zatem radykalne reformy nie wydawały się równie łatwe do przeprowadzenia, jak w 1945 roku.

Polityka władzy i początek zimnej wojny, 1944–1948

Z perspektywy Warszawy początek zimnej wojny to opowieść o bezlitosnej radzieckiej agresji, której Amerykanie dawali zbyt niemrawy odpór, może z naiwności, a może z niezdecydowania. Stalin budzi gniew wielu Polaków, a Roosevelt wydaje się im postacią godną pogardy, człowiekiem głupim i słabym. W tamtym okresie zarówno Amerykanie, jak i Sowieci wykorzystywali podwórkowy argument „to on zaczął", ale obie strony ponoszą częściową odpowiedzialność za upadek wojennego sojuszu. Przez pewien czas zdawało się, że mocarstwa osiągnęły porozumienie, a konflikt został załagodzony. Sporą część globu podzielono na „strefy wpływów". I Stany Zjednoczone, i Związek Radziecki postępowały w sposób agresywny, zarazem przystając na agresję drugiej strony (choć nie obywało się bez propagandowych narzekań), byle tylko ofiarą padały niewielkie kraje w wyznaczonej strefie. Gdyby ograniczyć się wyłącznie do Europy, mielibyśmy do czynienia z dość jasnym obrazem sytuacji. Tu Sowieci i ich sojusznicy zachowywali się znacznie gorzej niż Amerykanie. Jeśli jednak spojrzeć na owe procesy z perspektywy globalnej i wziąć pod uwagę poczynania Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej oraz w Azji Południowo-Wschodniej, trudniej jest przedstawić zimną wojnę jako prostą opowieść z morałem. Nie ma pozytywnych bohaterów – co nie oznacza, że złoczyńcy byli bez zmazy[4].

4 Przegląd informacji o początkach zimnej wojny, ujawnionych po otwarciu archiwów w 1989 – zob. Melvyn P. Leffler, *The Cold War: What Do We Now Know*, „American Historical Review" 1999, t. 104, nr 2, s. 501–524; Scott Parrish, *The Marshall Plan, Soviet-American Relations, and the Division of Europe*, [w:] Norman Naimark, Leonid Gabianskii (red.), *The Establishment of Communist Regimes in Eastern Europe, 1944–1949*, Westview Press, Boulder 1997, s. 267–290.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej ani Roosevelt, ani jego następca Harry Truman nie chcieli następnej konfrontacji. W amerykańskich siłach zbrojnych nie brakowało osób opowiadających się w 1945 roku za wykorzystaniem przewagi i marszem na wschód po upadku Berlina. Roosevelt stanowczo odmówił; liczył, że wojenny sojusz stanie się podstawą długotrwałego pokoju. Truman był mniej idealistyczny, ale zdawał sobie sprawę z ograniczeń amerykańskiej siły wojskowej i – co ważniejsze – wyczuł nastawienie opinii publicznej. Nie było łatwo nakłonić Amerykanów do walki z Hitlerem; uzyskanie ich poparcia dla nowej, krwawej i kosztownej wojny z komunistami zdawało się mało prawdopodobne. Stany Zjednoczone zyskały moc i wpływy, jakich jeszcze kilka lat temu nikt sobie nie wyobrażał, a wszystko to za cenę ułamka zasobów i ludzkich istnień w porównaniu z innymi uczestnikami konfliktu. Teraz przyszedł czas, by nacieszyć się owocami triumfu, zamiast ryzykować, że się je roztrwoni, rzucając wojsko przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

ZSRR tymczasem znalazł się w bardzo trudnej sytuacji materialnej. Na Zachodzie często zapominano, jak straszliwą katastrofą była dla tego kraju druga wojna światowa. Obywatele Związku Radzieckiego stanowili ponad jedną trzecią wszystkich ofiar konfliktu, zginęło co najmniej 23 miliony ludzi,

a więc 14 procent przedwojennej populacji (ZSRR znalazł się w tym smutnym zestawieniu na trzecim miejscu, zaraz za Polską i Litwą). Stalin, łagodnie rzecz ujmując, miał skłonność do paranoi i agresji, lecz zarazem nie brakowało mu politycznego sprytu. Wiedział, kiedy należy grać ostrożnie. Wbrew temu, jak wówczas politykę Stalina postrzegało wiele osób, nie dążył za wszelką cenę do ustanawiania komunizmu w innych krajach. Oczywiście, wyobrażał sobie, że pewnego dnia rewolucja zatriumfuje na całym globie, niemniej ideały ustąpiły miejsca twardym machinacjom. Na przykład zaraz po wojnie zabronił włoskim komunistom przejmowania władzy, twierdził bowiem, że Włochy znajdują się w amerykańskiej strefie wpływu, i nie chciał ryzykować prowokacji[5]. Podobnie postąpił w przypadku Grecji; przez kilka lat powstrzymywał nawet komunistów na Węgrzech i w Czechosłowacji. Za każdym razem podporządkowywał cele rewolucji polityce zagranicznej ZSRR (choć wiele osób w Moskwie sądziło, że to sprawy tożsame).

5 Elena Agarossi, Victor Zaslavsky, *Stalin and Togliatti: Italy and the Origins of the Cold War*, Stanford University Press, Stanford 2011.

Rozpatrując wydarzenia w Polsce po drugiej wojnie światowej, należy pamiętać, że mocarstwa wyznaczyły sobie strefy wpływu, gdyż pragnęły uniknąć kolejnego konfliktu. Nie wybiela to polityki ZSRR, pozwala jednak lepiej zrozumieć rolę Brytyjczyków i Amerykanów. Błędem jest stwierdzenie, że Zachód nie zdołał przeciwstawić się Stalinowi. Po prostu przed 1948 rokiem Stalin nie zapuszczał się poza strefy, które

powszechnie uchodziły za należne właśnie jemu. Umacniał kontrolę w Europie Wschodniej, podczas gdy na przykład Brytyjczycy wspierali brutalny zamach stanu w Grecji albo tłumili ruchy niepodległościowe w rozmaitych zakątkach swego imperium. Przez następnych kilka dziesięcioleci małe państwa na całym świecie obowiązywała jedna niepisana reguła: nie wolno drażnić „swojego" mocarstwa. Dlatego chociażby, kiedy w 1954 roku rząd Gwatemali próbował przeprowadzić radykalną reformę rolną, zagrażającą interesom amerykańskich producentów, CIA zorganizowała w kraju przewrót. Doprowadziło to do trwającej ponad 30 lat wojny domowej i śmierci 250 tysięcy ludzi. W 1956 roku rząd Węgier opowiedział się za większą niezależnością i bardziej demokratycznym ustrojem socjalistycznym. Inwazja zbrojna, przedsięwzięta przez ZSRR, położyła kres tym planom. W obydwu przypadkach – i w wielu innych – drugie mocarstwo publicznie potępiało przemoc i starało się po cichu podsycać zamieszanie, ale powstrzymało się przed interwencją, która mogłaby doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. Nie należy sądzić, że Stany Zjednoczone i Związek Radziecki działały identycznie, niemniej kierowały się okrutną logiką *Realpolitik* i gotowe były poświęcać ideały na ołtarzu interesu państwowego.

Właśnie w Polsce pierwszy raz zastosowano rozmaite reguły bezlitosnej zimnowojennej gry. W 1943 roku niemieckie wojska zaczęły się cofać. Klęska Hitlera wydawała się nieuchronna, Stalin zaś zgłosił dwa żądania, nie do negocjacji. Po pierwsze chciał bezpiecznej granicy na zachodzie i Polski

jako kraju buforowego, chroniącego ZSRR przed ewentualną przyszłą inwazją ze strony Niemiec. Po drugie zamierzał zatrzymać tereny przedwojennej Rzeczypospolitej, które zajął w 1939 roku. Oba te cele były nie do pogodzenia. Jak to ujął pewien polski komunista w 1943 roku:

> Związek Radziecki nie może pozwolić na to, by odbudowało się państwo polskie wrogo wobec Związku Radzieckiego nastawione. Jednakże o ile Związek Radziecki chętnie by widział Polskę ustrojowo odmienną, ale pozytywnie odnoszącą się do ZSRR, to rzeczywistość historyczna nie daje możliwości rozbudowania Polski o radykalnej zmianie orientacji zewnętrznej bez głębokich przeobrażeń wewnętrznych. Z wyjątkiem komunistów wszystkie tradycyjne kierunki polskie były antysowieckie. [...] Orientacji na ZSRR [...] nie było i nie ma w Polsce w żadnym stronnictwie. I być nie może[6].

6 Z dokumentu przedrukowanego później przez jedno z emigracyjnych czasopism: Alfred Lampe, *Zagadnienie*, „Zeszyty Historyczne" 1973, t. 26, s. 196–197.

Była to zapewne trafna ocena. Różnice ideologiczne, dziedzictwo zaborów, pamięć o wojnie polsko-bolszewickiej i zajęcie jednej trzeciej obszaru Drugiej Rzeczypospolitej w 1939 – owe czynniki powodowały gorzką niechęć społeczeństwa, które prędzej czy później dałoby jej wyraz przy okazji uczciwie przeprowadzonych wyborów. Stalin kierował się pragnieniem ekspansji terytorialnej i utworzenia przyjaznego mu pa-

ństwa buforowego na zachodzie. Stąd – nie z oddania rewolucyjnym ideałom, a przynajmniej nie tylko – brała się jego polityka wobec Polski. Skoro pragnął Polski jako sojusznika, a do tego chciał okroić jej terytorium, musiał podporządkować sobie jej rząd. Nie wchodziło w grę, by w Polsce panował socjalizm, a zarazem by kraj był niezależny od ZSRR.

Na tym tle łatwiej zrozumieć decyzje podejmowane przez Wielką Trójkę – czyli Roosevelta, Churchilla i Stalina – w ostatnich dwóch latach wojny. W listopadzie 1943 roku przywódcy spotkali się w Teheranie, by omówić między innymi przebieg granicy polsko-radzieckiej. Stalin nieustępliwie domagał się przyznania mu terenów zajętych w 1939 roku, zaproponował jednak jedną z najdziwniejszych rekompensat w dziejach dyplomacji, a mianowicie „przesunięcie" Polski kilkaset kilometrów na zachód i przyznanie jej wybranych terytoriów niemieckich. W chłodnych, racjonalnych kategoriach dało się to przedstawić jako dobry interes. Polacy tracili ubogi wschód, określany niegdyś mianem „Polski B", a w zamian za to zyskiwali zamożne krainy rolnicze i przemysł na zachodzie, między innymi większość kopalń węgla i hut stali na Śląsku oraz spory fragment wybrzeża Bałtyku. Jakkolwiek oceniać logikę tej zamiany, mało kto w Polsce przystałby na nią dobrowolnie. Polska nie była wszak zbieraniną wymiennych zasobów strategicznych, lecz wspólnotą polityczną tworzoną przez ludzi, mających swe domy, rodziny, przyjaźnie i głęboko zakorzenione więzi lokalne. Kreatywna kartografia Stalina wszystko to niszczyła.

W 1945 roku europejscy dyplomaci zdawali sobie sprawę, że ich poprzednicy kiepsko poradzili sobie z zadaniem wytyczenia granic po pierwszej wojnie światowej. Próbując na siłę ustanowić państwa narodowe w regionach zamieszkiwanych przez bardzo różnorodną populację, doprowadzili do zaognienia dążeń niepodległościowych. Po drugiej wojnie świa-

towej próbowano temu zaradzić, okazało się jednak, że idea państwa narodowego jest mocniejsza niż kiedykolwiek. Tym razem starano się zwalczać irredentyzm nie za pomocą granic dzielących różne społeczności, lecz narzucając krnąbrnym populacjom hegemonię kulturową i określoną tożsamość. Skoro założenia nacjonalizmu nie przystawały do rzeczywistości, tę drugą należało zmienić. Termin „czystki etniczne" powstał co prawda później, ale dobrze pasuje do wydarzeń z drugiej połowy lat czterdziestych. Około 2 milionów ludzi mieszkających na wschód od Bugu, których władze uznały za Polaków (bez względu na to, czy się zgadzali z tą etykietką), przesiedlono na nowe zachodnie terytoria. Nie miało znaczenia, czy chcieli się gdziekolwiek przenosić; uznano po prostu, że muszą być wierni swej abstrakcyjnej ojczyźnie (państwu narodowemu), gdziekolwiek ta akurat miała granice – a nie ojczyźnie dosłownej (ziemi, na której żyli ich ojcowie). Od 8 do 11 milionów Niemców (badacze nie są zgodni w kwestii liczb) uciekło na zachód albo zostało tam przymusowo wywiezionych. W latach 1945–1946 z Polski wysiedlono ponad pół miliona ludzi, których skategoryzowano jako Ukraińców. Kolejne 140 tysięcy przeniesiono w 1947 roku z ich domów na południowym wschodzie na inne tereny, w ramach tak zwanej akcji „Wisła", przeprowadzonej przez polską armię. Zadbano o to, by rozproszyć ukraińskie rodziny (przy czym nowi sąsiedzi często odnosili się do nich wrogo), co utrudniało konsolidację wspólnoty etnicznej.

Tak oto Polska pierwszy raz w dziejach stała się niemal zupełnie homogeniczna pod względem językowym i wyznanio-

wym. Zanikły nawet różnice regionalne wśród grup polskojęzycznych, ludzie bowiem migrowali wewnątrz kraju w poszukiwaniu nowych domów oraz pracy. Spośród ogółu warszawiaków w latach pięćdziesiątych większość stanowiły osoby napływowe. Niemal żaden wrocławianin czy gdańszczanin nie mieszkał wcześniej w Breslau ani w Danzig, a w gospodarstwach rolnych na zachodzie osiedlali się ludzie, którzy przed wojną żyli na Kresach. Dowcip z tamtego czasu głosił:

– Mówi pan z akcentem. Skąd pan jest?

– Mieszkam we Wrocławiu.

– Co za przypadek! Ja też ze Lwowa!

Wysiedleni Niemcy i Żydzi zamordowani w Holokauście pozostawili po sobie domy i zakłady, obecnie zajmowane przez nowo przybyłych Polaków. Wojna i czystki etniczne położyły kres dawnym definicjom własności i przyzwoitości. Aby zrozumieć atmosferę tamtych lat, musimy wyobrazić sobie świat, w którym miasta zostały w ogromnym stopniu zniszczone, przepadła znaczna część infrastruktury gospodarczej, miliony ludzi zginęło, zostało wysiedlonych albo przenosiło się z jednej części kraju do drugiej. Mało kto miał rozterki moralne, przejmując opustoszały dom. Rozpaczliwa sytuacja sprawiła, że reguła „znalezione nie kradzione" przerodziła się w powszechny zwyczaj.

Nowi lokatorzy przez wiele lat czuli później niepewność. Starczy odrobina empatii, aby pojąć, dlaczego ktoś, kto przetrwał hitlerowską okupację, uważał za rzecz akceptowalną wprowadzenie się do domu lub przejęcie zakładu pozostawionego przez Żydów zgładzonych w Holokauście lub wysiedlo-

nych Niemców. Niemniej i tak towarzyszyły temu sprzeczne emocje: satysfakcja, że po koszmarze wojny udało się uzyskać pewną rekompensatę, ale też skrępowanie wynikające z faktu, że odbywa się to kosztem cudzej straty. Czasem tworzyła się toksyczna mieszanka, zwłaszcza kiedy okazywało się, że pierwotni właściciele lub ich spadkobiercy nadal żyją. Przez wiele dziesięcioleci osoby z przywłaszczonych domów niechętnie inwestowały w nie pieniądze z obawy, że pewnego dnia właściciele powrócą. Na zachodzie Polski trwało to nawet do lat dziewięćdziesiątych. Jest rzeczą wymowną, że nadal używa się słów „poniemiecki" albo „pożydowski" na określenie gospodarstw, budynków, a nawet całych miast. Stąd skomplikowana, wielowarstwowa ambiwalencja, ukryta w okrutnym pytaniu, które słyszał niejeden ocalały Żyd od swoich niegdysiejszych sąsiadów: „Dlaczego jeszcze żyjesz?".

Ofiary Holokaustu powracały do domów, tam jednak traktowano je wrogo, czasem nawet stosowano wobec nich przemoc. Trudno o smutniejszą historię. Zdarzało się, że tłum atakował Żydów i urządzał pogrom. Najkrwawszy bilans miały zajścia w Kielcach w 1946 roku, gdzie zamordowano 42 osoby, przy czym nie był to jedyny tego typu przypadek. Nie dysponujemy ścisłymi danymi, ale szacuje się, że w latach 1945–1946 od 300 do 650 osób poniosło śmierć na skutek antyżydowskich ataków[7]. Niekiedy sprawcami były osoby pragnące bronić majątku przejętego podczas wojny, w innych przypadkach główną rolę grały strach i dawne stereotypy. Jak pisałem w rozdziale 6, przed wojną antysemici rozpowszechniali teorie spiskowe o tak zwanej żydokomunie, a nazistow-

ska propaganda przez pięć lat niestrudzenie wzmacniała ten mit. Wśród żydowskich ocalałych Związek Radziecki faktycznie cieszył się większym poparciem niż wcześniej. Spora część z nich uszła z życiem, bo znaleźli się na terytorium ZSRR. Z kolei osoby, które przeżyły, bo ukrywały się w Generalnym Gubernatorstwie, były zazwyczaj zasymilowane, słabiej związane z żydowskimi tradycjami i bardziej otwarte na świecki internacjonalizm komunistów. Wreszcie, wrogość wobec „żydokomuny" nabierała czasem charakteru samospełniającej się przepowiedni, gdyż przemoc skłaniała Żydów do szukania pomocy u nowych władz (później okazało się to fatalnym błędem). Wśród komunistów zdecydowaną większość stanowili Polacy katolickiego pochodzenia, aczkolwiek Polacy pochodzenia żydowskiego faktycznie byli nadreprezentowani, zwłaszcza we władzach partyjnych. Do Polskiej Partii Robotniczej należało 5,5 tysiąca Żydów, co dawało ledwie 3 procent członków i członkiń. Zarazem Żydzi stanowili około 10 procent urzędników w sądownictwie, służbach bezpieczeństwa i aparacie propagandy. Spośród 450 osób na stanowiskach kierowniczych w służbach bezpieczeństwa 167 miało żydowskie pochodzenie[8]. Wszystkie te liczby są problematyczne, bo zależą od tego, jak definiuje się słowo „Żyd". Czy kryterium ma stanowić tożsamość osobista? Klasyfikacja z czasu wojny? Religia rodziców? Ale nawet jeśli przyjmujemy największe szacunki, mit żydokomuny sprawiał, że ową nadreprezentację brano za dominację. Nie liczyło się, że tak czy inaczej Polacy pochodzący z katolickich rodzin mieli ogromną większość w każdej instytucji. Znaczna część żyjących ówcze-

śnie ludzi do śmierci trwała w przekonaniu, że to Żydzi narzucili krajowi komunizm.

7 Liczbę 650 podaje Marcin Zaremba, *Wielka Trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Znak, Kraków 2012; niższą liczbę można znaleźć w książce Jana Tomasza Grossa *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Znak, Kraków 2008. Zob. też Anna Cichopek-Gajraj, *Beyond Violence: Jewish Survivors in Poland and Slovakia in 1944–1948*, Cambridge University Press, Cambridge 2016. Omówienie danych ilościowych – zob. David Engel, *Patterns of Anti-Jewish Violence in Poland 1944–1946*, „Yad Vashem Studies" 1998, t. 26, s. 43–85.

8 Anna Cichopek-Gajraj, *Jews, Poles and Slovaks: A Story of Encounters, 1944–1948*, University of Michigan dissertation, 2008; Krystyna Kersten, *Polacy, Żydzi, komunizm: Anatomia półprawd, 1939–1968*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1992, s. 81; Krzysztof Szwagrzyk (red.), *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2005, s. 61–63.

Aby usprawiedliwić przejęcie zachodnich terytoriów, stworzono innego rodzaju mitologię. Wschodnie pogranicza, odebrane przez ZSRR, były od wieków związane z Polską, podobnie jak ziemie na zachodzie związane były z Niemcami, bo od średniowiecza wchodziły w skład rozmaitych niemieckich księstw i królestw. Jeśli jednak cofnąć się odpowiednio daleko w czasie, aż do średniowiecznego królestwa Bolesława Chrobrego, dawało się znaleźć Polskę, której granice odpowiadały mniej więcej granicom PRL. W XI wieku w północno-wschodniej Europie państwa dopiero zaczynały się formować, toteż dzisiejsze mapy historyczne z konieczności są próbą nałożenia naszych kategorii kartograficznych na społeczności podchodzące do swych terytoriów w zupełnie inny sposób – co oczywiście nie ma znaczenia, jeśli chce się tworzyć mit. Odwołując się do umownych granic z roku 1000, komuniści

twierdzili, że PRL po prostu odebrał Niemcom krainy utracone dawno temu (czy raczej dawno, dawno, dawno temu). Stąd właśnie wzięło się jedno z najbardziej kłamliwych określeń w komunistycznej nowomowie: „Ziemie Odzyskane".

Ustalenie kształtu PRL nie było łatwe. Jeszcze więcej trudności nastręczało ustanowienie radzieckiej hegemonii w nowej Polsce. Kiedy w ostatnim roku wojny Armia Czerwona przedzierała się w kierunku Berlina, wyzwoliła Lublin, pierwsze miasto uznawane przez Stalina za część Polski. Tam właśnie w lipcu 1944 roku powstał z inicjatywy Sowietów Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Jest znaczącym faktem, że w manifeście PKWN nie pojawiały się słowa „komunizm" ani „socjalizm". Głównym celem Stalina było wymuszenie zgody Polaków na przesunięcia terytorialne i zagwarantowanie sobie przychylnych stosunków. Socjalizm mógł zaczekać.

Jak pisałem w poprzednim rozdziale, przeprowadzona przez AK akcja „Burza" i jej najważniejszy element, czyli powstanie warszawskie, miały na celu utworzenie niezależnych władz, zanim Sowieci narzucą własny rząd. Armia Czerwona zatrzymała swą ofensywę na dostatecznie długi czas, by hitlerowcy stłumili polski opór, następnie zaś wkroczyła i dopełniła dzieła. Niektóre oddziały podziemia ukryły się i nadal prowadziły walkę. Z ich perspektywy wycofanie się Niemców oznaczało po prostu, że jednego okupanta zastąpił drugi. Działalność ruchu oporu po wojnie kosztowała życie tysięcy ludzi, lecz nie mogła zakończyć się sukcesem, bo nie pozwalały na to rozmaite czynniki wewnętrzne i międzynarodowe. Stało się to jasne, kiedy Wielka Trójka spotkała się ponownie

w lutym 1945 roku w Jałcie nad Morzem Czarnym. Dla Polaków nazwa tego kurortu jest synonimem zdrady dokonanej przez Amerykanów i Brytyjczyków. Tak naprawdę na konferencji jedynie nadano formalny kształt porozumieniu z Teheranu z końca 1943 roku (faktycznym wyrazem tego porozumienia była obecność wojsk radzieckich w całej Europie środkowo-wschodniej). Utrzymano podział kontynentu na strefy wpływu i potwierdzono, że Polska należeć będzie do strefy radzieckiej. Konferencję jałtańską należy pamiętać raczej dlatego, że Churchill i Roosevelt próbowali wtedy zapewnić choćby ograniczoną rolę rządowi na uchodźstwie w Londynie (Roosevelt chciał w ten sposób zachować twarz przed wyborcami z amerykańskiej Polonii). W deklaracji obiecywano powstanie „silnej, wolnej, niepodległej i demokratycznej Polski", a ponadto apelowano o utworzenie rządu, w którego skład wejdą zarówno przedstawiciele PKWN, jak i Londyńczycy. Mocarstwa zgodziły się, że należy przeprowadzić w Polsce wybory do parlamentu z udziałem „wszystkich ugrupowań demokratycznych i antynazistowskich" (nadzwyczaj mętne sformułowanie).

Przez pewien czas zdawało się, że władzę w Polsce faktycznie będzie sprawowała koalicja PKWN i rządu na uchodźstwie. Większość członków tego ostatniego nie uznała porozumienia jałtańskiego, ale premier Stanisław Mikołajczyk[9] postanowił, że spróbuje ocalić, ile się da. Złożył dymisję, wrócił z emigracji i wszedł w skład Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, tworzonego przez Polskie Stronnictwo Ludowe (czyli jego własną partię), Polską Partię Socjalistyczną i wspieraną

przez Stalina Polską Partię Robotniczą. Innymi słowy, była to koalicja ludowców, socjaldemokratów i komunistów. Z pozoru mogło się wydawać, że taka mieszanka dobrze oddaje radykalne nastroje panujące w 1945 roku. W rzeczywistości TRJN nie był prawdziwą koalicją. PPR kontrolowała 17 spośród 21 ministerstw, w tym kluczowe resorty, jak chociażby bezpieczeństwo wewnętrzne, obronę, sprawy zagraniczne, informację (czyli propagandę i cenzurę) oraz sprawiedliwość. Krótko po kapitulacji Niemiec przywódca PPR Władysław Gomułka oznajmił swoim rzekomym partnerom koalicyjnym:

> Nie obrażajcie się panowie, że my Wam tylko ofiarujemy miejsca w rządzie takie, jakie sami uznajemy za możliwe. Myśmy bowiem gospodarze. [...] Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy. [...] Władzy nie oddamy dlatego, aby narodu polskiego nie spotkała nowa zguba, jaka mu grozi w wypadku fałszywej linii politycznej, którą próbuje narodowi narzucić reakcja. [...] Zniszczymy wszystkich bandytów reakcyjnych bez skrupułów. Możecie jeszcze krzyczeć, że leje się krew narodu polskiego, że NKWD rządzi Polską, lecz to nie zawróci nas z drogi[10].

9 Generał Władysław Sikorski, szef rządu na uchodźstwie, zginął w katastrofie lotniczej w 1943 roku. Mikołajczyk był jego następcą.

10 Cyt. za: Krystyna Kersten, *Narodziny systemu władzy. Polska 1943–1948*, Krytyka, Warszawa 1984, s. 97.

Wolne i uczciwe wybory, obiecane w deklaracji jałtańskiej, nigdy się nie odbyły, jednak dzięki cynicznemu manewrowi komunistów choć trochę poznaliśmy nastawienie ówczesnej opinii publicznej. Komuniści świetnie zdawali sobie sprawę z brzemienia, jakim były dla nich powiązania z ZSRR, oraz z mitu żydokomuny, toteż stawali na głowie, by przedstawić się jako autentyczna siła narodu. Popierali ponadto reformy społeczne, bo one mogły przynieść im największą popularność. PPR postanowiła wybrać trzy sprawy, cieszące się szczególnym poparciem, i zorganizować wokół nich referendum. Opozycja stanęła przed dylematem: sekundować komunistom czy odpowiedzieć „nie" na następujące pytania:

1. „Czy jesteś za zniesieniem Senatu?" Pytanie referendalne symbolizowało demokratyzację polskiego ustroju. Wcześniej izba wyższa parlamentu reprezentowała interesy warstw bogatych i potężnych. W II RP część senatorów wskazywał prezydent, a pozostałych wyłaniał niewielki odsetek obywateli. Ustanowienie jednoizbowego parlamentu miało zatem oznaczać, że władza nabierze bardziej demokratycznego charakteru. Co ważne, PSL od dawna opowiadało się za takim rozwiązaniem.
2. „Czy chcesz utrwalenia w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?" Pomysły te cieszyły się niemałą

popularnością w bardzo różnych środowiskach. Reforma rolna z roku 1944 miała duże poparcie na wsi, bo stworzyła setki tysięcy nowych gospodarstw rolnych po rozparcelowaniu posiadłości ziemiaństwa. Wzmianka o „inicjatywie prywatnej" służyła uspokojeniu grup umiarkowanych, a zarazem pozwalała uniknąć jakichkolwiek konkretnych zobowiązań.

3. „Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?" Mało kto w Polsce odpowiedziałby przecząco. PPR równie dobrze mogła zapytać „Czy lubisz słońce i słodkie szczeniaczki?". Pytania o utratę Kresów na rzecz ZSRR naturalnie nie zadano.

PPR uruchomiła wielką kampanię propagandową; doszło nawet do niedoborów papieru. Główne hasło było proste: „Trzy razy tak". Partia skupiała się na patriotyzmie i strachu. W ulotkach i na plakatach widniały między innymi następujące slogany:

„Trzy razy tak – Niemcom nie w smak"
„Tak to polskości twojej znak"
„Jesteś Polakiem – powiedz tak"
„Chłopie, pamiętaj, wróg nie drzemie, wróg chce odebrać twoją ziemię"
„Twoja jest ziemia, twoja fabryka, armia graniczna słupy zatyka, kuj przyszłość chłopa i robotnika"

„Trzy razy tak – to Polska praworządna, sprawiedliwa i suwerenna”[11].

11 Tamże, s. 212.

Podziemie zbrojne – głównie prawicowe grupy, z definicji wrogo nastawione do wszystkich pomysłów nowej władzy – wzywało, by głosować trzy razy nie. Pytania nie miały znaczenia; liczyło się tylko pokazanie, że społeczeństwo nie popiera PPR. PPS stanęła po stronie komunistów, a PSL znalazło się w kropce. Dotychczasowy program partii nie uzasadniał sprzeciwu wobec którejkolwiek z kwestii referendalnych. Ponadto stronnictwo nadal wchodziło w skład rządu i formalnie rzecz biorąc, współpracowało z komunistami, choć ci prowadzili wobec ludowców politykę przemocy i zastraszania. Mikołajczyk musiał więc ustawić się w opozycji do komunistów, póki jego partia nie została zupełnie zakneblowana. Wybrał słabą taktykę, choć nie miał zbyt dużego pola manewru: wezwał do głosowania „dwa razy tak” i zaznaczenia „nie” w odpowiedzi na pytanie o senat. W ten sposób chciał symbolicznie dowieść, że społeczeństwo nie popiera komunistów. Grał według starych reguł, zgodnie z którymi brak poparcia dla danej partii oznaczał odsunięcie jej od władzy. Nie rozumiał, że zasady się zmieniły.

Referendum zostało przeprowadzone 30 czerwca 1946 roku. Według oficjalnych wyników 91,4 procent głosujących opowiedziało się za nowym przebiegiem granic na zachodzie, 77,2 procent poparło nacjonalizację i reformę rolną, a 68 procent było za zniesieniem senatu. Mikołajczyk próbował po-

wiedzieć komunistom „sprawdzam” – i przegrał z kretesem. Tyle że nie było to spowodowane preferencjami wyborczymi Polaków. Historycy zdołali ostatnio wyciągnąć z archiwów Urzędu Bezpieczeństwa wiarygodne dane i zyskali dowód na to, co wcześniej powszechnie podejrzewano, a mianowicie że komuniści po prostu sfałszowali wyniki. W rzeczywistości na pytanie o granice 66,9 procent ludzi odpowiedziało „tak”, natomiast w przypadku pytań o nacjonalizację i senat było to odpowiednio 42 procent i 26,9 procent[12]. Referendum nie odnosiło się do rzeczywistych kwestii. Stanowiło plebiscyt, w którym komunistom pokazano czerwoną kartkę. Nawet głosujący, którzy popierali nacjonalizację i terytorialną ekspansję na zachód, nie chcieli, by to PPR odpowiadała za przeprowadzanie reform.

12 Zob. Czesław Osękowski, *Referendum 30 czerwca 1946 roku w Polsce*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2000, s. 133–145.

Nie miało to jednak znaczenia, bo liczył się wynik oficjalnie ogłoszony. W „demokracji nieliberalnej” (by użyć późniejszego terminu) wybory nie służą wyrażeniu opinii społeczeństwa. Stanowią sygnał dla opozycji, że jej działalność nie ma sensu lub wręcz może wiązać się z rozmaitymi nieprzyjemnościami. Potwierdzają też mandat partii rządzącej, nawet jeśli ów mandat w rzeczywistości nie istnieje. Po sfałszowanym referendum PPR mogła przeprowadzić wybory parlamentarne, zgodnie z porozumieniem jałtańskim. Z pozoru odbyła się prawdziwa kampania: partie rozwieszały plakaty i organizowały wiece. Tak naprawdę jednak nasiliły się zastraszanie,

przemoc i szantaże. Opozycyjni politycy coraz liczniej wycofywali się z życia publicznego lub uciekali za granicę. Zamordowano około 140 działaczy PSL i aresztowano 149 kandydatów do sejmu. PPR rozpowszechniała kłamstwa na temat stronnictwa. Gdy Mikołajczyk próbował je publicznie prostować, cenzura kneblowała mu usta. Tymczasem PPS potulnie zawarł koalicję wyborczą z komunistami; wespół z kilkoma drobnymi ugrupowaniami lewicowymi obie partie sformowały wspólną listę, zwaną Blokiem Demokratycznym. Według oficjalnych wyników Blok otrzymał 80,1 procent głosów, a PSL niedorzecznie małe 10,3 procent. W rzeczywistości stronnictwo Mikołajczyka zdobyło 84 procent, lecz fakt ten nie został podany do publicznej wiadomości[13]. Mikołajczyk próbował jeszcze przez kilka miesięcy prowadzić działalność opozycyjną, ale przemoc służby bezpieczeństwa wobec działaczy PSL nie pozostawiała żadnych nadziei. W październiku 1947 roku były premier uciekł z kraju i nigdy już nie wrócił do Polski.

13 Roman Buczek, *Na przełomie dziejów. Polskie Stronnictwo Ludowe w latach 1945–1947*, Profil, Wrocław 1989; Maciej Korkuć, *Wybory 1947 – mit założycielski komunizmu*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2007, nr 1–2.

PPS pozostała jedyną liczącą się niekomunistyczną partią w Polsce, ale miała praktycznie zerowe możliwości działania. W tamtym trudnym okresie socjaldemokraci byli w trudnym położeniu. Zasadniczo podzielali cele komunistów i różnili się głównie co do metod, zwłaszcza odkąd PPR zaczęła ostentacyjnie wymachiwać biało-czerwoną flagą. Pepeesowcy pod-

kreślali swój patriotyzm od czasu założenia partii pod koniec XIX wieku i zawsze cieszyli się większą popularnością niż komuniści. Jednak w powojennej sytuacji liczba członków i zwolenników nie grała roli. Stalin nigdy by nie przystał na istnienie niezależnej partii socjalistycznej. Radzieckie służby już od kilku lat infiltrowały PPS, wykorzystywały szantaż i pogróżki, by zyskiwać wpływy w ugrupowaniu. Ponadto PPS odgrywała ważną rolę w strukturach Armii Krajowej, co spowodowało, że nieproporcjonalnie duża liczba działaczy zginęła z rąk hitlerowców (albo Sowietów, którzy aresztowali wielu przywódców AK i nawet nie próbowali wysługiwać się tu swymi polskimi marionetkami). Wskutek splotu wszystkich tych czynników socjaldemokraci nie byli w stanie prowadzić otwartej walki. Pod koniec 1948 roku przystali na połączenie się z PPR, choć nikt nie miał złudzeń, co to oznacza. 15 grudnia na tak zwanym kongresie zjednoczeniowym powołano do życia Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, czyli PZPR. Rządziła ona krajem przez następne cztery dekady.

Podsumowując: do 1948 roku komuniści pokonali lub podporządkowali sobie przeciwników. Partyzanci walczyli do wczesnych lat pięćdziesiątych; po obu stronach ginęli ludzie, ale tak naprawdę przemoc nigdy nie zagrażała trwałości nowego państwa. Pozostał więc tylko jeden rywal: Kościół katolicki. W rozmaitych konkretnych kwestiach dotyczących polityki społecznej i gospodarczej przywódcy Kościoła głosili poglądy zaskakująco podobne do świeckiej lewicy. Co najważniejsze, traktowali własność prywatną jako środek, a nie jako cel sam w sobie. Nie miało to jednak większego znacze-

nia, bo Kościół od dziesięcioleci demonizował socjalistów (niekiedy dosłownie, a poza tym z wzajemnością) i dialog nie wchodził w grę. Socjaldemokraci i komuniści spodziewali się, że religia ostatecznie zniknie. Ci drudzy chcieli zniszczyć Kościół, ci pierwsi uważali, że „postęp" sam załatwi sprawę. Natomiast katolicy traktowali ateizm jako degenerację prowadzącą do barbarzyństwa. Nawet środowiska kościelne akceptujące ekumenizm (w tamtych czasach bardzo kontrowersyjny) opowiadały się za sankcjami prawnymi przeciwko ateizmowi. W 1947 roku episkopat przedłożył rządowi zestaw postulatów dotyczących przygotowywanej konstytucji, postulując między innymi, że: „Rzeczpospolita, jako społeczna i polityczna zbiorowość katolickiego narodu polskiego, powinna być w Konstytucji ujęta jako państwo chrześcijańskie, które uznaje Boga za władcę wszelkiego stworzenia, bierze udział w aktach czci bożej i szanuje katolickie sumienie obywateli, ułatwiając im w zakresie swych zadań wyznawanie wiary i osiągnięcie celu ostatecznego"[14]. Jak się łatwo domyślić, głos ten nie został wysłuchany.

14 *Katolickie postulaty konstytucyjne*, „Tygodnik Powszechny", 20 kwietnia 1947; Brian Porter-Szűcs, *Faith and Fatherland: Catholicism, Modernity and Poland*, Oxford University Press, New York 2011, s. 188–189.

Mimo ideologicznej wrogości, przez kilka lat po wojnie i komuniści, i Kościół, postępowali bardzo ostrożnie. Do 1948 roku służby bezpieczeństwa nie próbowały utrudniać Kościołowi działalności (miały dostatecznie dużo roboty ze zwalczaniem grup zbrojnych i PSL oraz infiltracją PPS). Podczas zaprzysiężenia na prezydenta w 1947 roku Bolesław Bierut

użył formułki „tak mi dopomóż Bóg”. Episkopat z kolei próbował wykorzystać swoje wpływy wśród partyzantów i nakłonić ich do złożenia broni. W liście pasterskim z 1948 roku biskupi pisali: „Niech nikt nie da się sprowokować do nierozsądnych kroków przez ciemne elementy. Życie polskie winno nam być drogie i święte. Nie wolno go niepotrzebnie narażać. Krwią polską nie wolno szafować w bezcelowych rozgrywkach. Naród musi pozostać silny, żywotny, zdolny do urzeczywistnienia tego, co jutro ma stanowić jego wielkość”[15]. W 1950 roku episkopat i rząd zawarły oficjalny pakt, regulujący pozycję Kościoła w nowym państwie.

15 *List pasterski Episkopatu Polski na uroczystość Chrystusa Króla, Wrocław, dnia 23 września 1948*, [w:] *Listy pasterskie Episkopatu Polski, 1945–1974*, Éditions du Dialogue, Paris 1975, s. 71.

Nikt nie był zaskoczony, że porozumienie okazało się martwe. W lutym 1953 roku nakazano księżom złożyć deklarację lojalności wobec PRL. Władze kościelne nie mogły na to przystać. Biskupi wystosowali list pasterski i nazwali marksizm „doktryną, która głosi nienawiść do ludzi, przeciwników ściga zemstą, a nawet wśród braci szczepi podziały i waśnie”. Za podpisanie deklaracji duchownym groziła ekskomunika[16]. Państwo odpowiedziało w równie zdecydowanym tonie. W marcu komuniści zamknęli „Tygodnik Powszechny”, ostatnie niezależne katolickie czasopismo (a ściślej ostatnie niezależne czasopismo w kraju). We wrześniu prymas Stefan Wyszyński trafił do aresztu domowego w klasztorze. Jeszcze gorszy los czekał sześciu biskupów i setki księży, których pozamykano w okrutnych więzieniach.

16 *List Episkopatu Polski wysłany do B. Bieruta*, Wydawnictwo Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, Londyn 1953, s. 14; więcej na temat tego dokumentu zob. Antoni Dudek, *Państwo i Kościół w Polsce 1945–1970*, Wydawnictwo PiT, Kraków 1995, s. 33.

Kiedy stłumiono Kościół, zniknął ostatni przeciwnik PZPR. Ponadto już wcześniej udało się zdławić opozycję wewnątrzpartyjną. Traktowałem tu komunistów jako jednolitą grupę, lecz w rzeczywistości pod koniec lat czterdziestych istniały co najmniej dwie ważne frakcje. Na czele pierwszej stał Władysław Gomułka, który za okupacji przebywał w Polsce i był jednym z pierwszych członków PPR. Druga grupa skupiała się wokół Bolesława Bieruta. Spędził on wojnę w ZSRR, przyjął nawet radzieckie obywatelstwo. Odmienne biografie obydwu komunistów przejawiały się w odmiennych poglądach. Bierut ślepo słuchał Stalina, natomiast Gomułka pragnął dla Polski częściowej autonomii. Opowiadał się za ostrożnym działaniem, chciał, by komuniści zapewnili sobie poparcie, zanim wezmą się za śmiałe reformy społeczne i gospodarcze. Proponował nawet zachowanie odrębności PPS i PPR, by w Polsce dalej istniał system wielopartyjny, choćby w okrojonej postaci. Podczas hitlerowskiej okupacji Gomułka stał się do pewnego stopnia polskim patriotą, Bierut nie zaprzestał natomiast walki o światową rewolucję. Po rozmaitych wewnętrznych rozgrywkach przywództwo PZPR (oraz Stalin) uznało, że Gomułka zawinił „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym". W sierpniu 1948 roku wydalono go z Komitetu Centralnego i zdegradowano. Trzy lata później został aresztowany, a na jego teksty powstał zapis w cenzurze.

Do 1948 roku komuniści skupiali się przede wszystkim na przejęciu władzy; budowa socjalistycznej Polski znajdowała się na dalszym planie. Partia powściągała swe radykalne ambicje. Zdaniem niektórych była to tylko kwestia taktyki, lecz owa interpretacja pomija fakt, że wewnątrz partii toczyły się zaciekłe spory o sposób działania. Kiedy Bierut odsunął Gomułkę, kości zostały rzucone: PZPR mogła wreszcie wdrożyć śmiały program ustanowienia nowego ustroju na podobieństwo ZSRR. Kopia okazała się wybrakowana i niedokładna, ale na zawsze zmieniła oblicze Polski.

Doświadczenie stalinizmu

Słowo „stalinizm" kojarzy się zazwyczaj z łagrami, z funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa, którzy łomoczą nocą do drzwi, z aresztowaniami za najdrobniejsze odstępstwa i wątpliwości, z Policją Myśli z *Roku 1984* Orwella i *Zniewolonym umysłem* Czesława Miłosza. Nie jest to do końca bezzasadne, ale trzeba pamiętać, że nawet w najgorszych czasach PRL nie dorównywał Związkowi Radzieckiemu (zresztą sam Związek Radziecki był państwem znacznie bardziej skomplikowanym, niż mogłoby się zdawać z Orwellowskiej perspektywy). Owszem, w Polsce powstał powszechny system nadzoru, a tysiące więźniów cierpiały nieludzkie warunki w obozach pracy i za kratami, jednak liczba ofiar i odsetek osadzonych były znacznie niższe niż w innych krajach bloku wschodniego. Nie można też porównywać PRL z okresem nazistowskiej

okupacji. Dane statystyczne pozwalające opisać terror są trudne do uzyskania i zinterpretowania[17]. Wiele zależy od tego, kogo zaklasyfikujemy jako ofiarę stalinowskich represji. Wspaniale byłoby móc ściśle rozgraniczyć hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, zwykłych przestępców, osoby zatrzymane za działalność opozycyjną i osoby zatrzymane bez wyraźnego powodu. Niestety, próby takiej klasyfikacji nastręczają sporo problemów. Niekiedy w akcie oskarżenia czyn przestępczy wpisywano jako pretekst. Z kolei wśród skrajnie prawicowych partyzantów stawiających zbrojny opór władzy komunistycznej trafiali się też ludzie winni zbrodni wojennych przeciwko Żydom. Bywało, że kogoś oskarżano o przestępstwa polityczne, które dziś uznalibyśmy za czyny bohaterskie. Zarazem ta sama osoba mogła mieć na sumieniu odrażające przestępstwa i nie spotkała jej z ich powodu żadna kara. Raport przygotowany później przez resort spraw wewnętrznych szacował, że w latach 1944–1956 aresztowano z różnych powodów 243 065 ludzi, z czego 39 603 zaklasyfikowano jako zbrodniarzy wojennych (jednych słusznie, innych nie). Rząd dysponował też danymi, według których w 1952 roku blisko 50 tysięcy ludzi skazano za działalność antypaństwową. Mowa tu jedynie o osobach z wyrokami; jeśli dodać aresztowanych (co samo w sobie było przerażającym doświadczeniem) i następnie zwolnionych, łączna liczba rośnie do 400 tysięcy. Ponadto przez pierwsze dwa lata po wojnie Armia Radziecka złapała około 100 tysięcy ludzi (wrogów władzy radzieckiej i osoby podejrzane o działalność partyzancką). Większość więźniów z tamtego okresu wyszła osta-

tecznie na wolność, aczkolwiek wielu torturowano i trzymano w nieludzkich warunkach. Z tego powodu śmierć poniosło około 20 tysięcy ludzi.

17 W analizowaniu tych danych dotyczących okresu stalinowskiego ogromnie pomogli mi Anna Müller, Andrzej Paczkowski i Dariusz Stola, muszę jednak podkreślić, że wyłącznie ja odpowiadam za swoje interpretacje. Przywoływane dane pochodzą z: Antoni Dudek, Andrzej Paczkowski, *Polska*, [w:] Krzysztof Persak, Łukasz Kamiński (red.), *Czekiści. Organy bezpieczeństwa w europejskich krajach bloku sowieckiego 1944–1989*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2010, s. 457–458; Zdzisław Bąkowski, *Wyniki prac nad ustaleniem listy osób straconych i zmarłych w więzieniach w Polsce w latach 1944–1956*, „Przegląd Więziennictwa Polskiego" 1997, t. 14, s. 8–9; Cezary Brzostek, Grażyna Mońka, *Więzienia w liczbach. Statystyka penitencjarna w latach 1970–1988*, Centralny Zarząd Służby Więziennej, Warszawa 2006; Piotr Kładoczny, *Prawo jako narzędzie represji w Polsce Ludowej (1944–1956). Prawna analiza kategorii przestępstw przeciwko państwu*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2004; Andrzej Friszke, *Polska – losy państwa i narodu 1939–1989*, Iskry, Warszawa 2003, s. 206–209; Dariusz Jarosz, *Polacy a Stalinizm*, Instytut Historyczny Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2000, s. 236; Anna Müller, *If the Walls Could Speak: Inside a Women's Prison in Communist Poland*, Oxford University Press, New York 2018; Jerzy Paśnik, *Wybrane problemy orzecznictwa sądów wojskowych w sprawach o przestępstwo przeciwko państwu w latach 1946–1953*, „Materiały Historyczne" 1991, t. 1, s. 29–50; Jerzy Poksiński, *My, sędziowie, nie od Boga. Z dziejów sądownictwa wojskowego PRL 1944–1956*, Gryf, Warszawa 1996, s. 11–14; Andrzej Leon Sowa, *Historia polityczna Polski 1944–1991*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 46, 63; Maria Turlejska, *Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie*, Aneks, Londyn 1989, s. 75; Tadeusz Wolsza, *Codzienność w peerelowskim więzieniu w latach 1945–1956*, [w:] *Polska 1944/45–1989. Studia i materiały*, Instytut Historii PAN, Warszawa 2001, t. 5, s. 237–272; Marcin Zwolski, *Represje wobec ludności cywilnej po wkroczeniu Armii Czerwonej w latach 1944–1945*, [w:] Wojciech Materski, Tomasz Szarota (red.), *Polska 1939–1945, straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2009, s. 271–278.

Mordów sądowych (czyli wymierzania wrogom politycznym kary śmierci) dopuszczano się w Polsce rzadziej niż w ZSRR, aczkolwiek PRL-owski wymiar sprawiedliwości miał

sporo krwi na rękach. Między 1944 a 1956 rokiem przeprowadzono co najmniej 3615 egzekucji. W tej liczbie zawierają się przestępcy oraz działacze polityczni. Większość wyroków wykonano w początkowym okresie; w latach pięćdziesiątych średnia spadła do 18 osób rocznie. Kolejnym 4 tysiącom osób zasądzono karę śmierci, by później złagodzić wyrok. Dysponujemy różnymi szacunkami dotyczącymi tego, ile ludzi zginęło wskutek zbrojnego oporu pod koniec lat czterdziestych, ale najprawdopodobniej życie straciło około 9 tysięcy antykomunistów i 7 tysięcy komunistów.

Możemy zatem wyróżnić trzy okresy:

- 1944–1946, kiedy trwała wojna domowa i obie strony stosowały przemoc;
- 1946–1948, kiedy komuniści brali na cel konkretne osoby i środowiska (skądinąd liczne), by umocnić swoją władzę. Nadal stawiano zbrojny opór, ale na mniejszą skalę;
- 1948–1956, kiedy państwo wtrącało przeciwników politycznych do więzień, ale mniej ludzi traciło życie. Zbrojny opór ograniczał się do niewielkich grup i pojedynczych osób.

W szczytowym okresie stalinizmu, a więc w roku 1952, odsetek osadzonych wynosił aż 408 osób na 100 tysięcy mieszkańców – aczkolwiek rok później nastąpił gwałtowny spadek do 352 osób. Warto przedstawić tę liczbę na szerszym tle. Średnia dla PRL w latach 1970–1988 wynosiła 263 osadzonych

na 100 tysięcy mieszkańców. Odpowiedni współczynnik dla Ameryki we wczesnych latach pięćdziesiątych wynosił w tamtym czasie 106 osadzonych, a w Związku Radzieckim w roku 1953 aż 1558[18]. Dziś w Stanach Zjednoczonych jest to 737 osadzonych, w Rosji 347 osadzonych, a w Polsce 185[19]. Podczas gdy w latach pięćdziesiątych w PRL wykonywano średnio 18 egzekucji, w Kalifornii (stanie o podobnej populacji) średnia sięgała 37[20].

18 Eugenia Belova, Paul Gregory, *Political Economy of Crime and Punishment under Stalin*, „Public Choice" 2009, t. 140, nr 3–4, s. 465.

19 Najnowsze dostępne dane – zob. https://www.prisonstudies.org/world-prison-brief-data. Odsetek osadzonych w Rosji na początku XXI wieku był niemal równie wysoki co w Stanach Zjednoczonych, ale od dwóch dekad systematycznie spada.

20 *Capital Punishment 1981*, US Department of Justice, Washington 1981, s. 15.

Odsetek osób osadzonych na 100 tysięcy mieszkańców
w wybranych krajach i okresach

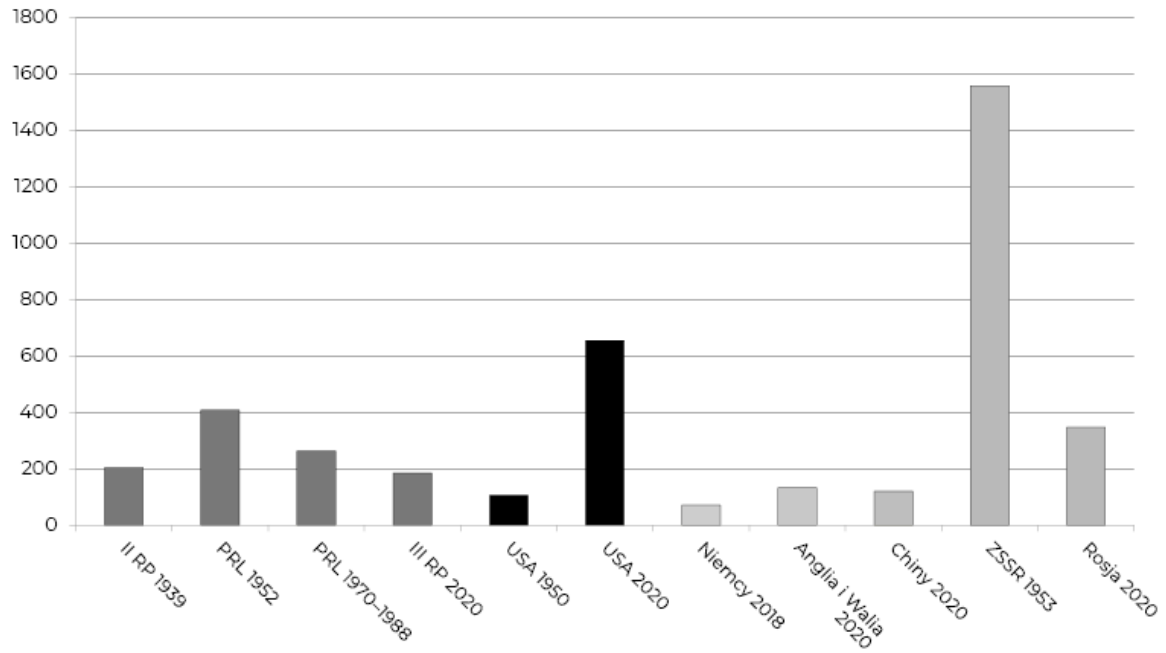

Informacja, że dziś w Stanach Zjednoczonych notuje się o wiele wyższy odsetek osadzonych niż w stalinowskiej Polsce, bez wątpienia budzi niepokój. Nie pociesza myśl, że w ZSRR we wczesnych latach pięćdziesiątych było jeszcze gorzej. Sam nie wiem, czy widząc powyższe zestawienie danych, powinienem rozpaczać z powodu sytuacji w mojej ojczyźnie, czy też może zmienić nieco podejście do pierwszych lat PRL. Prawdopodobnie jedno i drugie. W każdym razie ocena moralna stalinowskiego systemu jest jednoznaczna: państwo naruszało wszelkie zasady praworządności oraz prawa człowieka, stanowiące fundament demokracji liberalnej – również prawa, które dziś w praktyce ignorujemy. Okrucieństwo i przemoc można ukazywać w szerszym kontekście, ale nie da się ich usprawiedliwić.

Jeśli jednak pragniemy wyjść poza ocenę i zastanowić się, jak stalinowski terror przekładał się na życie codzienne w latach 1948–1956, obraz staje się nieco bardziej skomplikowany. Zadajmy sobie następujące pytanie: jak duże było prawdopodobieństwo, że osoba żyjąca w Polsce w tamtych czasach znała kogoś, kto przebywał w więzieniu? Omawiając cierpienia wywołane przez drugą wojnę światową, podkreślałem, że niemal każdy Polak widział na własne oczy czyjąś śmierć. Tymczasem tylko niewielka mniejszość doświadczyła na własnej skórze terroru panującego w stalinizmie. Nawet astronomicznie wysoki odsetek osób osadzonych w ZSRR pod koniec życia Stalina czy w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych przekłada się na zaledwie odpowiednio 1,5 procent i 0,7 procent całej populacji. Brzydzę się słowa „zaledwie” w poprzednim

zdaniu – wszak za tymi liczbami kryje się skandaliczna niesprawiedliwość. Jeżeli jednak chcemy dowiedzieć się czegoś na temat doświadczeń przeciętnego Polaka we wczesnych latach pięćdziesiątych, trzeba przedstawić system karny w szerszym kontekście. Wbrew często powtarzanym opiniom nie wszystkim ówczesnym ludziom przez cały czas zagrażało więzienie.

Nie znam osobiście nikogo, kto siedział za kratkami. Łatwo byłoby mi schować głowę w piasek i ignorować fakt, że w mojej ojczyźnie funkcjonuje najbardziej rozbudowany system więziennictwa na całym świecie. Przed 2020 rokiem i falą protestów przeciwko brutalności policji większość białych Amerykanów odwracała wzrok od problemu. To samo dotyczy większości mieszkańców PRL w okresie stalinizmu. W obu przypadkach to, jak łatwo danemu człowiekowi ignorować niesprawiedliwość, zależy od jego pozycji społecznej. Zakładam, że każdy czytelnik i czytelniczka niniejszej książki jest osobą, dla której idee są ważne, i że spora część z was angażuje się w sprawy publiczne. Dla was i dla mnie niewiele jest rzeczy równie przerażających co prześladowania z powodu przekonań politycznych. Właśnie dlatego szczególnie potępiamy epokę stalinizmu. Członkowie inteligencji i osoby zaangażowane w politykę były w ogromnym stopniu zagrożone więzieniem. Przedstawiciele tych grup społecznych – naszych grup społecznych – czuli w stalinizmie uzasadniony strach. Ponadto, ze względu na swe pochodzenie, częściej spisywali wspomnienia i pozostawiali po sobie dokumenty, stanowiące materiał dla historyków, natomiast obecnie po-

pulacja więzienna składa się głównie z osób, które od klas inteligenckich dzieli duży dystans społeczny i kulturowy, toteż niewiele z nich opublikuje książki na temat swych doświadczeń. W dzisiejszych Stanach Zjednoczonych empatia dla osadzonych jest niższa z powodu podziałów rasowych oraz długiej historii dyskryminacji i stereotypów. Większość białych postrzega policję jako służbę, która pilnuje ich bezpieczeństwa; Afroamerykanie nie mogą sobie na to pozwolić. Winniśmy kultywować empatię, bo w przeciwnym razie będziemy przywiązywali do porównań między różnymi systemami więziennictwa albo za dużą, albo za małą wagę.

Oprócz tego należy odróżniać systemy więziennictwa wyrosłe na gruncie liberalnej demokracji (choćby wadliwej) i systemy państw autorytarnych. Dla polskiego chłopa czy robotnika ryzyko trafienia do aresztu było może niskie, lecz przecież nie oznacza to, że przeciętny obywatel PRL nie musiał obawiać się państwa albo że nie czuł jego obecności w swoim życiu codziennym. Bezpieka dysponowała informacjami o ponad 5,2 miliona osób, czyli o jednej trzeciej dorosłej populacji kraju. W szczytowym okresie (rok 1953) Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zatrudniało 33 tysiące pracowników. Sieć donosicieli liczyła 85 tysięcy ludzi. Wszystkie służby razem wzięte zatrudniały 200 tysięcy ludzi, a do tego dochodziło jeszcze 125 tysięcy rezerwistów. Dziś populacja jest o około 60 procent większa niż w 1950 roku, natomiast stan osobowy służb skurczył się do jednej trzeciej stanu z tamtego czasu. W Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii

i Polsce jeden policjant przypada obecnie na 370–390 obywateli, nie na 77, jak to było we wczesnym PRL[21].

21 Aktualne statystyki na temat sił policyjnych w Europie – zob. Eurostat, https://bit.ly/2KRpbGb. Dane dotyczące Stanów Zjednoczonych – zob. Bureau of Labor Statistics, https://bit.ly/2KMkjlz.

Rozrosły się wówczas również inne instytucje państwowe, odpowiedzialne za mierzenie, klasyfikowanie i monitorowanie populacji. Często zdarzało się, że do domu obywatela przychodził urzędnik odpowiedzialny za zbadanie warunków życiowych, sanitarnych albo stanu opieki nad dziećmi. Prywatność nie należała do szczególnie wysoko cenionych wartości. Wizyty urzędników stanowiły z reguły skutek skargi sąsiadów, co tworzyło powszechną atmosferę nieufności. Zazwyczaj kończyły się tylko na wypełnieniu odpowiedniego formularza, ale nawet to budziło trwogę.

Dobrej ilustracji tego, jak służby bezpieczeństwa penetrowały codzienne życie Polaków, dostarcza wieś. W Polsce, inaczej niż w krajach bloku wschodniego, nie przeprowadzono pełnej kolektywizacji rolnictwa, jednak państwo miało wyłączność na skup produktów. Kiedy występowały niedobory, urzędnicy od razu zaczynali podejrzewać, że chłopi ukrywają płody rolne, by sprzedać je na czarnym rynku. Owa podejrzliwość brała się z ogólnej nieufności panującej w stalinizmie; w ZSRR następnym krokiem były zazwyczaj wymuszone konfiskaty i aresztowania. Miliony rosyjskich, ukraińskich i białoruskich chłopów trafiało do więzień i łagrów za „zbrodnię" w postaci nieudanych zbiorów; miliony ginęły później wsku-

tek klęsk głodu. W Polsce w stan oskarżenia postawiono około 500 tysięcy chłopów. Tu jednak podobieństwa się kończą. Służby bezpieczeństwa PRL z reguły podejmowały działania, ale zazwyczaj prowadziło to do nałożenia grzywny, czasem kilkudniowego aresztu i przesłuchań. Z pewnością było to przerażające doświadczenie, ale nie tak straszliwe jak w innych krajach bloku.

Nowe formy nadzoru zostały wprowadzone również w fabrykach. Po drugiej wojnie światowej miliony ludzi znalazły zatrudnienie w przemyśle i budownictwie. Pierwszy raz spotkali się oni wówczas z systemami kontroli, jakich dotąd nie znali. Nie przypadły im one do gustu i dlatego nie zawsze okazywały się skuteczne. Brygadziści bacznie przyglądali się temu, jak podwładni korzystają ze sprzętu, rozliczali ich z wydajności i efektywności. Płaca zależała od mierzalnych wyników oraz od tego, czy udało się osiągnąć określone nakłady. Chłopi, którzy nie znali wcześniej fabrycznego życia, uznali to za szczególnie opresyjne i założyli, że z pewnością wszystkiemu winni są komuniści. Tymczasem starsi robotnicy, zatrudnieni w przemyśle już w latach trzydziestych, mieli inny powód do niezadowolenia: otóż ich zdaniem nic się nie zmieniło na lepsze. Mówiąc prosto: nadzór i mikrozarządzanie nie wynikały ze specyfiki komunizmu, lecz występowały we wszystkich krajach uprzemysłowionych, gdyż służyły zwiększaniu produktywności. Wścibscy urzędnicy sprawdzający warunki sanitarne lub przepytujący obywateli na temat ich życia trafiali się również poza Europą Wschodnią. Na wczesnych etapach industrializacji w wielu państwach robot-

nicy byli koszarowani w barakach, gdzie łatwiej dawało się ich nadzorować i nimi zarządzać. W niektórych częściach świata dzieje się tak do dziś.

Miało to zresztą pewne pozytywne aspekty. Osoby marginalizowane w przedwojennej Polsce – z powodu płci, wykształcenia, statusu materialnego lub społecznego – niewątpliwe zyskały. Nie zamierzam przeceniać osiągnięć w zakresie emancypacji i wyrównywania sytuacji kobiet i mężczyzn w stalinizmie, ale dokonały się tu prawdziwe postępy. Wbrew powszechnym i mylnym przekonaniom ani w ZSRR, ani w PRL nie otwarto wszystkich zawodów dla kobiet. Nadal panowała zasada, że są zawody męskie i zawody kobiece. We władzach PZPR zdecydowanie przeważali mężczyźni. Z biegiem czasu zapanowała nieco większa równowaga, ale szklany sufit nigdy nie został zdemontowany. Co więcej, mężczyźni na najwyższych stanowiskach kierowali się specyficzną, socjalistyczną formą szowinizmu: zakładali, że robotnicy mają większą świadomość klasową od robotnic. O ironio, dzięki temu kobiety mogły pozwalać sobie na naruszanie reguł, które nie uszłoby bezkarnie w przypadku mężczyzn. Służby bezpieczeństwa sądziły, że kobiety są po prostu mniej rozgarnięte i należy im się większa pobłażliwość. (Aczkolwiek jeśli już kobieta trafiała do więzienia, traktowano ją z bezwzględną surowością). Kolejnym czynnikiem komplikującym relacje między emancypacją kobiet a komunizmem była kwestia aborcji. Po 1949 roku, w ramach kampanii zwiększania dzietności celem odbudowania populacji kraju, możliwość przerywania ciąży została mocno ograniczona[22]. Niemniej jednak kobiety za-

znały w pierwszych latach powojennych poprawy losu. Przykładowo, 1 stycznia 1946 roku weszła w życie ustawa legalizująca rozwody i zapewniająca pełnię praw dzieciom niezamężnych matek (choć minęło sporo czasu, nim za nowymi przepisami poszła zmiana standardów kulturowych). Już w 1945 roku Ogólnopolski Zjazd Oświatowy przyjął, że zapewnienie darmowej opieki dziennej będzie stanowiło jeden z celów państwa w ramach kampanii zwiększania udziału kobiet w sile roboczej. Nigdy nie udało się tego w pełni osiągnąć, ale znacząco wzrosła liczba przedszkoli, zwłaszcza przy zakładach zatrudniających kobiety. Państwo nie wahało się też ingerować w życie rodzinne, gdyż uważało, że kobietę trzeba chronić przed partnerem, który nie jest dostatecznie oddany ideom socjalistycznego postępu. W tamtych czasach w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych propozycję wprowadzenia kar za przemoc domową traktowano jako rzecz kontrowersyjną i naruszającą „świętość domu"; dopiero nowa fala feminizmu w latach sześćdziesiątych przyniosła zmianę w tym zakresie. Staliniści natomiast nie traktowali strefy prywatnej jako sacrum, więc przynajmniej w teorii gotowi byli interweniować w rozmaitych sytuacjach. Mężczyźni stojący na czele partii nie dbali zbytnio o sprawy kobiet, mimo to udało się zaprowadzić pewne pozytywne zmiany. Inicjatywa wychodziła przeważnie od Ligi Kobiet, przedwojennej organizacji odtworzonej w 1945 roku pod auspicjami komunistów. Liga służyła jako pas transmisyjny władzy w kwestiach ideologicznych. Prowadziła też kampanie przeciwko pijaństwu i przemocy małżeńskiej. Połączenie tych dwóch problemów

wzbudziło zainteresowanie rządzących, którzy toczyli niekończącą się walkę z nadmiernym spożyciem alkoholu. Powszechnie stosowanym środkiem było publiczne piętnowanie winowajców. „Samokrytyka", czyli wyznanie błędów i występków, budzi ponure skojarzenia jako metoda tłumienia głosów sprzeciwu lub karania oponentów politycznych. Wykorzystywano ją również przeciwko zwyczajnym ludziom dopuszczającym się zwyczajnych wykroczeń. Okazała się skutecznym narzędziem przywracania norm społecznych po nihilizmie nazistowskiej okupacji. Takie procedury z pewnością nie przystają do dzisiejszych standardów praworządności i opierały się na zanegowaniu prawa do prywatności. Niekiedy jednak wykorzystywano je, aby zapewnić odrobinę równiejsze traktowanie osobom, które w przedwojennym porządku prawnym nie mogły liczyć na żadną sprawiedliwość[23].

22 Dziękuję Małgorzacie Fidelis za zwrócenie mojej uwagi na tę ostatnią kwestię. Zob. Małgorzata Fidelis, *Kobiety, komunizm i industrializacja w powojennej Polsce*, WAB, Warszawa 2016.

23 Więcej na temat pracy socjalnej w komunistycznej Europie Wschodniej, zob. Lynne Haney, *Inventing the Needy: Gender and the Politics of Welfare in Hungary*, University of California Press, Berkeley 2002; Sabine Hering, *Social Care under State Socialism (1945–1989)*, Barbara Budrich, Farmington Hills 2009.

Podsumowując, zagadnienie stalinowskiej opresji jest bardziej złożone, niż się z pozoru wydaje. Władza aresztowała, torturowała, a czasem zabijała swoich przeciwników. Cenzura zakneblowała wszystkie niezależne głosy, wybory stały się farsą. W konstytucji obiecywano demokrację, ale było to zwykłe pustosłowie. Jednak w Polsce, inaczej niż w innych krajach bloku wschodniego, skrajne formy państwowej przemocy

(zabójstwa i więzienie) stosowano głównie wobec elit politycznych i inteligencji. Zwykli ludzie byli narażeni na nękanie ze strony służb bezpieczeństwa i mieli wrażenie wszechobecnego nadzoru, lecz trudno stwierdzić, które spośród tych negatywnych doświadczeń wynikały ze stalinowskiej tyranii, a które stanowiły skutek utraty swobód związanej nierozerwalnie z industrializacją i modernizacją. Ponadto niektórym osobom w pewnych okolicznościach interwencjonistyczny zapał państwa przynosił korzyści. Pragnę raz jeszcze podkreślić, że nie piszę tego, by wybielać stalinistów. Okrucieństwo, z jakim traktowali swych oponentów, czyni ich winnymi najgorszej politycznej zbrodni. Jednak jeżeli chcemy zrozumieć życie codzienne Polaków w drugiej połowie lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych, kategoria ucisku nie jest zapewne najlepszym punktem wyjścia.

Oczywiście w sprawach dotyczących polityki zagranicznej i w znacznej części spraw dotyczących polityki wewnętrznej PRL musiał się podporządkowywać ZSRR. Stalin osobiście zredagował polską konstytucję (jego notatki widnieją na marginesach szkicu), co dowodzi, jak znikomą autonomią cieszyli się rządzący, mimo to komentatorzy skupiający się wyłącznie na podległości Polski wobec Związku Radzieckiego nie doceniają ważnej sprawy. Otóż Związek Radziecki był dziwnym imperium, gdyż w kraju rdzenia panował niższy standard życia niż w części krajów satelickich. W XIX wieku imperia brytyjskie, francuskie i niemieckie (oraz korporacje związane z tymi państwami) zawłaszczały zasoby w swoich strefach wpływu, by utrzymywać rozwój gospodarczy i gwarantować

wzrost zamożności centralnego ośrodka. Tak samo postępowały Stany Zjednoczone i amerykańskie korporacje w XX wieku, aczkolwiek stosując inne środki. Sowieci nie wzbraniali się co prawda przed grabieżą w starym stylu, (zwłaszcza na południu imperium), ale mieszkańcy Warszawy, Pragi, Budapesztu i Berlina Wschodniego cieszyli się większym dostatkiem niż ich rzekomi towarzysze z Moskwy czy Leningradu i nie zmieniał tego nawet transfer zasobów na wschód (który i tak przetrwał tylko do 1956 roku).

Wspominałem wcześniej, że cele Stalina wobec krajów satelickich miały charakter strategiczny, a nie ideologiczny, co wyznaczyło kierunek polityki na wiele dekad. Sowieci dokonywali interwencji zbrojnych (na Węgrzech w 1956 roku, w Czechosłowacji w 1968) albo grozili wysłaniem wojsk (w Polsce w latach 1956 i 1981) nie po to, by bronić socjalizmu, ale by zabezpieczyć swą strefę wpływu i zachować równowagę sił ze Stanami Zjednoczonymi. Radzieccy przywódcy utożsamiali socjalizm z ZSRR, lecz na całym świecie nie brakowało lewicowców, którzy stanowczo sprzeciwiali się takiemu sposobowi myślenia. Dlatego największe zagrożenie dla władzy radzieckiej stanowiłaby demokracja w bloku wschodnim, gdyż ustanowienie wolnej sfery publicznej oznaczałoby, że pojawią się głosy domagające się większej niezależności od Moskwy. Dopóki udawało się je tłumić, dopóty krajom satelickim pozwalano na pewne eksperymenty w polityce gospodarczej czy społecznej (oczywiście w określonych granicach). Za życia Stalina tym, co utrudniało owe eksperymenty, była wszechogarniająca atmosfera paranoi, niemniej już we wcze-

snych latach pięćdziesiątych ukształtowały się znaczące różnice między ustrojami w poszczególnych krajach bloku wschodniego. Ponadto komuniści sprawujący władzę w owych krajach nie byli jedynie robotami ślepo wykonującymi wszelkie polecenia Moskwy. Historia niełaskawie, choć zasadniczo sprawiedliwie obeszła się z Bolesławem Bierutem i aparatczykami wprowadzającymi w Polsce stalinizm. Ten serwilizm wobec Sowietów i okrutne traktowanie przeciwników politycznych sprawiają, że nie da się ich uznać za ludzi przyzwoitych. Jedno trzeba im oddać: wierzyli, że ich działania doprowadzą prędzej czy później do lepszej przyszłości Polski i świata. O ile radzieccy przywódcy traktowali wschodnioeuropejskie kraje satelickie instrumentalnie, o tyle nie mamy podstaw, by kwestionować ideologiczną szczerość Bieruta i jego towarzyszy. Trafiła im się okazja przebudowania ojczyzny – i okazję tę postanowili wykorzystać. W tym celu nie mogła wystarczyć naga siła, którą zawdzięczali przemocy i terrorowi: należało zyskać również realne poparcie obywateli, zwłaszcza klasy robotniczej, lub w najgorszym razie milczące przyzwolenie dla przemian. Właśnie dlatego po 1948 roku komuniści rzadziej stosowali jawną przemoc. Nie wahali się wykorzystywać aparatu bezpieczeństwa, kiedy walczyli o władzę, jednak zdobywszy ją, uznali, że pora sięgnąć po inne metody. Inteligencja i wszelkie grupy stanowiące potencjalne zagrożenie polityczne nadal borykały się z cenzurą i były narażone na areszt, lecz pozostali mogli spać spokojnie.

Jeżeli pominąć kwestię autorytaryzmu i terroru, stalinowski komunizm (w Polsce i innych krajach) różnił się od innych

form socjalizmu przede wszystkim pod względem ambicji. Socjaldemokraci byli bardzo wyczuleni na to, co uważali za granice możliwej zmiany. Również spora część komunistów zalecała niekiedy taktyczną ostrożność (przykładem Gomułka). Tymczasem staliniści nie dopuszczali myśli o zrewidowaniu swoich śmiałych wizji. Bierut dążył do zupełnej transformacji Polski, do przekształcenia jej z kraju ubogiego, opartego na gospodarce wiejskiej i zniszczonego wskutek wojny w zamożne, uprzemysłowione, egalitarne, nowoczesne państwo. W 1950 roku zainicjował Plan Sześcioletni, wyznaczający cele dla wszystkich branż gospodarki i sektorów społeczeństwa. Obiecywano odbudowę miast, rozwój infrastruktury transportowej, a przede wszystkim stworzenie przemysłu ciężkiego nowej generacji. PZPR postanowiła też wyeliminować analfabetyzm, rozszerzyć system opieki zdrowotnej, włączyć kobiety do siły roboczej i rozprawić się z religijnymi „przesądami". Optymizm stalinizmu, stanowiący jego bodaj najbardziej charakterystyczną cechę, był wręcz szalony. Polskie władze przed 1956 rokiem próbowały dokonać rewolucji, i to z nadludzką prędkością.

Jak już wspomniałem, w teorii komuniści w różnych krajach mogli wybierać spośród rozmaitych form kolektywizmu, począwszy od samorządów pracowniczych (postawiono na to w Jugosławii) aż po bezpośrednią własność państwową. W praktyce wprowadzano to drugie, kierując się modelem wypracowanym w Związku Radzieckim przed drugą wojną światową i wyeksportowanym do Polski pod koniec lat czterdziestych. Do gospodarki przeniesiono retorykę wojenną;

przykładowo plan skoordynowania dystrybucji dóbr konsumpcyjnych zyskał miano „bitwy o handel" i doprowadził do niemal zupełnego włączenia drobnych sklepikarzy w sieć domów towarowych i spożywczych. „Bitwa" zaczęła się w 1947 roku mimo sprzeciwów PPS (która opowiadała się za niezależnymi kooperatywami). W ciągu dwóch lat liczba sklepów prywatnych w Polsce spadła o połowę.

Jednak dążenie do ustanowienia własności państwowej miało głębsze przyczyny. Socjalizm w istocie był projektem modernizacyjnym, służył przeprowadzeniu społeczeństwa w wymarzony świat produkcji przemysłowej, ściśle zorganizowanej sieci dystrybucji oraz mobilnej i wykwalifikowanej siły roboczej. Na wysokim poziomie ogólności kapitalizm i socjalizm w połowie XX wieku łączyło więcej podobieństw, niżby się to zdawało zwolennikom jednego i drugiego systemu. Obydwa faworyzowały wielkie przedsiębiorstwa kosztem drobnych producentów, obydwa zastępowały lokalne rynki podażą ujednoliconych towarów, dystrybuowanych w kraju i za granicą, w obu dążono do zastąpienia małych rodzinnych gospodarstw rolnych wielkimi farmami, by uzyskać efekt ekonomii skali, oraz niszczono wspólnoty i spersonalizowane, kontekstowe sieci oparte na autorytecie, żeby racjonalizować zarządzanie i kontrolę. Nieprzypadkowo Włodzimierz Lenin i Henry Ford korzystali z tego samego podręcznika, czyli opublikowanej w 1911 roku książki *Zasady naukowego zarządzania* Fredericka Taylora. Z perspektywy robotnika przy taśmie fabrycznej fordyzm i leninizm były podobne, opierały się bowiem na taylorowskim postulacie, aby podzielić pro-

dukcję na konkretne procedury, zorganizowane, monitorowane i zarządzane w sposób maksymalizujący efektywność. Taśma fabryczna stała się w połowie XX wieku wszechobecna, czy to w Pittsburghu, czy w Poznaniu, w Liverpoolu czy w Łodzi.

Jak już pisałem, na poziomie teorii socjalizm dążył do zniesienia „wyzysku", czyli przywłaszczania przez właścicieli nieproporcjonalnie dużych udziałów w wartości wytworzonej w procesie produkcji. Lenin, Stalin i wschodnioeuropejscy komuniści chcieli wyeliminować tę niesprawiedliwość, a zarazem nadal stosować taylorowską taśmę produkcyjną. Stąd właśnie brał się nacisk na rozwijanie ogromnych zakładów przemysłowych oraz na mikrozarządzanie i nadzór. Różnica polegała na tym, że w socjalistycznych przedsiębiorstwach robotnicy byli (pośrednio) właścicielami tego, co wyprodukowali. Innym rozwiązaniem mogły być kooperatywy pracownicze, wymagałyby one jednak demokracji bezpośredniej, a ta zdaniem komunistów nie przystawała do warunków produkcji fabrycznej, uznano zatem, że bardziej efektywne będzie skopiowanie kapitalistycznych metod zarządzania i zniesienie własności prywatnej, wiążącej się z wyzyskiem. Komuniści sądzili, że uda im się osiągnąć zarówno socjalistyczną sprawiedliwość, jak i kapitalistyczną wydajność: wystarczy, aby państwo posiadało wszystkie fabryki oraz aby było państwem robotników i dla robotników (wyjaśnię później, czemu rozwiązanie to nie sprawdziło się w praktyce). Toteż władze państwowe miały przejąć jak największą kontrolę nad gospodarką, przy czym kontrola nie była celem samym w sobie,

lecz środkiem: pozwalała pogodzić efektywność i socjalistyczną równość. Warto pamiętać, że komuniści opowiadali się za tymi rozwiązaniami już wówczas, gdy siedzieli w sanacyjnych więzieniach i w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Koncepcja własności państwowej istniała od dawna; nie pojawiła się ad hoc, by posłużyć do zawłaszczenia większej władzy w życiu gospodarczym.

Dekret o nacjonalizacji przemysłu w Polsce wydano 3 stycznia 1946 roku, a więc w okresie, kiedy przynajmniej oficjalnie krajem rządziła koalicja. Wszystkie trzy partie – PPR, PPS i PSL – popierały nacjonalizację, aczkolwiek różniły się w kwestii tego, jak ją przeprowadzić. PPR chciała pełnej kontroli państwowej, PPS opowiadała się za samorządem pracowniczym (choć osadzonym w systemie planowym), PSL zaś za gospodarką mieszaną, w której państwo będzie posiadało duże przedsiębiorstwa, podczas gdy małe firmy i gospodarstwa pozostaną w rękach prywatnych, aczkolwiek pod warunkiem ustanowienia rozmaitych regulacji. Ostatecznie na mocy dekretu nacjonalizacja objęła wszystkie przedsiębiorstwa zatrudniające powyżej pięćdziesięciu osób. Ruch ten cieszył się dużą (choć nie powszechną) popularnością. Gdy staliniści umocnili władzę, zaczęli wykorzystywać naciski administracyjne i przewagę konkurencyjną dużych państwowych zakładów, by wyprzeć pozostałe przedsiębiorstwa z rynku. W PRL państwo nigdy nie kontrolowało gospodarki w stu procentach, lecz sektor prywatny był maleńki (nie licząc rolnictwa, co omówię w następnym rozdziale).

Najsłynniejszym przykładem zamiłowania stalinistów do działań spektakularnie szybkich i spektakularnie skoordynowanych była budowa Nowej Huty. Kraków stanowił względnie niewielki ośrodek miejski. W latach trzydziestych mieszkało tam zaledwie 260 tysięcy ludzi, a życie kręciło się głównie wokół uniwersytetu. Choć miasto słynęło ze swej historii i miało duże znaczenie kulturalne, Warszawa, Łódź i Poznań zdecydowanie wyprzedzały je pod względem gospodarczym. Nadreprezentacja inteligentów sprawiała, że Kraków nieprzychylnie odnosił się do komunizmu. By temu zaradzić, władze postanowiły zbudować tuż obok modelowe socjalistyczne miasto. Krnąbrni krakowiacy mieli się rozpuścić w morzu proletariuszy. Wykorzystano najnowocześniejsze teorie urbanizacji w nadziei stworzenia ośrodka odpowiadającego potrzebom nowej Polski. Nowa Huta wyrosła w szczerym polu; w 1956 roku jej populacja wyniosła 100 tysięcy ludzi, a w latach osiemdziesiątych żyło tam już ćwierć miliona mieszkańców. Jeszcze dwie dekady po rozpoczęciu budowy trzy czwarte z nich stanowili migranci ze wsi. Do dziś Nowa Huta uchodzi za wzorcowy przykład stalinowskiego projektu miejskiego. Wzdłuż szerokich bulwarów stoją cokolwiek neoklasyczne kamienice, ozdobione posągami heroicznych robotników. Przez wiele dziesięcioleci nie było tam kościoła; świątynia została konsekrowana dopiero w roku 1977 wskutek stanowczych żądań mieszkańców. Z drugiej strony, po latach znoju i ciężkiej pracy, w Nowej Hucie powstały tereny zielone, biblioteki, szkoły, szpitale i domy kultury[24].

24 Alison Stenning, *Placing (Post-)Socialism: The Making and Remaking of Nowa*

Huta, Poland, „European Urban and Regional Studies" 2000, t. 7, nr 2, s. 99–118; *60-lecie Nowej Huty* http://www.60nh.pl/pl/13/0/1/?show=all; Katherine Lebow, *Unfinished Utopia: Nowa Huta, Stalinism, and Polish Society, 1949–1956*, Cornell University Press, Ithaca 2013.

Lata stalinizmu przyniosły boom w branży budowlanej. Wszystkie główne miasta (z wyjątkiem Krakowa) poważnie ucierpiały podczas wojny, toteż urbaniści zyskali wyjątkową możliwość realizowania ambitnych projektów. Obecnie w Polsce na każdym kroku spotyka się nudne, rozpadające się bloki, ale powstawały one głównie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w warunkach, które opiszę później. Natomiast typowy budynek z lat pięćdziesiątych miał wysokie sufity i monumentalną fasadę. Architekci kierowali się szczerym idealizmem, aczkolwiek estetyka tamtej epoki, mówiąc łagodnie, nie każdemu przypadnie do gustu. Głównym celem było zapewnienie dachu nad głową setkom tysięcy ludzi, którzy migrowali ze wsi do miast w poszukiwaniu pracy na budowach albo w nowych fabrykach, powstających w niesamowitym tempie. Cel nie został osiągnięty – napływ osób okazał się zbyt wielki – jednak nawet najsurowsi krytycy komunizmu muszą przyznać, że udało się zrobić bardzo dużo.

Niezwykłym wyczynem było dźwignięcie Warszawy z gruzów. Wojna zrównała miasto z ziemią, lecz już po dwudziestu latach stolica została niemal całkiem odbudowana. Stare Miasto odtworzono z ogromnym pietyzmem, wzorując się na jego osiemnastowiecznej formie (co przeszło później do oficjalnej legendy), przywracając utracony czas. Turyści po dziś dzień mogą tam podziwiać tablicę, której mieszkańcy prawie zupełnie nie zauważają: „Pomnik kultury narodowej i walk rewo-

lucyjnych ludu Warszawy zwalony w gruzy przez faszystowskich okupantów w 1944 r. Rząd Polski Ludowej z ruin podźwignął i narodowi przywrócił w latach 1951–1953". Innym „darem dla narodu polskiego" był Pałac Kultury i Nauki, sfinansowany przez ZSRR i zbudowany prawie w całości rękami radzieckich robotników. W ciągu ostatnich trzech dekad zafascynowany śledziłem zmieniające się nastawienie wobec gmachu. Stary dowcip głosił: „Skąd w Warszawie jest najładniejszy widok na miasto? Z Pałacu Kultury – bo go stamtąd nie widać". Po roku 1989 pojawiały się nawet propozycje, by zburzyć pałac, uważany za szkaradę i pomnik radzieckiej dominacji. Jednak w 2015 roku odbyło się wiele wydarzeń dla uczczenia sześćdziesiątej rocznicy powstania budynku. Ponadto Pałac Kultury widnieje na pamiątkach dla turystów równie często jak Zamek Królewski. Kilka przystanków dalej na południe znajduje się MDM, czyli Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa, wzorcowy socjalistyczny projekt dla 45 tysięcy mieszkańców, z 65 sklepami, 10 restauracjami, dwiema przychodniami, szpitalem, szkołą, licznymi klubami i teatrami. Wszystko to mieściło się w samym środku miasta, tam, gdzie przed wojną żyła elita (dziś zresztą również można ją tam spotkać). Plac Konstytucji, centralny punkt MDM, miał służyć jako miejsce wydarzeń publicznych, które chciano organizować pośród budzących natchnienie rzeźbionych robotników i chłopek. Obecnie rzeźby niszczeją i są pomazane graffiti, lecz w latach pięćdziesiątych symbolizowały transformację kulturową, której korzenie sięgały znacznie głębiej niż świadoma polityka komunistów.

Aparat propagandowy państwa trąbił o robotnikach pracujących w duchu socjalistycznej solidarności przy tych herkulesowych projektach. Faktycznie, kiedy Polska podnosiła się z ruin, panował nastrój optymizmu i wspólnego sukcesu. Osoby nawykłe do życia w kapitalizmie pytają, skąd brano na to wszystko pieniądze, pomijając prawdziwie rewolucyjny aspekt stalinizmu. Otóż jeśli przyjąć tezę marksistów, że wartość bierze się z pracy, możemy stwierdzić, że odbudowę „sfinansowali" polscy robotnicy, tyrali bowiem ciężej niż kiedykolwiek wcześniej i kiedykolwiek później, otrzymując w zamian skromne wynagrodzenia. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych stopa życiowa znacznie się podniosła, ale wydajność wzrosła o wiele szybciej. Różnica między tym drugim a tym pierwszym – czyli, jak powiedziałby Marks, „wartość dodatkowa" – składała się na kapitał inwestycyjny, dzięki któremu odbudowano kraj. Ponadto podczas wakacji uczniów wysyłano do pracy w gospodarstwach rolnych i na budowach, a zwyczajni obywatele w tak zwanym czynie społecznym pomagali utrzymywać parki i stawiać rozmaite obiekty użyteczności publicznej. Pewnego razu jechałem przez jedno z polskich miast z kobietą, która dobrze pamiętała lata pięćdziesiąte. Przez całe życie była antykomunistką, ale kiedy mijaliśmy park przestała nagle utyskiwać na PRL i zawołała: „To myśmy zbudowali!". Przez wiele lat ona i jej sąsiedzi co sobotę pielęgnowali ziemię, by w miejsce pustej działki powstał teren wypoczynkowy, cieszący się sympatią mieszkańców do dzisiaj. Moja rozmówczyni najwyraźniej zapomniała, kto orga-

nizował tę weekendową pracę i jakim celom ideologicznym miała ona służyć.

Oprócz bezprecedensowej odbudowy i przebudowy kraju nastąpiło wyeliminowanie bezrobocia. Nowa konstytucja PRL głosiła, że każdy obywatel ma prawo i obowiązek pracować. Innymi słowy – bezrobocie przestało być problemem, ale też przestało być opcją. Władze kierowały się starą marksistowską maksymą „każdy według swoich zdolności, każdemu według jego zasług". Osoby leniwie były publicznie piętnowane i dawano im mało atrakcyjne, marne posady. Z kolei osoby szczególnie zasłużone nagradzano pochwałami i wyższą pensją. Najlepsi z najlepszych trafiali do mediów jako „bohaterowie pracy". Państwo próbowało stworzyć nową kategorię sławnych ludzi, zdecydowanie odmienną od dekadenckich gwiazd świata kapitalistycznego. Opiewało stachanowców, a nie salonowców. Szczególnie wyróżniający się robotnicy dostawali znakomite mieszkania, mieli możliwość zaopatrywania się w trudno dostępne towary i szybko awansowali, lecz zarazem ściągali na siebie gniew kolegów po fachu. Często wyobrażamy sobie, że komunizm promował absolutną równość. Rzeczywistość wyglądała inaczej. Otóż społeczne tradycje klasy robotniczej były silnie egalitarne, natomiast w stalinizmie uległy one rozbiciu, bo jeśli jedna osoba przekraczała normy produkcyjne, inni zaczynali wypadać słabo na jej tle, a zarząd zwiększał limity. Wielu „bohaterów pracy" spotkało się więc z ostracyzmem, który sprawiał, że krótkotrwała sława i wyższa płaca stawały się marną rekompensatą.

Plac Konstytucji i MDM w Warszawie, fot. Zbyszko Siemaszko (za zgodą Narodowego Archiwum Cyfrowego)

Docieramy tu do ważnego aspektu stalinizmu, a mianowicie do napięć na linii robotnicy–państwo. Związki zawodowe były wcześniej zdominowane przez PPS; komuniści nigdy nie zdołali ich sobie w pełni podporządkować. PZPR wchłonęła związki i odgórnie nadała im kierownictwo, ale nie mogło ono zupełnie zignorować problemów i postulatów ludzi, których reprezentowało (przynajmniej oficjalnie), zwłaszcza że rozwój gospodarczy doprowadził do niedoborów siły roboczej i robotnicy wykwalifikowani zyskali silną pozycję negocjacyjną. Przez cały okres stalinizmu trwało nieustanne przeciąga-

nie liny między robotnikami, domagającymi się lepszych płac i lepszych warunków, a kierownikami zakładów, którzy starali się realizować ambitne cele Planu Trzyletniego i Planu Sześcioletniego. Odbywały się małe i krótkie strajki i protesty (przeważnie do roku 1950, potem o wiele rzadziej), choć media dbały, by informacje o tym nie przedostały się do społecznej świadomości. Władze próbowały stosować taktykę nadzoru i zastraszenia, lecz niechętnie uciekały się do przemocy. Najważniejszym wyzwaniem dla stalinistów było pozyskanie lojalności klasy robotniczej, a nie podporządkowanie jej sobie siłą. Ilekroć służby bezpieczeństwa interweniowały w spory pracownicze (co od czasu do czasu się zdarzało), tylekroć PZPR ponosiła porażkę[25].

25 Na temat konfliktów między robotnikami a kierownictwem zob. Padraic Kenney, *Budowanie Polski Ludowej*, dz. cyt.

Norman Rockwell, *The Kansas City Spirit*, 1951

Ważnym elementem epoki stalinowskiej był aparat propagandowy PRL. Po 1948 roku zniknęły niezależne media (z wyjątkiem „Tygodnika Powszechnego", ale nawet on w latach 1953–1956 miał redakcję narzuconą przez władzę). Cenzura miała charakter prewencyjny, a nie po prostu karny – mówiąc inaczej, wszystkie treści musiały zostać zaakceptowane przed publikacją. W literaturze, sztuce i dziennikarstwie dominował realizm socjalistyczny, czyli styl adresowany do masowego odbiorcy, wolny od wyrafinowanych zawiłości charakterystycznych dla awangardowych powieści, dzieł artystycznych czy filmów powstających w świecie kapitalistycznym. Kultura została zaprzęgnięta do budowy nowej Polski: wszystko, co nie służyło osiągnięciu tego celu, uważano za niepotrzebne lub wręcz wywrotowe. Łatwo kpić z socrealizmu, z heroicznych postaci rysowanych grubą krechą, z czarno-białych morałów, z ciągłego wysławiania „ludu pracującego". Prostota, wręcz naiwność książek, obrazów i filmów z tamtego okresu sprawia, że wykształcony odbiorca zapewne będzie się wzdrygał. Ale wykształcony odbiorca nie miał znaczenia. Ba, jego niechęć napawała socrealistów dumą. Poza tym, pod względem treści i stylu, dzieła malarzy w rodzaju niezwykle popularnego amerykańskiego artysty Normana Rockwella albo patriotyczne komiksy i filmy powstające w Europie Zachodniej czy w Ameryce Północnej w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych miały całkiem dużo wspólnego z socrealizmem (można wręcz określić je mianem „kapitalistycznego realizmu"). Różnica polegała na tym, że zachodni twórcy

mogli tworzyć również sztukę innego rodzaju i zdobywać sławę.

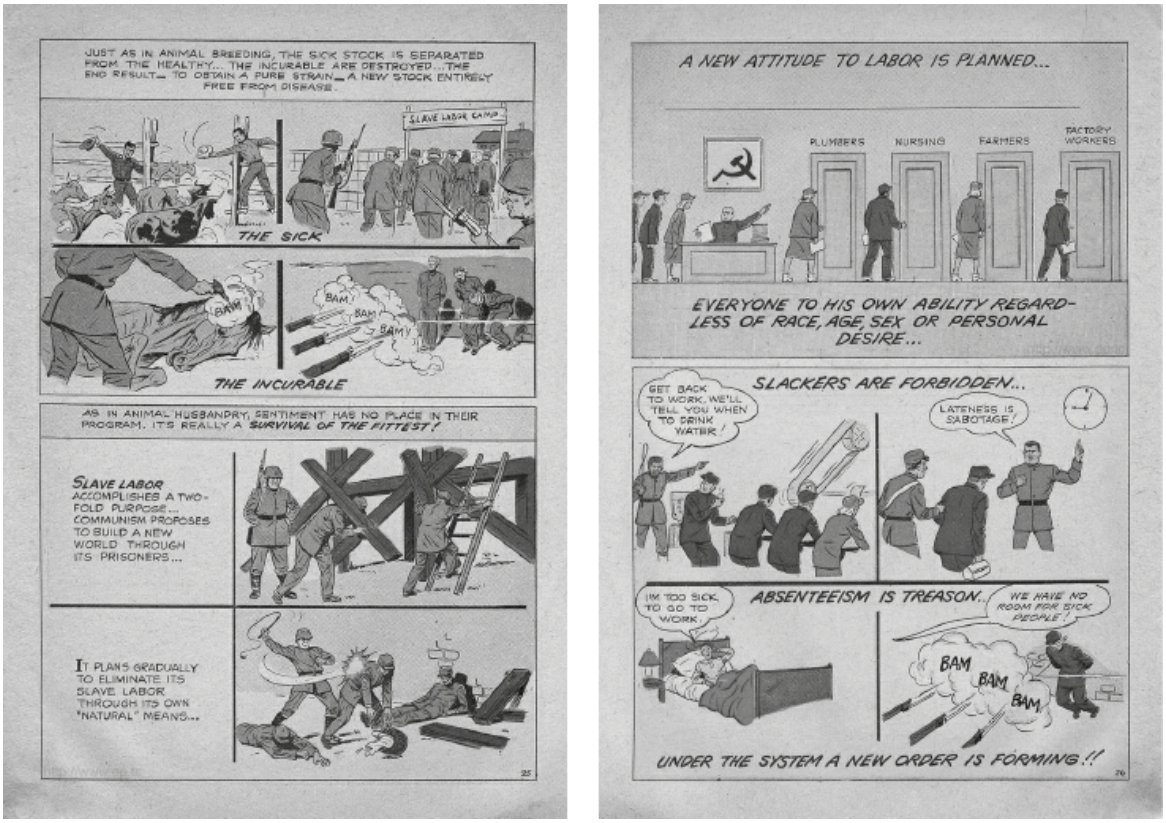
JUST AS IN ANIMAL BREEDING, THE SICK STOCK IS SEPARATED FROM THE HEALTHY... THE INCURABLE ARE DESTROYED...THE END RESULT— TO OBTAIN A PURE STRAIN—A NEW STOCK ENTIRELY FREE FROM DISEASE.
SLAVE LABOR CAMP
THE SICK
BAM
BAM
BAM
BAM
THE INCURABLE
AS IN ANIMAL HUSBANDRY, SENTIMENT HAS NO PLACE IN THEIR PROGRAM. IT'S REALLY A SURVIVAL OF THE FITTEST!
SLAVE LABOR ACCOMPLISHES A TWO-FOLD PURPOSE... COMMUNISM PROPOSES TO BUILD A NEW WORLD THROUGH ITS PRISONERS...
IT PLANS GRADUALLY TO ELIMINATE ITS SLAVE LABOR THROUGH ITS OWN "NATURAL" MEANS...
A NEW ATTITUDE TO LABOR IS PLANNED...
PLUMBERS
NURSING
FARMERS
FACTORY WORKERS
EVERYONE TO HIS OWN ABILITY REGARDLESS OF RACE, AGE, SEX OR PERSONAL DESIRE...
SLACKERS ARE FORBIDDEN...
GET BACK TO WORK, WE'LL TELL YOU WHEN TO DRINK WATER!
LATENESS IS SABOTAGE!
I'M TOO SICK TO GO TO WORK!
ABSENTEEISM IS TREASON.
WE HAVE NO ROOM FOR SICK PEOPLE!
BAM
BAM
BAM
UNDER THE SYSTEM A NEW ORDER IS FORMING!!

Dwie twarze komunizmu, The Christian Anticommunism Crusade, Houston 1961, s. 25–26. Całość dostępna na stronie http://www.ep.tc/problems/27/index.htm

Jednak nawet w surowym świecie socrealizmu dawało się znaleźć pewne szczeliny. Staliniści nie zdołali w pełni przekształcić polskiej kultury. Wszelkie ich sukcesy okazały się krótkotrwałe. Dobrym przykładem jest system edukacji. Po wojnie na uczelnie dostała się rzesza dzieci z rodzin chłopskich i robotniczych. Zaczął się też napływ nowych, pospiesznie przysposobionych wykładowców. Bacznie nadzorowano

programy zajęć, by wszystko odbywało się w zgodzie z marksistowską ortodoksją. Zlikwidowano całe kierunki studiów. A przecież każdy, kto kiedykolwiek próbował reformować uniwersytet, wie, jak bardzo profesura jest odporna na zmiany. Państwo stalinowskie, mimo swej potęgi, nie zdołało przekształcić polskich uczelni w ośrodki indoktrynacji. W 1948 roku niespełna 4 procent wykładowców należało do PZPR. Pięć lat później odsetek wynosił ledwie 11 procent W innych krajach bloku wschodniego szkolnictwo wyższe (a także średnie i podstawowe) łatwo poddało się presji władzy; w Polsce nie. Jednym z powodów był fakt, że profesura od dawna stanowiła ścisłą, zwartą grupę, pomagającą sobie nawzajem i złączoną rozmaitymi więziami matrymonialno-rodzinnymi. Ponadto wykładowcy akademiccy przydzielili sobie doniosłą rolę inteligencji i w rezultacie cieszyli się znacznym prestiżem. Za okupacji hitlerowskiej prowadzili zajęcia w konspiracji, inspirując się opowieściami z czasów zaborów, zasłyszanymi od swych nauczycieli i rodziców. Taka społeczność nie dała się łatwo wziąć pod but. Co więcej, nowi wykładowcy z klasy pracującej przyjmowali normy tradycyjnej kultury akademickiej. Choć więc nie można było jawnie prowadzić działalności opozycyjnej, etos inteligencji został zachowany. Z perspektywy czasu przedstawia się to jako bohaterski akt oporu – do pewnego stopnia słusznie, ale trzeba pamiętać, że przyczyną była też głęboko zakorzeniona niechęć do wszelkiego rodzaju zmian. Uczeni chcieli po prostu prowadzić swoje badania (zwłaszcza w naukach ścisłych) i trzymać się starych zasad[26].

26 Na temat odporności polskich środowisk akademickich na zmiany zob. John Connelly, *Captive University: The Sovietization of East German, Czech, and Polish Higher Education, 1945–1956*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 2000, s. 142–179. W kwestii mniej upolitycznionych aspektów życia akademickiego zob. Kaja Kaźmierska, Katarzyna Waniek, Agata Zysiak, *Opowiedzieć Uniwersytet. Łódź akademicka w biografiach wpisanych w losy Uniwersytetu Łódzkiego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2016.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie próbował rehabilitować Stalina czy Bieruta ani usprawiedliwiać zbrodni popełnionych przez ich podwładnych, niemniej odbudowę Polski po drugiej wojnie światowej trzeba uznać za ogromne osiągnięcie o bardzo wymiernych rezultatach. Robotników i chłopów zaczęto otaczać publiczną czcią, a ich życie pod wieloma względami zmieniło się na lepsze. Edukacja i opieka zdrowotna objęły miasteczka i wioski. Po raz pierwszy za ludzkiej pamięci nie było bezrobocia. Dla ówczesnej młodzieży lata stalinizmu to okres pierwszych miłości i nastoletnich przygód. Nadzieje i marzenia tego pokolenia znalazły odzwierciedlenie w szaleńczo optymistycznym Planie Sześcioletnim. Oczywiście, gdyby przeprowadzono wolne i uczciwe wybory, Polacy nie zagłosowaliby na komunistów. Wrogość wobec ZSRR była zbyt silna z powodu inwazji w 1939 roku, zbrodni katyńskiej oraz postępowania radzieckiej armii na terytorium Polski w latach 1944–1945. Polityka to jednak nie wszystko, nawet w ustroju, który wszystko uważa za politykę. Stalinizm był ideologią totalitarną, gdyż usuwał granicę między sferą publiczną i prywatną, lecz PRL nigdy nie zdołał ustanowić totalitaryzmu na poziomie życia codziennego. Ludzie nadal zawierali przyjaźnie, uczęszczali na msze, space-

rowali w parkach, upijali się, zakochiwali, czytali książki, oglądali filmy, tańczyli, modlili się i pracowali. Większość zapewne powiedziałaby, że nienawidzi Sowietów i ich marionetkowego rządu w Warszawie. Mimo to życie toczyło się dalej i nie było *całkiem* złe.

Literatura uzupełniająca

Ajnenkiel, Andrzej (red.), *Wojna domowa czy nowa okupacja. Polska po 1944 roku*, Rytm, Warszawa 1997

Brzostek, Błażej, *Robotnicy Warszawy. Konflikty codzienne 1950–1954*, Trio, Warszawa 2002

Buczek, Roman, *Na przełomie dziejów. Polskie Stronnictwo Ludowe w Latach 1945–1947*, Profil, Wrocław 1989

Cichopek-Gajraj, Anna, *Beyond Violence: Jewish Survivors in Poland and Slovakia in 1944–48*, Cambridge University Press, Cambridge 2016

Connelly, John, *Zniewolony uniwersytet. Sowietyzacja szkolnictwa wyższego w Niemczech Wschodnich, Czechach i Polsce 1945–1956*, przeł. Witold Rodkiewicz, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2013

Curp, David T., *A Clean Sweep? The Politics of Ethnic Cleansing in Western Poland, 1945–1960*, University of Rochester Press, Rochester 2006

Drozd, Roman, *Polityka władz wobec ludności ukraińskiej w Polsce w latach 1944–1989*, Tyrsa, Warszawa 2001

Dudek, Antoni, *Państwo i Kościół w Polsce 1945–1970*, Wydawnictwo PiT, Kraków 1995

Fidelis, Małgorzata, *Kobiety, komunizm i industrializacja w powojennej Polsce*, WAB, Warszawa 2016

Gross, Jan Tomasz, *Revolution from Abroad: The Soviet Conquest of Poland's Western Ukraine and Western Belorussia*, Princeton University Press, Princeton 1988

Gross, Jan Tomasz, *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Znak, Kraków 2008

Jarosz, Dariusz, *„Masy pracujące przede wszystkim". Organizacja wypoczynku w Polsce w 1945–1956*, Instytut Historyczny Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2003

Jarosz, Dariusz, *Polacy a stalinizm*, Instytut Historyczny Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2000

Jarosz, Dariusz, *W krzywym zwierciadle. Polityka władz komunistycznych w Polsce w świetle plotek i pogłosek z lat 1949–1956*, Fakt, Warszawa 1995

Jarosz, Dariusz, *Polityka władz komunistycznych w Polsce w latach 1948–1956 a chłopi*, DiG, Warszawa 1998

Jarska, Natalia, *Kobiety z marmuru. Robotnice w Polsce w latach 1945–1960*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2015

Kaźmierska, Kaja, Katarzyna Waniek, Agata Zysiak, *Opowiedzieć Uniwersytet. Łódź akademicka w biografiach wpisanych w losy Uniwersytetu Łódzkiego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2016

Kemp-Welch, Anthony, *Poland Under Communism: A Cold War History*, Cambridge University Press, Cambridge 2009

Kenney, Padraic, *Budowanie Polski Ludowej. Robotnicy a komuniści 1945–1950*, przeł. Anna Dzierzgowska, WAB, Warszawa 2016

Kersten, Krystyna, *Narodziny systemu władzy, Polska 1943–1948*, Krytyka, Warszawa 1984

Klich-Kluczewska, Barbara, *Przez dziurkę od klucza. Życie prywatne w Krakowie (1945–1989)*, Trio, Warszawa 2005

Kochanowski, Jerzy, Piotr Majewski, Tomasz Markiewicz, Konrad Rokicki, *Zbudować Warszawę piękną... O nowy krajobraz stolicy (1944–1956)*, Trio, Warszawa 2003

Kochanowicz, Joanna, ZMP *w terenie. Stalinowska próba modernizacji opornej rzeczywistości*, Trio, Warszawa 2000

Kosiński, Krzysztof, *O nową mentalność. Życie codzienne w szkołach 1945–1956*, Trio, Warszawa 2000

Kruks, Sonia, Rayna Rapp, Marilyn B. Young (red.), *Promissory Notes: Women in the Transition to Socialism*, Monthly Review Press, New York 1989

Kuroń, Jacek, Jacek Żakowski, *PRL dla początkujących*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999

Lebow, Katherine, *Unfinished Utopia: Nowa Huta, Stalinism, and Polish Society, 1949–1956*, Cornell University Press, Ithaca 2013
Leder, Andrzej, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014
Muller, Anna, *If the Walls Could Speak: Inside a Women's Prison in Communist Poland*, New York: Oxford University Press 2017
Motyka, Grzegorz, *Od Rzezi Wołyńskiej do akcji „Wisła". Konflikt Polsko-Ukraiński, 1943–1947*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011
Naimark, Norman, *Fires of Hatred: Ethnic Cleansing in Twentieth-Century Europe*, Harvard University Press, Cambridge 2002
Naimark, Norman, Leonid Gabianskii (red.), *The Establishment of Communist Regimes in Eastern Europe, 1944–1949*, Westview Press, Boulder 1997
Osęka, Piotr, *Rytuały stalinizmu. Oficjalne święta i uroczystości rocznicowe w Polsce 1944–1956*, Trio, Warszawa 2007
Osękowski, Czesław, *Referendum 30 czerwca 1946 roku w Polsce*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2000
Poksiński, Jerzy, *My, sędziowie, nie od Boga. Z dziejów sądownictwa wojskowego PRL 1944–1956*, Gryf, Warszawa 1996
Polonsky, Antony, Bolesław Drukier, *The Beginnings of Communist Rule in Poland*, Routledge & Kegan Paul, London 1980
Porter-Szűcs, Brian, *Faith and Fatherland: Catholicism, Modernity, and Poland*, Oxford University Press, New York 2011
Prażmowska, Anita J., *Civil War in Poland, 1942–1948*, Palgrave Macmillan, Basingstoke 2004
Shore, Marci, *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, przeł. Marcin Szuster, Świat Książki, Warszawa 2008
Siebel-Achenbach, Sebastian, *Lower Silesia from Nazi Germany to Communist Poland, 1942–1949*, St. Martin's Press, New York 1994
Skoczylas, Michał, *Wybory do Sejmu Ustawodawczego z 19 stycznia 1947 r. w świetle skarg ludności*, Trio, Warszawa 2003
Sowiński, Paweł, *Komunistyczne święto. Obchody 1 maja w latach 1948–1954*, Trio, Warszawa 2000
Ther, Philipp, Ana Siljak (red.), *Redrawing Nations: Ethnic Cleansing in East-Central Europe, 1944–1948*, Rowman & Littlefield, Lanham 2001

Thiriet, Damien, *Marks czy Maryja? Komuniści i Jasna Góra w apogeum stalinizmu (1950–1956)*, przeł. Jerzy Pysiak, Trio, Warszawa 2002
Thum, Gregor, *Uprooted: How Breslau Became Wrocław during the Century of Expulsions*, Princeton University Press, Princeton 2011
Turlejska, Maria, *Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie*, Aneks, Londyn 1989
Urban, Thomas, *Utracone ojczyzny. Wypędzenia Niemców i Polaków w XX wieku*, Czytelnik, Warszawa 2007
Wierzbicki, Marek, *Związek Młodzieży Polskiej i jego członkowie*, Trio, Warszawa 2006
Wilk, Hubert, *Kto wyrąbie więcej ode mnie? Współzawodnictwo pracy robotników w Polsce w latach 1947–1955*, Trio, Warszawa 2011
Zaremba, Marcin, *Wielka Trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Znak, Kraków 2012
Zwierzchowski, Piotr, *Zapomniani bohaterowie. O bohaterach filmowych polskiego socrealizmu*, Trio, Warszawa 2000

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROK 1956 I ROZWÓJ KOMUNIZMU NARODOWEGO

Pod koniec lat czterdziestych, podczas walk o władzę w PPR, Bolesław Bierut zarzucił Władysławowi Gomułce „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne". Przykro sięgać do słownika stalinizmu, ale owo oskarżenie nie było w pełni bezzasadne. Choć Gomułka bez wątpienia zaliczał się do grona wiernych i oddanych komunistów, zdecydowanie różnił się od Bieruta. Był komunistą narodowym, wyznawał specyficzną mozaikę poglądów, zapożyczonych z różnych źródeł. Znalazło to odzwierciedlenie w polityce, którą prowadził po 1956 roku, gdy ponownie był u władzy. Niezaprzeczalnie wywodził się z europejskiej lewicy, zapominamy jednak, że inspirował go również prawicowy nacjonalizm. Działacze endecji, PPS i KPP z początków XX wieku z pewnością czuliby odrazę do PZPR (z różnych powodów) – a tymczasem Gomułka pożyczał pomysły od nich wszystkich. To istotny fakt. System zbudowany przez Gomułkę zawiódł. Klęska ta zdaniem wielu osób dyskredytowała socjalizm jako taki. Może ta opinia jest słuszna, ale wady PRL nie wynikały tylko z obowiązującej wówczas ideologii socjalistycznej. Równie dużą winę trzeba przypisać nacjonalizmowi. Według mnie powstał bowiem nowy, specyficzny ustrój: komunizm narodowy.

Józef Stalin umarł 5 marca 1953 roku. Nawet najstraszliwszy tyran nic nie zdziała w pojedynkę i potrzebuje pomocników, ale też oni nie poradzą sobie bez niego, więc śmierć dyktatora wywołała wstrząs w całym imperium. Już po kilku miesiącach doszło do protestów społecznych w Czechosłowacji i NRD. Zostały one szybko i brutalnie stłumione, lecz niezadowolenie, dotąd ukryte, wyszło na jaw. Przywódcy partyjni w całym bloku wschodnim zaczęli toczyć walki o władzę w przekonaniu, że polityków namaszczonych przez Stalina da się teraz usunąć ze stanowisk. Na pozór, gdy zabrakło wodza, pewne rzeczy stały się nagle „do pomyślenia". W rzeczywistości mechanizmy sprawowania władzy niewiele się zmieniły, ale Stalin odgrywał tak istotną rolę symboliczną, że jego śmierć miała ostatecznie doniosłe skutki instytucjonalne i polityczne.

W Polsce z początku sprawy toczyły się po cichu, a frakcja reformatorów w PZPR krzepła powoli. Aby zrozumieć, co wydarzyło się później, potrzebujemy krótkiego przeglądu struktur władzy w PRL. Mniej więcej raz na pięć lat odbywał się ogólnokrajowy Zjazd PZPR. Partia wybierała wówczas Komitet Centralny. Liczba jego członków nie została z góry ustalona, lecz zazwyczaj wynosiła około 125 osób. Sprawował on najwyższą władzę w partii i w państwie. Około trzech razy do roku odbywał plenum, podczas którego omawiano ważne kwestie polityczne lub personalne. Codziennym rządzeniem zajmowało się liczące 15–20 osób biuro polityczne. Na jego czele stał pierwszy sekretarz, pełniący de facto funkcję głowy państwa (de iure głową państwa był premier). Działał też

sejm, lecz decyzje zapadały w KC PZPR, pod przywództwem biura politycznego i pierwszego sekretarza. Od założenia partii stanowisko to piastował Bolesław Bierut. Uosabiał on zresztą jedność struktur partyjnych i państwowych, gdyż równolegle sprawował urząd prezydenta, a po jego zniesieniu w 1952 roku – urząd prezesa rady ministrów.

Po śmierci Stalina takie jedynowładztwo nie wchodziło już w grę, zaczęła się bowiem krytyka „kultu jednostki". Bierut pozostał pierwszym sekretarzem, lecz oddał posadę rządową. Był to dopiero początek. Na plenum w listopadzie 1954 roku reformatorzy poczuli się na tyle pewnie, że zaczęli głośno wyrażać niezadowolenie i wymuszać pewne zmiany. Skrytykowali służby bezpieczeństwa za niesłuszne aresztowania i za stosowanie tortur, doprowadzając do reorganizacji i zwolnienia z pracy osób odpowiedzialnych za najpoważniejsze nadużycia. Dziesiątki tysięcy więźniów wyszło na wolność i doczekało się oficjalnej „rehabilitacji". Znalazł się wśród nich stary wróg Bieruta, Władysław Gomułka. Fala samokrytyki objęła nawet pierwszego sekretarza, który potępił własny „brak kolegialności".

Dokonywały się zatem pewne przemiany, gdy nagle na skutek wydarzeń w ZSRR wszystko gwałtownie przyspieszyło. W lutym 1956 roku odbył się XX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Jej sekretarz generalny Nikita Chruszczow wygłosił wówczas przemówienie, w którym otwarcie napiętnował zbrodnie Stalina. Od tego momentu reformy stały się nie do zatrzymania. Bierut pojął, co się święci. Kilka dni po przemówieniu Chruszczowa zachorował i umarł. Krążyły

odtąd pogłoski, że został otruty. Jak było naprawdę, to w sumie nieistotne. W bloku wschodnim stalinistów i tak odsuwano od władzy. PZPR powierzyła stanowisko pierwszego sekretarza Edwardowi Ochabowi, którego nie kojarzono ani ze starą gwardią, ani z reformatorami.

Zmiany nie ograniczyły się do rozgrywek na szczytach władzy, zwłaszcza kiedy przetłumaczony referat Chruszczowa trafił do szerokiej publiczności. Słowa radzieckiego przywódcy były przeznaczone wyłącznie dla najwyższych funkcjonariuszy partyjnych (dlatego właśnie mówi się o „tajnym referacie"), nie dało się ich jednak ukryć przed społeczeństwem. Polska prasa podchwyciła ton, zaczęła demaskować nadużycia i domagać się kolejnych przemian. Ośmieleni tym poznańscy robotnicy zorganizowali w czerwcu 1956 roku demonstrację, protestując przeciwko kolejnej podwyżce norm produkcyjnych. Wkrótce dołączyły do nich dziesiątki tysięcy obywateli o śmielszych ambicjach. Wykrzykiwane i zapisane na transparentach hasła odnosiły się do konkretnych problemów: „Żądamy podwyżki płac", „Precz z normami", „Jesteśmy głodni", „Chcemy chleba". Padały też słowa jawnie antykomunistyczne: „Niech żyje Mikołajczyk", „Precz z bolszewizmem" albo „Precz z Moskalami". Szczególnie wymowne były hasła „Precz z wyzyskiem pracy" i „Precz z czerwoną burżuazją" – oto krytykowano system, odwołując się do jego własnej retoryki[1]. Demonstranci na poznańskich ulicach reprezentowali najróżniejsze poglądy, nie można więc w prosty sposób podsumować ich żądań. Tak czy inaczej, otwarto puszkę Pandory; niezadowolenie dało znać o sobie. Uspokoje-

nie sytuacji wymagało nie lada umiejętności i taktu. Tymczasem PZPR brakowało i jednego, i drugiego.

1 Hasła skandowane i wypisywane na transparentach – zob. Paweł Machcewicz, *Polski Rok 1956*, Wydawnictwo „Mówią Wieki", Warszawa 1993, s. 96–89.

Kakofoniczna harmonia ulicznych głosów (oksymoron jest tu niezbędny) uczyniła sytuację w Poznaniu groźną z punktu widzenia władzy. Strajki i protesty były dotąd sprawnie uśmierzane dzięki obietnicom wzrostu płac albo skorygowania norm produkcyjnych, gdy zaś tylko wracał spokój, wkraczały służby bezpieczeństwa, które znajdowały prowodyrów, zastraszały ich lub zamykały w więzieniach. W 1956 roku ta strategia nie mogła się sprawdzić. Protestujący nie zgłosili dostatecznie konkretnych postulatów, nie wyłonili też przywódców. Późnym rankiem pierwszego dnia zaczęła krążyć pogłoska, że część osób aresztowano. Tłum ruszył na pobliskie więzienie, wypuścił osadzonych i przechwycił broń. Splądrowano biura PZPR, budynek sądu i prokuratury, a także siedziby studiów wojskowych uczelni wyższych. Rząd spanikował i wysłał armię (10 tysięcy żołnierzy i ponad 400 czołgów). Przez kolejne kilka dni rozgrywał się nieubłagany scenariusz: większość ludzi pochowała się po domach, na ulicach została tylko wściekła garstka, która odpowiadała przemocą na przemoc. Ostatecznie zginęło 57 osób: 49 cywilów i 8 żołnierzy. Około 600 osób odniosło rany[2].

2 Wcześniejsze szacunki były wyższe. Obecne szacunki – zob. Łukasz Jastrząb, *Rozstrzelano moje serce w Poznaniu. Poznański czerwiec 1956 r. Straty osobowe i ich analiza*, Comandor, Warszawa 2006.

Premier Józef Cyrankiewicz ogłosił w radiu, że zamieszki w Poznaniu zostały spowodowane przez obce siły:

> Na Poznaniu skupiła się cała uwaga ośrodków imperialistycznych, albowiem chodziło o to, aby Poznań, miasto Międzynarodowych Targów i w okresie targów, uczynić terenem zamieszek. Chyba nie ma nikogo tak naiwnego, aby tego nie wiedział. W takich rzeczach nie ma przypadków. Wróg starał się więc wykorzystywać niezadowolenie części robotników i pracowników Poznania, spowodowane trudnymi warunkami materialnymi ludności pracującej, a zwłaszcza robotników. [...] Krew przelana w Poznaniu obciąża wrogie Polsce ośrodki imperialistyczne i reakcyjne podziemie, które są bezpośrednio sprawcami zajść. Krwawe zajścia w Poznaniu nie powstrzymają jednak ani nie osłabią wysiłków partii i rządu, zmierzających do demokratyzacji naszego życia, do lepszego wykonywania naszych zadań i do rozwoju gospodarki i kultury narodowej w najgłębszej trosce o szybką poprawę warunków życiowych ludności pracującej. [...] Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie[3].

3 Cytat z przemówienia radiowego premiera Józefa Cyrankiewicza. Nagranie – zob. https://youtu.be/kSK5sY13Gv8.

Cyrankiewicz uderzył w dobrze znany ton, ale było coraz bardziej ewidentne, że stara retoryka przestała działać. W lipcu, podczas wizyty w Warszawie, radziecki premier wygłosił typową tyradę: „Niedawne wydarzenia w Poznaniu sprowokowane przez wrogich agentów są nowym potwierdzeniem tego, że reakcja międzynarodowa wciąż jeszcze nie wyrzekła się absurdalnych planów przywrócenia kapitalizmu w krajach socjalistycznych". Jednak kilka dni wcześniej VII plenum Komitetu Centralnego przyjęło zupełnie inne podejście. Nawet Cyrankiewicz musiał wykonać woltę (do czego miał nie lada talent) i oznajmił: „Konserwatyzm części naszego aparatu partyjnego i państwowego hamuje proces demokratyzacji. Częściowo konserwatyzm ten wynika z długoletniego nawyku do łatwych na pozór metod «rządzenia» przy pomocy administracyjnego nacisku. [...] Trzeba będzie dużego wysiłku, reedukacji politycznej wielu aktywistów naszej partii, by potrafiła się przestawić w pełni na trudniejsze wprawdzie, ale o ile skuteczniejsze metody polityczne"[4]. Po rekordowych dziewięciu dniach obrad KC przyjął rezolucje dotyczące demokratyzacji życia w fabrykach, większej autonomii dla samorządów lokalnych, wzmocnienia roli parlamentu, otwartości w życiu politycznym i wsłuchiwania się w oddolną krytykę oraz ściślejszego przestrzegania prawa przez sprawujących władzę.

4 Cyt. za: Jakub Karpiński, *Wykres gorączki. Polska pod rządami komunistycznymi*, Wydawnictwo Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2001, s. 86–87.

Historycy często traktują wydarzenia tamtego lata jako wstęp do polskiego Października 1956 roku. Jesienią faktycz-

nie działy się różne dramaty. Rzeczywistość dostarczała znakomitego materiału fotoreporterom, wygłaszano porywające mowy, lecz najważniejsze zmiany dokonały się już wcześniej. Jeśli brać pod uwagę skutki, a nie podniecenie chwili, Październik okazuje się raczej końcówką poststalinowskich reform. System powstały po 1956 roku wyraźnie różnił się od tego, który próbowali budować Bierut i inni, jednak rozbudzone w latach 1953–1956 nadzieje się nie spełniły. Polski Październik oznaczał zwycięstwo koncepcji, o którą mało kto wówczas walczył, a mianowicie koncepcji komunizmu narodowego.

19 października 1956 roku rozpoczęło się VIII plenum KC PZPR. Zamierzano wybrać Władysława Gomułkę na stanowisko pierwszego sekretarza (Edward Ochab piastował je niespełna rok). Zaniepokojony planami polskich towarzyszy Nikita Chruszczow przyleciał bez zapowiedzi do Warszawy. Co gorsza, krążyły pogłoski, że radzieckie wojska stacjonujące w Polsce ruszyły w kierunku stolicy. Od poprzedniego plenum, zwołanego w lipcu, rozpadlina między radzieckimi a polskimi komunistami mocno się pogłębiła. Polacy chcieli większej otwartości, natomiast Sowieci nadal stosowali sprawdzoną retorykę obwiniania „wrogich agentów" za wszelkie protesty. Jeszcze przed powrotem Gomułki Ochab poczynił dramatyczne kroki, by zademonstrować niezależność PZPR. We wrześniu udał się z wizytą państwową do Pekinu, bo jak później tłumaczył, był pewien, że „chińscy towarzysze mają wiele zrozumienia dla naszej sytuacji". Po latach utrzymywał, że dzięki interwencji Chińczyków Chruszczow nie

zdecydował się użyć wojska przeciwko Polakom. Nigdy się nie dowiemy, czy to prawda, lecz z pewnością sprytnie zorganizowana przyjacielska wizyta na Dalekim Wschodzie nie uszła uwadze Moskwy[5].

5 Więcej szczegółów – zob. Shen Zhihua, Li Danhui, *Kryzys w Polsce 1956 roku i stosunki polsko-chińskie widziane z Pekinu*, [w:] Jan Rowiński (red.), *Polski Październik 1956 w polityce światowej*, PISM, Warszawa 2006, s. 71–108.

Podczas gdy, jak sądzono, radziecka armia posuwała się ku Warszawie, a KC szykował się do plenum, Ochab i Gomułka odbyli spotkania z nieproszonym gościem z ZSRR. Niektóre jednostki polskiego wojska przygotowywały się, by odeprzeć ewentualny atak Sowietów. Na temat przebiegu wydarzeń istnieje wiele relacji; w każdym razie ostatecznie Chruszczow odleciał do Moskwy i pozwolił PZPR, by zajęła się sytuacją. Armia Radziecka wróciła do swoich baz, Gomułka został wybrany na pierwszego sekretarza. Nazajutrz, kiedy przemawiał w Warszawie przed tłumem setek tysięcy zwolenników, panował radosny nastrój. Pierwsze słowa Gomułki byłyby nie do pomyślenia ledwie kilka miesięcy wcześniej:

> W ciągu ubiegłych lat nagromadziło się w życiu Polski wiele zła, nieprawości i bolesnych rozczarowań. Idee socjalizmu, przeniknięte duchem wolności człowieka i poszanowania praw obywatela, w praktyce uległy głębokim wypaczeniom. Słowa nie znajdowały pokrycia w rzeczywistości. Ciężki trud klasy robotniczej i całego narodu nie dawał oczekiwanych

> owoców. Wierzę głęboko, że te lata minęły bezpowrotnie w przeszłość. VIII Plenum KC naszej partii dokonało historycznego zwrotu. Stworzyło ono nowy okres naszej pracy, nowy okres w dziejach budownictwa socjalistycznego w Polsce, w dziejach narodu.

Następnie zaapelował o „demokratyzację" i „zbudowanie najlepszego i odpowiadającego potrzebom naszego narodu modelu socjalizmu". Co istotne, oznajmił, że „każdy kraj winien posiadać pełną niezależność i samodzielność, a prawo każdego narodu do suwerennego rządzenia w niepodległym kraju winno być w pełni i nawzajem szanowane. [...] Wszystkie konkretne sprawy, dotyczące naszych wewnętrznych spraw, zostaną rozwiązane zgodnie ze stanowiskiem partii i rządu"[6]. To ostatnie nigdy się nie spełniło. Inwazji wojsk radzieckich uniknięto najpewniej tylko dlatego, że Chruszczow uznał, iż Gomułka nie osłabi powiązań między Polską a ZSRR. Przywódca z Kremla, podobnie jak wcześniej Stalin, dbał o swą strefę wpływów. Owszem, istniało pewne pole do kompromisów – na przykład w kwestii konkretnych rozwiązań ustrojowych w poszczególnych krajach – ale zdecydowanie niedopuszczalne było ustanowienie otwartej sfery publicznej, w której narodziłby się opór wobec sojuszu z ZSRR. „Demokratyzacja" zapowiadana przez Gomułkę nie mogła obejmować takiej opcji.

---

6 Pełna treść przemówienia – zob. https://bit.ly/3lkobqH. Nagranie – https://youtu.be/2oLQpTGcPms.

Zaledwie kilka dni później cierpliwość Chruszczowa znów została poddana próbie, kiedy wybuchły protesty na Węgrzech. Pierwsza demonstracja zaczęła się pod budapeszteńskim pomnikiem Józefa Bema, dziewiętnastowiecznego polskiego oficera, który walczył po stronie Węgrów podczas powstania przeciwko Habsburgom w 1848 roku. Symbolizował przyjaźń obu narodów, pod pomnikiem szczególnie dobrze brzmiały więc hasła w rodzaju: „*Lengyelország példát mutat, kövessük a magyar utat!*" – „Idąc za polskim przykładem, podążajmy węgierską drogą". Niestety, owego przykładu nie przeanalizowano dostatecznie uważnie. Imre Nagy, węgierski odpowiednik Gomułki, ogłosił, że zamierza wyjść z radzieckiej strefy wpływów i ogłosić neutralność kraju w zimnej wojnie. W odpowiedzi radzieckie wojsko brutalnie stłumiło powstanie, a Nagy w procesie pokazowym został skazany na śmierć i stracony. Natomiast Gomułka rządził Polską przez następne czternaście lat.

Odwilż Gomułki

Władysław Gomułka ukuł swe najważniejsze hasło we wczesnych latach kariery politycznej. Brzmiało ono: „polska droga do socjalizmu". W 1956 roku Gomułkę wyniosły do władzy dwa potężne nurty, które spotkały się na chwilę, w sprzeciwie wobec systemu stalinowskiego. Socjaliści o demokratycznym nastawieniu krytykowali ustrój utworzony po wojnie, bo naruszał on prawa człowieka i obywatela. Natomiast nacjonali-

stom nie podobała się kosmopolityczna retoryka PZPR i podległość wobec Związku Radzieckiego. Jedni i drudzy przez krótki czas widzieli w Gomułce zbawcę, jedni i drudzy się ostatecznie rozczarowali, niemniej ich zaskakujący sojusz utworzył podwaliny nowego ustroju.

Nie ulegało wątpliwości, że staliniści ponieśli sromotną klęskę. Najważniejsze elementy systemu stalinowskiego odrzucono raz na zawsze. Historycy często określają to mianem „odwilży" po stalinowskiej „zimie", aczkolwiek owa metafora jest nieco myląca. Przeciwników politycznych zwalczano odtąd za pomocą bardziej subtelnych metod, skończyły się masowe aresztowania i procesy pokazowe. Zdarzały się akty gwałtownej przemocy wobec opozycji, ale były one wyjątkiem, a nie regułą funkcjonowania PRL. Osoby krytykujące PZPR straszono zazwyczaj wyciągnięciem rozmaitych bliżej nieokreślonych konsekwencji. Jeśli to nie działało, krnąbrnych wyrzucano z pracy albo nie przyznawano im upragnionego mieszkania. Władza decydowała się na areszt, dopiero kiedy zawiodły inne metody, przy czym wykorzystanie tego środka represji stało się względnie rzadkie. Dysydentom z PRL nie brakowało odwagi, a ich wyrzeczenia zasługują na nasz podziw, jednak znaczna większość Polaków w ogóle nie dostrzegała żadnych protestów ani żadnych reakcji ze strony władz. Wszechogarniający system nadzoru nie rozwinął się w Polsce tak bardzo jak na przykład w NRD. Ogromne rzesze ludzi spoza kręgów elity kulturalnej i intelektualnej żyły sobie spokojnie, bez jakichkolwiek kontaktów ze służbami bezpieczeństwa.

PZPR nadal promowała ateizm, ale pozwolono działać Kościołowi katolickiemu (przy pewnych ograniczeniach). Zaraz po objęciu władzy Gomułka uwolnił prymasa Wyszyńskiego oraz innych biskupów i księży więzionych przez stalinistów. Po roku 1956, mimo incydentalnych starć z władzą, Kościół w ogromnym stopniu rozszerzył swoje wpływy. Przywódcy partyjni nigdy nie zaliczali swobód religijnych do praw podstawowych, toteż nękanie księży było na porządku dziennym. Osoba szczególnie gorliwa w kwestiach wiary nie miała szans na najwyższe stanowiska w rządzie ani w przemyśle, mimo to nadal działał Katolicki Uniwersytet Lubelski, jedyna niezależna (choć ściśle kontrolowana) uczelnia wyższa w całym bloku wschodnim. Państwo nie zawsze uznawało dyplomy absolwentów, lecz samo istnienie KUL było ewenementem. Po Październiku wznowił działalność „Tygodnik Powszechny". Oczywiście musiał spełniać wymogi cenzury, ale pod względem własnościowym i redakcyjnym pozostał niezależny od państwa. To również stanowiło wyjątek w realiach Europy Wschodniej. Kościół i partia stały co prawda po przeciwnych stronach, ale milcząco tolerowały nawzajem swe istnienie.

Cenzura nadal obowiązywała, choć obchodziła się teraz z twórcami znacznie łagodniej. Pewne tematy pozostały tabu – w tym otwarta krytyka PZPR i komunizmu – ale prasa zyskała więcej swobody niż w innych krajach bloku wschodniego. Niektóre polskie czasopisma były nawet nieformalnie zakazane w ZSRR – to znaczy teoretycznie były dozwolone, ale praktycznie niedostępne. Państwa sąsiadujące z Polską uważały ją za okno na świat. Uczeni mogli sobie pozwolić na dużo,

dopóki ich prace wychodziły w niskich nakładach. Po 1956 roku cenzorzy zajmowali się przede wszystkim wyciszaniem i ukrywaniem pewnych drażliwych tematów. Rzadko kiedy zmuszano ludzi, by pisali cokolwiek wbrew swemu sumieniu (aczkolwiek cenzura miała prawo dokonywać skreśleń i poprawek).

Liberalizacja mocno dała o sobie znać w świecie sztuki. Socrealistyczne wymogi przestały obowiązywać. Malarze, poeci, filmowcy i kompozytorzy cieszyli się większą niż wcześniej swobodą twórczą. Kino weszło w złoty wiek, plastycy zyskali światową sławę, muzycy eksperymentowali ze stylami i gatunkami zakazanymi w innych częściach bloku wschodniego. Andrzej Wajda i Krzysztof Kieślowski zwrócili na siebie uwagę kinomanów z całego świata. Polscy widzowie chłonęli najróżniejsze zagraniczne filmy, od artystycznych produkcji po hollywoodzkie przeboje. Oczywiście dzieła krytyczne wobec ZSRR lub nadmiernie entuzjastyczne wobec amerykańskiego kapitalizmu były zakazane, lecz i tak pozostawało spore pole manewru. Również telewizja, którą oglądano w coraz większej liczbie gospodarstw domowych, zapewniała dostęp do zachodniej kultury.

Po 1956 roku nastąpiło także otwarcie świata muzycznego. Festiwal Warszawska Jesień prezentował najnowsze utwory słynnych kompozytorów, przyjeżdżali wybitni wykonawcy. Pierwszą edycję zorganizowano kilka tygodni przed objęciem władzy przez Gomułkę. Wkrótce Warszawska Jesień zyskała poczesne miejsce w międzynarodowym kalendarzu wydarzeń muzyki współczesnej. Nastąpił też rozkwit w dziedzinie jazzu.

W 1958 roku odbył się pierwszy festiwal Jazz Jamboree. Od 1965 roku muzycy występowali w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki, a więc tam, gdzie urządzane były Zjazdy PZPR. Na przestrzeni lat do Warszawy przyjechali wszyscy najważniejsi jazzmani: Duke Ellington, Miles Davis, Thelonious Monk, Dizzy Gillespie, Ray Charles i wielu innych. Popularne gatunki, na przykład rock i pop, nigdy nie cieszyły się takim wsparciem państwa, jak muzyka klasyczna czy jazz, aczkolwiek władze przynajmniej nie próbowały z nimi walczyć. W 1965 roku na ekrany kin wszedł film *A Hard Day's Night* z zespołem The Beatles w rolach głównych. Dwa lata później The Rolling Stones zagrali w Sali Kongresowej dwa koncerty po tym, jak nie zgodzono się na występ grupy w Moskwie[7]. Tego typu głośnie i symboliczne wydarzenia miały zresztą mniejszą wagę niż fakt, że dzięki radiu i telewizji zwykli Polacy zyskali na co dzień dostęp do wszelkiego rodzaju muzyki popularnej. Inne państwa komunistyczne próbowały walczyć z „dekadencką zachodnią muzyką", tymczasem w Polsce młodzi ludzie mogli słuchać tych samych hitów co ich rówieśnicy z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Pop i rock grano względnie rzadko, bo prezenterzy próbowali kształtować „dobry gust", zamiast spełniać zachcianki publiczności, toteż w latach sześćdziesiątych niełatwo było trafić w radiu na międzynarodowy przebój. Zmieniło się to jednak już w następnej dekadzie. Poza tym, co istotniejsze, rozwijał się znakomity polski rock, bigbit, rhythm and blues, jazz, a później nawet punk[8]. Piosenkarz Czesław Niemen odnosił sukcesy na zachodnich tournée. Zakup płyty polskich

lub zagranicznych artystów nie był rzeczą prostą z powodów, które jeszcze wyjaśnię, niemniej w późniejszym okresie rozpowszechniły się przegrywane kasety magnetofonowe.

7 *Fakty i mity o warszawskim koncercie The Rolling Stones z 1967 roku*, PolskieRadio.pl (13 kwietnia 2013), https://bit.ly/2JtVZ7e. Zob. także: Daniel Wyszogrodzki, *Satysfakcja. The Rolling Stones*, In Rock, Warszawa 1989; Timothy W. Ryback, *Rock Around the Block: A History of Rock Music in Eastern Europe and the Soviet Union, 1945–1988*, Oxford University Press, Oxford 1990.

8 Zob. Raymond Patton, *Punk Crisis: The Global Punk Rock Revolution*, Oxford University Press, New York 2018; Raymond Patton, *Screamed Poetry: Rock in Poland's Last Decade of Communism*, University of Michigan dissertation, 2011.

The Rolling Stones w Warszawie, 1967 (za zgodą Polskiej Agencji Prasowej)

Kto wychowywał się w Stanach Zjednoczonych podczas zimnej wojny, ten zazwyczaj ma w głowie obraz szarzyzny krajów komunistycznych, pozbawionych dostępu do kultury popularnej i mody. Nic bardziej mylnego. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pojawiły się ilustrowane czasopisma, prezentujące najnowocześniejsze trendy i style życia, dzięki czemu młodzi czytelnicy mogli naśladować swych rówieśników z Zachodu. Różnica, bardzo ważna, polegała głównie na tym, że nie sprowadzano markowych towarów, więc Polacy musieli zadowalać się podróbkami lub produkcją krajową. Istniały jednak wyjątki. W 1972 roku władza zgodziła się, by Coca-Cola otworzyła w Polsce rozlewnię. Rok później dołączyła Pepsi, aczkolwiek dostępność obu drogich napojów pozostała ograniczona. Od 1967 roku produkowano w Polsce fiaty 125p, a w roku 1973 z fabryki w Bielsku-Białej wyjechał pierwszy fiat 126p, zwany pieszczotliwie maluchem, najlepiej sprzedający się model w kraju. Oba modele powstawały na włoskiej licencji, o ile jednak Włosi przestali produkować je w latach siedemdziesiątych, o tyle historia dużego fiata w Polsce zakończyła się dopiero w roku 1991, a malucha w roku 2000. Zachodnie marki stanowiły rzadkość w Polsce i w ogóle w bloku wschodnim, jednak polskie media (i listy od krewnych żyjących za granicą) pozwalały być na bieżąco z zagranicznymi stylami życia i kulturą masową, toteż w miarę dobrze orientowano się w najnowszych trendach rynkowych.

Gomułka ograniczył przemoc ze strony służb bezpieczeństwa, dopuścił większą otwartość w dziedzinie kultury, a ponadto zerwał z polityką rolną swych poprzedników.

Wspominałem wcześniej, że w ZSRR skolektywizowano wszystkie sektory gospodarki, od przemysłu po rolnictwo. PRL nie poszedł tym śladem. Wieś stanowiła twardy orzech do zgryzienia. Na „Ziemiach Odzyskanych" łatwo było zakładać gospodarstwa państwowe – wcześniejszych właścicieli wszak wysiedlono i wszystko tworzono tam od nowa – natomiast w pozostałych częściach kraju sprawy miały się inaczej. Chłopi nie zamierzali się dobrowolnie zrzeszać. Stalin uporał się w swoim czasie z podobnym problemem, inicjując straszliwy program przymusowej kolektywizacji. Bierut i jego towarzysze nie sięgnęli po takie metody – może czuli się za słabi, może nie chcieli powtórzyć strasznego doświadczenia z ZSRR. Nie powstała odpowiednia infrastruktura, nie zastosowano siły wobec nieprzychylnych chłopów. Kiedy Gomułka objął władzę, 90 procent gospodarstw rolnych pozostawało w rękach prywatnych. Odsetek ten był wyższy nawet niż przed drugą wojną światową z powodu redystrybucji ziemi odebranej obszarnikom. I tak już zostało, bo Gomułka zatrzymał kolektywizację. Ściśle rzecz biorąc, nigdy z niej oficjalnie nie zrezygnował, ale po prostu uznał, że nie ma środków ani dostatecznie silnego mandatu, by ją przeprowadzić.

Autor i jego maluch, 1986

Polskie rolnictwo znalazło się więc w osobliwym położeniu, niespotykanym ani w krajach bloku wschodniego, ani w ogóle w świecie uprzemysłowionym. Na Zachodzie, gdzie rynkowa logika konsolidacji prowadziła do stopniowego przejmowania rodzinnych farm przez wielkie agrobiznesy, próbowano hamować ten proces, dofinansowując drobne gospodarstwa. Tymczasem komuniści próbowali doprowadzić do konsolidacji, tyle że za pomocą innych metod i w innym celu, a ostatecznie ponieśli klęskę, więc – ogólnie rzecz biorąc – została zachowana dawna struktura: gros chłopów uprawiało maleńkie poletka. Rządzący odstąpili od planów kolektywizacji, bynajmniej jednak nie dlatego, że podobało im się istnienie gospodarki rynkowej na wsi. W rezultacie za-

mknęli rolnikom dostęp do funduszy inwestycyjnych i nigdy nie sporządzili spójnej strategii modernizacji rolnictwa. Miało to opłakane skutki, gdyż tylko państwowe przedsiębiorstwa dostarczały nasiona, nawozy i sprzęt rolniczy, a skup na masową skalę prowadziły wyłącznie państwowe przetwórnie. Rolnikom pozwalano handlować na miejskich targowiskach, ale te nie wystarczały do zaspokojenia potrzeb rozrastającej się szybko populacji miast. Poza tym czarny rynek na niewiele się zdawał hodowcom buraków cukrowych, zbóż czy producentom hurtowym. Chłopi nie mieli ani środków, ani motywacji, by inwestować. Utknęli w martwym punkcie. Byłoby przesadą twierdzić, że nastąpiła stagnacja wsi. Nawet do najbardziej „zacofanych" części kraju dotarły traktory, kombajny, nawozy sztuczne i inne nowoczesne technologie, a rolnictwo pod koniec lat siedemdziesiątych wyglądało zupełnie inaczej niż w latach trzydziestych. Mimo to państwowa polityka rozwoju nie pozwalała stworzyć dobrze prosperującej wiejskiej gospodarki ani zaspokoić rosnącego popytu ze strony mieszkańców miast.

Surowy świat stalinizmu zniknął po roku 1956, a wraz z nim odeszła kultura wyrzeczeń i heroicznych osiągnięć. Kampanie propagandowe wysławiające dzielnych robotników, przedsięwzięcia na gigantyczną skalę realizowane dzięki ochotniczej pracy, nieprawdopodobnie ambitne projekty budowlane – wszystko to szybko stało się przeszłością. W prasie nadal przedstawiano od czasu do czasu sylwetki szczególnie wydajnych robotników, młodzież musiała pracować w czynie społecznym (na przykład pomagać w soboty przy żniwach

w gospodarstwach rolnych), ale pod względem skali i pompatyczności nie dorównywało to minionemu okresowi. Ponadto, w miarę jak znikały widoczne ślady zniszczeń wojennych, słabło przekonanie, że Polacy muszą znosić trudy, by odbudować swój kraj.

Po przejęciu rządów przez Gomułkę nastąpiło ewidentne zerwanie ze stalinizmem. Zarazem dokonała się inna, mniej widoczna zmiana. Przywódcy PRL milcząco zaakceptowali konieczność rozdzielenia (przynajmniej w pewnym stopniu) sfery prywatnej i publicznej, którą to rozdzielność wcześniej próbowano znieść. Zamiarem stalinistów było przeoranie instytucji społecznych i ustanowienie zupełnie nowej relacji jednostka–społeczeństwo. Teraz postanowiono zbudować socjalizm w Polsce takiej, jaka była. Stara retoryka nie wszystka umarła, lecz stawała się coraz bardziej pusta. Z czasem zarówno przywódcy partyjni, jak i dysydenci zaczęli się uskarżać, że Polacy wycofują się w sferę prywatną i wybierają emigrację wewnętrzną. Opcja ta stała się dostępna, gdyż administracja Gomułki narzuciła społeczeństwu zupełnie nową koncepcję komunizmu. Za czasów Bieruta ludzie nie mieliby dokąd się wycofać, Gomułka natomiast zaakceptował istnienie sfery prywatnej, niekoniecznie zasługującej na ochronę prawną, lecz będącej po prostu faktem i tyle. Tej zmiany ideowej nie dało się już cofnąć.

Jednym z trwalszych skutków częściowego przyzwolenia na sferę prywatną była rezygnacja ze znaczących prób przekształcenia ról płci w Polsce. Wcześniejsze kampanie na rzecz emancypacji kobiet nie zostały doprowadzone do końca. Nie-

mniej na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych przed niektórymi kobietami otworzyły się nowe możliwości, na przykład robienia karier w rozmaitych niedostępnych wcześniej zawodach. Ponadto państwo, zawsze skore ingerować w życie obywateli, zajmowało się niekiedy problemami domowymi. Po 1956 roku było o to trudniej. Kwestia zmieniania relacji genderowych w społeczeństwie zeszła na dalszy plan, a pewne osiągnięcia w zakresie równych szans w pracy zostały cofnięte. (Kobietom pozwolono na przykład prowadzić tramwaje, ale nie autobusy, rzekomo dlatego, że te drugie wymagały większej siły fizycznej, a poza tym bardziej trzęsły, co jakoby negatywnie wpływało na układ rozrodczy). Służby bezpieczeństwa odgrywały mniejszą rolę i usunięto z nich najgorliwszych stalinistów, nie chciały więc już interweniować w przypadku konfliktów domowych, z wyjątkiem szczególnie drastycznych sytuacji. Nie były też podejmowane starania, by więcej kobiet zajmowało wysokie stanowiska w administracji i w rządzie. Sytuacja, w której kobieta zarządzałaby grupą mężczyzn, należała do rzadkości. PRL przyznał kobietom proste zadania: rób zakupy, gotuj i opiekuj się dziećmi. Niewiele było w sferze publicznej głosów kontestujących ten stan rzeczy. Zarazem kobiety musiały pracować zawodowo na pełen etat, dźwigały więc podwójny ciężar: wypełniały tradycyjne obowiązki, a poza tym odpowiadały za część dochodów gospodarstwa domowego. Ich los stał się w komunizmie co najmniej równie ciężki jak w systemie kapitalistycznym.

Skoro państwo wycofało się ze sfery prywatnej i rodzinnej, a prasa mogła pisać o zachodniej kulturze popularnej i stylach życia, w Polsce – tak samo jak w reszcie Europy i w Ameryce Północnej – dokonała się rewolucja seksualna. Konserwatyści na Zachodzie często jednym tchem mówili o komunistach i hippisach. W Polsce takie zestawienie budziłoby śmiech. Aparatczycy byli wszak sztywni i nudni. Państwowa propaganda poruszała tematykę seksualności wyłącznie w kontekście kampanii promujących rodzenie dzieci. Od końca lat pięćdziesiątych wiele młodych osób buntowało się przeciwko normom przyzwoitości narzuconym przez pokolenie rodziców. Autorytety kościelne i partyjne reagowały na to konsternacją (w tej kwestii obie zwaśnione instytucje wypowiadały się zgodnym tonem). Narkotyki i pigułka antykoncepcyjna – dwa zasadnicze symbole zachodniej kultury młodzieżowej w XX wieku – były w Polsce trudno dostępne, ale kontrkultura i tak się rozwinęła. Gomułka i jego współpracownicy nie przewidzieli takiego rozwoju wypadków i odnosili się do niego krytycznie. Cóż z tego – państwo ani nie chciało, ani nie mogło mu zapobiec.

„Polska droga" Gomułki

Ówcześni inteligenci zarzucali Gomułce, że jest hipokrytą, który wcale nie dąży do demokratyzacji, że nie ma całościowej wizji, stosuje półśrodki, odpuszcza sobie, ilekroć nie może wygrać (jak w przypadku kolektywizacji, sekularyzacji czy

ograniczenia dostępu do kultury popularnej), a pod pewnymi względami po prostu konserwuje dawny system. Moim zdaniem ta interpretacja jest nietrafna. Wszystkie znaczące reformy przeprowadzone przez Gomułkę brały za punkt wyjścia jego stary slogan „polska droga do socjalizmu". Pierwszy sekretarz akceptował fakt, że społeczeństwo jest, jakie jest, i zamierzał budować nowy ustrój w zastanych uwarunkowaniach. Oznaczało to niechętne przyzwolenie, by dalej istniały Kościół katolicki i rolnictwo chłopskie. Wynikała stąd również apatia w wielu kwestiach kulturowych. Gomułka był komunistą, który nie wahał się wykorzystywać wszelkich dostępnych środków, by osiągać ważne cele, same cele jednak przeformułował. Staliniści uważali, że komunizm to swego rodzaju pakiet, program całościowej transformacji kultury i społeczeństwa, polityki i gospodarki. Natomiast Gomułka przyjmował zawężoną wizję. Skupiał się na wydajności, produktywności i unowocześnianiu. Z uwarunkowaniami społecznymi pogodził się zresztą nie tylko dlatego, że uznał klęskę stalinowskich ambicji. Polskość miała dla niego znaczenie sama w sobie. Ilekroć wypowiadał się w kwestiach kulturowych, bronił swoich staromodnych gustów i przekonań. Był komunistą narodowym par excellence.

Polscy komuniści od czasu drugiej wojny światowej odwoływali się do ideologii nacjonalistycznej, zrywając tym samym z linią poprzedników. PKWN, tymczasowy rząd utworzony w Lublinie w 1944 roku przy wsparciu Związku Radzieckiego, wydał słynny manifest, w którym nie padały żadne wzmianki o socjalizmie czy komunizmie, natomiast słowa „naród"

i „narodowy" pojawiały się w sumie 62 razy. Całość wieńczyło zawołanie: „Niech żyje Polska, Wolna, Silna, Niepodległa, Suwerenna i Demokratyczna!"[9]. Komuniści zdawali sobie sprawę, że nie uważa się ich za prawdziwych Polaków, bo ich partia poparła niepodległość kraju dopiero w 1935 roku, a po władzę sięgnęli dzięki pomocy Sowietów. PPR a później PZPR na każdym kroku podkreślały więc swą polskość. Gdy władze uzasadniały różne swoje rozwiązania polityczne, mówiły raczej o „woli narodu" niż o „sprawiedliwości społecznej". Biało-czerwone flagi widywało się znacznie częściej niż czerwone sztandary. Część stalinistów nie uważała tego jedynie za manewr taktyczny. Podobnie jak Gomułka, podczas wojny z hitlerowskim okupantem stali się zaprzysięgłymi patriotami.

9 Marcin Zaremba, *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce*, Trio, Warszawa 2011, s. 139.

Podkreślali to, deklarując przez lata wrogie nastawienie do Niemców, zwłaszcza że gwarantem przejęcia i utrzymania „Ziem Odzyskanych" był Związek Radziecki. Komuniści posługiwali się antyniemiecką retoryką strachu i okrutnie prześladowali osoby niemieckiego pochodzenia. Czystki etniczne, przeprowadzone na zachodzie kraju pod koniec lat czterdziestych, cieszyły się niemal jednomyślnym poparciem Polaków. Zakrojony na wielką skalę projekt osiedleńczy w tych regionach również przekraczał podziały ideologiczne. Dał nawet możliwość zawarcia niespodziewanego sojuszu z byłymi zwolennikami narodowej demokracji. Endecja jako zorgani-

zowana siła polityczna przestała co prawda istnieć, ale przed wojną cieszyła się wielomilionowym elektoratem, który wszak nie zniknął. Władza pilnie potrzebowała urzędników gotowych tworzyć od zera instytucje państwowe na „Ziemiach Odzyskanych", a nacjonaliści okazali się użytecznym rezerwuarem[10].

10 Zob. David Curp, *A Clean Sweep? The Politics of Ethnic Cleansing in Western Poland, 1945–1960*, University of Rochester Press, Rochester 2006.

Władze PRL pomogły też utworzyć PAX, organizację katolicko-narodową, współpracującą z komunistami. Pomysłodawcą był Bolesław Piasecki, w latach trzydziestych ważny działacz skrajnie nacjonalistycznego, antydemokratycznego i antysemickiego Obozu Narodowo-Radykalnego. Po wojnie przeszedł na drugą stronę, uznał bowiem, że komuniści realizują bliskie mu cele: jednoczą kraj pod autorytarną władzą, dokonują ekspansji na zachód (nieważne, że kosztem Kresów), a przede wszystkim oczyszczają Polskę z „obcych" – Żydów, Niemców czy Ukraińców. Co prawda drażnił go państwowy ateizm, ale uznał, że może zbudować most między Kościołem i partią. PAX nigdy nie stał się dużą organizacją, bo prymas Wyszyński uznał, że nie potrzebuje pośrednika w negocjacjach z rządem, i nie ufał Piaseckiemu. Mimo to komuniści dowiedli, że są gotowi współdziałać nawet z dawnymi członkami skrajnej prawicy[11].

11 Więcej na temat tej niezwykłej historii – zob. Mikołaj Kunicki, *Between the Brown and the Red: Nationalism, Catholicism, and Communism in Twentieth-Century Poland*, Ohio University Press, Athens 2012. Piasecki był zapewne cynikiem i oportunistą, ale PAX zapewnił schronienie grupie katolików, która szczerze pra-

gnęła rekoncyliacji z lewicą. Zob. Piotr Kosicki, *Catholics on the Barricades: Poland, France, and „Revolution" 1939–1956*, Yale University Press, New Haven 2017.

W okresie stalinowskim nacjonalizm był ledwie maskowany. PZPR posługiwała się nim taktycznie, równoważąc go żarliwymi apelami o międzynarodową solidarność klasową. Walki o władzę w połowie lat pięćdziesiątych wzmocniły ideologię narodową, często w szokująco wstrętnym wydaniu. Wielu stalinistom w PZPR wytykano żydowskie pochodzenie, a zwolennicy powrotu Gomułki w 1956 roku domagali się ograniczenia liczby Żydów w przywództwie partii. Jest godne uwagi i zaskakujące, że komuniści wysokiego szczebla postrzegali świat w kategoriach etnicznych.

Kilka tygodni po dojściu Gomułki do władzy, podczas radzieckiej interwencji zbrojnej na Węgrzech, regionalni i lokalni urzędnicy PZPR otrzymali okólnik stwierdzający, że: „Pierwszym i naczelnym obowiązkiem rządu polskiego i naszej partii, świętym obowiązkiem każdego Polaka i całego społeczeństwa jest troska o nasze państwo, o nasz naród"[12]. Nie o proletariat, nie o ubogich – o naród. W nadchodzących latach Gomułka zaprzeczał czasem, jakoby był komunistą „narodowym" (w kręgach partyjnych uchodziło to za inwektywę), lecz jego słowa i decyzje świadczą o czymś przeciwnym. Bez wątpienia wierzył w komunizm, ale pozostawał też nacjonalistą. Obie ideologie występowały przeciwko elitom: w pierwszym przypadku przeciwko kapitalistycznej finansjerze i księżom, w drugim przeciwko lewicowym intelektualistom. Przywództwo PZPR po 1956 roku gardziło wszystkimi tymi grupami z powodu ich kosmopolityzmu i uprzywilejo-

wania, a także z powodu ich rzekomego niezrozumienia problemów *polskiego* ludu pracującego. Słowem, partia sprzęgła resentyment klasowy z polityką tożsamości. Często widywało się hasła typu: „Partia z Narodem, Naród z Partią" albo „Niech żyje Partia – budowniczy lepszego życia naszego Narodu!". Skoro Partia i naród stanowiły jedność, wrogowie klasowi stali się wrogami Polski. Antysemityzm od dawna opierał się na dwóch mitach: żydowskiego komunisty i żydowskiego kapitalisty. Gomułka musiał więc jedynie ożywić mit numer dwa i zagłuszyć mit numer jeden.

12 Cyt. za: Marcin Zaremba, *Komunizm*, dz. cyt., s. 249.

Nic nie ilustruje nacjonalistycznego zwrotu w PZPR równie dobrze jak wydarzenia lat 1966–1968. Na początku lat sześćdziesiątych Kościół zaczął się szykować do hucznych obchodów tysiąclecia chrztu Mieszka I. Gomułka nie chciał pozwolić, by Wyszyński powiązał historię Polski z historią katolicyzmu, sam zaplanował więc uczczenie milenium – tyle że milenium państwowości. Był to osobliwy pomysł, choćby dlatego, że Mieszko stawał się władcą Polan, a skoro tak, jakaś struktura polityczna musiała istnieć już przed 966 rokiem. Jednak prawda historyczna czy zdrowy rozsądek rzadko kiedy mają znaczenie dla polityki pamięci, pierwszy sekretarz wykonał więc zdumiewającą retoryczną woltę i de facto ogłosił, że Partia jest spadkobierczynią królów i szlachty, a wśród największych osiągnięć PRL wymienił utworzenie państwa polskiego pierwszy raz w dziejach jednolitego pod względem kulturowym, religijnym i językowym. Lubił też podkreślać, że

granice PRL przebiegały podobnie jak granice kraju Mieszka. Oto więc komunistyczny przywódca odwoływał się do duchowej więzi z monarchami i szlachcicami. Było jasne, że Gomułka odszedł daleko od Marksa czy innych ojców i matek socjalizmu.

Prawdziwe oblicze PZPR ukazało się przy okazji ważnego wydarzenia w okresie przygotowań do spornych obchodów. Polski episkopat, pod wpływem radykalnych zmian na soborze watykańskim II, wystosował zaproszenia na rocznicę chrztu Mieszka do biskupów z całego świata. Większość dokumentów miała standardową treść, ale w liście do biskupów niemieckich znalazł się taki oto zdumiewający fragment:

> I mimo tego wszystkiego, mimo sytuacji obciążonej niemal beznadziejnie przeszłością, właśnie w tej sytuacji, czcigodni Bracia, wołamy do Was: próbujmy zapomnieć. Żadnej polemiki, żadnej dalszej zimnej wojny, ale początek dialogu, do jakiego dziś dąży wszędzie Sobór i Papież Paweł VI. [...] I prosimy Was, abyście przekazali nasze pozdrowienia i wyrazy wdzięczności niemieckim Braciom Ewangelikom, którzy wraz z Wami i z nami trudzą się nad znalezieniem rozwiązania naszych trudności. W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do Was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie[13].

13 *Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich braci w chrystusowym urzędzie pasterskim*, Rzym, 18 listopada 1965, [w:] *Listy pasterskie Episkopatu Polski, 1945–1974*, Éditions du Dialogue, Paris 1975, s. 829–836.

Kilka lat później w dokumencie zawierającym pomoce homiletyczne dla księży archidiecezja warszawska przypomniała o liście z 1966 roku:

> Obserwujemy, jak w wielu dziedzinach życia społecznego szerzy się nienawiść, niezgoda i brak zaufania do człowieka. Nienawiść obejmuje całe narody i grupy społeczne. Jest to postawa a-chrześcijańska. Każda nienawiść rodzi przeważnie nową nienawiść, a każda zemsta – nową zemstę. By nienawiść i zło nieustannie się nie potęgowało, ktoś pierwszy musi przerwać ten tragiczny łańcuch wzajemnych krzywd i zniewag[14].

14 *Pomoce homiletyczne na rok 1975/76*, Archiwum Archidiecezjalne Warszawskie, sygn. 32.12, teka T. I, 32, s. 19.

Jak głosi powiedzenie, żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie. PZPR natychmiast wykorzystała okazję, by oskarżyć biskupów o szarganie bolesnej pamięci narodu i o niezrozumienie dla uczuć Polaków. W jednej z partyjnych gazet pisano:

> Nie pytamy, czy Jego Ekscelencja zapomniał o Oświęcimiu, w którym m.in. ginęli tysiącami kapłani polscy z rąk oprawców niemieckich, czy Jego Ekscelen-

> cja zapomniał wysiedlone dzieci z Zamościa i koszmarne warunki tego wysiedlenia, jak również inne bestialskie sposoby biologicznego wyniszczenia. Tego zapomnieć nie można. Dlatego stwierdzamy, że obraża nasze poczucia narodowe samowola w redagowaniu „Orędzia", w którym jest m.in. mowa o rzekomej winie Polaków wobec Niemców. Niemcy nie mają nam nic do przebaczania, gdyż bezpośrednia wina za wywołanie II wojny światowej i jej bestialski przebieg spada wyłącznie na imperializm i faszyzm niemiecki[15].

15 Cyt. za: Adam Michnik, *Naganiacze i nieobywatelskie postępki*, „Gazeta Wyborcza", 24 września 2005, https://bit.ly/3ljWduU.

Od zakończenia wojny minęło dopiero dwadzieścia lat, więc Gomułka i jego towarzysze nie mieli trudności z rozbudzeniem nacjonalistycznego gniewu przeciwko biskupom. Tragicznym zrządzeniem losu list, będący najbardziej bodaj wymownym wyrazem uniwersalizmu ze strony polskiego episkopatu, doprowadził do katastrofy wizerunkowej, przynajmniej w krótkim okresie. Natomiast PZPR odsłoniła swą prawdziwą twarz i dowiodła, że jest głosem nacjonalistycznego resentymentu. Kusi, by zinterpretować reakcję komunistów jako cyniczną i populistyczną zagrywkę, jednak jeśli spojrzeć na pisma i wystąpienia działaczy partii w latach sześćdziesiątych, wszystko układa się w spójną całość. Komuniści stali się nacjonalistami, i to najwyraźniej szczerymi.

Dwa lata później sprawy przybrały jeszcze paskudniejszy obrót. Przez całą dekadę w PZPR narastała wrogość wobec Żydów. Aluzyjna krytyka z poprzedniej dekady ustępowała dobrze znanym uprzedzeniom i teoriom spiskowym. W 1967 roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych żywiło przekonanie, że „syjoniści", rzekomo przyjaźnie nastawieni, prowadzą zorganizowane i świetnie skoordynowane działania szkodzące programowi partii. Gomułka potępił „syjonizm" na kongresie związków zawodowych w 1967 roku. Posługuję się cudzysłowem, bo tego rodzaju ataki nie miały nic wspólnego z prawdziwym syjonizmem. Gorzki dowcip z tamtych czasów głosił: „Tatusiu, jak się pisze «syjonista»?". „Nie jestem pewien, ale kiedy byłem mały, pisało się przez Ż". Podczas wojny sześciodniowej w 1967 roku blok wschodni opowiedział się po stronie arabskiej, a prasa szumnie krytykowała Izrael. W Polsce sprawy poszły dużo dalej.

Przywództwo PZPR było przede wszystkim zaniepokojone „podwójną lojalnością" Polaków żydowskiego pochodzenia. Świadomie posługuję się tym ostatnim terminem. Od dawna nie istniała już kulturowo odrębna mniejszość żydowska posługująca się językiem jidysz. Działało kilka oficjalnych instytucji w rodzaju Teatru Żydowskiego w Warszawie, lecz stanowiły one raczej kulturowe artefakty utraconego świata. Prawdziwi syjoniści ocalali po wojnie wyjechali, by budować Izrael. Z kolei co bardziej religijni Żydzi udali się na emigrację, bo nie podobał im się państwowy ateizm. Pozostały głównie osoby zasymilowane, często entuzjastycznie nastawione do budowy socjalizmu w Polsce. Nie marzyła im się żydowska wspólnota.

Uważały się za Polki i Polaków (tyle że mających żydowskich przodków), a nie za osobną „mniejszość".

Jednak narodowi komuniści z otoczenia Gomułki doszli do przekonania, że to po prostu Żydzi, a skoro tak, to że nie mogą darzyć Polski pełną lojalnością. Antysemityzm w PZPR narastał co najmniej od dekady, aż wreszcie w pełni dał o sobie znać wiosną 1968 roku po demonstracjach studenckich w Warszawie. Studenci w Polsce, podobnie jak ich rówieśnicy w wielu krajach, coraz śmielej buntowali się przeciwko sytuacji: rok 1968 to wszak słynny czas masowych protestów w Paryżu, Londynie, Chicago, Meksyku i Pradze. Również w PRL obudziły się głosy sprzeciwu, choć ich historia nie jest tak znana na świecie. Na wielu uczelniach odbyły się demonstracje w obronie wolności słowa i wolności zgromadzeń. Najwięcej osób przyciągnęły wydarzenia, które rozpoczęły się 8 marca na Uniwersytecie Warszawskim. Reakcja władz była typowa dla tamtego okresu: przeciwko studentom wysłano milicję i brutalny tłum (byli w nim zarówno tajniacy, jak i chuligani, których zrekrutowano specjalnie na tę okazję). Demonstrantów pobito i zadbano, by wszystko wyglądało jak zamieszki, a nie pokojowy protest. W następstwie tego 2724 osoby zostały aresztowane, a 1616 studentów relegowano z UW. Niemal drugie tyle wydalono w tym samym miesiącu z Politechniki Wrocławskiej.

PZPR w ohydny sposób zareagowała na wydarzenia marcowe. Prasa ogłosiła, że za studenckimi protestami stali „syjoniści". W fabrykach organizowano zebrania, na których pa-

dały postulaty typu: „Oczyścić Partię z syjonistów”[16]. Gomułka w przemówieniu z 19 marca stwierdzał:

> Obecnie znajduje się w naszym kraju określona liczba ludzi, obywateli naszego państwa, którzy nie czują się ani Polakami, ani Żydami. Nie można mieć do nich o to pretensji. Nikt nikomu nie jest w stanie narzucić poczucia narodowości, jeśli go nie posiada. Z racji swych kosmopolitycznych uczuć ludzie tacy powinni jednak unikać dziedzin pracy, w których afirmacja narodowa staje się rzeczą niezbędną. [...] Każdy obywatel określa swoją narodowość wedle własnej świadomości. Korzysta przy tym z równych praw niezależnie od tego, czy się uważa za Polaka, Białorusina czy Żyda. Ale też jednakowo obowiązuje go zasada lojalności wobec kraju, wobec swojej ojczyzny – Polski Ludowej[17].

16 Zob. np. *Warszawa chce spokoju*, „Życie Warszawy”, 12 marca 1968; „Trybuna Ludu”, 13 marca 1968.

17 Przemówienie przedrukowane w: *Stanowisko partii – zgodne z wolą narodu. Przemówienie tow. Władysława Gomułki na spotkaniu z aktywem warszawskim*, „Trybuna Ludu”, 20 marca 1968. Nagranie – zob. https://bit.ly/2VgA6eA.

14 marca Edward Gierek, wschodząca gwiazda Partii na Śląsku, uderzał w podobny ton:

> Należałoby zadać sobie proste pytanie. Kto miał interes w tym, by odciągnąć młodzież od nauki

> i pchnąć ją na drogę awantur? [...] Komu zależało i zależy na tym, żeby przynajmniej osłabić tętno pracy dla Polski Ludowej, zniechęcić do realizacji czynu zjazdowego, siać w społeczeństwie niewiarę w twórcze siły naszego narodu[18]?

18 Edward Gierek, *Klasa robotnicza Śląska i Zagłębia twórczą pracą służy socjalistycznej Ojczyźnie*, „Trybuna Robotnicza", 15 marca 1968.

W następstwie antysemickiej kampanii z 1968 roku osoby żydowskiego pochodzenia zwalniano z pracy i potępiano na zebraniach partyjnych. Były też anonimowe pogróżki. Między marcem i majem 438 wysokiej rangi urzędników państwowych straciło stanowiska z powodu rzekomych syjonistycznych sympatii. W następnych trzech latach niemal 13 tysięcy Żydów wyemigrowało do Izraela lub Stanów Zjednoczonych[19].

19 Dariusz Stola, *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968*, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2000.

Oburzony tymi wydarzeniami przewodniczący Rady Państwa Edward Ochab złożył dymisję z funkcji rządowych i partyjnych. Przyczyny rezygnacji wyjaśniał w liście: „Jako Polak i komunista protestuję z najgłębszym oburzeniem przeciw hecy antysemickiej organizowanej w Polsce przez różne ciemne siły". Zarzucił PZPR, że dała się omamić byłym endekom i porzuciła socjalistyczne tradycje na rzecz prymitywnego nacjonalizmu[20]. Ochab był współwinny nadużyciom epoki stalinizmu, nie należy więc robić z niego bohatera, wyrażał jednak pogląd wielu szczerych działaczy z lat czterdzie-

stych i pięćdziesiątych, którzy nie akceptowali dokonanego przez Gomułkę zwrotu ku narodowemu komunizmowi. Równie wielkie obrzydzenie czuły osoby popierające protesty studenckie i opowiadające się za bardziej demokratyczną formą socjalizmu. Od tej pory przestały one uważać partię za narzędzie służące szczytnym celom, nawet jeśli wadliwe. W oczach tej grupy PZPR stała się zbieraniną małych tyranów, wciskających społeczeństwu rasizm i resentymenty. Odraza nasiliła się po sierpniu tego samego roku, kiedy polskie wojska wzięły udział w radzieckiej inwazji na Czechosłowację. Pierwszy sekretarz tamtejszej partii Alexander Dubček próbował pozbyć się resztek stalinizmu i wprowadzić, jak to określał, „socjalizm z ludzką twarzą" (czyli bardziej demokratyczny). ZSRR z pomocą Gomułki położył kres czechosłowackim reformom.

20 Ochab ujawnił to w liście do Teresy Torańskiej. Zob. Teresa Torańska, *Oni*, Przedświt, Warszawa 1985, s. 233.

Byłoby nadmiernym uproszczeniem sprowadzić wydarzenia roku 1968 do cynicznego wykorzystania obaw społeczeństwa przez partyjną wierchuszkę. Oczywiście, władza bez wątpienia dokonywała kalkulacji, nie chodziło jednak tylko o odwrócenie uwagi Polaków od postulatów wygłaszanych na studenckich protestach. Dostępne obecnie dokumenty świadczą, że „antysyjonistyczna" retoryka szerzyła się w kręgach PZPR na długo przed 1968 rokiem. Protesty stały się jedynie katalizatorem; za ich sprawą uprzedzenia wyszły na jaw. Błędem byłoby także skupianie się wyłącznie na antysemity-

zmie. Stanowił on zaledwie jeden (choć szczególnie wstrętny) element układanki narodowego komunizmu.

Literatura uzupełniająca

Brzeziecki, Andrzej, *Lekcje historii PRL w rozmowach*, WAB, Warszawa 2009

Brzostek, Błażej, *Za progiem. Codzienność w przestrzeni publicznej Warszawy lat 1955–1970*, Trio, Warszawa 2009

Chłopek, Maciej, *Bikiniarze. Pierwsza polska subkultura*, Żak, Warszawa 2005

Chmielewska, Katarzyna, Grzegorz Wołowiec (red.), *Opowiedzieć PRL*, Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2011

Cichocki, Bartosz, Krzysztof Jóźwiak, *Najważniejsze są kadry. Centralna szkoła partyjna PPR/PZPR*, Trio, Warszawa 2006

Cieśliński, Marek, *Piękniej niż w życiu. Polska Kronika Filmowa 1944–1994*, Trio, Warszawa 2006

Curp, T. David, *A Clean Sweep? The Politics of Ethnic Cleansing in Western Poland, 1945–1960*, University of Rochester Press, Rochester 2006

Dąbek, Krzysztof, *PZPR. Retrospektywny portret własny*, Trio, Warszawa 2006

Dudek, Antoni, *Ślady PeeReLu. Ludzie, wydarzenia, mechanizmy*, Arcana, Warszawa 2000

Eisler, Jerzy, *Polski rok 1968*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2006

Fleming, Michael, *Communism, Nationalism and Ethnicity in Poland, 1944–1950*, Routledge, London 2010

Friszke, Andrzej, *Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL*, Biblioteka „Więzi", Warszawa 2007

Gajewski, Arkadiusz, *Polski film sensacyjno-kryminalny (1960–1980)*, Trio, Warszawa 2008

Gapiński, Bartłomiej, *Sacrum i codzienność. Prośby o modlitwę nadsyłane do Kalwarii Zebrzydowskiej w latach 1965–1979*, Trio, Warszawa 2008

Huener, Jonathan, *Auschwitz, Poland, and the Politics of Commemoration, 1945–1979*, Ohio University Press, Athens 2003

Jastrząb, Łukasz, *Rozstrzelano moje serce w Poznaniu. Poznański czerwiec 1956 r. Straty osobowe i ich analiza*, Comandor, Warszawa 2006
Karpiński, Jakub, *Wykres gorączki. Polska pod rządami komunistycznymi*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2001
Kersten, Krystyna, *Polacy, Żydzi, Komunizm. Anatomia półprawd, 1939–1968*, Nowa, Warszawa 1992
Klich-Kluczewska, Barbara, *Przez dziurkę od klucza. Życie prywatne w Krakowie, 1945–1989*, Trio, Warszawa 2005
Kosicki, Piotr, *Catholics on the Barricades. Poland, France, and „Revolution", 1939–1956*, Yale University Press, New Haven 2018
Kott, Sandrine, Marcin Kula, Thomas Lindenberger (red.), *Socjalizm w życiu powszednim. Dyktatura a społeczeństwo w NRD i PRL*, Trio, Warszawa 2006
Kozieł, Andrzej, *Za chwilę dalszy ciąg programu... Telewizja Polska czterech dekad 1952–1989*, ASPRA-JR, Warszawa 2003
Kunicki, Mikołaj, *Between the Brown and the Red: Nationalism, Catholicism, and Communism in Twentieth-Century Poland*, Ohio University Press, Athens 2012
Kuroń, Jacek, Jacek Żakowski, *PRL dla początkujących*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999
Łętowski, Maciej, *Ruch i koło poselskie Znak, 1957–1976*, Unia, Katowice 1998
Machcewicz, Paweł, *Polski Rok 1956*, Wydawnictwo „Mówią wieki", Warszawa 1993
Madej, Krzysztof, *Spółdzielczość mieszkaniowa. Władze PRL wobec niezależnej inicjatywy społecznej (1961–1965)*, Trio, Warszawa 2003
Magierska, Anna, *Dylematy historii PRL*, Elipsa, Warszawa 1995
Mazur, Mariusz, *Propagandowy obraz świata. Polityczne kampanie prasowe w PRL 1956–1980*, Trio, Warszawa 2003
Meng, Michael, *Shattered Spaces: Encountering Jewish Ruins in Postwar Germany and Poland*, Harvard University Press, Cambridge 2011
Miernik, Grzegorz (red.), *Polacy wobec PRL. Strategie przystosowawcze*, Kieleckie Towarzystwo Naukowe, Kielce 2003
Paczkowski, Andrzej, *Pół wieku dziejów Polski, 1939–1989*, Polskie Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1995

Patton, Raymond, *Screamed Poetry: Rock in Poland's Last Decade of Communism*, University of Michigan dissertation, 2011

Pawlicki, Aleksander, *Kompletna szarość. Cenzura w latach 1965–1972*, Trio, Warszawa 2001

Pelka, Anna, *Teksas-land. Moda młodzieżowa w PRL*, Trio, Warszawa 2007

Pokorna-Ignatowicz, Katarzyna, *Telewizja w systemie politycznym i medialnym PRL*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2003

Polniak, Łukasz, *Patriotyzm wojskowy w PRL w latach 1956–1970*, Trio, Warszawa 2011

Rowiński, Jan, *Polski Październik 1956 w polityce światowej*, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Warszawa 2006

Ryback, Timothy, *Rock around the Bloc: A History of Rock Music in Eastern Europe and the Soviet Union, 1954–1988*, Oxford University Press, Oxford 1990

Sowiński, Paweł, *Wakacje w Polsce Ludowej. Polityka władz i ruch turystyczny (1945–1989)*, Trio, Warszawa 2005

Steinlauf, Michael, *Bondage to the Dead: Poland and the Memory of the Holocaust*, Syracuse University Press, Syracuse 1996

Stobiecki, Rafał, *Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra, ani piękna... ale skomplikowana*, Trio, Warszawa 2007

Stola, Dariusz, *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968*, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2000

Stola, Dariusz, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Instytut Historyczny PAN, Warszawa 2010

Szpak, Ewelina, *Między osiedlem a zagrodą. Życie codzienne mieszkańców PGR-ów*, Trio, Warszawa 2005

Świda-Ziemba, Hanna, *Młodzież PRL. Portrety pokoleń w kontekście historii*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011

Talarczyk-Gubała, Monika, *PRL się śmieje. Polska komedia filmowa lat 1945–1989*, Trio, Warszawa 2007

Taras, Ray, *Ideology in a Socialist State: Poland, 1956–1983*, Cambridge University Press, Cambridge 1984

Tyszka, Krzysztof, *Nacjonalizm w komunizmie. Ideologia narodowa w Związku Radzieckim i Polsce Ludowej*, Wydawnictwo Instytutu Filozofii

i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2004
Verdery, Katherine, *What Was Socialism and What Comes Next?*, Princeton University Press, Princeton 1996
Wawrzyniak, Joanna, *ZBOWID i pamięć drugiej wojny światowej 1949–1969*, Trio, Warszawa 2009
Wiszniewicz, Joanna, *Życie przecięte. Opowieści pokolenia Marca*, Czarne, Wołowiec 2018
Zaremba, Marcin, *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce*, Trio, Warszawa 2001
Zieliński, Przemysław, *Scena rockowa w PRL*, Trio, Warszawa 2005

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

KOMUNIZM I KONSUMPCJONIZM

Gospodarka PRL różniła się od wszystkiego, co znamy. Zarazem jednak panuje powszechne niezrozumienie w kwestii tego, *jak* się różniła i *dlaczego*. Trudno przedrzeć się przez gęstą mgłę ideologii i polityki pamięci. Problem ten pojawia się w przypadku wielu zagadnień dotyczących okresu komunistycznego: nawet osoby pamiętające życie w PRL często postrzegają pierwsze dekady przez pryzmat kryzysu gospodarczego lat osiemdziesiątych. Bierze się stąd teleologiczne przekonanie o nieuchronnym upadku. Może faktycznie klęska systemu musiała nadejść, ale nie możemy zakładać, że było tak od samego początku. Aby rozwikłać rozmaite komplikacje, trzeba najpierw uświadomić sobie, że nie istniała „gospodarka komunistyczna" jako taka. W różnych krajach bloku wschodniego i w różnych okresach sytuacja wyglądała odmiennie. Po 1956 roku zrezygnowano z wielu elementów stalinowskiej gospodarki. Kolejne ważne zmiany nastąpiły później, kiedy zakończył się globalny powojenny boom i nastał okres recesji późnych lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Polska, Węgry i Czechy podążały różnymi ścieżkami, jeszcze inne drogi wybrały Rumunia i Bułgaria (nie wspominając o państwach komunistycznych w Azji, Afryce czy Ameryce Łacińskiej). To, co w ZSRR byłoby niemożliwe, w Polsce

funkcjonowało powszechnie – i vice versa. Rozpatrywanie komunizmu i kapitalizmu w kategoriach abstrakcyjnych ma oczywiście sporą wartość; zamierzam zresztą postępować tak w niniejszym rozdziale. Skoro jednak potrafimy dostrzec odmienność kapitalistycznych państw opiekuńczych Europy Zachodniej od kleptokracji w mniej szczęśliwych zakątkach globu, to powinniśmy też z uwagą śledzić ogromne różnice między państwami komunistycznymi i w każdym z nich na przestrzeni czasu[1].

1 Posługuję się tu terminem „komunizm", choć jest on nieprecyzyjny. Niektórzy wolą mówić o „socjalizmie", „realnym socjalizmie", „kapitalizmie państwowym", „gospodarce nakazowo-rozdzielczej" lub „gospodarce planowanej". Za każdym z tych określeń przemawiają pewne argumenty. Wybrałem słowo „komunizm" po prostu dla wygody; nie należy tego traktować jako komentarza na temat względnych wad i zalet pozostałych terminów.

Przeciętne wynagrodzenie i PKB per capita (skorygowane o inflację; 1960=100)

Inny problem związany z próbą opisania życia gospodarczego w PRL polega na rozstrzygnięciu, co było winą (lub zasługą) samego komunizmu, a co nie. Wiele rzeczy, które się wydarzyły w tamtym okresie, nie miało nic wspólnego z komunizmem, ale raczej z zamożnością Polaków i poziomem rozwoju Polski lub z globalnymi trendami. W porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi lub krajami Europy Zachodniej PRL był dość ubogim państwem. Z kolei w porównaniu z większością krajów Azji, Afryki czy Ameryki Łacińskiej wypadał jako kraj dobrze prosperujący i uprzemysłowiony. Owo położenie między dwoma światami sporo wyjaśnia. Podobnie, globalny kryzys energetyczny i recesja w latach siedemdziesiątych oddziaływały na gospodarkę państw kapitalistycznych i komu-

nistycznych w sposób bardzo luźno związany z charakterystyką ustrojową.

Ocenę sukcesów i porażek PRL należy zacząć na najogólniejszym poziomie. W okresie komunizmu nastąpił znaczący wzrost PKB i wzrost dochodu na osobę, trwający aż do końca lat siedemdziesiątych, kiedy zaczął się poważny kryzys. Nie należy zbyt dosłownie czytać danych statycznych, szczególnie PKB. Obliczenie go dla krajów komunistycznych jest skomplikowane, a wynik – niepewny[2]. Jednak nawet jeśli weźmiemy to pod uwagę, ogólna tendencja jest jasna. Oprócz tego Polska dołączyła do grona wysoko zurbanizowanych i uprzemysłowionych państw europejskich. W 1967 roku dwie trzecie populacji żyło w miastach. Udział sektora rolniczego w sile roboczej spadł z 47 procent w 1950 roku do zaledwie 19 procent w roku 1984[3]. Na wsi nie mieszkali już „zacofani" chłopi jak przed wojną. Między 1960 a 1970 rokiem potroiła się liczba traktorów. Na przestrzeni zaledwie piętnastu lat liczba prywatnych ciągników wzrosła z 146 553 do 737 933 (jak na standardy bloku wschodniego było to wręcz niesamowite). Pod koniec PRL niemal 90 procent sprzętu rolniczego stanowił sprzęt mechaniczny[4]. Oczywiście wciąż trafiały się małe poletka, na których wykorzystywano tylko konie i woły (zwłaszcza w południowej i wschodniej części kraju), lecz takich miejsc ubywało z każdym rokiem. Dawny przedwojenny podział na Polskę A i Polskę B nigdy nie zniknął, ale większość Polski B została zaanektowana przez Związek Radziecki, tymczasem Polska A rozszerzyła się na dawne terytoria niemieckie.

2 Dane na temat PKB na osobę przywoływane w niniejszym rozdziale pochodzą z: Angus Maddison, *Statistics on World Population, GDP, and Per Capita GDP, 1–2008*, http://www.ggdc.net/MADDISON/oriindex.htm; Hans Rosling, *Gapminder*, https://bit.ly/3qcQniI. Badacze nie przyjmują PKB bezpośrednio z danych oficjalnych bloku wschodniego, bo ZSRR do obliczania PKB stosował własną metodologię. Adaptacja tych liczb jest żmudną pracą i wyniki nigdy nie będą stuprocentowo pewne. Zob. Robert Allen, *Farm to Factory: A Reinterpretation of the Soviet Industrial Revolution*, Princeton University Press, Princeton 2003; Oscar Sanchez-Sibony, *Red Globalization: The Political Economy of the Soviet Cold War from Stalin to Khrushchev*, Cambridge University Press, Cambridge 2014. PKB w ogóle jest problematycznym miernikiem; zob. Robert Costanza, Maureen Hart, Stephen Posner, John Talberth, *Beyond GDP: The Need for New Measures of Progress*, Boston University Press, Boston 2009; Lorenzo Fioramonti, *Gross Domestic Problem: The Politics Behind the World's Most Powerful Number*, Zed Books, New York – London 2013. Na temat ogólniejszego problemu z posługiwaniem się takimi danymi statystycznymi zob. Martha Lampland, *False Numbers as Formalizing Practices*, „Social Studies of Science" 2010, t. 40, nr 3, s. 377–404; Cathy O'Neil, *Weapons of Math Destruction: How Big Data Increases Inequality and Threatens Democracy*, Penguin, London 2016.

3 O ile nie wskazano innego źródła, dane w niniejszym rozdziale pochodzą z: *Historia Polski w liczbach*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2003.

4 Jan Pawlak, *Etapy rozwoju motoryzacji rolnictwa w Polsce*, „Problemy Inżynierii Rolniczej" 2015, t. 89, nr 3, s. 10; Atala Pouliquera, *The Structural Modernization of Polish Private Agriculture: The Turning Point in the 1980s*, „Comparative Economic Studies" 1989, t. 31, nr 2, s. 75.

Dokonały się także przemiany społeczne i kulturowe, jakie z reguły towarzyszyły modernizacji w zamożnych państwach kapitalistycznych. Analfabetyzm niemal zlikwidowano, łączny nakład gazet i czasopism wzrósł pięciokrotnie od lat czterdziestych do osiemdziesiątych, nastąpiło upowszechnienie szkolnictwa. W 1960 roku 45 procent dorosłych miało niepełne wykształcenie podstawowe. Odsetek ten regularnie malał i w roku 1980 wyniósł 12,5 procent. Stopa wykształcenia ponadpodstawowego rosła w podobnym tempie, aczkolwiek startowała z niższego pułapu, toteż w omawianym okresie

nastąpił wzrost z niespełna 14 procent do 37 procent. Ludzie stali się zdrowsi: w 1967 roku oczekiwana długość życia w Polsce wynosiła tyle samo co w Stanach Zjednoczonych (później nastąpiła stagnacja, a nawet nieznaczny spadek). Poważnym problemem zaczęły być tak zwane choroby cywilizacyjne, czyli nowotwory i choroby serca, natomiast liczba zgonów spowodowanych chorobami zakaźnymi spadła w szybkim tempie. Polacy spożywali więcej cukru, alkoholu i papierosów. O poprawie stopy życiowej świadczy rozkład wydatków gospodarstw domowych. W II RP większość ludzi musiała wydawać gros pieniędzy na produkty spożywcze, a głód zawsze był realnym zagrożeniem. Tymczasem w PRL dobra i usługi niezbędne do przeżycia pochłaniały mniej niż 40 procent dochodu przeciętnego gospodarstwa domowego[5].

5 *Mały rocznik statystyczny*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1934, s. 142–143; *Historia Polski w liczbach*, dz. cyt., s. 450.

Bez wątpienia znacząco poprawiły się produktywność, dochody i standard życia. Trzeba tu jednak uciec się do porównań: jak Polska radziła sobie względem sąsiednich krajów i względem reszty świata? Czy komunizm pomógł dorównać do peletonu, czy też hamował rozwój? Odpowiedź nie jest tak prosta, jak by się zdawało ideologom po jednej i po drugiej stronie. Jeśli uznać Polskę za kraj nisko rozwinięty, nasuwa się wniosek, że po drugiej wojnie światowej wiodło się tu całkiem dobrze. Na przykład średni PKB per capita w Ameryce Łacińskiej w 1950 roku wynosił 72 procent PKB per capita w Polsce, podczas gdy w 1980 roku było to już zaledwie 59

procent. Afryka także pozostawała w tyle, Azja natomiast rozwijała się w podobnym tempie. Rzecz jasna między poszczególnymi krajami Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji występowały ogromne różnice, z reguły były one jednak mniejsze niż różnice między średnimi wartościami dla całych kontynentów a Polską. Weźmy konkretny przypadek kraju o podobnej wielkości i podobnym stopniu rozwoju: w 1950 roku Chile miało PKB per capita o jedną trzecią większe niż Polska. Dziesięć lat później luka się zmniejszyła do 25 procent, a w 1970 roku do 16 procent. W roku 1978, kiedy PRL osiągnął najwyższy w całych swych dziejach poziom zamożności, polskie PKB było o 21 procent wyższe niż chilijskie.

Przeciętna struktura wydatków gospodarstwa domowego
w wybranych latach XX wieku

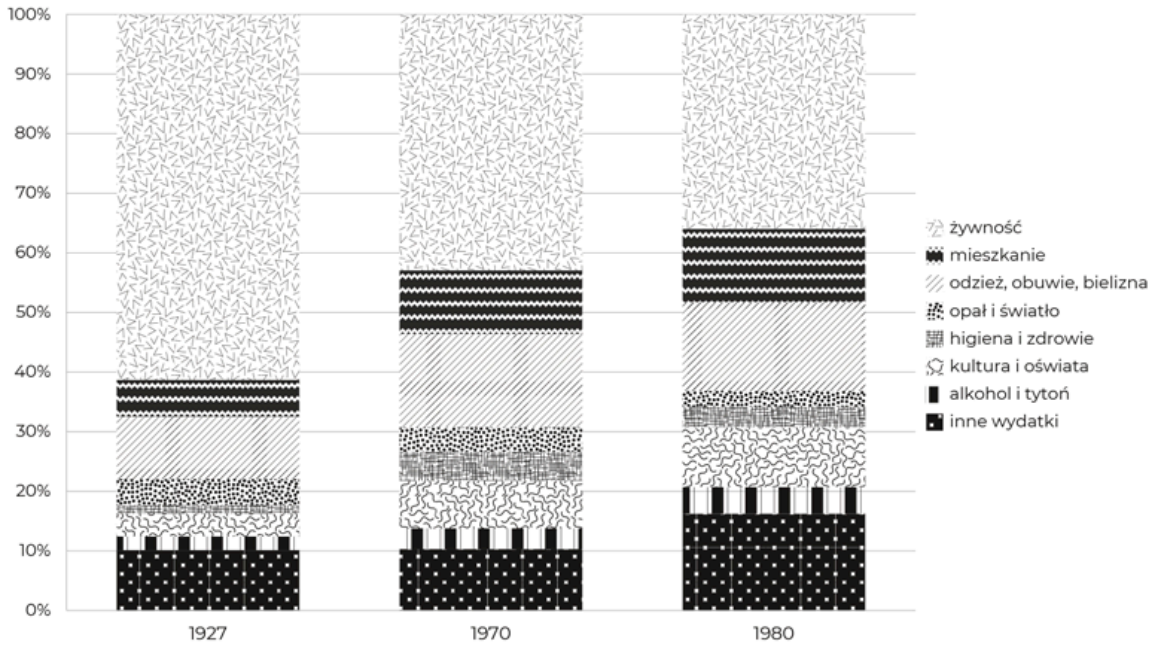

PKB per capita: Polska, Afryka, Ameryka Łacińska i Azja

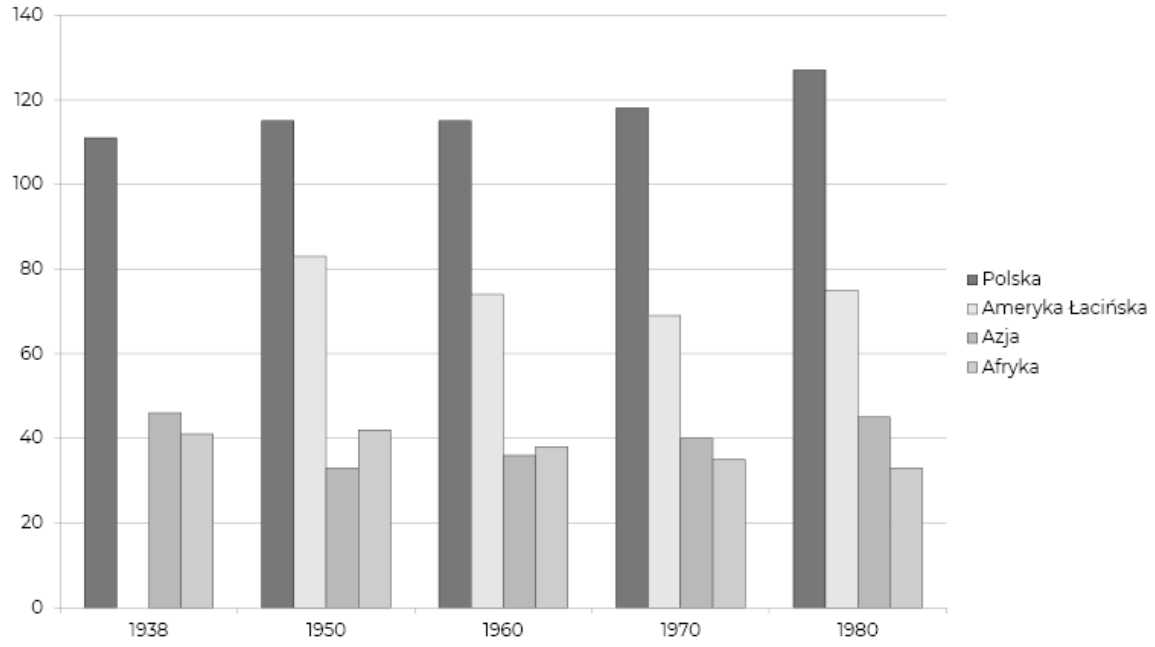

Tyle że Polaków nie obchodziło, jak wygląda ich sytuacja w porównaniu z krajami nierozwiniętymi. Uważali się za Europejczyków i pragnęli luksusów, którymi cieszyli się Niemcy, Francuzi i Brytyjczycy. Musiało to powodować frustrację, bo przez cały XX wiek Polska plasowała się pod względem gospodarczym daleko za tymi krajami. PRL zdołał się zbliżyć do Stanów Zjednoczonych odrobinę bardziej niż II RP, jednak państwa „bogatej Europy" (Austria, Belgia, Dania, Finlandia, Francja, Holandia, Niemcy, Norwegia, Szwajcaria, Szwecja, Wielka Brytania i Włochy) oddalały się, nie licząc krótkiego epizodu w latach siedemdziesiątych. Trendy były wyraźne, a ogólna luka pozostała mniej więcej na tym samym poziomie (różnice dotyczyły pojedynczych punktów procentowych). Najbardziej chyba stosownym punktem odniesienia są inne peryferyjne kraje europejskie, które – podobnie jak Polska –

odgrywały poślednią rolę w globalnej gospodarce. Irlandia, Grecja i Portugalia zdołały po wojnie zmniejszyć dystans względem bogatych sąsiadów, Polska tymczasem nieco do nich straciła.

PKB per capita w Polsce jako odsetek PKB per capita w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej

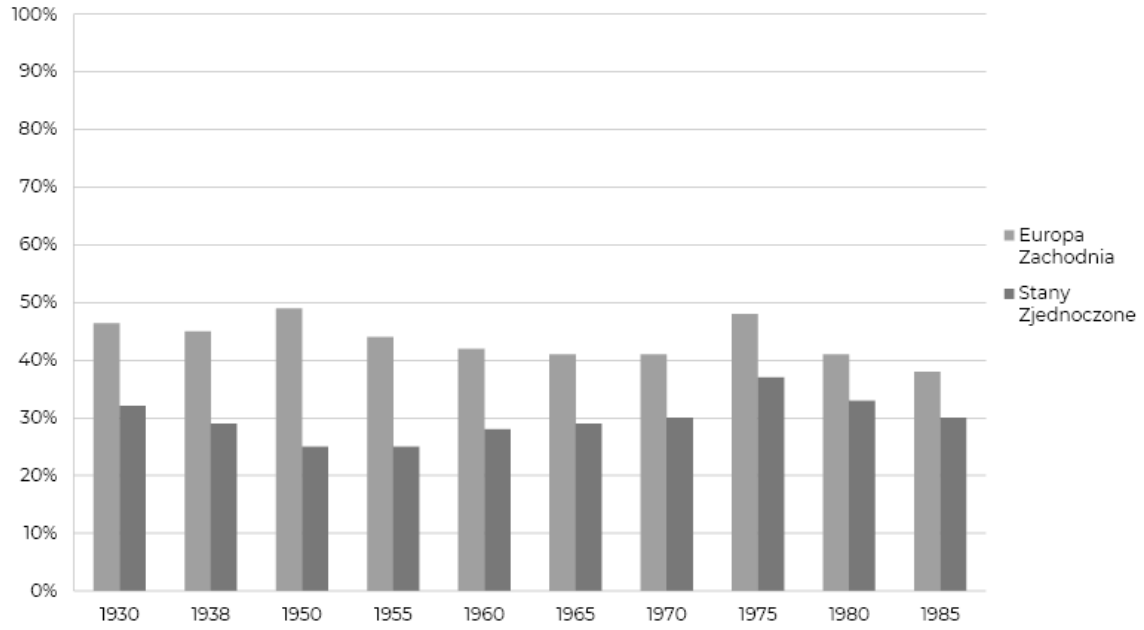

Jakie wnioski powinniśmy wyciągnąć z tych danych? Obawiam się, że niejednoznaczne. Ci, dla których PRL był krajem sukcesu, skupią się na poprawie standardów w porównaniu z państwami słabo rozwiniętymi, a zwłaszcza na ogromnych postępach względem II RP. Z kolei ci, którzy pragną przedstawiać komunizm jako porażkę, będą mówili, że w latach osiemdziesiątych nie udało się utrzymać wzrostu, a południowe i północno-zachodnie peryferie Europy radziły sobie

po wojnie lepiej. W rzeczywistości wszystko było znacznie bardziej skomplikowane za sprawą dziesiątek przygodnych czynników. Przykładowo, w kapitalistycznej Europie dokonywały się zarówno ogromna ekspansja gospodarcza, jak i integracja, toteż uboższe państwa Zachodu zdołały na tym skorzystać. Ponadto procesy te stymulowała pomoc ze Stanów Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej. Tymczasem kraje bloku wschodniego były odcięte od amerykańskich funduszy, a ZSRR nie dorównywał wrogiemu supermocarstwu pod względem szczodrości. Już samo to tłumaczy, skąd brały się różnice między Wschodem a Zachodem, nie do końca zależne od systemów gospodarczych. W ostatecznym rozrachunku wszystko sprowadza się często do sporów o kilka punktów procentowych w jedną lub w drugą stronę. To niezbyt satysfakcjonująca konkluzja, ale lepszej nie będzie. Zagregowane statystyki, jeśli traktować je uczciwie, nie dostarczają użytecznej polemicznej amunicji przydatnej w wychwalaniu lub potępianiu komunizmu.

PKB per capita w wybranych krajach „biedniejszej Europy” jako odsetek PKB per capita w „Europie bogatszej”

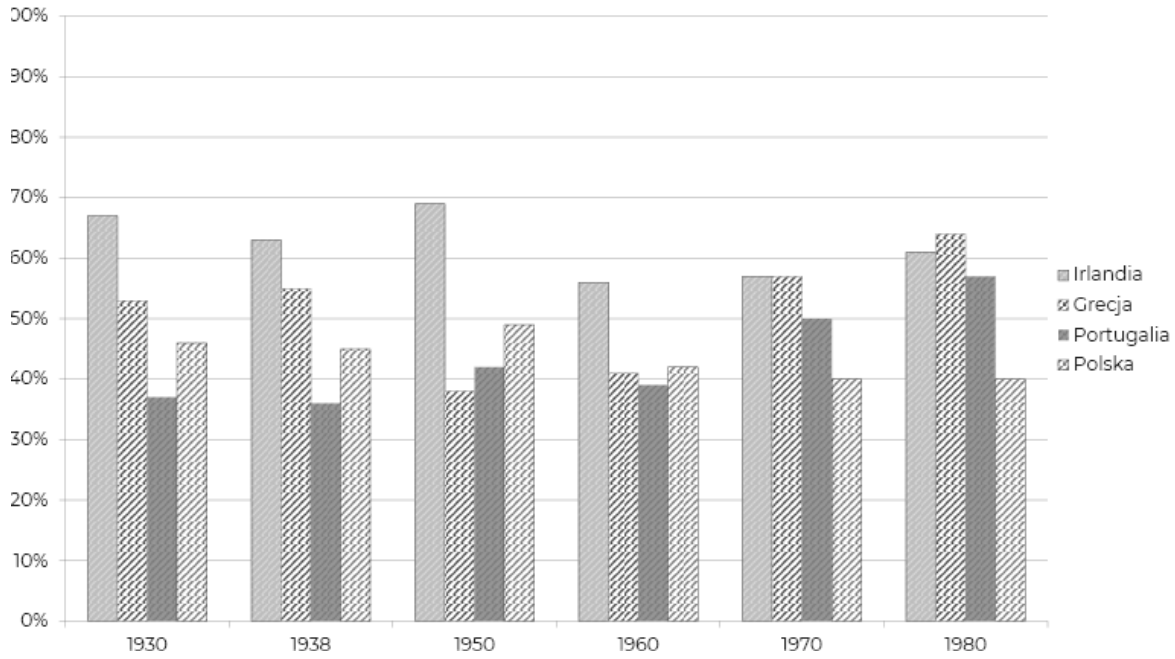

Trzeba też rozprawić się z wieloma mitami na jego temat. Najważniejszy dotyczy tak zwanej gospodarki planowej. Błędnie przeciwstawia się ją czasem gospodarce „nieplanowej”, choć ta nigdy nie istniała. Planowanie stanowiło nieodłączną cechę industrializacji i modernizacji. Na Zachodzie przybierało zazwyczaj postać „integracji pionowej”, czyli łączenia wszelkich procesów – od wydobywania surowców, przez produkcję, po sprzedaż – w jednym ogromnym przedsiębiorstwie. Pozwalało to wyeliminować niedobory podaży i lepiej zarządzać dystrybucją. Pionierem takich działań była korporacja Carnegie Steel, posiadająca w XIX wieku między innymi kopalnie węgla i rud żelaza, stalownie, statki i linie kolejowe. Podobnie zorganizowany był dwudziestowieczny

przemysł motoryzacyjny. Korporacje w rodzaju Forda czy Chryslera miały własne fabryki opon, huty szkła czy zakłady metalurgiczne, a także sieć salonów samochodowych. Personel przerzucano w miarę potrzeb z jednego zakładu do drugiego. Stałe zatrudnienie było normą; od pracowników oczekiwano lojalności wobec firmy. Niektóre wielkie przedsiębiorstwa prowadziły (często we współpracy ze związkami zawodowymi) własne przychodnie medyczne, placówki edukacyjne, ośrodki opiekuńcze lub wypoczynkowe. Na szczycie korporacyjnej hierarchii znajdowali się menedżerowie i ekonomiści, odpowiedzialni za planowanie i zarządzanie wszystkimi elementami tego zintegrowanego wszechświata.

W PRL sprawy miały się podobnie – tyle że nie istniała konkurencja rynkowa między przedsiębiorstwami, a to zasadnicza różnica. Ponadto w Polsce planiści próbowali uwzględniać bardzo drobne szczegóły, gdy zaś plan okazywał się kiepski, nie reagowali w sposób należycie elastyczny. Różne reformy po roku 1956 miały za zadanie zmniejszyć rolę „gospodarki nakazowo-rozdzielczej", ale jądro systemu pozostało niezmienne aż do końca. Z drugiej strony PRL nie miał *jednej* gospodarki planowej, bo wiele różnych resortów gospodarczych działało równolegle i rywalizowało o zasoby. Kto sądzi, że w komunistycznej Polsce planowanie zastąpiło konkurencję, ten zapewne nigdy nie miał możliwości obserwowania, jak menedżerowie walczyli między sobą o przydział surowców i funduszy. Mówiąc inaczej, konkurencja istniała, ale miała charakter odmienny od kapitalistycznej. Nie twierdzę, że polskie przedsiębiorstwa państwowe niczym nie ró-

żniły się od zintegrowanych pionowo zachodnich korporacji. Różnice należy jednak opisywać w kategoriach kontinuum planowej produkcji, stanowiącej cechę charakterystyczną nowoczesności. XX wiek to epoka wielkich firm, zapewniających pracownikom wieloletnie zatrudnienie i dostarczających przewidywalne produkty, a zarazem firm nieoptymalnych z punktu widzenia innowacyjności. Krytycy twierdzili, że korporacyjne giganty działały mniej efektywnie niż mniejsze firmy, lecz podobne zarzuty kierowano wobec przedsiębiorstw na całym świecie – w Szczecinie, w Stuttgarcie i w Seattle.

Pracownicy z kapitalistycznego Zachodu i z komunistycznego Wschodu mogli liczyć na stabilną karierę w wielkich korporacjach i musieli godzić się na liczne ograniczenia, na przykład jeśli chodzi o charakter i sposób wykonywanej pracy, a nawet w zakresie dozwolonego stylu życia. Inny mit (rozpowszechniany przez kapitalistyczną propagandę, którą karmiono mnie, gdy dorastałem w zimnowojennych Stanach Zjednoczonych) głosił, że ludzie w radzieckiej strefie wpływów nie mają żadnego wyboru i są zmuszani do podążenia określoną ścieżką zawodową na podstawie sprawdzianów zdolności przeprowadzanych w późnym dzieciństwie. Z pewnością nie odnosiło się to do PRL. Owszem, istniała selekcja szkolna, ale pod wieloma względami była podobna do dzisiejszej. Część nastolatków trafiała do szkół kształcących przyszłych pracowników handlu, część do szkół dla przyszłych inżynierów lub do techników, inni szli na uniwersytety, każdy miał jednak sporo opcji do wyboru, zależnie od zdolności i zainteresowań. Na kolejnych szczeblach przeprowadzano

egzaminy o wysokim progu selekcyjności. Dostęp do najlepszych szkół i uczelni był mocno utrudniony. Korupcja sprzyjała osobom z dobrymi koneksjami, lecz łapówkarstwo zdarzało się też przecież w innych systemach politycznych i gospodarczych. Możliwości zmiany ścieżki edukacyjnej były bardziej ograniczone niż w Stanach Zjednoczonych, natomiast podobne jak w Europie Zachodniej. (Zresztą nawet w USA część młodych ludzi trafiała do szkół techniczno-zawodowych, z których trudno było się dostać na prestiżowy uniwersytet). Zdobycie miejsca na Harvardzie, Sorbonie, Oksfordzie lub Uniwersytecie Warszawskim wymagało talentu, zasobów i dostępu do odpowiedniej sieci społecznej. Słowem, biurokratyzację i strukturalną integrację kształcenia ogólnego i zawodowego również należy uznać za cechy nowoczesności jako takiej, nie za zjawiska typowe wyłącznie dla bloku wschodniego.

Osoby z nostalgią wspominające PRL lubią opowiadać o darmowych usługach publicznych, przedszkolach, opiece zdrowotnej i o braku czesnego na uczelniach. Wiele z tych rzeczy oferowały jednak również zachodnie kapitalistyczne państwa opiekuńcze. Nie da się ukryć, że odsetek wydatków socjalnych w Polsce był wyższy niż w krajach kapitalistycznych. Przykładowo, w roku 1970 na edukację w Polsce (na wszystkich poziomach) przeznaczano 9,6 procent PKB. Odpowiedni odsetek w Wielkiej Brytanii wynosił 4,3 procent, w Stanach Zjednoczonych 4 procent, we Francji zaś zaledwie 2,4 procent[6]. Oświata w PRL była darmowa (również na poziomie wyższym), podobnie jak w większości krajów Zachodu,

a nawet w niektórych stanach Ameryki. Przykładowo, na Uniwersytecie Kalifornijskim czesne wprowadzono właśnie w roku 1970. Publiczne koledże i uczelnie w USA były wówczas dostępne finansowo nawet dla osób z klasy robotniczej. Różnice w wydatkach na służbę zdrowia były większe. W roku 1970 publiczna opieka medyczna pochłaniała 8,2 procent polskiego PKB i zaledwie 3,4 procent PKB Wielkiej Brytanii, 3,9 procent PKB Francji i 2,43 procent w Stanach Zjednoczonych. Przedstawmy tu inne porównanie: w 2018 roku Polska wydała na ochronę zdrowia 4,5 procent PKB, natomiast Francja 9,4 procent. Odpowiedni odsetek dla „wolnorynkowych" Stanów Zjednoczonych wynosi 14,3 procent i nie uwzględnia ogromnych wydatków prywatnych[7]. Za tymi danymi kryje się rzecz jasna wiele czynników. Przykładowo, nawet gdyby PRL świadczył czterdzieści lat temu dokładnie te same usługi publiczne co kraje zachodnie, musiałby wydawać na to więcej pieniędzy, gdyż bogate państwa dysponowały lepszą infrastrukturą, a w powojennej Polsce (zwłaszcza na prowincji) przychodnie, szkoły i inne placówki dopiero powstawały. Poza tym przywoływane tu zachodnie państwa były o wiele bogatsze niż PRL. Usługi tej samej jakości pochłaniały tam więc mniejszy odsetek PKB. Słowem, choć PRL notował wyższe wydatki socjalne niż kraje Europy Zachodniej i Ameryki Północnej w tamtych czasach (i niekoniecznie wyższe niż w czasach dzisiejszych), to nie mówimy tu o dużej różnicy. Komuniści wpasowali się w ogólny trend panujący po obu stronach żelaznej kurtyny. Większość programów socjalnych przypominała te, które wprowadzano w Niemczech, Francji czy Wielkiej

Brytanii, choć na niższym poziomie, bo Polska była o wiele biedniejszym krajem. Amerykanie mogliby uznać tak dużą rolę państwa za polityczną skrajność, ale świadczy to raczej o specyfice Stanów Zjednoczonych niż o specyfice wschodnioeuropejskiego komunizmu.

6 Dane dotyczące Polski pochodzą z: Stanisław Paradysz, *Rozwój społeczny i gospodarczy PRL (1946–1989)*, [w:] Wiesław Ziółkowski (red.), *Zrozumieć PRL*, Muza, Warszawa 2012, s. 235. Dane na temat Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Francji pochodzą z: http://ourworldindata.org/financing-eduaction.

7 Dane dotyczące Polski pochodzą z: Paradysz, *Rozwój społeczny i gospodarczy PRL*, dz. cyt., s. 235. Dane dotyczące Francji i Stanów Zjednoczonych pochodzą z: https://bit.ly/3qdZ6B8.

Pragnę się rozprawić z jeszcze jednym mitem, być może budząc największe zdziwienie u czytelników, a mianowicie z przekonaniem, że w komunizmie wszyscy byli równi, toteż nie istniały żadne czynniki motywujące do lepszej pracy w postaci kar za kiepskie wyniki czy nagród za wybitne zdolności. Popularne powiedzenie głosiło: „Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy". Przede wszystkim trzeba pamiętać, że dwa tysiące złotych było niewielką kwotą. Powiedzenie ukuto pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy wspomniany dochód plasował osobę poniżej średniej. Później w miarę inflacji kwota rosła (mówiono o pięciu tysiącach), ale zawsze pozostawała raczej taka sobie. Owszem, w Polsce wszyscy mieli gwarantowane zatrudnienie niemal bez względu na okoliczności i nawet najbardziej leniwy lub niekompetentny pracownik dostawał jakąś robotę, państwo nie zapewniało jednak dobrej, wysoko płatnej pracy. Między poszczególnymi gałęziami gospodarki i stanowiskami istniały duże różnice –

nie tak wielkie jak w świecie kapitalistycznym, ale z pewnością znaczące. Osoby w takich branżach jak górnictwo czy budownictwo mogły liczyć na lepsze płace niż rolnicy albo ludzie zatrudnieni w handlu detalicznym. Normą było również to, że mężczyźni zarabiali więcej niż kobiety, bez względu na sektor.

Standardową miarą nierówności wykorzystywaną przez ekonomistów jest tak zwany współczynnik Giniego. Wyznacza on skalę, na której 0 to zupełna równość, a 100 to hipotetyczna sytuacja, kiedy jedna osoba posiada absolutnie wszystko, pozostali zaś nie mają nic. Dysponujemy danymi o wartości współczynnika Giniego tylko dla ostatniej dekady PRL; wynosił on wówczas 25. Ponieważ jednak wskaźnik dotyczy tylko dochodów w pieniądzu, trzeba traktować tę liczbę jako orientacyjną. Z jednej strony – nierówny dostęp do pożądanych produktów nieco zwiększał skalę nierówności, ale z drugiej – kontrolowane ceny i wyższy poziom „konsumpcji społecznej" działały na korzyść najbiedniejszych. Polska wypadała lepiej niż choćby Brazylia (59) lub Malezja (49), ale nie odbiegała zanadto od średniej notowanej przez rozwinięte kraje kapitalistyczne (29). W 1985 roku współczynnik dla Stanów Zjednoczonych osiągał wartość 34, dla Francji 30, dla Niemiec 25, dla Szwecji zaś 21, czyli mniej niż dla Polski[8]. Nierówności w PRL systematycznie rosły, toteż należy się spodziewać, że wskaźnik w latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych byłby niższy. Z drugiej strony przedstawiciele elity mieli też znaczące przywileje pozafinansowe, nieuwzględniane w statystykach, na przykład dostęp do deficy-

towych dóbr i usług. Co więcej, nawet w okresie stalinowskim „bohaterowie pracy" otrzymywali wyższe wynagrodzenia i lepsze mieszkania. Dla osób zarządzających fabrykami i zakładami pracy ustanowiono rozmaite systemy motywacyjne w celu zwiększania produkcji. Bonusy i dodatki rosły lub spadały, zależnie od wyników. Nie dawało się zrobić fortuny na miarę kapitalistycznych standardów, lecz niektórzy bez wątpienia byli znacznie bogatsi od reszty. Nic dziwnego, że robotnicy w PRL szczególnie często skarżyli się, że kraj nie jest dostatecznie egalitarny.

8 W tym przypadku określenie „rozwinięte kraje kapitalistyczne" jest tożsame z „krajami członkowskimi OECS". Dane dotyczące Polski – zob. Index Mundi, https://www.indexmundi.com/facts/poland/gini-index. Dane porównawcze – zob. OECD, *Divided We Stand: Why Inequality Keeps Rising*, OECD Publishing 2011, s. 24.

Na podstawie tego, co dotąd napisałem, mogłoby się wydawać, że komunizm stanowił po prostu specyficzny przypadek nowoczesności, pod wieloma względami porównywalny z kapitalizmem, zwłaszcza z państwami opiekuńczymi Europy Zachodniej[9]. To jednak nie do końca prawda z powodu jednej kolosalnej różnicy, która dawała o sobie znać na wszystkich poziomach – od życia codziennego po procesy makroekonomiczne. By ująć rzecz prosto, komunizm koncentrował się na produkcji i producentach, natomiast system kapitalistyczny – na konsumentach i konsumpcji. Aż do lat osiemdziesiątych żelazna kurtyna oddzielała świat keynesowskiej (kapitalistycznej) ekonomii popytowej od socjalistycznej ekonomii podażowej. Nie brzmi to może tak chwytliwie jak slogany

o „wolnym rynku" i „sprawiedliwości społecznej", ale pozwala zrozumieć istotę gospodarki PRL.

9 Od kilku dekad historycy coraz częściej kładą nacisk na podobieństwa między krajami kapitalistycznymi i komunistycznymi. Mocno popieram takie podejście. Zbyt często traktujemy dany system w izolacji i to prawie zawsze prowadzi do błędów. Jako początek tej tendencji wśród historyków można wskazać pracę Kate Brown *Grided Lives: Why Kazakhstan and Montana are Nearly the Same Place*, „The American Historical Review" 2001, t. 106, nr 1, s. 17–48.

Komunizm jako abstrakcyjny system trzeba zestawić z abstrakcyjnym systemem kapitalizmu. Zasadnicza logika kapitalizmu sprowadza się do zwiększania sprzedaży albo dzięki zaspokajaniu już istniejących potrzeb i pragnień konsumentów, albo dzięki rozbudzaniu nowych pragnień za pomocą reklamy i marketingu. To drugie jest szczególnie istotne, wzrost zależy bowiem od wydłużającej się w nieskończoność listy pożądanych dóbr i usług. W kapitalistycznym społeczeństwie ludzi traktuje się jak konsumentów. Mamy ogromny wybór w zakresie tego, co i gdzie kupujemy, oczekujemy, że sprzedawcy będą zabiegać o nasze względy, budujemy nasze tożsamości w odniesieniu do konsumowanych dóbr. Marki stają się symbolami statusu, reklama jest wszechobecna, sprzedawca to najważniejszy symbol gospodarki. Dotyczy to nawet tych, którzy próbują się buntować – dowodem fakt, że konkretne marki albo sklepy przechwytują stylistykę kontrkultury. Przed konsumpcjonizmem nie da się więc uciec, chyba że człowiek porzuci społeczeństwo i będzie żył w jakiejś samowystarczalnej pustelni. Kapitalizm, podobnie jak wszystkie hegemoniczne formacje kulturowe, odbiera

nam zdolność wyobrażenia sobie innego porządku. Sądzimy, że kupowanie to rzecz naturalna i nieuchronna.

Druga strona medalu jest taka, że w roli producentów wiedzie nam się znacznie gorzej. Hasło „klient ma pierwszeństwo" nie tylko służy motywowaniu sprzedawców w sklepach, ale też wyraża logikę całej działalności gospodarczej. Kapitalistyczne przedsiębiorstwo ma dwa zasadnicze cele: sprzedawać po cenie, która zapewni mu konkurencyjność, i płacić jak najmniej za produkcję. Największą kategorię stanowią zazwyczaj koszty pracy, stąd presja na obniżanie wynagrodzeń. Wbrew obawom wielu dziewiętnastowiecznych ekonomistów nie zawsze prowadzi to do spadku płac aż do poziomu poniżej minimum egzystencji, gdyż wiele innych czynników (niedobór siły roboczej, związki zawodowe, przepisy i regulacje) pozwala poprawić warunki zatrudnienia. Niemniej kapitalizm pragnie niższych kosztów produkcji, więc zawsze dąży do zmniejszania pensji. Zmiany technologiczne pozwalają zastąpić wykwalifikowanych pracowników niewykwalifikowanymi, a więc tańszymi, lub też zredukować siłę roboczą. Rozwój transportu i komunikacji sprawia, że produkcję można przenosić do krajów albo regionów, w których koszty pracy są niższe. I tu właśnie docieramy do zasadniczej słabości kapitalizmu. Jeśli presja na obniżanie wynagrodzeń nie jest trzymana w ryzach, prędzej czy później popyt spada i dochodzi do załamania na rynku: wszak osoba ledwo zarabiająca na utrzymanie niewiele zdoła kupić. Kapitalizm (przynajmniej w wolnorynkowej wersji) nie dostrzega, że słabo opłacani producenci są zarazem konsumentami.

Nawet sposób, w jaki rozumiemy pojęcia typu „wolność”, bierze za punkt wyjścia raczej konsumpcję niż produkcję. Swobody pracowników w przedsiębiorstwie można na rozmaite sposoby ograniczać; to zupełnie oczywiste. Można narzucić im określony sposób ubierania się w pracy, wyznaczyć, jakiego rodzaju nagłe okoliczności usprawiedliwiają pójście do domu, a nawet ustanowić harmonogram przerw na toaletę. Powszechną rzeczą jest nadzorowanie pracowników przez pracodawców, by nie marnowali czasu i nie obniżali wydajności. Powiedzenie „Zrobisz to w swoim własnym czasie” sugeruje, że w godzinach pracy czas nie należy do pracownika (jak gdyby w ogóle mógł do kogokolwiek należeć). Politycy, związkowcy i aktywiści mogą doprowadzić do ustanowienia pewnych regulacji, ale mało kto podważa prawo pracodawców do „zarządzania” podwładnymi i mało kto rozpatruje je w kategoriach naruszania indywidualnych swobód. Uważa się, że po prostu tak działa (kapitalistyczny) świat.

Z drugiej strony ludzie w społeczeństwach kapitalistycznych oczekują swobodnego wyboru i dobrej obsługi, kiedy wchodzą w rolę konsumentów. Arbitralne ograniczanie opcji zakupowych jest skandalem. Wyobraźmy sobie na przykład, że jakieś miasto pozwala na działalność tylko jednego sklepu z ubraniami, jednego z butami, jednego dilera samochodowego itd. Owszem, w uzasadnionych przypadkach wprowadza się pewne obostrzenia (może to dotyczyć choćby towarów niebezpiecznych) albo ustanawia się zasady dotyczące wiarygodności reklam. Kapitalizm zawsze jest do pewnego stopnia ujmowany w karby i łagodzony przez politykę, zasadniczo

jednak, niezależnie od wariantu, kieruje się podstawową logiką, zgodnie z którą pracownicy funkcjonują w systemie kontroli tak powszechnej, że trudno dostrzegalnej, natomiast ograniczanie wolnego wyboru konsumentów to poważne złamanie umowy społecznej.

Jeśli chcemy zrozumieć komunizm, wystarczy odwrócić wszystko, co zostało napisane w poprzednich trzech akapitach. Kapitalizm czyni priorytetem sprzedaż i konsumpcję, natomiast komunizm stawia na pierwszym miejscu produkcję i pracę. Cały system został zbudowany wokół maksymalizacji produkcji (w teorii, nie zawsze w praktyce) i baczył na dobro producentów. Zarazem nie dbał o to, co dzieje się z człowiekiem, gdy wchodzi w rolę konsumenta. Sklepy były z reguły zgrzebne i mało atrakcyjne, towary marnej jakości, opakowania proste i utylitarne. Nie prowadzono raczej działań marketingowych, w ogóle nie próbowano rozbudzać w ludziach chęci posiadania nowych produktów. Przeciwnie: produkty zmieniały się powoli i niewiele zasobów przeznaczano na innowacje. Poza tym system słynął z tego, że „obsługa klienta" praktycznie rzecz biorąc nie istniała. Zamiast konsumentów byli raczej petenci; sprzedawca miał za zadanie zarządzać dystrybucją, a nie namawiać kogokolwiek do kupowania. W krajach kapitalistycznych pracownicy sklepów powinni zachowywać się uprzejmie i służyć pomocą (z naciskiem na „służyć"). Tymczasem w komunizmie to klient musiał być cierpliwy i potulny. Obywatele PRL nie mówili o zakupach, ale o „załatwianiu".

Kierownicy przedsiębiorstw nie zajmowali się sprzedażą swoich towarów, musieli za to pozyskiwać zasoby niezbędne do utrzymania produkcji. Stąd właśnie moja wcześniejsza uwaga na temat zaciekłej rywalizacji o dostawy, surowce i przydział środków budżetowych. Menedżerowie (i pośrednio również ich podwładni) byli nagradzani za osiąganie celów produkcyjnych, wyznaczanych bez baczenia, czy istnieje popyt na wytwarzany towar. Istniały więc system zachęt oraz konkurencja – tyle że nie dotyczyły one konsumentów. Przykładowo, firma produkująca obuwie musiała dostarczyć określoną liczbę butów każdego miesiąca. Przekroczenie wyznaczonego limitu oznaczało premię dla kierownika i pracowników, toteż wszyscy bardzo się starali, by na nią zasłużyć. Jeśli jednak łatwiej było osiągnąć cel, wytwarzając wyłącznie buty w kolorze pomarańczowym i w rozmiarze 42, to wytwarzano wyłącznie takie buty i żadnych innych. Nie miało znaczenia, że nigdy nie zejdą one z półek sklepowych. Kierownik sklepu też się o to nie martwił, bo za zwiększoną sprzedaż nie otrzymałby żadnej nagrody.

Niedobory były rzeczą powszechną, lecz nie uniwersalną. W niektórych częściach kraju lub w niektórych sklepach panowała lepsza sytuacja zaopatrzeniowa. Jedne produkty były łatwo dostępne, innych nie dało się nigdzie dostać. Istniał system zapisów na talon umożliwiający kupienie samochodu, trudno było kupić większość sprzętów domowych (pralki, telewizory, nawet telefony), z jakichś powodów do towarów deficytowych należał papier toaletowy. Zarazem zakup większości dóbr podstawowych nie nastręczał szczególnych pro-

blemów, aczkolwiek jakość pozostawiała sporo do życzenia. Powszechnie znane zdjęcia, przedstawiające kolejki po chleb i puste półki sklepowe na początku lat osiemdziesiątych, dokumentują konkretny, względnie krótkotrwały kryzys, o którym jeszcze napiszę. Nie była to sytuacja typowa dla całego okresu istnienia PRL. Traktowanie kolejki jako metafory komunistycznej gospodarki nie jest może całkowicie błędne, ale też nie pozwala w pełni zrozumieć, co działo się w poszczególnych dekadach. Przed głębokim krachem w latach osiemdziesiątych panowała gospodarka niedoborów, ale nie absolutnego deficytu. Brakowało po prostu skutecznych mechanizmów łączenia popytu (a co dopiero pragnień) z podażą. Skutkiem tego były nieprzewidywalność dostaw, nadprodukcja i marnotrawstwo. Cele produkcyjne wyznaczano wedle różnych kryteriów, niekiedy arbitralnych. Badacze próbowali określać potrzeby ludności (czego nie należy mylić z preferencjami) i zaspokoić je tak dobrze, jak tylko się da. W niektórych branżach przedsiębiorstwa miały za zadanie wytwarzać wyłącznie dobra społecznie użyteczne. Dlatego na przykład w księgarniach można było kupić wiele arcydzieł dziewiętnastowiecznej literatury bez względu na to, czy ktokolwiek chciał je czytać, podczas gdy kryminały czy romanse stanowiły rzecz trudniejszą do dostania. Podobny mechanizm działał w przypadku płyt Chopina i płyt Maanamu czy Czesława Niemena (nie mówiąc już o Beatlesach czy Stonesach). Jednak większość decyzji produkcyjnych nie była motywowana ideologią. Niekiedy planistom udawało się nawet względnie dobrze dopasować podaż i popyt, ale czasami ponosili

dość spektakularne klęski. Właśnie one zapisały się w potocznej świadomości i w pamięci społecznej.

Konsumentów lekceważono, bo priorytetami były produkcja i praca. Siła i szczerość haseł czy uroczystości (na przykład pompatycznych pochodów pierwszomajowych czy sztandarów głoszących chwałę klasy robotniczej) z czasem osłabły, lecz pod tym wszystkim kryło się coś prawdziwego. Nie możemy mówić o upodmiotowieniu pracowników, skoro nie mieli oni prawa organizować wolnych związków zawodowych, co skądinąd budziło frustrację i gniew. Ponadto pracowników poddawano kontroli i dyscyplinie tak jak w kapitalizmie, przy czym w epoce stalinowskiej owe metody były szczególnie surowe. Owszem, szczegóły były inne (groźba utraty pracy i popadnięcia w biedę w kapitalizmie, groźba konsekwencji prawnych w PRL), ale subiektywne poczucie wszechobecnej kontroli towarzyszyło ludziom i tu, i tam. Zarazem istniało sporo praw i przywilejów. Mało kto wylatywał z pracy, nie zdarzały się przypadki nagłego zamknięcia fabryki, nie przenoszono produkcji do innych krajów, by zmniejszyć koszty. Problemy przerzucano na konsumentów; odbijały się w postaci niedoboru lub marnotrawstwa, natomiast bezpieczeństwo zatrudnienia było wręcz gwarantowane. Z czasem korzyści te zaczęto uważać za oczywiste i naturalne, podobnie jak w kapitalizmie oczywistością jest swobodny wybór konsumencki.

Ba, ponieważ dystrybucja i podaż nastręczały problemów, pracownicy mogli cieszyć się autonomią i przestrzenią inicjatywy, jakich nie znali ludzie zatrudnieni w bardziej wydajnych

przedsiębiorstwach na Zachodzie. Improwizacja stanowiła konieczność; bez niej nie dałoby się osiągnąć celów produkcyjnych. Jeśli zepsuła się maszyna, zakład nie mógł liczyć, że dostanie nową. Jeśli nie dostarczono obiecanych surowców, nie istniał żaden plan awaryjny. Wówczas kierownicy lub nawet pojedynczy pracownicy musieli kombinować, by znaleźć jakiejś wyjście – w przeciwnym wypadku premia byłaby zagrożona. Na przykład przetwórnia żywności mogła mieć ciche porozumienie z miejscowymi rolnikami i nie była zależna od niepewnych dostaw państwowych. Robotnicy naprawiali maszyny, nawet jeśli brakowało części zamiennych. Harmonogram pracy był do pewnego stopnia elastyczny, bo często dochodziło do przestojów produkcji na skutek braku określonego surowca, a gdy surowiec ów wreszcie został dostarczony, przedsiębiorstwo musiało nadganiać. Tego rodzaju sytuacje uważano raczej za niedogodność niż oznakę niezależności, niemniej pracownicy mieli trochę indywidualnej swobody, by improwizować i rozwiązywać problemy.

Nie twierdzę, że zawsze dostawali oczekiwane wynagrodzenia i że mieli zapewnione dobre warunki. Podobnie jak w kapitalistycznych przedsiębiorstwach, musieli osiągać cząstkowe cele produkcyjne, a premia zależała od spełnienia niemożliwie wyśrubowanych norm. Dość regularnie zdarzały się protesty zbiorowe na niewielką skalę, ponadto pracownicy nieustannie narzekali. Kierownictwo mogło zazwyczaj złożyć im jakieś obietnice, by uciszyć skargi. Czasem nie przynosiło to skutków i zaczynały się strajki lub nawet brutalne konfrontacje, zasadniczo jednak osoby zarządzające przedsi-

ębiorstwami starały się wychodzić naprzeciw oczekiwaniom, o ile tylko było to możliwe. Innymi słowy, w komunizmie podobnie jak w kapitalizmie dochodziło do konfliktów na linii pracownicy–pracodawcy, tyle że w komunizmie ci pierwsi mieli nieco lepszą pozycję przetargową, o ile ograniczali się do konkretnych problemów, które dotyczyły bezpośrednio ich oraz ich zakładu. Sytuacja stawała się groźna, dopiero jeżeli żądania miały szersze skutki polityczne. Każdy kierownik fabryki musiał odpowiadać przed dwiema instancjami: przed odpowiednim ministerstwem lub biurem planistycznym w Warszawie oraz przed swoją załogą. Na każdym szczeblu panował więc klientelizm. Góra oczekiwała lojalności, dół oczekiwał protekcji. Powodzenie w karierze zależało od tego, by wszystkich zadowolić, a przynajmniej by nikogo zanadto nie rozgniewać.

System motywacyjny dla kierowników nie wymagał zdolności marketingowych i obowiązywały (by użyć żargonu ekonomistów) „miękkie ograniczenia budżetowe”[10]. Od kierowników wymagano wykorzystania wszelkich dostępnych środków zapewniających osiągnięcie celu produkcyjnego. Jeśli zaciągali długi, spłacano je z państwowej kasy. W krajach kapitalistycznych oczekuje się równowagi między kosztami i przychodami, obliczanej w cenach rynkowych, natomiast w komunizmie sytuacja wyglądała inaczej. Klientelizm oznaczał, że osoby stojące wyżej w hierarchii były gwarantami i patronami osób stojących niżej, w zamian za co otrzymywały żądane dobra i usługi. Patrząc obiektywnie, system musiał generować niespłacalne zadłużenie, lecz w pewnym sensie

taka właśnie była jego istota: najcenniejszą walutę stanowiły przysługi i zobowiązania.

10 Określenie Jánosa Kornaia, *The Soft Budget Constraints*, „Kyklos: International Review for Social Sciences" 1986, t. 39, nr 2, s. 3–30.

Wskutek tego powstała gospodarka ściśle kontekstowa i oparta na więziach osobistych, na sieciach zaufania, pokrewieństwa i przyjaźni. Formalne relacje były mniej pewne niż znajomości lub stosunki rodzinne, barter liczył się bardziej niż gotówka. Oczywiście w kapitalizmie relacje osobiste także grają dużą rolę, lecz zdecydowanie mniejszą, niż grały w PRL. To, co obecnie nazywamy korupcją, było w znacznym stopniu koniecznym elementem życia gospodarczego i społecznego. Osoby, które pamiętają Polskę Ludową, z nostalgią opowiadają o ówczesnych więziach rodzinnych, silniejszych i rozleglejszych niż dzisiaj. Mają nieco racji. Podtrzymywanie rozmaitych relacji społecznych było niezbędne, by dobrze sobie radzić. Zasada ta sprawdzała się na każdym szczeblu. Sprzedawca w sklepie trzymał trochę towarów dla krewnych i znajomych, kierownik fabryki mógł uniknąć przestojów produkcyjnych, jeśli wśród dostawców miał kuzynów albo kumpli od kieliszka. Zachowania przywodzące na myśl łapówkarstwo lub nepotyzm nie uchodziły powszechnie za moralnie naganne. Dar (choćby tylko symboliczny) służył podkreśleniu osobistego charakteru relacji. Kto o to nie zadbał, ten narażał się na zarzut uchybienia etykiecie. Niekiedy wierchuszka PZPR próbowała walczyć z dawaniem w łapę, ale zazwyczaj robiła to bez przekonania i mało skutecznie.

Kiedy prowadzę zajęcia na ten temat, przedstawiam studentom i studentkom hipotetyczny dylemat. Wyobraź sobie, że zarządzasz przedsiębiorstwem i masz do obsadzenia dobrze płatną posadę. Jest dwóch kandydatów. Pierwszy ma dobre kwalifikacje, ale go nie znasz. Drugi kandydat to twój leniwy, nieudolny, ale w sumie fajny szwagier. Jak dokonać etycznego wyboru? Moi studenci, jak przystało na osoby ukształtowane przez współczesny kapitalizm, niemal w stu procentach przypadków wskazują na wykwalifikowanego nieznajomego. „Pudło", mówię. Jeśli chce się zrozumieć życie w komunizmie, trzeba zrozumieć, dlaczego zatrudnienie szwagra było uważane za rzecz właściwą. Kierownik, który wybrałby nieznajomego, narażałby się na ostracyzm rodziny i na pytania w stylu: „Jak to, swojego nie zatrudniłeś?". Straciłby też okazję budowania w pracy cennej relacji klient–patron.

Kapitalizm świetnie radzi sobie z produkowaniem dóbr pożądanych i kupowanych przez konsumentów. Gorzej mu idzie, jeśli chodzi o wytwarzanie i podtrzymywanie więzi społecznych. Płynność i elastyczność, które czynią z niego system zdolny do szybkiego reagowania na zmieniające się okoliczności, oznaczają zarazem, że ludzie często muszą zmieniać miejsce pracy, miejsce zamieszkania albo zawód. Ten, kto przedkłada życie rodzinne nad pracę, raczej nie zajdzie zbyt daleko w żadnej korporacji. W kapitalizmie istnieją sprawne mechanizmy ograniczania nadprodukcji i niedoborów, ale tylko w zakresie dóbr rynkowych. Nieustanne wytwarzanie nowych pragnień prowadzi do planowanego ogra-

niczania żywotności produktów oraz produkcji odpadów na gigantyczną skalę. Nie jest to jednak traktowane jako przejaw nieefektywności, bo dzieje się już po zakupie. Reguły marketingu i handlu nakazują dobrze obchodzić się z klientami. Zarazem trzeba zadbać, by ci szybko rozczarowali się lub znudzili produktem, bo inaczej nie nabędą nowego.

Komunizm stanowił zupełne przeciwieństwo tej logiki. Pracownik mógł zażądać podwyżki z powodu nagłej trudnej sytuacji rodzinnej, a szef, czyli patron, mógł dać mu tę podwyżkę (licząc w zamian na lojalność). „Księgi" przedsiębiorstwa nie miały szczególnie dużego znaczenia – w przeciwieństwie do podtrzymywania relacji społecznych. Z drugiej strony niezwykle trudno było cokolwiek osiągnąć, jeśli polegało się wyłącznie na bezosobowych instytucjach. Przeprowadzka do innego miasta nastręczała kłopotów, bo nie było tam krewnych i znajomych. Los ludzi niezakorzenionych mało kogo obchodził.

Narodziny komunistycznego konsumenta

Ani kapitalizm, ani komunizm nie dostrzegają, że w istocie producent i konsument to ta sama osoba. Właśnie na tym polega największa słabość obu ustrojów. Każdy dba tylko o jeden aspekt, co nieuchronnie powoduje problemy. W niekontrolowanym kapitalizmie płace spadają tak bardzo, że znika popyt. Z kolei jeśli komunizm wymyka się spod kontroli, popyt przestaje stanowić bodziec wzrostu. Owe nierównowagi mają cha-

rakter endemiczny, lecz są też znakiem naszych czasów. Popyt konsumencki nie jest wszak rzeczą ani powszechną, ani niezbywalną. Jest konstruktem kulturowym. Przez większość dziejów gatunku ludzkiego nie istniał w takiej postaci, jaką obecnie znamy. Dopiero od kilku stuleci ludzie dysponują odpowiednimi zasobami, by kupować cokolwiek, co nie służy zaspokajaniu podstawowych potrzeb. Ponadto wcześniej dobra wytwarzano w ramach gospodarstwa domowego lub w warsztatach lokalnych rzemieślników. Jeśli nawet rodzina miała nadwyżkę dochodu, nie wydawała jej w taki sposób, jak się to robi obecnie. Nowością jest też wykorzystywanie reklam w celu generowania pragnień, czyli mechanizm, od którego zależy wzrost. Konsument naszych czasów – osoba, której niezaspokojony apetyt stanowi kluczowy czynnik sukcesu naszej gospodarki – to w istocie produkt konkretnego splotu czynników społecznych, kulturowych i ekonomicznych. W Polsce na początku epoki komunistycznej nie było wielu takich konsumentów, co zapewniło ustrojowi mocny start. Jednak w latach sześćdziesiątych komunistyczny konsument wkroczył na scenę i dla PRL był to początek końca.

W kapitalizmie i w komunizmie przedsiębiorstwa muszą generować przychody przewyższające koszty produkcji. Dochody przedsiębiorstw kapitalistycznych trafiają do inwestorów w postaci dywidendy, ponadto zaś są przeznaczane na rozwój. Choć w komunizmie nie było inwestorów prywatnych, system i tak potrzebował dochodów. Gdyby wartość wytwarzanych towarów równała się kosztom produkcji, zabrakłoby środków na rozwój. „Miękkie ograniczenia budżeto-

we" w PRL wzięły się stąd, że ostateczny właściciel prawie wszystkich przedsiębiorstw (czyli państwo) był też ostatecznym inwestorem. Nie dało się przeprowadzić upadłości z powodu długów, bo hipotetyczne państwowe Polskie Zakłady Produkcji Wihajstrów zawdzięczały finansowanie państwowemu Narodowemu Bankowi Polskiemu. Firmy, które pochłaniały więcej środków, niż wytwarzały, tolerowano tylko do czasu. Prędzej czy później, bez względu na kreatywną księgowość, stawały się ciężarem dla gospodarki. Bardzo długo nie było to problemem, a PRL mógł korzystać z faktu, że żadna część środków nie trafiała do kieszeni prywatnych inwestorów: państwo pompowało niemal całą wartość dodatkową z powrotem do przedsiębiorstw.

Ale jeżeli z jakiegokolwiek powodu sprawy przybierały niepomyślny obrót, a koszty przedsiębiorstwa przewyższały przychód, sytuacja robiła się poważna. Kapitalizm ma tu istotną przewagę (jako system, niekoniecznie z punktu widzenia jednostek), bo zapewnia rozwiązania: firma może obniżyć płace, przenieść produkcję do tańszego kraju albo zwolnić część zatrudnionych. Teoretycznie w grę wchodzi też podwyżka cen produkowanych towarów, ale konkurencja ze strony innych podmiotów sprawia, że ta opcja nie zawsze jest możliwa. W PRL takie mechanizmy cięcia kosztów były niedostępne. Bezrobocie zlikwidowano dekretem, klientelizm ograniczał elastyczność płac, nie można było też podnosić cen, bo pracownicy dobrze rozumieli, że wyższe ceny to w istocie niższe wynagrodzenia (rozumiane jako siła nabywcza). Nawet w stalinizmie, kiedy państwo dysponowało

znaczną siłą i mogło narzucać swą wolę, aktywizm pracowniczy wpływał na politykę gospodarczą (choć tylko na poziomie lokalnym). Po śmierci Stalina przedsiębiorstwom jeszcze trudniej było sobie radzić z żądaniami. Niekiedy kierownicy starali się obniżać płace, ale spotykało się to ze stanowczą i skuteczną reakcją. Zamieszki w Poznaniu w 1956 roku wzięły się z reakcji na próbę ograniczenia kosztów produkcji. Kilkakrotnie podchodzono do tego w całym kraju, lecz zawsze opór był zaciekły.

Tych, którzy pamiętali jeszcze biedę w okresie wielkiego kryzysu i hitlerowskiej okupacji, zadowalała regularna pensja, pozwalająca nabyć podstawowe dobra. Dla przedwojennych robotników mieszkanie, wyżywienie i odrobina pieniędzy do wydania w czasie wolnym stanowiły nie lada odmianę losu. Komuniści wprowadzili nawet płatne urlopy. Natomiast pokoleniom dorastającym już po wojnie niełatwo było dogodzić. A grupa ta rosła i rosła. W roku 1960 jedną trzecią populacji stanowiły osoby poniżej czternastego roku życia (dziś jest to tylko 19 procent)[11]. Gomułka zrezygnował z przesadnie ścisłej kontroli w sferze kultury popularnej, co oznaczało dostęp do treści z Zachodu, w tym również treści dotyczących konsumpcji. Między rokiem 1960 a 1970 liczba telewizorów w Polsce wzrosła z pół miliona do 4 milionów 215 tysięcy[12]. W połowie domów znajdował się odbiornik; dekadę później telewizory były praktycznie wszechobecne. Zagraniczne seriale (zwłaszcza amerykańskie) emitowane w polskiej telewizji pozwalały ujrzeć wyidealizowany świat hiperkonsumpcji. Ilustrowane czasopisma donosiły o modzie i nowoczesnych

technologiach, w dużych miastach działały prywatne sklepiki sprzedające używane towary z Zachodu (a nawet nowe, tyle że za astronomiczne kwoty). Episkopat i przywódcy partyjni byli poirytowani rozprzestrzenianiem się konsumpcjonizmu. Duchowni domagali się od komunistów, by powstrzymali zalew zachodniej dekadencji, jednak Gomułka doszedł do wniosku, że brakuje mu kapitału politycznego lub dostatecznie silnego aparatu represji, by odciąć Polskę od zewnętrznych wpływów.

11 *Historia Polski w liczbach*, dz. cyt., s. 374.
12 Patryk Pleskot, *Mały wielki ekran: telewizja a codzienność Polaków w latach sześćdziesiątych*, Trio, Warszawa 2007.

Dlatego właśnie młodzi Polacy w latach sześćdziesiątych domagali się życia lepszego – i znacznie droższego – niż to, którym cieszyli się ich rodzice. Powstał popyt na dobra konsumpcyjne, a zarazem nasiliła się presja płacowa. Pod koniec dekady doszło do sytuacji patowej. Wiele przedsiębiorstw nie wytwarzało dostatecznie dużej wartości, by móc podnosić wynagrodzenia i zarazem generować nadwyżkę inwestycyjną. Komunizm zdołał zaspokoić podstawowe potrzeby społeczne, lecz znaczenie słowa „podstawowe" się zmieniło. Kiedy zaczęło obejmować „telewizor", „samochód" i „najnowszą modę z Zachodu", władza znalazła się w trudnym położeniu.

W liberalnej gospodarce kapitalistycznej podwyżka płac i zwiększenie popytu mogą nakręcić spiralę wzrostu, gdyż system jest zorientowany na konsumpcję. Ludzie mają wyższe dochody, toteż firmy zaspokajają ich pragnienia przez zwiększanie produkcji lub wprowadzanie na rynek nowych towarów. Dzięki temu rośnie zatrudnienie (a zatem i dochody

ludności), więc popyt oraz wzrost jeszcze bardziej idą w górę. Określa się to mianem ekonomii keynesowskiej, od nazwiska dwudziestowiecznego brytyjskiego ekonomisty Johna Maynarda Keynesa. Jego teoria, skupiona na stronie popytowej, postulowała (między innymi) zwiększanie dochodów w celu inicjowania cykli wzrostowych[13]. System ten generował mniejsze zyski, co ograniczało względne różnice zamożności między najbogatszymi a resztą społeczeństwa. Najbogatsi odczuwali z tego powodu groźne niezadowolenie. Ale to inna historia. Grunt, że keynesizm działa tylko wówczas, jeśli istnieją mechanizmy pozwalające przedsiębiorstwom dbać o pragnienia konsumentów i reagować na zmiany tych pragnień. Tymczasem w PRL firmy nie były nagradzane za sprzedaż, a jedynie za produkcję. Panowała gospodarka podażowa par excellence. Liczyły się wyłącznie normy i cele oraz zapewnianie przedsiębiorstwom odpowiednich zasobów inwestycyjnych i produkcyjnych. Zmienne i coraz większe apetyty konsumentów stanowiły w tym kontekście problem, utrudniały bowiem planowanie, a jeśli nie udawało się ich zaspokoić, prowadziły do protestów społecznych. Na dodatek komunistyczny klientelizm utrzymywał wynagrodzenia pracowników na względnie wysokim poziomie (choć większość osób pracujących tak tego nie postrzegała). Co za tym idzie, rosły koszty produkcji, a przedsiębiorstwom trudno było znaleźć środki na dodatkowe inwestycje.

13 Do najlepszych książek na temat Keynesa należą: Zachary D. Carter, *The Price of Peace: Money, Democracy, and the Life of John Maynard Keynes*, Random House, New York 2020; Geoff Mann, *In the Long Run We are All Dead: Keynesianism, Political Economy, and Revolution*, Verso, London 2017; Robert Skidelski, *John May-*

nard Keynes: 1883–1946: Economist, Philosopher, Statesman, Penguin Books, New York 2005; Nicholas Wapshott, *Keynes kontra Hayek. Spór, który zdefiniował współczesną ekonomię*, przeł. Radosław Madejski, Studio Emka, Warszawa 2013.

Sposób, w jaki Gomułka próbował radzić sobie z tym problemem, ukazuje, że trudno było pogodzić rosnące oczekiwania z akumulacją zasobów niezbędnych do utrzymania wzrostu. Pod koniec roku 1970 pierwszy sekretarz postanowił zrównoważyć bilans krajowy, podnosząc ceny i utrzymując wynagrodzenia na dotychczasowym poziomie. Popełnił przy tym gruby błąd, gdyż ogłosił pakiet reform 12 grudnia, kiedy ludzie szykowali się do świąt Bożego Narodzenia; burza rozpętałaby się jednak niezależnie od daty. W ciągu zaledwie dwóch dni wybuchły strajki, najpierw w Gdańsku, potem w stoczniach w innych miastach nad Bałtykiem. Wkrótce do protestów przyłączyły się fabryki, a liczba uczestników wzrosła do 20 tysięcy. Zwyczajowe postępowanie w takich sytuacjach zakładało, że władza idzie na ustępstwa, ale wówczas musiałaby zrezygnować z podwyżek. Gomułka podjął zatem brzemienną w skutki decyzję i kazał siłom bezpieczeństwa rozbić strajki w stoczniach. Doszło do zamieszek, splądrowano i spalono siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. W odpowiedzi pierwszy sekretarz wysłał 27 tysięcy żołnierzy i 550 czołgów, przeprowadzając pacyfikację wojskową na terenie własnego kraju. Zginęło łącznie 41 osób, ponad tysiąc zostało rannych, a 3 tysiące trafiło do aresztów. Podczas zajść na Wybrzeżu rozgrabiono 220 sklepów, zniszczono dziesiątki samochodów i podłożono ogień w siedemnastu budynkach.

Sytuacja wywołała oburzenie kierownictwa PZPR. Gomułka został zmuszony do złożenia dymisji. Użycie siły przeciwko strajkującym to rzecz skandaliczna, ale w krajach kapitalistycznych nie zawsze jest ono postrzegane jako podważenie fundamentów systemu politycznego i gospodarczego. W II RP wiele razy dochodziło do tego typu sytuacji, choćby podczas zamieszek krakowskich w 1923 roku. Śmierć poniosły wówczas 32 osoby: 18 robotników i 14 żołnierzy. Jednak prawie nikt nie słyszał o zamieszkach krakowskich, natomiast wydarzenia z roku 1970 trafiły do podręczników i upamiętnia je niejeden pomnik. W realiach PRL wysłanie armii przeciwko strajkującym nie było jedynie błędem czy nawet zbrodnią – było złamaniem umowy społecznej. PZPR miała chronić robotników, a tymczasem robotnicy zginęli. Właśnie dlatego Gomułka musiał odejść.

Jego następca na stanowisku pierwszego sekretarza, Edward Gierek, wycofał większość reform. Pochodził ze Śląska, cieszył się reputacją sprawnego technokraty. W większości aspektów kontynuował politykę „komunizmu narodowego", zapoczątkowaną przez Gomułkę i (nie licząc krótkiej kampanii ideologicznej na początku lat siedemdziesiątych) w jeszcze mniejszym stopniu starał się przekształcać polską kulturę i społeczeństwo na modłę socjalistycznych ideałów. Był przede wszystkim menedżerem. Niczego nie pragnął tak bardzo jak uczynić gospodarkę sprawną i zapewnić ludziom dostatek. Za jego rządów lewicowe hasła ustroju stawały się coraz bardziej puste, a PZPR zatraciła resztki rewolucyjnego wigoru. Jednak narodowy komunizm nadal był daleki od ka-

pitalizmu, a PRL pozostał krajem, w którym produkcję i wytwórców przedkładało się ponad konsumpcję i konsumentów (choć ci ostatni wkradali się tylnymi drzwiami).

Gierek borykał się z tymi samymi problemami, które pogrążyły Gomułkę. Większość przedsiębiorstw w PRL ledwo radziła sobie z wytwarzaniem wartości pozwalającej pokryć koszty produkcji, a tymczasem ani podwyżki cen, ani obniżki płac nie wchodziły w grę. Krajowi groziła stagnacja, gdyż w dłuższym okresie brakowało kapitału inwestycyjnego. Skoro socjalistyczne ideały straciły moc perswazyjną, Gierek mógł jedynie kusić społeczeństwo obietnicą dobrobytu. I właśnie wtedy zjawił się *deus ex machina*, a mianowicie banki zagraniczne. Pod koniec lat sześćdziesiątych zachodni sektor finansowy stanął przed problemem, który cyklicznie powtarza się w kapitalizmie: gdzie szukać inwestycji o wysokiej stopie zwrotu? Model kapitalizmu przemysłowego rozpowszechniony w połowie XX wieku osiągnął w Europie i Ameryce Północnej swe najwyższe stadium. Większość przedsiębiorstw przynosiła zyski stałe, lecz niewielkie. Wartość indeksu amerykańskiej giełdy Dow Jones Industrial Average wzrosła od zakończenia drugiej wojny światowej do 1966 roku dziewięć razy, jednak przez następne dwie dekady oscylowała, trochę zwyżkując, trochę zniżkując i nie osiągając znacząco lepszego poziomu. Gospodarka rozwijała się całkiem nieźle, czego nie można powiedzieć o giełdzie. Wydawało się, że przynajmniej przez pewien czas dwucyfrowa stopa zwrotu, o jakiej marzyli najodważniejsi inwestorzy, będzie nieosiągalna. Bankowość stała się nudna, więc guru finansowi z Wall Street zwrócili

wzrok ku krajom rozwijającym się. Stanowiły one łakomy kąsek. Ich mieszkańcy byli potencjalnymi konsumentami, których należało wprowadzić w świat nowoczesnych samochodów, sprzętów, wygód, kosmetyków i tak dalej. W Ameryce Łacińskiej, Afryce i Azji działało mnóstwo prywatnych i państwowych przedsiębiorstw rozpaczliwie spragnionych gotówki. Tak oto w latach siedemdziesiątych kapitał zaczął płynąć niczym woda po otwarciu tamy.

PRL rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Z punktu widzenia zachodnich inwestorów kraj miał duży potencjał. Dysponował dobrze wykształconą siłą roboczą, panował tu też ogromny popyt na dobra konsumpcyjne. Jak wspominałem w poprzednim rozdziale, kilka firm próbowało wejść bezpośrednio na polski rynek, ale większość pożyczek trafiła do przedsiębiorstw państwowych. Gierek dostał, czego chciał: pojawiły się fundusze pozwalające gospodarce się rozwijać, a polscy pracownicy nie musieli godzić się na wyższe ceny ani niższe płace. Zdarzało się wcześniej, że PRL brał pożyczki od zachodnich banków, lecz zazwyczaj chodziło o bardzo niskie kwoty. Za rządów Gierka dług wzrósł z 200 dolarów per capita (kwota w dzisiejszych dolarach, uwzględniająca inflację) do 939 dolarów w 1976 roku, 1510 dolarów w 1978 roku i 1881 dolarów w roku 1980[14].

14 Dane dotyczące zadłużenia pochodzą z: Grzegorz Kołodko, *Kryzys, dostosowanie, rozwój*, Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1989, s. 86. Korekta uwzględniająca inflację na podstawie narzędzia CPI Inflation Calculator dostępnego na stronie US Bureau of Labor Statistics, https://www.bls.gov/data/inflation_calculator.htm.

Mówimy o astronomicznych kwotach, bo PRL niewiele eksportował do krajów płacących w twardej walucie i nie miał skąd wziąć pieniędzy na spłatę pożyczek, jednak plan Gierka był mniej szalony, niżby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Około jednej trzeciej pieniędzy szło na zakup importowych dóbr konsumpcyjnych, a dwie trzecie na inwestycje w branżach produkujących na eksport[15]. Sprowadzanie towarów z zagranicy pozwalało poprawiać standard życia. Przez kilka lat strategia działała. Lata siedemdziesiąte to dla Polski czas optymizmu i względnego dostatku. Inwestycje trafiały głównie do hut stali, fabryk traktorów i ciężarówek, stoczni i kopalni. Są dwa podstawowe sposoby generowania wzrostu gospodarczego: keynesowskie podejście popytowe (konsumenci wydają więcej, więc przedsiębiorcy więcej wytwarzają) oraz podejście podażowe (utrzymywanie płac na niskim poziomie, by tanio eksportować i pozyskiwać środki na dalsze inwestycje). W PRL żadna z tych opcji nie wchodziła w grę z powodów przedstawionych powyżej, toteż Gierek musiał liczyć na pożyczki z zagranicy, by utrzymywać płace na przyzwoitym poziomie i dokonywać inwestycji zgodnie z podejściem podażowym. Liczył, że uda mu się stworzyć gospodarkę opartą na eksporcie, a za uzyskane pieniądze zaspokajać nowo rozbudzone apetyty konsumentów, z czym dotąd komunizm sobie nie radził. Powodzenie zależało od tego, czy Polska zdoła sprzedać swoje eksportowe towary przemysłowe po odpowiednio dobrej cenie. I tu właśnie cały plan się zawalił.

15 Na temat struktury zadłużenia zagranicznego Polski w latach siedemdziesi-

ątych – zob. Zbigniew Karcz, *Zadłużenie zagraniczne Polski*, Difin, Warszawa 2006, s. 13–20.

Rozmaite czynniki występujące w systemie komunistycznym sprawiały, że przedsiębiorstwa nie miały motywacji do ścisłej kontroli jakości. Kierownicy zakładów przemysłowych nie musieli przejmować się zadowoleniem klientów i niemal nikt w Polsce nie miał doświadczenia w marketingu i handlu, więc polskie towary sprzedawane za granicą wkrótce zasłynęły z marnego wykonania, a ogromny procent zwracano z powodu wad. Nie wynikało to z braku kompetencji pracowników. Po prostu funkcjonowali oni w systemie, który nie był zorientowany na konsumenta. W epoce Gierka stało się to ogromnym problemem, gdyż rolę „konsumentów" zaczęły odgrywać zachodnie firmy, kupujące towary przemysłowe.

Kwestie te zeszły na dalszy plan po roku 1973, kiedy w globalnej gospodarce zapanowały stagnacja i recesja. Zaczęło brakować przedsiębiorstw skłonnych nabywać kosztowne towary, które Polska miała do zaoferowania. Okres dynamicznego powojennego rozwoju i tak dobiegał końca, ale wojna izraelsko-arabska w 1973 roku zdecydowanie pogorszyła sytuację. Waszyngton stanął po stronie Izraela. W reakcji na to państwa arabskie wprowadziły embargo na sprzedaż ropy do Stanów Zjednoczonych. Cena surowca wzrosła dwukrotnie, w Ameryce i w części krajów europejskich wystąpiły niedobory, co na dwa lata pogrążyło świat w recesji. Gdy wreszcie przyszło ożywienie, globalny handel nie osiągnął poziomu niezbędnego, by plany Gierka się powiodły.

Tak oto Gierek znalazł się w tym samym położeniu co Gomułka i w końcu musiał wykorzystać podobne metody. W obliczu powszechnej recesji i rosnących odsetek od długu nie dawało się zaspokoić coraz większych oczekiwań społeczeństwa. Przyszła pora, by zacisnąć pasa; w 1976 roku władze ogłosiły podwyżkę cen rozmaitych dóbr podstawowych. Skutki były łatwe do przewidzenia: natychmiast wybuchły strajki. W Radomiu protesty przybrały brutalny charakter. Podpalono budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR, podobnie jak w Gdańsku sześć lat wcześniej. Tym razem siły bezpieczeństwa wykazały się większą ostrożnością, mimo to wiele osób aresztowano, zastosowano też rozmaite kary administracyjne. A rząd i tak ostatecznie musiał wycofać się z podwyżki cen.

Skoro zniknęła szansa na większe przychody z eksportu, Gierek znalazł się w ślepej uliczce. Podnoszenie cen, obniżanie płac ani zwalnianie pracowników nie wchodziło w grę, bo każda z tych opcji oznaczała złamanie podstawowej umowy społecznej PRL i wywołałaby protesty. Władza nie mogła ciąć kosztów ani stymulować popytu, to drugie wymagało bowiem elastycznej gospodarki zorientowanej na konsumenta i opartej na przedsiębiorczości – słowem, gospodarki będącej zupełnym przeciwieństwem tego, co zbudowali komuniści. Nie dawało się też uzyskać kolejnych pożyczek, bo same odsetki od długu pochłaniały już znaczny procent zasobów kraju. Od tej pory PZPR zjeżdżała po równi pochyłej.

Literatura uzupełniająca

Berend, Ivan T., *Central and Eastern Europe, 1944–1993: Detour from the Periphery to the Periphery*, Cambridge University Press, Cambridge 1996

Bren, Paulina, Mary Neuberger (red.), *Communism Unwrapped: Consumption in Cold War Eastern Europe*, Oxford University Press, Oxford 2012

Crowley, David Susan Reid (red.), *Style and Socialism: Modernity and Material Culture in Postwar Eastern Europe*, Berg, Oxford 2000

Dunn, Elizabeth, *Prywatyzując Polskę. O bobofrutach, wielkim biznesie i restrukturyzacji pracy*, przeł. Przemysław Sadura, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008

Eisler, Jerzy, *Grudzień 1970*, Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995

Gille, Zsuzsa, Diana Mincyte, Cristofer Scarboro (red.), *The Socialist Good Life: Desire, Development, and Living Standards in Eastern Europe*, Indiana University Press, Bloomington 2020

Jakelski, Lisa, *Making New Music in Cold War Poland: The Warsaw Autumn Festival, 1956–1968*, University of California Press, Berkeley 2017

Jarosz, Dariusz, *Mieszkanie się należy. Studium z peerelowskich praktyk społecznych*, ASPRA-JR, Warszawa 2010

Kaliński, Janusz, *Gospodarka w PRL*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2012

Karcz, Zbigniew, *Zadłużenie zagraniczne Polski*, Difin, Warszawa 2006

Klich-Kluczewska, Barbara, *Rodzina, tabu i komunizm w Polsce 1956–1989*, Libron, Kraków 2015

Kochanowski, Jerzy, *Tylnymi drzwiami. Czarny rynek w Polsce, 1944–1989*, Neriton, Warszawa 2010

Kołodko, Grzegorz, *Kryzys, dostosowanie, rozwój*, Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1989

Kosiński, Krzysztof, *Historia pijaństwa w czasach PRL*, Instytut Historyczny PAN, Warszawa 2008

Kosiński, Krzysztof, *Oficjalne i prywatne życie młodzieży w czasach PRL*, Rosner i Wspólnicy, Warszawa 2006

Kot, Wiesław, *PRL. Jak cudnie się żyło*, Publicat, Poznań 2008

Kula, Marcin (red.), *Kłopoty z seksem w PRL. Rodzenie nie całkiem po ludzku, aborcja, choroby, odmienności*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2012

Kurkowska-Budzan, Marta, Marcin Stasiak, *Stadion na peryferiach*, Universitas, Kraków 2016

Landau, Zbigniew, Wojciech Roszkowski, *Polityka gospodarcza II RP i PRL*, Polskie Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1995

Leach, Neil (red.), *Architecture and Revolution: Contemporary Perspectives on Central and Eastern Europe*, Routledge, New York 1999

Leszczyński, Adam, *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych 1943–1980*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013

Majmurek, Jakub, Piotr Szumlewicz (red.), *PRL bez uprzedzeń*, „Książka i Prasa", Warszawa 2010

Majowski, Marcin, *Polska Ludowa zaprasza. Polityka turystyczna w czasach Edwarda Gierka*, Trio, Warszawa 2008

Markowski, Stanisław, *Spożycie w Polsce Ludowej*, CRZZ, Warszawa 1972

Materka, Edyta, *Dystopia's Provocateurs: Peasants, State, and Informality in the Polish-German Borderlands*, Indiana University Press, Bloomington 2017

Mazerska, Ewa, *Poland Daily: Economy, Work, Consumption, and Social Class in Polish Cinema*, Berghahn Books, New York 2017

Mazurek, Małgorzata, *Socjalistyczny zakład pracy. Porównanie fabrycznej codzienności w PRL i NRD u progu lat sześćdziesiątych*, Trio, Warszawa 2005

Mazurek, Małgorzata, *Społeczeństwo kolejki. O doświadczeniach niedoboru, 1945–1989*, Trio, Warszawa 2010

Mórawski, Karol, *Syrena. Samochód PRL*, Trio, Warszawa 2007

Nagengast, Carole, *Reluctant Socialists, Rural Entrepreneurs*, Westview Press, Boulder 1991

Patton, Raymond, *Punk Crisis: The Global Punk Rock Revolution*, Oxford University Press, New York 2018

Pleskot, Patryk, *Wielki mały ekran. Telewizja a codzienność Polaków w latach sześćdziesiątych*, Trio, Warszawa 2007

Słabek, Henryk, *Inaczej o historii Polski 1945–1989*, Philip Wilson, Warszawa 2000

Słabek, Henryk, *O społecznej historii polski, 1945–1989*, Książka i Wiedza, Warszawa 2009

Sosnowska, Anna, *Zrozumieć zacofanie. Spory historyków o Europę Wschodnią, 1947–1994*, Trio, Warszawa 2004

Szulc, Łukasz, *Transnational Homosexuals in Communist Poland: Cross-Border Flows in Gay and Lesbian Magazines*, Palgrave, London 2018

Szpak, Ewelina, *Mentalność ludności wiejskiej w PRL. Studium zmian*, Scholar, Warszawa 2013

Tymiński, Maciej, PZPR *i przedsiębiorstwo. Nadzór partyjny nad zakładami przemysłowymi 1956–1970*, Trio, Warszawa 2001

Żółtkowski, Wiesław (red.), *Zrozumieć PRL*, Muza, Warszawa 2012

ROZDZIAŁ JEDENASTY

KONIEC PRL, 1976–1989

„Solidarność" w latach 1980–1981 była niezwykłym ruchem społecznym, za sprawą którego przeszło połowa dorosłych Polek i Polaków brała udział w pokojowych protestach o bardzo różnorodnym charakterze światopoglądowym i ideologicznym. Rzadko kiedy nazwa tak dobrze pasuje do zjawiska. Przez ponad rok PZPR była pogrążona w chaosie i rozpaczliwie próbowała sobie radzić z tym ogromnym masowym fenomenem. Ostatecznie skończyło się użyciem wojska. Stan wojenny okazał się jednak traumą również dla samych komunistów. Niecałą dekadę później PZPR i PRL odeszły do przeszłości. Wydawało się oczywiste, że doprowadziła do tego „Solidarność", lecz cała opowieść jest nieco bardziej skomplikowana. Komunizm upadł w 1989 roku nie dlatego, że opozycja odebrała władzę znienawidzonemu reżimowi; doszło raczej do wynegocjowanego porozumienia między słabą partią komunistyczną a równie słabymi antykomunistami. Obie strony próbowały znaleźć wyjście z kryzysu gospodarczego i politycznego. Dróg było niewiele, a zawarta umowa została przyjęta w Polsce nieufnie i ambiwalentnie. Co prawda mieszkańcy kraju byli o wiele bardziej aktywni politycznie niż reszta obywateli bloku wschodniego, ale na ulicach Warszawy i Krakowa nie świętowano jak w Berlinie czy Pradze. Nikt nie wiedział,

co przyniesie przyszłość ani które elementy przeszłości zostaną odrzucone – i czy w ogóle należy je odrzucać. Rok 1989 to z pewnością ważna data w polskiej historii zasługująca na upamiętnianie, jednak ludzie nie byli wówczas pewni, co dokładnie się stało i kto wygrał. Ba, nadal istnieją w tych kwestiach rozmaite wątpliwości.

Bunt i opozycja

W latach osiemdziesiątych w Polsce często przeciwstawiano sobie państwo i społeczeństwo, jak gdyby toczyła się tytaniczna walka między siłami zła i dobra. Obraz ten może zapewniać poprawę samopoczucia moralnego, ale zarazem jest mylącym uproszczeniem. Masowe demonstracje na początku dekady oraz wybory parlamentarne zorganizowane u jej schyłku dowodzą, że wśród obywateli panowało głębokie niezadowolenie. Istniały jednak wielorakie podziały. Różnym ludziom nie podobały się różne rzeczy. Różni ludzie wskazywali różnych winowajców i postulowali bardzo różne działania. Nie należy też zapominać, że ogromna część Polaków nie zdecydowała się na uczestnictwo w protestach ani na działalność opozycyjną. Jedni popierali PZPR, inni obawiali się konsekwencji, jeszcze innych sprawy te zwyczajnie nic a nic nie obchodziły. Antykomunistyczna opozycja nie reprezentowała całości społeczeństwa, podobnie jak komuniści nie reprezentowali całego „ludu pracującego", choć oczywiście obie strony twierdziły, że wypowiadają się w imieniu „narodu", jak

gdyby jeden głos był zdolny wyrazić tak wiele odmiennych dążeń i postulatów.

Spróbujmy zredukować (kto wie, czy nie nadmiernie) tę różnorodność. Opozycję można roboczo i nie całkiem precyzyjnie podzielić na trzy grupy: dysydentów, działaczy robotniczych i Kościół[1]. W skład pierwszej, cieszącej się sławą na Zachodzie, wchodzili przede wszystkim intelektualiści, osoby dobrze wykształcone, charyzmatyczne i elokwentne, między innymi poeci, artyści, uczeni i myśliciele. Spora część znała co najmniej jeden język obcy. W sensie społecznym przedstawiciele i przedstawicielki tej grupy stanowili elitę, ale nieskrywana wrogość wobec PZPR nierzadko utrudniała im zdobycie porządnej pracy, a nawet skazywała na życie na granicy ubóstwa. Dysydentów często wsadzano do więzień i to na długo, a wielu musiało udać się na emigrację. Spory odsetek popierał niegdyś komunistów i wierzył w rewolucję. Rozczarowanie przychodziło w różnych momentach. Jedni byli sfrustrowani, że Gomułka nie zdołał zdemokratyzować kraju po 1956 roku, innych oburzył wulgarny flirt z antysemityzmem w roku 1968, dla niektórych zaś czara goryczy przelała się po brutalnym stłumieniu protestów w roku 1970. Z reguły dysydenci opowiadali się za jakiegoś rodzaju socjalizmem lub przynajmniej liberalizmem o lewicowym odchyleniu, ale samą PZPR uważali za skorumpowaną i autorytarną organizację, hamulcowego sprawiedliwości społecznej i demokracji. Ponieważ wygłaszali krytykę z pozycji lewicy, władze państwowe uważały ich za szczególne zagrożenie. Istniał też mniejszy, choć ważny, segment dysydenckiej inteligencji, akcentujący idee

narodowe i bliżej powiązany z Kościołem (o czym więcej za chwilę).

1 Trzeba podkreślić, że to niezwykle płynne kategorie. Nie można zastąpić problematycznej dychotomii „państwo–społeczeństwo" innym trój-, czwór- czy wstaw-dowolną-liczbę-podziałem, źródłem błędu jest bowiem mylenie heurystycznej abstrakcji z realnym podmiotem historycznym.

Najsłynniejszym dysydentem, wzorcową postacią całej grupy, był Jacek Kuroń. Dawniej, w latach pięćdziesiątych, odgrywał ważną rolę w komunistycznym harcerstwie, ale antydemokratyczna polityka Gomułki zepchnęła go do opozycji. W roku 1965 wraz z Karolem Modzelewskim napisał list otwarty do Partii, zawierający krytykę rozrastającej się partyjnej biurokracji i postulujący wprowadzenie radykalnej demokracji partycypacyjnej. Ów akt buntu kosztował go dwa lata więzienia. Krótko po wyjściu został ponownie aresztowany i skazany na kolejne trzy i pół roku. Jego poglądy ewoluowały, ale nigdy nie wyrzekł się egalitarnych i demokratycznych ideałów. Do uczniów Kuronia należał student Uniwersytetu Warszawskiego nazwiskiem Adam Michnik. Władze uczelni zawiesiły go za kolportowanie listu otwartego, po czym wydaliły za udział w protestach w 1968 roku. Kuroń i Michnik to dysydenci najlepiej znani poza granicami Polski, nie działali jednak samotnie. Nim przyszły lata siedemdziesiąte, rozmaici pisarze, artyści i uczeni zerwali więzi z PZPR w przekonaniu, że ta skostniała, niedołężna instytucja nie zdoła przeprowadzić prawdziwych reform.

Dysydenci stworzyli największe niezależne wydawnictwa w bloku wschodnim. Rozpowszechniali teksty krytyczne wo-

bec komunizmu, tłumaczenia zagranicznej publicystyki, a nawet gazety i czasopisma poświęcone bieżącym sprawom. W PRL taka działalność była zakazana, toteż musiała powstać podziemna sieć drukarzy i kolporterów. Z początku nakłady sięgały tylko kilkuset egzemplarzy, ale nielegalne wydawnictwa szybko się mnożyły. Zdarzały się nakłady piętnastotysięczne. Największe wydawnictwo, NOWa (Niezależna Oficyna Wydawnicza), powstało w 1977 roku. Za jej sprawą ukazały się 294 książki i 144 czasopisma. Później rozszerzyła działalność na kasety magnetofonowe i magnetowidowe. Jakość zawsze była niska, papier cienki jak bibułka, a litery maleńkie, lecz polscy inteligenci uważali te publikacje za prawdziwe skarby. Działacze odpowiedzialni za druk i dystrybucję musieli toczyć nieustanną grę w kotka i myszkę ze służbą bezpieczeństwa, która nigdy nie zdołała wyplenić podziemnych wydawnictw[2].

2 Paweł Sowiński, *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2011.

Z drugiej strony NOWa i inni docierali tylko do znikomego odsetka populacji. Sporą część nielegalnych książek stanowiły dzieła z zakresu filozofii politycznej, historii i literatury, przeznaczone dla wąskiego grona odbiorców. Dysydenci (i dysydentki, których jednak było dużo mniej) uosabiali najlepsze i najgorsze aspekty polskiej inteligencji. Byli niezłomni i oddani misji społecznej, a zarazem grzeszyli elitarystyczną wyniosłością w kwestiach kultury i wykształcenia. Z reguły wzbraniali się przed nacjonalizmem (odróżniając go od patriotyzmu, który mieli za znacznie szlachetniejszy). Wielu

prezentowało postawę antyklerykalną lub wręcz antyreligijną. Za sprawą elokwencji, znajomości języków obcych i ogólnej ogłady zyskiwali posłuch za granicą. Równocześnie właśnie z powodu tych cech trudno było im dotrzeć do rodaków z klasy pracującej.

Klasa pracująca dorobiła się własnych działaczy opozycyjnych, aczkolwiek musieli się oni mocniej ukrywać. (Dysydentów władza prześladowała, niekiedy wtrącała ich do więzień, ale nie mogła się posunąć za daleko z obawy przed międzynarodowym skandalem). Od pierwszych dni istnienia PRL sen z powiek spędzała komunistom perspektywa powstania niezależnych związków zawodowych. Jak już pisałem, kiedy wybuchały strajki, władze z reguły wychodziły naprzeciw materialnym oczekiwaniom robotników, a po wszystkim wyłapywały i karały organizatorów. Zazwyczaj kara polegała na degradacji lub zwolnieniu z pracy, w skrajnych przypadkach kończyło się aresztowaniem. Osoby z plamą w życiorysie musiały imać się nisko płatnych i prostych prac, nie miały szans na przydział dobrego mieszkania. Niekiedy ich dzieci traciły wstęp do upragnionych szkół lub zawodów.

Strategia PZPR przynosiła skutki przeciwne do zamierzonych. Co prawda wielu robotników dawało się zastraszyć, gdy widzieli, co spotyka „podżegaczy", ale strajki ewidentnie działały. Ponadto niektóre osoby wpisane na czarną listę nabierały determinacji, choćby Lech Wałęsa, który jako dwudziestosiedmioletni elektryk z Gdańska współorganizował w 1970 roku strajki zakończone interwencją wojska. Był później wielokrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany przez

bezpiekę, aczkolwiek nigdy nie skazano go na długie więzienie. Najprawdopodobniej w latach 1970–1973 współpracował ze służbą bezpieczeństwa, choć nie jest to równoznaczne z popieraniem PZPR czy zdradą opozycji na dłuższą metę. Przez kilka lat zdołał utrzymać pracę; wyleciał dopiero w 1976 roku. Znalazł zatrudnienie w innym przedsiębiorstwie, lecz stamtąd również go zwolniono. W roku 1979 przyjęto go w kolejnym zakładzie. Po paru miesiącach dostał wypowiedzenie – co, jak się za chwilę przekonamy, miało ogromne konsekwencje.

Ta historia dobrze obrazuje dynamikę aktywizmu pracowniczego w PRL. Państwo było dostatecznie dyktatorskie, by zakazać tworzenia niezależnych związków zawodowych, prześladować, inwigilować i przesłuchiwać działaczy, a także wymuszać na przedsiębiorstwach zwalnianie z pracy krnąbrnych robotników, jednak w latach siedemdziesiątych nie chciało już zamykać osób pokroju Wałęsy w więzieniach, a co dopiero sprawiać, by „zniknęły" raz na zawsze (niektóre reżimy autorytarne w tamtej epoce nie miały podobnych obiekcji). W partii nie brakowało zwolenników stosowania okrutniejszych środków, ale zasadniczo komuniści pragnęli poparcia klasy robotniczej. Służby bezpieczeństwa uważały, że zdołają się więcej dowiedzieć, jeśli będą pilnie obserwować i przesłuchiwać takie osoby jak Wałęsa[3]. Ponadto otwarcie się na zachodnie rynki oraz pożyczki zaciągane przez Gierka oznaczały, że władza musiała postępować ostrożnie, unikając protestów społecznych i brutalnych represji, bo należało dbać

o wizerunek Polski jako kraju stabilnego i zamożnego – w przeciwnym razie odsetki od długu poszybowałyby w górę.

3 Służby nieraz zdołały zastraszyć działaczy, zwłaszcza mniej doświadczonych, i przekonać ich, by ujawnili informacje na temat kolegów i koleżanek oraz ich działalności. Zdarzyło się to prawdopodobnie także Lechowi Wałęsie na początku lat siedemdziesiątych, o czym przypominali później jego przeciwnicy polityczni, by go dyskredytować.

Aż do późnych lat siedemdziesiątych ścieżki inteligenckich dysydentów i aktywistów rzadko kiedy się przecinały. Poniekąd była to kwestia pozostałości po głębokich podziałach na szlachtę i chłopstwo. Szlachta trwała w przekonaniu o swej wyższości, choć straciła uprzywilejowaną pozycję w gospodarce na skutek industrializacji w okresie międzywojennym i konfiskaty majątków ziemskich w latach czterdziestych. Jej przedstawiciele, pozbawieni ziemi i większości pieniędzy, wybrali karierę w administracji, zawodach prawniczych, lekarskich, na uczelniach i tak dalej. Część intelektualistów miała szlacheckie pochodzenie. Pozostali niekiedy utożsamiali się ze szlachtą lub z jej wartościami i przypisywali sobie szczególną rolę w historii Polski. Nie brakowało też osób wywodzących się z przedindustrialnego mieszczaństwa, na które składała się charakterystyczna mieszanka etniczna Polaków, Żydów i innych grup. Rzadko zdarzało się, by inteligent miał pochodzenie chłopskie lub robotnicze. Staliniści ustanowili specjalne programy, by zwiększyć liczbę chłopów i robotników z dyplomami uniwersyteckimi, Gomułka jednak w dużym stopniu się z tego wycofał. W roku akademickim 1958/1959 ponownie większość studentów stanowiły osoby

z rodzin inteligenckich i szlacheckich, zwłaszcza na elitarnych uczelniach w rodzaju Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego[4]. Słowem, nawet w późnym XX wieku, kiedy gospodarka folwarczna dawno odeszła w przeszłość, kulturowy podział na byłą szlachtę i „jej" byłych chłopów nadal wpływał na życie społeczne, aczkolwiek w coraz mniejszym stopniu. Podtrzymywały go rozmaite drobne praktyki: preferowane rozrywki, mody, diety lub sposoby wysławiania się. Osoby o szlacheckim pochodzeniu (albo kulturowo identyfikujące się ze szlachtą) potrafiły bez trudu ocenić, czy ktoś jest „z dobrej rodziny".

4 Na temat porażki, którą poniosły władze PRL we wprowadzaniu większej różnorodności klasowej na uczelniach – zob. Longina Jakubowska, *Patrons of History: Nobility, Capital, and Political Transitions in Poland*, Ashgate, Farnham 2012, s. 162.

Pod względem kulturowym robotnikom było bliżej do partyjnych dygnitarzy, ci bowiem zazwyczaj wywodzili się z proletariatu (zwłaszcza w pierwszych dekadach istnienia PRL). Jednych i drugich śmieszyły podobne dowcipy, jedni i drudzy mieli podobne powiedzonka, demonstrowali brak wyszukanych manier, a nawet pogardę wobec nich. Jednak na przestrzeni lat siedemdziesiątych pogarszający się kryzys gospodarczy i konsekwentne tłumienie aktywizmu pracowniczego przez partię zaczęły dawać o sobie znać. Stara retoryka ustroju brzmiała coraz mniej przekonująco. Dygnitarzom trudno było znaleźć wspólny język z robotnikami. Rozwój konsumpcjonizmu i powszechne rozczarowanie polityką sprawiały, że reakcją na marksistowskie slogany stało się raczej pojękiwa-

nie i przewracanie oczami, a nie entuzjastyczny aplauz. „Narodowy" element narodowego komunizmu nadal odbijał się szerokim echem, ale głównie w negatywnym sensie – partia potrafiła podsycać wrogość przeciwko wrogom ojczyzny (prawdziwym i wyobrażonym), lecz nie przekładało się to na aktywne poparcie dla jej ogólnej polityki. Po stłumieniu protestów w 1970 roku i innych lokalnych, mniej dramatycznych aktach represji wobec aktywistów pracowniczych wierchuszka PZPR nie reprezentowała już chyba nikogo poza samą sobą.

Dało to szansę antykomunistycznym inteligentom. Gdy w 1976 roku władza użyła brutalnej siły przeciwko strajkującym w Radomiu, dysydenci zwietrzyli szansę wyjścia poza krąg wielkomiejskiej inteligencji. Powstał wówczas Komitet Obrony Robotników (KOR), organizacja zapewniająca osobom aresztowanym po zajściach radomskich pomoc prawną, zbierająca fundusze dla ich rodzin i wspierająca w załatwianiu mieszkań czy pracy. Ponadto członkowie KOR-u wykorzystywali kontakty w mediach, by nagłaśniać działalność pączkującego ruchu pracowniczego. Konkretna pomoc, jaką nieśli, w niemałym stopniu przyczyniła się do zasypania podziałów kulturowych. Zarazem KOR wskazywał na niezadowolenie robotników, by w ten sposób podważać legitymizację PZPR, a codzienne problemy gospodarcze wplatał w krytykę filozoficzną i ideologiczną. Przykładem tej retorycznej mieszanki jest dokument pod tytułem *Apel do społeczeństwa*, przygotowany przez KOR w roku 1978. Pierwsza część tekstu dotyczyła podwyżek cen, niewydolnej ochrony zdrowia, braku mieszkań, rosnących nierówności i „eksploatacji robotników".

Język przywodził na myśl rozmaite dwudziestowieczne publikacje socjalistyczne i związkowe, co nadawało mu szczególnej mocy, skoro wymierzony był w rzekomo socjalistyczny rząd. Równie interesująco brzmiała część druga, poświęcona kwestiom politycznym i kulturalnym. W punkcie ósmym krytykowano państwo za „drastyczne ograniczenie zakresu i swobody badań naukowych i ogłaszania ich wyników, zwłaszcza w dziedzinach humanistycznych jak filozofia, ekonomia, socjologia czy historia". I dalej:

> Na coraz rozleglejsze obszary milczenia, wyjałowione przez dyskryminację żywej kultury współczesnej, wkracza – w monstrualnie rozdętej i wszechobecnej postaci – uprzywilejowany przez politykę kulturalną produkt zastępczy – wielopostaciowa rozrywka, rozliczne festiwale przebojów piosenkarskich, licha namiastka kultury. Ona to stanowi w istocie główny obiekt upowszechniania i spełnia rolę zagłuszania głębszych aspiracji kulturowych społeczeństwa i systematycznego obniżania jego potrzeb duchowych. Najwybitniejsi przedstawiciele nauki i kultury objęci są zakazem publikacji. Ambitniejsze filmy nie są dopuszczane na ekrany[5].

5 Cyt. za: Jan Józef Lipski, *KOR*, NOWA, Warszawa 1983, s. 325–330.

Wyrażają się tu zarówno wielkie osiągnięcia niepewnego sojuszu między inteligencją i robotnikami, jak i towarzyszące

mu trwałe bariery. Inteligencja nie ceniła masowej kultury konsumpcyjnej, toteż trudno było jej stawać w szeregu z tymi, którzy woleli pop zamiast muzyki klasycznej czy rozrywkę zamiast „ambitniejszych filmów". Jednak mimo podziałów kulturowych działacze z obu środowisk mieli świadomość, że stawką w grze jest rozwiązanie pilnych i konkretnych problemów, na tym gruncie zatem mogło dojść do niezdarnego aliansu przeciwko komunistom.

Co istotne, cytowany tu dokument KOR-u powoływał się też na autorytet polskiego episkopatu, potępiającego kulturę masową. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Kościół znajdował się w niewygodnym położeniu. Z jednej strony komunizm i katolicyzm były nie do pogodzenia, zwłaszcza w ich dwudziestowiecznych postaciach, a zapewne również na bardziej fundamentalnym poziomie, jako dwie uniwersalistyczne wiary, ściśle i w odmienny sposób definiujące swe prawdy. Z drugiej strony po 1956 roku episkopat i PZPR zawarły milczące porozumienie: dopóki księża nie mieszali się do polityki, dopóty państwo powstrzymywało się od antyklerykalnej agresji, charakterystycznej dla okresu stalinizmu. Obie strony łamały czasem tę ugodę, niemniej ogólnie rzecz biorąc, kształtowała ona stosunki między państwem a Kościołem.

Kościół cieszył się autonomią wewnętrzną niespotykaną w innych krajach bloku wschodniego. W Polsce działała jedyna niezależna – choć ściśle kontrolowana przez władzę – uczelnia, czyli Katolicki Uniwersytet Lubelski, oraz jedyne niezależne, aczkolwiek poddawane cenzurze czasopismo, „Tygodnik Powszechny". Jeżeli ktoś chciał robić karierę na

szczycie hierarchii partyjnej lub gospodarczej, nie mógł zanadto obnosić się ze swoją wiarą, zasadniczo jednak nie utrudniano nikomu praktyk religijnych. Niemal wszystkie dzieci w Polsce były ochrzczone (również dzieci członków PZPR), zdecydowana większość ślubów i pogrzebów odbywała się w kościołach. Uczestnictwo we mszach utrzymywało się na wysokim poziomie jak na standardy europejskie, seminaria bez problemu rekrutowały nowych kandydatów. Jeśli przyjąć za wskaźnik liczbę budynków kościelnych, parafii albo osób duchownych, okaże się, że w okresie komunistycznym Kościół był silniejszy pod względem instytucjonalnym i kulturowym niż kiedykolwiek wcześniej i kiedykolwiek później[6].

6 Zbigniew Adamowicz, Alicja Wójcik, *Ludność Polski według wyznań*, [w:] Jan Jachmyk (red.), *Religia i Kościół rzymskokatolicki w polskiej myśli politycznej, 1919–1993*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995, s. 25–26.

Rozwój Kościoła katolickiego w Polsce (1946=100)

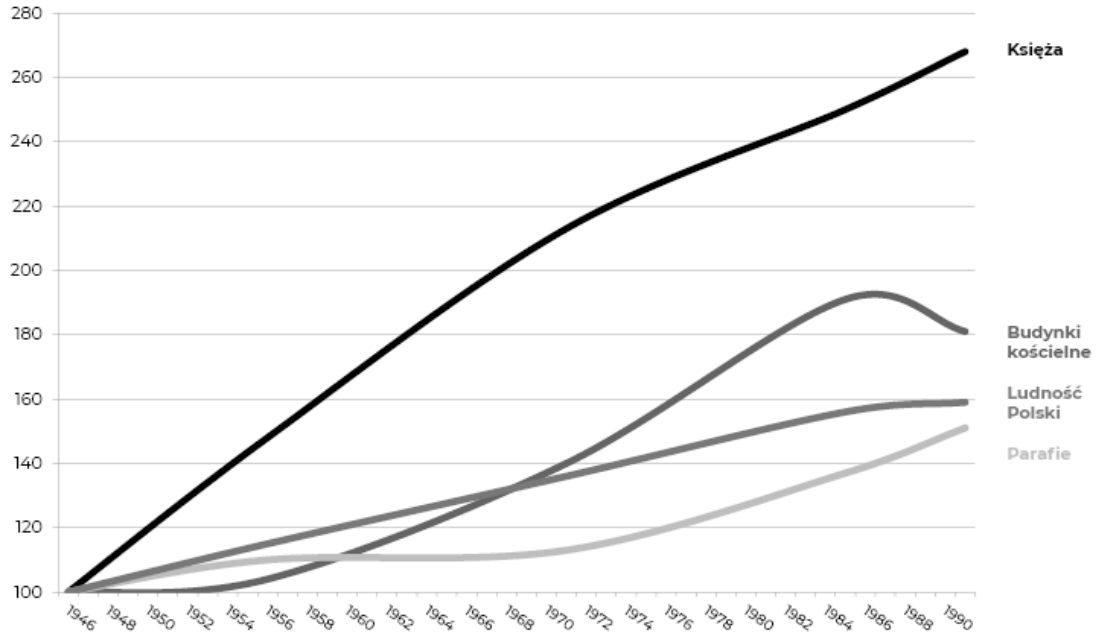

Wszystko to stawiało kler w niewygodnym położeniu. Prymas Stefan Wyszyński należał do najbardziej wpływowych ludzi w Polsce, podczas gdy jego odpowiedników w innych krajach Europy Wschodniej wtrącano do więzień, zmuszano do emigracji lub do posłuszeństwa. Przywódcy Kościoła nie bez podstaw obawiali się, że PZPR w każdej chwili może wrócić do twardej antyklerykalnej polityki, więc postępowali bardzo ostrożnie. Episkopat wystosowywał od czasu do czasu listy otwarte, krytykujące konkretne działania państwa, a wielu księży wygłaszało jawnie antykomunistyczne kazania, choć hierarchowie zalecali, by unikać politycznego zaangażowania. Państwowe media nadal przedstawiały Kościół w negatywnym świetle, a służba bezpieczeństwa śledziła i nękała duchownych, niemniej represje, spotykane powszechnie w in-

nych państwach regionu, zdarzały się w Polsce tylko w wyjątkowych przypadkach.

Sytuację komplikował fakt, że większość dostojników kościelnych podejrzliwie odnosiła się do dysydentów – i z wzajemnością. Wciąż pamiętano okres międzywojenny i ostre konflikty między sekularyzującą się elitą a coraz bardziej nacjonalistycznie nastawionym Kościołem. Katolicyzm utożsamiano wówczas z endecją, a nieproporcjonalnie duży odsetek inteligentów sympatyzował z lewicą. Część intelektualistów z radością przyjęła marginalizację religii po drugiej wojnie światowej, uważając, że katolicyzm i PZPR są niemal równie groźne. Z kolei duchowni często określali dysydentów i komunistów mianem „różowych i czerwonych", podkreślając, że ci pierwsi nie są dużo lepsi od drugich.

Pojedyncze osoby próbowały doprowadzić do pojednania. W roku 1977 Adam Michnik opublikował głośny apel o dialog między katolikami i lewicą. Przekonywał, że należy stanąć razem przeciwko wspólnemu wrogowi, czyli komunistom. Na użytek swoich inteligenckich odbiorców przedstawiał ówczesny Kościół jako instytucję, która przeszła głębokie przemiany i zerwała z nacjonalizmem lat trzydziestych[7]. Opierał ten optymizm na lekturze tekstów nowego pokolenia księży i świeckich katolików. Weszło ono na scenę w okresie soboru watykańskiego II, zdawało się oddane idei praw człowieka i obywatela. Michnik miał na myśli głównie środowisko „Tygodnika Powszechnego" od dawna opowiadające się za pogodzeniem wiary i nowoczesności. Patronem pisma był arcybi-

skup Krakowa, który to urząd od 1963 roku sprawował Karol Wojtyła.

7 Adam Michnik, *Kościół, lewica, dialog*, Instytut Literacki, Paryż 1977.

Aby w pełni zrozumieć rolę odgrywaną przez Wojtyłę, musimy pamiętać, skąd się wziął. Reformy w Kościele w latach sześćdziesiątych nie ominęły Polski, ale episkopat i większość księży pozostali głęboko konserwatywni. Liberalizm, a co dopiero socjalizm, traktowali jako straszliwych wrogów. Również nowoczesność postrzegali jako zło. Na przykład biskup pomocniczy diecezji lubelskiej Zygmunt Kamiński mówił w jednym z kazań, że obie strony zimnowojennego konfliktu w niebezpieczny sposób przeinaczały sens wolności. W komunizmie, utyskiwał, media mogą głosić ateistyczny przekaz i zagłuszać Słowo Boże. Natomiast na Zachodzie:

> Ludzie mają nadmiar wolności. Jak ktoś ma dużo pieniędzy, to może iść do drukarni i powie: mam pięć tysięcy zdjęć pornograficznych i chcę to wydać. Proszę bardzo – nie ma żadnych zakazów. Pieniądz się ceni, nie człowieka, nie mądrość, tylko pieniądz. [...] U nas natomiast człowiek ma za mało wolności. [...] Widzę rozwój tej wolności, ale ciągle, ciągle jest jej za mało. W telewizji, w radio, to jest tylko jeden światopogląd, mianowicie tylko ateistyczny[8].

8 *Stenogram kazania wygłoszonego przez bpa Z. Kamińskiego w Olchowcu do młodzieży w dniu 12.07.1980 r. o godz. 18.00*, Archiwum Akt Nowych, Zbiór Urzędu ds. Wyznań, Sygn. 125/214, s. 14–20.

Przy innej okazji stwierdzał:

> Wolności człowiek może mieć nadmiar albo brak. I my jesteśmy trochę w lepszej sytuacji aniżeli Zachód. Na Zachodzie problem wolności dochodzi do absurdu. W niektórych miejscach, np. w Londynie, w Hyde Parku, może sobie każdy przyjść, stanąć na jakimś stołku i wymyślać królowi Anglii i premierowi mówić, że cała polityka Anglii jest idiotyczna[9].

9 *Stenogram wystąpienia biskupa Z. Kamińskiego w trakcie spotkania z młodzieżą w parafii Bełżyce w dniu 17.XI.1979 r. w godz. 19–20.00*, Archiwum Akt Nowych, Zbiór Urzędu ds. Wyznań, Sygn. 125–214, s. 100–110. Zob. także Brian Porter-Szűcs, *Faith and Fatherland: Catholicism, Modernity and Poland*, Oxford University Press, New York 2011, s. 192–193.

Tymczasem przecież większość dysydentów – ba, większość młodych Polek i Polaków – domagała się prawa, by móc stanąć w parku i „nawymyślać" przywódcom kraju. Na tym tle kazania i pisma Karola Wojtyły stanowiły powiew świeżego powietrza. Posługiwał się on stylem powszednim i intymnym, nie wygłaszał tyrad jak inni duchowni. Ponadto głosił nowe idee: był jednym z pierwszych ważnych księży w Polsce, którzy mówili o prawach człowieka. Gorąco popierał „postęp" w życiu społecznym, kulturalnym, intelektualnym i gospodarczym. W kazaniu z 1974 roku stwierdzał:

> Zrozumieliśmy też dobrze, że dzieło wyzwolenia człowieka jest wielorakie. Chodzi nie tylko o wyzwolenie człowieka z materialnej nędzy, z niesprawie-

> dliwości struktur społecznych, politycznych i ekonomicznych, które przyczyniają się do tej nędzy, ale chodzi również o wyzwolenie człowieka w znaczeniu duchownym, od wszelkich ograniczeń, od wszelkiej niewoli ducha. Dotyczy to takich spraw jak – wolność sumienia, wolność religii. Te sprawy, te wielkie zmagania o wyzwolenie człowieka Kościół stawia i musi stawiać na równi ze zmaganiem się o sprawiedliwość społeczną w dziedzinie dóbr doczesnych, ekonomicznych. Bo człowiek jest jeden cały, z duszy i ciała, nie można wyzwalać jego ciała, niewoląc jego duszę[10].

10 *Stenogram kazania kard. K. Wojtyły wygłoszonego w dniu 31 grudnia 1974 r. o godz. 18.00 w kościele parafialnym św. Szczepana w Krakowie*, Archiwum Akt Nowych, Zbiór Urzędu ds. Wyznań, Sygn. 125–272, s. 4.

Skoro dysydenci w rodzaju Michnika opowiadali się za dialogiem, a księża w rodzaju Wojtyły mówili o wolności sumienia, powstała szansa zawiązania sojuszu, który jeszcze pokolenie wcześniej (i jak się miało okazać, pokolenie później) byłby nie do pomyślenia. Pierwsze oznaki współpracy, głównie na poziomie lokalnym, dostrzec można już w połowie lat siedemdziesiątych. Prawdziwy punkt zwrotny dokonał się w roku 1978, za sprawą decyzji podjętej w Rzymie. Kolegium kardynalskie zebrało się, by wskazać nowego papieża. Ku powszechnemu zaskoczeniu po pięciu stuleciach wybór padł nie na Włocha, lecz na kardynała Wojtyłę. W Polsce zapanowała radość; nawet członkowie Partii czuli dumę, że ich ojczyznę

spotkał tak wielki zaszczyt. Kierownictwo PZPR wysłało gratulacje, trzygodzinną uroczystość koronacji papieża transmitowała na żywo telewizja (pierwszy raz na ekranach pojawiła się relacja z mszy świętej). Władze szybko pożałowały początkowego entuzjazmu. W 1979 roku papież przyjechał do Polski z oficjalną pielgrzymką. Żaden inny kraj bloku wschodniego nie zgodziłby się na wizytę, ale legitymizacja PZPR mocno osłabła i Gierek nie mógł odmówić Janowi Pawłowi II.

Pielgrzymka z 1979 roku okazała się wyjątkowym wydarzeniem we współczesnej polskiej historii. Według niektórych – prawdopodobnie przesadzonych – szacunków aż 13 milionów ludzi, czyli blisko jedna trzecia populacji, zjawiło się, by oglądać papieża podczas trwającej osiem dni wizyty. Miliony przyszły na msze w Warszawie i Krakowie. Adam Michnik, który nie był katolikiem, wspominał później: „W czerwcu 1979 roku przeżyłem jedną z tych chwil w moim życiu, które dały mi poczucie, że żyje się po coś. [...] Absolutnie nie miałem poczucia żadnego oddzielenia. Obok mnie klęczał ksiądz katolicki, ale nikt na tym placu nie miał takiego pomysłu, żeby ludzi dzielić. Było naturalne, że jesteśmy razem. Na tym polegała siła tego przesłania, że ono nikogo nie oddzielało”[11]. Ten cytat dobitnie uświadamia, czemu Jan Paweł II odegrał tak wielką rolę w polskiej i światowej historii końca XX wieku. Treść jego kazań i encyklik liczyła się mniej niż nieprawdopodobna symboliczna i emocjonalna siła jego osoby. Ludzie uczestniczący w mszach papieskich (miałem szczęście dołączyć do tego grona podczas pielgrzymki w 1987 roku) pami-

ętają przede wszystkim uczucie solidarności społecznej lub więzi duchowej, a nie konkretne słowa wypowiedziane podczas kazania. Chodziło przede wszystkim o doświadczenie, o to, że bliskość papieża na krótki, lecz doniosły moment czyniła z ludzi wspólnotę. Jan Paweł II dobrze zdawał sobie z tego sprawę, toteż podróżował więcej niż wszyscy jego poprzednicy. Ogółem odbył 104 pielgrzymki zagraniczne i pokonał łącznie ponad milion kilometrów.

11 Adam Michnik, Józef Tischner, Jacek Żakowski, *Między panem a plebanem*, Znak, Kraków 1998, s. 287, 290.

Wizyta w Polsce w 1979 roku wypełniła próżnię społeczną powstałą wskutek alienujących, indywidualizujących procesów urbanizacji. Przez moment ludzie mieli wrażenie, że tworzą wspólnotę, jakiej PZPR nigdy nie zdołałaby zbudować. Jan Paweł II nie spowodował bezpośrednio tego, co wydarzyło się w 1980, jednak to dzięki niemu miliony ludzi zaznały przełomowego doświadczenia, które bardzo ułatwiło późniejszy bieg spraw. Papież sprawił przede wszystkim, że ludzie poczuli głęboką więź, przekraczającą podziały ideologiczne, religijne, edukacyjne, zawodowe czy regionalne. Poczuli się solidarni – a to otworzyło drzwi Solidarności pisanej przez duże „S”.

„Solidarność”

Pod koniec lat siedemdziesiątych Edward Gierek stanął przed tymi samymi problemami, które dekadę wcześniej doprowadziły do upadku Władysława Gomułki. Pierwszy sekretarz nie potrafił zaspokoić rosnących oczekiwań Polaków co do standardu życia, a zarazem zapewnić środków inwestycyjnych w celu pobudzania wzrostu. Jego sytuacja była wręcz gorsza niż sytuacja poprzednika z powodu ogromnego długu zagranicznego, który zaciągnął. Doradcy przekonywali, że trzeba zmusić Polaków do zaciśnięcia pasa i spłacić pożyczki. W gospodarce komunistycznej drastyczne oszczędności można było poczynić albo przez obniżkę płac, albo przez podwyżkę cen, gdyż państwo kontrolowało jedno i drugie. Tyle że niełatwo skłonić obywateli, by znosili trudy, bo państwo musi uregulować dług zagraniczny (przekonało się o tym wiele rządów Ameryki Łacińskiej w latach osiemdziesiątych i wiele krajów europejskich w drugiej dekadzie XXI wieku). Gierek spodziewał się kłopotów.

Ceny zaczęły stopniowo iść w górę od 1976 roku. Płace realne (skorygowane o inflację) wzrosły między 1971 a 1975 rokiem o 6,8 procent, w latach 1976–1977 nastąpiło spowolnienie do 1,3 procent. Mimo to z perspektywy Gierka problemy nadal się piętrzyły, bo wzrosła konsumpcja[12]. Na pozór mamy tu sprzeczność: wszak stagnacja płac zazwyczaj nie prowadzi do wzrostu konsumpcji. Wyjaśnienie jest proste. Wielu Polaków trudniło się pracą nieoficjalną i nierejestrowaną, by zwiększać dochody. Co gorsza, często wyprowadzali z państwo-

wych przedsiębiorstw trudno dostępne towary i sprzedawali je na czarnym rynku. Hydraulicy, cieśle i inni fachowcy świetnie radzili sobie z inicjatywą prywatną, bo łatwo mogli „załatwić" towar w swoim miejscu pracy. Malwersacjom raczej nie towarzyszyło piętno społeczne. Gierek zdołał więc obniżyć dochody na papierze dzięki podwyżce cen, ale i tak nie pozyskiwał środków, bo Polacy znaleźli sposób na obejście systemu i poprawę swej stopy życiowej. Państwo miało coraz większy problem ze spłatą długów. Coraz mniej zostawało na inwestycje. Wreszcie latem 1980 roku Gierek mocno dokręcił śrubę i podniósł ceny wyjątkowo drastycznie. I wtedy nastąpił wybuch.

12 Kazimierz Z. Poznanski, *Poland's Protracted Transition: Institutional Change and Economic Growth, 1970–1994*, Cambridge University Press, Cambridge 1996, s. 5–7.

14 sierpnia 1980 roku personel gdańskiej stoczni, jak na ironię noszącej imię Włodzimierza Lenina, zaczął strajk okupacyjny. Bodaj w żadnym innym polskim mieście pracownicy nie byli tak skorzy do protestów, głównie za sprawą gorzkich wspomnień sprzed dekady oraz wieloletniego aktywizmu Lecha Wałęsy, Anny Walentynowicz i wielu innych osób. Wałęsę i Walentynowicz zwolniono ze stoczni krótko przed ogłoszeniem podwyżek cen i decyzja ta wzmogła gniew stoczniowców. Wysunęli oni trzy postulaty: chcieli wzrostu płac dla zrównoważenia wzrostu cen, ponownego zatrudnienia dwójki wyrzuconych oraz budowy pomnika upamiętniającego zabitych w 1970 roku. To ostatnie miało sprawić, by akt przemocy

przeciwko robotnikom nigdy nie poszedł w zapomnienie i nigdy się nie powtórzył.

Gierek sądził, że jest przygotowany na protesty. Strategia jak zawsze dyktowała, by szybko pójść na pewne ustępstwa i wprowadzić podwyżki płac w strajkujących zakładach, licząc, że nie dojdzie do protestu na masową skalę. Wierchuszka partyjna miała nadzieję, że zawarcie paru kompromisów pozwoli przetrwać niebezpieczne tygodnie, podczas których ludzie przystosują się do niższej stopy życiowej. Kiedy miesiąc wcześniej doszło do zorganizowanego strajku w Lublinie, obietnica podniesienia płac szybko załatwiła sprawę. Z początku wyglądało na to, że w Gdańsku skończy się tak samo. Kierownik stoczni dostał zgodę na przyznanie pracownikom niezbędnych podwyżek, Wałęsa, Walentynowicz i ich towarzysze szykowali się, by ogłosić zwycięstwo i wrócić do roboty.

Jednak wydarzenia toczyły się szybciej, niżby się zdawało osobom uczestniczącym w negocjacjach. Wybuchały inne strajki, najpierw w Gdańsku, potem w całej Polsce. 15 sierpnia motornicza gdańskiego tramwaju Henryka Krzywonos zablokowała ruch, zatrzymując swój pojazd na skrzyżowaniu w środku miasta, i zapoczątkowała tym samym protest w zakładach transportowych. Kobiety odegrały w tamtych dniach dużą rolę i nie był to przypadek. Powszechnie uznawany podział ról genderowych zakładał, że kobieta zajmuje się domem i rodziną – a zatem robi zakupy i gotuje, toteż kobiety jako pierwsze odczuły skutki podwyżek cen[13]. Krzywonos wkrótce dotarła do stoczni wraz z delegacjami z innych straj-

kujących zakładów. Wspólnie zaapelowały one do stoczniowców, by nie wracali do pracy, póki wszyscy w Polsce nie otrzymają takich samych podwyżek.

13 Na zasadniczą rolę kobiet w ruchu robotniczym w PRL jako pierwszy zwrócił uwagę Padraic Kenney, *The Gender of Resistance in Communist Poland*, „American Historical Review" 1999, t. 104, nr 2, s. 399–425.

Tak oto powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Tworzyli go przedstawiciele fabryk z całego Wybrzeża. 18 sierpnia (czyli cztery dni po rozpoczęciu strajku) komitet reprezentował 156 przedsiębiorstw. Pięć dni później – 388 przedsiębiorstw. Z gdańskimi aktywistami od początku współpracował członek KOR Bogdan Borusewicz. 24 sierpnia protestujący zaprosili innych dysydentów do pomocy w negocjacjach. Główną rolę w tej grupie odgrywał działacz katolicki Tadeusz Mazowiecki. Oprócz antykomunistycznych inteligentów w stoczni znalazł się też miejscowy ksiądz Henryk Jankowski. Wysłuchiwał on spowiedzi robotników i odprawiał msze. Wkrótce episkopat przysłał własnych doradców. Nawiązanie wzajemnych stosunków przez środowiska opozycji antykomunistycznej zrodziło tamtego lata obfite owoce.

18 sierpnia komitet strajkowy przygotował listę postulatów. Trzy dni później ruszyły negocjacje z przedstawicielami rządu. Postulaty sprawiały wrażenie, jak gdyby powstały w łonie niezwykle radykalnego ruchu związkowego: nigdzie w kapitalistycznym świecie ludzie pracy w najśmielszych snach nie mogliby marzyć, że ktokolwiek spełni takie roszczenia. Domagano się powołania niezależnych związków zawodowych i zapewnienia im ochrony prawnej, prawa do

strajku, automatycznego wzrostu płac równolegle do inflacji, niezwykle niskiego wieku emerytalnego (50 lat dla kobiet, 55 lat dla mężczyzn), trzyletnich płatnych urlopów macierzyńskich, poprawy systemu opieki zdrowotnej, zwiększenia liczby miejsc w żłobkach i przedszkolach, skrócenia czasu oczekiwania na mieszkanie oraz wprowadzenia pięciodniowego tygodnia pracy. Komitet strajkowy żądał także ustanowienia systemu bonów żywnościowych na produkty wyjątkowo trudno dostępne (zwłaszcza mięso), by wszyscy po równo znosili skutki kryzysu gospodarczego[14].

14 Pełny tekst 21 postulatów – zob. http://www.solidarnosc.org.pl/21-postulatow.

Kartki na żywność uchodzą obecnie za wyjątkowo uciążliwy element życia w późnym okresie PRL. Mało kto pamięta, że strajkujący opowiadali się za tym rozwiązaniem w imię równości i sprawiedliwości społecznej. Wspomnienia o kartkach i kolejkach w latach osiemdziesiątych są przejmujące, należy jednak podkreślić, że w każdym systemie gospodarczym występują niedobory. W kapitalizmie doświadczają ich nieliczni: mechanizmy kształtowania cen sprawiają, że osoby, które nie mają dostatecznie dużo pieniędzy, po prostu zostają wykluczone z rynku i nie mogą ubiegać się o mieszkania, samochody, sprzęt gospodarstwa domowego czy inne kosztowne towary. Natomiast w PRL niedobory mocno dawały o sobie znać, gdyż znacznie większą część ludzi było stać na produkty, które w kapitalizmie kosztowałyby za dużo. Kształtowanie cen grało pewną rolę, ale bardziej liczyła się dostępność. Mówiąc

prosto, niedobór był powszechnym i podzielanym doświadczeniem. Komitet strajkowy pragnął, by tak zostało.

PZPR miała dwie opcje do wyboru: wezwać wojsko, jak w 1970 roku, albo przystać na żądania. Marynarka wojenna szykowała się, by zdobyć port siłą, stocznię otoczyły szturmowe oddziały milicji, Gierek wybrał jednak wariant pokojowy. Zaakceptowano wszystkie 21 postulatów, z niewielkimi zastrzeżeniami i uzupełnieniami. Dodano zapis gwarantujący dalszy sojusz z ZSRR i podkreślający „przewodnią rolę PZPR" z obawy, jak Moskwa zareaguje na ugodę. Porozumienie zostało podpisane 31 sierpnia. Nowy, niezależny związek zawodowy przyjął nazwę „Solidarność", doskonale oddającą etos tamtych chwil. Pełna nazwa brzmiała (i brzmi do dziś) Niezależny Samorządny Związek Zawodowy (NSZZ) „Solidarność". Tych pięć słów podsumowywało osiągnięcia sierpnia 1980 roku.

Było ewidentne, że zaczął się nowy rozdział w historii PRL. Nikt nie wiedział, co może i co powinno zostać w nim zapisane. PZPR podzieliła się władzą z potężnym oddolnym ruchem, zarazem zastrzegając, że jej „przewodnia rola" nie będzie kwestionowana. Należało jakoś rozwiązać tę zasadniczą sprzeczność. Przez pewien czas aparat państwowy nie miał pewności, jak postępować ani w którą stronę się zwrócić. Nawet w samej PZPR sporo osób poczuło entuzjazm dla przemian: około miliona członków partii zapisało się do „Solidarności". Cenzura na krótko straciła na znaczeniu. „Solidarność" mogła wydawać własne czasopismo, ukazało się też sporo artykułów prasowych krytykujących ustrój oraz wiele zakaza-

nych wcześniej książek. Edward Gierek stracił posadę pierwszego sekretarza. Jedni zarzucali mu, że przyzwolił na powstanie „Solidarności", drudzy, że ruch narodził się za sprawą prowadzonej przezeń błędnej polityki. Następcą Gierka został mało znany aparatczyk nazwiskiem Stanisław Kania. Liczył on, że zdoła znaleźć sposób na wcielenie „Solidarności" w struktury państwa, by nie doszło do konfrontacji wewnętrznej i w jej następstwie do interwencji ZSRR. W całym kraju panowały strach, euforia i poczucie zagubienia.

Wśród członków „Solidarności" toczyła się nieustanna debata, jaką rolę powinien dalej odgrywać związek. Niektórzy twierdzili, że Sowieci nigdy nie pozwolą na otwarty sprzeciw wobec rządów PZPR, toteż należy pójść drogą „samoograniczającej się rewolucji"[15] – mówiąc inaczej, trzeba przestać domagać się dalszych zmian, umocnić zdobycze roku 1980 i pozwolić, by partia pozostała u władzy, bo w przeciwnym razie dojdzie do radzieckiej interwencji, jak na Węgrzech w roku 1956 albo w Czechosłowacji w roku 1968. Nie wszyscy działacze „Solidarności" podzielali tak ostrożne podejście. Część uważała, że sukces Sierpnia okaże się krótkotrwały, o ile związek nie pójdzie za ciosem. Bez autentycznej demokratyzacji aparat siłowy mógł w każdej chwili zakończyć zabawę. W pewnym sensie zwolennicy obu stanowisk wykazywali się naiwnością. Założenie, że entuzjazm rozbudzony wskutek wydarzeń sierpniowych da się ot tak wygasić, było zupełnie nierealistyczne. Klasa pracująca w Polsce zaktywizowała się, również pod względem politycznym, i nikt, ani Wałęsa, ani Kania, nie mógł rozkazać ludziom, żeby ostudzili

emocje i wrócili do pracy. Z drugiej strony radykalni działacze związku wykazywali się brakiem rozsądku, kiedy deklarowali, że gotowi są rzucić wyzwanie ZSRR. Wiemy obecnie, że na szczytach władzy w Moskwie toczyły się gorące debaty, jak zareagować na wydarzenia w Polsce, ale wówczas przywódcy „Solidarności" mieli jedynie świadomość, że do tej pory, ilekroć partii rządzącej w kraju bloku wschodniego groził upadek, tylekroć ZSRR decydował się na interwencję zbrojną. Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki, „Solidarność" nie mogła się ani cofnąć, ani też posunąć za daleko.

15 Autorką owego określenia była jedna z doradczyń strajku w 1980 roku, Jadwiga Staniszkis. Stało się ono tytułem jej książki, opublikowanej najpierw po francusku w 1982 roku, a następnie po angielsku w roku 1984. Polskie wydanie ukazało się dużo później. Zob. Jadwiga Staniszkis, *Samoograniczająca się rewolucja*, przeł. Marek Szopski, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2011.

Na przełomie 1980 i 1981 roku trwał więc dziwny taniec PZPR ze związkiem zawodowym. Obie strony próbowały wyrwać się jakoś z tej nieznośnej sytuacji. Doszło do wielu starć i konfliktów wokół różnych kwestii, ostatecznie jednak wszystko sprowadzało się do zasadniczego dylematu: Partia i „Solidarność" nie mogły współistnieć, ale też żadna z nich nie chciała ani nie mogła zniknąć. Oznaką nadchodzących zmian było mianowanie w lutym 1981 roku generała Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisko premiera. Kania pozostał pierwszym sekretarzem do października, kiedy Jaruzelski objął również ten urząd. Po raz pierwszy od początku lat pięćdziesiątych ta sama osoba przewodziła partii i stała na czele państwa, przy czym w całej historii bloku wschodniego nie

zdarzyło się, by funkcje te pełnił wojskowy. Wyglądało to groźnie. Jaruzelski od 1968 roku kierował ministerstwem obrony i bezpośrednio współodpowiadał za operację tłumienia protestów w Gdańsku w roku 1970. Fakt, że teraz sprawował władzę, był niezwykle wymowny i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Skoro PZPR szykowała się do ostrego starcia, radykalny odłam „Solidarności" urósł w siłę. Kulminacją tego procesu był I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" w dniach 26 września – 7 października 1981 roku. Doszły do głosu wszelkie poglądy istniejące wewnątrz ruchu, którego tożsamość stawała się coraz trudniejsza do zdefiniowania – a przyjęte uchwały odzwierciedlały tę różnorodność stanowisk. Optymizm i wiara we własne przyszłe osiągnięcia zdawały się bezgraniczne, choć równocześnie dały o sobie znać spory i różnice. Ledwie maskowane podziały między inteligenckimi dysydentami, Kościołem i robotnikami wyszły na jaw, kiedy delegaci omawiali treść uchwały zawierającej podziękowanie dla KOR za działalność prowadzoną w poprzednich latach. Pojawiła się kontrpropozycja pozbawiona jakichkolwiek odniesień do KOR i stanowiąca zamiast tego, że Polska to „kraj katolicki o chrześcijańskich tradycjach". Chodziło o nieprzyjemną i ewidentną sugestię, że KOR nie jest prawdziwie polski, gdyż wśród osób członkowskich było sporo niechrześcijan. Ostatecznie przyjęto uchwałę w pierwotnej wersji, ale „Solidarność" pokazała swoje drugie, szpetne oblicze.

Nastroje panujące podczas zjazdu dobrze wyraża odezwa do „ludzi pracy Europy Wschodniej" i „wszystkich narodów

Związku Radzieckiego". Delegaci wyrazili poparcie dla tych, którzy „zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy. Wierzymy, że już niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą mogli się spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń"[16]. Ktoś, kto próbowałby rozmyślnie rozgniewać Moskwę, musiałby się natrudzić, by wymyślić bardziej prowokujące sformułowania. Niemal równie awanturniczo brzmiała „uchwała programowa", głosząca: „Stanowimy organizację, która łączy w sobie cechy związku zawodowego i wielkiego ruchu społecznego". Tak oto ostatecznie umarła nadzieja, że „Solidarność" zechce odgrywać rolę drugoplanową i zdoła wpasować się w zastany porządek polityczny. W uchwale pisano też:

> Społeczeństwo musi mieć możność przemawiania pełnym głosem, wyrażania różnorodności poglądów społecznych i politycznych; musi mieć możność organizowania się w taki sposób, który zapewnia wszystkim sprawiedliwy udział w materialnych i duchowych dobrach narodu oraz wyzwolenie wszystkich jego możliwości i sił twórczych. Chcemy rzeczywistego uspołecznienia systemu zarządzania i gospodarowania. Dlatego dążymy do Polski samorządowej[17].

16 *Posłanie Pierwszego Zjazdu Delegatów* NSZZ *„Solidarność" do ludzi pracy Europy Wschodniej*, Dokumenty I tury zjazdu, NSZZ Solidarność, Gdańsk 1981, s. 94–95.

17 Program – zob. https://bit.ly/33rD3gM.

Sugerowano tu, że PZPR to organizacja autorytarna, ale też niepolska, niereprezentująca narodu. Zarzut ten uderzał w samo jądro ideologii narodowego komunizmu.

Przebieg Zjazdu i skoncentrowanie władzy w rękach generała Jaruzelskiego przekreślały szanse na pozytywne zakończenie. Nad ranem 13 grudnia 1981 roku na ulice dużych miast wyjechały czołgi. Internowano około 5 tysięcy działaczy opozycji. Armia rozstawiła punkty kontrolne na głównych drogach. Zamknięto szkoły, wyłączono telefony. Nikt nie mógł przekraczać granic państwa. Między godziną 19 a 6 rano obowiązywała ścisła godzina milicyjna. Pierwszego dnia telewizja i radio emitowały w kółko przemówienie Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego. 70 tysięcy żołnierzy, 30 tysięcy milicjantów, 1750 czołgów i 1400 pojazdów opancerzonych wysłano, by wziąć cały kraj w kleszcze. W ciągu następnych kilku tygodni dokonano kolejnych 5 tysięcy aresztowań. Utworzono 49 ośrodków internowania. Rząd zastąpiła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, cywilni przywódcy PZPR zostali na pewien czas odsunięci od władzy. Konstytucja nie dopuszczała stosowania takich środków, a szeregowi członkowie partii ich nie zaakceptowali – 850 tysięcy ludzi złożyło w proteście legitymacje – jednak Komitet Centralny pozwolił Jaruzelskiemu wprowadzić stan wojenny. Przewrót wojskowy dokonał się za zgodą władz cywilnych.

Operacja przebiegła gładko, opór był słaby. Trzy dni po przemówieniu Jaruzelskiego w Gdańsku odbyła się demonstracja; według niektórych szacunków wzięło w niej udział sto tysięcy ludzi, ale oddziały szturmowe milicji zareagowały

szybko i brutalnie. Zginęła jedna osoba, cztery zostały ranne. Do bardziej tragicznej konfrontacji doszło w Katowicach: kiedy robotnicy z kopalni Wujek zorganizowali strajk okupacyjny, wkroczyły uzbrojone oddziały. Zabito dziewięciu górników, dwudziestu jeden raniono. Łącznie przez dwa lata stanu wojennego (1981–1983) śmierć wskutek przemocy władzy poniosło 56 osób, kolejne 40 osób powiązanych z „Solidarnością" zginęło w niewyjaśnionych okolicznościach. Nigdy się nie dowiemy, czy zostały zamordowane. Każda z tych śmierci to tragedia, lecz trzeba przyznać, że jak na ówczesne standardy władza wykazała się zaskakującą powściągliwością. Krwawy zamach stanu w Salwadorze w 1979 roku kosztował życie 35 tysięcy ludzi. Bilans powstania w Korei Południowej w latach 1979–1980 to 60 tysięcy aresztowań i co najmniej 340 zabitych. Inny przewrót, do którego doszło w Polsce w XX wieku, czyli zamach majowy, dokonany przez Józefa Piłsudskiego, pochłonął 594 ofiary.

Do rozlewu krwi na większą skalę nie doszło po części dlatego, że dowódcy wojskowi i służby bezpieczeństwa sporo nauczyły się na przestrzeni lat i opracowały skuteczniejsze metody kontrolowania tłumu. Wkraczały szybko i zdecydowanie, by rozpędzić protestujących, a nie po to, by prowokować do konfrontacji. Jednak względnie niska liczba ofiar była przede wszystkim zasługą „Solidarności". Wałęsa i jego współpracownicy stanowczo i jednoznacznie sprzeciwili się idei zbrojnego oporu. Fakt, że nie przygotowali żadnych planów na wypadek interwencji wojska, nie wynikał z krótkowzroczności, lecz z chęci zapobieżenia wojnie domowej. Ko-

ściół także przyczynił się do powstrzymania przemocy. Od pierwszych dni strajków w 1980 roku biskupi czuli, że są w kłopotliwej sytuacji. 26 sierpnia, kiedy w Gdańsku trwały negocjacje, kardynał Wyszyński wygłosił kazanie, w którym wzywał protestujących, by wrócili do pracy. Podkreślał, że ich roszczenia są zasadne, i winił rząd za „propagowaną ateizację", ale zarazem mówił: „Jeżeli budzi się w nas świadomość odpowiedzialności za naród, to musi się z tym wiązać poczucie odpowiedzialności za życie każdego z nas, za życie naszej rodziny, całego narodu i państwa. Z tym – powtarzam i będę to powtarzał w ciągu naszych wspólnych rozważań – wiąże się poczucie obowiązków, które są do wypełnienia, z tym też wiązać się będzie poczucie praw, które zyskujemy w codziennym życiu. Odpowiedzialność jest więc wspólna. Dlaczego? Bo wspólna jest i wina"[18]. Wyszyński poparł ostatecznie „Solidarność", ale wielokrotnie opowiadał się za ostrożnym i wstrzemięźliwym postępowaniem, podobnie jak jego następca prymas Józef Glemp, wybrany po śmierci Wyszyńskiego w maju 1981 roku. Kiedy ogłoszono stan wojenny, Glemp wygłosił kazanie, w którym potępił Jaruzelskiego, a jednocześnie zaapelował, by Polacy pogodzili się z zaistniałą sytuacją. „Nie ma większej wartości nad życie ludzkie – mówił – i dlatego sam będę wołał o rozsądek nawet za cenę narażenia się na zniewagi, i będę prosił, nawet gdybym miał iść boso i na kolanach błagać: nie podejmujcie walki Polak przeciwko Polakowi! Zachowajcie spokój, nie sprowadzajcie na kraj i naród nieszczęścia"[19].

---

18 Stefan Wyszyński, *Odpowiedzialność – obowiązki – prawa. Kazanie podczas sumy*

w uroczystość Matki Boskiej Częstochowskiej, Stowarzyszenie Archiwum Solidarności, Jasna Góra 1980.

19 Józef Glemp, *Nie podejmujcie walk Polak przeciwko Polakowi*, [w:] *Nauczanie pasterskie*, Pallottinum, Poznań 1988, t. 1, s. 149.

Opinie na temat decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego są nadal podzielone. Jaruzelski zawsze utrzymywał, że poczynił ten krok, gdyż alternatywą byłaby radziecka inwazja oraz niewyobrażalny rozlew krwi, i to nie tylko w Polsce, gdyż zimnowojenne napięcia na całym świecie z pewnością przybrałyby na sile. Co wymowne, w przemówieniu 13 grudnia generał podkreślał, że stan wojenny jest konieczny, by ocalić naród, a nie komunizm:

> Zwracam się dziś do was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów dom ulega ruinie. Struktury państwa przestają działać. Gasnącej gospodarce zadawane są codziennie nowe ciosy. Warunki życia przytłaczają ludzi coraz większym ciężarem. Przez każdy zakład pracy, przez wiele polskich domów, przebiegają linie bolesnych podziałów. Atmosfera niekończących się konfliktów, nieporozumień, nienawiści – sieje spustoszenie psychiczne, kaleczy tradycje tolerancji. Strajki, gotowość strajkowa, akcje protestacyjne stały się normą[20].

20 Wystąpienie Jaruzelskiego – zob. https://youtu.be/4yUKFzYEFSg.

Wcześniej, ilekroć w Polsce władza rozprawiała się z protestującymi, tylekroć w oficjalnej retoryce potępiano „kontrrewolucjonistów", rzekomo pragnących wymazać wszelkie osiągnięcia socjalizmu (podobnie rzeczy miały się po radzieckiej interwencji na Węgrzech w 1956 roku i w Czechosłowacji 12 lat później). Jaruzelski nie użył tych argumentów. Pod jego rządami narodowy komunizm został w zasadzie sprowadzony do nacjonalizmu.

Na usprawiedliwienia przedstawiane przez Jaruzelskiego odpowiadano z reguły, że Związek Radziecki wcale nie szykował się do inwazji, a stan wojenny sprowadzał się jedynie do brutalnego zamachu stanu i nie można mówić o obronie państwa przed obcą interwencją. Dysponujemy obecnie protokołami dyskusji, które toczyli radzieccy przywódcy. Z materiałów tych wynika, że rzeczywiście się wahali. Podczas spotkania na początku grudnia 1981 roku szef KGB Jurij Andropow tak oto reagował na propozycję wysłania wojsk:

> Nie możemy podjąć takiego ryzyka. Nie chcemy rzucać armii do Polski. To jedyne słuszne stanowisko i należy go bronić do końca. Trudno powiedzieć, jak rozwinie się sytuacja w Polsce. Ale nawet gdyby kraj znalazł się pod rządami Solidarności – niech tak będzie. [...] Powinniśmy martwić się o własne państwo, o wzmocnienie Związku Radzieckiego. To nasze główne zadanie[21].

21 Mark Kramer (red.), *Soviet Deliberations During the Polish Crisis, 1980–1981*, Woodrow Wilson Center, Washington 1999, s. 164.

Ostrożność miała sens. W 1979 roku ZSRR najechał na Afganistan, by umocnić tam rządy komunistów, i dał się wciągnąć w długotrwałą wojnę. Okupacja Polski byłaby niesłychanie trudna, prawdopodobnie przekraczała możliwości radzieckich wojsk. Obrońcy Jaruzelskiego podkreślają, że przywódcy KPZR byli podzieleni. Jedni opowiadali się za wstrzemięźliwością, inni za podjęciem zdecydowanych działań. Wcześniej za każdym razem, kiedy w Europie Wschodniej władza komunistów była zagrożona, kremlowskie jastrzębie ostatecznie wygrywały. Na podstawie danych archiwalnych nie da się ostatecznie rozstrzygnąć, kto ma rację – zwłaszcza że wszystko sprowadza się do kwestii, jak wyglądała ówczesna ocena sytuacji dokonywana przez Jaruzelskiego i kierownictwo PZPR. Może stan wojenny służył przejęciu pełni władzy, może ocaleniu Polski – a może jednemu i drugiemu. Nigdy nie będziemy tego wiedzieć na pewno.

Na przestrzeni lat opinie dotyczące wprowadzenia stanu wojennego nieco się zmieniały. W corocznych sondażach przeprowadzanych w latach 1995–2012 poparcie dla decyzji Jaruzelskiego wahało się od 41 do 52 procent. Z kolei poparcie dla opozycji wynosiło od 19 do 35 proc[22]. Nietrafne jest więc opisywanie stanu wojennego w kategoriach konfliktu między reżimem Jaruzelskiego, wyalienowanym i pozbawionym legitymizacji, a „polskim społeczeństwem". Polacy byli i są podzieleni w swoich opiniach. Jedno pozostaje pewne: gdy zaczynał się rok 1982, w kraju panowało powszechne znie-

chęcenie, frustracja z powodu bieżącej sytuacji i pesymizm, jeśli chodzi o przyszłość.

22 https://bit.ly/307QhqY.

Rok 1989

Przez następnych kilka lat utrzymywała się napięta sytuacja. Na tle dawniejszej komunistycznej retoryki lub wzniosłych ideałów „Solidarności" ambicje Jaruzelskiego sprawiały wrażenie nader skromnych: generał pragnął po prostu przywrócić porządek społeczny i stopniowo wyciągnąć kraj z gospodarczego bagna. Nie chciał uchodzić za tyrana (sam się zresztą za tyrana nie uważał), dbał o swoją reputację za granicą. Równocześnie podkreślał, że tylko PZPR gwarantuje Polsce bezpieczeństwo, bo Związek Radziecki nigdy nie zaakceptuje zmiany na szczycie władzy. Liczył, że „Solidarność" odejdzie do historii, i gotów był stosować środki represji, by to przyspieszyć, ale nie posunął się tak daleko jak inni dwudziestowieczni dyktatorzy. W 1983 roku zniesiono stan wojenny, a większość osób internowanych po 13 grudnia wyszła na wolność. Jaruzelski zachował stanowisko pierwszego sekretarza, ale rządy w państwie znów zaczęli sprawować cywile. Ów fakt nie miał może wielkiego znaczenia – tak czy inaczej o wszystkim nadal decydowała PZPR – lecz przynajmniej odesłano żołnierzy z powrotem do koszar i zniesiono godzinę milicyjną. „Solidarność" pozostała nielegalnym związkiem zawodowym.

Wałęsę wypuszczono z więzienia, ale był ściśle inwigilowany. W roku 1983 otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla jako wyraz uznania dla „Solidarności" za pójście drogą pokojowego protestu. Wiedział, że jeśli opuści granice Polski, by odebrać nagrodę, nie zostanie wpuszczony z powrotem. Zamiast niego do Sztokholmu udała się więc jego żona Danuta. Wielu działaczy „Solidarności" zastanawiało się wówczas nad emigracją. W zachodniej kulturze popularnej okresu zimnej wojny często pojawiała się postać „zbiega", na przykład artysty, sportowca, uczonego albo polityka, który decyduje się na śmiałą ucieczkę z bloku wschodniego w poszukiwaniu wolności. Tymczasem polskie władze wręcz marzyły, by opozycjoniści po prostu raz na zawsze wyjechali za granicę, bo nękanie ich lub aresztowanie szkodziło wizerunkowi kraju. Tysiące ludzi skorzystały z okazji i opuściły ojczyznę, aż ostatecznie ambasady Stanów Zjednoczonych i krajów zachodniej Europy zaczęły wystawiać Polakom wizy, traktując ich jak zwyczajnych imigrantów, a nie uchodźców politycznych.

Zdelegalizowana „Solidarność" nadal działała, ale zupełnie się zmieniła. Zbigniew Bujak, elektryk z warszawskiej fabryki traktorów, był jednym z nielicznych przywódców związkowych, którym udało się uniknąć internowania w 1981 roku. Stał się bohaterem w oczach rodaków, bo przez prawie pięć lat wymykał się milicji. Wraz z garstką innych aktywistów próbował utrzymać ruch przy życiu. Działacze podziemia organizowali protesty, potępiali nadużycia władzy w podziemnej prasie, wydawali zakazane gazety i książki. Najbardziej liczyło się to, że w tamtych trudnych latach nie pozwalali za-

pomnieć o „Solidarności". Poza tym do najważniejszych osiągnięć „Solidarności" zaliczało się uniknięcie przemocy. Ilekroć Bujak lub inni przywódcy ruchu dowiadywali się o planach czy pomysłach, które mogły doprowadzić do rozlewu krwi, natychmiast reagowali w sposób szybki i zdecydowany (kilkakrotnie zdarzyło im się nawet skonfiskować broń). Jaruzelski próbował utrzymać „łagodną" dyktaturę, „Solidarność" zaś konsekwentnie stawiała opór bez użycia siły.

Zdarzało się, że obie strony stawały przed ciężką próbą. Ksiądz Jerzy Popiełuszko wygłaszał w swym warszawskim kościele płomienne kazania i co miesiąc odprawiał „msze za Ojczyznę", które transmitowało Radio Wolna Europa, amerykańska rozgłośnia nadająca na falach krótkich audycje w języku polskim. Prymas Glemp próbował skłonić Popiełuszkę do złagodzenia tonu homilii lub do wyjazdu z Polski, bo życie młodego duchownego było w niebezpieczeństwie, a jego aktywność zagrażała kruchej równowadze panującej w kraju. W październiku 1984 roku Popiełuszko został uprowadzony i brutalnie zamordowany przez funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Rząd ogłosił, że agenci działali na własną rękę. Postawiono ich nawet przed sądem i skazano za morderstwo. Jaruzelski zawsze powtarzał, że nie chciał śmierci księdza, choć istnieją świadectwa, że kazał podwładnym znaleźć sposób, by Popiełuszko przestał sprawiać kłopoty (cokolwiek to mogło oznaczać). Jest też prawdopodobne, że PZPR-owscy zwolennicy twardej rozprawy z opozycją pragnęli sprowokować swych przeciwników do użycia siły i odpowiedzieć w brutalny sposób. Jeżeli faktycznie mieli takie

zamiary, nie odnieśli sukcesu. „Solidarność” ograniczyła się do zorganizowania ogromnej, pokojowej demonstracji na pogrzebie Popiełuszki.

Obydwie strony zdołały uniknąć katastrofalnej, krwawej konfrontacji, ale poza tym niewiele wskórały. Jaruzelski zepchnął „Solidarność” do podziemia, lecz nie poradził sobie z przyczynami kryzysu. Polska znajdowała się w bardziej rozpaczliwej sytuacji niż kiedykolwiek wcześniej. Po roku 1980 wystąpiły poważne niedobory podstawowych produktów, po części z powodu strajków, przede wszystkim jednak z powodu panującego chaosu. PKB spadło o 6 procent w roku 1980 i o 12 procent w roku 1981. Sama tylko branża górnicza straciła w tamtym okresie dochody z eksportu wynoszące 1,8 miliarda dolarów, co równało się 20 procentom rocznych kosztów obsługi długu zagranicznego. Stan wojenny dodatkowo pogłębił recesję. W roku 1982 płace realne spadły o 25 procent (aczkolwiek zostało to po części zrównoważone dzięki dochodom z nieformalnych źródeł) i poszły w górę dopiero w roku 1987[23]. Największe braki występowały na początku dekady, ale mięso i benzynę jeszcze długo sprzedawano na kartki, a dostępność innych towarów była nieprzewidywalna. Często można trafić na zdjęcia z lat osiemdziesiątych ukazujące niemal puste sklepy i półki, na których stoją tylko smętne butelki z octem. To dość skrajny przykład i nie należy przeceniać cierpienia Polaków, niemniej stanie w kolejkach po trudno dostępne towary było powszechnym doświadczeniem. Ludzie nie głodowali, nie doszło nawet do poważnego niedożywienia, a dzięki znienawidzonemu systemowi kartkowemu nie-

mal wszyscy mogli zaspokoić potrzeby żywnościowe. Tyle że zaspokojenie potrzeb mogło uchodzić za sukces w latach czterdziestych albo pięćdziesiątych, kiedy Polacy z mozołem dochodzili do siebie po drugiej wojnie światowej i wyciągali kraj z głębokiego ubóstwa. W latach osiemdziesiątych ludziom nie wystarczało, że rząd zdołał uniknąć klęski głodu.

23 Kazimierz Z. Poznanski, *Poland's Protracted Transition*, dz. cyt., s. 25–29, 85–86.

Kto miał pieniądze, ten mógł zaopatrywać się na czarnym rynku lub w specjalnych państwowych sklepach, w których płacono wyłącznie twardą walutą. Nosiły one orwellowską nazwę Pewex (od: Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego), a wszystkie ceny podawane były w dolarach. Sprzedawano tam dobra importowane oraz polskie towary przeznaczone na eksport. Rząd pozyskiwał w ten sposób marki, funty, franki i dolary potrzebne do spłaty długu zagranicznego (wierzyciele Polski nie przyjmowali złotówek). Z działalnością Pewexów wiązało się zaskakujące wyzwanie logistyczne. Otóż wielu klientów nie dysponowało dokładną kwotą, a przecież nie mogli udać się do banku i wymienić pieniędzy na pięcio- lub dziesięciocentówki. Rozwiązaniem była specjalna waluta, denominowana w amerykańskich centach i dolarach, akceptowana w Pewexach. Bonami tymi płacono też pracownikom na kontraktach zagranicznych; prawdziwe dolary otrzymane od klientów trafiały do państwowych przedsiębiorstw. Na czarnym rynku bony osiągały niższą wartość niż waluta Stanów Zjednoczonych, ale wyższą niż złotówki. Nazywając rzecz po

imieniu: polskie władze drukowały amerykańskie dolary. Dla mnie, Amerykanina mieszkającego wówczas w Polsce, te surrealistyczne banknoty stanowiły doskonały symbol dziwacznej sytuacji gospodarczej.

0,01 BON TOWAROWY 0,01
HL 3140526
UPOWAŻNIA DO POBRANIA TOWARÓW EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO WARTOŚCI
$ 0,01 $
BON TOWAROWY MOŻE BYĆ ZREALIZOWANY W JEDNOSTCE BANKU PKO S.A. ORAZ W KAŻDEJ PLACÓWCE HANDLOWEJ UPRAWNIONEJ DO PROWADZENIA SPRZEDAŻY TOWARÓW EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO
0,01
$
0,01 JEDEN CENT 0,01
BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A. WARSZAWA DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1979
0,02 BON TOWAROWY 0,02
HO 0528489
UPOWAŻNIA DO POBRANIA TOWARÓW EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO WARTOŚCI
$ 0,02 $
BON TOWAROWY MOŻE BYĆ ZREALIZOWANY W JEDNOSTCE BANKU PKO S.A. ORAZ W KAŻDEJ PLACÓWCE HANDLOWEJ UPRAWNIONEJ DO PROWADZENIA SPRZEDAŻY TOWARÓW EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO
0,02
$
0,02 DWA CENTY 0,02
BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A. WARSZAWA DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1979
0,05 BON TOWAROWY 0,05
HA 1639802
UPOWAŻNIA DO POBRANIA TOWARÓW EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO WARTOŚCI
$ 0,05 $
BON TOWAROWY MOŻE BYĆ ZREALIZOWANY W JEDNOSTCE BANKU PKO S.A. ORAZ W KAŻDEJ PLACÓWCE HANDLOWEJ UPRAWNIONEJ DO PROWADZENIA SPRZEDAŻY TOWARÓW EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO
0,05
$
0,05 PIĘĆ CENTÓW 0,05
BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A. WARSZAWA DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1979
0,10 BON TOWAROWY 0,10
HB 0796867
UPOWAŻNIA DO POBRANIA TOWARÓW EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO WARTOŚCI
$ 0,10 $
BON TOWAROWY MOŻE BYĆ ZREALIZOWANY W JEDNOSTCE BANKU PKO S.A. ORAZ W KAŻDEJ PLACÓWCE HANDLOWEJ UPRAWNIONEJ DO PROWADZENIA SPRZEDAŻY TOWARÓW EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO
0,10
$
0,10 DZIESIĘĆ CENTÓW 0,10
BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A. WARSZAWA DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1979

Bony towarowe Pewexu

Złotówka nie była wymieniana na rynkach zagranicznych. Rząd próbował ustanowić stały kurs, ale pesymistyczne nastroje w kraju oraz instytucja Pewexu zaowocowały gwałtownym wzrostem popytu na twardą walutę. Oficjalny kurs wymiany w bankach i dla turystów zagranicznych (którzy musieli kupować dziennie określoną kwotę w złotówkach) spadł dramatycznie – aczkolwiek nie tak dramatycznie jak kurs czarnorynkowy[24].

24 Andrzej Jezierski, *Historia gospodarcza Polski*, Key Text, Warszawa 2003, s.

Tylko raz wymieniłem pieniądze po oficjalnym kursie. Szedłem akurat na randkę z niedawno poznaną dziewczyną, kiedy zorientowałem się, że nie mam żadnych złotówek. Amerykanów mieszkających w Warszawie (było nas wówczas bardzo niewielu) wielokrotnie ostrzegano, żeby nie kupować pieniędzy od przypadkowych osób. Krążyła pogłoska, że cinkciarz może się okazać podstawionym agentem służby bezpieczeństwa i będą z tego kłopoty. Do dziś nie mam pojęcia, czy to prawda. Ja w każdym razie nie byłem dostatecznie ważny, by jakiekolwiek organy bezpieczeństwa się mną interesowały. Tak czy inaczej, musiałem się spieszyć, więc wymieniłem pieniądze w hotelowym kantorze – i zjadłem najdroższy posiłek podczas całego pobytu w PRL. Co gorsza, z dziewczyną skończyło się tylko na tej jednej randce. Prawdziwa niesprawiedliwość polegała jednak na czymś innym. Owszem, wydałem cztery albo pięć razy więcej, niż gdybym kupił złotówki po cenie czarnorynkowej. Mimo to życie w Polsce, nawet przy oficjalnym kursie, było dla mnie o wiele tańsze niż życie w Stanach. I oczywiście o wiele tańsze niż dla moich polskich przyjaciół. Wartość złotego pikowała szybciej niż jego siła nabywcza. W roku 1986 w Stanach Zjednoczonych za dolara można było kupić dobra, który w Polsce kosztowałyby 80 złotych, tymczasem na czarnym rynku dolar kosztował wówczas 600 złotych. Przy tak wypaczonych przelicznikach przeciętny miesięczny dochód w Polsce wynosił jedynie 33 dolary, ale przyjrzenie się cenom dóbr konsumenckich ukazuje absurd tej sytuacji: nowy samochód (co prawda tylko fiata 126p, ale

zawsze) dawało się nabyć za kwotę odpowiadającą 2 tysiącom dolarów, miesięczny czynsz w centrum Warszawy nie przekraczał na ogół 15 dolarów, litr wódki kosztował 1,5 dolara, bochenek chleba niespełna 10 centów, a gazeta niecałe 5 centów. Mówimy tu o okresie, kiedy przeciętny czynsz w Ameryce wynosił niecałe 400 dolarów miesięcznie, za tanie nieużywane auto trzeba było zapłacić koło 9000 dolarów, a za czasopismo 2,5 dolara. Innymi słowy, kurs wymiany nie odzwierciedlał względnej siły nabywczej złotówki i dolara. Stanowił wyraz uzasadnionych obaw, że w przyszłości będzie tylko gorzej i potrzeba „twardej waluty", by się jakoś zabezpieczyć. Tylko nieliczni szczęśliwcy mieli dostęp do zachodnich walut, czy to dzięki krewnym, czy dzięki wyjazdom do pracy za granicą (oczywiście na czarno), czy wreszcie dzięki czarnorynkowemu handlowi. Nawet niewielka suma dolarów czy marek zapewniała nieco spokoju na nadchodzące trudne lata. Przed przyjazdem do Polski byłem biednym studentem. W PRL nagle stałem się osobą nieprawdopodobnie uprzywilejowaną. A potem wróciłem do siebie i znów ledwo wiązałem koniec z końcem. Dzięki tym doświadczeniom zrozumiałem, jak przypadkową i zmienną rzeczą bywa „los ekonomiczny".

Kurs dolara względem złotówki

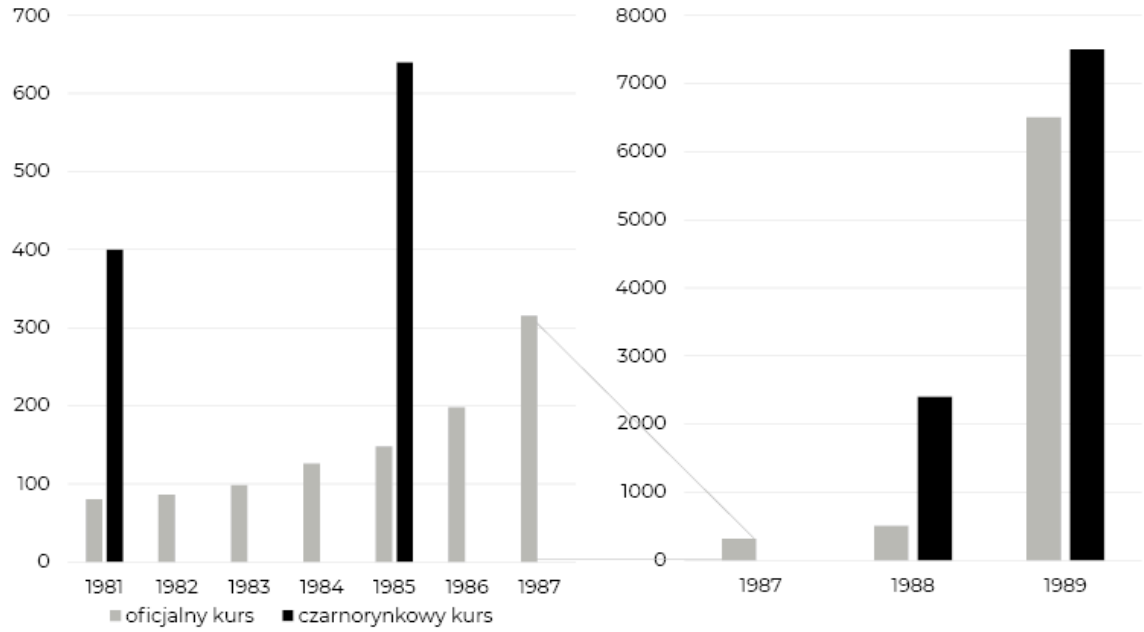

Co konkretnie nie działało w PRL? Głównym problemem było rekordowe zadłużenie kraju. Odsetki pochłaniały 40 procent dochodów z eksportu w twardej walucie. Nie zostawało wiele na spłatę samego długu ani na inwestycje mogące pobudzić wzrost gospodarczy. Jaruzelski zmagał się zasadniczo z tymi samymi trudnościami co Gierek i Gomułka: bez keynesowskiego kapitalizmu nastawionego na konsumenta podnoszenie płac nie prowadziło do wzrostu popytu i produkcji. Zarazem podejście podażowe, czyli zwiększenie inwestycji i produkcji na eksport, także nie wchodziło w grę, bo wymagałoby obniżki wynagrodzeń w celu zapewnienia krajowi przewagi konkurencyjnej, a to utrudniała ideologia komunistyczna (o ile można o niej mówić w kontekście późnego PRL).

W latach osiemdziesiątych ekonomia podaży zyskała szerokie poparcie. Wspierały ją najprzeróżniejsze instytucje: od amerykańskich uczelni, przez międzynarodowy sektor bankowy, aż po PRL-owskie biura planistyczne. Nazywano ją rozmaicie – neoliberalizmem, reaganizmem, thatcheryzmem, szkołą chicagowską (na cześć Miltona Friedmana i jego współpracowników z Uniwersytetu Chicagowskiego), konsensusem waszyngtońskim (bo w Waszyngtonie mieściły się Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy). Owe etykietki nie są do końca synonimiczne, ale wyrażają pewne wspólne założenia kształtujące procesy decyzyjne w najważniejszych instytucjach finansowych, bankach centralnych i ministerstwach finansów w ostatnich dwóch dekadach XX wieku. Przyjmuje się tu przede wszystkim, że do wzrostu gospodarczego konieczna jest maksymalizacja środków inwestycyjnych. Wymaga ona akumulacji bogactwa, które będzie alokowane w sposób „efektywny" i „racjonalny" (mówiąc prościej, oszczędzanie i inwestowanie mają pierwszeństwo względem konsumpcji). Zwolennicy tego podejścia twierdzą, niekiedy otwartym tekstem, że przy zbyt szerokiej dystrybucji bogactwa brakuje pieniędzy na inwestycje, bo ludzie z reguły będą dokonywali nierozsądnych wydatków. Jeśli zatem chce się prowadzić skuteczną politykę gospodarczą, trzeba zadbać, by produktywność rosła szybciej niż koszty pracy, gdyż różnica między jednym a drugim stanowi główne źródło środków na rozwój.

Od drugiej wojny światowej aż do końca lat siedemdziesiątych w świecie kapitalistycznym dominowało podejście key-

nesowskie, czyli popytowe. Zapewniało ono względny egalitaryzm i dynamiczny wzrost oparty na konsumpcji. Później jednak bezprecedensowa kombinacja inflacji i recesji doprowadziła do zmiany paradygmatu w środowiskach kształtujących polityki gospodarcze. Decydentów kusiły obietnice stabilnej waluty i akumulacji zasobów inwestycyjnych. Ekonomia podaży zyskała też popularność w Europie Wschodniej, co może się wydawać ironiczne, biorąc pod uwagę, jak radykalnymi wyznawcami kapitalizmu byli Friedman, Reagan, Thatcher i inni orędownicy neoliberalnej rewolucji. Jeśli jednak się zastanowić, komunizm również stał się swego rodzaju systemem podażowym, bo wedle założeń miał skupiać środki „racjonalnie" alokowane w celu pobudzania wzrostu. Wybitny węgierski ekonomista János Kornai ukuł pozorny oksymoron: „friedmanizm socjalistyczny"[25]. Stosowało się to również do Polski, gdzie podejście podażowe nie działało, ponieważ władze nigdy nie zdołały dostatecznie obniżyć płac i pozyskać upragnionych zasobów inwestycyjnych.

25 Określenie Jánosa Kornaia, *The Hungarian Reform Process: Visions, Hopes and Reality*, „Journal of Economic Literature" 1986, t. 24, nr 4, s. 1687–1737.

Osoby, które nie prezentują wyrazistego światopoglądu, zwykliśmy określać mianem pragmatyków lub technokratów. W rzeczywistości poglądy tych ludzi są po prostu ściśle zbieżne z tym, co potocznie uchodzi za słuszne, wydają się zatem zdroworozsądkowe i nikt nie dostrzega ich ideologicznego charakteru. Tak właśnie rzecz miała się z politykami, którym Jaruzelski powierzył misję uzdrowienia polskiej gospodarki,

choćby ze Zbigniewem Messnerem, piastującym urząd premiera w latach 1985–1988. Messner był ekonomistą ze Śląska, w 1981 roku porzucił uczelnię i wszedł do polityki, po czym został członkiem Biura Politycznego KC PZPR. Proponowane przez niego reformy zakładały, że należy zamykać przedsiębiorstwa, które nie osiągają odpowiednich zysków, i wprowadzić rynkowe mechanizmy kształtowania cen, by ich wzrost nie prowadził do gwałtownej reakcji społecznej. Jedno i drugie służyło osiągnięciu tego samego celu: obniżeniu kosztów pracy (czyli stopy życiowej) i zwiększeniu zysków. Tak zwana operacja cenowo-dochodowa z początku 1988 roku obejmowała znaczącą podwyżkę cen bez równoczesnej podwyżki płac. Uzyskane pieniądze miały trafiać do państwa, ale i tu Messner dokonał zmian: poszczególne firmy zyskały nieco autonomii, uwolniły się od centralnych planistów i mogły odtąd działać bardziej jak prywatne przedsiębiorstwa. Ponadto do Polski zaczęto wpuszczać kolejne korporacje zagraniczne.

Potencjalnymi sojusznikami reformatorów byli kierownicy państwowych zakładów. W ostatniej dekadzie istnienia PRL elitę oraz chłopów i robotników dzielił spory dystans. Już w 1980 roku zaledwie 46 procent członków PZPR miało pochodzenie robotniczo-chłopskie. Po wprowadzeniu stanu wojennego, w związku z masowym opuszczaniem szeregów partii, odsetek ten spadł do 38 procent, natomiast udział „inteligentów" (profesjonalistów, uczonych, polityków, kierowników i tak dalej) wzrósł do 52 procent[26]. Polska gospodarka była ściślej niż kiedykolwiek powiązana z międzynarodowymi

rynkami, więc elity wyraźnie uświadamiały sobie, jak bardzo ich sytuacja różni się od elit Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. Kierownik fabryki w Polsce cieszył się wieloma przywilejami – miał chociażby dostęp do rozmaitych towarów trudno osiągalnych dla większości społeczeństwa – jednak radość z załatwienia sobie malucha gasła, skoro kierownik fabryki w Niemczech jeździł BMW, a trzypokojowe mieszkanie nie umywało się do domu jednorodzinnego, w którym mieszkał kolega ze Stanów Zjednoczonych. Co najgorsze, polski kierownik doskonale zdawał sobie sprawę, że klienci z Włoch i Francji wyśmiewają się z jego taniego, niemodnego garnituru. Działacze „Solidarności" ostro krytykowali przywileje członków partii i menedżerów, lecz dochód elity w Polsce nie przekraczał za bardzo średniej krajowej. W 1985 roku najzamożniejsze 20 procent populacji otrzymywało 35 procent dochodu. Owszem, elita miała dostęp do specjalnych sklepów i mogła sobie „załatwiać" różne niezarejestrowane dochody, ale chyba nikt nie zaprzeczałby, że w PRL panowała stosunkowa równość w porównaniu z krajami kapitalistycznymi. Na przykład w Stanach Zjednoczonych w tym samym okresie górne 20 procent otrzymywało 46 procent dochodu i kontrolowało 81 procent bogactwa, a wartość współczynnika Giniego sięgała 43[27]. Oczywiście, dane oficjalne z PRL trzeba traktować ostrożnie, lecz nie ma wątpliwości, że nierówność w Polsce była nieporównywalnie mniejsza niż w Stanach czy nawet w Europie Zachodniej. Przywileje partyjne polskich elit były na tym tle raczej mizerne. Podczas gdy polscy robotnicy uskarżali się na nierówności, elity spogląda-

ły na Zachód i utyskiwały, że ich stopa życiowa nie odpowiada pozycji, którą zajmują. Nowe podejście, akcentujące zalety akumulacji bogactwa, musiało przypaść im do gustu. Ekonomia podażowa zalecała gromadzenie kapitału inwestycyjnego – ale przecież ktoś musiał go pozyskiwać i odpowiadać za inwestycje, zbijając przy okazji fortunę. Nie twierdzę, że przesłanką do przeprowadzenia reform był interes własny elit kierowniczych PRL; w grę wchodziły też rozmaite ważne czynniki makroekonomiczne i ideologiczne. Jeśli analizować z dzisiejszej perspektywy argumenty ówczesnych reformatorów, jest oczywiste, że szczerze wierzyli w zdroworozsądkową prostotę swych pomysłów. Gdyby ktoś zasugerował, że pragną zapewnić sobie korzyści, byliby urażeni. Rzadko kiedy ludzkie motywacje daje się sprowadzić do opowieści o chciwych złoczyńcach i świątobliwych bohaterach, pozostaje jednak faktem, że pewien segment populacji PRL mógł się solidnie wzbogacić dzięki polityce gromadzenia kapitału. Poparcie reform przez ów segment było ważne, bo dla większości pozostałych Polaków oznaczały one – w najlepszym razie – krótkotrwałe wyrzeczenia.

26 Kazimierz Z. Poznanski, *Poland's Protracted Transition*, dz. cyt., s. 151.

27 Mattias Lindgren, *Gapminder*, https://www.gapminder.org/data/documentation/; Edward Wolff, *Recent Trends in Household Wealth in the United States*, „Levy Economics Institute Working Paper Collection", 589, http://www.levyinstitute.org/pubs/wp_589.pdf.

Messner i Jaruzelski wiedzieli, że podobnie jak poprzednicy nie mają dostatecznej siły, by obniżyć płace lub podnieść ceny. Gdyby plany Messnera zostały w całości wprowadzone

w życie, znów doszłoby do protestów i strajków, a Polska cofnęłaby się do roku 1980 albo 1970. Jaruzelski nie chciał powrotu stanu wojennego. Musiał pozyskać poparcie dla reform, które – jak przekonywali go ekonomiści – stanowiły konieczność. Zaczął więc od rozpisania referendum na temat propozycji Messnera. Ruch ten wszystkich zaskoczył. Kraje bloku wschodniego zazwyczaj nie prowadziły polityki bazującej na głosie większości. Poprzednie referendum w PRL odbyło się w 1946 roku i od początku do końca było oszustwem, zagrywką obliczoną na rozbicie antykomunistycznej opozycji. Tym razem jednak sfałszowanie wyników nie miałoby sensu: władzy chodziło wszak o to, by Polacy autentycznie poparli plan zakładający poważny spadek stopy życiowej. Jaruzelski wiedział, że nie może siłą obniżyć płac, podnieść cen i zgromadzić kapitału przeznaczonego na spłatę długu (a przy odrobinie szczęścia również na inwestycje). Liczył, że jeśli ludzie jasno opowiedzą się za reformami, rządowi łatwiej będzie przetrwać późniejsze protesty.

Zasadniczą rolę odgrywało tu nastawienie nowego sekretarza generalnego KPZR Michaiła Gorbaczowa. Jego hasła *głasnost'* (jawność) i *pierestrojka* (przebudowa, reforma) podsumowywały falę przemian, które jeszcze kilka lat temu byłyby nie do pomyślenia. Jeśli chodzi o swobody obywatelskie, Związek Radziecki i tak pozostawał w tyle za Polską, nie można więc powiedzieć, że Gorbaczow zainspirował władze PRL, wysłał jednak wyraźny sygnał, że ZSRR zamierza skupiać się na własnych problemach wewnętrznych, a kraje satelickie mogą zerwać ze starym modelem działania. Jaruzelski zyskał więc

pole manewru niezbędne, by szukać szczerego poparcia dla reform gospodarczych.

Głosowanie odbyło się 29 listopada 1987 roku. Opcja „Tak" zdobyła więcej głosów, ale to nie wystarczyło. Zgodnie z prawem, aby referendum było ważne, bezwzględna większość osób uprawnionych do głosowania musiała poprzeć reformy, tymczasem jedna trzecia elektoratu została w domu i plan Messnera zyskał przychylność zaledwie 44 procent ogółu wyborców[28]. W innych okolicznościach ten dowód słabości PZPR wywołałby powszechne poruszenie. Jednak w roku 1988 wartość złotówki spadała szybciej niż w poprzednich latach, pijaństwo, drobna przestępczość i defraudacje były na rekordowym poziomie, a młodzi ludzie rozpaczliwie pragnęli wyemigrować za granicę, choć nie dostawali wiz. Partia cieszyła się znikomym zaufaniem, co nie przekładało się na mobilizację polityczną opozycji. Na początku dekady „Solidarność" rozbudziła nadzieje, lecz po roku 1981 zdawały się one naiwnością. Ludzie wycofywali się z życia publicznego w przekonaniu, że polityka jest bezsensowna, aktywizm nic nie zmieni, a przyszłość maluje się w ciemnych barwach.

28 *Obwieszczenie Centralnej Komisji do Spraw Referendum z dnia 30 listopada 1987 r. o wyniku referendum ogólnokrajowego przeprowadzonego dnia 29 listopada 1987 t.*, „Monitor Polski" 1987, t. 34, nr 294, s. 449–464.

Wątek braku zaangażowania w życie publiczne pojawia się w większości narracji o latach osiemdziesiątych, lecz pod pewnym względem jest zwodniczy. Faktycznie, związkowcy i dysydenci robili niewiele, ale nie oznacza to, że ludzie tylko siedzieli w domu i marudzili. Aktywizm polityczny stracił na

znaczeniu, lecz na przykład kultura popularna rozkwitała jak nigdy dotąd. Latem 1980 roku odbył się Pierwszy Ogólnopolski Festiwal Muzyki Młodej Generacji w Jarocinie. Organizowano go później nawet w stanie wojennym. Na scenie występowały zespoły reprezentujące najnowsze trendy rocka i punku. W 1982 roku Program III Polskiego Radia zdecydował się na śmiały eksperyment, a mianowicie zaczął emitować program z piosenkami na życzenie telefonujących słuchaczy. Puszczane utwory z pewnością nie przypadały do gustu członkom Komitetu Centralnego (ani przywódcom „Solidarności"). Powstawała przestrzeń kulturowa poza bieżącymi sporami politycznymi. Młodzi ludzie, urodzeni głównie około 1960 roku, mogli buntować się przeciwko instytucjom stworzonym przez starsze pokolenia, lub przynajmniej się od nich dystansować. Nie zawsze wpasowywało się to w inteligencką szufladkę „społeczeństwa obywatelskiego", choć niektórzy próbowali po latach przypisywać jawną polityczność kapelom punkowym, którym bliżej było raczej do nihilizmu niż do świadomego antykomunizmu. Zielone włosy, dziurawe spodnie i głośna muzyka nie przystawały do podziału politycznego tamtej epoki, lecz stanowiły wyraz istnienia innego rodzaju „sfery publicznej". Zasiane w niej ziarna wydały plon dopiero wiele lat później[29].

29 Raymond Patton, *Screamed Poetry: Rock in Poland's Last Decade of Communism*, University of Michigan dissertation, 2011.

Sporo młodych ludzi szukało własnej formy aktywizmu poza polem bitwy wytyczonym przez „Solidarność" i PZPR.

W 1984 roku powstała grupa Wolność i Pokój (WiP), protestująca przeciwko obowiązkowi służby wojskowej. Z czasem podjęła ona też kwestię ochrony środowiska naturalnego, zwłaszcza wykorzystywania energii atomowej. Poglądy WiP-owców nie mieściły się w typowych ideologicznych dychotomiach. Kolejną specyficzną grupą była Pomarańczowa Alternatywa, organizująca happeningi łączące teatr uliczny, protest i karnawał; przykładowo, w 1987 roku uczciła rocznicę rewolucji październikowej, urządzając rekonstrukcję na ulicach Wrocławia. Nie zabrakło pancernika Potiomkina z tektury i tłumu ubranego na czerwono, skandującego „Rewolucja! Rewolucja!". Ironiczny charakter wydarzenia konfundował milicję. Innym razem działacze przebrali się za krasnoludki i rozdawali przechodniom papierowe czapki. Zrobiło się zbiegowisko; milicja zainterweniowała, ale ludzie reagowali raczej śmiechem niż strachem. Było wszak coś absurdalnego w tym, że mundurowi rozpędzają bandę psotnych krasnali. Starsze pokolenie dysydentów traktowało to jako niepoważną rozrywkę, odwracającą uwagę od „prawdziwego" aktywizmu. Faktycznie, chodziło o odwrócenie uwagi i o apolityczność, niemniej wyrażała się w tym zupełnie nowa sfera publiczna, w której kwestie uważane przez poprzednie generacje za arcyważne i fundamentalne traktowano z dystansem i humorem[30]. Raz jeszcze widzimy, że podział „państwo kontra społeczeństwo", czyli narracja o wielkiej bitwie sił tyranii z siłami wolności, to nadmierne uproszczenie skomplikowanej sytuacji społeczno-kulturowej lat osiemdziesiątych.

30 Zob. Padraic Kenney, *A Carnival of Revolution: Central Europe, 1989*, Princeton

University Press, Princeton 2002.

Jaruzelski nie miał dobrego wyjścia. Nie brakowało mu stanowczości: pewną ręką kontrolował administrację państwową, aparat bezpieczeństwa i wojsko. Nie groziła mu też potężna opozycja – podziemna „Solidarność" mogła budzić irytację generała, lecz nie mogła mu rzucić poważnego wyzwania. Główną przeszkodą był brak zaufania. Jaruzelski rządził krajem, którego gospodarka się załamała i nie mógł temu zaradzić, bo ludzie nie chcieli przyjąć żadnej propozycji reform. Cóż po sprawnej służbie bezpieczeństwa, skoro potrzebował władzy o prawdziwej, solidnej legitymizacji?

Z braku lepszego rozwiązania zwrócił się do jedynego środowiska, które mogło mu ową legitymizację zapewnić, a mianowicie do „Solidarności". Na pierwszy rzut oka plan wydawał się niedorzeczny. Jaruzelski oczekiwał, że związek zawodowy pomoże mu wprowadzić program radykalnych oszczędności, prowadzący do obniżenia płac i stopy życiowej. W istocie jednak miało to sens. Przywództwo ruchu nie rozpatrywało konfliktu z komunistami w kategoriach polityki ekonomicznej, a dobrobyt pracowników nie był stawką w grze. Opozycja domagała się wielu rzeczy, przejawiała rozmaite poglądy, lecz zgadzała się co do tego, że walka ma charakter polityczny, że chodzi w niej o „prawa człowieka", „niepodległość", „demokrację", „sprawiedliwość" a przede wszystkim „wolność" (najpopularniejsze hasło skandowane w owych czasach brzmiało: „Nie ma wolności bez «Solidarności»"). Na tym tle spory makroekonomiczne wydawały się zupełnie trywialne. Ponadto „Solidarność" z roku 1988 bar-

dzo różniła się od tej, którą rozwiązano w roku 1981. Masowy ruch przerodził się w zwartą konspirację, rozhulany populizm ustąpił wyrafinowanej taktyce i dobrze zorganizowanemu oporowi. Przywództwo „Solidarności" nie mogło pozwolić sobie na stosowanie demokratycznych procedur, skoro nieustannie musiało baczyć na zagrożenie ze strony służb bezpieczeństwa. Nadal wierzyło, że walczy w imię „społeczeństwa polskiego" (lub „narodu polskiego"), ale miało słabą więź z tymi, których rzekomo reprezentowało. Kiedy wiosną 1988 roku wybuchła fala oddolnych strajków, Wałęsa i jego współpracownicy byli równie poirytowani jak rząd.

Strajki te ujawniły głębię podziałów i powszechną niepewność. Część kierownictwa PZPR chciała stanowczo rozprawić się z protestującymi. Protest w Nowej Hucie został brutalnie rozpędzony przez milicję, choć Jaruzelski opowiadał się za negocjacjami. Zarazem uczestnicy strajków opowiadali się za dużo bardziej konfrontacyjnym podejściem niż Lech Wałęsa. W maju episkopat zaapelował o dialog zamiast przemocy, wyrażając tym samym nadzieje przywództwa „Solidarności" i PZPR. Obie strony wiedziały, że siedzą na beczce z prochem i muszą się mocno wysilić, by uspokoić nastroje swoich zwolenników. Wałęsa udał się do Stoczni Gdańskiej, znów pełniącej funkcję symbolicznego centrum strajków, i przekonał robotników, by wrócili do pracy, nawet jeśli nie uzyskali żadnych ustępstw ze strony rządu. Miesiąc później, 13 czerwca, Jaruzelski wygłosił przemówienie na plenum KC, opowiadając się za „rozmowami okrągłego stołu", w których miałyby wziąć udział wszystkie rywalizujące ze sobą frakcje[31]. Po kolejnej

fali strajków w sierpniu PZPR i „Solidarność” zorganizowały serię spotkań wysokiego szczebla, szykując się do formalnych negocjacji.

31 Wojciech Jaruzelski, *Przemówienie 1988*, Książka i Wiedza, Warszawa 1990, s. 231–240.

Również w sierpniu nastąpiło inne bezprecedensowe zdarzenie: Sejm przyjął wotum nieufności dla premiera Messnera i rząd musiał podać się do dymisji. Inicjatywa wyszła ze strony Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych (oficjalnie usankcjonowanego przez państwo), które próbowało dowieść, że to ono, a nie „Solidarność”, naprawdę reprezentuje interesy klasy robotniczej. Następcą Messnera został Mieczysław Rakowski, były dziennikarz, od wczesnych lat siedemdziesiątych wysoki rangą działacz PZPR. Ku rozgoryczeniu przeciwników Messnera nowy premier miał takie same poglądy jak poprzednik. Ba, prowadził jeszcze bardziej radykalną politykę gospodarczą. Zezwolił firmom zagranicznym na dokonywanie bezpośrednich inwestycji w Polsce i uwolnił ceny. Ustawy Rakowskiego w ogromnym stopniu przyczyniły się do kapitalistycznych reform, lecz w krótkim okresie ich głównym skutkiem był dramatyczny wzrost inflacji.

Po kilku miesiącach przygotowań, 6 lutego 1989 roku, ruszyły obrady Okrągłego Stołu. Kształt mebla odgrywał ogromną rolę. Rząd pragnął przedstawić całe wydarzenie jako akt ogólnonarodowego dialogu, a nie negocjacje między dwiema zwaśnionymi stronami. Jaruzelski zamierzał zawrzeć

minimalne kompromisy, niezbędne, by „Solidarność" zgodziła się współodpowiadać za sytuację – a zatem uczynić ją częścią systemu, co miało mu pozwolić z jej pomocą ustabilizować państwo i przepchnąć trudne reformy gospodarcze. Kościół, który wydelegował biskupa i dwóch księży jako obserwatorów i mediatorów, także poparł metaforę okrągłego stołu, chciał bowiem zachować pozory politycznego dystansu. Większość najważniejszych postaci opozycji wolała przedstawiać wydarzenie jako starcie „społeczeństwa" i „państwa", lecz z czasem przyjęła bardziej koncyliacyjną retorykę. Jedynie względnie mała grupa prawicowych działaczy nadal trzymała się symboliki wojny i oporu, powtarzając hasła typu: „Z komuną układy są dowodem zdrady". W tamtym czasie owa grupa wydawała się niezbyt istotna.

Okrągły stół rozumiany jako konkretny mebel był wykorzystywany tylko w uroczystych momentach negocjacji. Codzienne rozmowy toczyły się w trzech zespołach: do spraw reform politycznych, do spraw pluralizmu związkowego oraz do spraw gospodarki i polityki społecznej. Najsłynniejsi działacze opozycji zasiedli w zespołach pierwszym i drugim. Uważali, że trzeci będzie rozstrzygał o sprawach mniej interesujących i głównie technicznych. Strona solidarnościowa domagała się przede wszystkim ponownej legalizacji związku, okazało się jednak, że nie jest to najbardziej sporna kwestia, wszak rząd, zgadzając się na rozpoczęcie negocjacji, wyraził de facto zgodę na powrót „Solidarności", choć ledwie rok wcześniej w kręgach PZPR pomysły takie uchodziły za herezję. Rozmowy na temat reform politycznych potoczyły się

w zaskakującym kierunku. Negocjatorzy porozumieli się, że w ciągu kilku miesięcy zostaną przeprowadzone częściowo wolne wybory do parlamentu, a rząd zniesie cenzurę. Ustalono, że 65 procent mandatów poselskich przypadnie osobom z list PZPR i jej partii sojuszniczych, natomiast pozostałe 35 procent trafi do zwycięskich kandydatów reprezentujących dowolne ugrupowania. Przywrócono senat, zniesiony na mocy niesławnego referendum w 1946 roku. Wszyscy jego członkowie mieli być wybierani w wolnych wyborach. Przyznano mu co prawda niewielkie prerogatywy, ale zarazem stał się instytucją w pełni demokratyczną. Wrócił też urząd prezydenta, zlikwidowany przez stalinistów. Głowę państwa miało wybierać Zgromadzenie Narodowe, czyli sejm i senat, jak w okresie międzywojennym. Zakładano, że stanowisko przypadnie Jaruzelskiemu, by udobruchać Moskwę i skrzydło PZPR niechętne zmianom.

Na negocjacjach politycznych skupiła się cała uwaga, tymczasem trzeci zespół, zajmujący się gospodarką, zakończył prace ogólnym porozumieniem w kwestii dalszego wprowadzania reform rynkowych. W umowie znalazły się obietnice utrzymania, a nawet rozszerzenia świadczeń socjalnych, zapomniano o nich jednak, zanim wysechł tusz podpisów. Tak oto „Solidarność" opowiedziała się za transformacją gospodarki, czego żaden z liderów nie uważał za szczególnie istotne. Nie spodziewali się, jak brzemienna w skutki będzie ta decyzja.

Ostateczne porozumienie podpisano 5 kwietnia 1989 roku. Było rzeczą oczywistą, że władza poszła na duże ustępstwa,

lecz nikt nie spodziewał się upadku komunizmu. Wałęsa nazwał umowę środkiem do celu, a nie celem samym w sobie. Podczas obrad końcowych mówił:

> Albo potrafimy jako naród budować w sposób pokojowy niepodległą, suwerenną, bezpieczną równoprawnymi sojuszami Polskę, albo utoniemy w chaosie demagogii i w rezultacie wojny domowej, w której nie będzie zwycięzców. [...] We wszystkich komisjach „okrągłego stołu" część naszych postulatów została przyjęta i skierowana do realizacji. Realizację części z nich odłożono na później. [...] Zdajemy sobie sprawę, że obrady „okrągłego stołu" nie spełniły wszystkich oczekiwań, nie mogły ich spełnić. Muszę jednak podkreślić, że po raz pierwszy rozmawialiśmy ze sobą, posługując się siłą argumentów, a nie argumentami siły. To dobrze. Wróży to na przyszłość[32].

32 https://bit.ly/36ijGbO, s. 93–98.

Negocjatorzy PZPR byli pewni, że zapewnili sobie dalsze rządy, a zarazem, dzięki ograniczonemu porozumieniu z opozycją, zdobyli upragnioną legitymizację. Nadchodzące wybory miały tylko częściowo wolny charakter. Ponadto wyznaczono je na 4 czerwca, czyli za niespełna dwa miesiące. „Solidarności" brakowało aparatu wyborczego, doświadcze-

nia w polityce oraz pieniędzy. Partia sądziła, że jest skazana na sukces.

Kampania nie była konfrontacją dwóch różnych światopoglądów, bo tak naprawdę żadnej ze stron nie zależało na odwoływaniu się do kwestii ideologicznych. PZPR nie mogła kusić wyborców wizją trudnych reform gospodarczych. Zamiast tego mówiła o „reformach rynkowych", o zrównaniu przedsiębiorstw prywatnych i publicznych oraz o integracji z globalną gospodarką. Wszystko to służyło w rzeczywistości zwiększonej akumulacji kapitału, której koniecznym warunkiem była obniżka płac. Skoro tak, o gospodarce w kampanii wyborczej dawało się dyskutować tylko za pomocą frazesów i uników. PZPR nie mogła też wrócić do starych sloganów o złym kapitalizmie. Nawet jeśli pominąć fakt, że jej plan gospodarczy nie miał nic wspólnego z socjalizmem, to i tak dawna retoryka stała się pusta i nieskuteczna. Nacjonalizm, bliższy sercom osób pokroju Jaruzelskiego, też się nie sprawdzał, bo na tym polu „Solidarność" miała ewidentną przewagę. Partia była zbyt ściśle kojarzona ze Związkiem Radzieckim, a tymczasem „Solidarność" mogła odwołać się do bogoojczyźnianej symboliki jeszcze sprzed czasów PRL. Księża nawet nie próbowali udawać politycznej neutralności, a na solidarnościowych wiecach pojawiały się niezliczone wizerunki Popiełuszki, Jana Pawła II i Matki Boskiej Częstochowskiej. Ostatecznie w kampanii PZPR nacjonalizm odegrał pewną rolę, ale głównie w postaci aluzji do możliwej radzieckiej interwencji. „Z nami bezpieczniej" – głosiło jedno z haseł. Nie porywało ono serc. A władzy nie było stać na więcej.

„Solidarność” też nie mogła odwoływać się do ideologii, bo za kruchą fasadą jedności skrywała rozmaite podziały i konflikty. Nie była partią, lecz szeroką koalicją ludzi, którzy w innych okolicznościach nosiliby etykietki narodowców, chadeków, liberałów, konserwatystów i socjaldemokratów. Inteligenccy dysydenci, niegdyś należący do PZPR, stali ramię w ramię z katolickimi nacjonalistami. W tamtym czasie nie miało to znaczenia, albowiem wszystkich łączył wspólny cel obalenia komunizmu. Gdyby jednak ktoś chciał nakreślić szczegółowy program, otworzyłby zapewne głębokie rany, trudne do zabliźnienia. Ostatecznie więc opozycja stawiała na slogany typu „wolność”, „niepodległość” i „demokracja”, największym zaś atutem było słynne logo „Solidarności”. Niczego więcej nie potrzebowano.

W tym samym czasie po drugiej stronie globu inny ruch posłużył się tymi hasłami w walce z komunistyczną dyktaturą. Od 15 kwietnia 1989 roku chińska opozycja demokratyczna okupowała plac Tian’anmen w Pekinie, domagając się wolnej prasy, wolności słowa, samorządu pracowniczego i ukarania skorumpowanych urzędników. Kierownictwo Komunistycznej Partii Chin długo nie mogło wypracować wspólnego stanowiska, jak poradzić sobie z masowym protestem, w którym uczestniczył milion osób. Ostatecznie władze zdecydowały się na użycie siły i 4 czerwca, w dzień wyborów w Polsce, armia krwawo stłumiła demonstracje. Zapewne nigdy się nie dowiemy, ile zginęło wówczas ludzi; szacunki wahają się od kilkuset do kilku tysięcy. Gdy Polacy wrzucali głosy do urn, Chiny przypomniały o drugiej możliwej ścieżce. Każdy, kto uważa

obecnie, że kompromis zawarty przy okrągłym stole nie był potrzebny, powinien przypomnieć sobie plac Tian'anmen.

Wyniki wyborów w Polsce okazały się wręcz niewiarygodne: „Solidarność" zdobyła wszystkie mandaty do sejmu, o które się ubiegała, i 99 na 100 miejsc w Senacie (jedno miejsce przypadło kandydatowi niezależnemu). PZPR dostała wyłącznie to, co miała zagwarantowane na mocy okrągłostołowych porozumień. Słowa „porażka" i „upokorzenie" nie pozwalają w pełni oddać prawdy o tamtym przełomowym późnowiosennym dniu.

Wyniknął z tego nieprzewidziany dylemat. PZPR od dawna wykorzystywała marionetkowe ugrupowania, by nadać PRL choćby skromne pozory pluralizmu. Ani Stronnictwo Demokratyczne, ani Zjednoczone Stronnictwo Ludowe nie były autonomiczne. Popierały wszystkie decyzje partii komunistycznej i w ogóle nie wpływały na politykę państwa. Pojawiały się na kartach do głosowania jako udawani koalicjanci PZPR, a wybory z roku 1989 nie były wyjątkiem. Miejsca w parlamencie zdobywane przez SD i ZSL uchodziły za zupełnie nieistotne. Teraz jednak potulne pionki postanowiły się zbuntować. Podjęły rozpaczliwą próbę ucieczki z tonącego statku i po 4 czerwca ogłosiły, że nie poprą kandydata komunistów na stanowisko premiera. Parlamentarna arytmetyka zupełnie się wywróciła. Układ w sejmie wyglądał następująco: PZPR miała 173 miejsca, „Solidarność" 161, a nieposłuszne ugrupowania marionetkowe, które zdobyły część mandatów przeznaczonych dla dotychczasowej koalicji rządowej, 126. Ponadto PZPR nie zdobyła ani jednego miejsca w senacie, więc szanse wybo-

ru prezydenta-komunisty (wyłanianego przez obydwie izby) wyglądały kiepsko.

W normalnych okolicznościach „Solidarność" po prostu utworzyłaby rząd. Musimy jednak pamiętać, że latem 1989 roku Związek Radziecki pozostawał potęgą, a pozostałe wschodnioeuropejskie partie komunistyczne trzymały się u władzy. Wspomnienia poprzednich radzieckich inwazji (nie mówiąc o obrazach z placu Tian'anmen) prześladowały negocjatorów z „Solidarności" i PZPR, próbujących znaleźć jakieś wyjście. Nawet deklaracja Gorbaczowa wygłoszona na forum ONZ w grudniu 1988 roku, że ZSRR nie będzie już ingerował w wewnętrzne sprawy państw wschodnioeuropejskich, nie uśmierzyła lęków – nikt nie miał pewności, czy reformy w Moskwie nie zostaną zatrzymane. W KPZR nie brakowało przecież twardogłowych; obawiano się, że wkrótce może wrócić stare. Rozwiązanie sytuacji patowej podpowiedział w końcu weteran dysydentów Adam Michnik w artykule *Wasz prezydent, nasz premier*, opublikowanym przez „Gazetę Wyborczą"[33]. Propozycja zakładała, że Jaruzelski obejmie prezydenturę, zgodnie z pierwotnym planem, co uspokoi Sowietów na tyle, by kandydat „Solidarności" mógł stanąć na czele rządu. PZPR ochoczo wyraziła zgodę, pragnęła bowiem zachować choćby część władzy po wyborczej katastrofie. Parlamentarzyści „Solidarności" zacisnęli zęby i poparli Jaruzelskiego, premierem zaś został znany katolicki intelektualista i działacz opozycji Tadeusz Mazowiecki, uczestnik negocjacji w Stoczni Gdańskiej w 1980 roku.

---

33 Adam Michnik, *Wasz prezydent, nasz premier*, „Gazeta Wyborcza", 24 czerwca

I tak oto niemożliwe stało się możliwe. 19 sierpnia 1989 roku niekomunistyczny rząd przejął władzę w Polsce, bez rozlewu krwi, na drodze negocjacji i wyborczego zwycięstwa. Polska nie tylko przyciągnęła uwagę całego świata, ale też stała się wzorem do naśladowania. Wkrótce obrady okrągłego stołu odbyły się na Węgrzech (choć tam akurat wykorzystano prostokątny mebel), a w Czechosłowacji i NRD doszło do pokojowych protestów antykomunistycznych. Następne w kolejce były Bałkany, aczkolwiek w Rumunii nie obyło się bez przemocy, bo służba bezpieczeństwa – najokrutniejsza w regionie – do końca próbowała utrzymać status quo. W październiku, listopadzie i grudniu komunistyczne reżimy Europy Wschodniej upadły jeden po drugim. ZSRR istniał jeszcze przez dwa lata; w roku 1991 po nieudanym zamachu stanu przeciwko Gorbaczowowi partyjny beton poniósł zupełną klęskę, a kraj rozpadł się na kawałki.

Pośród całej tej międzynarodowej euforii roku 1989 łatwo przeoczyć istotny szczegół: w czerwcowych wyborach w Polsce wzięło udział tylko 62 procent osób uprawnionych do głosowania. Miliony Polek i Polaków były na tyle rozczarowane polityką i na tyle cynicznie się do niej odnosiły, że postanowiły po prostu zostać w domach. „Solidarność" dostała mandat od głosujących, ale niekoniecznie od większości społeczeństwa. Apatia i gorycz były zapewne silniejsze niż poparcie dla Wałęsy czy Jaruzelskiego. Właśnie dlatego w Polsce nie świętowano publicznie zwycięstwa, a na ulicach nie pojawiły się tłumy stanowiące wymarzony temat dla fotoreporterów.

Wydarzenia roku 1989 określa się czasem mianem „aksamitnych rewolucji" (zapożyczonym z czechosłowackiego kontekstu). Każdy, kto żył w tamtej dramatycznej epoce, nigdy nie zapomni fotografii Niemców, którzy tańczą na murze berlińskim po otwarciu granicy. Zarazem mało kto wie, że wszystko zaczęło się w Polsce, bo sami Polacy nie dostarczyli światu pamiętnych, symbolicznych obrazów radości i zwycięstwa. Jak wytłumaczyć tę ambiwalencję? Po pierwsze w 1989 roku, inaczej niż w 1980, nie doszło do masowej mobilizacji. Zmiana warty dokonała się głównie z udziałem niewielkiego grona przedstawicieli elit w korytarzach władzy i przy stołach negocjacyjnych. Oczywiście nie byłoby wydarzeń roku 1989, gdyby nie rok 1980, ale odstęp okazał się za duży. Mało kto uważał upadek komunizmu za skutek masowego społecznego sprzeciwu. Zabrakło okazji do wspólnego publicznego czynu, zdolnego wzbudzić radość i entuzjazm. Po drugie mimo przegranej komuniści zdobyli prezydenturę i 173 mandaty poselskie. Nadal kierowali ministerstwami obrony i spraw wewnętrznych. W sierpniu ludzie sądzili, że to niezwykły sukces, ale z perspektywy listopada wszystko wyglądało jak powierzchowny kompromis. Owe oceny były niesprawiedliwe i ahistoryczne. Mało kto mógł przewidzieć tamtego lata, co się za chwilę wydarzy. Tak czy inaczej, nie dokonało się gwałtowne zerwanie z przeszłością. Fakt ten sprzyjał rozwojowi teorii spiskowych w niszowych środowiskach politycznych i utrudniał udzielenie odpowiedzi na pytanie, kiedy dokładnie zakończyły się rządy komunistów. Po trzecie wreszcie w 1989 roku nie świętowano, bo nie było jasne, kto wygrał i na czym do-

kładnie polega zwycięstwo. Polacy nie spodziewali się raczej, że ich życie nagle się poprawi, skoro PZPR została pokonana. Mieli rację. Kraj wpływał na nieznane wody; trudno było ocenić, czy to właściwy czas na radosną celebrację.

Literatura uzupełniająca

Ash, Timothy Garton, *The Magic Lantern: The Revolution of 1989*, Vintage Books, New York 1998

Ash, Timothy Garton, *Polska rewolucja. „Solidarność" 1980–1981*, przeł. Małgorzata Dziewulska, Marcin Król, Res Publica, Warszawa 1990

Berend, Ivan, *Central and Eastern Europe, 1944–1993: Detour from the Periphery to the Periphery*, Cambridge University Press, Cambridge 1996

Bernhard, Michael, *The Origins of Democratization in Poland: Workers, Intellectuals, and Oppositional Politics, 1976–1980*, Columbia, New York 1993

Bloom, Jack, *Seeing Through the Eyes of the Polish Revolution: Solidarity and the Struggle Against Communism in Poland*, Brill, Leiden 2014

Bromke, Adam, *Poland's Politics: Idealism vs. Realism*, Harvard University Press, Cambridge 1967

Castle, Marjorie, *Triggering Communism's Collapse: Perceptions and Power in Poland's Transition*, Harvard University Press, Cambridge 2002

Dubiński, Krzysztof, *Okrągły stół*, Krajowa Agencja Promocyjna, Warszawa 1999

Friszke, Andrzej, *Opozycja polityczna w PRL, 1945–1980*, Aneks, Warszawa 1994

Friszke, Andrzej, *Polska Gierka*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995

Goodwyn, Lawrence, *Breaking the Barrier: The Rise of Solidarity in Poland*, Oxford University Press, Oxford 1991

Grala, Dariusz, *Reformy gospodarcze w PRL. Próba uratowania socjalizmu*, Trio, Warszawa 2005

Grupińska, Anna, Joanna Wawrzyniak, *Buntownicy: Polskie lata 70 i 80*, Świat Książki, Warszawa 2011

Holzer, Jerzy, *Solidarność w podziemiu*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1990
Jezierski, Andrzej, *Historia Gospodarcza Polski*, Key Text, Warszawa 2003
Junes, Tom, *Student Politics in Communist Poland: Generations of Consent and Dissent*, Rowman and Littlefield, Lanham 2015
Kennedy, Michael D., *Professionals, Power and Solidarity in Poland: A Critical Sociology of a Soviet-type Society*, Cambridge University Press, New York 1991
Kenney, Padraic, *A Carnival of Revolution: Central Europe, 1989*, Princeton University Press, Princeton 2002
Kosiński, Krzysztof, *Nastolatki' 81. Świadomość młodzieży w epoce „Solidarności"*, Trio, Warszawa 2002
Kotkin, Stephen, Jan Gross, *Uncivil Society: 1989 and the Implosion of the Communist Establishment*, Modern Library, New York 2009
Kowalski, Sergiusz, *Narodziny III Rzeczypospolitej*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1996
Krajewski, Andrzej, *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL (1975–1980)*, Trio, Warszawa 2004
Kramer, Mark (red.), *Soviet Deliberations During the Polish Crisis, 1980–1981*, Woodrow Wilson Center, Washington 1999
Kubik, Jan, *The Power of Symbols against the Symbols of Power: The Rise of Solidarity and the Fall of State Socialism in Poland*, Pennsylvania State University Press, University Park 1994
Kuroń, Jacek, Jacek Żakowski, *PRL dla początkujących*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999
Laba, Roman, *The Roots of Solidarity: A Political Sociology of Poland's Working-Class Democratization*, Princeton University Press, Princeton 1991
Leszczyński, Adam, *Anatomia protestu. Strajki robotnicze w Olsztynie, Sosnowcu i Żyrardowie, sierpień–listopad 1981*, Trio, Warszawa 2006
Lipski, Jan Józef, *KOR*, NOWa, Warszawa 1983
Long, Kristi, *We All Fought for Freedom: Women in Poland's Solidarity Movement*, Westview, Boulder 1996
Łysiak, Wojciech, *Wielka kontestacja. Folklor polityczny w PRL*, PSO, Poznań 1998
Main, Izabella, *Trudne świętowanie. Konflikty wokół obchodów świąt państwowych i kościelnych w Lublinie (1944–1989)*, Trio, Warszawa 2004

Malkiewicz, Andrzej, *Wybory czerwcowe 1989 r.*, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1994
Mason, David S., *Revolution and Transition in East-Central Europe*, Westview, Boulder 1996
Mink, Georges, *Siła czy rozsądek. Historia społeczna i polityczna Polski (1980–1989)*, Spacja, Warszawa 1992
Muszyńska, Jolanta, Aneta Osiak, Dorota Wojtera, *Obraz codzienności w prasie stanu wojennego*, Trio, Warszawa 2006
Orlof, Ewa, Andrzej Pasternak, Rosław Pawlikowski, *Myśl programowa opozycji demokratycznej w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, 1976–1980*, Wojewódzki Ośrodek Metodyczny w Rzeszowie, Rzeszów 1993
Osa, Maryjane, *Solidarity and Contention: Networks of Polish Opposition*, University of Minnesota Press, Minneapolis 2003
Osęka, Piotr, *Marzec 1968*, Znak, Kraków 2008
Ost, David, *Solidarność a polityka antypolityki*, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2014
Paczkowski, Andrzej, *Strajki, bunty, manifestacje jako „polska droga" przez socjalizm*, Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Poznań 2003
Pawlicka, Katarzyna, *Polityka władz wobec Kościoła katolickiego (grudzień 1970 – październik 1978)*, Trio, Warszawa 2004
Penn, Shana, *Solidarity's Secret: The Women Who Defeated Communism in Poland*, University of Michigan Press, Ann Arbor 2005
Porter-Szűcs, Brian, *Faith and Fatherland: Catholicism, Modernity, and Poland*, Oxford University Press, New York 2011
Poznanski, Kazimierz Z., *Poland's Protracted Transition: Institutional Change and Economic Growth, 1970–1994*, Cambridge University Press, Cambridge 1996
Skórzyński, Jan, *Od Solidarności do wolności*, Trio, Warszawa 2005
Skórzyński, Jan, *Ugoda i rewolucja. Władza i opozycja 1985–1989*, Presspublica, Warszawa 1995
Sowiński, Paweł, *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, 2011
Staniszkis, Jadwiga, *Samoograniczająca się rewolucja*, przeł. Marek Szopski, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2011
Stokes, Gale, *The Walls Came Tumbling Down: The Collapse of Communism in Eastern Europe*, Oxford University Press, Oxford 1993

Touraine, Alain, *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981*, przeł. Andrzej Krasiński, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2010
Weschler, Lawrence, *The Passion of Poland: From Solidarity through the State of War*, Pantheon, New York 1984

ROZDZIAŁ DWUNASTY

TERAPIA SZOKOWA

W 2012 roku przeprowadzono badanie wśród Polaków urodzonych po roku 1963, a więc osób, które pamiętały ostatnią dekadę komunizmu i późniejszy okres zamętu. Respondenci opowiadali, jakie były skutki „zmian w naszym kraju" dla ich rodzin. 19 procent stwierdziło, że zyskali na zmianach, 19 procent, że stracili, 59 procent, że ani nie stracili, ani nie zyskali. Nieco ponad połowa uważała, że w roku 1988 ich warunki życia były dobre, a z drugiej strony tylko 31 procent opisało tak samo swą bieżącą sytuację. Zaledwie jedna druga badanych uznała nowy system za „bardziej sprawiedliwy", a 40 procent wyraziło zadowolenie „ze sposobu, w jaki funkcjonuje demokracja w naszym kraju". 26 procent twierdząco odpowiedziało na pytanie o chęć powrotu do „życia w socjalizmie tak, jak ono wyglądało w ostatnich dziesięciu–dwudziestu latach PRL". Ze szczegółowej analizy danych wynika, że dawni członkowie PZPR i dawni członkowie „Solidarności" nie różnili się za bardzo w swych deklaracjach, aczkolwiek osoby, które faktycznie działały w opozycji, zamiast tylko ją popierać, znacznie lepiej oceniały bieżącą sytuację. Ludzie z wyższym wykształceniem byli tak samo zadowoleni z warunków życia w 1988 i 2012 roku. Z kolei spośród osób z wykształceniem podstawowym 41 procent dobrze oceniało sytuację w la-

tach osiemdziesiątych, a 20 procent dobrze oceniało sytuację ćwierć wieku później[1].

1 Beata Roguska, *Afiliacje polityczne sprzed roku 1989 a stosunek do przemian ustrojowych i poczucie wpływu na sprawy publiczne*, komunikat z badań CBOS, wrzesień 2012, https://bit.ly/2HMsYmS.

Mowa tu o subiektywnych odczuciach, a nie o mierzalnych warunkach materialnych, niemniej widzimy, jak mocno poróżnieni są Polacy w ocenie przemian, których doświadczyli na przestrzeni ostatnich trzech dekad. Wspomnienia ludzi są znacznie bardziej skomplikowane i różnorodne, niżby wskazywały dominujące publiczne narracje na temat najnowszej historii. Owszem, większość uważa, że dokonała się zmiana na lepsze. Nie mówimy jednak o miażdżącej większości, a ponadto grupa ta wyraża rozmaite zastrzeżenia. Z kolei mniejszość, która chciałaby wrócić do PRL, jest na tyle liczna, że trzeba zadać sobie pytanie, za czym dokładnie tęskni. W sferze publicznej brakuje miejsca na otwartą dyskusję na ten temat, bo po roku 1989 antykomunizm natychmiast zyskał status politycznej hegemonii. Historycy i politycy spierali się jedynie, czy ze złem i patologiami dawnego reżimu można było rozprawić się szybciej i brutalniej. Rozdźwięk między siłą antykomunizmu a niewypowiedzianymi, lecz skomplikowanymi wspomnieniami zwykłych ludzi jest naprawdę uderzający. Spośród osób, które pamiętają PRL, 54 procent ocenia go pozytywnie. Natomiast w przypadku osób dorastających już po roku 1989 odpowiedni odsetek wynosi tylko 24 procent. Kto zna komunizm z lekcji historii albo z muzeów, ma przed

oczami głównie kordony ZOMO i kolejki po papier toaletowy. Jednak tylko 4 procent ludzi pamiętających PRL uważa, że osobiście doświadczyło represji politycznych, a niedobory stały się powszechne dopiero w ostatniej dekadzie, o czym pisałem w poprzednim rozdziale[2]. Innymi słowy, młodzieży celowo prezentuje się obraz znacznie bardziej mroczny niż wspomnienia wielu (większości?) osób, które doświadczyły życia w PRL. Osoby te z kolei mają ograniczone możliwości, by publicznie wyrażać swoją nostalgię, swoje żale albo wątpliwości pod adresem transformacji po 1989 roku.

2 Rafał Boguszewski, *PRL – doświadczenia, oceny, skojarzenia*, komunikat z badań CBOS, maj 2014, s. 4–5, https://bit.ly/33qipO5.

To ważne, ponieważ jeśli odmalujemy PRL jedynie w czarnych barwach, trudniej będzie nam ujrzeć III RP w pełnym kolorze. Na początku lat dziewięćdziesiątych ów manichejski światopogląd kształtował sposoby myślenia o polityce i gospodarce. Skoro PRL przedstawiano jako zupełnie dysfunkcjonalny, to „reformy" nie mogły wystarczyć: należało całkowicie zburzyć stary ustrój w akcie twórczego niszczenia. Retoryka radykalnej zmiany miała dalekosiężne konsekwencje, podobnie jak konkretne przyjęte wówczas strategie.

25 sierpnia 1989 roku Tadeusz Mazowiecki wygłosił w sejmie exposé. Program gospodarczy swego gabinetu zapowiadał następująco: „Długofalowym strategicznym celem poczynań rządu będzie przywrócenie Polsce instytucji gospodarczych od dawna znanych i sprawdzonych. Rozumiem przez to powrót do gospodarki rynkowej oraz roli państwa zbliżonej

do rozwiniętych gospodarczo krajów. Polski nie stać już na ideologiczne eksperymenty”[3]. W słowa te wkradła się niezamierzona ironia: rząd Mazowieckiego przeprowadził wkrótce własny „ideologiczny eksperyment” na ogromną skalę. Dokonano gwałtownej transformacji życia gospodarczego. Skutki zmian okazały się równie doniosłe jak w latach czterdziestych (aczkolwiek miały inny charakter). Ponadto odniesienie do „instytucji gospodarczych od dawna znanych i sprawdzonych” było zwodnicze, bo kapitalistyczne struktury, które w Europie Zachodniej i Ameryce Północnej rodziły się długo i stopniowo, z konieczności musiały zafunkcjonować zupełnie inaczej, kiedy przeszczepiono je do Polski.

3 *Przemówienie Tadeusza Mazowieckiego w Sejmie*, „Gazeta Wyborcza”, 25 sierpnia 1989.

Twórcy reform z początku lat dziewięćdziesiątych często mówią, że chcieli jedynie przywrócić status quo ante, zlikwidować „sztuczne” komunistyczne ograniczenia, które krępowały „naturalne” życie gospodarcze. Kraj zyskał nazwę Rzeczpospolita Polska; powstała III RP, uważająca się za bezpośrednią kontynuatorkę okresu międzywojennego. Rząd utworzony w 1989 roku chciał wymazać cztery dekady PRL. Nie było to ani możliwe, ani pożądane. Świat i Polska zmieniły się od 1939 roku. Okres komunizmu przyniósł w kraju ogromne, nieusuwalne przemiany. PRL *był* Polską – na dobre i na złe. Postkomunistyczne rządy musiały budować na tym, co pozostawiły po sobie poprzednie władze, lecz niechęć do uznania tego faktu mocno utrudniała zadanie.

Misja stworzenia nowej gospodarki w Polsce przypadła Leszkowi Balcerowiczowi. Jego biografia stanowi typowy przykład ścieżki, którą podążało wielu decydentów z tamtego pokolenia. W 1970 roku ukończył Szkołę Główną Planowania i Statystyki w Warszawie. Następnie uczył się na St. John's University w Nowym Jorku, gdzie uzyskał stopień MBA. Administracja Gierka była silnie związana z międzynarodowymi instytucjami finansowymi, toteż potrzebowała specjalistów obeznanych z praktykami biznesowymi świata kapitalistycznego. Podczas pobytu w Nowym Jorku Balcerowicz zachłysnął się podejściem podażowym, które właśnie zyskiwało popularność. Okazało się, że łatwo można je połączyć z tym, czego uczył się wcześniej w Warszawie. Prawie wszystkie osoby zajmujące się polityką gospodarczą i fiskalną w ostatniej dekadzie PRL odwoływały się do podobnych założeń. Prezentowały „podażowy socjalizm" (przy czym drugi człon tej nazwy stawał się coraz mniej istotny). Zasadniczo wspólne poglądy łączyły więc zarówno insiderów w rodzaju Zbigniewa Messnera (ekonomisty, szefa rządu w latach 1985–1988), jak i akademików pokroju Balcerowicza, który w 1981 roku wystąpił z PZPR w proteście przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego.

Balcerowicz podzielał przekonanie rozpowszechnione wśród ówczesnych decydentów, że głównym problemem kraju jest zwiększanie konsumpcji kosztem oszczędzania i inwestowania. Niedobory, uważał, wzięły się stąd, że ceny nie rosły dostatecznie szybko, by hamować konsumpcję, a nieefektywnych przedsiębiorstw państwowych nie poddawano „ryn-

kowej dyscyplinie". Jeszcze bardziej niż Messner czy Rakowski pragnął obniżyć płace, zamknąć niewydajne fabryki, usunąć dopłaty i obciąć wydatki socjalne. Najpilniejszą sprawą było powstrzymanie inflacji, co skądinąd współgrało z zasadniczą ambicją zahamowania konsumpcji i przekierowania zasobów państwa na spłatę długów oraz inwestycje. Na gruzach gospodarki bazującej (przynajmniej w teorii) na maksymalnej redystrybucji bogactwa Balcerowicz zamierzał sformować zdyscyplinowaną siłę roboczą pobierającą niższe wynagrodzenia, by zwiększyć produktywność i efektywność. Stanowczo podkreślał, że zamierza wyplenić resztki socjalizmu i ustanowić gospodarkę kapitalistyczną w stanie jak najczystszym – czystszym nawet niż w innych krajach, gdzie kapitalizm istniał już od dawna. Uważał się za zwolennika demokracji. W 1992 roku rzucił jednak słynne słowa: „Demokracja nie zastąpi kapitalizmu"[4].

4 Leszek Balcerowicz, *Demokracja nie zastąpi kapitalizmu*, „Rzeczpospolita", 9 października 1992. Na temat przekonań Balcerowicza zob. zbiór jego tekstów *Wolność i rozwój. Ekonomia wolnego rynku*, Znak, Kraków 1995.

Nie wszyscy współpracownicy Balcerowicza w pierwszym postkomunistycznym rządzie podzielali jego poglądy. Ba, nie wszyscy je rozumieli. Większość sądziła, że trzeba po prostu posprzątać bałagan zostawiony przez PZPR, a „wolność" (w gospodarce i innych sferach życia) załatwi resztę problemów. Przez lata postrzegali świat w dychotomicznych kategoriach dyktatury i demokracji, zbyt często zakładając, że pierwsze odpowiada socjalizmowi, drugie zaś kapitalizmowi. W prasie podziemnej w latach osiemdziesiątych rzadko dys-

kutowano o kwestiach gospodarczych, a jeśli już, największą popularnością cieszyło się ogólnikowe hasło „trzeciej drogi", pomiędzy skrajnymi modelami ZSRR i USA. Różnice między ekonomią keynesowską i podejściem podażowym zdawały się zbyt trudne i abstrakcyjne, zbyt techniczne, żeby poświęcać im czas, skoro pilniejsze było toczenie walk z generałem Jaruzelskim. Gdy więc dawni dysydenci zostali decydentami i przyszło im rozstrzygnąć, jakiego chcą kapitalizmu, zabrakło im rozeznania, by w ogóle porządnie przemyśleć tę kwestię. Nawet Jacek Kuroń, współzałożyciel KOR-u i wieloletni opozycjonista, któremu w pierwszym rządzie powierzono resort pracy i polityki socjalnej, z początku popierał Balcerowicza. Przez całe życie był socjalistą, później krytykował skutki polityki z 1990 roku, a swą aprobatę dla nich określał mianem „grzechu niewątpliwego". Jednak w kluczowym momencie nie widział innego rozwiązania, nie miał żadnych alternatywnych pomysłów ani wiedzy bądź czasu, by je opracować. Propozycja Balcerowicza stanowiła jedyną dostępną opcję[5]. Zawdzięczała swą siłę przebicia temu, że przedstawiano ją jako plan wolny od ideologii, a wręcz zupełnie antyideologiczny. Balcerowicz i jego współpracownicy uważali się za technokratów, którzy po prostu przywracają „racjonalny" i „ekonomiczny" sposób myślenia tam, gdzie dotąd rządziły „ideologia" i „polityka".

5 *Podżyrowałem plan Balcerowicza i to mój grzech. Rozmowa z Jackiem Kuroniem*, „Przegląd" 2002, nr 38, s. 21.

Pomysły Balcerowicza przypominały próby reform podejmowane przez PZPR w latach osiemdziesiątych, tylko że szły znacznie dalej. Wicepremier dysponował też silnym atutem, którego zabrakło Jaruzelskiemu. Podczas gdy generał miał przeciwko sobie dobrze zorganizowany ruch związkowy, Balcerowicz należał do rządu, który stanowił reprezentację owego ruchu. Trudno o większą ironię losu: związek zawodowy obalił rządy komunistów, po czym zabrał się do wprowadzenia programu radykalnych oszczędności w wydatkach publicznych. Przed Balcerowiczem na moment otworzyła się szansa, by zrealizować wszelkie plany, choćby nawet miały one prowadzić do osłabienia tradycji ruchu robotniczego, z której wyrosła „Solidarność". Wkrótce stało się jasne, że wielu solidarnościowych przywódców, tworzących nową elitę kraju, nie było wcale nieprzejednanymi działaczami związkowymi. W nadchodzących latach zaczęli zakładać własne firmy lub weszli do polityki, często utyskując na brak „ducha przedsiębiorczości" i „kolektywizm" wśród dawnych towarzyszy[6]. Na przełomie lat 1989 i 1990 podział na solidarnościową elitę i szeregowych przedstawicieli klasy pracującej był wciąż względnie skrywany, toteż Balcerowicz przez moment wprowadzał reformy, nie musząc obawiać się sprzeciwu. „Solidarność" nie mogła wszak od razu wystąpić przeciwko rządowi, który współtworzyła.

6 Podobnie wypowiadały się osoby, z którymi wywiady przeprowadzał David Ost. Zob. David Ost, *Klęska Solidarności*, przeł. Hanna Jankowska, Muza, Warszawa 2007.

Rada ministrów zdawała sobie sprawę, że poparcie ulotni się, gdy tylko reformy ruszą, toteż nie trwoniła czasu. Projekty ustaw zgłoszone w sejmie pod koniec października 1989 roku przyjęto zaledwie po kilku tygodniach. Nowe przepisy weszły w życie 1 stycznia 1990 roku. Między innymi właśnie z powodu tego tempa plan Balcerowicza określa się niekiedy mianem „terapii szokowej". Po dziś dzień trwają spory o jej skuteczność, lecz nikt nie zaprzeczy, że dokonała się w sposób nader gwałtowny. Zniknęły dopłaty do cen żywności, energii i mieszkań, mocno obcięto wszelkiego rodzaju wydatki publiczne, między innymi na edukację i ochronę zdrowia. Największą rolę odgrywały jednak uregulowania dotyczące wynagrodzeń. Aby wzrost cen nie został zrównoważony przez inflację płacową, prawo przewidywało, że podwyżka pensji nie może przekraczać 60 procent stopy inflacji. Innymi słowy, nawet gdyby pracownicy strajkowali i domagali się więcej pieniędzy, pracodawcy nie mogliby spełnić tego postulatu. Zagwarantowano, że wynagrodzenia nie dogonią rosnących cen, a standard życia spadnie szybko i znacząco. Pod koniec obrad okrągłego stołu Lech Wałęsa mówił:

> Jako związek zawodowy, kierując się odpowiedzialnością za losy kraju, musimy dbać o to, aby przebudowa gospodarki nie pogarszała i tak niezwykle ciężkich warunków życia ludzi. [...] Dlatego wywalczyliśmy indeksację, to znaczy system automatycznego wyrównywania płac do wzrostu cen. [...] Polacy są

> dla swego kraju gotowi do poświęceń, ale są też granice wyrzeczeń[7].

7 https://bit.ly/3mjkX87.

Tyle że porozumienie wynegocjowane z PZPR już nie obowiązywało. Nowy rząd mógł swobodnie podejmować decyzje, nie oglądając się na postulaty, o które opozycja rzekomo walczyła ledwie kilka miesięcy wcześniej.

Pilnym priorytetem było ograniczenie inflacji, natomiast w dłuższej perspektywie zamierzano stworzyć system regulacji wynagrodzeń za pomocą mechanizmów rynkowych i w ten sposób rozwiązać problemy nękające PZPR co najmniej od 1970 roku. Balcerowicz uważał, że uda się to osiągnąć dzięki groźbie bezrobocia, kluczowym elementem reform było więc natychmiastowe odejście od prowadzonej w PRL polityki pełnego zatrudnienia. Władza opowiadała się też za ograniczeniem (lub eliminacją) programów socjalnych i dopłat w przekonaniu, że bezrobocie musi być odpowiednio dotkliwe, by lęk przed nim motywował do wydajnej pracy. Po latach Balcerowicz mówił, że w roku 1989 popełnił tylko jeden błąd, a mianowicie uległ politycznym naciskom i przystał na szczodre zasiłki dla osób bezrobotnych. Chciał zwłaszcza, by młodzi ludzie, świeżo upieczeni absolwenci szkół i uczelni, nie mogli ubiegać się o świadczenia – dzięki temu gorliwiej szukaliby pracy, godząc się na gorsze wynagrodzenia i warunki[8].

8 Arkadiusz Droździel, *Balcerowicz: Największym błędem były zasiłki dla bezrobot-*

nych, „Money.pl", 22 stycznia 2010.

Jeśli spojrzeć z tej perspektywy, reformy zadziałały. Na początku 1990 roku niemal nikt w Polsce nie miał za sobą doświadczenia bezrobocia. Chwilę później miliony ludzi musiały przystosować się do nowych realiów. Liczba zatrudnionych spadła o 4,9 procent w roku 1990, 8,8 procent w roku 1991 i 8 procent w roku 1992. Do połowy dekady prawie 2,5 miliona ludzi straciło pracę, a chociaż część z nich znalazła nową posadę, oficjalna stopa bezrobocia pod koniec roku 1993 wynosiła 16 procent[9]. Zgodnie z oczekiwaniami i zamierzeniami wartość wynagrodzeń poleciała w dół. Między 1989 a 1990 rokiem płace realne spadły o 24 procent; tendencja spadkowa (mniej gwałtowna) utrzymała się przez następne trzy lata[10]. Wszystkie te dane dotyczą wyłącznie siły roboczej. Równocześnie wzrosła liczba emerytów, osiągając poziom jednej trzeciej populacji osób w wieku produkcyjnym, po części z powodu starzenia się ludności, po części dlatego, że starsi pracownicy woleli po prostu odejść na wcześniejszą emeryturę niż walczyć o pracę. Pięć lat od wprowadzenia reform oficjalna stopa ubóstwa wynosiła 44 procent, o 19 punktów procentowych więcej niż w roku 1989[11].

9 Dane dotyczące bezrobocia – zob. Główny Urząd Statystyczny, https://bit.ly/30-7751m. Zob. także: Paweł Antoszak, *Sytuacja na rynku pracy w Polsce*, „Zeszyty Naukowe Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w Zielonej Górze" 2018, nr 8; Grzegorz Kołodko, *A Two-Thirds Rate of Success: Polish Transformation and Economic Development, 1989–2008*, United Nations University/World Institute for Development Economics Research Working Paper 14 (2009), s. 21.

10 *Rocznik Statystyczny Pracy 1995*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1995, s. 128.

11 Grzegorz Kołodko, D. Mario Nuti, *The Polish Alternative: Old Myths, Hard Facts,*

and New Strategies in the Successful Transformation of the Polish Economy, „Research for Action" 1997, t. 33, s. 9.

W połowie dekady udało się osiągnąć krótkoterminowy cel terapii szokowej i ukrócić hiperinflację. Stopa inflacji ustawicznie spadała: wynosiła 70 procent w roku 1991, 43 procent w 1992 i 35 procent w 1993[12]. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych osiągnęła poziom jednocyfrowy, a złotówkę znowu zaczęto wymieniać na rynkach międzynarodowych. Pozostałością po dramatycznym wzroście cen były banknoty. W 1987 roku wprowadzono do obiegu nowy banknot o wartości 10 tysięcy złotych. Już trzy lata później pojawił się banknot półmilionowy. Z kolei w roku 1992 Narodowy Bank Polski wyemitował banknot o wartości 2 milionów, co początkowo odpowiadało 125 dolarom, lecz przed końcem roku już tylko 80 dolarom. Obrzydliwie dużą liczbę zer można było obciąć dopiero wówczas, kiedy inflacja wreszcie zahamowała, więc w styczniu 1995 roku przeprowadzono denominację. Dawnym 10 tysiącom odpowiadała teraz jedna złotówka. Przez kilka lat stare i nowe pieniądze pozostawały w obiegu – przykładowo banknot pięćdziesięciotysięczny był wart tyle co moneta pięciozłotowa. Nie mija mój podziw dla ówczesnych kasjerów i kasjerek, którzy potrafili odbierać zapłatę i wydawać resztę, podczas kiedy ja rozpaczliwie przeliczałem zera w głowie. Po 1 stycznia 1997 roku stare pieniądze przestały służyć do płacenia, można było już tylko wymieniać je w bankach; trzynaście lat później NBP ogłosił, że straciły status legalnego środka płatniczego. Wiadomość ta przeszła zupełnie bez echa.

12 Grzegorz Kołodko, *Two-Thirds Rate*, dz. cyt., s. 22.

B I L L A

NIEDZIELA CZYNNE

OD 10:00 DO 16:00

FIL	NAZWISKO KASJERKI	DATA
1016	NOWICKA IRENA	07.04.94

6 X 8,900	
W.ZRODŁ.ZYWI	53,400
PRZ.POMIDOR.	25,900
PASTA BLENDA	27,900
PASTA BLENDA	27,900
PIEPRZ CZ.Z.	7,900
MAJONEZ DEL.	13,500
FA BALSAM	70,900
DYMKA	9,500
0,33 X 37,900	
OGORKI ZIEL	12,507
SELER MACIOW	29,900
1,1 X 28,500	
BANANY	31,464
SERWETKI	20,900
MARCHEW	8,500
WATA	21,900
TOREB.SNIAD.	13,500
0,261 X 114,900	
SZNYCEL IND.	29,989
WKLADKI BEL	10,900
JAJA 6 STK	17,500
PODPASKI	37,900
3 X 1,900	
BULKA ARMIKA	5,700
2 X 4,500	
ROGAL CROIS.	9,000
2 X 10,900	
MLEKO WIEJSKIE	21,800
2 X 9,900	
M.PYR.1L0.5%	19,800
MARGARYNA	11,500
2 X 23,900	
CHUSTECZKI	47,800
KETCHUP	14,900
MAKARON	11,500
CEBULA	7,500
UNIVERSAL CH	25,900
MINTAJ 600 G	47,900
PAPIER WC	71,900
FASOLKA MROZ	8,500
MARCHEW Z GR	8,900
MR.PROPER	44,900
S U M A	829,350
WPLAC. BAR	1000,000
RESZTA ZL.	170,650

CHELMSKA 1/5

W A R S Z A W A

DZIEKUJE ZA ZAKUPY

BON-NR 5505 POZ 45 CZAS 19:07 KAS 4

NARODOWY BANK POLSKI 2000000
SEJM KONSTYTUCYJNY 1919 r.
2000000 DWA MILIONY ZŁOTYCH
BANKNOTY EMITOWANE PRZEZ NARODOWY BANK POLSKI SĄ PRAWNYM ŚRODKIEM PŁATNICZYM W POLSCE
NBP

Rachunek z zakupów spożywczych oraz banknot o nominale 2 000 000 złotych (1994, zbiory autora)

Do pogłębienia zapaści gospodarczej przyczynił się pierwszy budżet nowego, niekomunistycznego rządu, przyjęty w lutym 1990 roku. Wydatki państwowe obcięto łącznie o 17 procent, by jednym ruchem zrównoważyć bilans. Najwięcej uzyskano dzięki wyeliminowaniu dopłat do cen dla konsumentów. Nakłady na oświatę spadły niemal o jedną czwartą; poważnie zmniejszono też wydatki na obronę, sądownictwo, kulturę i inwestycje kapitałowe. W ciągu kilku lat zamknięto dziesiątki tysięcy państwowych przedszkoli, co mocno odbiło się na sytuacji pracujących kobiet. Zlikwidowano też jedną piątą szkół podstawowych, głównie na wsi, i przeszło tysiąc wiejskich bibliotek. Pensje wykładowców akademickich spadły poniżej średniej krajowej, co zaowocowało „drenażem mózgów", którego skutki po dziś dzień dają o sobie znać. Ucierpiała też polityka kulturalna. Przemysł filmowy, ceniony na całym świecie, stracił tyle pieniędzy, że produkcja spadła o połowę. Ceny biletów na rozmaite wydarzenia kulturalne

poszybowały w górę, bo państwo przestało do nich dopłacać. Wskutek tego liczba widzów w teatrach, operach i salach koncertowych na przestrzeni lat dziewięćdziesiątych skurczyła się o 20 procent. Również z powodu obcięcia państwowych dotacji liczba tytułów prasowych spadła ze 130 w roku 1990 do 60 w roku 2000 (chwilę później ich sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej za sprawą rozwoju internetu). Tylko w jednym obszarze nastąpił wzrost finansowania: subsydia zachęcające prywatne firmy do inwestycji zwiększono w 1990 roku o 50 procent[13].

13 Dane na temat skutków cięć budżetowych – zob. *Historia Polski w liczbach*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2012, s. 483, 518, 534, 535. Dane budżetowe skorygowane o inflacje pochodzą z *Ustawy budżetowej na rok 1990 z dnia 23 lutego 1990 r.*, https://bit.ly/3qdX5oA.

Docieramy tu do ostatniego kluczowego aspektu planu Balcerowicza, a mianowicie prywatyzacji. Nie była to zupełna nowość – regulacje dotyczące własności prywatnej przedsiębiorstw rozluźniano przez całe lata osiemdziesiąte – niemniej w okresie obrad Okrągłego Stołu 80 procent pracowników było zatrudnionych w firmach państwowych. Do połowy lat dziewięćdziesiątych odsetek ów spadł poniżej 50 procent; obecnie wynosi niespełna 25 procent[14]. Aby zrozumieć prywatyzację, musimy wyróżnić jej dwa rodzaje: przejście od własności państwowej do prywatnej i od własności państwowej do korporacyjnej. Pierwszy rodzaj mocno rzucał się w oczy w pierwszych latach reform. W okresie hiperinflacji pewien segment ludności Polski był w stanie gromadzić oszczędności w twardej walucie dzięki dorywczym pracom za granicą, ak-

tywności „czarnorynkowej" lub pomocy finansowej otrzymywanej od krewnych żyjących na emigracji. Przez kilka lat złotówka miała na tyle małą wartość, że za walutę można było tanio kupować nieruchomości i sprzęt niezbędne do zakładania małych punktów usługowych, warsztatów i sklepów. Wyrastały one jak grzyby po deszczu, stanowiąc dobitny symbol przemian gospodarczych. Ogromna ich część prędzej czy później upadała, gdyż malał popyt konsumencki i trudno było osiągać zyski. Mimo to eksplozja przedsiębiorczości doprowadziła do wyeliminowania niedoborów, a na rynku pojawiły się nieosiągalne dotąd towary importowe. Jeśli tylko miało się pieniądze, można było kupić wszystko, od bananów i pomarańczy po telewizory i samochody. Że zaś płace spadały na łeb na szyję, doszło do gwałtownego rozwarstwienia społecznego i podziału na mniejszościową grupę zadowolonych konsumentów oraz sfrustrowaną większość.

14 David Lipton, Jeffrey Sachs, *Privatization in Eastern Europe: The Case of Poland*, Brookings Institute Report on Economic Activity, Brookings Institute, Washington 1990, s. 293–341; *Mały rocznik statystyczny 2012*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2012, s. 141.

Potoczny obraz wspaniałego kapitalizmu skupiał się właśnie na tych prywatnych sklepach i niewielkich przedsiębiorstwach. Panowało przekonanie, że ich personel będzie pracował ze znacznie większym zaangażowaniem niż personel państwowych zakładów. Bez wątpienia okazało się to prawdą, ale sektor prywatny, mimo dynamicznego rozwoju, odpowiadał za względnie niewielką część gospodarki. Ogromna większość ludzi nadal pracowała w dużych firmach. W przypadku

tego rodzaju przedsiębiorstw słowo „prywatyzacja” należy ująć w cudzysłów, zazwyczaj bowiem sprowadzała się ona do przejęcia przez międzynarodową korporację. Miało to ogromne skutki dla funkcjonowania firm, ale nie takie, jakie opisywała prywatyzacyjna retoryka. Kierowników państwowych przedsiębiorstw wybierał rząd, natomiast kierowników oddziałów – zarząd spółki. W jednym i drugim przypadku niezbędna była skomplikowana struktura biurokratyczna, ale system zachęt i motywacji bardzo się różnił. Kierownicy publicznych przedsiębiorstw musieli zaspokajać rozmaite, nierzadko sprzeczne interesy. Osiąganie zysków było tylko jednym z ich zadań. Natomiast w korporacjach liczyła się wyłącznie maksymalizacja stopy zwrotu dla inwestorów. Wszystko inne, by użyć fachowego określenia, podlegało uzewnętrznieniu, „eksternalizacji” (mówiąc prosto, albo było ignorowane, albo pozostawiane państwu). Jeśli przyjąć za wskaźnik wyłącznie stopę zwrotu, publiczne przedsiębiorstwa nigdy nie są tak efektywne jak korporacje, bo muszą borykać się ze wszelkiego rodzaju kosztami produkcji. Piszę o „kosztach uzewnętrznionych”, a nie „kosztach zewnętrznych” dla podkreślenia, że chodzi tu o świadomie uprawianą politykę przedsiębiorstw, a nie o żadną naturalną, obiektywną kategorię. Uzewnętrznianie kosztów w pełnym wymiarze dotyczy wyłącznie kapitalizmu. Menedżerowie w gospodarce planowej mogli próbować przerzucać koszty na kogoś innego, ale proces miał swoje ograniczenia. Ostatecznym właścicielem było wszak państwo, które prędzej czy później musiało wziąć rachunek na siebie. Balcerowicz stosował zręczną lese-

ferystyczną sztuczkę retoryczną, określając koszty uzewnętrznione mianem „politycznych", a więc nie „ekonomicznych", bez względu na to, czy dotyczyły dobrobytu pracowników, miejscowości, w której znajdowała się firma, środowiska naturalnego czy kwestii istotnych dla jakiejkolwiek grupy społecznej lub politycznej. Dla ekonomistów z lat dziewięćdziesiątych przymiotnik „polityczny" był brzydkim słowem, zaprzeczeniem „racjonalnego". Firmy mogły więc uzewnętrzniać koszty i kumulować zyski, przez co wydawały się o wiele wydajniejsze niż przedsiębiorstwa państwowe. „Polityczne" uzewnętrznione koszty ktoś jednak musiał po cichu spłacić. Po części robiło to państwo. Przeważnie jednak koszty po prostu się nawarstwiały w postaci problemów, których nie nazywano „ekonomicznymi", lecz „społecznymi" lub „środowiskowymi". Były to zatem „cudze problemy". Przedsiębiorcy nie musieli zawracać sobie nimi głowy.

I w starym, i w nowym systemie znaczny odsetek ludzi pracował w dużych, zbiurokratyzowanych organizacjach. Po reformach zmieniły one po prostu charakter. Zamiast pracowników będących trybikami w machinie nie pojawiły się wcale przedsiębiorcze jednostki. To prawda, że na początku lat dziewięćdziesiątych nastąpił ogromny skok samozatrudnienia, ale w 1999 roku sektor ten obejmował wciąż tylko 13 procent pracujących (nie licząc rolników)[15]. Z punktu widzenia robotnika i pracownika najważniejszą nowością był strach przed bezrobociem. Często powtarzano, że w komunizmie ludziom brakowało motywacji, by przyczyniać się do sukcesu przedsiębiorstwa. Kapitalizm miał naprawić ten problem.

Może i naprawił, ale nie dlatego, że zapanowała zbieżność interesów firmy i interesów ludzi pracujących. Po prostu kierowników rozliczano teraz z przedkładania zysku nad wszystko inne, zwłaszcza ponad potrzeby i postulaty personelu. Każdemu, kto rozważał sprzeciw wobec nowej formy podporządkowania, groziło zwolnienie. Zarazem pozytywne zachęty, związane z obietnicą prężnie działającego rynku dóbr konsumpcyjnych, przyczyniały się do internalizowania dyktatu „dyscypliny rynkowej". Nowy reżim pracowniczy był rzecz jasna bardziej efektywny, gdyż oba rodzaje motywacji, pozytywnych i negatywnych, wdrażano z bezlitosną obojętnością na wszystko inne. Z abstrakcyjnej perspektywy makroekonomicznej i filozoficznej można się zastanawiać, czy to dobrze, czy źle, ale niezależnie od oceny musimy pamiętać, że pracownicy nie doświadczyli „wyzwolenia". Ci, którzy zdołali zachować miejsca pracy, ostatecznie zaczęli zarabiać więcej i mogli cieszyć się obfitością dóbr konsumpcyjnych. Zarazem ich indywidualna autonomia została ograniczona – tyle że źródłem ograniczeń był teraz rynek, a nie państwo[16].

15 *Mały rocznik statystyczny Polski 2000*, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2000, s. 132.

16 Na temat doświadczenia pracowników i pracownic przedsiębiorstw w latach dziewięćdziesiątych – zob. Aleksandra Leyk i Joanna Wawrzyniak, *Cięcia. Mówiona historia transformacji*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2020.

Podczas przejścia od własności państwowej do własności korporacyjnej ogromny odsetek osób na stanowiskach kierowniczych zachował posady. Reformatorzy rozumowali w kategoriach „teorii racjonalnego wyboru" i „teorii gier",

toteż z ich perspektywy nie miało znaczenia, kto pełni jaką funkcję: liczyły się jedynie zachęty i motywacje, które rzekomo rządzą zachowaniami ludzi. Przed 1989 rokiem większość dużych zakładów działała niczym lenna poszczególnych urzędników partyjnych. Po upadku komunizmu ludzie ci (w większości mężczyźni) często najlepiej nadawali się, by dalej zarządzać firmami, teraz już w imieniu akcjonariuszy. Na tle ogółu populacji PRL-owscy menedżerowie mieli względnie dobre wykształcenie i światowe obycie, znali angielski, francuski albo niemiecki. Umieli nawiązywać kontakty biznesowe za granicą. Słowem, spełniali kryteria. Prowadziło to do rozgoryczenia szeregowych pracowników, którzy uważali, że prywatyzacja oznacza jedynie nowe posady dla starych szefów.

Gniew brał się też z chaotycznego przebiegu prywatyzacji. Niekiedy sprawnie działające firmy sprzedawano międzynarodowym korporacjom, które chciały jedynie zamknąć polską fabrykę, żeby pozbyć się konkurencji. Wyceny były dokonywane w pośpiechu i niedokładnie, co często kończyło się zaniżaniem wartości. Nie można też zapomnieć o korupcji, choć zapewne nigdy nie zdołamy oszacować jej skali. Należy zresztą podkreślić, że łapówkarstwo w Polsce nie było aż tak powszechne jak w kilku innych krajach postkomunistycznych, w których prywatyzacja doprowadziła do ukształtowania się niewielkiej elity, przywodzącej raczej na myśl mafię niż kapitalizm. Polscy nuworysze zdecydowanie ustępowali niesławnym rosyjskim oligarchom, a III RP nie zamieniła się w kleptokrację. Mimo to faktycznie doszło do wielu skandali, a nowo

powstała prasa brukowa mogła epatować czytelników opisami łapówkarstwa i zakulisowych układów. Pracownicy patrzyli, jak ich fabryki są zamykane z niezrozumiałych powodów. Łatwo było im uwierzyć, że działają tu złowrogie siły, tymczasem tak naprawdę po prostu mieli do czynienia z amoralnymi (co nie znaczy, że niemoralnymi) siłami rynkowymi, dobrze znanymi pracownikom w krajach kapitalistycznych.

W obliczu szybkiego wzrostu bezrobocia prywatni właściciele przedsiębiorstw mogli wywierać presję na związki zawodowe, o jakiej w PRL nikomu się nie śniło. Wyjątkową ironią losu kapitalizm zaszkodził „Solidarności" o wiele bardziej niż komunizm. Do 1993 roku liczba członków związku spadła o połowę; w 2002 roku odpowiadała zaledwie 6 procentom dorosłych mieszkańców kraju i 16 procentom siły roboczej. W szczytowym okresie do „Solidarności" należało 10 milionów ludzi. Dziś członków związku jest niespełna 700 tysięcy[17]. Niezwykle wymowny okazał się los gdańskiej stoczni, stanowiącej symbol antykomunistycznej opozycji. Zagraniczni nabywcy raczej obchodzili ją z daleka, po części z powodu bojowej reputacji personelu. W 1990 roku polonijna businesswoman Barbara Piasecka-Johnson, dziedziczka fortuny koncernu Johnson & Johnson, złożyła ofertę zakupu, postawiła jednak warunki: płace zostaną obcięte o połowę, na pięć lat zakaże się pracownikom strajkowania. Nawet rząd Mazowieckiego i Balcerowicza uznał to za przesadę i nie zgodził się na zawarcie umowy[18]. W 1996 roku stocznia musiała ogłosić bankructwo, a działalność przeniesiono do pobliskiej Gdyni.

Jest prowadzona do dziś, lecz personel mocno się przerzedził. Robotnicy Wybrzeża nigdy już nie odzyskali dostatecznej siły, by rzucić polski rząd na kolana.

17 Na temat uzwiązkowienia w Polsce po 1989 roku – zob. Michał Wenzel, *Członkostwo w związkach zawodowych. Naruszenia praw pracowniczych i „szara strefa" w zatrudnieniu*, komunikat z badań CBOS, styczeń 2009. Dane porównawcze – zob. Jelle Visser, *Union Membership Statistics in 24 Countries*, „Monthly Labor Review" 2006, s. 38–49.

18 David Margolick, *Upheaval in the East: Investor Denies Gdańsk Deal is Dead*, „New York Times", 19 stycznia 1990.

Skupianie się na latach dziewięćdziesiątych daje zapewne niepełny obraz skutków terapii szokowej. Ówczesna zapaść gospodarcza okazała się znacznie poważniejsza, niż przewidywali reformatorzy, trzeba im jednak oddać, że otwarcie zapowiadali trudną „transformację" i „przebudowę" polskiej gospodarki. W dłuższej perspektywie postkomunistyczne losy kraju wyglądają znacznie lepiej. Oczywisty punkt zwrotny nastąpił w 2004 roku, kiedy Polska wstąpiła do Unii Europejskiej. Wprawdzie nie przyjęła euro zamiast złotego, ale ściślej zintegrowała się z najzamożniejszymi państwami kontynentu. Polskie przedsiębiorstwa mogą skutecznie konkurować z zagranicznymi podmiotami za sprawą niższych kosztów pracy. Ponadto kraj otrzymał ogromną pomoc rozwojową, stanowiącą keynesowski bodziec dla gospodarki, równoważący skutki prowadzonej przez rząd polityki oszczędnościowej. Dzięki temu Polska zaznała szybkiego wzrostu gospodarczego i uniknęła najgorszych skutków wielkiej recesji z 2008 roku (aczkolwiek nie ominęło ją potężne załamanie gospodarcze w roku 2020).

Makroekonomiczne statystyki znajdują odzwierciedlenie w badaniach sondażowych. W 2015 roku łącznie 81,5 procent Polaków określiło swoje życie jako „dosyć dobre", „udane" albo „wspaniałe" (odpowiednio 33,9 procent, 42,3 procent i 5,3 procent); wyniki te były lepsze niż w jakimkolwiek innym kraju bloku wschodniego. Na początku lat dziewięćdziesiątych 74 procent respondentów mówiło, że ich stałe dochody nie pozwalają zaspokoić podstawowych potrzeb i zmuszają do pożyczania pieniędzy lub szukania dodatkowych prac dorywczych. Odsetek ten spadał stopniowo przez całą dekadę, po czym mocno zanurkował na początku nowego tysiąclecia i w 2011 roku wynosił 26 procent. 69 procent polskich gospodarstw domowych miało wówczas telewizję satelitarną lub kablową, 59 procent – podłączenie do internetu, a 60 procent posiadało samochód. Co prawda gospodarstwa dysponujące znaczącymi oszczędnościami należą do mniejszości, ale ich liczba także rośnie, z 29 procent w 2007 roku do 38 procent w roku 2011. Jedna piąta Polaków miała wówczas oszczędności równe co najmniej swojemu półrocznemu dochodowi[19].

19 Janusz Czapiński, Tomasz Panek, *Diagnoza społeczna 2015. Warunki i jakość życia Polaków*, Rada Monitoringu Społecznego, Warszawa 2015, s. 65–66, 201, 354.

PKB per capita (w przeliczeniu na parytet siły nabywczej w dolarach amerykańskich z 2011 roku)

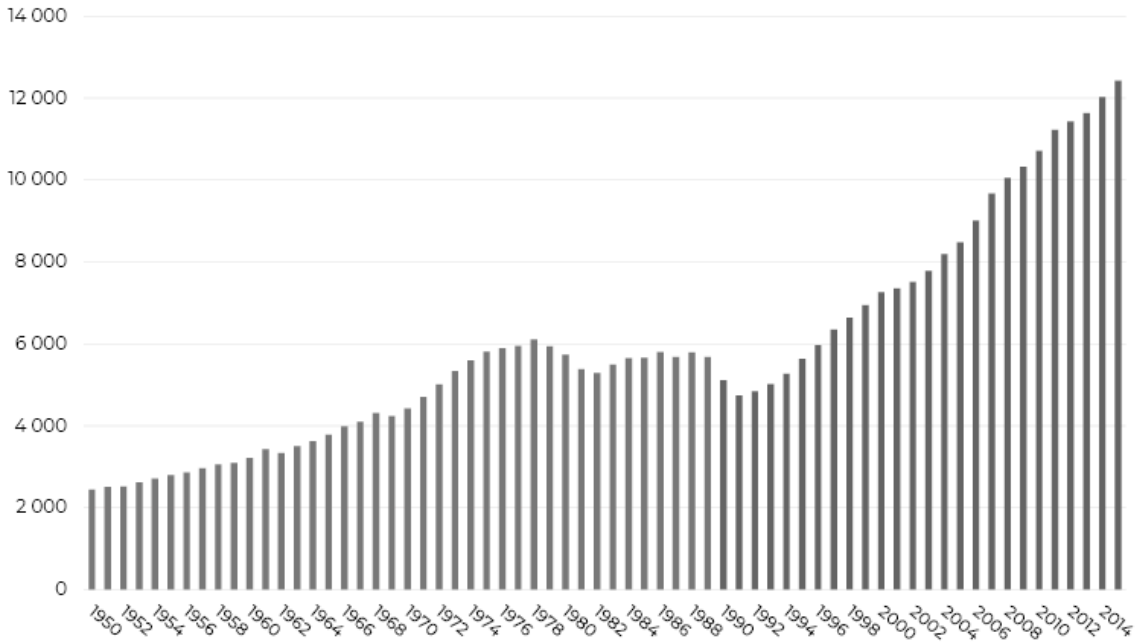

PKB per capita na początku XXI wieku znacząco poszło w górę. Stopa wzrostu była większa nawet niż podczas boomu na początku istnienia PRL. Nie ma tu niespodzianki, skoro obecnie głównym (a może nawet jedynym) celem przedsiębiorstw jest maksymalizacja produktywności i wydajności, ściśle wpływających na poziom PKB. Przed rokiem 1989 firmy musiały uwzględniać w księgach koszty wewnętrzne. Później koszty te zostały „uzewnętrznione" – ich jednak oczywiście PKB nie uwzględnia. Oznacza to, że do pewnego stopnia wzrost gospodarczy notowany w ostatnich trzech dekadach jest kwestią buchalteryjnej sztuczki[20]. Z drugiej strony trzeba być ślepym albo umyślnie ignorować fakty, by zaprzeczyć, że od połowy lat dziewięćdziesiątych dokonał się ogromny roz-

wój gospodarczy, bez względu na sposób jego pomiaru. W 1996 roku produkt krajowy brutto osiągnął poziom sprzed kryzysu trwającego od końca lat osiemdziesiątych. „Odbicie" dokonało się szybciej niż w innych krajach Europy Wschodniej. Dziś oczywiście PKB jest dużo wyższy. Spore wrażenie robi proporcja polskiego i amerykańskiego PKB. W roku 1979 PRL osiągnął produkt krajowy brutto wynoszący mniej więcej jedną trzecią poziomu Stanów Zjednoczonych, potem jednak nastąpiło załamanie. Od 2005 roku Polska zaczęła szybko nadganiać. Obecnie jej PKB per capita wynosi prawie połowę tego co w Ameryce. Zmniejsza się też luka między Polską a Europą. PKB per capita w Polsce odpowiada obecnie 75 procentom średniej europejskiej. Kraj nie znajduje się już na ubogich pograniczach kontynentu, lecz pośrodku. Daleko mu do bogatych Niemiec czy Wielkiej Brytanii, lecz sytuacja wygląda o wiele lepiej niż w Rumunii czy Bułgarii[21].

20 Słabości PKB jako wskaźnika dobrze omawia choćby Lorenzo Fioramonti, *Gross Domestic Problem*, Zed Books, London 2013.

21 Dane historyczne na temat PKB – zob. https://bit.ly/3o4pUlE.

Są i ciemne plamy na tym optymistycznym obrazie. Polska stała się znacznie mniej egalitarna niż kiedyś (nic dziwnego, skoro taki był cel reform Balcerowicza). Współczynnik Giniego, omawiany w rozdziale dziesiątym, rósł przez całe lata dziewięćdziesiąte; z tendencją spadkową mamy do czynienia dopiero od 2005 roku. Kraj plasuje się niewiele niżej od Niemiec i Francji. Nie jest to zachwycający wynik, aczkolwiek

lepszy niż w przypadku Stanów Zjednoczonych, Chile, Brazylii czy Meksyku[22].

22 Dane na o współczynniku Giniego – zob. https://data.worldbank.org/indicator/SI.POV.GINI.

PKB per capita – Polska na tle Stanów Zjednoczonych, krajów „starej” Unii Europejskiej (EU 15 z 2004 roku) i krajów „nowej” Unii (EU 28 z roku 2019)

Polska na tle EU15

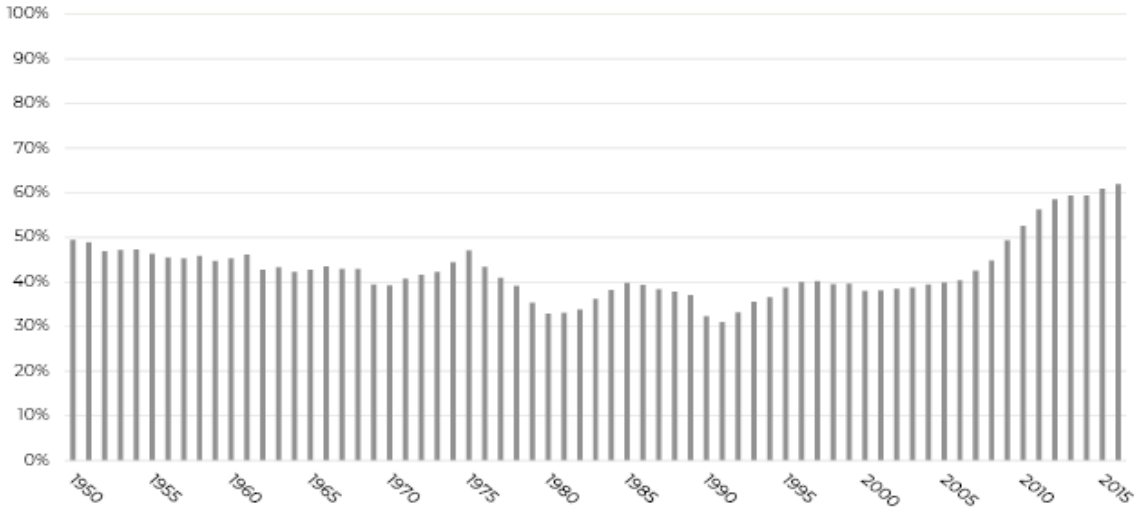

Polska na tle EU28

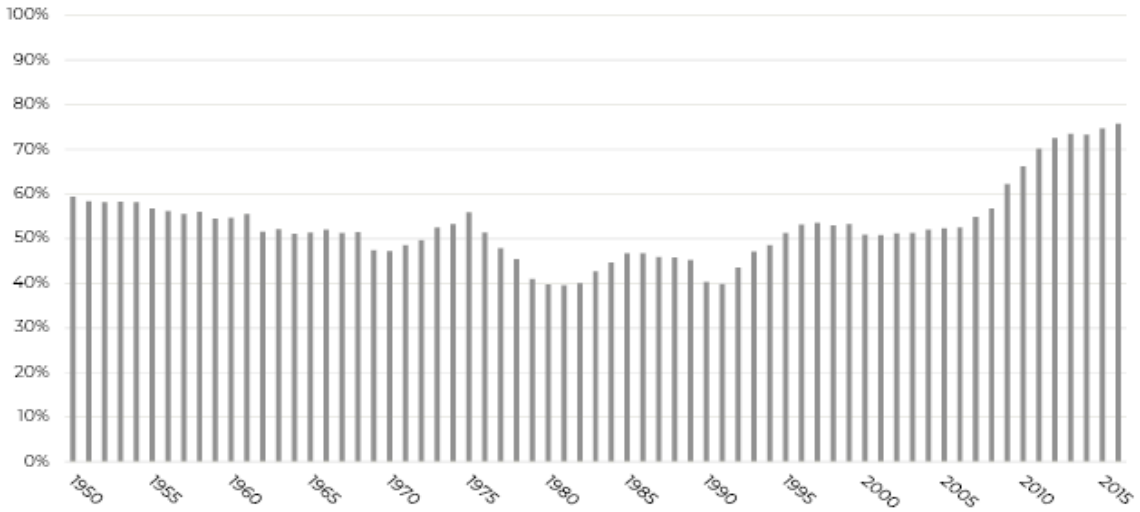

Polska na tle USA

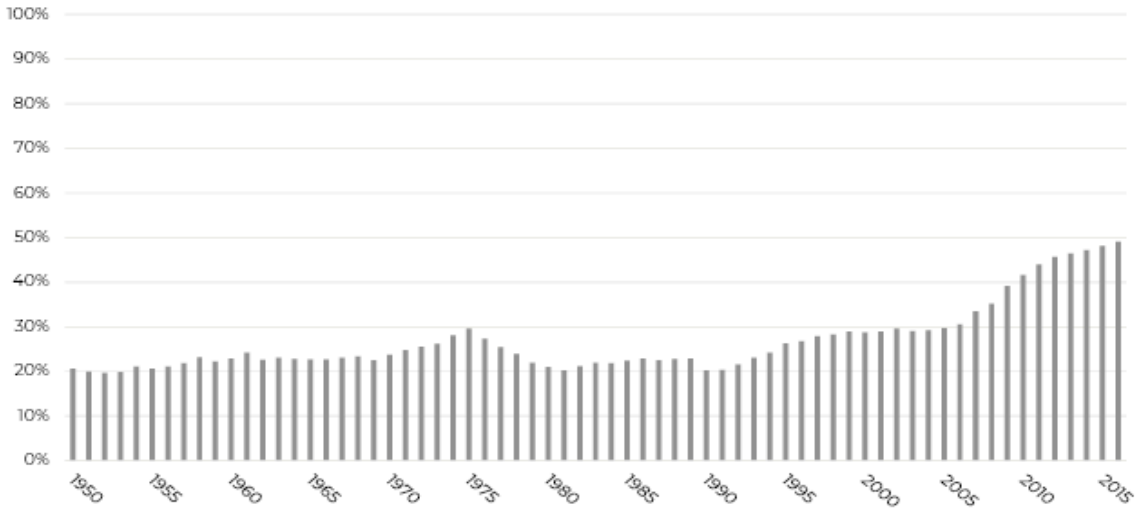

Współczynnik Giniego w wybranych krajach, 2017

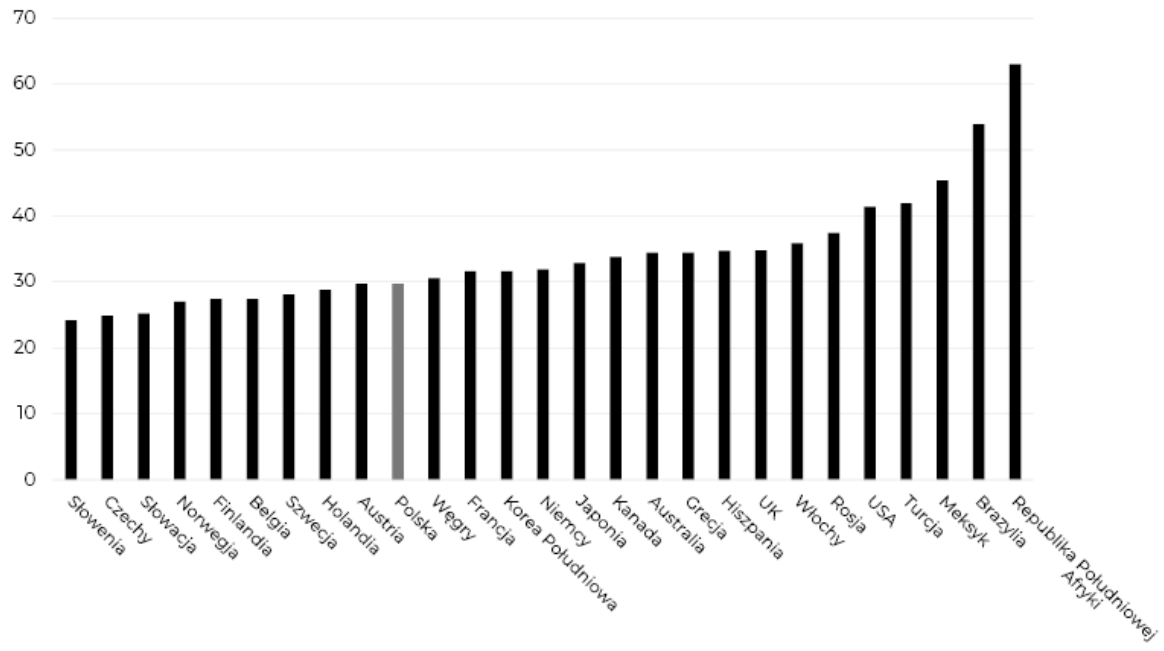

Niestety, tego rodzaju dane jako jednostkę analizy przyjmują cały kraj, tymczasem punktem odniesienia dla zwykłych ludzi są mniejsze regiony. Nowe nierówności mają silny komponent regionalny. Warszawiakom żyje się równie dobrze co berlińczykom albo paryżanom, natomiast sytuację mieszkańców północno-wschodniej Polski należy raczej porównywać z sytuacją prowincjonalnej Rumunii czy Bułgarii[23]. Najbogatsze województwo – Dolnośląskie – jest o połowę bogatsze niż województwo najbiedniejsze, czyli Lubelskie. Różnica ta jednak blednie, jeśli oba te regiony zestawić ze stolicą. Wiele miasteczek dzieli podobną historię: przez cały okres PRL funkcjonował w okolicy jeden główny zakład pracy, zapewniający stabilne zatrudnienie, który zamknięto w latach dzie-

więćdziesiątych. Młodzi wyjechali za pracą do miast, czego skutkiem jest poważna nierównowaga demograficzna.

23 Dane o regionach i metropoliach – zob. https://ec.europa.eu/eurostat/data/database.

PKB per capita (EU28 = 100%)

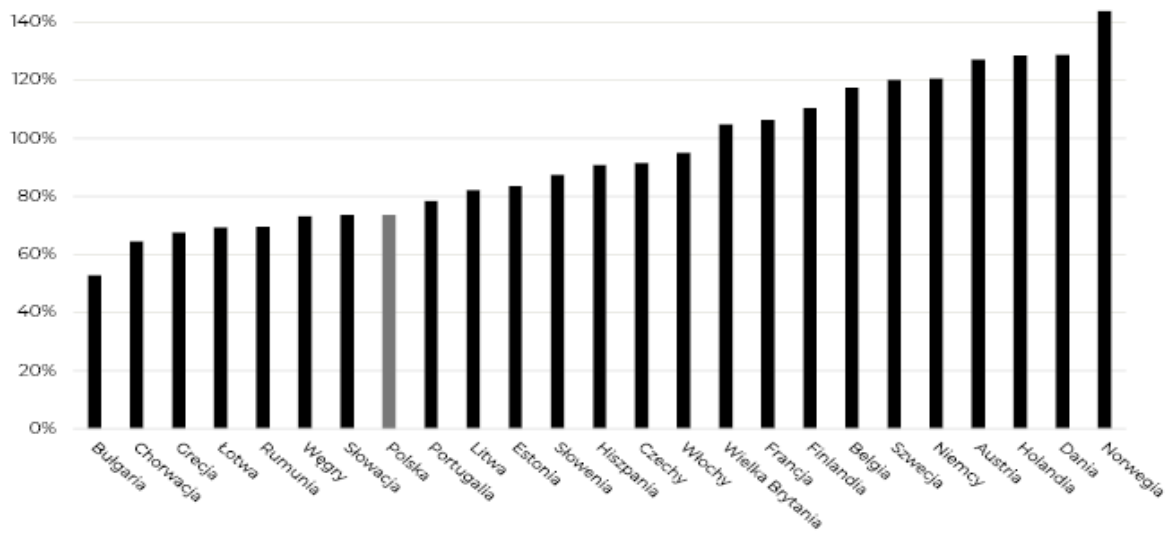
140%
120%
100%
80%
60%
40%
20%
0%
Bułgaria
Chorwacja
Grecja
Łotwa
Rumunia
Węgry
Słowacja
Polska
Portugalia
Litwa
Estonia
Słowenia
Hiszpania
Czechy
Włochy
Wielka Brytania
Francja
Finlandia
Belgia
Szwecja
Niemcy
Austria
Holandia
Dania
Norwegia

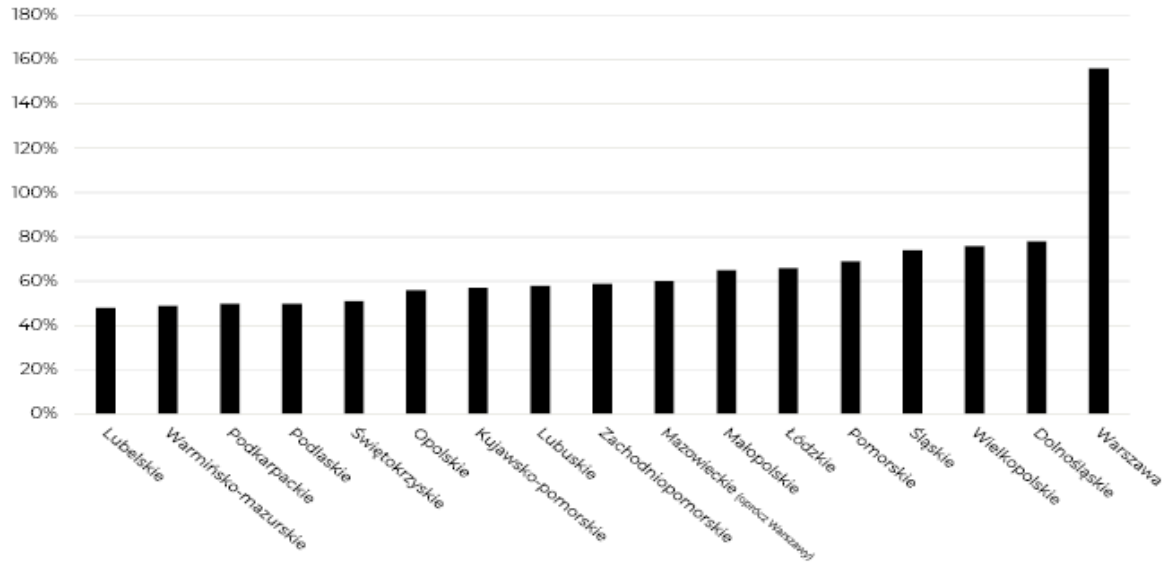
180%
160%
140%
120%
100%
80%
60%
40%
20%
0%
Lubelskie
Warmińsko-mazurskie
Podkarpackie
Podlaskie
Świętokrzyskie
Opolskie
Kujawsko-pomorskie
Lubuskie
Zachodniopomorskie
Mazowieckie (poza Warszawą)
Małopolskie
Łódzkie
Pomorskie
Śląskie
Wielkopolskie
Dolnośląskie
Warszawa

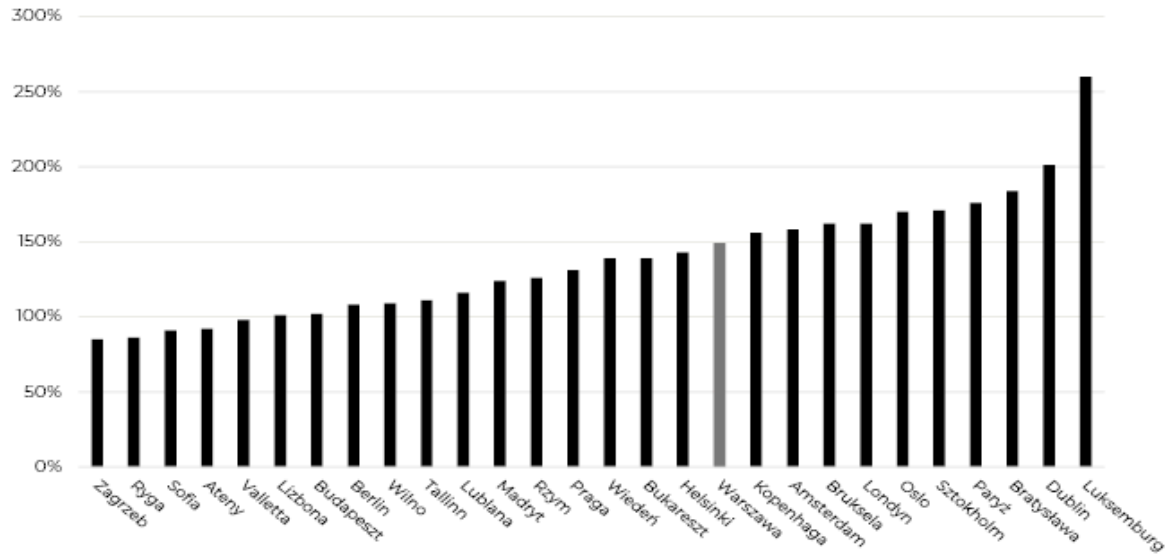
300%
250%
200%
150%
100%
50%
0%
Zagrzeb
Ryga
Sofia
Ateny
Valletta
Lizbona
Budapeszt
Berlin
Wilno
Tallinn
Lublana
Madryt
Rzym
Praga
Wiedeń
Bukareszt
Helsinki
Warszawa
Kopenhaga
Amsterdam
Bruksela
Londyn
Oslo
Sztokholm
Paryż
Bratysława
Dublin
Luksemburg

Część zróżnicowań regionalnych budzi skojarzenia z przedwojennym podziałem na Polskę A i Polskę B, skądinąd mającym dużo starsze źródła. Z drugiej strony na południowym zachodzie wskutek konkurencji międzynarodowej zamknięto wiele prężnych niegdyś kopalń i hut. Zostały po nich tylko poprzemysłowe ruiny. Ubóstwo w regionach północno-zachodnich wzięło się ze szczególnej polityki PRL. Po drugiej wojnie światowej terytoria te przejęto od Niemiec, więc komuniści nie musieli zmagać się z krnąbrną miejscową ludnością i w latach pięćdziesiątych bez trudu tworzyli tam kolektywne gospodarstwa rolne. Po roku 1989 je zlikwidowano. Większość mieszkańców straciła pracę i perspektywy życiowe. O ile miasta w rodzaju Poznania dobrze prosperują, o tyle na obszarach wiejskich położonych niedaleko na północ panuje dotkliwe ubóstwo.

Ci, którzy w nowych realiach odnieśli „zwycięstwo", uważają „przegranych" za ludzi niekompetentnych, leniwych, mentalnie tkwiących w przestarzałym świecie PRL. Z kolei „przegrani" uważają „zwycięzców" za egoistycznych, chciwych i ślepych na podstawowe wartości w rodzaju wiary, patriotyzmu i oddania rodzinie. Mówiąc inaczej, nierówności w Polsce nie sprowadzają się wyłącznie do sukcesów i porażek „wolnego rynku": mamy też do czynienia z pogłębiającą się luką społeczno-kulturową, którą niełatwo pokonać. Stosunkowo długo sądzono, że z czasem zniknie ona samoistnie – że Polacy będą coraz bogatsi i coraz lepiej wykształceni, że integracja europejska posunie się naprzód, że odejdą osoby pamiętające jeszcze PRL, a normy społeczne i kulturowe dopasują

się do wymagań gospodarki kapitalistycznej. Wiele osób liczyło, że demografia załatwi sprawę i rozwiąże nieustępliwe problemy oraz zasypie głębokie podziały.

W pierwszych latach XXI wieku wyglądało na to, że owe prognozy się sprawdzą. Potem jednak przyszedł rok 2015.

Literatura uzupełniająca

Aligica, Paul, Anthony Evans, *The Neoliberal Revolution in Eastern Europe: Economic Ideas in the Transition from Communism*, Edward Elgar, Cheltenham 2009

Amsden, Alice H., Jacek Kochanowicz, Lance Taylor, *The Market Meets Its Match: Restructuring the Economies of Eastern Europe*, Harvard University Press, Cambridge 1994

Appel, Hilary, *A New Capitalist Order: Privatization and Ideology in Russia and Eastern Europe*, University of Pittsburgh Press, Pittsburgh 2004

Aslund, Anders, *How Capitalism Was Built: The Transformation of Central and Eastern Europe, Russia, the Caucasus, and Central Asia*, Cambridge University Press, Cambridge 2014

Baka, Władysław, *U źródeł wielkiej transformacji*, Oficyna Naukowa, Warszawa 1999

Balcerowicz, Leszek, *Wolność i rozwój. Ekonomia wolnego rynku*, Znak, Kraków 1995

Bałtowski, Maciej, Maciej Miszewski, *Transformacja gospodarcza w Polsce*, PWN, Warszawa 2006

Czapiński, Janusz, Tomasz Panek, *Diagnoza społeczna 2015. Warunki i jakość życia Polaków*, Rada Monitoringu Społecznego, Warszawa 2015

Dunn, Elizabeth, *Prywatyzując Polskę. O bobofrutach, wielkim biznesie i restrukturyzacji pracy*, przeł. Przemysław Sadura, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008

Eyal, Gil, Iván Szelényi, Eleanor R. Townsley, *Making Capitalism without Capitalists: Class Formation and Elite Struggles in Post-Communist Central Europe*, Verso, London 1998

Kołodko, Grzegorz, *Od szoku do terapii. Ekonomia i polityka transformacji*, Poltext, Warszawa 1999

Leyk, Aleksandra, Joanna Wawrzyniak, *Cięcia. Mówiona historia transformacji*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020

Myant, Martin, Terry Cox (red.), *Reinventing Poland: Economic and Political Transformation and Evolving National Identity*, Routledge, London 2008

Ost, David, *Klęska Solidarności*, przeł. Hanna Jankowska, Muza, Warszawa 2007

Paczyńska, Agnieszka, *State, Labor, and the Transition to a Market Economy: Egypt, Poland, Mexico, and the Czech Republic*, Pennsylvania State University Press, University Park 2009

Patrzałek, Wanda, *Społeczne i ekonomiczne relacje miasto-wieś w okresie realnego socjalizmu i zmian systemowych w Polsce*, Ossolineum, Wrocław 1996

Piatkowski, Marcin, *Europe's Growth Champion: Insights from the Economic Rise of Poland*, Oxford University Press, New York 2018

Poznański, Kazimierz Z., *Poland's Protracted Transition: Institutional Change and Economic Growth, 1970–1994*, Cambridge University Press, Cambridge 1996

Sachs, Jeffrey, *Poland's Jump to the Market Economy*, The MIT Press, Cambridge 1993

Shields, Stuart, *The International Political Economy of Transition: Neoliberal Hegemony and Eastern Central Europe's Transformations*, Routledge, London 2012.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

III RP

Latem 1989 roku Polacy odsunęli PZPR w siedemnastych wyborach do parlamentu od czasu odzyskania przez kraj niepodległości w roku 1918. Niestety, rzut oka w przeszłość nie nastraja optymizmem. Tylko jedne wybory, te z roku 1922, można uznać w pełni za wolne i uczciwe. Później, aż do wybuchu wojny, sanacyjny reżim za każdym razem majstrował przy wynikach. Kolejne sfałszowane, choć wielopartyjne głosowanie odbyło się w 1947 roku. Przez resztę trwania PRL wybory sprowadzały się wyłącznie do obywatelskiego rytuału i nie wiązały się z podejmowaniem jakichkolwiek ważnych decyzji. W świetle tego wszystkiego ustanowienie demokratycznych norm i instytucji politycznych było trudnym zadaniem. Wiele osób obawiało się, że odżyją stare, przedwojenne środowiska ekstremistyczne lub że demagodzy łatwo zdobędą poparcie Polaków, którzy „nie dorośli" do demokracji. Powtarzano stereotypowe poglądy, że Polacy są „niedojrzali" i nie poradzą sobie z wolnymi wyborami, jednak ostatecznie kraj okazał się podobny do swych europejskich kuzynów, na dobre i na złe. Owszem, wystąpiły pewne strukturalne trudności, ale udało się je łatwo pokonać. Zasadniczo polska polityka nie była ani bardziej, ani mniej rozchwiana lub podatna na ekstremizm niż polityka w większości krajów Starego Kontynentu. Obecne problemy Polski są znajome – w stopniu

wręcz niepokojącym – społeczeństwom Europy i Ameryki Północnej. Nawet po 2015 roku, kiedy zaczęto rozmontowywać liberalne normy konstytucyjne, Polska nie odbiegała od standardów europejskiej polityki. Co najwyżej miała wyjątkowo silne objawy choroby, którą każdy kraj może złapać – i na którą wiele krajów obecnie cierpi.

W 1990 roku sejm zdecydował o przeprowadzeniu bezpośrednich wyborów prezydenckich. Większość komentatorów sądziła, że stanowisko przypadnie Lechowi Wałęsie. Przez całą poprzednią dekadę był on symbolem „Solidarności" i drugim po papieżu najsłynniejszym żyjącym Polakiem. Jednak za cienką fasadą „Solidarność" skrywała rozmaite podziały i kiedy terapia szokowa pogrążyła kraj w recesji, stare, kruche sojusze ostatecznie zerwano. Wałęsa, robotnik i działacz związkowy, krytycznie odniósł się do planu Balcerowicza. Do tego zaatakował liberalny rząd Mazowieckiego z pozycji konserwatywnych, katolickich i narodowych. Mazowiecki nie miał wyboru – musiał bronić reform i wystartować przeciwko dawnemu sprzymierzeńcowi. Premiera słusznie postrzegano jako przedstawiciela inteligencji. W kampanii powtarzał stare dysydenckie hasła o demokracji i prawach obywatelskich, uzupełnione teraz o wolny rynek.

Zgodnie z przewidywaniami Wałęsa dostał 40 procent głosów. Nowe przepisy wymagały, by prezydenta wybierano większością bezwzględną, musiała się więc odbyć druga tura. Ku powszechnemu zaskoczeniu nie wszedł do niej Mazowiecki, lecz nieznany dotąd człowiek nazwiskiem Stanisław Tymiński, poparty przez 23 procent wyborców. Ci, którzy obawiali

się, że doświadczenie życia w komunizmie nie zapewniło Polakom roztropności niezbędnej, by opierać się syreniemu śpiewowi demagogów, zyskali mocny dowód na potwierdzenie swych tez. Tymiński od dziesięcioleci nie mieszkał w kraju. Wyemigrował w 1969 roku, osiedlił się w Kanadzie i zrobił pieniądze, założywszy firmę komputerową. Polityką zajął się kilka lat wcześniej, wstępując do maleńkiej Libertariańskiej Partii Kanady. W 1990 roku zwęszył szansę zdobycia sławy i wystartował w wyborach na prezydenta Polski. Jego propozycje były ogólnikowe, a obietnice niemożliwe do spełnienia. Przedstawiał się jako ucieleśnienie świetlanej kapitalistycznej przyszłości. Imię zdrabniał w specyficznej zanglicyzowanej formie „Stan", a nie na przykład „Staszek", bo przecież rzekomo reprezentował mityczne północnoamerykańskie eldorado. Zawsze miał przy sobie zamkniętą skórzaną teczkę, w której – jak twierdził – znajdują się dokumenty kompromitujące Wałęsę, nigdy jednak nie ujawnił żadnych szczegółów. W drugiej turze Wałęsa odniósł miażdżące zwycięstwo, otrzymując 74 procent głosów.

Wielu Polaków było zażenowanych tym epizodem, lecz w istocie stanowił on dowód siły, nie słabości młodej demokracji. Nawet w krajach z długą tradycją wyborczą kandydatom spoza mainstreamu łatwo uzyskać dostatecznie wiele głosów, by na krótko zakłócić status quo. Prawdziwym sprawdzianem dla systemu politycznego jest to, jak sobie z tym radzi. Kiedy w kraju panuje kryzys kultury politycznej, kiedy spory personalne lub polaryzacja ideologiczna liczą się bardziej niż przywiązanie do norm obywatelskich, wówczas

ekstremiści zyskujący przychylność około jednej trzeciej głosujących mogą przejąć władzę. By użyć skrajnego przykładu, Adolfa Hitlera poparło zaledwie 37 procent wyborców, jednak niemieccy konserwatyści tak bardzo bali się socjaldemokratów, których stawiali na równi z komunistami, że postanowili zawrzeć pakt z diabłem. Wyniki wyborcze Mussoliniego, nim sięgnął po władzę w 1922 roku, były jeszcze gorsze. Donald Trump został prezydentem, choć w sondażach przychylnie oceniało go tylko 37 procent społeczeństwa[1]. Otrzymał urząd, bo nienawiść establishmentu Partii Republikańskiej do Hillary Clinton była silniejsza niż pogarda wobec Trumpa czy strach przed jego zwycięstwem. Tymczasem w Polsce w 1990 roku wszelkie spory zeszły na dalszy plan. Ludzie postanowili zacisnąć zęby i zablokować Tymińskiego. Wałęsa na pewno nie cieszył się szczerym poparciem trzech czwartych elektoratu. Z badań przeprowadzonych zaraz po wyborach wynikało, że tylko niespełna połowa ludzi spodziewała się, że będzie dobrym prezydentem (nim kadencja dobiegła końca, ta liczba wyniosła poniżej jednej dziesiątej respondentów). Niemniej 74 procent opowiedziało się za niepisanymi standardami w zakresie tego, co powinno a co nie powinno być akceptowalne w polityce w nowoczesnym europejskim kraju[2]. Nie w tym rzecz, czy owe standardy zostały dobrze nakreślone – czasami przecież establishment potrzebuje porządnego wstrząsu. Istotne, że wybory roku 1990 potwierdziły konsensus między elektoratem a elitami władzy, gwarantujący zasadniczą stabilność polityczną.

1 Dane pochodzą z sondażu przeprowadzonego w pierwszym tygodniu prezyden-

tury Trumpa przez poważany ośrodek z Quinnipiac University, https://bit.ly/39qYhyY.

2 Na temat popularności Wałęsy – zob. *Politycy – komu ufamy*, komunikat z CBOS, listopad 1992; *Wybory prezydenckie – preferencje w lutym 1995*, komunikat z badań CBOS, luty 1995, s. 3.

Wodą na młyn osób, które powątpiewały w szanse powodzenia demokracji liberalnej w Polsce, stały się pierwsze w pełni wolne wybory do sejmu w 1991 roku. Okazało się ponad wszelką wątpliwość, że „Solidarność" nie jest już solidarna. W wyborach wystartowały dziesiątki maleńkich partyjek, reprezentujących najrozmaitsze punkty na spektrum ideologii. Na karcie do głosowania znalazło się 111 komitetów wyborczych, lecz „zaledwie" 29 przekroczyło próg wyborczy.

W sejmie zapanował jeszcze większy bałagan niż przed wojną. Zapewnienie jakiemukolwiek rządowi stabilnego poparcia okazało się niemożliwe i zaledwie dwa lata później, w roku 1993, rozpisano nowe wybory. Zmieniono przepisy: próg został podniesiony do 5 procent, a głosy oddane na partie, które go nie przekroczyły, były dzielone między większe ugrupowania. Tym razem układ sejmowy okazał się trwalszy i dwie partie utworzyły rząd koalicyjny. Problemy jednak pozostały. Przed wyborami politycy centrowi i lewicowi zdołali utworzyć kilka dużych bloków wyborczych: na zgliszczach PZPR powstał Sojusz Lewicy Demokratycznej, dawni dysydenci założyli Unię Wolności, odrodziło się ponadto Polskie Stronnictwo Ludowe. Tymczasem prawica była podzielona na maleńkie partie, z których większość nie osiągnęła pięcioprocentowego poparcia. Na ugrupowania te zagłosowała jedna trzecia elektoratu, ale zyskały one tylko 8 procent mandatów.

Lewica z kolei dostała nieznacznie mniej głosów, lecz przypadło jej 46 procent miejsc w sejmie.

Wybory do Sejmu w 1993 roku

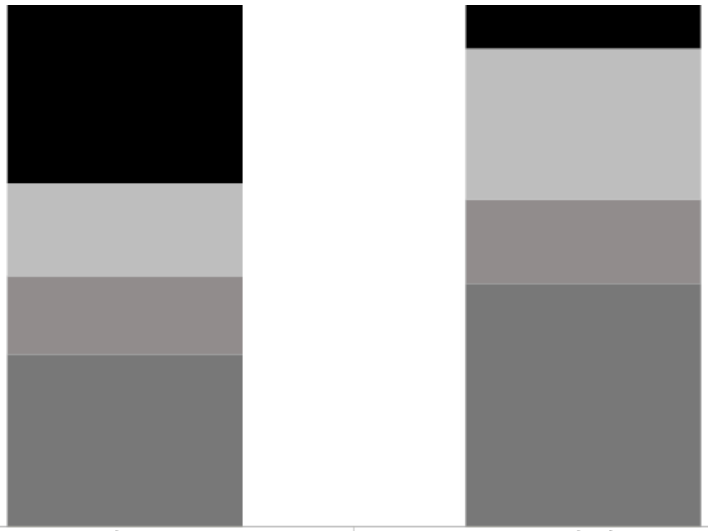

	Głosy	Posłowie
Prawica	4 657 637	38
PSL	2 451 452	132
Unia Wolności	2 035 549	74
SLD i Unia Pracy	4 504 614	212

Przez prasę znów przetoczyły się jeremiady na temat słabych fundamentów polskiej demokracji. Ale obawy i tym razem okazały się przesadzone. Po kompromitacji z 1993 roku przywódcy prawicy wynegocjowali utworzenie własnej szerokiej koalicji wyborczej, by móc skutecznie konkurować z innymi ugrupowaniami. Opłaciło się: w 1997 roku konserwatywny sojusz o nazwie Akcja Wyborcza Solidarność otrzymał 34 procent głosów. Przełożyło się to na 44 procent mandatów, bo tym razem niedoreprezentowana była lewica (która też wyciągnęła wnioski i wzmocniła swój blok przed wyborami w roku 2001). Ogólnie rzecz biorąc, polscy politycy wykazali,

że potrafią przystosowywać się do nowych struktur i do nowych reguł prowadzenia polityki. W tamtym czasie ich działania wydawały się chaotyczne i niezorganizowane, jeśli jednak spojrzeć z perspektywy czasu, najbardziej rzuca się w oczy ich zdolność do adaptacji, a nie kłótnie i wojenki, chętnie opisywane w mediach. Łatwo zafiksować się na chaotycznych, mętnych aspektach polityki koalicyjnej, łatwo powtarzać, jak nietrwałe były partie w latach dziewięćdziesiątych, dziś jednak wiemy także o niezwykle istotnych rzeczach, które się nie wydarzyły i których udało się uniknąć. Główni gracze polityczni reagowali na porażki tworzeniem nowych organizacji czy koalicji, urządzaniem protestów i zabieganiem o głosy, ale nie buntowali się przeciwko podstawom systemu. Zbudowanie solidnej partii politycznej to ciężka robota, zwłaszcza w warunkach kryzysu gospodarczego. Na dłuższą metę liczy się zatem to, czy wszyscy akceptują reguły gry. W trudnych latach dziewięćdziesiątych fundamenty polityki okazały się trwałe. Dzięki temu formalne zasady – przede wszystkim ustanowienie pięcioprocentowego progu wyborczego – mogły skutecznie działać, skłaniając upartych polityków do niewygodnych sojuszy i kompromisów.

Los PZPR to znakomity przykład siły rodzącej się wówczas kultury politycznej. W latach osiemdziesiątych stateczni biurokraci kierujący partią od dawna nie mieli już nic wspólnego z pokoleniem swych poprzedników, rewolucjonistów. Chcieli jedynie zachować władzę i cieszyć się przywilejami. W 1990 roku sami rozwiązali PZPR – po części z powodów wizerunkowych, po części ze szczerego pragnienia, by zerwać z leni-

nowską przeszłością. Zaraz po ostatnim zjeździe powstało nowe ugrupowanie: Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej, które rok później stało się najważniejszą częścią Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Przewodził mu Aleksander Kwaśniewski, trzydziestosześcioletni polityk, w PRL członek rady ministrów do spraw młodzieży. Z początku niemal całe kierownictwo SLD rekrutowało się z byłych działaczy PZPR, co nie oznacza, że zmiana sprowadzała się wyłącznie do nowego szyldu. Kwaśniewski okazał się pragmatycznym, elastycznym politykiem. Niełatwo było stwierdzić, jakie dokładnie ma poglądy, dzięki czemu znakomicie radził sobie w negocjacjach i budowaniu koalicji, a także w wyborach. Często porównywano go z Billem Clintonem i Tonym Blairem, przywódcami, którzy poprowadzili swe lewicowe partie ku wygodnemu, niegroźnemu „centrum". Kompromisowość Kwaśniewskiego i gotowość do zmieniania przekonań frustrowała i irytowała oddanych lewicowców. Cóż z tego, skoro wygrywał wybory, i to nie raz. Pod jego kierownictwem SLD uzyskał władzę już w 1993 roku, ledwie cztery lata po ostatecznym, jak się zdawało, upadku PZPR. W kolejnych wyborach partia przegrała, ale wróciła w roku 2001, zdobywając 41 procent poparcia – nie lada wyczyn, biorąc pod uwagę, ile ugrupowań zabiegało wówczas o głosy. Sam Kwaśniewski wystartował w 1995 roku w wyborach prezydenckich przeciwko Lechowi Wałęsie i pokonał byłego przywódcę „Solidarności" różnicą głosów 52 procent do 48 procent. Reelekcję zapewnił sobie w pierwszej turze, uzyskując trzydziestoześciopunktową przewagę nad kolejnym rywalem.

Później fortuna odwróciła się od SLD. Mimo energii i elastyczności młodych polityków pokroju Kwaśniewskiego partia wciąż borykała się z dziedzictwem PZPR, a mianowicie z grupą karierowiczów, którzy wstępowali do partii w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych tylko po to, by zapewnić sobie dobre życie. Polityka była dla nich jedynie sposobem na wzbogacenie się. Z ich winy SLD nieustannie wikłał się w skandale korupcyjne. Poza tym brak wyrazistej ideologii, który pomógł wrócić do władzy w latach dziewięćdziesiątych, z czasem stał się przeszkodą. Jeśli lewicowa partia chce na dłuższą metę sprawnie funkcjonować, musi reprezentować interesy i potrzeby osób ubogich, marginalizowanych i nieuprzywilejowanych. Musi też walczyć o sprawę „wolności" i „równości" (a przynajmniej „sprawiedliwości"). W przeciwnym razie głosować na nią będzie tylko garstka osób popierających lewicę z abstrakcyjnych powodów filozoficznych lub ideologicznych. Jak za chwilę wyjaśnię, w latach dziewięćdziesiątych ani SLD, ani żadne inne ugrupowanie nie miały solidnej oferty dla wspomnianego szerokiego elektoratu. Na początku XXI wieku poparcie dla Sojuszu zaczęło spadać; w 2005 roku partia poniosła niemal tak sromotną klęskę wyborczą, jak PZPR szesnaście lat wcześniej.

Sukcesy SLD w latach dziewięćdziesiątych interpretowano jako wyraz tego, że polski elektorat nie w pełni odżegnał się od komunizmu i że pragnął powrotu PRL zamiast nowej „wolności". To zdecydowanie nietrafna wykładnia. SLD wygrywał wybory (przynajmniej przez kilkanaście lat) właśnie dlatego, że udało mu się sprawnie pozbyć resztek starej reto-

ryki i starego programu. Pod kierownictwem Kwaśniewskiego partia wyjątkowo jednoznacznie opowiedziała się za integracją z kapitalistyczną Europą Zachodnią, choćby po to, by dowieść swej wiarygodności w postkomunistycznym świecie. Rząd SLD nadzorował ostatni etap wprowadzania Polski do Unii Europejskiej i odegrał dużą rolę w kampanii na „tak" w referendum akcesyjnym rok wcześniej (77,6 procent głosujących opowiedziało się za członkostwem w UE). W latach dziewięćdziesiątych i na początku lat dwutysięcznych konsensus wokół haseł takich, jak „demokracja" czy „Europa" stał się integralną częścią kultury politycznej; starzy komuniści mogli zachować jakąkolwiek szansę tylko dlatego, że uczynili te hasła centralnym elementem swojego przekazu. Historia o udanej zmianie wizerunku jest oczywiście bardzo ciekawa, nas jednak bardziej powinno obchodzić, że owa zmiana okazała się niezbędna, bo tego wymagała rodząca się kultura polityczna. W III RP nie było wówczas miejsca dla leninizmu.

Oczywiście w polityce nie brakowało problemów. Niektóre, jak się przekonamy, miały niezwykle poważny charakter, jednak z perspektywy czasu robi wrażenie, ile praktyk, założeń i niepisanych reguł liberalnej demokracji akceptowano i szanowano nawet w wyjątkowo napiętych momentach. W kulturze politycznej dominowało pragnienie pokazania światu, że Polacy są „Europejczykami", że są dostatecznie „dojrzali", by otrzymać zaproszenie do grona rozwiniętych krajów demokratycznych, do NATO i UE. Ambicje miały też po części poważniejszy charakter i przyświecały przywódcom o najroz-

maitszych poglądach. Brały się z nieuzasadnionego poczucia niższości oraz z przesadnego respektu do sposobu uprawiania polityki w Europie Zachodniej i Ameryce. Co zaś najważniejsze, pragnienie zbudowania stabilnej, nowoczesnej demokracji z silnym poszanowaniem dla rządów prawa miało moc sprawczą. Dopóki podzielali je najważniejsi przywódcy (a podzielali, i to przez długi czas), dopóty reformy były skuteczne. Nawet w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach historycznych najbardziej liczy się wspólne przekonanie, że wszyscy powinni postępować w określony sposób (Brytyjczycy na przykład dowiedli, że pozwala ono się obejść bez spisanej konstytucji). Jeśli go zabraknie, nawet najlepsza ustawa zasadnicza i najstarsze tradycje demokracji liberalnej nie wystarczą, o czym mogliśmy się przekonać w ostatnich latach.

Dwie liczby przywołane na poprzednich stronach mają kluczowe znaczenie dla mojej opowieści: 74 (odsetek osób, które głosowały na Lecha Wałęsę w 1990 roku) i 77 (odsetek zwolenników przystąpienia Polski do Unii Europejskiej w referendum w roku 2003). Można też dodać 71, czyli łączny procent głosów uzyskanych w 2000 roku przez dwóch najważniejszych kandydatów: Aleksandra Kwaśniewskiego i Andrzeja Olechowskiego, kojarzonego z liberalnymi inteligentami z Unii Wolności. Obaj byli politykami głównego nurtu, którzy jednoznacznie akceptowali konstytucyjne normy i ograniczenia. I jeszcze jedno: przez wiele lat Centrum Badania Opinii Społecznej przeprowadzało doroczne badanie, w którym pytano ludzi: „Czy z perspektywy czasu może Pan(i) powiedzieć, że warto czy też nie warto było zmieniać ustrój w Pol-

sce?”. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych odsetek osób mówiących, że warto, oscylował w granicach sześćdziesiąt kilka – siedemdziesiąt kilka procent[3]. Jak widać, od dwóch trzecich do trzech czwartych polskiego społeczeństwa zdawało się akceptować ogólny konsensus dotyczący życia politycznego, choć oczywiście pojawiały się rozmaite różnice w kwestiach szczegółowych. Ludzie zawsze narzekają na politykę. Od początku istnienia III RP liczba Polaków zadowolonych ze swojego życia lub ze swoich społeczności regularnie przewyższała liczbę osób uważających, że sprawy w Polsce mają się dobrze. Tylko raz, w 2008 roku, odsetek respondentów przekonanych, że sytuacja polityczna jest korzystna, przekroczył 20 procent. Co ciekawe, w Polsce mało kto ekstrapoluje swoje doświadczenia życiowe i to, co widzi bezpośrednio dokoła, na ocenę sytuacji w kraju[4]. Bez względu na to wszystkie inne dane ukazują nam obraz społeczeństwa, którego większość jest mniej lub bardziej zadowolona. W latach dwutysięcznych Wskaźnik Jakości Życia opracowany przez Eurostat przedstawiał Polskę jako jeden z najbardziej ukontentowanych krajów w Europie: od 65 do 70 procent respondentów deklarowało, że są „niezwykle szczęśliwi” lub „raczej szczęśliwi”[5].

3 Krzysztof Pankowski, *Czy warto było zmieniać ustrój – opinie Czechów, Węgrów i Polaków*, komunikat z badań CBOS, listopad 1999, s. 2.

4 Zebrałem tu dane z comiesięcznych komunikatów o „nastrojach społecznych”, publikowanych przez CBOS. Zob. https://cbos.pl/pl/publikacje/raporty.php.

5 Zob. https://bit.ly/37dRINE.

Nastroje społeczne, 1993–2016 (CBOS)

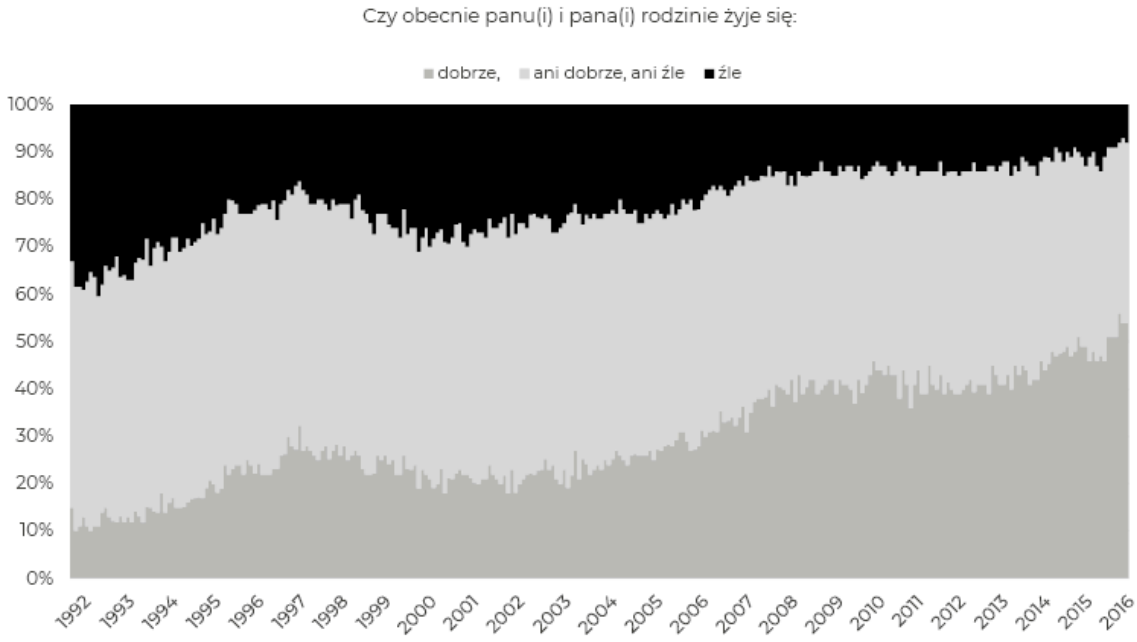

Zestawienie tego rodzaju sondaży z danymi ekonomicznymi sprawiało, że w połowie drugiej dekady XXI wieku wszystko wyglądało świetnie. Gospodarka rosła z każdym rokiem, choć reszta świata pogrążyła się po 2008 roku w głębokiej recesji. Polska dziś jest zamożniejsza niż kiedykolwiek, zarówno w porównaniu z przeszłością, jak i z innymi krajami obecnie. Zwiększyły się nierówności, ale luka między bogatymi i ubogimi pozostaje względnie niska na tle innych państw kapitalistycznych. Przeciętny kierownik korporacji zarabia 28 razy więcej niż przeciętny pracownik. Tymczasem w Wielkiej Brytanii zarabiałby 84 razy więcej, w Niemczech 147 razy więcej, a w Stanach Zjednoczonych 354 razy więcej. Nawet w Szwecji otrzymywałby 89 razy większe wynagrodzenie[6]. Ubóstwo pozostaje problemem, trzeba jednak spojrzeć na nie

z perspektywy porównawczej. Bank Światowy przyjmuje za miarę ubóstwa między innymi liczbę osób uzyskujących dzienny dochód o równowartości ok. 5,5 dolara amerykańskiego (skorygowany o lokalną siłę nabywczą). Wedle tego wskaźnika w Polsce żyje 531 580 skrajnie ubogich osób, co stanowi 1,4 procent populacji. Od 2004 roku obserwujemy spadek – a przecież jeszcze w latach dziewięćdziesiątych odsetek przekraczał nawet 10 procent. Mimo poprawy trzeba pamiętać, że 531 580 skrajnie ubogich osób to o 531 580 osób za dużo, ale mało który kraj świata zdołał osiągnąć niższy odsetek[7]. Dla mojego wywodu bardziej liczy się ubóstwo względne, czyli to, jak ludzie plasują siebie i postrzegają na tle reszty rodaków. OECD mierzy je, sprawdzając, jak liczna grupa ludzi zarabia poniżej połowy tego, ile wynosi mediana (czyli wysokość zarobków dzieląca całą populację równo na pół: na zarabiających więcej i zarabiających mniej od tej kwoty). Takich osób jest w Polsce 10,5 procent, a więc tyle co w Niemczech, nieco więcej niż w Austrii, lecz znacznie mniej niż w Stanach Zjednoczonych, Korei Południowej albo Turcji[8].

6 Dane amerykańskiej organizacji AFL-CIO i OECD, https://bit.ly/39mfslr.

7 Zob. http://wdi.worldbank.org/table/1.2. W 2017 roku 25 krajów notowało niższą stopę ubóstwa niż Polska. 139 krajów notowało wyższą stopę ubóstwa.

8 Zob. https://data.oecd.org/inequality/poverty-rate.htm. Można tam znaleźć najnowsze dostępne dane o ubóstwie względnym, pochodzące z 2020 roku.

Stopa ubóstwa względnego (odsetek osób uzyskujących dochody poniżej 50 procent mediany dochodów gospodarstwa domowego w danym kraju)

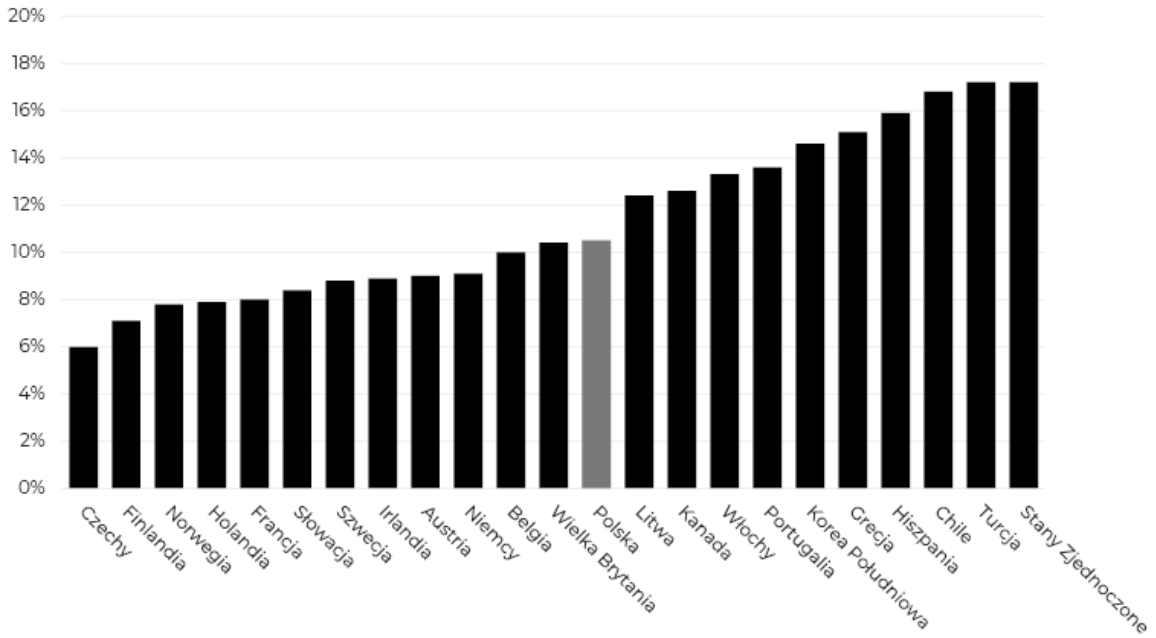

Mam zatem nadzieję, że zostanie mi wybaczony optymizm, który czułem przed 2015 rokiem. Raj nie majaczył na horyzoncie, ale problemy Polski nie różniły się zasadniczo od problemów innych średnio zamożnych państw, a rozmaite krzywe rosły, toteż przepowiadałem krajowi jasną przyszłość. Stanowiło to po części konsekwencję amerykańskiej perspektywy. Pierwszy raz zacząłem odwiedzać Polskę w latach osiemdziesiątych; wówczas różnice między nią a Ameryką były gigantyczne, jakiego miernika by nie użyć. Dziś według Wskaźnika Rozwoju Społecznego ONZ skorygowanego o stopę nierówności Polska plasuje się o jedno miejsce ponad Stanami Zjednoczonymi[9]. (Stany są oczywiście krajem znacznie zamożniejszym, lecz mniej egalitarnym – stąd podobny wynik

po uwzględnieniu dystrybucji majątku). Mówiąc inaczej, moje osobiste doświadczenie zostało naznaczone wieloletnią obserwacją stopniowej erozji wielu obszarów życia w Ameryce oraz konsekwentnej poprawy w kraju, którym się zajmuję i o którym piszę. W Polsce ogarniała mnie nieprzeparta pogoda ducha, gdy zaś wracałem do domu, do Michigan, zaraz wpadałem w przygnębienie i zaczynałem widzieć przyszłość w ciemnych barwach.

9 Zob. https://bit.ly/3q9UTi0.

Nadal uważam, że ten optymizm nie jest bezpodstawny, lecz wydarzenia ostatnich lat przypomniały nam, że kryzysy w polityce nie są wyłącznie (ani przede wszystkim) skutkiem abstrakcyjnych wskaźników ekonomicznych czy nawet poczucia osobistego szczęścia deklarowanego przez większość populacji. Fasada ogólnego dobrobytu na początku XXI wieku skrywała narastające niezadowolenie, trudno dostrzegalne przed rokiem 2015. Jak pisałem w poprzednim rozdziale, w pierwszej dekadzie XXI wieku co najmniej jedna czwarta ludzi w Polsce wolała PRL niż III RP. W dziesiątą rocznicę obrad okrągłego stołu 67 procent ankietowanych twierdziło, że warto było przeprowadzić zmianę systemową, a 22 procent wyraziło zdanie przeciwne. Wśród osób z wykształceniem podstawowym odpowiednie odsetki wynosiły 48 procent i 34 procent[10]. Oznaką odrzucenia systemu była też frekwencja wyborcza, od początku istnienia III RP wyjątkowo niska na tle państw europejskich (choć porównywalna z fatalnymi wynikami w Stanach Zjednoczonych)[11]. Rzecz jasna można mieć

wiele powodów, by nie uczestniczyć w głosowaniu; nie każdy, kto zostaje w domu, kwestionuje reguły demokracji. Niemniej niski odsetek głosujących świadczy o rozczarowaniu i zniechęceniu.

10 Krzysztof Pankowski, *Czy warto było zmieniać ustrój*, dz. cyt., s. 2.
11 Dane porównawcze na temat frekwencji – zob. https://www.idea.int/data-tools/data/voter-turnout.

Frekwencja w wyborach parlamentarnych w Polsce i wybranych krajach. (Europa Wschodnia = byłe kraje Układu Warszawskiego bez ZSRR)

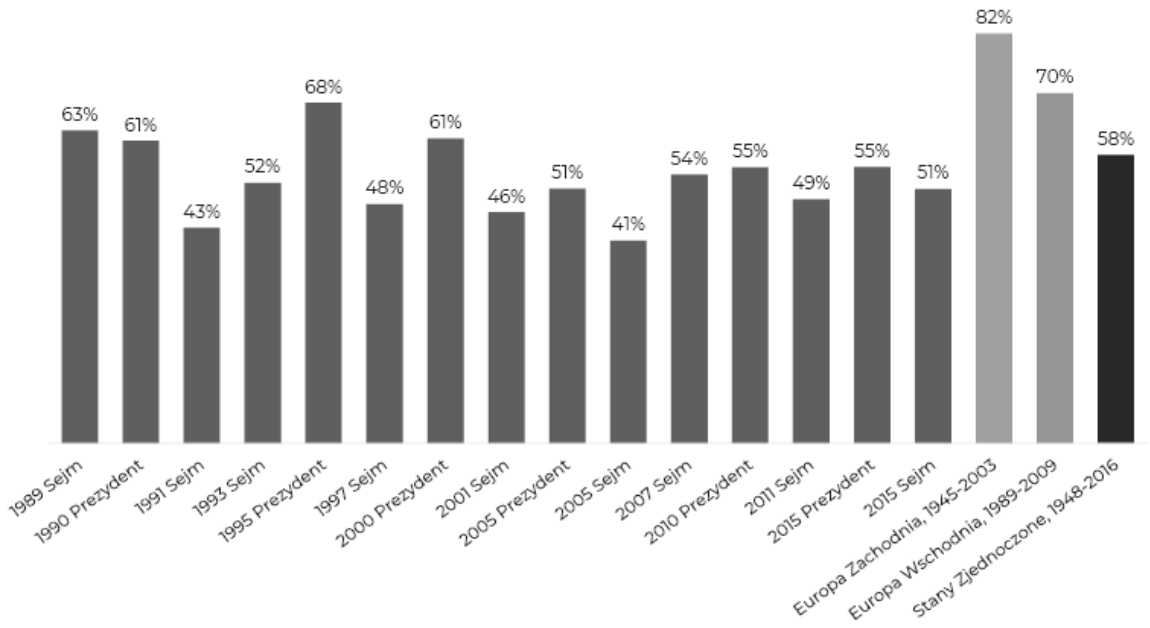

Łatwo określić, kim są rozczarowani i gdzie mieszkają. Przykładowo w wyborach w 2011 roku frekwencja w miastach była o 12 procent wyższa niż na wsi. W Warszawie, Gdańsku, Poznaniu czy Wrocławiu wyniosła ponad 60 procent, nato-

miast w wielu regionach wiejskich około 20–30 procent[12]. Co ważne, dysproporcja ta zmieniła się dramatycznie po 2015 roku. W wyborach przeprowadzonych w latach 2019–2020 frekwencja na prowincji i w miastach była mniej więcej taka sama. Niewykluczone, że osoby, które wcześniej czuły się rozczarowane polityką i nie szły do urn, teraz mają wreszcie partię, na którą chcą głosować. Prawica cieszy się silnym poparciem w południowych i wschodnich częściach kraju, określanych niegdyś mianem Polski B. Mimo osiągnięć z poprzednich dekad kraj wciąż boryka się z taką samą regionalną nierównowagą co sto lat temu. Fakt ten znajduje odzwierciedlenie w zachowaniach politycznych. Często powtarza się, że rozkład geograficzny preferencji w każdych kolejnych wyborach odpowiada z grubsza granicom zaborów – że dawna Kongresówka i Galicja popierają prawicę. To uproszczenie, bo jeśli spojrzeć bliżej, widać, że głębsze podziały istnieją między miastem i wsią. Przecież i Warszawa, i Łódź znajdowały się w zaborze rosyjskim, a galicyjskie miasta jak Rzeszów czy Przemyśl są o wiele bardziej przyjazne dla centrum i lewicy niż sąsiednie powiaty. Jeszcze większa polaryzacja preferencji wyborczych jest dostrzegalna między ludźmi z wykształceniem wyższym i ludźmi z wykształceniem podstawowym. Największym bodaj wyzwaniem w XXI wieku jest sprawienie, by osoby ze wsi i bez wykształcenia uniwersyteckiego poczuły, że uczestniczą w sukcesie kraju, oczywistym dla ludzi z Warszawy, Poznania, Krakowa, Gdańska czy Wrocławia. Ci z kolei muszą koniecznie zrozumieć realne problemy i alienację, nękające osoby spoza miejskich enklaw, a także zdać so-

bie sprawę, że osób tych nie należy z automatu obwiniać za dotykający je zły los. Z drugiej strony mieszkańcy obszarów wiejskich powinni się przekonać, że ich rodacy z miast to w ogromnym procencie ludzie o dobrych intencjach, inteligentni i szczerze zatroskani sytuacją Polski, a nie amoralni, zachłanni kosmopolici na usługach wrogiej zagranicy. Niestety, przerzucenie mostów i pokonanie wzajemnego niezrozumienia okazało się wyjątkowo trudnym zadaniem.

12 Państwowa Komisja Wyborcza, https://bit.ly/307fUIe.

Rozczarowanie znaczącej części Polek i Polaków ma wiele przyczyn. Tak złożonego problemu nie rozwiąże wyłącznie wzrost gospodarczy. Jak na ironię, źródłem rozczarowania jest po części konsensus polityczny, który jeszcze do niedawna gwarantował stabilność. Zaraz po upadku komunizmu żaden liczący się przywódca nie chciał odwoływać się do haseł starego reżimu. W latach dziewięćdziesiątych mówienie o „klasie pracującej" albo o „wyzysku" niosło ze sobą ryzyko otrzymania etykietki apologety PRL. Autorytarne i brutalne metody PZPR uznano za nieakceptowalne – a przy okazji odesłano do lamusa cały repertuar pojęć i wartości kojarzonych z ruchem socjalistycznym. Z tego powodu osoby, które zmagały się z bezrobociem, spadającymi płacami, pogarszającymi się warunkami pracy lub skromniejszymi świadczeniami społecznymi, nie miały żadnego oparcia politycznego czy ideologicznego i w żaden sposób nie mogły wyrazić frustracji i rozgoryczenia[13]. Długi okres dwucyfrowego bezrobocia i poczucie, że znaczna część terenów wiejskich znalazła się poza ob-

szarem zainteresowania gospodarczych zwycięzców, rozbudziły niemało gniewu. Gniew przyniósł protesty, trudno było jednak o ogólniejsze przesłanie, zdolne zjednoczyć niezadowolonych ludzi w trwały ruch. Pracownicy sfrustrowani niskimi wynagrodzeniami słyszeli z reguły: „Nie żyjecie już w komunizmie, musicie wziąć odpowiedzialność za swoją przyszłość, przestańcie zgłaszać irracjonalne żądania".

13 Na temat roli gniewu w polskiej polityce zob. David Ost, *Klęska Solidarności*, przeł. Hanna Jankowska, Muza, Warszawa 2007. W poniższych fragmentach silnie inspirowałem się książką Osta.

Pozwala to zrozumieć, skąd brały się szalone wahania poparcia dla partii politycznych w latach dziewięćdziesiątych. Spore grupy wyborców przerzucały głosy między ugrupowaniami, bo szukały kogoś, kto odniesie się do ich problemów lub przynajmniej okaże im współczucie. Na ówczesnych transparentach pojawiały się hasła w rodzaju: „Pracy", „Podwyżek" albo po prostu „Chleba". Jakkolwiek są to sprawy ważne, nie miały retorycznej siły starych żądań „Wolności", „Równości" i „Braterstwa". Tymczasem pracodawcy powtarzali slogany typu: „Wydajność", „Racjonalność", „Konkurencyjność", wzmacniane przez spójną i globalnie hegemoniczną ideologię wolnego rynku. U schyłku XX wieku coraz częściej przedstawiano ją jako jedyny realistyczny i racjonalny światopogląd. Pojawiały się absurdalne tezy o „końcu historii": skoro „eksperymenty" z innymi ustrojami społeczno-gospodarczymi zawiodły, pozostawał tylko „naturalny" model, czyli liberalny kapitalizm. Ludziom powtarzano ciągle frustrujący refren: „Nie ma alternatywy".

Problem nie sprowadza się jednak tylko do retoryki. Musimy wziąć pod uwagę uprzedzenia grup marginalizowanych wobec grup odnoszących sukcesy oraz uprzedzenia grup odnoszących sukcesy wobec grup marginalizowanych. Jedni obrzucają drugich błotem, tworząc niemal nieusuwalne podziały kulturowe. Nie chodzi tu wyłącznie o to, że część jest sfrustrowana, a innym się finansowo powodzi, lecz przede wszystkim o sposób rozumienia podstaw życia społecznego.

Po jednej stronie są ci, którzy w pełni przyjęli „nowoczesną" tożsamość oraz towarzyszącą jej kulturę indywidualnej autonomii, wolnej woli, konkurencji i merytokracji. Kluczowa dla ich „ja" jest także praca, jej ilość i jakość. Wierzą, że sami stwarzają siebie przez dokonywane wybory, przy czym owo stwarzanie jest procesem bez końca, bo okoliczności zewnętrzne nieustannie się zmieniają i cały czas trzeba się do nich dopasowywać. Kiedy tego typu ludzie dostrzegają w sobie jakąś wadę lub niedoskonałość, szukają pomocy w poradnikach, u specjalistów od rozwoju osobistego, na szkoleniach, treningach lub u psychologa. W obliczu przeszkód człowiek „nowoczesny" gotów jest zmienić miejsce zamieszkania w poszukiwaniu lepszych szans, na przykład przeprowadzić się do większego miasta lub za granicę. Rodzina ma dla niego duże znaczenie, ale jest to obwarowane pewnymi zastrzeżeniami. Można na przykład zerwać stosunki z krewnym stosującym przemoc. Jeśli środowisko rodzinne, z którego ktoś się wywodzi, jest „zacofane" lub nie wspiera w dostatecznym stopniu ambicji tego kogoś, dozwolone jest rozluźnienie więzi. Spędza się razem święta w pokojowej atmosferze, poma-

ga się w nagłych kryzysach, poza tym jednak nie utrzymuje się bliskich kontaktów. Tradycje, również tradycje religijne, mają pewną wartość, ale tylko jeśli płynie z nich jakiś pożytek życiowy. Gdy na przykład dany element wiary wydaje się bez sensu, należy go odrzucić – podobnie jak wszystko, co hamuje rozwój osobisty, sukcesy finansowe lub karierę. Określenie „ślepa wiara" ma charakter pejoratywny, podkreśla archaiczność światopoglądu. Autorytetom i hierarchiom należy się pewien szacunek, lecz podobnie jak wszystko inne muszą one przejść test racjonalności i użyteczności.

Fundamentalną kategorią społeczną, gospodarczą, kulturową i polityczną dla ludzi „nowoczesnych" jest „zasługa". Wierzą oni z reguły, że świat powinien być urządzony tak, by osoby o największych dokonaniach znajdowały się na szczycie hierarchii. Nepotyzm to poważne naruszenie norm, podobnie jak wszelkie inne formy „korupcji", pozwalające ludziom bez zasług chodzić na skróty. W styczniu 2017 roku studenci w całej Polsce zorganizowali protest przeciwko rządowi PiS, deklarując między innymi: „Chcemy żyć w państwie, w którym stanowiska obsadzane są na podstawie umiejętności i kompetencji, a nie przynależności partyjnej"[14]. Kluczowym słowem nie jest tu „partyjny", ale „przynależność". Według uczestników protestu bycie częścią jakiejś wspólnoty – rodziny, religii, klasy czy narodu – nie powinno decydować o szansach bogacenia się, awansu, możliwościach publikowania, zdobywania władzy czy odnoszenia sukcesów. Sukces zawdzięczany przynależności to nie tylko wyjątek od reguły, ale też potężny skandal. Z tych samych założeń wyni-

ka przekonanie – czasem deklarowane otwarcie, czasem milcząco zakładane – że ludzie, którym się nie powodzi, po prostu nie zasługują na pomyślność. W bardziej brutalnej wersji potępia się lenistwo i niekompetencję ubogich, obwiniając ich za ich własne cierpienia, a w wersji nieco wyrozumialszej popiera się dobroczynność i publiczne programy pomocowe, by biednym nieszczęśnikom zapewnić podstawowe minimum. Reformy, za którymi opowiadają się ludzie „nowocześni", mają na celu „równość szans", czyli warunek niezbędny do funkcjonowania prawdziwej merytokracji.

14 *Strajk studentów w Polsce*, „Newsweek Polska", 25 stycznia 2017.

Słowo to ukuł w 1958 roku brytyjski socjolog Michael Young w krótkiej książeczce *The Rise of the Meritocracy, 1870–2033*[15]. Nie była to typowa publikacja akademicka, ale dystopijna satyra na świat współczesny autorowi, o czym świadczy druga z dat padających w tytule. Upadek tradycyjnych elit w XX wieku miał zdaniem Younga pewien niezamierzony skutek: nie zapanowała powszechna równość, bo w społeczeństwie nadal istniały hierarchie, rzekomo bardziej sprawiedliwe. Youngowi to nie wystarczało. Twierdził, że nawet jeśli znikną wszelkie arbitralne przywileje i zastąpi się je systemem nagradzającym talent i pracowitość, i tak znajdą się tacy, którym się nie powiedzie, bo nie będą mieli wystarczająco dużych zasług. W starym świecie mogliby oni czerpać dumę dzięki solidarności klasowej lub dzięki przynależności do innej wspólnoty, natomiast w społeczeństwie merytokratycznym będą po prostu przegranymi, winnymi swego mar-

nego losu. Im lepiej działa merytokracja, pisał Young, tym gorzej czują się ludzie „na dole". Jednak jego ostrzeżenia zostały zapomniane, a słowo z tytułu książki zyskało popularność. Aż wreszcie w XXI wieku napięcia generowane przez reżim merytokratyczny dały o sobie znać. Nie osiągnęliśmy merytokracji idealnej, ale gniew i poczucie osamotnienia, przed którymi ostrzegał Young, są faktem. Paradoks polega na tym, że im zacieklej broni się systemu opartego na „zasługach", tym bardziej palące stają się powyższe problemy.

15 Michael Young, *The Rise of the Meritocracy, 1870–2033*, Thames and Hudson Publishers, London 1958.

Po drugiej stronie wielkiego kulturowego podziału z początku XXI wieku mamy światopogląd określany niekiedy mianem „zacofanego" lub „przednowoczesnego". To nietrafne etykietki; wiele jego elementów stanowi reakcję na społeczne, ekonomiczne, kulturowe i polityczne przemiany epoki nowoczesnej, toteż należałoby raczej mówić o „antynowoczesności", pamiętając, że każde „anty" może istnieć tylko obok tego, czemu się przeciwstawia, i nie może go poprzedzać. Innymi słowy, nie mamy tu do czynienia z opowieścią o starym i nowym światopoglądzie, o przednowoczesnych przekonaniach, które uparcie nie chcą zejść ze sceny, choć ich czas przeminął. Widzimy raczej równoczesne ukształtowanie się dwóch powiązanych i wzajemnie się wykluczających systemów kulturowych. Osoby antynowoczesne często identyfikują się jako konserwatyści, choć to, co pragną konserwować i ocalić, tak naprawdę nie istnieje i nigdy nie

istniało. Z kolei zwolennicy nowoczesności lubią mówić o „postępie", sugerując, że ich przeciwnicy są reliktami przeszłości. W rzeczywistości oba systemy kulturowe są wzajemnie konstytutywne i bynajmniej nie następują jeden po drugim. Występuje też inny zwodniczy zestaw etykietek, odwołujący się do kategorii geopolitycznych lub narodowych, takich jak „Zachód" i „Wschód" albo „Ameryka" i „Polska". Tymczasem nowoczesność i antynowoczesność ścierają się wszędzie, nie tylko w Polsce.

Dla osób wrogo odnoszących się do merytokracji wartością nadrzędną jest „wspólnota"[16]. Wszystko, co umacnia wspólnotę (jakkolwiek definiowaną), jest dobre. Wszystko, co jej zagraża, jest złe. Na poziomie gospodarczym zakłada to poparcie dla egalitaryzmu, niemającego statusu uniwersalnej zasady, ale raczej traktowanego jako spoiwo społeczne, gwarantujące, że wspólnota nie rozpadnie się z powodu nadmiernych nierówności ekonomicznych. Nikt nie powinien popaść w nędzę, ale też nikt nie powinien za bardzo wyrastać ponad innych pod względem majątku czy wykształcenia, bo wówczas wyalienuje się od „prawdziwych" rodaków. Postulat powszechnej, ogólnoludzkiej równości nie ma z tej perspektywy większego sensu, liczy się za to eliminowanie zbyt dużych odchyleń od normy. Tak rozumiany egalitaryzm każe nieść pomoc sąsiadowi, któremu spalił się dom, a także potępiać osoby awansujące „ponad stan" lub przedkładające własne egoistyczne potrzeby ponad potrzeby wspólnoty.

16 Światopogląd, który tu opisuję, różni się od anglosaskiego komunitaryzmu, reprezentowanego m.in. przez Alasdaida MacIntyre'a, Charlesa Taylora czy Mi-

chaela Walzera. Różnica sprowadza się jednak głównie do tonu, komunitaryzm stanowi bowiem próbę wyrażenia na gruncie filozofii pewnych głęboko zakorzenionych emocji i wzorów kulturowych.

Hierarchie i pewnego rodzaju nierówności są w ramach tego światopoglądu akceptowane, ale tylko jeśli zostały znormalizowane na przestrzeni czasu i jeśli towarzyszą im trwałe normy dystrybucji szacunku społecznego. Słowem, dopuszcza się istnienie tylko tych hierarchii, które pomagają integrować wspólnotę i nie stanowią dla niej zagrożenia. Merytokracja natomiast stwarza problemy, bo z definicji zakłada nietrwałość, zmiany i niestabilność. „Wspólnotowcy" (proszę wybaczyć mi ten neologizm) czują niekiedy zawiść do miejscowego sklepikarza, który ma lepszy dom albo więcej pieniędzy na koncie, jednak prawdziwą niechęć budzi wśród nich młoda osoba z ubogiej rodziny, która wyjeżdża i robi karierę na uczelni, w świecie sztuki, muzyki, dziennikarstwa lub w ogóle w „establishmencie" przywiązanym do zasad merytokracji. Właściciel sklepu zdobył uprzywilejowaną pozycję w ramach uznanych norm i hierarchii, natomiast młody karierowicz lub karierowiczka awansowali w strukturach merytokratycznych, stanowiących produkt nowoczesności i działających wedle mało czytelnych reguł. Skoro tak, osobie obserwującej to z zewnątrz trudno usprawiedliwić taki awans. Czasem jest to wręcz niemożliwe, merytokratyczne reguły stanowią bowiem wypadkową działania czynników strukturalnych, instytucjonalnych i kulturowych, a zatem mają charakter kontekstowy, nie zaś uniwersalny. Człowiek „odnoszący sukcesy" jest postrzegany jako renegat, który musiał z trudem zabiegać o ak-

ceptację w swoim nowym środowisku, aż w końcu uzyskał ją pod warunkiem odrzucenia zwyczajów, upodobań i zachowań wyniesionych z domu rodzinnego. Do tego kryteria sukcesu mogą mieć znaczenie dla współpracowników czy nowych przyjaciół, ale osoby spoza tego świata uważają je za absurdalne lub szkodliwe.

W światopoglądzie wspólnotowym rodzina odgrywa arcyważną rolę, i to bezwarunkowo, z wyłączeniem naprawdę skrajnych sytuacji. Kobieta, która doświadcza przemocy ze strony męża, zazwyczaj może liczyć na współczucie i emocjonalne wsparcie otoczenia, ale jeśli zdecyduje się na rozwód, czekają ją nieprzyjazne komentarze i plotki[17]. Syn jeżdżący na wakacje z przyjaciółmi albo z żoną i dziećmi, zamiast spędzać czas z rodzicami, rodzeństwem i krewnymi, naraża się na oskarżenia o niewdzięczność. Rozmaite relacje społeczne należy pielęgnować, nawet jeżeli nie spełniają one merytokratycznych standardów użyteczności i racjonalności. Czasem akceptuje się, choć niechętnie, osłabienie takich relacji, lecz tylko w imię wzmocnienia więzi wspólnotowej w dłuższej perspektywie. Dopuszcza się na przykład, że ktoś wyjedzie do Londynu, by pracować i przesyłać pieniądze rodzinie, wyjazd nie jest natomiast tolerowany, jeśli międzynarodowy pracodawca zaproponował lukratywny awans i stanowisko w centrali.

17 Po części wyjaśnia to, czemu polscy konserwatyści są przeciwni ustanowionej przez Radę Europy *Konwencji o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej*, zwanej potocznie Konwencją antyprzemocową. Konserwatyści nie są zwolennikami przemocy, ale odrzucają punkt widzenia, zgodnie z którym relacje rodzinne mogą stanowić przedmiot regulacji i nadzoru ze stro-

ny państwa, bo to nadaje owym relacjom charakter warunkowy, a nie absolutny.

Odkrycia naukowe sprzeczne z prawdami wiary można przyjąć lub odrzucić – tak czy inaczej nie wpływają one na poczucie lojalności wobec Kościoła. Ksiądz pijak, bełkoczący z ambony, będzie krytykowany i potępiany, ale raczej w prywatnych rozmowach. Powszechne jest również narzekanie na duchownych w ogólności. Jednak wspólnotowcy nie uważają, by prawdy naukowe lub skandale z udziałem Kościoła katolickiego miały prowadzić do odrzucenia jego rytuałów.

Stosunek wspólnotowców wobec „obcych" jest skomplikowany. Stwierdzenie, że ksenofobia stanowi wśród nich normę, to niesprawiedliwa przesada. Ich codzienne spotkania z osobami spoza wspólnoty mają zazwyczaj serdeczny charakter. Zarazem owa serdeczność opiera się na ewidentnym, choć niewypowiedzianym, przekonaniu o przynależności do różnych światów. Ponadto dla wspólnotowców niektóre grupy zasługują na wyższy status niż inne[18]. Naruszenie porządku w relacjach między wspólnotami może łatwo wywołać wrogość, a nawet doprowadzić do przemocy. Nie jest też trudno rozbudzić podejrzliwość lub wręcz niechęć wobec nieznanych grup, zwłaszcza takich, których przedstawicieli spotyka się zbyt rzadko, by wchodzić z nimi w dłuższe interakcje (obecnie w Polsce przykładem są choćby muzułmanie). W takich przypadkach łagodząca moc codziennych kontaktów nie ma przecież szansy zadziałać.

18 Zob. przełomowe badania Agnieszki Pasieki, *Hierarchy and Pluralism: Living Religious Difference in Catholic Poland*, Palgrave, London 2015.

Osoby reprezentujące światopogląd wspólnotowy nie są z definicji nacjonalistami w potocznym rozumieniu tego słowa, choć w ostatnim stuleciu nacjonalizm cieszył się wśród nich popularnością. Wspólnoty, które tu opisuję, da się zbudować na różne sposoby: przez odwołanie do narodu, regionu, miasta, grupy zawodowej, klasy społecznej, kasty, wyznania czy klubu. Wśród wspólnotowców spotkamy sympatyków najrozmaitszych ideologii, od staroświeckich dziewiętnastowiecznych konserwatystów, przez „narodowych komunistów" opisanych wcześniej, aż po współczesną nam rewolucyjną skrajną prawicę. To samo dotyczy merytokratów: są wśród nich liberałowie gospodarczy, opowiadający się za wolnym rynkiem i brutalną walką o byt, ale także socjaldemokraci, pragnący silnego *welfare state* i ścisłych regulacji w zakresie działalności gospodarczej. Kulturowy podział, który tu prezentuję, ma charakter przedideologiczny – stanowi raczej emocjonalny fundament dla ideologii.

W latach dziewięćdziesiątych panowała przedwczesna pewność, że merytokracja zyska ostatecznie pozycję dominującą. Skrajne bieguny w debacie o gospodarce zdawali się reprezentować Leszek Balcerowicz i Grzegorz Kołodko, ekonomista bliższy podejściu keynesowskiemu, piastujący urząd ministra finansów w latach 1994–1997 i 2002–2003 w rządach SLD. Uważali, że dzielące ich różnice są nie do pogodzenia, ale obaj akceptowali podstawowe założenia liberalnej ekonomii. Wszystko, co wykraczało poza spektrum Balcerowicz–Kołodko, uważano za utopię, za propozycje niepoważne, nierealistyczne lub po prostu świadczące o ignorancji.

W sferze polityki konstytucja przyjęta w 1997 roku została pomyślana jako akt konsensusu, obejmujący wszystkie „dopuszczalne" ideologie. Świadczy o tym monumentalna preambuła, zdanie liczące 232 wyrazy i odnoszące się do wszelkich możliwych światopoglądów:

> W trosce o byt i przyszłość naszej Ojczyzny, odzyskawszy w 1989 roku możliwość suwerennego i demokratycznego stanowienia o Jej losie, my, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł, równi w prawach i w powinnościach wobec dobra wspólnego – Polski, wdzięczni naszym przodkom za ich pracę, za walkę o niepodległość okupioną ogromnymi ofiarami, za kulturę zakorzenioną w chrześcijańskim dziedzictwie Narodu i ogólnoludzkich wartościach, nawiązując do najlepszych tradycji Pierwszej i Drugiej Rzeczypospolitej, zobowiązani, by przekazać przyszłym pokoleniom wszystko, co cenne z ponad tysiącletniego dorobku, złączeni więzami wspólnoty z naszymi rodakami rozsianymi po świecie, świadomi potrzeby współpracy ze wszystkimi krajami dla dobra Rodziny Ludzkiej, pomni gorzkich doświadczeń z czasów, gdy podstawowe wolności i prawa człowieka były

> w naszej Ojczyźnie łamane, pragnąc na zawsze zagwarantować prawa obywatelskie, a działaniu instytucji publicznych zapewnić rzetelność i sprawność, w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem lub przed własnym sumieniem, ustanawiamy Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej jako prawa podstawowe dla państwa oparte na poszanowaniu wolności i sprawiedliwości, współdziałaniu władz, dialogu społecznym oraz na zasadzie pomocniczości umacniającej uprawnienia obywateli i ich wspólnot. Wszystkich, którzy dla dobra Trzeciej Rzeczypospolitej tę Konstytucję będą stosowali, wzywamy, aby czynili to, dbając o zachowanie przyrodzonej godności człowieka, jego prawa do wolności i obowiązku solidarności z innymi, a poszanowanie tych zasad mieli za niewzruszoną podstawę Rzeczypospolitej Polskiej[19].

19 Zob. http://www.sejm.gov.pl/prawo/konst/polski/kon1.htm.

Wszyscy uczestnicy życia publicznego mogli tu znaleźć coś, co im się nie podobało, ale też coś dla siebie. Tekst był owocem kompromisu par excellence, jaki nikogo w pełni nie zadowala. Podobnie mają się sprawy z całą konstytucją. Niemal każdy może wskazać parę artykułów, które chciałby zmienić lub poprawić. Jej autorzy uważali to za ogromną zaletę. Sądzili, że nowa konstytucja stanie się podwaliną inkluzywnego państwa oraz porządku prawnego i instytucjonalnego, w któ-

rych będzie można toczyć najrozmaitsze spory polityczne i wyznawać najróżniejsze wartości. Poza granicami Polski dokument uznano za kamień milowy i znak, że kraj jest gotów kontynuować negocjacje członkowskie z Unią Europejską i NATO. Pozostawał jednak pewien problem: w referendum konstytucyjnym tylko 53 procent głosujących opowiedziało się za przyjęciem nowej ustawy zasadniczej, frekwencja wyniosła zaś zaledwie 42 procent.

Ówczesny przywódca „Solidarności" Marian Krzaklewski prowadził kampanię przeciwko przyjęciu konstytucji. Nazwał ją „wyrazem woli jednej orientacji politycznej", narzekał, że cechuje się ona „ewolucyjnym wobec PRL charakterem liberalnych zmian ustrojowych, dokonujących się z udziałem i pod kontrolą komunistów". Jako przewodniczący związku zawodowego dodawał, że nie znalazły się w niej „podstawowe gwarancje socjalne dla pracowników", i krytykował brak należytej ochrony rodziny, którą uważał za najważniejszą instytucję narodu. Najbardziej zaś skupiał się na preambule i „aksjologicznym" jądrze dokumentu:

> Czy Zgromadzenie Narodowe parlamentu w 1997 roku chce przejść do historii Polski jako to Zgromadzenie Narodowe, które po tysiąctrzydziestoletnim istnieniu chrześcijańskiej Polski wyrzuciło Boga z Konstytucji? [...] Kompromis narodowy będzie możliwy wtedy, gdy wszyscy uznamy, że są fakty w historii Polski, które są nie do interpretowania. Tym faktem jest to, że Polska zawsze opierała zarówno

> swój system wartości, jak i później prawodawstwo konstytucyjne na wartościach chrześcijańskich, które równocześnie były pozytywnie kierowane ku ludziom o różnych poglądach, przekonaniach, wyznaniach i różnych narodowości. Dlatego jeżeli zgodzimy się co do ciągłości wartości, co do ciągłości historii, jestem pewny, że w innych sprawach – gospodarczych, społecznych i politycznych – jest szansa na dobry konsensus[20].

20 Zob. https://bit.ly/3lq2BRK.

Dla Krzaklewskiego brak zgody co do wspomnianych „faktów historycznych" wykluczał możliwość kompromisu i szanse na stabilność polityczną. Niestety, przywódca „Solidarności" miał być może rację, choć jego alternatywny projekt konstytucji spowodowałby jeszcze poważniejsze problemy. Krzaklewski ujawnił bolesny fakt: budowa systemu, który zadowoli zarówno merytokratów, jak i wspólnotowców, to niezwykle trudne zadanie, bo wiele ich przekonań jest wzajemnie sprzecznych. Prędzej czy później każda ze stron musiałyby wyrzec się ważnych elementów swego credo. Merytokraci musieliby uznać, że koncepcja „zasługi" nie sprawdza się jako narzędzie całościowej organizacji społeczeństwa, bo ma charakter kontekstowy. Społeczeństwo, które narzuca swoim członkom konkretny ideał jednostki – na przykład stawia na piedestale neoliberalnego pracownika, elastycznego, dobrze wykształconego, wolnego od więzów rodziny czy wspólnoty,

skoncentrowanego głównie na wydajności i samorealizacji – z definicji wyklucza sporą część populacji i odbiera jej szansę zdobycia szacunku. Konieczne są instytucje, które zapewniają nie tylko dobrobyt materialny, ale też nie odbierają godności osobom przywiązanym do innych wartości, takich jak choćby przewidywalność, lojalność wobec rodziny czy przyjaciół albo dbanie o równowagę między pracą a czasem wolnym. Z drugiej strony wspólnotowcy musieliby zrezygnować z wykorzystywania państwa do umacniania i narzucania innym ludziom ich „aksjologii". Przede wszystkim nie mają do tego prawa. Co więcej, na dłuższą metę są skazani na porażkę. Uparte próby osiągania niemożliwego celu zawsze rodzą frustrację. Frustracja z kolei prowadzi do radykalizacji i ostatecznie do przemocy. Przedstawiona tu formuła kompromisu wymaga dużych wyrzeczeń od obu stron. Kto wie, czy nie zbyt dużych. Mam nadzieję, że nie.

Mogłoby się zdawać, że duch tego kompromisu zawarty został w preambule konstytucji z 1997 roku, ale tak nie jest. Autorzy ustawy zasadniczej sądzili, że udało im się stworzyć ramy, w których osoby o różnych wartościach będą prowadziły cywilizowane spory i debaty, dzięki czemu wynegocjują najlepsze rozwiązania polityczne. Przekonanie to wynikało jednak z przyjęcia założeń merytokracji. Utopijny cel zakładał, że każdy system wartości wspomniany w rozwlekłej preambule będzie konkurował z innymi systemami przy zachowaniu wzajemnego szacunku; liberałowie określali to wymownym mianem „rynku idei". Miarą poszczególnych postulatów i propozycji byłyby ich użyteczność, rentowność, ra-

cjonalność i tym podobne. Z tej perspektywy stanowisko Krzaklewskiego wydawało się dowodem wąskich horyzontów, autorytarnych zapędów, reakcyjności i braku tolerancji. Tymczasem dla drugiej strony zwolennicy konstytucji sprawiali wrażenie ludzi dryfujących, postulujących świat nieustannej zmiany, w którym wszystko podlega krytyce i wszystko można w jednej chwili odrzucić, jeśli zostanie uznane za nieracjonalne lub nieskuteczne. W świecie tym idee, struktury społeczne i przede wszystkim indywidualne tożsamości miałyby przechodzić nieustanną, płynną ewolucję. Krzaklewski i jemu podobni uważali, że owa płynność nie pozwala umocnić wspólnoty, a w każdym razie nie takiej wspólnoty, jakiej pragnęli. Wymowne, że w cytowanym powyżej fragmencie Krzaklewski nie bronił katolicyzmu jako jedynej prawdziwej religii (choć oczywiście za taką go uważał). Samo spieranie się o słuszność wiary na forum sejmu byłoby przyznaniem, że jest to temat odpowiedni na publiczną agorę, a więc podlegający ewaluacji wedle merytokratycznych standardów. Rola katolicyzmu zyskała dlań status „faktu nie do interpretowania", gdyż katolicyzm stanowił nierozerwalny element „tysiącletniego istnienia" Polski. Nic więcej nie trzeba było dodawać.

Światopogląd ten w najróżniejszych wcieleniach i odmianach powracał od dawna. Wyrażał się w ideologiach na pozór zupełnie sprzecznych, jak „narodowy komunizm" Gomułki i „teologia narodu" Wyszyńskiego. Obie upadły w 1989 roku. Merytokraci jednak nie dostrzegają tego upadku, przypisują bowiem katolicyzmowi ogromną i niepokojącą rolę w życiu

publicznym. Jej dowodem jest dla nich choćby konkordat podpisany w 1993 roku i wyznaczający relacje między państwem i Kościołem. Liberałowie uznali samo zawarcie tego porozumienia za oburzające, bo oto traktat z obcym krajem (Watykanem) miał regulować politykę w Polsce. Tymczasem wspólnotowcy w Kościele nie czuli się ani trochę usatysfakcjonowani. Od zawsze uważali, że grzechem (dosłownie) nowoczesności było rzekome zniszczenie fundamentów wspólnoty, czy to przez Voltaire'a (postulującego poddawanie religii merytokratycznym sprawdzianom), czy to przez Adama Smitha, dla którego „niewidzialna ręka" pełniła funkcję merytokratycznego arbitra w sprawach gospodarczych. Z tej perspektywy komunizm i socjalizm – systemy ateistyczne, racjonalne i nowoczesne – były złem. Jednak wielu katolików, od papieża Leona XIII, autora encykliki *Rerum Novarum* z 1891 roku, po część współczesnych zwolenników PiS, za głównego wroga uważało liberalizm. Socjalizm postrzegali jedynie jako błędną, lecz do pewnego stopnia zrozumiałą reakcję przeciwko liberalizmowi. Zgodnie z tym światopoglądem rok 1989 jawił się im jako upokarzająca próba wchodzenia na górę po równi pochyłej, choć świat zjeżdżał po niej od XVIII stulecia.

Tak oto zarówno PZPR, jak i znacząca frakcja w ramach Kościoła katolickiego – a zatem dwie główne organizacje zrzeszające wspólnotowców w dwudziestowiecznej Polsce – uznały rok 1989 za porażkę. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych osoby poczuwające się do wspólnotowej orientacji kulturowej, zaczęły wspierać ruch, który powtarzał najpopularniejsze tezy narodowego komunizmu, stosował bowiem jasny

podział „my” i „oni”, opowiadał się za trwałymi, bezdyskusyjnymi wartościami zamiast „rynku idei”, przedkładał stabilność nad niszczycielski konsumpcjonizm, a także cenił stałość zatrudnienia, choćby kosztem wydajności i innowacyjności. Niegdyś po stronie tych wartości stała PZPR, miała jednak dwie istotne wady: ateizm oraz powiązania z obcym mocarstwem. Teraz zaś powstała nowa formacja, która przywołane wartości splotła z katolicyzmem, drugim wielkim przegranym roku 1989. Nosiła nazwę Prawo i Sprawiedliwość.

Bracia Kaczyńscy działali w polityce od dawna. W latach osiemdziesiątych należeli do „Solidarności”, po roku 1989 odgrywali dużą, choć nie pierwszoplanową rolę w wydarzeniach. Uczestniczyli w niekończących się procesach tworzenia, rozwiązywania, łączenia, rozpadu i ponownego spajania najrozmaitszych partii prawicowych. Stanowczo opowiadali się za lustracją i za silniejszą obecnością Kościoła katolickiego w życiu publicznym, jednak swe główne przesłanie wyrazili dopiero w 2005 roku: oznajmili, że pora utworzyć nową, IV RP, prawdziwie polską, prawdziwie katolicką i prawdziwie „wolną”.

Spora część lewicy i liberałów sądziła, że kiedy Kaczyńscy określają swych oponentów mianem „polskojęzycznych”, stosują po prostu hiperbolę. Antysemickie podteksty w tym sformułowaniu były oczywiste, jednak nie chodziło tylko o cyniczne przymilanie się do bigotów. Kryła się tu również aluzja do określonej wizji państwa i jego relacji z narodem. Weźmy choćby fragment wystąpienia, które Jarosław Kaczyński wygłosił w lutym 2005 roku:

> Nie ukrywamy, że należy oprzeć konstytucję o system wartości, który jest jedynym w skali społecznej znanym, występującym, obowiązującym w Polsce. Jego depozytariuszem jest przede wszystkim Kościół katolicki. Jest to system nawiązujący do chrześcijaństwa i tradycji narodowej. Oczywiście, nie oznacza próby budowania państwa wyznaniowego. Chcę to bardzo mocno podkreślić! Chodzi jedynie o odwołanie się do realnie istniejącego systemu wartości. Polska nie jest takim krajem, jak na przykład Holandia, gdzie równolegle funkcjonują trzy konkurencyjne systemy wartości: katolicki, protestancki, bezwyznaniowy. Budując życie publiczne, należy odwoływać się do rzeczywistości. W systemie, o którym mówię, nie ma niczego, co byłoby nie do przyjęcia przez osobę niewierzącą, chyba że jest ona osobistym przeciwnikiem Pana Boga. Są tacy ludzie w Polsce, ale to jest mniejszość. Nie sądzę, żeby trzeba było z nimi wchodzić w jakieś szczególnie daleko posunięte kompromisy[21].

21 Jarosław Kaczyński, *O naprawie Rzeczypospolitej*, wykład wygłoszony w Fundacji im. Stefana Batorego, 14 lutego 2005, http://www.batory.org.pl/upload/jkaczynski.pdf.

Przeciwnicy Kaczyńskiego reagowali na te słowa trwogą i niezrozumieniem. Czym niby owa wizja różniła się od „państwa wyznaniowego”? Zauważmy jednak, że Kaczyński, podobnie

jak wcześniej Krzaklewski, nie mówił nic o transcendentnej prawdzie katolicyzmu. Opowiadał się za katolicyzmem, bo to polska wiara. Inne kraje mają inne tradycje? Proszę bardzo. Kaczyński nie chciał nawracać niewierzących. Pragnął i pragnie „jedynie" zagwarantować, że naród polski zachowa określone przekonania, wartości oraz zwyczaje, które nie podlegają kwestionowaniu i znajdują się poza zasięgiem merytokratycznego „rynku idei".

IV RP miała przeciwdziałać dwojakim zagrożeniom dla suwerenności narodowej: zagrożeniom z góry, ze strony ponadnarodowych instytucji w rodzaju Unii Europejskiej oraz z dołu, ze strony autonomicznych samorządów, organizacji pozarządowych czy inicjatyw prywatnych. Bez wątpienia jest to projekt autorytarny o spójnych podstawach ideologicznych. Nie można traktować jej założeń wyłącznie jako cynicznie wykorzystywanego narzędzia, dzięki któremu jeden człowiek zapewnia sobie władzę. Kaczyński podkreśla, że nie chce być dyktatorem, i uważa się za prawdziwego obrońcę demokracji – tyle że nieliberalnej. Dyktaturę sprawować ma „suweren", główne źródło władzy i legitymizacji w państwie. Aby uniknąć chaosu, suweren musi przemawiać jednym głosem – w przeciwnym razie państwo zamieni się w targowisko sprzecznych idei i wartości. Zgodnie z tą wizją suwerenem w demokracji jest naród – ale tylko jeśli nie występują w nim wewnętrzne podziały. Lud jest zatem święty. Natomiast ludzie stanowią problem.

Aby zapewnić wspólnocie trwałość, musi być ona niepodzielna i jednolita. Musi istnieć niezależnie od tworzących ją

śmiertelnych istot ludzkich. Właśnie dlatego historia odgrywa dla PiS tak wielką rolę. Traktuje się ją jako biografię wspólnoty narodowej, źródło spoiwa w postaci tradycji i wartości. Polityka historyczna, zgodnie z definicją Instytutu Pamięci Narodowej z 2016 roku,

> [d]otyczy interpretacji faktów, bytów i zdarzeń i jest rozpatrywana w kategoriach racji stanu społeczeństwa i narodu jako element mający charakter długofalowy i stanowiący fundament polityki państwa. Polityka historyczna jest kategorią historii służącą kształtowaniu świadomości historycznej społeczeństwa, w tym świadomości gospodarczej i terytorialnej, oraz wzmocnieniu publicznego dyskursu o przeszłości w kierunku pielęgnowania więzi narodowych niezależnie od bieżącej polityki państwa[22].

22 Instytut Pamięci Narodowej, *Polityka historyczna*, https://ipn.gov.pl/pl/aktualnosci/polityka-historyczna. Niestety, IPN usunął tę stronę, została ona jednak zarchiwizowana pod tym adresem: https://bit.ly/3miYLuF.

Nie liczy się tu prawda historyczna jako taka. Historia jest ważna jako element „długofalowy i stanowiący fundament państwa". Tworzy opowieści, które wspólnota powtarza sobie raz po raz, by podtrzymywać więzi między pokoleniami i uczyć młodych ludzi, „w co wierzymy". Nie wolno toczyć sporów o historię ani o religię. Zagorzali zwolennicy PiS krytykują narracje historyczne, w których brak wyraźnego podziału na bohaterów i złoczyńców, ofiary i sprawców,

męczenników i katów (a więc narracje takie jak ta przedstawiona w niniejszej książce). Kiedy my, historycy, argumentujemy, że badania powinny odzwierciedlać złożoność przeszłości, niuanse i wielość perspektyw, odrzucamy rolę, jaką pragnie nam przydzielić PiS. Dawniej dziwiłem się, ilekroć środowiska związane z partią powtarzały, że „w III RP pewne kwestie były przemilczane lub ukrywane, na przykład powstanie warszawskie, rzeź wołyńska lub odważne czyny katolików, ryzykujących życie dla ratowania Żydów podczas drugiej wojny światowej". Mogłem wszak wymienić wiele publikacji na każdy z tych tematów, dowodzących, że co najmniej od lat osiemdziesiątych nie ma już żadnych „białych plam". Nie o to jednak chodziło. Zwolennikom PiS brakowało prostej, czarno-białej narracji, wzmocnionej przez rytuały publicznego upamiętniania, powtarzanej w podniosłych przemówieniach, unieśmiertelnionej w krzepiących filmach i książkach, a przede wszystkim nauczanej w każdej szkole. Prawo i Sprawiedliwość chce ustanowić kanon powszechnie znanych opowieści, służących łatwemu odróżnianiu „bohaterów" od „zbrodniarzy". Opowieści te mają być traktowane z powagą i nabożeństwem jako niepodważalne, niezmienne jądro wspólnej tożsamości.

Właśnie dlatego kiedy Lech Kaczyński piastował urząd prezydenta Warszawy w latach 2002–2005, tak wiele wysiłku włożył w budowę Muzeum Powstania Warszawskiego i tak wiele pieniędzy przeznaczył w 2004 roku na spektakularne uroczystości z okazji sześćdziesiątej rocznicy zrywu. Tragedia sprzed sześciu dekad miała się stać kamieniem węgielnym

polityki historycznej PiS, bo dostarczała mnóstwa opowieści o walce dobra ze złem i o męczeństwie narodu. Najbardziej liczyło się, że decyzja o wybuchu powstania nie spełniała trywialnych wymogów (liberalnej) racjonalności. Szanse na sukces były niewielkie, a motywację stanowiła „tradycja narodowa", połączona z patriotycznym ferworem, a nie merytokratyczny bilans możliwych zysków i strat. Właśnie dlatego powstanie warszawskie tak doskonale nadawało się dla celów PiS.

Kolejnym niezwykle ważnym gestem symbolicznym były próby zakazania przez Lecha Kaczyńskiego w 2004 i 2005 roku warszawskiej Parady Równości, czyli demonstracji na rzecz równych praw dla osób nieheteroseksualnych. Zakaz stanowił ewidentne naruszenie konstytucji z 1997 roku, która gwarantowała obywatelom i obywatelkom wolność słowa oraz wolność zgromadzeń. Przeciwnicy PiS zorganizowali „Wiec Wolności". Uczestniczyli w nim znani politycy z partii centrowych i lewicowych oraz aktywiści ruchu LGBTQ. Fakt ten miał nie lada znaczenie: do tej pory ważniejsi gracze na scenie politycznej raczej unikali bycia kojarzonymi z ruchem. Jednak kulturowe podziały III RP wyszły na jaw już wcześniej. Po jednej stronie znaleźli się ci, którzy uważali, że sfera publiczna – określana przez nich mianem „społeczeństwa obywatelskiego" – opiera się na żywej debacie i szacunku dla różnych poglądów, punktów widzenia i stylów życia, natomiast zdaniem drugiej strony najważniejszą wspólnotę, czyli naród, dało się ocalić, tylko jeżeli w pewnych sprawach rozbieżność stanowisk zostanie wykluczona.

Zbliżały się wybory 2005 roku. Rząd SLD był skazany na porażkę, głównie z powodu skandali korupcyjnych. Większość ludzi sądziła, że partie wywodzące się z „Solidarności" utworzą koalicję przeciwko skompromitowanej lewicy, jak zrobiły to w 1997 roku AWS i Unia Wolności. W międzyczasie oba te ugrupowania wypadły z gry; ich miejsce zajęły PiS i Platforma Obywatelska, powstała w roku 2001. Platformę opisywano za pomocą różnych etykietek: „centroprawicowa", „liberalna", „chadecka", „konserwatywna". Jak na standardy europejskie zdecydowanie plasowała się na prawo od centrum, większość jej liderów odwoływała się bowiem do wartości religijnych i tradycji, a poza tym stanowczo odrzucała nie tylko komunizm, ale także socjaldemokrację. Zarazem PO opowiadała się za różnorodnością w sferze obywatelskiej, za podstawowymi liberalnymi swobodami i kapitalistycznym *welfare state*. Podobnie jak Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna w Niemczech lub Partia Demokratyczna w Stanach Zjednoczonych kierowała swą ofertę do umiarkowanych zwolenników merytokracji, a zarazem, zależnie od okoliczności, potrafiła zbaczać odrobinę w lewo bądź w prawo.

Jednak kategorie „lewicy" i „prawicy" okazały się nieadekwatne, by wyjaśnić to, co stało się później. W 2005 roku wielu przewidywało powstanie koalicji PO-PiS, nawet Donald Tusk i bracia Kaczyńscy. Szybko jednak okazało się, że ich partie stoją po dwóch różnych stronach kulturowego, społecznego i emocjonalnego podziału, sprowadzającego się głównie do niewypowiedzianych założeń i przekonań moralnych. Różnice programowe miały mniejsze znaczenie. Kam-

pania wyborcza przebiegła ostrzej, niż się spodziewano; nim dobiegła końca, szanse utworzenia PO-PiS przepadły. Z perspektywy czasu widzimy, że nigdy nie były szczególnie duże. Owszem, podobne koalicje powstawały w latach dziewięćdziesiątych, kiedy AWS porozumiała się z Unią Wolności, oraz w czasach pierwszej „Solidarności". Jednak za każdym razem istniał cel nadrzędny, a mianowicie chęć pokonania wspólnego wroga, czyli PZPR lub SLD (uważanego za starego wroga w nowym przebraniu). W 2005 roku większość Polaków nie pamiętała już zbyt dobrze PRL, natomiast SLD nie stanowił na tyle poważnego zagrożenia, by skłonić Platformę i PiS do współpracy. Najbardziej fundamentalny podział, istniejący od dawna w polskim społeczeństwie, wreszcie wyszedł na jaw.

Przez następne dwa lata panował chaos. Niemal wszyscy wspominają je obecnie jako katastrofę (aczkolwiek z różnych powodów). Lech Kaczyński został wybrany na prezydenta, natomiast PiS nie zapewnił sobie sejmowej większości. Zamiast koalicji z Platformą zawarł sojusz z dwiema mniejszymi partiami: Ligą Polskich Rodzin i Samoobroną. LPR uważała się za spadkobierczynię endecji. Samoobronę stworzył charyzmatyczny, lecz nieprzewidywalny polityk Andrzej Lepper, który z werwą showmana ogólnikowo pomstował przeciwko elitom. Jego dekadencki styl życia i ledwo ukrywane skandale korupcyjne sprawiały, że większość Polaków uważała go za postać zupełnie niepoważną. Znalazło się jednak dostatecznie dużo wyborców, by Samoobrona weszła do parlamentu. Kaczyńscy nie chcieli takiej koalicji i nie potrafili ukryć skrępo-

wania. Niewygodny sojusz w połączeniu z brakiem doświadczenia wielu urzędników mianowanych przez PiS doprowadził do bałaganu i zamętu, prowokując szyderstwa w Polsce i za granicą.

Wkrótce nastąpił kolejny zwrot akcji, zdający się potwierdzać, że Polska jest na najlepszej drodze do stabilności i dobrobytu, do „nowoczesnego" świata liberalnej demokracji parlamentarnej i norm Unii Europejskiej. Kiedy w 2007 roku koalicja PiS-LPR-Samoobrona się rozpadła, rozpisano nowe wybory. Frekwencja była jak na polskie standardy wysoka i wyniosła 54 procent. Platforma odniosła mocne zwycięstwo: otrzymała 41,5 procent głosów, podczas gdy PiS tylko 32 procent. Tym razem podział miejsc w sejmie nie różnił się szczególnie od wyniku. PO dostała 45 procent mandatów, PiS 36 procent. Donald Tusk zawarł trwałą koalicję z PSL; cztery lata później został wybrany na drugą kadencję, co w historii III RP nie zdarzyło się ani razu wcześniej.

Często powtarzał, że nie interesują go ideologie, i wolał prowadzić „politykę ciepłej wody w kranie"[23]. Mówiąc inaczej, chciał zadbać o stabilność instytucji, aby Polacy mogli zająć się własnym życiem, czekając, aż wzrost gospodarczy i silniejsza integracja z Europą i resztą świata zapewnią im dobrobyt. Chętnie współpracował z episkopatem, ale próbował też utrzymywać rozdział państwa i Kościoła (z różnym zapałem i różnymi skutkami). Jego rząd stanowił w pewnym sensie wcielenie preambuły do konstytucji z 1997 roku: dawał pole do kompromisu, postulował umiar i technokrację. Tusk

pragnął uczynić Polskę krajem odnoszącym sukcesy i zarazem nudnym. W byciu nudnym faktycznie celował.

23 *Tusk: Wolę politykę ciepłej wody w kranie*, „Gazeta Wyborcza", 20 września 2010.

Tymczasem Kaczyńscy pozostawali niepopularni. Nazwisko Jarosława pojawiało się (i pojawia się do dziś) w rankingach polityków darzonych najmniejszym zaufaniem; zazwyczaj wypadał w nich gorzej niż jego partia, choć rządził w niej niepodzielnie. Wizerunek Lecha był nieco lepszy, ale na początku 2010 roku oceniano go prawie tak źle jak brata. Tylko 23 procent respondentów twierdziło, że jako prezydent radzi sobie „raczej dobrze"; zaledwie 3 procent stwierdziło, że „zdecydowanie dobrze"[24]. Zbliżały się kolejne wybory, szanse reelekcji były żadne. PiS cieszył się też mniejszym poparciem niż PO; w latach 2007–2010 różnice sondażowe między partiami przekraczały 10 punktów procentowych.

24 Agnieszka Cybulska, *Zaufanie do polityków w styczniu*, komunikat z badań CBOS, styczeń 2013, s. 2; Michał Feliksiak, *Opinie o działalności prezydenta, parlamentu, ZUS, OFE i NFZ*, komunikat z badań CBOS, luty 2010, s. 2.

Czytelnikom niniejszej książki nie trzeba przypominać, że Lech Kaczyński niespodziewanie zginął w wypadku lotniczym, razem z 95 innymi osobami. Pierwszą reakcją była powszechna żałoba, nie tylko z powodu rozmiarów tragedii, ale i dlatego, że śmierć ponieśli ludzie z różnych partii i różnych kręgów społecznych. Znaczna część pasażerów samolotu w ogóle nie angażowała się bezpośrednio w politykę. Łatwo zapomnieć o tamtej wspólnej chwili żałoby, bo PiS szybko

przechwycił wydarzenie, czyniąc katastrofę elementem swojej opowieści o złych siłach, które oplatają współczesną Polskę. Dla przywódców partii było nie do pomyślenia, że tylu ważnych polityków prawicy zginęło przypadkowo. Historii należało nadać określone znaczenie.

Merytokraci postrzegają historię jako przyczynowo-skutkowy ciąg zdarzeń. Można je badać i oceniać, wykorzystując narzędzia rozumu i empirycznej weryfikacji. Dla wspólnotowców natomiast historia stanowi główne źródło wspólnej tożsamości, nieustannie szukają oni zatem analogii i paraleli, postrzegając wydarzenia przez pryzmat narodowej mitologii. Tak rozumiana historia nie jest „prawdziwa" ani „fałszywa" – wykracza ponad tego rodzaju prymitywne kategorie. Katolicka egzegeza Starego Testamentu skupia się na elementach zapowiadających wydarzenia w Nowym Testamencie. Na podobnej zasadzie zdaniem wspólnotowców w historii znajdziemy przepowiednie teraźniejszości i przyszłości. W Katyniu doszło do zbrodni stanowiącej zasadniczy element narodowej martyrologii. Skoro tak, śmierć ludzi lecących na obchody rocznicowe należało uczynić częścią tej samej żałobnej narracji. Przeciwnicy PiS byli zszokowani i oburzeni z powodu nagłego rozmnożenia się nieprawdopodobnych teorii spiskowych oraz z powodu pochowania Lecha Kaczyńskiego na Wawelu, a nie w katedrze Świętego Jana w Warszawie wraz z innymi prezydentami. Bulwersowało także posługiwanie się słowem „polegli" zamiast „zginęli". Na próżno domagano się przedstawienia dowodów rzekomego zamachu. Dla PiS sens całej tragedii był głębszy niż trywialne ustalenia śledczych,

a „dowody" miały moc przekonującą głównie dla tych, którzy i tak wierzyli w zamach.

Mitologia smoleńska nie sprowadzała się wyłącznie do tez, że Lech Kaczyński padł ofiarą zamachu, zorganizowanego przez Donalda Tuska, Władimira Putina i może Angelę Merkel. Cała baśń dotyczyła przede wszystkim III RP. Wydarzenia z 10 kwietnia 2010 roku stanowiły kontynuację martyrologicznego eposu, którego najnowszy rozdział zaczął się wraz z hitlerowską inwazją w roku 1939, obejmował przejęcie władzy przez Sowietów w latach 1944–1948 i pamiętne antykomunistyczne protesty w roku 1956, 1970 i 1980–1981. Nie skończył się w roku 1989, bo zdaniem PiS nie doszło wówczas do wyzwolenia kraju: szansa została zaprzepaszczona na skutek działania ukrytych sił, a dramat niewoli narodu trwał dalej. Rzekome sukcesy okrągłego stołu były kłamstwem, skoro państwo powstałe na skutek ówczesnych ustaleń negowało prymat wspólnoty narodowej. Lech Kaczyński rzucił wyzwanie tej liberalnej, racjonalnej, indywidualistycznej sile, a więc musiał zginąć. I stał się męczennikiem.

Po 2010 roku PiS nadal przegrywał wybory. Sporo osób uznało, że mit smoleński to supernowa, widoczna z opóźnieniem pozostałość po dawno umarłej ideologii. Dzięki siłom globalnej gospodarki, kulturowej integracji z Europą, lepszemu wykształceniu społeczeństwa i bogaceniu się kraju miało przybywać zwolenników nowoczesnej, liberalnej, kapitalistycznej merytokracji. Fantazje „religii smoleńskiej" (jak to ujmowali krytycy PiS) zdawały się zupełnie nie przystawać do nurtów kulturowych, które dominowały w Polsce początków

XXI wieku. Choć jednak normy liberalnej merytokracji zdawały się podzielane przez większość społeczeństwa, znacząca mniejszość nie zamierzała ich przyjmować. Aż wreszcie okazało się, że w krajach demokracji przedstawicielskiej mniejszość potrafi mieć znaczenie.

Skupiam się tu na ogólniejszej kategorii „wspólnoty", a nie na katolicyzmie, bo sądzę, że w ostatnich czasach Kościół jest słabszym graczem, niżby się mogło wydawać. Odruchowo kategoryzujemy PiS jako partię katolickiego nacjonalizmu, gdyby jednak tylko o to chodziło, przyszłość ugrupowania byłaby niepewna. W Polsce katolicyzm stanowi ważniejszy element życia społecznego niż w innych krajach Unii Europejskiej, a odsetek osób religijnych jest podobny jak w Stanach Zjednoczonych. Mimo to mamy do czynienia z wyraźnym trendem spadkowym. Od kilku dekad Polacy odwracają się od Kościoła; trudno sobie wyobrazić powrót do sytuacji z lat osiemdziesiątych. Obecnie niespełna 40 procent ochrzczonych osób regularnie uczęszcza na msze. Dane te wymagają uzupełnienia; istnieją w Polsce regiony silnie religijne i takie, które można porównać z Europą Zachodnią. Na jednym krańcu znajduje się diecezja tarnowska. Tam 70 procent katolików regularnie bierze udział w nabożeństwach. Tymczasem dla diecezji łódzkiej odpowiedni odsetek wynosi tylko 25 procent[25].

25 *Annuarium Statisticum Ecclaesiae in Polonia*, Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego, Warszawa 2020, s. 28–29.

Odsetek osób uczestniczących w mszach („dominicantes”), 1980–2018

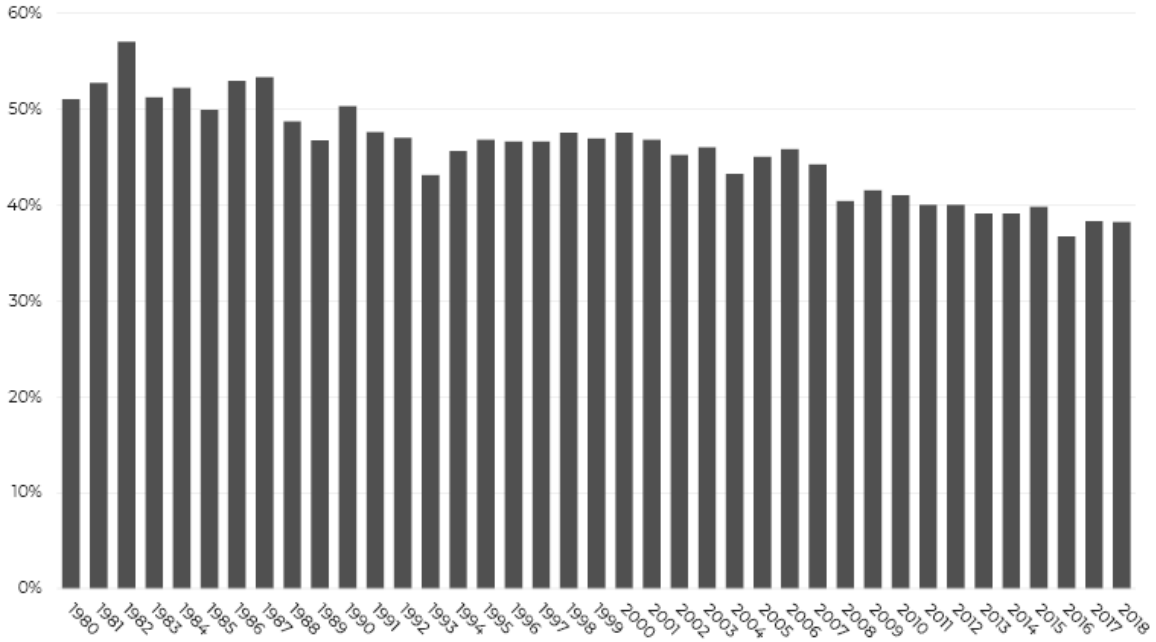

Ponadto wariant katolicyzmu reprezentowany przez PiS cieszy się jeszcze mniejszym poparciem. Radio Maryja przyciąga sporo uwagi, ale tylko 15 procent populacji kiedykolwiek go słuchało, a 7 procent słucha go więcej niż raz w tygodniu. Połowa słuchaczek i słuchaczy to osoby w wieku co najmniej 65 lat; rozgłośnia trafia tylko do 3 procent Polaków poniżej 34. roku życia[26]. Episkopat wspiera konserwatywne skrzydło Kościoła bardziej niż dekadę temu, ale wśród świeckich wyznawców nie nastąpiła równie daleko idąca radykalizacja. Może się to zmienić, ale raczej dlatego, że umiarkowani katolicy oddalą się od instytucji, poirytowani, że podczas niedzielnych kazań mówi się im, na kogo mają głosować. Zawsze istniała silna korelacja między katolicyzmem i prawicową po-

lityką, lecz do niedawna trafiali się księża, a nawet biskupi dystansujący się od PiS i bliżsi Platformie, a przynajmniej bezpartyjności. Dziś jest ich niewielu. Kościół idzie ramię w ramię z Prawem i Sprawiedliwością. Razem będą rośli w siłę, razem poniosą klęskę.

26 Mirosława Grabowska, *Dwadzieścia lat Radia Maryja*, komunikat z badań CBOS, grudzień 2011.

Nie oznacza to, że katolicyzm jest głównym spoiwem ruchu skupionego wokół PiS. Jeśli już, mamy do czynienia z odwrotną relacją. Głębokie wartości wspólnoty i stabilności oraz wynikający z nich sprzeciw wobec liberalnej merytokracji mogą spleść się z katolicyzmem, ale i z religią protestancką, islamem, judaizmem lub ateizmem. Właśnie dlatego prognozy, że demografia i sekularyzacja zadadzą Prawu i Sprawiedliwości ostateczny cios, niekoniecznie się sprawdzą. Owszem, wśród zwolenników Kaczyńskiego nadreprezentowane są osoby starsze i wierzące, ale nie da się wykluczyć, że pojawi się nowe pokolenie, równie sfrustrowane, choć mniej religijne. Podczas kampanii wyborczej w 2007 roku, po której zaczęły się ośmioletnie rządy Platformy, część liberałów rozpowszechniała w internecie memy o „moherowych beretach", obrażające wyborców i wyborczynie PiS, a zarazem sugerujące, że niedługo większość z nich po prostu wymrze. Dowcipy te były okrutne i aroganckie; ponadto opierały się na błędnym założeniu, że tylko osoby starsze i wyjątkowo gorliwe religijnie odrzucają merytokrację na rzecz wartości wspólnotowych. Tymczasem coraz liczniejsza grupa młodych ludzi

widzi wokół siebie jedynie niestabilność i niepewność oraz świat nastawiony wyłącznie na zaspokajanie potrzeb elitarnej mniejszości. Osoby te mogą zwracać się ku lewicy (co obserwujemy w Stanach Zjednoczonych, gdzie umacnia się „polityka tożsamości") lub ku prawicy, jak to się stało w Polsce w 2015 roku.

Bezprecedensowy wzrost gospodarczy w Polsce na początku XXI wieku dał nowe szanse młodemu pokoleniu. Osoby, które znają języki, mają kompetencje cyfrowe, są kreatywne, atrakcyjne i charyzmatyczne, potrafią zarządzać czasem i nie boją się ciężkiej pracy, mają mnóstwo szans na sukces. Mogą przeprowadzić się do Warszawy albo za granicę. Czasem przez długi okres muszą pracować na umowach śmieciowych, ale zasadniczo współczesny świat jest stworzony dla nich. Co natomiast dzieje się z młodymi ludźmi, którzy nie mają wspomnianych cech i zdolności? Albo z ludźmi, którzy owe cechy mają, ale z rozmaitych powodów nie odnoszą sukcesów (bo przecież w kapitalizmie zawsze ktoś przegrywa)? Osoby takie dryfują, są kulturowo zmarginalizowane i czują coraz większy gniew. Nie należą do tradycyjnie rozumianej „klasy pracującej", więc stare socjaldemokratyczne partie nie wymyśliły, jak zaradzić ich problemom (nawet gdyby centrolewicowym politykom z lat dziewięćdziesiątych w rodzaju Kwaśniewskiego, Blaira czy Clintona udało się nie odejść od polityki klasowej). Ludzie ci szukają więc gdzie indziej przywódców, którzy ich zauważą i się o nich zatroszczą. Zwracają się do ugrupowań i ruchów w rodzaju PiS.

Na pierwszy rzut oka zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości w 2015 roku było tak niewielkie, że wydaje się niemal kwestią przypadku. Przez całą poprzednią dekadę PiS tracił i zyskiwał w sondażach, oscylując między 20 a 30 procentami poparcia. W 2015 roku partia Kaczyńskiego nieco zyskała, ostatecznie jednak dostała zaledwie 37,5 procent głosów. Trudno uznać to za silny mandat. PiS nie zdołałby stworzyć rządu, gdyby nie fatalna decyzja taktyczna SLD. Przez wiele lat Sojusz był na marginesie, nie mając szans na wzrost poparcia i odzyskanie dawnej pozycji. W 2015 roku nie wszedł do sejmu, bo w wyborach startował jako koalicja, a koalicje potrzebują 8 procent poparcia, by przekroczyć próg. Zabrakło 68,951 głosów, co odpowiada 0,2 procent osób uprawnionych do głosowania lub 0,4 procent głosujących. Gdyby SLD zdobyło choć kilka mandatów, PiS nie miałby większości parlamentarnej.

Mimo względnie niewielkiego poparcia Kaczyński przyznał sobie mandat do całkowitej zmiany politycznego status quo. Zaczął się okres ostrego konfliktu politycznego i kulturowego. Emocje po obu stronach sięgnęły zenitu. PiS zrobił z telewizji publicznej organ propagandowy i upolitycznił administrację państwową, dzięki czemu może nagradzać zwolenników, przeciwników zaś straszyć. Niemal całkowicie zniesiono niezależność sądownictwa. Partia może robić, co chce, nie oglądając się na żadne konstytucyjne ograniczenia. Kaczyński zbudował więc de facto – choć na razie nie de iure – „demokrację nieliberalną" (termin ten zapożyczył od swego węgierskiego bratanka Viktora Orbána). Jeśli chodzi o politykę socjalną, w 2016 roku partia rządząca wprowadziła głośny pro-

gram 500+. Bez wątpienia miał on wpływ na sytuację najbiedniejszych obywateli. Ubóstwo spadało od 2004 roku, niezależnie od tego, kto rządził krajem, ale za PiS odrobinę nasiliła się egalitarna redystrybucja. W 2014 roku biedniejszej połowie społeczeństwa przypadało 26,9 procent łącznych dochodów (odsetek ten nie zmieniał się od wielu lat). Dziś jest to 29,9 proc[27]. Spadła liczba osób emigrujących z Polski. Od 2015 roku więcej jest imigrantów niż ludzi, którzy wyjeżdżają – rzecz dziwna, biorąc pod uwagę antyimigrancką retorykę PiS[28].

27 Główny Urząd Statystyczny, https://bit.ly/3lrTvnz.
28 Główny Urząd Statystyczny, https://bit.ly/2VlCq3H.

Rozkład dochodów gospodarstw domowych według grup decylowych

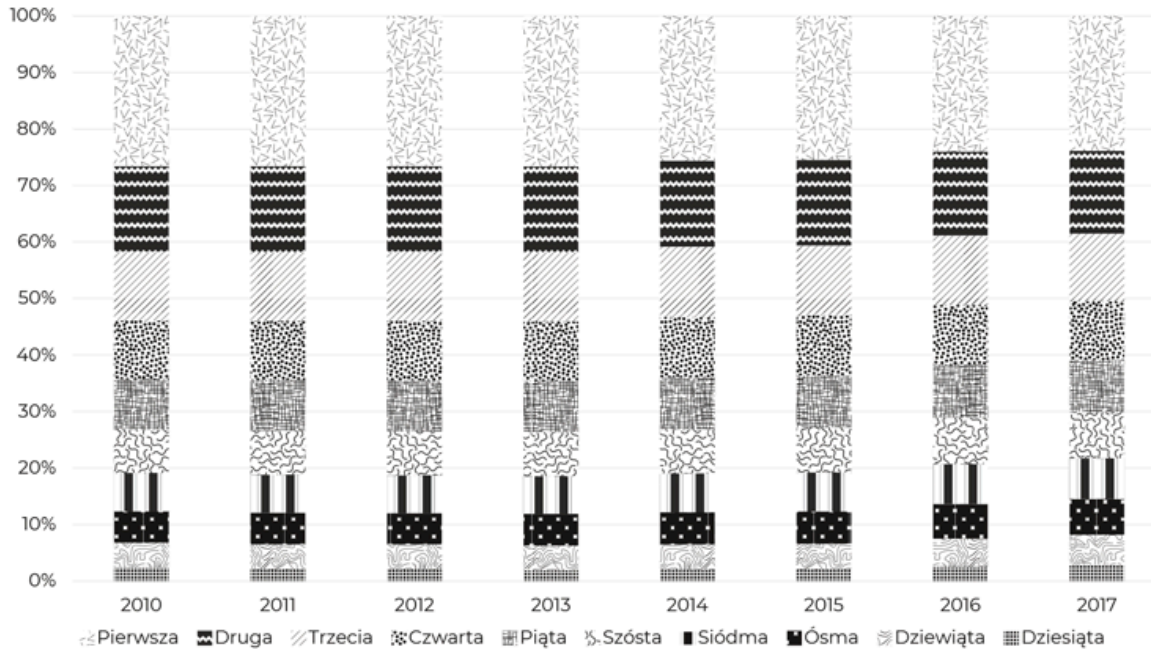

Wybory parlamentarne z 2019 roku i wybory prezydenckie z roku 2020 potwierdzają, że społeczeństwo jest pęknięte na pół, tak samo jak w roku 2015. Wojna polsko-polska trwa, co bierze się z głębokich podziałów. Z drugiej strony podziały nie muszą koniecznie i z automatu przekładać się na poparcie dla tych czy innych ideologii, obecnych dziś w polityce. Fakt ten powinien dawać nadzieję. Przedstawiony powyżej światopogląd wspólnotowców wiąże się z pewnymi autorytarnymi skłonnościami. Gdyby jednak nie radykalizm przywódców, z którym mamy do czynienia w ostatnich latach, aparat państwowy nie zostałby może wykorzystany do umacniania i narzucania wspólnotowych wartości. Nawet najsilniejsze przywiązanie do wspólnotowości nie musi oznaczać, że jest się ksenofobem, homofobem, mizoginem albo bigotem – aczkolwiek wszystko wskazuje, że obecnie polityka wspólnotowców poszła właśnie w tę stronę. Z drugiej strony wartości merytokratyczne mogą trwale istnieć, jeśli powiąże się je z autentycznym pluralizmem. Postrzeganie sfery publicznej jako „rynku idei" zakłada, że „najlepsza" opcja wygrywa. Z kolei postrzeganie społeczeństwa jako rynku, a ludzi jako towarów zakłada, że istnieje „najlepszy" sposób życia we współczesnym świecie. Obydwie te postawy są wyjątkowo szkodliwe, ale można je odrzucić. Neoliberalny kapitalizm, który nieprzejednanie głosi mentalność „przetrwania najsilniejszych" i „twórczego niszczenia", nie musi koniecznie wiązać się ze światopoglądem stawiającym na pierwszym miejscu samorealizację i z krytycznym podejściem do norm czy konwencji.

Zmienna, skomplikowana relacja między szeroko rozumianymi wartościami wspólnotowymi a polityką wykluczenia czy bigoterią ukazuje się, kiedy zajrzymy do badań próbujących ustalić stosunek Polaków do osób różnych narodowości. Od 1993 roku CBOS przeprowadza coroczny sondaż na ten temat[29]. W roku 1993 większość badanych deklarowała niechęć wobec Romów, Ukraińców, Rosjan, Niemców i Żydów. Niezbyt dużą sympatią darzono Białorusinów i Litwinów. Spośród obywateli regionu tylko Czesi, Słowacy i Węgrzy mogli liczyć na cieplejsze uczucia. Z drugiej strony niemal dwie trzecie badanych lubiło Amerykanów, Włochów i Francuzów. Do Brytyjczyków przychylnie odnosiło się zaledwie 47 procent osób, ale z drugiej strony mało kto traktował ich niechętnie. Jeśli przeskoczymy do roku 2020, ujrzymy zasadnicze zmiany. Moi amerykańscy rodacy stracili popularność – lubi nas teraz zaledwie 50 procent Polaków (dajcie nam drugą szansę, nie jesteśmy tacy straszni!). Niechęć do Niemców spadła o połowę, przychylniej traktuje się też Rosjan, choć za sprawą Putina w ostatnich latach trend uległ odwróceniu. Zdecydowanie mniej Polaków gotowych jest przyznawać się do postaw wrogich wobec Ukraińców i Żydów; przeważają osoby o pozytywnym stosunku do tych narodowości. Od 2015 roku tylko Romowie i Arabowie wywołują „niechęć" większości Polaków. Jeśli zbierzemy wszystkie odsetki na temat wrogości wobec tradycyjnie nielubianych grup – Niemców, Rosjan, Żydów, Ukraińców, Romów i dodanych tu niedawno Arabów – uzyskamy coś w rodzaju wskaźnika ksenofobii. Do roku 2011 sytuacja przedstawiała się optymistycznie (pomija-

jąc krótkotrwały skok ksenofobii w roku 2005). Później ksenofobia znów zaczęła pomału rosnąć. Polacy są bardziej tolerancyjni niż u zarania III RP, ale trend wiedzie w złym kierunku.

29 Małgorzata Omyła-Rudzka, *Stosunek do innych narodów*, komunikat z badań CBOS, kwiecień 2016.

Niechęć wobec „obcych" w Polsce (uśrednione wyniki niechęci wobec Arabów, Niemców, Romów, Rosjan, Ukraińców i Żydów)

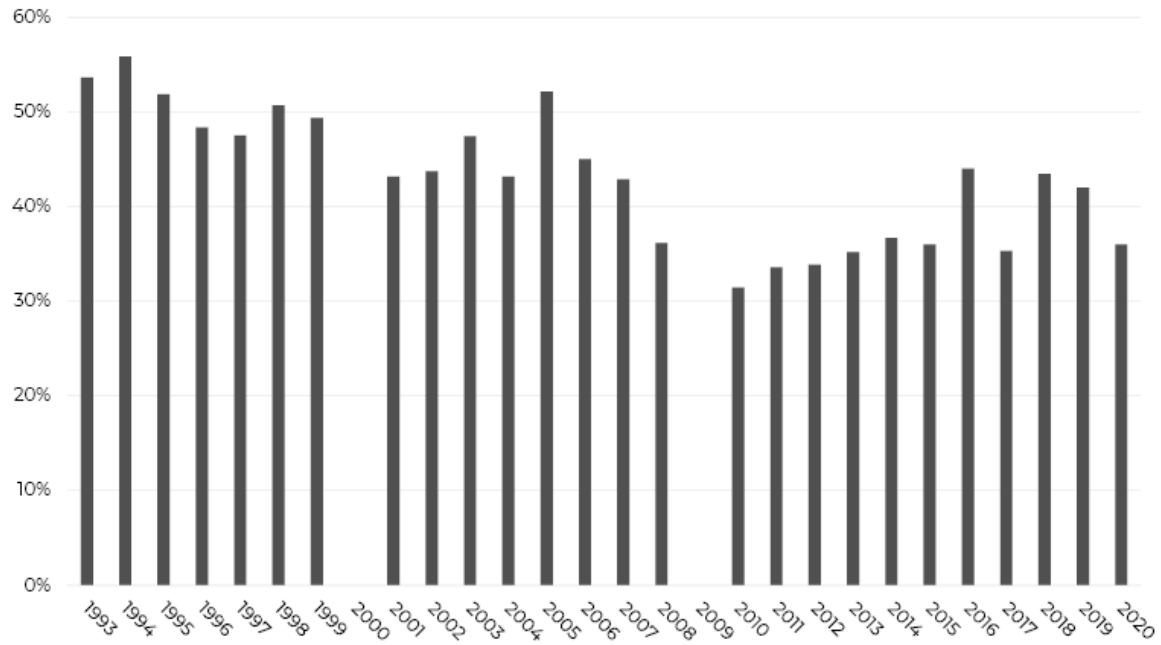

Co to wszystko oznacza? Powierzchowne odczytanie danych sugeruje, że popularność ugrupowań w rodzaju PiS rośnie z powodu wzrostu ksenofobii. Ale być może jest odwrotnie. Zdumiewający wzrost niechęci wobec Arabów towarzyszył nasileniu się islamofobicznego dyskursu w mediach zwi-

ązanych z Prawem i Sprawiedliwością. Przerażająco wysoki odsetek zanotowano choćby w 2016 roku, kiedy partia przejęła publiczną telewizję i radio. Nacjonalizm i ksenofobia zawsze stanowiły w Polsce element prawicowej retoryki, choć nie zawsze odgrywały zasadniczą rolę. W miarę jak PiS radykalizował się po 2010 roku, media z nim powiązane coraz częściej głosiły poglądy islamofobiczne i rasistowskie. Niewielu Polaków może budować swe postawy wobec Arabów i muzułmanów na podstawie bezpośrednich kontaktów, toteż obraz medialny ma duże znaczenie. Skoro tak, trudno oddzielić przyczynę i skutek nasilającej się ksenofobii. Trzeba sobie też zadać pytanie, czy mówimy tu o zmianie postaw, czy wyłącznie o zmianie retoryki. Skoro większość Polaków nie ma żadnego kontaktu z osobami z nielubianych grup, zarówno nienawiść, jak i tolerancja mogą sprowadzać się do pustej retoryki, która niekoniecznie przekłada się na emocje kształtujące konkretne relacje z konkretnymi ludźmi.

Ze wszystkiego, co napisałem powyżej, można wysnuć tylko jeden niepodważalny wniosek: wyniki wyborów odzwierciedlają kulturowe podziały w społeczeństwie. Zniuansowane dane sondażowe pomagają, lecz nie dadzą wszystkich odpowiedzi. Gdy w wyborach kilka procent dzieli zwycięzców od pokonanych, warto zadać sobie pytanie: czy gdyby wynik był inny, wyciągalibyśmy te same wnioski na temat ogólnej równowagi sił lub trajektorii kultury politycznej? Jeśli różnice są tak nieznaczne jak w 2015 roku i później, nawet losowe zdarzenie (choćby załamanie pogody wpływające na frekwencję w pewnym regionie) lub czynniki niezwiązane z trendami

społecznymi (na przykład kiepska kampania lub kompromitacja podczas debaty) mogą okazać się decydujące. Podobnie, kiedy w danych sondażowych odnotowujemy zasadniczą zmianę postaw, nie mamy pewności, czy obserwujemy trend kulturowy, wpływ skutecznej perswazji politycznej, czy może skomplikowaną interakcję między jednym i drugim.

W latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych panował w Polsce konsensus, że „Zachód" to wzór do naśladowania, że demokratyczny pluralizm to najważniejsza wartość, a wolny rynek stanowi jedyną opcję w gospodarce. Ponieważ pierwszy rząd PiS upadł zaledwie po dwóch latach, ponosząc w 2007 roku upokarzającą klęskę, całą sprawę uznano za wypadek przy pracy. W 2011 roku prognozowano długotrwałą dominację określonego konsensusu politycznego: drugie zwycięstwo Platformy i klęska SLD świadczyły rzekomo o marginalizacji lewicy i skrajnej prawicy. Lata mijały, PiS przegrywał kolejne wybory (łącznie siedem porażek między 2007 i 2014 rokiem), liberalna hegemonia zdawała się pewna. Nagle, po 2015 roku, zewsząd słyszymy o masowym populistycznym resentymencie i fatalnej erozji zaufania do liberalnej demokracji parlamentarnej. Wedle tej wizji przyszłość należy albo do nacjonalistów, albo do nienarodzonej jeszcze lewicowej alternatywy. W 2020 roku, kiedy pisałem niniejszy rozdział, międzynarodowa prasa huczała, że Polska odrzuciła „zachodnie" wartości, wybierając nacjonalizm i autorytaryzm. Zdaniem niektórych nie powinna była w ogóle zostać przyjęta do Unii Europejskiej, bo obecny rząd reprezentuje prawdziwe oblicze narodu, który tylko czekał, by wreszcie

przedrzeć się przez fasadę liberalnej demokracji. Wszystko to z powodu zmiany preferencji wyborczej najwyżej 3 procent populacji w 2015 roku. Wybory stanowią najlepszy mechanizm wyłaniania rządu, ale kiepsko się sprawdzają, gdy chodzi o ukazanie głębokich przemian społecznych lub kulturowych.

Opowiadam się za innym podejściem. Warto przyjąć, że w polskim społeczeństwie od dawna panował podział na merytokratów i wspólnotowców, opisany w niniejszym rozdziale. Rok 1989 jawi się wówczas jako próba ustanowienia nowego porządku, opartego na wartościach merytokratów. Wykorzystali oni upadek jednej z dwóch najważniejszych organizacji reprezentujących wspólnotowców, a mianowicie PZPR. Drugi ośrodek wspólnoty, Kościół katolicki, zdawał się triumfować, lecz to tylko pozory. Od lat dziewięćdziesiątych kulturowe i społeczne znaczenie Kościoła stopniowo słabnie, niezależnie od sytuacji politycznej. Nic nie wskazuje, by proces ten dało się odwrócić. Zarazem koniec PZPR i kłopoty Kościoła nie oznaczają bynajmniej, że znikają społeczne podstawy wspólnotowości. Wręcz przeciwnie. Mając to wszystko na względzie, możemy traktować wyniki wyborów z ostatnich piętnastu lat jako proces dopasowywania się polityki partyjnej do podstawowych wartości obecnych w społeczeństwie po blisko ćwierćwieczu hegemonii merytokratów – hegemonii czysto retorycznej, przesłaniającej głębokie podziały kulturowe.

Problem nigdy nie polegał na tym, że „Polacy" jako zbiorowość „nie dorośli" do demokracji, lecz na tym, że linie de-

markacyjne w owej demokracji miały charakter powierzchowny i biegły inaczej niż linie starego podziału na merytokratów i wspólnotowców. Wybory z 2005 roku stanowiły pierwszą zapowiedź dopasowania. Rząd koalicyjny okazał się jednak nieudolny i proces znów uległ spowolnieniu. Od 2015 roku to, na kogo można zagłosować, jest coraz ściślej powiązane z podziałami kulturowymi wśród wyborców. Z tego powodu w głosowaniach uczestniczy coraz więcej osób, które wcześniej stanowiły prawdziwą większość, bo zostawały w domu. Sęk w tym, że Kaczyńskiemu udało się zbudować sprawną organizację, a tymczasem jego przeciwnikom brak jedności – aczkolwiek to nic dziwnego, skoro merytokraci uważają politykę za „rynek idei", charakteryzujący się różnicami opinii i wielością opcji.

Rozkład głosów w wyborach do sejmu, 2005–2019

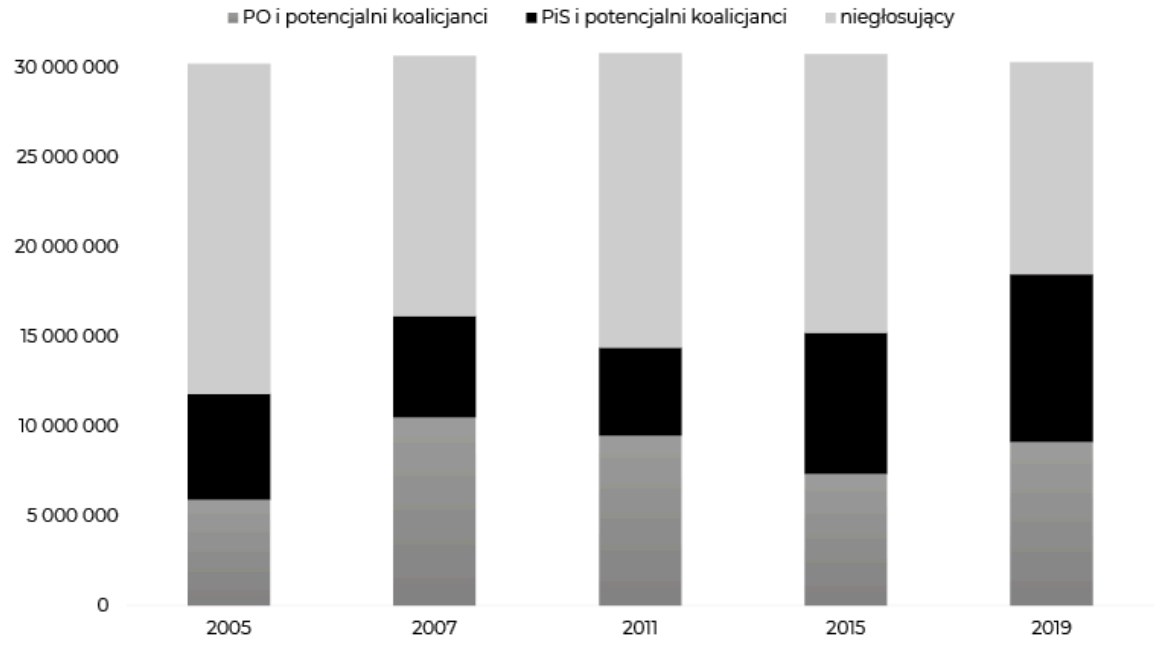

Dzieje polityczne III RP można traktować jako długi wstęp do okoliczności, w których się obecnie znajdujemy, kiedy podziały wyborcze ściśle zbiegają się z podziałami kulturowymi. Przed 2015 rokiem partie notowały wielkie spadki i skoki poparcia. Nie zanosi się, by miało to szybko powrócić. Polityka w Polsce roku 2020 jest silniej zakorzeniona w podziałach społecznych (lub też, by nazwać rzecz w sposób pozytywny, w nieredukowalnej różnorodności społeczeństwa) niż kiedykolwiek dotąd. Nie oznacza to bynajmniej, że antyliberalny autorytaryzm Prawa i Sprawiedliwości lub neoliberalizm promowany przez znaczną część opozycji są jedynymi możliwymi wyrazami tych podziałów. Przyszłość będzie więc zależała nie tylko od decyzji podejmowanych przez politycznych graczy, ale również od oddolnej mobilizacji na poziomie lokalnym i regionalnym.

Przekonywałem w tej książce, że „Polska", choć jest rzeczownikiem w liczbie pojedynczej, zawsze miała znaczenie liczby mnogiej. To znaczenie się zmieniało, ale wielość pozostaje faktem. W okresie międzywojennym istniała tendencja, by mierzyć różnorodność za pomocą kategorii wyznania i języka; wskutek ówczesnej polityki tożsamości poszczególne grupy były dość silnie rozdzielone. Po wojnie stare kategorie straciły użyteczność. Przez długi czas monolityczna retoryka zarówno PZPR, jak i Kościoła katolickiego głosiła, że Polska stała się krajem zupełnie jednolitym. Mimo to inne, równie ważne wymiary różnicy wybiły się na czoło. Przepaść między „Polską A" i „Polską B" istniała od zawsze i nie straciła na znaczeniu, choć nie miała już wymiaru etniczno-językowego.

Niemal wszyscy byli formalnie katolikami, ale podział między osobami głębokiej wiary i osobami ochrzczonymi stał się istotny, kto wie, czy nie istotniejszy niż podziały między katolikami, Żydami, protestantami i prawosławnymi w czasach, kiedy niemal dla każdego religia stanowiła ważną część życia. Szybki rozwój miast ustanowił różnicę między obszarami zurbanizowanymi i wiejskimi. Podejrzewam, że chłop mówiący po ukraińsku i chłop mówiący po polsku na początku XX wieku mieli ze sobą więcej wspólnego niż współczesny rolnik uprawiający małe gospodarstwo i bankier z Warszawy. „Homogeniczność" zawsze jest złudzeniem. Tendencja, by mówić o „Polsce", „polskiej kulturze" czy „polskim społeczeństwie" w liczbie pojedynczej, zawsze niesie ryzyko zwodniczych uproszczeń. Czasem godzimy się na nie dla wygody, powinniśmy jednak mieć świadomość, że okrutnie wypaczamy rzeczywistość. Na podobnej zasadzie błędem jest interpretowanie przejściowych zmian w polityce lub nawet względnie stabilnych tendencji w ramach struktur władzy lub dominującej retoryki jako wyrazu jednolitej „polskości".

Oto najważniejsza lekcja historii, jeśli pragniemy zrozumieć przeszłość i patrzeć w przyszłość. Za każdym politykiem, za każdym ekspertem wypowiadającym się na temat społeczeństwa powinien stać historyk trzymający transparent: „To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje!". Historycy przypominają ludziom, że wszystko, co uważamy za trwałe i niezmienne, wyglądało kiedyś inaczej, a wszystko, co wydaje się wyjątkowe, ma swój precedens w innej epoce lub w innej części świata.

Przyjeżdżam do Polski mniej więcej co roku od połowy lat osiemdziesiątych. Za każdym razem mam wrażenie, że trafiłem do innego kraju. Niekiedy trudno mi się przystosować do zmian. Gdy myślę o różnicach między PRL a teraźniejszością, czuję optymizm, pomimo wydarzeń ostatnich paru lat. Wiem jednak, że jednostkowy punkt widzenia jest nieobiektywny, szczególnie punkt widzenia obcokrajowca. Wyciąganie ogólnych wniosków na podstawie doświadczeń osobistych bywa zwodnicze; Polacy nie raz zaznawali krzywd z tego powodu. Co gorsza, sami takie generalizacje tworzą. Wszak doświadczenia osoby, która większość życia mieszkała tylko w jednym polskim mieście lub miasteczku, także są niepełne i uzależnione od kontekstu.

W książce i przez całą karierę historyka pragnąłem wykraczać poza truizmy, kalki myślowe i stereotypy, by ukazywać ludzi z Europy północno-wschodniej jako „zwyczajnych", a przez to bardziej zrozumiałych dla współczesnego czytelnika, zarówno w Polsce, jak i za granicą. Wbrew utartym poglądom większość Polaków nie boryka się na co dzień z trudną historią swego kraju. Ci, którzy przeżyli drugą wojnę światową, zaznali ciężkiej traumy w klinicznym znaczeniu tego wyrazu. Odcisnęła ona później niewątpliwe piętno we wszystkich sferach życia, od polityki, po wychowywanie potomstwa. Dziś jednak w populacji dominują osoby urodzone w połowie lat siedemdziesiątych i później, wnukowie i wnuczki wojennego pokolenia. U schyłku komunizmu byli nastolatkami. Ludzie, którzy byli dorośli w czasach PRL, zachowali też nieco dobrych wspomnień z tamtego okresu. I choć nauczyciele,

powieściopisarze, filmowcy i kuratorzy muzealni powtarzają wciąż opowieści o cierpieniach i męczeństwie, dla znacznej części Polek i Polaków są one zupełną abstrakcją.

Niewątpliwie „Polska" sporo przeszła, choć dokładna ocena zależy od punktu odniesienia. Jak wielokrotnie wykazywałem w tej książce, wielu podobnych cierpień w mniejszym czy większym stopniu zaznały też inne regiony. Nie czyni to nieszczęść bardziej znośnymi dla tych, którzy bezpośrednio ich doświadczyli, jednak szersza perspektywa pozwala umieścić Polskę w pełniejszym kontekście. Ponadto „Polska" nic nie wycierpiała – cierpieli Polki i Polacy. Kolektywna abstrakcja, jaką jest naród, istnieje wyłącznie jako zbiór konkretnych ludzi, którzy się z nim utożsamiają. Ich doświadczenia są dużo bardziej różnorodne, niż opisują to żałobne banały. Jeżeli zawęzimy perspektywę i przyjrzymy się jednostkom, zobaczymy osoby mające swoje troski i marzenia, z rzadka tylko skupione na losach narodu. Porządny historyk badający dzieje Polski musi wyposażyć się i w obiektyw szerokokątny, i w teleobiektyw. Dopiero za ich pomocą zdoła uchwycić szczegółowy przebieg różnych ścieżek, po których kroczą Polki i Polacy, oraz możliwe dalsze kierunki.

Literatura uzupełniająca

Arcimowicz, Jolanta, Mariola Bieńko, Beata Łaciak, *Obyczajowość polska początku XXI wieku. Przemiany, nowe trendy, zróżnicowania*, ŻAK, Warszawa 2015

Borowik, Irena, Witold Zdaniewicz (red.), *Od kościoła ludu do kościoła wyboru. Religia a przemiany społeczne w Polsce*, Nomos, Kraków 1996
Chwedoruk, Rafał, *Polityka historyczna*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 2018
Cześnik, Mikołaj, *Partycypacja wyborcza Polaków*, Instytut Spraw Publicznych, Warszawa 2009
Dudek, Antoni, *Historia polityczna Polski, 1989–2015*, Znak, Kraków 2016
Dunn, Elizabeth, *Prywatyzując Polskę. O bobofrutach, wielkim biznesie i restrukturyzacji pracy*, przeł. Przemysław Sadura, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008
Eisler, Jerzy, *Co nam zostało z tamtych lat. Dziedzictwo PRL*, PWN, Warszawa 2016
Ekiert, Grzegorz, Jan Kubik, *Rebellious Civil Society: Popular Protest and Democratic Consolidation in Poland, 1989–1993*, University of Michigan Press, Ann Arbor 1999
Funk, Nanette, Magda Mueller, *Gender Politics and Post-Communism: Reflections from Eastern Europe and the Former Soviet Union*, Routledge, New York 1993
Gdula, Maciej, *Nowy autorytaryzm*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019
Graff, Agnieszka, *Świat bez kobiet. Płeć w polskim życiu publicznym*, WAB, Warszawa 2001
Grzeszak, Ewa, *Sukces. Amerykańskie Wzory – Polskie Realia*, Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2003
Irwin-Zarecka, Iwona, *Neutralizing Memory: The Jew in Contemporary Poland*, Transaction, New Brunswick 1989
Kamusella, Tomasz, *The Un-Polish Poland: 1989 and the Illusion of Regained Historical Continuity*, Springer, Cham 2017
Koczanowicz, Leszek, *The Politics of Time: Dynamics of Identity in Post-Communist Poland*, Berghahn Books, New York 2008
Kowalski, Sergiusz, *Narodziny III Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1996
Lehrer, Erica, *Jewish Poland Revisited: Heritage Tourism in Unquiet Places*, Indiana University Press, Bloomington 2013
Mishtal, Joanna, *The Politics of Morality: The Church, the State, and Reproductive Rights in Postsocialist Poland*, Ohio University Press, Athens

2015
Ost, David, *Klęska Solidarności*, przeł. Hanna Jankowska, Muza, Warszawa 2007
Pasieka, Agnieszka, *Hierarchy and Pluralism: Living Religious Difference in Catholic Poland*, Palgrave, London 2015
Rose-Ackerman, Susan, *From Elections to Democracy: Building Accountable Government in Hungary and Poland*, Cambridge University Press, Cambridge 2006
Shallcross, Bożena, *The Holocaust Object in Polish and Polish-Jewish Culture*, Indiana University Press, Bloomington 2011
Sypniewski, Zbyszek, Błażej Warkocki, *Homofobia po polsku*, Sic!, Warszawa 2004
Todorova, Maria, Zsuzsa Gille (red.), *Post-Communist Nostalgia*, Berghahn Books, New York 2010
Walczewska, Sławomira, *Damy, Rycerze, Feministki. Kobiecy dyskurs emancypacyjny w Polsce*, eFKa, Warszawa 1999
Zubrzycki, Geneviève, *The Crosses of Auschwitz: Nationalism and Religion in Post-Communist Poland*, University of Chicago Press, Chicago 2006

ANNA DZIERZGOWSKA

POSŁOWIE

Jeśli ortodoksja ma jakąkolwiek zaletę, to tę, że dzięki ortodoksji oczywista staje się atrakcyjność herezji. Ortodoksja – to szkolna wersja historii Polski, którą karmi się nas od pokoleń. Herezja – to *Całkiem zwyczajny kraj* Briana Portera-Szűcsa. Książka odszczepieńcza, dająca nam dokładnie to, co herezja dawać powinna – możliwość wyboru.

Szkolną ortodoksję dobrze ilustruje wstęp do najnowszej podstawy programowej nauczania historii: „Chodzi [...] o to, aby uczeń w dorosłym życiu świadomie i odpowiedzialnie współtworzył europejską wspólnotę wartości z nadrzędną, szczególnie bliską nam, Polakom, ideą wolności[1]. Wolności, która w ostatnich stuleciach wyrażała się w dążeniu do odzyskania niepodległości i utrzymania państwowej suwerenności", a kawałek dalej: „historia państwa i narodu została [...] wpisana w historię powszechną, choć nadal, co oczywiste, wątek dziejów ojczystych pozostaje najważniejszy"[2].

1 To zawsze jest wolność – nigdy równość. Przynajmniej pod tym względem autorzy podstaw programowych z historii nie oszukują, idea równości nie miewa się w dziejach Polski zbyt dobrze.

2 Podstawa programowa, historia, liceum i technikum, wstęp, https://podstawa-programowa.pl/Liceum-technikum/Historia. Swoją drogą, w tym wstępie, liczącym niespełna trzysta słów, „naród" pada sześć razy, „ojczyzna" i jej różne warianty („język ojczysty", „dzieje ojczyste" itp.) – pięć razy.

Można by pomyśleć, że ta pompatyczna stylistyka – „my, Polacy", „dzieje ojczyste", sugerowana wyjątkowość stosun-

ku do wolności – to przejaw polityki historycznej ostatniego czasu. Jednak nie: ortodoksyjna wersja dziejów Polski ma już całkiem sporo lat, jest dobrze osadzona w podręcznikach, muzeach historycznych i w społecznej (pod)świadomości. To narracja, zgodnie z którą Mieszko I założył państwo polskie i wprowadził je do Europy, szlachta w XVI wieku światle rządziła krajem tolerancji religijnej, w XVIII wieku nastąpiła bezprecedensowa tragedia, wiek XIX naznaczyła bohaterska walka uciśnionego narodu, a wiek XX – przerwany lot Kasztanki w dwudziestoleciu, następnie zaś męczeństwo i opór, które w najbardziej aktualnej wersji ortodoksji dokonywały się pod butem dwóch totalitaryzmów.

Dlatego tak bardzo lubię w *Całkiem zwyczajnym kraju* sposób, w jaki Brian Porter-Szűcs problematyzuje pojęcie narodu. Odwołując się do licznych badań nad „narodem" jako efektem politycznego projektu pewnej części elit, pokazuje, że na tle innych krajów polski przypadek jest o tyle interesujący, że dość typowy. W tym jasnym i spokojnym wywodzie fundament szkolnej ortodoksji zostaje niepostrzeżenie podważony, świętości ulegają sprofanowaniu, a to, co wydawało się stałe, rozpływa się w powietrzu. Znika odwieczny naród. Okazuje się, że „umiłowanie wolności" znaczy co innego dla szlachcica, który nie wyobrażał sobie wolności bez prawa do gnębienia „swoich" chłopów, co innego dla chłopa, który walczył o wyzwolenie się od ciężaru pańszczyzny, jeszcze co innego dla żydowskiej robotnicy rozważającej dostępne opcje polityczne czy wreszcie dla ukraińskiego pisarza tworzącego

w języku, który możni tego świata uparcie woleliby uważać za dialekt.

Jako nauczycielka czekam niecierpliwie, kiedy będę mogła podrzucić *Całkiem zwyczajny kraj* mojemu uczniostwu. Opowieść, którą proponuje nam Brian Porter-Szűcs, jest oczywiście celowo uproszczona, popularna. To nie zarzut: ta książka taka ma być i nie udaje, że jest czymś innym. Jeśli chciałabym, żeby moje uczennice i uczniowie ją czytali, to nie dlatego, że objawi im nową, lepszą prawdę, ale dlatego, że dzięki zetknięciu z odrobiną herezji spojrzą z większą sympatią na historię, którą autor zapowiada jako: „opowieść o niezbyt dokładnie określonym obszarze w północno-wschodniej Europie w ciągu ostatnich kilkuset lat i o ludziach, którzy tam żyją".

A kiedy już ta sympatia się pojawi, można pospierać się z autorem o tych kilka miejsc w książce, które moim zdaniem warte są sporu. Na przykład o emancypację kobiet w PRL, bardziej realną i dużo mniej fasadową, według wielu badaczek, niż to jest przedstawione w *Całkiem zwyczajnym kraju* (wystarczy tu rozważyć kwestię dostępności aborcji przed 1989 rokiem i już w III RP). Albo o to, jak obraz relacji polsko-żydowskich ma się do realiów wciąż w Polsce nieprzepracowanego antysemityzmu.

Mogłabym wymieniać dłużej, ale nie chodzi o tworzenie listy, tylko o oczywisty wniosek, że otwieranie przestrzeni sporów jest cechą każdej dobrej książki historycznej. Przyzwyczajono nas do szkolnej ortodoksji, która podsuwa nam pakiet gotowych informacji do przyswojenia. W *Całkiem zwyczajnym kraju* informacje zostają rozpakowane i poukładane

na nowo w taki sposób, żeby – jak pisze sam Brian Porter-Szűcs – „nasza" historia, opowieść, którą teoretycznie już przecież znamy, stała się „mniej swojska". Osadzenie w swojskiej i przyswojonej wiedzy jest nudne, ale też bezpieczne. Kiedy decydujemy się spojrzeć na rzeczy znajome tak, żeby zobaczyć w nich obcość, żegnamy się z poczuciem bezpieczeństwa. Jednak właśnie wtedy może zacząć się rozmowa o tym, czym jest wiedza o historii, jak jest tworzona oraz jak można ją przetwarzać – i dopiero takie spojrzenie na naukę historyczną ma sens, niezależnie od tego, czy uczymy się jej w szkole, czy zajmujemy się nią zawodowo, czy po prostu nas ona interesuje.

W szkolnej wersji historii Polska wybija się jako coś wyjątkowego, historia powszechna zaś jest tylko tłem, na którym owa wyjątkowość ma być lepiej widoczna. Brian Porter-Szűcs odwraca ten porządek: szkicuje wybrane procesy globalne, aby pokazać, jak przebiegają w konkretnym kraju. A kiedy już raz potraktuje się ten kraj jako całkiem zwyczajny, dyskutowanie o jego historii, uczenie się jej (i uczenie jej innych) wreszcie może przestać być ćwiczeniem z martyrologii.